

MACIEJ  
LIZINIEWICZ



Czas  
pomsty



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

Gas  
pomsty

M A C I E J  
L I Z I N I E W I C Z

*Czas  
pomsty*

Zapraszamy na [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Logo serii

**WALDEMAR KORALEWSKI**

Metryczka serii

**WALDEMAR KORALEWSKI  
MAŁGORZATA WIATR**

Projekt okładki

**www.designpartners.pl**

Ilustracje na okładce

© [khius/depositphotos.com](http://khius/depositphotos.com)

© [alebloszka/depositphotos.com](http://alebloszka/depositphotos.com)

© [ViktoriaSapata/depositphotos.com](http://ViktoriaSapata/depositphotos.com)

Koordinacja projektu

**PATRYK MŁYNEK**

Redakcja

**„BALTAZAR” RING JACEK,  
WOJCIECHOWSKA-RING DOROTA**

Korekta

**IWONA HUCHLA**

Skład

**LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN**

Polish edition © Publicat S.A., Maciej Liziniewicz MMXIX (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-245-8377-5

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

**PUBLICAT S.A.**

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24  
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00  
e-mail: [office@publicat.pl](mailto:office@publicat.pl), [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Oddział we Wrocławiu  
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62  
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66  
e-mail: [wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl](mailto:wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl)

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Od Autora

Rozdział I. Powrót

Rozdział II. Dom

Rozdział III. Zajazd

Rozdział IV. Rezurekcja

Rozdział V. Wiedźma

Rozdział VI. Kruszewski

Rozdział VII. Zbrodnia

Rozdział VIII. Pogrzeb

Rozdział IX. Poniatowski

Rozdział X. Zdrada

Rozdział XI. Uroczysko

Rozdział XII. Bestia

Epilog

Przypisy

*Moim Najbliższym, Patrycji i Ignacemu*

## OD AUTORA

Opowiedziane zdarzenia są literacką fikcją osadzoną w historycznej rzeczywistości, a jakakolwiek zbieżność z rzeczywistymi postaciami i wydarzeniami stanowi jedynie efekt *licentia poetica*. Nie było moim zamiarem ani nauczanie o przeszłości, ani też odkrywanie nieznanych szerszemu gronu prawd. Fabuła jest wyłącznie wytworem mojej fantazji, a zgodność tła i postaci ze źródłami historycznymi – sposobem na ubarwienie narracji. Dlatego, drogi Czytelniku, sięgając po tę książkę, zmruż oczy i pozwól się prowadzić poprzez opowieść, która nie jest niczym więcej, jak bajką dla dorosłych. Krwawą, mroczną, brutalną, ale wciąż jednak tylko bajką. Chociaż, kto wie?



## ROZDZIAŁ I

# POWRÓT

Wiosna roku 1630 była dżdżysta i zimna. Co rusz z nieba skapywały ciężkie krople, zamieniając drogi w błotniste pułapki. Trudno było iść piechotą. Buty grzęzły, oblepiając się brudem. Toteż z mozołem szedł towarzysz jazdy kozackiej polskiej<sup>[1]</sup> Żegota Nadolski. Cały przemókł. Nie zwracał na to jednak uwagi. Przez lata przywykł nie do takich niewygód. Czasem, gdy but zbyt głęboko utkwiał w grzęzawisku, na usta cisnął mu się jakiś grubszy wyraz. Zaraz wstrzymywał popędliwy język, szepcząc pod nosem nabożne słowa modlitwy. Ubrany w nieco lepsze tylko od chłopskiego odzienie, zakryty woskowanym kapturem, w butach rozmiękłych od wilgoci, z pokorą przyjmował przeciwności losu. Tylko zawinięta w skóry szabla przewieszona przez plecy była znakiem, że to nie chłop brnie przez błota, lecz człowiek wojskowy. Gdyby kto zajrzał pod kaptur, zobaczyłby posiwiałe przedwcześnie włosy i obwisłe wąsiska. Twarz, przeorana blizną, zmroziłaby takiemu ciekawskiemu krew. Szare oczy były jakby zapatrzone nie w otaczającą wiosnę, lecz we własne myśli. A te widać nie były radosne, ale niczym ponure niebo wiszące tego dnia tak nisko. Tymczasem wokół zieleni buchnęła z żywiołowością, sycąc wzrok swą spokojną barwą. Życie wracało po zimie, dając nadzieję zmartwychwstania. Trawa, nad wyraz rozrosła, chłoneła wilgoć, zapowiadając obfitość siana. Drzewa kierowały swe liście ku życiodajnemu deszczowi, szumiąc wśród padających kropli odwieczną melodię. Świat poił się łapczywie, jakby szykując zapasy na gorszy czas. Szedł więc Żegota powoli, przypominając sobie coraz to bardziej znajome kształty i obrazy. Zbliżał się do stron rodzinnych, które opuścił dziesięć lat wcześniej. Wszystko niby było podobne. Zagajniki, chałupy, krzyże przydrożne. Jemu wydały się jednak mniejszymi, postarzałymi, zgarbionymi, jak i jego postać. Bo też w innym czasie wyjeżdżał. Wtenczas zdawało mu się, że świat stoi przed nim otworem, a zapałem i męstwem łatwo fortunę ujarzmi. Teraz gorycz miał w duszy i pustkę.

Poszedł lata temu z innymi za Żółkiewskim. Bo i cóż mu pozostawało? Majątek rodzice zostawili mu ubogi. Ledwie, by utrzymać siebie i żonę z dziećmi. Ot, parę chłopskich chałup, stary dwór modrzewiowy i nieurodzajne grunta. Zadłużył się więc, z chłopów przysposobił pocztowych<sup>[2]</sup> i poszedł wojować. Mówili, że na mołdawskiej wyprawie łupy zdobędzie, sławą okryć się może. Prosiła go Zośka, by nie zostawiał jej z maleńkimi. Zaklinała, że złe przeczucia w jej duszy się lęgną. Ale nic to było dla Żegoty, który zbywał śmiechem głupie babskie gadanie. Gdybyż czas mógł odwrócić. Ale z tamtego człeka nic się nie ostało. Pod Cecorą ledwie z życiem uszedł, cudem tylko bez ran. Potem udał się z towarzyszami na Turka, by straty powetować. I tu jednak ni bogactwa, ni sławy nie zdobył. Pokój podpisano, a dla Żegoty żadna z niego korzyść nie przyszła. Wciąż długi i pusta kiesa. Zamiast więc jak inni wrócić do domu, ruszył na Litwę, gdzie Radziwiłł już ze Szwedami wojował. Myślał, że przy magnackim boku łatwiej przyjdzie mu los poprawić. Gdy przyszedł rozejm z Gustawem Adolfem, nie wrócił w strony rodzinne. Rozmiałował się w bogatym dworze, gdzie schlebiała mu pańska łaskawość. Posłał tylko pocztowego, by Zośce wieści zawiózł i skromny łup przekazał. Sam zaś oddał się ucztom i bezeceństwow.

Westchnął spod ciężkiego kaptura, gdy czas ten sobie przypomniał. Dziewkom nie przepuszczał. Za kołnierz nie wylewał. Radziwiłł świadom, że Szwed się przyczaił, trzymał przy sobie żołnierzy i niczego im nie żałował. Żył więc Nadolski jak w jakimś amoku, łapczywie chłonąc nieznane mu wcześniej uciechy. Bo i cóż Zośka? Gdzie jej tam do biegłych w miłosnej sztuce dwórek? Gdzież zaściankowym ucztom i kuligom do pańskiego stołu? Któż to byli lokalni posesjonaci przy Radziwille? I przyszedł w końcu, jak kara za grzechy, ten dzień, gdy pocztowy późnym latem 1624 roku od Zośki powrócił.

Żegocie łza w oku stanęła i potoczyła się bruzdą ku wilgotnym wąsiskom. Pamiętał aż nazbyt wyraźnie. Ledwie dobudził się po nocnej biesiadzie. W głowie szumiały mu jeszcze wina i miody, których sobie nie żałował. W łóżu leżała dworska murwa, ze skórą bladą, z włosami sklejonymi potem

i oddechem nasiąkłym przetrawionymi napitkami. Zwiesił Żegota nogi ze skraj łoża i wpatrywał się nieprzytomnie w pocztowego, który garbiąc się i czapę mnąc w dłoniach, wyrzekł po raz wtóry ciężkie jak głązy słowa, że Tatarzy najechali folwark i wszystkich ubili. Zośkę i dzieci. Michałka i Marysię. Że dwór spalony, a ludzie w las uciekli. Wstał chwiejnie Nadolski i chłopem potrząsnął. Słowa uwięzły mu w gardle. Szarpał gwałtownie Semka, ściskając go za ramiona. Aż w końcu z ust popłynęło mu wycie niehumanne, z którym stoczył się bez przytomności na podłogę. Myślał pocztowy, że pan padł martwy rażony apopleksją. Niewiele się omylił. Kiedy Żegota oczy otworzył, nie mógł ruszyć ni ręką, ni nogą. Zawezwany medyk krew puścił, ale nadziei nie dawał. Chorego z łoża ruszać zabronił. Leżał więc szlachcic, wpatrując się całymi dniami w bieloną powalę kwatery. Świat zamknął mu się w głowie. Nie znał nikt jego myśli, bo ustami ruszyć nie zdołał. Lecz choćby i mógł, pewnie z bólu słowa by nie wykrztusił. Trudno byłoby bowiem znaleźć jakieś lekarstwo na jego niedolę i cierpienie. I poczucie, że za jego to winy Bóg karę surową nałożył. W dwie niedziele Nadolski posiwał jak gołąb. Pacholek trzymał go przy życiu, pojąc piwną polewką z rozartym serem. Miesiąc minął, nim powiekami poruszył. Kolejny, kiedy dłoń uniósł. Za tym słowa bełkotliwe, jeszcze nikomu niezrozumiałe, wypowiedział. Tylko on pamiętał, że była to pełna gorczy modlitwa na głos powtarzana, bardziej jak rzucana Bogu groźba.

W pół roku na nogi stanął. Wychudły i posępny jak nocna mara. W członkach wróciło mu życie, choć czucia w lewej ręce nie odzyskał. Lewy kąt ust martwo w dół się na zawsze osunął. Jak odbicie jego duszy, która skamieniała. Semko jął konie na powrót szykować, sądząc, że teraz rychło pan będzie chciał na swoje ruszyć. Burknął gniewnie Nadolski i nahajem głupią myśl z łba pacholka wygnał. Nie miał już domu. Dokąd było mu wracać? Na groby? Usta zaciął Żegota, całymi dniami ledwie kilka słów wypowiadał, a jeśli już, to w gniewie. Tylko w szabli od rana się wprawiał, w tym gubiąc myśli, które mało go do obłędu nie wiodły. Mrok objął jego głowę. I zląkłby się ten, kto by znał te jego rozmyślenia. Jako że zwykle były o śmierci. Przemieszane z modlitwą, by jak najrychlej nadeszła. W zacięciu i zatraceniu, w rozpaczy wracał do sił.

Z radością w duchu przyjął wieści, że Gustaw Adolf na nowo z wojskami w Inflantach się znalazł. Na wojnie o śmierć łatwo. Ruszył pod Gosiewskim, pierwszy rwąc się czy to na podjazd, czy to dla pochwylenia języka. Lecz kpi fortuna z zatrańców. Gdyby spoczynku wiecznego nie szukał, pewnie rychło by go znalazł. Jednak teraz omijały go kule, a kto z szablą przeciw niemu wystąpił, ten padał z rozłupaną czaszką. Mało mu było u wrogów zwady. Kiedy beczynnienie siedział, za lada co i przeciw swoim rwał się do broni. Przeszło kilka pojedynków, gdzie srodze adwersarzy posiekał. Tak że wśród towarzyszy złą sławą okryło się jego imię. Nikt nie był mu druhem. Nikt do namiotu jego nie wstępował. Nawet pocztowi z oczu schodzić woleli, by byle czym panu się nie narazić. Wina i miody porzucił. Kobiet nie oglądał. Jeńca jak wziął, to ani myślał wykup brać. Dawał mu w rękę rapier albo jaką sobie broń zażyczył i na śmierć stawał. Nie trafił się żaden, który by mu sprostał. Cenił pułkownik Gosiewski odwagę. Nawet o oficerskiej szarży dla Żegoty zamyślał. Ale inni oficerowie pomysł ten z głowy mu wybili, gdyż Nadolski za szaleńca był uważany, a jako taki, oficerem będąc, nie tylko siebie, ale i ludzi mu powierzonych na zatracenie by powiódł. Został więc nadal prostym towarzyszem. Dowódcy, chcąc się zakały pozbyć, jego pierwszego na straceńcze misje posyłali. A on wracał jak zły szeląg, krzywiąc w złośliwym uśmiechu swe na wpół martwe usta. Diabelskie szczęście nie tylko w tym mu sprzyjało. Złotem z obdartych trupów kiesy napełnił. A że żył jak pustelnik, więc rósł jego skarbczyk stojący w kącie, nic dla niego nie znacząc. Jakby zbierany na złość innym. Gdy przyszedł rozejm Litwinów ze Szwedami, Nadolski natychmiast ruszył na Pomorze, gdzie ogień wojny się rozpałił. Przyłączył się do lisowczyków<sup>[3]</sup> Moczarskiego, za nic mając ich złą sławę. Tam znów poszczerbił kilka szlacheckich łbów w pojedynkach, nim panowie bracia spokój mu dali. W tym towarzystwie jednak, miast niechęci, zyskał szacunek, bo z takich jak on zatrańców składała się kompania. Wojował długo i zacięcie z wrogiem, towarzyszami i samym sobą. Szeptali ludzie, że ze złym musiał się ułożyć, bo tam gdzie inny co najmniej z raną by wyszedł, on powracał bez żadnego szwanku. Solą w oku była jego kiesa, o której legendy po obozach krążyć zaczęły. A Żegota drwiąco śmiał się w żywe oczy, rzucając, że ten, kto mu sprosta, może wziąć

wszystko, zanim jego ciało ostygnie. Nie znalazł się śmiałek, który by podjął wyzwanie. Schudł i szerniał ze zgrzyoty. Bruzdy przeorały mu przystojną niegdyś twarz. Siwych włosów nie strzygł szlacheckim zwyczajem, przez co ten, co go nie znał, mógłby go brać za jakiegoś świętego męża pustelnika. Rychło by jednak zdanie zmienił, gdyby spojrzął w pustkę zapadłych oczu. Nic w nich nie było ze świętego zamyślenia. Źrenice ziały niczym czarne studnie, wiodące wprost na dno udęczonej duszy. Aż przyszedł rok 1629 i Trzciana. Stał tam pod hetmanem Koniecpolskim w czerwcu. W parną noc przed bitwą przyśniła mu się Zośka. Stała tylko i ze smutkiem patrzyła. Chciał podbiec do niej, uklęknąć i błagać o przebaczenie, lecz znów, jak przed laty, jego ciało było martwe. Nie mógł wykonać żadnego gestu ni wypowiedzieć słowa. A Zośka odwróciła się z wolna i rozplynęła we mgle. Zbudził się zlany potem. Uspokoił w ciemności przyspieszony oddech. Pomyślał, że znak to może, że pora na niego przyszła. I uradował się szczerze, że wreszcie nastąpi koniec jego żywota.

Na bitwę ubrał się jak nigdy wcześniej. Włożył najlepszy strój. Konia kazał przybrać w drogi rząd. Potem przyszło do walki. Pierwszy rzucał się w największą gęstwinę. W pościgu sforował się przed innych. Najpierw był atak na tylną straż Szwedów. Ta rozpierzchła się na północ, w kierunku Straszewa. Tam znów natarł z Kozakami na tysiąc wrogiej jazdy, która stawiała im krótki opór, lecz widząc nadciągającą husarię, podała tyły. Na ich karkach dotarli do Pułkowic, gdzie z resztą wojsk stanął Gustaw Adolf. Kozaków polskich nie zatrzymały salwy z rajtarskich pistoletów. Kiedy szyki się wymieszały, Żegota szalał ze swą husarską szablą. Szukał zajadle tego, czego przez lata nie mógł znaleźć. Ale co rusz pusto się wokół niego robiło. Wściekły ponaglał konia. Aż ujrzał samego szwedzkiego króla otoczonego rajtarami. Z krzykiem uniósł stal i pognął na pewną śmierć. Ciął w zapamiętaniu, co chwila gasząc kolejne życie. Już widział królewski kapelusz. Już mógłby sięgnąć go piórem<sup>[4]</sup> swej broni. Uniósł się w siodle, wyciągnął szablę nad głowę, szykując do śmiertelnego ciosu. Wtedy właśnie świat pociemniał mu w oczach; czerń, błękit i zieleń pomieszały się ze sobą. A w duchu zakrzyknął z radosnym niedowierzaniem: To już?! Nim padł na ziemię, nic nie czuł.

Żegota zatrzymał się i oparł o pień drzewa. Dłonią starł z twarzy słone krople. Deszcz zmieniał się w mżawkę. Przed nim ciągnął się rozorany koleinami trakt, poznaczony brudnymi kałużami. Gliniasta ziemia żółciła się ciężkim błotem. Sięgnął za pazuchę i ścisnął prosty drewniany krzyż, jaki miał zawieszony na rzemieniu. To on był znakiem jego przemiany. Pokory, która zastąpiła gniew. Pogodzenia się z losem, które przykryło czarny żal. Prawdziwej odwagi, która odmieniła nasiąkłe strachem zatracenie.

W dwie niedziele ocknął się na probostwie, gdzie rannego pod dach zgodził się przyjąć stary ksiądz. Zostali przy nim Semko i pacholek tatarski, którego jeszcze na Litwie od jednego szlachcica odkupił. Wojska odeszły, jak to na wojnie bywa, zostawiając rannych samym sobie. Semko zwłókł swego pana z pola, prawie że bez ducha, z okropną raną ciągnącą się lewą częścią twarzy od czoła aż do brody. Oko cudem tylko ocalało. Nie wiedzieć czemu przeżył. Tak jakby Bóg po raz kolejny zakpił z jego pragnień. Znów patrzył w powalę i zgrzytał zębami na los. Ksiądz zaoferował spowiedź, bo na dwoje można było wróżyć rannemu. Ale on wiedział, że nie będzie mu dana śmierć. Jak upiór znów włóczyć się będzie po świecie od jednej wojny do drugiej. Na szczęście tych w Rzeczypospolitej nie brakło. A choćby i z sąsiadami nie przyszło wojować, to niemało przecie było w owej Rzeczypospolitej magnackich sporów. Kapłan codziennie ponawiał pytanie o wyznanie grzechów. W końcu, bardziej w złości niż z potrzeby, Żegota wykrzyczał mu swoją opowieść. Nie zataił niczego. Miał się za potępionego już za życia i niczym było mu grzechów odpuszczenie. Ani się go spodziewał, ani pragnął. Ksiądz zaś dał rozgrzeszenie, odraczając wyznaczenie pokuty do czasu, kiedy Nadolski do zdrowia powróci. Ranny, nie wiedzieć czemu, gdy słowa ciężkie z duszy wyrzucił, poczuł ulgę. Tym większą, że nie usłyszał czczych napomnień i gróźb kary piekielnej. Mógł mówić, a starzec słuchał tylko, głową kiwając. I nagle jakby odtajała dusza Żegocie. Aż w noc jedną polały się z jego oczu łzy. Za Zośką, za dziećmi, za wszystkim utraconym, do czego już, jak mu się zdało, powrotu nie było. I nad samym sobą, co się w rozpaczę zapomniał. Poczuł Nadolski smutek dojmujący, ale inny niż wcześniej. Bardziej tęsknotę niż kamień piersi ściskający. Ulgą była ta tęsknota. Jakby się ocknął ze snu, w którym pięć lat spędził.

Kiedy wstał z łoża, szablę w kąt postawił. Sam zaś spoglądał na świat, jakby na nowo go odkrywając. Radował go podmuch wiatru, promień słoneczny, szelest drzewa. Godzinami mógł spoglądać w dal, siedząc pod lipą, znajdując nareszcie spokój i godząc się z losem. W rozmowach z księdzem pojął, iż sam siebie chciał ukarać, strącając się na dno nienawiści. Lecz taka pokuta nijak Bogu miłą być nie mogła, bo była gniewem na jego wyroki. Niezgodą na to, co i tak w księgach żywota zostało zapisane. Bóg zaś w swym miłosierdziu sam zdecyduje, kiedy Żegotę los znów połączy z żoną i dziećmi. A każdy grzech tylko oddalić może to spotkanie. Uładził się Nadolski z Bogiem, a pozostały mu z tego nieczuła ręka, blizna przez twarz i skrzywione usta. Miał już, niczym biblijny Jakub swą chromość, nosić te znaki aż do końca. By przypominały mu jego mocowanie się ze Stwórcą.

Uśmiechnął się Żegota na to wspomnienie i głową pokiwał. Ruszył przez błoto, pomny, że pokutę odbywa, gdyż taką ksiądz mu na koniec wyznaczył, dając na szyję krzyż drewniany. Że sam, w prostym odzieniu, pieszo ma wrócić do domu. A tam ma pracą swą i przykładnym życiem Bogu dziękować za nawrócenie. Szedł więc już wiele dni, nocując po chałupach prostych ludzi i karczmach. A dzień drogi za nim ciągnęli niespiesznie na wozie Semko i Tatar Bejda. Tam była cała jego zdobyta na wojnach majątność. Grosz niemały, który miał spożytkować na odbudowę swoich Nadolan. I życie na nowo.

Zbliżał się wieczór. Mżawka powoli ustawała. Omijając co głębsze kałuże, brnął koleiną i wypatrywał noclegu. Pamiętał, że niedaleko powinna stać karczma żydowska, gdzie wreszcie będzie mógł spocząć. Tymczasem z tyłu doszły go najpierw nerwowe głosy, a potem chlupot błota pod końskimi kopytami. Nim zdołał się odwrócić, posłyszał gniewne:

– Z drogi, chamie! Ustąp, bo batem potraktuję!

Zagryzł Żegota usta, lecz nic się nie odezwał. Zrobił kilka kroków w bok i stanąwszy wśród trawy, spojrzął na jeźdźca. Ten obrócił tańczącego konia. Był młody. Może dwudziestokilkuletni. Ubrany bogato, w czerwony kontusz, nieco tylko jaśniejszy żupan i czapkę, znad której smętnie zwisało zmokłe czaple pióro. Baczmagi<sup>[5]</sup>, pociemniałe od wilgoci, poza tym były czyste.

Znać było, iż panek z konia nie zsiadał. Wąs zawadiacko podwinięty, czarny, jakby malowany, a wyżej oczy zimne, niebieskie, gniewem i dumą świecące. Uśmiechnął się Żegota pod kapturem i głowę spuścił, żeby zwady nie prowokować. Mało widać jednak od drogi odszedł, bo szlachcic bliżej podjechał i warknął:

– Dalej na bok! Głuchy?!

Nadolski pokornie jeszcze się cofnął. Spojrzał w lewo, gdzie wśród drzew pojawiła się kolebka w otoczeniu kilku jeźdźców. Brnęła mozolnie ciągnięta przez dwójkę ubłoconych koni. Szlachcic zawrócił i pokrzykując, odjechał w tamtym kierunku. Pielgrzym stał, wpatrując się w zbliżających się podróżnych. Zmokli konni asystowali powozowi, w którym okna szczelnie zasłonięto. Kolebka bogato zdobiona znamionowała, że podróżny musi należeć do ludzi majątniejszych, choć nie na tyle bogatych, by sprawić sobie karetę, którą coraz częściej wozili się magnaci.

Czarnowąsy młodzieniec znów minął Żegotę, wpatrując się w niego i uderzając nahajką w cholewę buta. Jakby czekał, by lada ruchem skryty pod kapturem dał mu pretekst do jej użycia. Nie drgnął Nadolski, bo pokutę odbywając, nie chciał żadnych zatargów. Ot, miną go, pojedą w swoją stronę, a on dalej ruszy. Przeszli bokiem, a Żegota stał w milczeniu, spoglądając za oddalającymi się. W końcu westchnął, poprawił zawiniątko na plecach i podjął powolny marsz przed siebie.

Zmrok już zapadał, gdy zobaczył karczmę na rozstaju. Niski budynek z prawie nieciosanych bali, pokryty słomą. Przez niewielkie okna, obciążone świńskimi pęcherzami, przeświecało mdłe światło. U wejścia stała grupka chłopów, deliberująca nerwowo. Dalej, już w obejściu, wyprzęgano kolebkę, która nie tak dawno mijala Żegotę. Bez słowa podszedł ku karczmie i już drzwi zamierzał otwierać, kiedy z tyłu rzucił jeden z chłopów:

– Nie radzę wam wchodzić! Pany jakieś zajechały i wszystkim precz z karczmy wyjść kazały!

Nadolski się obrócił.

– A to czemu? Tyle ich, że całą karczmę zajęli?



– Nieee... – odparł przeciągle chłop i brudnymi palcami przeczesał skudłone włosy na piersiach – ale powiadają, że z chamami biesiadować nie zamierają. Łatwo po grzbiecie wziąć, bo młody pan Kruszewski z nimi...

– Kruszewski? – Żegota odsunął kaptur i uniósł brwi. – A któż to taki?

Widok jego twarzy widać zrobił na chłopach wrażenie, gdyż cofnęli się naraz, a jeden przeżegnał nawet, mrużąc pod nosem słowa nabożne. Ten, co mówił z Żegotą, na wszelki wypadek zdjął czapę i ścisnął ją w dłoniach.

– A panie... Znany jest pan Kruszewski w okolicy. Lepiej mu w drogę nie włązić.

– To i nie zamierzam! – burknął Nadolski i obrócił się do drzwi. Pchnął je lekko, a te ustąpiły ze skrzypnięciem.

Ze środka dobiegły go głosy rozmów i dziewczęcy śmiech. Wchodząc, pochylił głowę, by nie uderzyć w nadproże.

W izbie panował zaduch. Łojowe kaganki dawały mało światła, a w powietrzu unosiły się smugi dymu z paleniska. Na lewo, przy ciężkim stole, siedziała nad dzbanami wina wesoła kompania, która naraz zamilkła. Nie oglądając się na nich, Żegota podszedł do pustego stołu w kącie i odłożywszy zawiniątko z szablą, usiadł. Wtenczas dopiero podniósł wzrok i popatrzył na biesiadników. W półmroku nie widział ich zbyt dobrze, lecz od razu rozpoznał wśród nich czarnowąsęgo, który go z traktu zegnał. Przy stole, prócz niego, było jeszcze paru szlachciców w różnym wieku, ale w centralnym punkcie usadowiły się dwie nieznanne panny. Mało co widoczne, jedna z włosami czarnymi, druga zaś jasnowłosa. Żegota odgarnął siwą czuprynę znad czoła i oparł się o ścianę. Nie czekał długo, jak podbiegł ku niemu zgięty wpół Żyd, widać karczmarz, i unikając wzroku nieproszonego gościa, wyszeptał:

– Miejsc w karczmie nie ma, jasny panie... Jutro... Sam pan widzisz... – Ręką zamiótł do tyłu. – Darujcie, panie, ale państwo sobie nie życzą...

Żegota bez słowa sięgnął za pazuchę i wydobył stamtąd złotą monetę. Oczy Żyda zaświeciły się, a przez twarz przebiegł grymas rozterki. Chwila minęła, nim westchnął z rezygnacją i głową pokręcił.

– Darujcie, panie... Pan Kruszewski z pannami nijakiej kompanii nie chcą...

Nadolski skinął głową, jakby rozumiał, lecz nie ruszył się z miejsca. Znów sięgnął za pazuchę, a oczy karczmarza zapłonęły, licząc widać na dubeltową propozycję. Srodze się jednak rozczarował, gdy na stole, w ciemnym kącie, z łoskotem położył Żegota ciężki pistolet kołowy. Żyd bezradnie rozejrzał się wokół. Z niezrozumiałym jęknięciem skłonił się kilka razy nisko i cofnął. Aż zadrżał, gdy trafił na opór. Za nim stał młody panek w czerwonym kontuszu. Spoglądał groźnie na Żegotę i podkreślał wąsa. Karczmarz nad wyraz żywo obrócił się na pięcie i pomknął do kuchni, dysząc cienko pod nosem:

– Aj waj! Po cóż takie rzeczy? Po cóż?

Czarnowąsy dłuższą chwilę mierzył wzrokiem Nadolskiego. Za nim w milczeniu ustawili się inni biesiadnicy. Młodzieniec odpiął w końcu od pasa nahajkę i z wolna jął ją rozwijać. Cedził przy tym przez zęby:

– Nie rozumieją, chamy, jak po dobroci...

Żegota, nie wstając, przesunął pistolet bliżej światła, tak że nareszcie widoczny stał się dla stojącego naprzeciw. Ten przerwał zabawę z batogiem. Zdziwienie odbiło się w jego oczach. Był jednak w towarzystwie, nijak więc było mu teraz się wycofać, tym bardziej że za nim pojawiła się zaciekawiona czarnowłosa panna. Opuścił więc dłoń z nahajką wzdłuż ciała, aż rzemień dotknął podłogi. Podparł się pod bok lewą ręką i rzucił groźnie:

– Coś ty za jeden?

– Szlachcic – mruknął Żegota. Twarz dłonią przetarł i dodał: – Zwady nie szukam! Posilę się, w lada jakim kącie położę, a nad ranem pójdę swoją drogą.

Czarnowłosa panna zachichotała i posunąwszy się ku młodzikowi w czerwonym kontuszu, szepnęła mu coś do ucha. Ten skrzywił się w złym uśmiešku. Tymczasem dziewczyna okręciła się wokół, błyskając białymi ząbkami. Była śliczna, Nadolski musiał to przyznać. Zgrabna, wcięta w talii, z twarzą bladą i gładką. Z oczami jak dwa rozżarzone węgle. Myśl o tym przerwał mu głos stojącego naprzeciw:

– Czyś ty szlachcic, czy nie, diabeł jeden wie! Znamy tu takich, co do herbu się przyznają, a ojcowie ich bydłeta pasali! Na chama mi wyglądasz albo i z gęby na zbójnika jakiegoś!

Żegota oparł ręce o stół. Westchnął i pokręcił głową. Po czym powtórzył:

– Zwady, waszmość, nie szukam.

Sięgnął dłonią do zawiniątka i powoli odwiązał rzemienie. Z brzękiem ułożył przed sobą husarską szablę, co niejedno już z nim przeszła.

– Zwady nie szukasz, ale pistolet i szablę na stół wykładasz! – Młodzik zrobił krok naprzód. – A jakieś szlachcic, to jak twoje nazwisko?! I skąd rodem?!

Nadolski uniósł wzrok.

– Pierwej samemu trzeba się przedstawić, nim się kogo o nazwisko pyta!

Brunet skrzywił się i zadrgał mu nahaj w dłoni. Widać było, iż sprężył się w sobie i pewnie byłby ruszył, gdyby nie pistolet dzielący go od Żegoty. Zapadła grobowa cisza. Przerwała ją druga z panien, która wyszła z tyłu. Nie była już młodką. Szło jej może i na dwadzieścia pięć lat. Z twarzy poważna, o rysach znamionujących charakter. Ubrana skromniej niż towarzyszka, lecz równie zgrabna, a może i z kształtu powabniejsza, gdyż bardziej krągłościami obdarzona.

– To pan Andrzej Kruszewski herbu Abdank. U wuja mojego, Stanisława Dereśniaka z Rokietnicy<sup>[6]</sup>, na służbie. A waćpan?

Siedzący za stołem uniósł się i skłonił z wolna, nie odrywając wzroku od panny.

– Jestem Żegota Nadolski, herbu Bojno. Z Wygnanki.

Jasnowłosa pochyliła głowę i lekko się uśmiechnęła.

– Tedy sprawa jasna. – Obróciła się do Kruszewskiego. – Siądźmy, panie Andrzeju, i dajmy spokój panu Nadolskiemu, bo w niczym przecież nam jego obecność nie przeszkadza.

Młodzik się zawahał. Już unosił rękę, jakby chcąc bat znów do pasa przytroczyć, kiedy brunetka wtrąciła gwałtownie:

– Wolnego, siostrzyczko! Może i dla ciebie jasna, ale ten tam... – machnęła

ręką w kierunku Żegoty – ...obraził pana Andrzeja, czego przecie płazem puścić nie można!

Blondynka uniosła w zdziwieniu błękitne oczy. Zbladła nieco, pytając:

– A czymże to obraził, Anusiu? W niczym panu Andrzejowi nie uchybił!

Młodsza z sióstr odsłoniła zęby w złym uśmiechu. Znów okręciła się wokół Kruszewskiego, zerkając zalotnie, i syknęła:

– A może sam pan Andrzej powie, Agnieszko? Obraził li go ten szlachetka czy nie?

Kruszewski przygryzł wąsa i spojrzał spode łba na Nadolskiego. Jasnowłosa rzuciła siostrze gniewne spojrzenie.

– Dość! – krzyknęła. – Nie byłby nasz wuj kontent, że w jakoweś awantury się pan wdajesz, panie Andrzeju, wioząc nas do niego!

– Hola! – Anusia stanęła naprzeciw siostry. – Toć nie pan Andrzej sporów szuka! Przecie nakazał, by w karczmie prócz nas nikogo nie było! A w drodze, jako że my jego opiece powierzone, jego słowo to jakby słowo wuja naszego. Jakby miał przed wujem stanąć i powiedzieć, że byle szarak jego słowo ma za nic?

Zatrząśł się w gniewie Nadolski, bo choć pokutę odbywał, to przecież krew miał szlachecką. A tu panna, ledwie co od ziemi odrosła, miała bezczelnie szarakiem go nazwać? Majątek jego nie był wielki. Całkiem mały po prawdzie. Ale własny! Folwark po ojcach i dziadach! Błysnął mu gniew w szarych ślepiach. Wtenczas spojrzał na starszą z sióstr, a w jej źrenicach dostrzegł blask, taki sam jak miała jego Zośka. I kolor oczu był ten sam. I coś jeszcze, czego nazwać nie potrafił. Rozpłynął się cały gniew, odleciał, a w sercu znów odezwała się smutna tęsknota. Cisza zapadła, a oczy wszystkich spoczęły na czarnowąsim Kruszewskim. Milczeli stojący za nim panowie bracia, sapiąc i ruszając wąsiskami. Spróbowała jeszcze jasnowłosa zapobiec scysji, łapiąc lekko za rękaw kontusza młodzika, lecz ten wolnym ruchem wyjął go z jej dłoni. Wpatrując się w Żegotę, wycedził:

– Obraziłeś mnie waść przed tymi tu oto paniami, więc wyjdźmy na dziedziniec rzecz rozstrzygnąć.

– Panie Andrzeju! – zawołała starsza z sióstr, lecz ten przerwał jej gestem.

– Rację ma panna Anna, że mojej opiece jesteście powierzone. I nie może to być, żeby kto mi się przeciwiał. Gdyby był ów... – wskazał Nadolskiego dłonią dzierżącą nahajkę – ...chłopem, tym bym go przegnał. Ale że szlachcic, tedy po szlachecku mu jego miejsce pokażę!

Brunetka aż klasnęła w dłonie i zatrzepotała rzęsami znad czarnych oczu.

– To ja rozumiem, panie Andrzeju! Pokaż pan miejsce temu szlachetce! Pokaż!

Starsza z panien obróciła ze smutkiem twarz ku Nadolskiemu, jakby jeszcze tam szukając ratunku przed nieuchronną i niepotrzebną zwadą, lecz Żegota powstał powoli i ze spuszczonego wzrokiem sięgał po ciężką szablę. Nie chciał burdy, los jednak nie dawał mu wyboru. Gdy wzrok panny napotkał, z małą wiarą, dla niej bardziej niż dla siebie, mruknął do Kruszewskiego:

– Poniechaj mnie waszmość.

– Pójdźmy! – usłyszał tylko w odpowiedzi.

Otyły, rumiany szlachcic z kompanii Kruszewskiego zawołał w głąb kuchni:

– Hej tam! Żydzie! Dawaj pochodnie na dziedziniec! A żywo!

Westchnął Żegota i gestem wskazał drzwi.

– Chodźmy więc, panie Kruszewski.

– Idź waćpan przodem! – odburknął młodzik.

Nadolski głową pokręcił.

– Sam jestem, więc nijak zza stołu nie wyjdę, nim pan z kompaniją na dziedziniec nie pójdziecie. Nieraz jużem widział, jak kto gorący w łeb od tyłu sieknął, bo podchmielony i w towarzystwie stał. Nie to, żeby ufnosci nie miał... – skrzywił się w nieszczerym grymasie – ...ale, jak to się mówi, strzeżonego Pan Bóg strzeże!

Poczerwieniał Kruszewski i dłonią macał w gniewie rękojeść karabeli.

– Jak śmiesz waćpan...!

Żegota oparł szablę o stół i hardo patrząc na czarnowąsęgo młodzika, rzekł:

– Spokojnie, panie Andrzeju. Tam... – wskazał na dziedziniec – ...mnie pan dostaniesz. Przecie nie ujdę. A jakbym pierwszy poszedł, kto wie, może bym i czmychnąć chciał przed waszmością?

Szlachcic obrócił się gwałtownie i już miał postąpić krok do wyjścia, kiedy znów powstrzymały go słowa Nadolskiego.

– A towarzyszy swoich zaprzysięgniesz pan, panie Kruszewski, że jeśli bym wygrał, tedy mnie odstąpią i żadnej z nimi sprawy nie będzie. Zgoda?

Mężczyzna w czerwonym kontuszu stanął i powoli odwrócił głowę. W oczach jego było niedowierzenie i błysk jakiś żartobliwy. Nie minęła chwila, jak wybuchnął gromkim i szczerym śmiechem, podchwyconym natychmiast przez resztę towarzyszy i brunetkę. Tylko panna Agnieszka usta zacisnęła i stała, ze smutkiem patrząc na Żegotę. Zrobił Kruszewski krok ku stołowi, za którym był Nadolski, i dłonią otwartą w blat uderzył.

– A toś mnie waszmość rozbawił! Dawnom krotochwili większej nie słyszał... – Przerwał, szczerząc zęby w złośliwym uśmiechu. – A zaprzysięgnę, jeśli waść chcesz! Tutaj? Teraz?

Odwrócił się do sapiących z radości kamratów, aż poczerwieniałych ze zduszonego na chwilę śmiechu.

– Przysięgacie waćpanowie, że jeśli bym pan Żegota Nadolski herbu Bojno w pojedynku położył, nijakiej krzywdy ni zniewagi od was nie zazna?

– Uniósł jak krzyż szablę ujętą pod jelcem.

– Przysięgamy! – odezwały się nierówno przerywane chichotem głosy.

– Przysięgacie, że będzie mógł swobodnym odejść i nikt pretensji żadnych przeciw niemu nie będzie żywił?

– Przysięgamy!

– Na Boga i Święty Krzyż przysięgacie?

– Na Boga i Święty Krzyż!

Obrócił się Kruszewski twarzą do Żegoty, pochylił, opierając się o stół,

i zapytał:

– Kontent jesteś waćpan?

Nadolski potwierdził lekkim skinieniem głowy.

– Tedy chodźmy! – Usta młodzika nagle ściągnęły się w linie, a on, wyprostowawszy się, żywym krokiem poszedł do wyjścia.

Na dziedzińcu przed karczmą rozstawiali się już pacholcy z pochodniami. Mżawka siąpiła z nieba. Zaciekawieni chłopci ustawili się w tyle, zerkając, co też panom do głów przyszło. Zanosilo się na nielicze widowisko.

Kruszewski ściągnął kontusz i żupan, zostając tylko w białej koszuli, która szybko zwilgotniała, przylepiając się do muskularnego ciała. Kazał podać sobie cięższą od karabeli ordynkę z krótkim jalcem. Teraz zamachnął się nią kilkakroć z widoczną wprawą. Żegota powoli zdjął wierzchnie okrycie. Rozdziewając się, mruknął:

– Buty sobie waćpan ubłocisz. Może wolisz zaczekać, aż siąpić przestanie?

– O buty się, panie Nadolski, nie martw! – odkrzyknął młodzik. – Zaraz je o waszmości trupa otrę!

Pokiwał głową stary żołnierz, nic nie odpowiadając. Wyjął swą czarną szablę, przejechał dłonią po zastawie i brzuścu aż do młotka. Rozejrzał się, wzrokiem szukając jasnowłosej. Stała pod gankiem osłonięta od deszczu i oczy spuściła. Gdy je uniosła i spotkał jej wzrok, uśmiechnął się do niej nieznacznie swymi kalekimi ustami i uklonił. Nijak na gest ten nie odpowiedziała, tylko na nowo oczy spuściła. Wbił Żegota koniec szabli w ziemię. Wilgoć skleiła mu siwe włosy, przeto ujął je w garść i spiął rzemieniem w tyle głowy. Kruszewski stanął w pozycji, wyczekując. Wokół płonęły zduszane deszczem pochodnie, a pacholcy i reszta panów braci rozstawieni w okrąg patrzyli w milczeniu. Nadolski w końcu uniósł broń, przetaił ubłoczone pióro i stanął na wprost przeciwnika.

– Jesteś waszmość gotów? – zapytał Kruszewski.

Żegota skinął głową. I zaczęło się.

Uniesione nad głowami szable, błyskając, co chwila zderzały się w krzyżowej walce. Zdawać by się mogło, że to odbity w nich ogień, a nie

żelazo uderza o siebie. Młodzik, ufny w swe umiejętności, ciął z doskoku z lewa i prawa, lecz ostrze jego nijak nie mogło dosięgnąć stojącego w miejscu przeciwnika. To, co najpierw brał Kruszewski za fart jakiś, nagle okazywało się wyuczoną umiejętnością. Gdy próbował z dołu, ostrze ordynki zsuwało się po zastawie. Odwracając cięcie, przechodził na górę, lecz albo trafiał w pustkę, albo brzęk metalu oznajmiał nieskuteczność ciosu. Przyciął z obrotu, na płask, ale ordynka świsnęła jeno, a Nadolski, doganiając jej bieg zastawą, od spodu podniósł ją i obrócił. Odskoczył młodzik i zakręcił dwa młyńce w powietrzu. Siwowłosy stał w bezruchu z bronią uniesioną nad głową. Pojęli widzowie, że nie będzie z nim sprawa łatwa. To, co dobre było na szlacheckich sejmikach i podczas zajazdów, mało było na niego. Skupił się tedy Kruszewski i ostrożniej już przeciwnika zaczął macać krótkimi cięciami. Te jednak były jak padający deszcz, który żadnej krzywdy uczynić nie mógł. Żegota, odsuwając kolejne uderzenie, spokojnym głosem zaproponował:

– Poniechaj waszmość. Dość będzie. Ja krwi przelewać nie chcę.

Młodzik wyszczerzył zęby w wilczym grymasie, sycząc:

– Nigdy!

– Wedle woli waćpana. – Nadolski naraz przesunął się, a górne cięcie Kruszewskiego spłynęło w dół w pustkę, gdzie stał przed chwilą przeciwnik.

Młodzik zachwiał się, lecz odskoczył natychmiast, zastawiając się odruchowo od góry. Ale nie było tam szabli Nadolskiego. Ten bowiem z twarzą spokojną, jakby paradę odbywał, a nie o życie walczył, skierował sztych do Kruszewskiego. I zaczął.

Kiedy Żegota zatańczył, znać już było, że czarnowąsy sprostać mu nie może. Szmer przeszedł wśród jego towarzyszy, a kilku dłonie położyło już na rękonościach. Zobaczył to kątem oka Nadolski i tak ruch skierował, że odbiwszy szablę młodzika, świsnął swoją husarką tuż przed wąsami najbardziej zapalczywych. Odsunęli się w tył gwałtownie, a dłonie na powrót osunęły się wzdłuż spodni. Dyszał już zmęczony pan Andrzej, tymczasem trudów walki nie znać było po, starszym przecież, Nadolskim. Kruszewski postanowił wyteńczyć w ostatnim wysiłku całe swe umiejętności, zwieść



przeciwnika i sposobem sobie tylko znanym walkę zakończyć. Doskoczył gwałtownie, przyciął z góry, spodziewając się zastawy, potem szablę zawrócił i poprowadził od dołu, gwałtownie przerywając ruch w połowie, kiedy to skoczył całym ciałem w przód, pchnięciem w korpus chcąc dosięgnąć Żegoty. W ułamku sekundy pojął, że trafił w pustkę, zostawiając odsłonięte cały bok, ramiona, plecy i głowę. Chciał się obrócić, na ziemię paść nawet i przetoczyć, ale było za późno. Nadolski zszedł w lewo i cięciem z góry prowadził szablę wprost na potylicę młodego. Krzyk wydarł się z ust czarnowłosej, krótki, rozpaczliwy. W ostatnim momencie Żegota szablę na płask obrócił i huknął tak w odsłoniętą głowę, którą mógłby odciąć jak makówkę, gdyby nie ten nikły ruch nadgarstka. Kruszewski padł w błoto, a spomiędzy jego mokrych włosów buchnęła krew. Ruszyli panowie bracia ze szmerem do niego. Żegota odsunął się kilka kroków i szablą zamachnął.

– Spokój! Przysięgaliście!

Panna Anusia, nie bacząc na brud i błoto, dopadła do leżącego i twarz mu w górę odwróciła.

– Żyje! Żyje! – zawołała, czym sprawiła, że podbiegli resztą kompanii szlachcice i cucić nieszczęśnika zaczęli.

W chwilę zabrali bezwładnego i ponieśli do karczmy. Rzucili przy tym w pooraną bliznami twarz siwowłosego zwycięzcy nienawistne spojrzenia, a pod nosami mamrotali ciche przekleństwa. Nikt jednak nie odważył się głośniej znieważyc go grubszym słowem ani wyzwąć dla pomsty za pokonanego.

Żegota stał w deszczu z opuszczoną szablą. Zdawało się, iż gdy zniknęli niosący rannego, nikt na niego uwagi nie zwraca. Nawet pacholcy z pochodniami co prędzej odchodzili, kryjąc się przed wilgocią. Otarł więc głownię, nosem pociągnął i zarzucił na siebie odzienie. Wolnym krokiem, wzdłuż ciągnących się kropli krwi, skierował do drzwi gospody.

Przed gankiem stała, zdałoby się, że czekając na niego, starsza z panien. Bez słowa skinął jej głową, chcąc ominąć. Ta jednak zatrzymała go, mówiąc:

– Dziękuję waszmości.

Nadolski wzruszył ramionami.

– Za cóż to mi waćpanna dziękujesz? Żem mu łeb rozbił?

– Za to, żeś życie pana Andrzeja oszczędził... – Przerwała na chwilę i uniosła błękitne oczy.

Znów zadrżała dusza Nadolskiego, tak jakby w oczy Zośki zaglądał. A panna ledwie co głośniejszą od szeptu mówiła:

– Nie jest to zły człowiek. Młody, to i zapalczywy. Wybaczcie mu, panie, i... i mojej siostrze wybaczcie.

Nic nie odrzekł Żegota. Pokiwał tylko głową. Już się chciał odwrócić ku drzwiom, gdy dziewczyna dodała:

– Wdzięczność masz pan moją, a wujowi rzeknę prawdę, jak się sprawa miała.

– Zobowiązany jestem waćpannie. – Nadolski skłonił się sztywno.

Cisza niezręczna zapadła, więc siwy żołnierz spuścił wzrok i pochylając głowę, wszedł do karczmy. A tam ruch i gwar już panowały. Żyd wodę gorącą podawał do przemycia rany. Panna Anusia zawodziła nad leżącym na stole Kruszewskim, który widać dopiero co oczy otworzył, bo patrzył wokół nieprzytomnie. Pachołek szarpie i bandażę szykował, ponaglany krzykiem przez jednego ze szlachciców. W tyle sługa naprędce zagniatał chleb z pajęczyną. Nikt nawet oczu nie obrócił, kiedy Żegota ponownie za stołem w kącie zasiadł. Jedna ze służebnych podała mu w milczeniu jadło i piwo. Niespiesznie zabrał się do posiłku, nie unosząc głowy, jakby sprawy z Kruszewskim w ogóle go nie zajmowały. Zdziwił się więc, gdy rumiany szlachcic ze świty pańien zasiadł naprzeciw niego. Jegomość ten chrząknął znacząco, by zwrócić na siebie uwagę. Nadolski westchnął i otarł tłuste dłonie w spodnie. Gdy to uczynił, uniósł pytające spojrzenie.

– Czego waszmość sobie życzysz? Masz jakiś rankor do mnie?

– Jestem Wawrzyniec Sulatycki, u dobrodzieja, pana Dereśniaka, rękodajny<sup>[Z]</sup> – odparł szlachetka i podkreślił wąsy, jakby tym dodając powagi imieniu.

– Czołem, panie Sulatycki. – Nic zachęcającego do rozmowy nie było w głosie Żegoty. Nie zraziło to jednak starszego szlachcica.

Zdjął czapę i przyglądał resztki zmierzwionych włosów. Sapnął dwakroć, uderzył dłońmi po udach.

– Toś waść pana Kruszewskiego urządził... I to w drodze, kiedy mu w opiekę panny Wierzbowskie, starościarki szadkowskie, jegomość pan Dereśniak powierzył. Oj, nie będzie wuj panien kontent z takiej opieki! A powiadali, że pan Kruszewski to i Dydyńskiemu by sprostał!

Łypnął znacząco spod opuszczonego czoła i ponownie wąs podkręcił.

– Mistrz z waszmości! Rzecz niebywała, żeby takiego statystę jak pan Kruszewski położyć!

Nadolski wzruszył ramionami.

– A gdzieś się waszmość tak szablą wyuczył? – Szlachcic zmrużył oczy.

Były wodniste i bladoniebieskie, tchnące dobroduszością bardziej niż podstępem. Nalana twarz znamionowała skłonność do obżarstwa, rumieńce zaś wziąć się musiały z zamięłowania do trunków. Żegota uniósł do ust kęs mięsa i nim ugryzł, rzucił krótko:

– Na wojnie.

– Toś waszmość żołnierz? – podchwycił Sulatycki.

– Byłem.

Szlachcic pokiwał głową i zerknął chytrze.

– A waćpan, panie Nadolski, to z tych stron chyba? Mówiłeś z Wygnanki?

– Mhmm... – mruknął Żegota z pełnymi ustami.

– Znałem ja jednego Nadolskiego. Jan mu było. Będzie ze dwadzieścia kilka років temu. U podkomorzego Piotra Bala służył. Jak Rosińscy pana Kroguleckiego w Teleśnicy zabili, to razem z nim Jerzego Rosińskiego żeśmy ścigali. Dzielny był szlachcic i charakterny!

– To był dziada mojego brat.

– Toś waszmość z folwarku wedle Nadolan?

Żegota odłożył jedzenie i dłonie oparł o stół. Potem trzykrotnie skinął głową, zostając na koniec z brodą zwieszoną na piersi. Szlachcic zmieszał się dziwnie i głową pokręcił.

– Do domu waszmość wracasz? – upewnił się.

– Wracam – przytaknął Nadolski.

Sulatycki wychylił się nad stołem, jakby już miał coś rzec, ale nagle cofnął głowę i machnął ręką. Żegocie podejrzany wydał się ten ruch nagły, zapytał więc:

– Chcesz mi waćpan coś oznajmić?

Otyły wąsacz pokręcił głową i znów machnął dłonią.

– Nic, waszmość Nadolski. Nic.

Żegota zmrużył oczy. Zmieszał się jeszcze bardziej Sulatycki i wstając gwałtownie od stołu, mruknął cicho:

– Sam waszmość zobaczysz...

Nie czekając odpowiedzi, odwrócił się, nim Nadolski zdołał go zatrzymać. Krokiem nad wyraz żwawym odszedł ku swoim współtowarzyszom. Siwowłosy pokręcił głową i zabrał się na nowo do posiłku. Obojętne mu były niejasne słowa Sulatyckiego. Bo i cóż spodziewał się zastać w Nadolanach? Zgliszcza i ruinę. A o tym, jak mniemał, chciał mu wyrzec stary szlachcic. Nie bał się tego Nadolski. Sam był jakby na wpół trupem. Zatem tym bardziej opustoszałe dziedzictwo było mu miejscem przeznaczenia.

Niezaczepiany już, przenocował na słomie w komórce, a rankiem, skoro świt, niezegnany przez nikogo poszedł swoją drogą.

## ROZDZIAŁ II

### DOM

Wygnanek była częścią Nadolan, która została się Nadolskim, niegdyś panom całej wsi. Należało do niej tylko parę chałup chłopskich i niewiele gruntów. Skurczyło się dziedzictwo po dziadach, utracone w procesach, waśniach i działach. Bardziej z win niż z niewinności przodków. Najpierw były spłaty po śmierci pradziada dla braci, co z majątku wyszli. Ale, jak to w takich sprawach bywa, nikt z podziału zadowolony nie był. Zaczęły się pozwy i protestacje, a na koniec i burdy krwawe. Jeden z braci odstąpił swe prawa Balowi, a ten, korzystając ze swoich hajduków, wyzuł dziada Żegoty ze znacznej części majątności. Na nic zdały się protesty w księgach grodzkich. Na nic pisma i supliki. Tak to została się ojcu Nadolskiego jedynie Wygnanka, która też obciążona należnościami i wciąż zagrożona dochodów prawie żadnych nie wносиła. Przyszło też uposażyć siostrę posagiem, co jeszcze bardziej zubożyło rodzinę.

Dziad Żegoty w Wygnance wybudował dwór modrzewiowy, bardziej do dużej chałupy podobny niż do szlacheckiego domostwa. Zadbął jednak o zbrojne zaopatrzenie, a przy tym obwarował ostrokołami i rowami, by sąsiadów nie kusić do dalszych napaści. Służbę uzbroił i jeśli na czym nie oszczędzał, to na broni. Zakupił hakownice<sup>[8]</sup>, półhaki<sup>[9]</sup>, proch i ołów. Chłopi tym chętniej w obronie stawali, że Nadolscy trzymali pańszczyznę podług statutów z przeszłego wieku, nie łupiąc nadmiernie swoich włościan. I została na koniec rzecz tak, że w Nadolanach osiadł dzierżawca z ramienia pańskiego rodziny Stano, przyjętej do herbu przez Balów, a Wygnanka pozostała Nadolskim.

Ojciec Żegoty dla poratowania majątku poszedł ze Stefanem Potockim na mołdawską wyprawę w 1612 roku. Jak się stało pod Sasowym Rogiem, każdy szlachcic pamiętał. Gospodar Tomza nakazał stracić bojarów, głowy ich ze skóry obdrzeć, słomą wypchać i takie wysłać sułtanowi tureckiemu. Wraz za tym podarkiem poszło czterystu szlachciców polskich, wśród nich

i Maciej Nadolski, ojciec Żegoty. Z niewoli nigdy już nie powrócił. Jak powiadali ludzie, co stamtąd przyszli, umarł w lochu trawiony gorączką i tęsknotą za domem. Zostawił syna młodego, wyrostka ledwie, który objął Wygnankę w posiadanie. Prędko też ożenił się z Zofią Dobrzańską z drobnej szlachty ruskiej z Dobrej pod Sanokiem. Posag i koligacje dopomogły w utrzymaniu folwarku, choć nie obyło się bez gróźb i pozwów o prawa do spadku od ludzi, którzy żadną miarą przecież praw takich nie posiadali. Żył Żegota statecznie, dochowując się dwójki dzieci. Gospodarował mądrze, rozumiejąc, że na niespodziewany gwałt jeno w szabli i w chłopach swoich opiekę mieć może. Choć ubogi, przecie na popis konno i w ryszunku stawał, nie jak niektórzy boso i z kijem w dłoni. Zdałoby się, iż tu dni swoich dożyje, w Wygnance, lecz ambicja i pamięć o dawnych przodków przewagach okazały się silniejsze.

Zostawił dla wojny swoją dziedzinę, powierzywszy opiekę nad nią żonie i jej krewniakom. A teraz wracał do pustki takiej, jakby nic nie posiadał. Nie wiedział też, co zastanie w Wygnance. Jako człowiek wojskowy widział przecie nieraz wsie spalone, opustoszałe. Ale w wyobraźni przywoływał obraz dawny, kiedy całe były jeszcze i dwór modrzewiowy, i chłopskie chałupy. Znał jednak ziemię sanocką, która tyle łatwo ulegała, co podnosiła się na nowo. A przy tym ten, kto nieobecny, tracił. Wszystko stać się mogło. Spoglądał więc Żegota przed siebie, byle dojrzeć czym prędzej stare kąty. Z dała ocenić, co mu z ojcowskiej schedy zostało.

Ominął Nowotaniec, nieciekaw ludzi i wieści tamtejszych. Przeszedł mimo Nadolan, teraz w obce ręce oddanych, i pnąc się nieco w górę, widział na lewo las i wzgórze, a przed sobą błotniste od deszczu pola Wygnanki. W dali stały chałupy chłopskie, a na prawo od nich coś, co kiedyś było jego domem.

Nadolski spuścił głowę i sam zdziwił się wzruszeniu, które nagle przeszło przez jego serce. Bezwiedne łzy przetoczyły się po bruzdach na twarzy. Coś zdławiło mu gardło, że nie mógł nawet słów podziękowania Bogu wypowiedzieć. Dwakroć głęboko westchnął. W milczeniu uczynił znak krzyża i postąpił naprzód. Coraz wyraźniejsze stawały się zarysy jego domostwa. A raczej tego, co po nim zostało. Obwarowań widniały tylko

ślady nieliczne. Ostrokoły dawno się zapadły albo zostały zniszczone przez chłopów, co budulca potrzebowali. Brama otwarta na oścież, już niestrzeżona żadną wieżą. Rów wokół prawie zasypany, wypełniony błotem i wodą deszczową. A za tym pół domu tylko. Cała prawa strona zwalona, poczerniała, opalona. Budynki gospodarskie i gumno<sup>[10]</sup> tak samo na wpół rozbite. Stodoła, pusta i bez wrót, ziała widokiem na przestrzał. Wszystko zdało się martwe i opustoszałe.

Westchnął Żegota i dłonią po twarzy przejechał, by to pozwoliło otrzeźwić myślenie. Dłoń mu drżała. Wszedł przez rozbity bramę w podwórze, a pod stopami zachręściły mu skorupy rozbitych naczyń, rozsypanych dla utwardzenia błota. Drobny deszcz leniwie spływał z nieba, łącząc się w grubsze krople, skapujące z belek, strzechy, resztek obwarowań. Na wprost rozbitymi drzwiami ziała stara kamienna piwnica, od której w lewo ciągnęła się droga ku polom i chłopskim chatom. Przy niej pusty kojec, w którym kiedyś psy myśliwskie trzymano. Za tym ciąg rozbitych budynków, gdzie nigdy były piekarnia, chlewy i mieszkanie dla parobków. W poprzek podwórzec domykała kryta strzechą szopa. Na prawo od niej spichlerz, stajnia i obora. Wszystko w ruinie. Jedyne pochowane w kątach zmokłe kury były śladami życia w tej martwocie. Żegota wpatrywał się smutnym wzrokiem w ten upadek, winiąc się, że nastął za jego przyczyną. Gdyby został wtedy, może i byłoby biednie, może zwyczajnie, ale teraz biegalyby po podwórzu dzieci, w modrzewiowym dworku kręciłaby się Zośka, a on w oczach miałby życie. Nic nie zostało, pomyślał w duchu i westchnął, spuszczać wzrok na błotnistą ziemię pod stopami.

Stałby tak długo może, gdyby nie nagły okrzyk, jaki dobiegł go zza pleców, od strony niezniszczonej części domostwa:

– Czego tu szukasz, psiajucho?! Gdzie włączysz w cudze obejście?!

Nadolski odwrócił się niespiesznie. Przed dworkiem, a raczej jego resztą, stał chudy, żyłasty szlachcic w wyświechtanym żupanie i ścisnął w dłoniach ciężkawy półhak. Włosy wyliniałe i brudne sklejał mu padający deszcz. Wąsy smutno zwieszały się wzdłuż bruzd na jego starej już twarzy. Żegota bez słowa zrobił kilka kroków w jego kierunku. Szlachetka cofnął się

i wymierzył z broni.

– Stój! – krzyknął. Obejrzał się za siebie i nie widząc do kogo zawołał: – Bywaj, Fedko! Dawaj mi tu ludzi!

Potem, nie opuszczając broni, stanął w rozkroku i wpatrzył się w twarz Żegoty.

– Czego tu szukasz? Skąd ty?

Nadolski otarł wilgotne ręce o spodnie. Milczał dłuższą chwilę, nim rzucił:

– Stąd jestem. Z Wygnanki.

– Z Wygnanki powiadasz? – Szlachcic skrzywił wąskie wargi w złośliwym grymasie. – A jak cię zwą?

Żegota nie odpowiedział. Patrzył martwym, zimnym wzrokiem na nieznanego, domyślając się, że zajął jego ziemię nie wiadomo z czyjej łaski i jakim prawem. Niczym to niezwykłym nie było. Natura nie uznawała pustki. Gdy jedni tracili, drudzy wznosili się ich kosztem.

Stałby tak Nadolski nie wiedzieć ile, gdyby z za węgła nie wyszedł okryty kozuchem chłop wzrostu bardziej niż słusznego. Spod baraniej papacy niewiele widać było jego twarzy. On jednak dobrze mógł dostrzec oblicze Żegoty. Wolnym, jakby bezwiednym ruchem ściągnął czapę i przeżegnał się sękatym łapskiem.

– Na Boga żywego! – wymamrotał. – Toż to pan Nadolski...

Nie bacząc na błoto, upadł na kolana. Chudy szlachcic zatrzęsł się nerwowo.

– Wstawaj, chamie! We łbie rozum ci odjęło?! Mówiłem, że Nadolski nie żyje! Jeszcze pięć років temu wieści przyszły!

Chłop jednak nie zważał na rzucane ku niemu słowa, patrząc w oblicze dawnego pana. Ten zaś otarł twarz dłonią i nakazał:

– Wstań, Fedko. Na swoje wróciłem. Do domu...

Już chciał postąpić do klęczącego olbrzyma, lecz szlachcic z półhakiem oparł się o ścianę i warknął:

– Wolnego, panie Nadolski, czy jak cię tam zowią! Bóg jeden wie, coś ty



za jeden! – Ruchem głowy wskazał na wieśniaka. – To, że ten mówi, żeś Nadolski, za nic mi! We łbie mu się pomieszało po przejściu Kantymira! Każdy jeden to wie!

Chłop wstał niepewnie i mnąc w dłoniach nakrycie głowy, spoglądał błędnie to na Żegotę, to na chudego szlachetkę. Ten rzucił niecierpliwie:

– Dalej! Kazałem ci ludzi zawołać! A wziąć tam co trzeba i jest pod ręką! Bóg jeden wie, co to za przybłęda!

Fedko pokiwał głową i ciężkim krokiem wszedł za węgiel dworu. Szlachcic zaś, nie opuszczając pistoletu, syknął do Nadolskiego:

– Ja tu teraz pan! Na dzierżawie w majątku chorążego sanockiego Jerzego Stano, którego to własność! Zbieraj się stąd, pókim dobry, a jak nie, to cię chłopom przepędzić każę!

Żegota się nie poruszył. Znał takich, jak ów szlachcic mierzący do niego z broni. Tchórzliwych, którzy pozorem agresji tłumili w sobie strach. Widział go w oczach żylastego dzierżawcy. Jedno, co umiał zrobić szlachetka, to chłopów zawołać, by ich rękami swojej władzy dowodzić. A tych Nadolski się nie bał.

Minęły ze dwa pacierze, jak z za domu wyłaniać się poczęli obdarci włościanie. W dłoniach ściskali widły, cepy, kije. Lecz co który dostrzegwał Żegotę, opuszczał tę broń ku ziemi, a niejeden przy tym znak krzyża czynił. Szmer się rozszedł pomiędzy nimi. Narastał z każdą chwilą, a w nim powtarzało się co rusz nazwisko Żegoty. Szlachetka usłyszał je widać, co wzmogło targającą go niepewność, gdyż krzyknął:

– Na co czekacie!? Pognać mi go! Bo jak nie, to i z wami się porachuję!

Nikt jednak nie usłuchał wezwania. Stali tak naprzeciw prawowitego gospodarza, jakby nie wierząc, że ten żywy przed nimi się objawił. Mierzyli go wzrokiem nieufni, czy są świadkami cudu, czy jakowejś sztuczki diabelskiej. Na czele był Fedko z twarzą prostą i szczerą, dziecinną niby, nijak nieprzystającą do jego olbrzymiej postury. Dzierżawca, widząc, że w chwili tej waży się los jego na tej ziemi, ścisnął mocniej półhak i cedząc:

– A żeby cię... – już zamierzał za spust pociągnąć. Nie zdołał. Wielka jak

bochen chleba łapa chwyciła mu przedramię i ścisnęła niczym źdźbło trawy. Coś chrupnęło, a broń z plaśnięciem opadła w błoto.

– Ty chamie! – zawył szlachetka i już miał lewicą odwinąć w twarz Fedka, lecz gdy spotkał wzrok Nadolskiego, opuścił bezwładnie rękę.

Chłop puścił i odsunął się od dzierzawcy. Nadolski podszedł wolno. Podniósł brudną od ziemi broń. Szlachcic skulił się, sądząc, że teraz Żegota zechce zrobić z niej użytek. Omylił się jednak. Prawowity dziedzic Wygnanki stanął przed nim i głosem spokojnym, martwym, nakazał:

– Nie wiem, coś za jeden i skąd. Ale na mojej ziemi siedzisz. Bierz tedy, co tam twoje, i wynoś się, skądś przyszedł. I nigdy nie wracaj.

Chudy szlachcic, ściskając zgniecioną prawicę, żywo obrócił się na pięcie i skoczył do tyłu. Odprowadzało go milczenie zgromadzonych włościan. Żegota postąpił za nim. Dierzawca dopadł do drzwi w niezniszczonej części dworku. Krótco był w środku. Przewiesił przez ramię jakieś sakwy, zgarnął i za pazuchę wcisnął papiery z drewnianej skrzyni. Gdy to czynił, Żegota przez otwarte drzwi spoglądał na niego tak, by nic niemądrego do głowy mu nie przyszło. Wypadł na zewnątrz, obrzucił Nadolskiego złym wzrokiem i ruszył ku stajni. Jeden z chłopów już siodłał mu konia, bardziej by szybciej odjechał niż z życzliwości, czemu dał wyraz, mocno klepiąc wierzchowca w zad, gdy szlachetka wgramolił się na siodło. Chudzielec, siedząc w kulbace, widać poczuł się bezpieczniejszy, bo odjechawszy kilka kroków, przekreślił konia i warknął przez ściśnięte wargi:

– Jakem Trofan Sulatycki, wróć tu! Nie daruję zniewagi! A ty, przybłądo, jeszcze będziesz błagał mnie o litość...

Dalszą tyradę przerwał wystrzał z półhaka, którego lufę Żegota wzniosł w powietrze. Dierzawca gwałtownie pochylił się w siodle, przebiegł wokół błędnym wzrokiem i, już nieskory do dalszych wywodów ani gróźb, pognął konia drogą na Nowotaniec. Odprowadzały go splunięcia i ciche przekleństwa chłopów. Żegota nie zwrócił na nie uwagi. Obrócił się i podszedł do resztek domostwa.

Deszcz ucichł. Mokre belki, poczerniałe od starości, jakże inne były od tych pamiętanych. Niby te same, lecz jak i Żegota życiem utrudzone,

nieczekające nawet na jakiś cud odrodzenia. Nadolski dotknął ich ręką jak kogoś bliskiego. Najbliższego teraz, bo jedyne. Włóścianie stali w kupie za jego plecami, nie ważąc się wypowiedzieć słowa. Szlachcic, przesuając dłonią po ścianie, podszedł do drzwi. Nie było to stare wejście, które zwały się z resztą drugiej części dworu. Wycięto je później, prowadziło bezpośrednio do pokoi, gdzie kiedyś mieszkały dzieci, mieściły się skarbczyk i kredens. Tylko te pomieszczenia ocalały.

Schylił głowę i otworzył skrzypiące drzwi. Wszedł do tonącej w półmroku izby, w której kiedyś stały łóżeczka Michałka i Marysi. Nic nie zostało po ich bytności. Pod ścianą stało byle jakie łóżko, nad którym zwisał obojętny krucyfiks. Otwarta skrzynia, z której Sulatycki zabrał dokumenty, stół z resztkami posiłku i glinianym dzbanem taniego wina. W kącie walały się jakieś szmaty, drzwi do skarbczyka były wybite. Wiało pustką i biedą. Żegota pomyślał, że Wygnanka została, jaka była. Uboga i niewdzięczna, bo nijak pojąć nie mógł, jak dzierżawca, siedząc na miejscu, żadnych udogodnień nie poczynił. Choćby uprzątnięcia ruiny, naprawy cieknącej powały, opatrzenia gospodarki. Otrząsnął się z tych myśli. Oto stał w miejscu, które nadano mu w dziedzictwo, a teraz miało być jego pokutą. On musiał dźwignąć swój dom. Może i dobrze, że Sulatycki zostawił wszystko, jak było. Jakby dopiero niedawno przeszedł Kantymir, odciskając swój krwawy ślad. Więcej będzie z tym pracy, mniej myślenia i wspomnień. W trudzie łatwiej będzie o ukojenie.

Żegota spojrzał na miejsce, gdzie stały dziecinne posłania. Łza zakręciła mu się w oku. Gdyby czas odwrócić, innym byłby ojcem. Składał wszystko na barki Zośki. Dzieci bardziej mu utrapieniem były niż radością. Chwalił się nimi krewnym i sąsiadom, bo przecie męska to rzecz mieć dziedzica, lecz ręki do trudów rodzicielskich nie przykładał. To Zośka dnie i noce tu spędzała przy malutkich. Ona, nawet na gniew jego nie zważając, nocą wykradała się z łoża, by wtulić się w śpiące drobiny i do rana tu pozostawać. To ona im śpiewała w wieczory, karmiła, w chorobie ziołami poiła, w ciepłe dni, siedząc na podłodze, bawiła się z nimi. To ona wiązała czerwone nitki od zaklęć i uroków, złe modlitwą odganiała. I nie odgoniła!

Usiadł Żegota za stołem i wsparł głowę na rękach. Dojmujący, aż do trzewi bolesny, był ten jego powrót do domu. Jakby nagle z sił opadł i na grzbiet ze dwadzieścia kolejnych lat dorzucił. Poczł zwątpienie i ponowiła się myśl natrętna o śmierci. Bo i po cóż to wszystko? Komu ma dwór odbudować? Dla kogo ręce pracą utrudzić? W duchu modlić się zaczął, by myśl złą jak najdalej odrzucić. Bezwiedna była ta modlitwa, gdy w głowie przywoływał zamglone już obrazy żony i dzieci. Mieszały się słowa z obrazami dni przeszłych, bardziej zielonych i słonecznych teraz niż wówczas. Oto był jego raj utracony, wtenczas niedoceniany, teraz już martwy i odległy.

Wyrwało go z rozmyślań skrzypnięcie drzwi i grube chrząknięcie. Uniósł głowę, by zobaczyć stojącego u wejścia starego Fiodora, co jeszcze dziada Żegoty pamiętał. Chłop zamiótł czapą podłogę w niezgrabnym ukłonie i znów chrząknął, onieśmielony widać pańską obecnością, nie na tyle jednak, by powracającemu po latach spokoju nie zakłócać.

– Czego? – burknął niechętnie Nadolski.

Chłop znów skłonił się kornie, nim odpowiedział:

– Ja, jaśnie panie, wedle tego... Wedle Semka, syna mojego, co w waszą miłością poszedł...

Przerwał, bo głos mu się zdławił. Sądził widać, że skoro pocztowy z panem nie wrócił, to jedno tylko być może wyjaśnienie. Zrozumiał Żegota ojcowski niepokój.

– Semko za dzień lub dwa będzie. Z taborem w tyle został.

Fiodor ukłonił się gwałtownie i pięścią otarł kąt oka. Nie odwracając się, krok w tył uczynił i wymamrotał:

– Bóg zapłać waszej miłości... Bóg zapłać!

Już za próg chciał postąpić, gdy wstrzymał go Nadolski:

– Czekaj! Wejdz tu i drzwi domknij. Rozmówić się chcę z tobą.

Stary głową pokręcił, krok w przód zrobił, czapę w dłoniach ścisnął i spoglądał nierozumnie. Bo i o czymże to pan Żegota z nim mówić chciał? Znał życie dobrze, aby rozumieć, że takie rozmowy z panami mogły nie

wróżyć nic dobrego. Cóż jednak miał uczynić? Kornie więc pochylił głowę i słuchał w milczeniu. Nadolski siedział z czołem wspartym na dłoni. Chwila dobra minęła, nim zapytał nie swoim głosem:

– To tyś... To tyś Semka do mnie z wieściami wtenczas przysłał?

Chłop skinął głową i mocniej dłonie dzierżące baranią czapę do brzucha przycisnął.

– Ja... – zająknął się i nie skończył.

Żegota uniósł głowę i wbił w starego Fiodora ciężkie spojrzenie. Sapnął głośno i nakazał:

– Mów więc, jak było. Wszystko.

– Przecie... Przecie Semko... Przecie mu wszystko rzekłem, żeby jaśnie panu przekazał...

– Mów! – przerwał Żegota warknięciem.

Chłop skulił się i głowę spuścił.

– Przecie pan wie... Przyszli Tatarzy. Nie to, żeby nas zaskoczyli. Mielimy wcześniej wieści, że na Nowotaniec zagon idzie, to my wszystkie w las uciekły... – Spojrzał na milczącego Nadolskiego i dodał szybko: – Pani Zofia z dziećmi takż uszła. Z nami. Ona to skryć się nakazała po lasach.

Szlachcic wyprostował się w krześle i brwi zmarszczył.

– Jakże to więc... Jakże to zginać mogli, skoro wyście żywi ostali?

Fiodor się skrzywił, a w oczach zagrał mu strach.

– My niewinni, jaśnie panie! My niewinni! Poszli my w las. Czerwiec był, to i ciepło. Z góry widać było, jak się w okolicach osady palą. Dwa dni my siedzieli, aż dymy znikać zaczęły. Wtedy to pani Zofia rzekła, że widać Tatarzy odeszli. I mówiła, coby kto poszedł do Wygnanki obaczyć.

– I który poszedł?

Chłop skłonił się nisko. Ręce mu drżały.

– Żaden – wyszeptał bardziej, niż powiedział.

– Żaden?

– A bo strach był, panie! – Fiodor uniósł głowę i rozłożył ręce w geście

usprawiedliwienia. – Wszystkie my mówiły pani, że jeszcze nie pora wracać. Że Tatarzy pewnie po okolicy nadal na jasyr czatują. Albo kupy swawolne, co w takich okazjach Tatarów udając, grabią i mordują.

Zapadła cisza. Nadolski pokiwał z wolna głową. Włosy dłonią przeczesał i w końcu nakazał:

– Dalej mów!

– Dzień trzeci minął. Cisza była. Pożogi wygasły. W lesie ruchu żadnego... Pani rzekła, że wraca doma... Z dziećmi... Mówiłem, jak mi Bóg miły, coby nie szła... Ale odparła, że majętności męża, znaczy jaśnie pana, pilnować obowiązana.

– Majętności pilnować.... – powiedział Żegota i westchnął. Głowę na piersi opuścił i bardziej sobie niż chłopu powtórzył: – Majętności pilnować...

– Tak mi rzekła, jak mi Bóg miły! – podchwycił Fiodor i czapą wskazując na wiszącą krucyfiks, dodał: – Zaprzysiąc się mogę!

Nadolski nawet nie zwrócił uwagi na te słowa. Nie unosząc oczu, mruknął:

– Dalej!

– Nikt pójść nie chciał. Tylko ten Fedko z bratem swoim bliźniakiem rzekli, że z panią pójdą.... Ten wielki, co z matki z Głuchoniemców<sup>[11]</sup> z Pielni.

– Tacyście wy! – Żegota wstał gwałtownie, aż krzesło z hukiem upadło na podłogę. – Chamy! Panią swoją odstąpiliście!

Fiodor cofnął się w strachu i o ścianę oparł. Nic nie powiedział, gdy Nadolski gwałtownym krokiem izbę obszedł i w stół pięścią huknął. Żrenice rozszerzone gniewem wbił w przestraszonego chłopca. Ten rzucił prędko, usprawiedliwiając się:

– Panie! Przecie nieraz tu Tatarzy były! Ile narodu zabrały, Bóg jeden wie! Każdy chciał żyć! A cisza za jedno mogła być na dobre albo i na złe! Przecie my niewinni! Pani sama chciała doma wracać, chociaż prosilim, by jeszcze nie szła!

Żegota pohamował gniew i dłonią do dalszego mówienia zachęcił wylęknionego chłopca.

– No i wsiadła pani na wóz, dzieci zabrała, a Fedko za forysia<sup>[12]</sup> robił. Brat jego, Tymon, za wozem poszedł. Rano to było. Czwartego dnia, jakeśmy ze wsi wyszli.

– Co się potem stało?

– Na piąty dzień... Na piąty dzień Fedko do obozu wrócił. Sam i na piechotę. Cały poraniony. Tedy znać było, że jakoweś nieszczęście zajść musiało.

– Co wam rzekł? – przerwał Nadolski.

– Nic panie... Jak niemowa był, tylko siadł i w przód i w tył się kiwał. Nie był nigdy taki, choć przecie rozumem z bratem swoim Tymonem nie grzeszyli, bo jako rzekłem, z matki z Głuchoniemców, co silne i robotne, ale zmyślnością żadną chwalić się nie mogą. On jak dziecko był, choć wielki jak góra. Kiwał się, a w oczach strach jeno widać było. Brat jego nie wrócił. Tak samo i pani z dziećmi. To wziąłem na następny dzień kilku i lasem podeszli my do Wygnanki, coby zobaczyć, co zaszło...

Przerwał i spękaną od pracy ręką niezgrabnie oczy przetrął. Nie poganiał go Żegota do mówienia, jakby sam bojąc się słów, co za chwilę paść miały.

– Z daleka już widać było, że wieś popalona. Weszli my do tego, co z chałup zostało, a tam wszystko poniszczone. Zwierzęta, co nie zabrali, pobili. Leżały pomiędzy pogorzelskiem. Potem poszli my do dworu...

Fiodor zamilkł i wzrokiem pustym w podłogę spozrzał. Jakby już nie do Nadolskiego mówił, ale sobie opowieść w myśli układał.

– Dom w połowie był spalony. A pani z dziećmi martwi.

– Wszystko mów! – rzucił Żegota. – Dokładnie jak było!

– Kiedy panie... – chłop spozrzał błagalnie –...straszne to rzeczy...

– Mów!

Westchnął i głową pokiwał. Potem zaczął:

– Panią my znaleźli do drzwi stodoły przybitą. Głową w dół, z rękami rozkrzyżowanymi. Nogi i dłonie, jak u Chrystusa, gwoździami grubymi przebite. Całkiem z odzienia obdartą, z brzuchem rozprutym i trzewiami wypuszczonymi...

Nadolski pięści przycisnął do skroni. Nabrzmiały mu żyły, a krew napłynęła do głowy. Nic nie rzekł.

– ...zdjęli my wrota od stodoły i panią Zofię odczepili. Cała była pokaleczona. Widać bronila się do ostatka. Okryli my ciało derką jaką, a potem poszli dzieci szukać. Myślałem, że może Tatarzy w jasyr je wzięli, że życie ocaliły. Ja wiem, że za jedno to, mówią, śmierć czy niewola tatarska. Ale przecie można by szukać. Wykup jaki zgromadzić. Jeńca jakiego na wymianę schwytać... I po latach ludzie wracają przecie...

Westchnął i nabrał powietrza.

– Weszli my w podwórze. I zobaczyłem. Tam, na krzywym jesionie, co wedle stajni stoi... – Ręką niezgrabnie wskazał kierunek. – Wisiały na postronkach za nogi... Gardła jeno miały przerżnięte, jakby kto krew spuszczał... Żadnych ran innych. Ale krwi żadnej pod nimi nie było. Musi w innym miejscu zabite były, a ciała potem powiesili... Świeć, Panie, nad ich duszami... – Głos mu się zdławił i by uciec od straszego obrazu, Fiodor dodał: – Tymona my nigdzie nie znaleźli. Pewnikiem zabrali go Tatarzy...

Spojrzał na Żegotę i przerwał strwożony. Szlachcic drżał na ciele, a twarz miał czerwoną i spotniałą. Rękami nerwowo ścisnął krawędzie stołu, tak że zbieleły mu palce. Chłop zamilkł. Nadolski, nie podnosząc głowy, zapytał:

– A ona... Ona... Pohańbili moją...?

– Pani skrwawiona cała była... Nie wiem, panie... Nie trza o tym myśleć... – Fiodor ręce rozłożył.

Wyprostował się Żegota. Oblicze miał ściągnięte, a w oczach martwość jakąś. Głębszą niż śmierć. Dłonie uniósł znad stołu i potarł o siebie. Z trudem wycharczał:

– Mów dalej!

– Zdjęli my dzieci, razem z panią ułożyli. Gorąc był... Trza było pochować...

– Tak bez księdza? Bez nikogo? – Nadolski wzrok podniósł.

– Panie! Gdzie księdza wtenczas by uświadczył! Wszystko poniszczone! Ludzie uciekli. Kościół i kaplica w Bukowsku spalone. Ksiądz Wesołowski



ubity. Ksiądz Maystroga poraniony, w lipcu Bogu ducha oddał.

– Gdzie...? – szepnął Żegota pytanie, a starzec zrozumiał, o co w nim idzie.

– Na górce. Za dworem. – Ręką machnął niby dla wskazania. – Krzyże brzoźowe stoją. Grobami się opiekujęm...

– Był kto z krewnych mojej... Po tym? Okazanie kto zrobił w grodzie? Cokolwiek?

Fiodor pokręcił głową.

– Nikogo. Miesiąc nie minął, jak ludzie pana Stano przyszli i rzekli, że teraz to jego majątność. Do grodu wnieśli, że jaśnie pan nie żyje, a żonę i dzieci Tatarzy ubili. Tak prawił pan Sulatycki, który tu dzierżawcą ostał rok niecały potem.

– Prędko mnie pochowali... Może to i słusznie... – Szlachcic podszedł do okna z jedną tylko szybą, która nie wiedzieć jakim losu zrządzeniem się ostała. Chłop zaś ciągnął:

– Pan Sulatycki, co było jeszcze z dobytku, do innej swojej majątności wywieźć kazał. Tak samo i to, co zebrał z pól, nie ostawiał tutaj. Nam, chłopom, ciężary podniósł, bywało, że co dzień pańszczyznę przychodziło robić... Na każdy dzień po trzydzieści zagonów pola orać kazał. Panu Stano do powozów dalekich ludzi pożyczął, przymuszając do jazdy po wina na Węgry. Czysze wybierał i po pięć złotych... Nie tak bywało, jak jaśnie pan rządził...

– Nic mi to teraz! – przerwał gwałtownie Nadolski i odwrócił się. – Skąd pewne, że to Tatarzy moich ubili?!

Starzec skulił się, widząc, że niepotrzebnie wylewać począł niewczesne żale. Ręce rozłożył.

– Panie! Wszystko dokoła zagony pohańców spaliły! Ludzi w okolicy mnóstwo pomordowały, jasyr tęgi wzięły, że i całe wsie się wyludniły. Kto by, jak nie oni, takich okrucieństw mógł się dopuścić? Nikt w okolicy nie mówił o jakich kupach swawolnych. Nie było wypadków inszych, co mniemać by inaczej dawały, niż że to ich sprawa... A w obejściach ostały się rzeczy po nich. A to strzały w ubitych bydłach, a to z moderunku jakaś

drobnica... Nie od naszych ludzi to rzeczy były... Przecie my znamy te diable nasienie...

– Ale nikt nie widział?!

Fiodor głową pokręcił i zmierzwił na niej kudły. Sapnął głośno, nie wiedząc, co ma odrzec. W końcu mruknął głucho:

– Fedko... Fedko z panią był. Ale kiedy mowę odzyskał, to nijakiego pożytku z jego mówienia nie było... Do dziś prawi, że diabły panią z dziećmi ubiły. Rozum mu się widać całkiem popsował, choć i do tamtej pory tęgi nie był... – Spojrzał na Żegotę, a widząc, że ten nie przerywa, ciągnął: – Mówi, że jak z panią do dworu doszli, to diabły na koniach przybiegły, a przewodził im sam Lucyfer... Że pani do domu się schroniła z maleńkimi, a on z bratem na podwórku zostali. Schować się nie zdążyli. A potem diabli pazurami na wóz ich powlekli... Do piekła, jak prawi, wozem wzięli. On ujsć cudem jakim zdołał. Prawi, że za sprawą opieki Matki Bożej, która mu się cudownie objawiła, gdy związany na furze leżał. Więzy mu zdjęła, uciekać nakazała. Kiedy nogi miał wolne, w las pobiegł... Mówi, że jak uchodził, to diabli ogniem w niego ciskali. Że bestiami z piekła go szczuli... – Przerwał i wzrok spuścił. – Nijakiego składu w tym nie ma...

– Składu nie ma... – bezwiednie powtórzył Nadolski.

Podszedł do chłopca i spojrzał mu w oczy głęboko. Fiodorowi zadrżało serce, bo w źrenicach pana była czerń studni, na której dnie wszystko czaić się mogło. Spuścił chłopca oczy, nie mogąc wytrzymać wejrzenia. Jakby w obawie, że wzrokiem tym mógłby Żegota odkryć wszystkie sekrety i słowa niewypowiedziane. I dotrzeć do obrazów z tego dnia zapamiętanych, które starzec chciał zrzucić jak najdalej, na spód niepamięci. Stał tak Nadolski nad nim dobry pacierz. W końcu krok w tył postąpiwszy, innym już głosem nakazał:

– Tyś starszy nad chłopami moimi. U dziada mojego jeszcze służyłeś. Mówię ci więc, żebyś nakazał komu jechać dziś jeszcze do braci mojej żony, panów Dobrzańskich, do zaścianka w Dobrej. Niech usłyszą, żem wrócił, i co rychlej tu zjadą. Najlepiej z ludźmi jakimiś, jak mogą. – Odwrócił się i przeszedł chwilę. – Sulatycki pewnie do pana chorążego Stano się udał,

a ten majątności nie odpuści... Pewnie przyjdzie do szabel i rusznic...

– Chryste Panie! – Chłop przeżegnał się trwożliwie.

– Reszta... – ciągnął Żegota – ...z rana, skoro świtanie, ma się stawić, bo porządek we dworze zrobić trzeba i domostwo na wizytę pana Stano przygotować. Jutro powinien Semko z moim Tatarem zajechać. Na wozie mam broni trochę i prochu. Wybierz ludzi zdatnych, którzy strachem nie są podszyci i do oręża sprawni. Tych sam sprawdzę. Pozostali niech szykują, co który tam ma... O swoje walczycie. Pamiętaj! Ja wam statutów nie zmienię i po staremu służyć będziecie, jak za moich dziadów było. Sam rzekłeś, że Sulatycki ciężarami was przygniótł. Więc albo ze mną, albo wam uciekać precz przyjdzie. A z dziećmi i babami sprawa niełatwa. Rozumiesz?

Fiodor skłonił się głęboko, aż czapą zamiótł brudną podłogę.

– Rozumiem, panie!

– Idź więc i powtórz, com nakazał.

Nie odwracając się, starzec cofnął się i odemknął drzwi, za którymi wnet zniknął. Po chwili gwar się na podwórku zrobił. Widać Fiodor powtórzył pańskie rozkazy. Chłopi, mrużąc i wymieniając uwagi, rozeszli się w końcu. Żegota został sam. Na niebie pojawiło się słabe słońce, przeświecało przez nisko stojące chmury. Wiosna próbowała nareszcie objąć świat swoim władaniem, walcząc z resztką wyczerpanej zimy, która poddać się musiała nieuchronnie. Zamyślił się Nadolski. Przypomniał sobie słowa Wawrzyńca Sulatyckiego, który w karczmie o Wygnankę go nagabywał. Zrozumiał przyczynę. Oto siedział na niej w dzierzawie widać jego krewny, Trofan. Wszystko przez lata się odmieniło. Jakby Żegoty już nie było, a ślad po nim zaginać miał na wieki. Jedynym znakiem bytności jego i jego bliskich miały pozostać krzyże na górcie, które też prędzej czy później w próchno by się obróciły.

– *Pulvis es et in pulverem reverteris*<sup>[13]</sup> – szepnął do siebie szlachcic, sumując gorzką myśl.

Zebrał się ciężko i wyszedł przed domostwo. Westchnął, spoglądając tam, gdzie miały być groby jego żony i dzieci. A potem z wolna ruszył na to cmentarzysko. W milczeniu, nie bacząc na błoto i kałuże, brnął w to miejsce,

by po latach wyrzec wreszcie słowa ostatniego pożegnania.

Wśród odrastającej trawy wznosiły się trzy kopczyki opatrzone krzyżami z nieciosanej brzozy. Tam spoczęli jego najbliżsi. Stanął nad nimi i ruchem niepewnym wykonał znak krzyża. Bezgłośnie, jedynie poruszając ustami, zaczął modlitwę:

– *Pater noster, qui es in caelis, sanctificetur nomen tuum, adveniat regnum tuum, fiat voluntas tua sicut in caelo et in terra...*<sup>[14]</sup>

Plecy jakby mu ciężar przycisnął i przygiął. Opadł na kolana pod nim. Wprost w rozmiękną ziemię. Wsparł się dłońmi, które ścisnęły zwiędłe zioła w paroksyzmie rozpaczy. Załkał i kończąc modlitwę, wyrzucił ku ziemi słowa zmieszane, bezładne, proszące o wybaczenie. Cisza była mu jedną odpowiedzią. Oto powrócił do domu.

## ROZDZIAŁ III

### ZAJAZD

Jeszcze ciemny świt był, kiedy kilkunastu chłopów stawiło się przed resztą pozostałą z dworu. Przynieśli, co kto miał z narzędzi. Niewiele tego było. Kilka łopat, grace, siekierki. Żegota spędził noc bezsenną w opustoszałym domostwie. Zmęczony wyszedł naprzeciw ludziom i odpowiedziawszy na powitanie, bez słów dalszych powiodł gromadę do odbudowy umocnień. Ciężka była robota w błocie po przeszłych deszczach, lecz kiedy słońce wstawało, dzień zapowiedział się ciepły. Chłopi powoli wyciągali belki starego ostrokołu, układając je dla późniejszego użycia. Wzmacniali wał ziemny, pogłębiali rów. I dziedzic zakasał rękawy, stając z nimi na równi do pracy. Wojna nauczyła go tego, że kto obozu nie obwaruje, ten długo nie pożyje. Zdarzało się, że majątniejsi szlachcice odmawiali w pochodzie obozowych obowiązków mimo rotmistrzowskiego nakazania. Jeśli miękki był pułkownik, płazem to uchodziło. Ale gdy trafili na dowódcę twardego, to mógł pognać z obozu na pohańbienie, a w obliczu wroga nawet gardłem pokarać. Teraz Nadolski sam szykował się jakoby do wojny. Choć marny skutek swej zapobiegliwości przewidywał. Znał szlachtę tutejszą i możnych panków z ruskiego województwa. Czego prawem nie mogli, lewem osiągnęli. A raz zajęte majątności chyba przez śmierć gotowi byłiby odpuścić. Od czasów Stadnickiego wielu z niego przykład powzięło. Szczególnie że niczym były trybunalskie wyroki, którymi można było sobie, na pośmiewisko, delię<sup>[15]</sup> podbić. Cóż znaczył z garstką wystraszonych włościan wobec bogatego Stano, który mógł na jedno zawołanie kilkudziesięciu ludzi z Sabatów<sup>[16]</sup> i Wołochów<sup>[17]</sup> zgromadzić? Bardziej więc robił Żegota dla spokojności sumienia i czasu zajęcia niż z wiary w wygraną. Nie miał patrona wśród magnatów. Z rodziny mógł zapewne liczyć na braci swej żony – Hantuska i Stalonego Dobrzańskich. Jednak i w nich wątpił Nadolski. Czemu bowiem o Wygnankę nie stanęli, jak Zośki zabrakło? Czemu nie stali do niego, by wracał, kiedy obcy dziedzictwo przejęli? Godził się więc powoli

Żegota z tym, że przyjdzie mu głowę na rodzinnej ziemi położyć, bo zaprzysiągł w duchu, że nigdy jej już nie opuści.

Wsparł się na chwilę o oblepioną ciężkim błotem łopatę i czoło rękawem przetarł. Głowę na górkę obrócił, gdzie groby były, i uśmiechnął się krzywo swymi kalekimi ustami do myśli, że czwarty krzyż może niedługo tam stanie. Nagle w serce go zakłuło. Co powiedziałyby Zośka na takie, bez wiary żadnej, poddanie się losowi? Przecie nieznanne są wyroki boskie! Już dwakroć śmierć go minęła, choć jedną nogę po drugiej stronie prawie stawiał. Zośka bez wahania do dworu wróciła, majątności pilnować, tyle co Kantymir przeszedł. Życiem to opłaciła. Teraz patrzy pewnie z góry i frasuje się nad smutnym mężowskim rozmyśleniem.

Nadolski, zły na siebie, wbił łopatę i ziemię odrzucił. Jeszcze nic nieprzesądzone! Przyjadą Semko i Bejda, broni przywiozą. Za pieniądze można będzie pachołków zdatnych najać. Takich, co na wojnach bywali albo w tutejszych stronach żołnierskiego rzemiosła zasmakowali. Wśród szlachty drobniejszej znajdzie się popleczników. Przecie racja była po stronie Żegoty, a panów braci nic tak nie wzburzało, jak bezprawie magnackie, kiedy słabszych od siebie na tułaczkę i bezdomność skazywali. Może i Dobrzańscy ze swoimi zjadą. Wstające słońce rozpogadzało myśli. Tchnęło potrzebną nadzieję, że póki szabla w ręku, póty on panem na tej ziemi.

W południe nadeszły baby z żywnością. Skromny to był posiłek. Ot, kilka pajd chleba i cienki żur. Razem z innymi zjadł Żegota, spoglądając na mizerny efekt połowy dnia pracy. Tylko od przodu, tam gdzie wieża dawniej stała, teren jakoś był uprzątnięty. Reszta dalej przykre robiła wrażenie. Siłą rzeczy trzeba było czasu, dla choćby prowizorycznego umocnienia gospodarstwa. A tego, jak mniemał Nadolski, zbyt wiele nie było. Szybko tedy na nowo sam do pracy się wziął i chłopów pogonił. Umocniwszy nieco wał od strony drogi i osadziwszy w nim naostrzone pale, nakazał po bokach kopać ukryte rowy dla strzelców, którzy mogliby nacierających razić. Ściemniać się zaczęło, kiedy strudzony postanowił pracę na ten dzień ukończyć. Chłopów rozpuścił, a sam z niepokojem wypatrywał wozów, którymi przybyć miał pocztowy.

Dopiero koło dziewiątej usłyszał końskie chrapanie i odgłosy jakichś nadjeżdżających. Odetchnął z ulgą niejaką, czując, że to służy jego. Wyszedł naprzeciw z pochodnią, zakrzykując głośno:

– Bywaj!

Z ciemności najpierw usłyszał przekleństwo, a potem okrzyk:

– To ja, panie! Semko! Wóz w rozkopie utkwiał! Na sam koniec drogi! Kurwa mać!

– Nie klnij nadaremnie, psiawiaro! – warknął Żegota i postąpił do przodu.  
– Coś tak późno dojechał!?

W świetle ukazały się końskie łby, a po chwili przekrzywiony wóz, którego jedno z kół osunęło się w pogłębiony w ciągu dnia rów. Semko siłował się, próbując naprostować furę.

– Gdzie Bejda z drugim wozem? Gdzie konie moje pod wierzch? – Żegota szedł niżej i oświetlił sługę.

– Niech będzie pochwalony! – Semko ściągnął czapę i odgarnął spocone włosy. – Z tyłu stoi. Przejazd zastawiłem, to i drogi nie ma. Konie za wozem idą.

– Na wieki wieków! Chwalić Boga, żeście dotarli! – Żegota rozejrzał się wokół uspokojony nieco. – Drağa szukaj! Podźwigniemy we dwójkę!

Pocztowy przywdział nakrycie głowy i zrobił krok w ciemność. Za chwilę dobiegł Nadolskiego łoskot i kolejne przekleństwa. W końcu Semko przyciągnął belkę z ostrokołu. Był ubłocony i wyraźnie zły. Usprawiedliwiając się, mruknął:

– Ciemno jak w rzyci, z przeproszeniem jaśnie pana. Obaliłem się, kurwa mać.

Nadolski mimowolnie skrzywił się w półśmiechu.

– Znowu słuchać mam twojego plugawego jazgotu?! Poczekaj, nałożę ci tu wędzidło! Widać pańskiej ręki zapomniałeś!

Pocztowy wsparł się na belce i ocierając błoto, burknął:

– Dyć panie! Święty by z siebie wylazł, jakby tak w nogę się upier... walnął. Pewnie z trzy dni kuśtykać będę! Jeszcze w to miejsce, co mnie

kiedyś szwedzka kula drasła...

Żegota nie zamierzał słuchać wyjaśnień. Wbił w ziemię pochodnię i ująwszy belkę, podsadził ją pod wóz. Spojrzał na sługę i warknął:

– Na co czekasz?! Podnoś!

Zaparli się mocno. Stopy ślizgały się w rozmiękłym gruncie. Wóz drgnął, konie szarpnęły. Nic jednak nie dały ich wysiłki. Żegota odsunął się i otarł czoło rękawem.

– Bejdę wołaj! Żywo! Rzyci pohaniec jeden nie ruszy, jak pomoc trzeba! Zasnął pewnie niemota!

Semko skłonił się i pobiegł w dół drogi. Po chwili zjawił się w towarzystwie Tatar.

Drugi sługa był całkowitym przeciwieństwem pocztowego. Nie odzywał się prawie wcale. Dawniej Nadolski nawet sądził, że ludzkiej mowy nie pojmuje albo głuchy. Ale Bejda po prostu mówić nie lubił. Wzrostu niskiego, krępy, z twarzą płaską i skośnymi oczami stał teraz przed panem swoim, a głową nawet nie kiwnął na powitanie. Przyzwyczał się do tego Nadolski, bo choć milczek i nieużyty, Bejda wierny był i pomocny. A z łuku jak nikt strzelał.

Bez słów dalszych znów ujęli drąg i sapiąc z wysiłku, unieśli. Tym razem fura powoli się naprostowała, a konie, zapierając się w błocie, pociągnęły. Odetchnął Żegota i nakazał sługom wjeżdżać w podwórze. Sam pochodnią oświetlił drogę.

Kiedy wozy stanęły, Semko zeskoczył z forysiowego i stanąwszy, głową pokręcił. Przeżegnał się z wolna, ukląkł i ziemię ucałował. Patrzył w milczeniu na niego Nadolski, rozumiejąc, że i sługa w swej prostej naturze ma prawo z ziemią rodzinną jak człowiek się powitać. Bo i bydłeta przecie znały, co to dom. Tym więcej chłop, choć różnie to mówili niektórzy, że duszy u chłopca nie masz, albo też taka, co jeno połowy ludzkiej, szlacheckiej, warta. Pocztowy powstał w końcu i znów pokręcił głową, a w świetle błyskały mu tylko białka oczu. Tatar obojętnie konie wierzchowe od tyłu wozu odpinał.



– Co łbem kręcisz? – zapytał Żegota, spoglądając na służę. – Nie pora się dziwować!

Rzucając to, sam odszedł kilka kroków i przyjrzał się dwójce swoich wierzchowców. Zdały się nieustraszone i żywo szlachetnymi głowami ruszały, zerkając na swojego pana. Szlachcic poklepał je po szyjach, grzywy palcami przecesał. Wrócili druhowie jego z wojny! Pokutę pieszo odprawiając, odżałować nie mógł, że konie musiał zostawić. Bo czymże polski szlachcic bez konia?

Chłopak tymczasem podszedł do pociągowych przy dyszlu i zabrał się do swoich powinności. Widać jednak gryzły go słowa od środka, bo rzucił nie wiadomo komu:

– Na Boga, takiej rujnacji tom się nie spodziewałem... Wiadomo! Tatar przeszedł był. Ale przecie to sześć років!

Tymczasem Nadolski zaszedł na tył wozu i świecąc, zajrzał pod płachtę. Dłonią przejechał po rynsztunku wojennym, uprzęży, siodłach i skrzyniach. Wymacał kasetę z gotowizną. Wszystko było tak, jak ułożył. Zdało się, że niczego nie brakło. Tak samo i drugi wóz sprawdzał, co przerwał mu pocztowy, wołając:

– A gdzie konie prowadzić?

– Do stajni! A gdzie byś chciał?!

Burknął coś pod nosem Semko, z czego Żegota usłyszał jedynie, że ruina i zawalić się może. Sam to dziedzic Wygnanki wiedział, ale poradzić na to chwilowo nie mógł. Szczęściem wiosną, to i zwierzęta nie pomarzną, pomyślał i zabrał się dalej do przegłądania wozu. Minęła chwila, nim powrócili służdy do wyprzężonych pojazdów. Żegota wskazał kasetę i nakazał:

– Najsamprzód to bierzcie.

Bejda z pocztowym w milczeniu zsunęli ciężki kuferek i pytająco spojrzeli na pana. Ten uniósł pochodnię i mruknął:

– Za mną idźcie!

Zdziwili się służdy, że nie zmierza ku reszcie, jaka została z domu, ale

w kącie ciemny podwórza, gdzie była kamienna piwnica, już za życia ojca Nadolskiego nieużywana, bo zawaleniem grożąca. Stanęli przed nią, skrzynię na ziemi postawili. Zaświecił Żegota w drzwi na pół człowieka wysokie, zzieleniałe i wilgotne. Wzrok na Semka skierował i mruknął:

– Odmykaj!

Pocztowy z trudem drzwiczki uchylił. Ze środka buchnął stęchły zapach resztek zgniłych tu niegdyś warzyw, które lata temu w piwnicy przechowywano. Szlachcic podał Semkowi pochodnię i rozkazał:

– Na dół schodź!

Chłopak posłusznie odwrócił się i nogi w dół zsunął, macając stare drewniane stopnie, śliskie teraz od wilgoci. Poświecił, spoglądając na łukowate sklepienie i kruszące się kamienie, z których niejednego już na dnie w błotnistej mazi spoczywał. Piwnica nie była duża. Miała może dziewięć łokci na długość, a wysoka była jedynie na tyle, by schyliwszy nieco głowę, w niej stanąć. Kiedy pocztowy na dnie się znalazł, Nadolski z milczącym Bejdą skrzynię unieśli i na skraju wejścia ustawili. Teraz szlachcic polecił Tatarowi w dół zejść. Gdy to się stało, skrzynię dalej przesunął, a słudzy podjęli ją i postawili na błotnistej podłodze. Żegota na koniec sam zlął w czeluść. Nie bacząc na niepewny wzrok Semka, przykląkł i w dole, tuż przy ziemi, na lewej ścianie począł macać kamienie. W końcu trafił widać na coś znanego, bo drugą dłonią jeden z głazów ujął i stęknąwszy, ku sobie pociągnął. Z początku kamień nie drgnął, lecz po chwili przesunął się nieco. Pocztowy skoczył pomóc panu i z trudem na koniec głaz ze ściany wywlekił. Ziała w miejscu jego ciemna jama. Gestem Żegota przywołał Bejdę i wziął od niego pochodnię. Poświecił w głąb otworu. Głową do swoich myśli pokiwał i naprostowawszy się, polecił:

– Weźcie skrzynkę i w dziurę wsadźcie.

Kiedy skarbczyk znalazł się we wnętrzu, na powrót z Semkiem otwór kamieniem zatkali. Żegota stanął i pochodnię w twarz sług zaświecił.

– Słuchajcie mnie! Zaufałem wam, powierzając co moje w drodze. Teraz tu gotowiznę daję. Nie sprawdzam nawet, czy cała, bo tak mniemam. A czasu nie ma. Gęby krótko trzymać i nikomu ani słowa. Choćby nie wiadomo co się

działo. Rozumiecie?!

– Rozumiem – mruknął Semko, a Tatar tylko głową skinął.

Żegota przerwał na krótko, nim znów zaczął:

– Może to być, że niedługo zbrojni nas najadą. Szukać będą. Dlatego wszystko ukryć trzeba, a we dworze zostawić jeno tyle rzeczy, żeby chciwość wrogów nasyciwszy, samemu nie stracić. I jeszcze dzisiaj zrobić to trzeba. A potem ślady ukryć. Noc więc czeka was bez snu, bo świtem chłopci do roboty przyjdą. – Spojrzał groźnie i dodał: – A jak który skrytkę wyda, to jedynie śmierć moja uratować go może. Pasy będę darł!

Pocztowy wzruszył ramionami. Głucho pod sklepieniem głos jego wolny się odbił:

– Pół świata my wieźli i słowa strzymali, to i teraz nie trzeba dwa razy powtarzać ani gróźb rzucać.

Zmilczał Nadolski hardą odpowiedź, znając, że Semko sługa dobry, a z Bejdy słowo wymusić, to jakby z kamienia wyciskać.

Wygramolili się z piwnicy i w świetle ognia ślady na błocie zatarli. Wrócili do wozów, skąd co cenniejszy rynsztunek i broń zdjęli. W stodole Nadolski kazał pod klepiskiem dół wykopać, gdzie rzeczy złożyli. Miejsce skrzętnie zamaskowali i starą słomą przykryli. Pozostała broń, co w ręce włościan trafić miała, Żegota nakazał wnieść do dworu, zamierzając już z rana rozdać muszkiety chłopom, coby w chałupach przy sobie pochowali. Razem z tym proch i kule chciał podzielić. Swoim sługom przydzielił po dwa półhaki, szablę, a Bejda na dodatek swój łuk zachował, który w jego rękach daleko bardziej był skuteczny niż prochowce. Resztę sprzętów ułożył w rozbitym domostwie, tak jakby stanowiły cały jego majątek. Mieszek z kilkoma czerwonymi złotymi<sup>[18]</sup> wsadził za belkę, by niejako ukryć, nie na tyle jednak, żeby kto znaleźć nie mógł. Rzędy stare, zużyte, przy koniach nakazał na belkach powiesić, patrząc ze smutkiem na spracowane bydłeta, które przecie w niejednej przygodzie wiernie mu służyły. Na koniec szablę swoją wetknął głęboko w strzechę, a do domu wziął spracowaną czeczugę, którą w jednym pojedynku zdobył. Służyła mu w jego lisowskich terminach. Na ścianie zawiesił jeszcze zdobyczny smyczek. W kącie ustawił kałkan

w skórzanym futerale, a przy nim kołczan ze strzałami. Rozejrzył się i w duchu ocenił, że tak może wyglądać żołnierska majątność po wojennej potrzebie.

Kiedy sługi wozy do szopy spychały, stanął w podwórzu i spojrzął w świecący za chmurami księżyc. Teraz, nawet gdyby Sulatycki dwór zajął i ruchomości zrabował, to niewielką jedynie ich część by otrzymał. Mała to była pociecha. Chwilę potem zgrzani Semko z Tatarem przed nim stanęli. Żegota ręce otarł o spodnie i spojrzawszy na sługi, nakazał:

– Teraz idźcie do stodoły wypocząć. Przed świtem konie i broń swoją zabierzcie i jedźcie wypatrywać, czy kto od strony Nowotańca nie nadchodzi. Jakby co, natychmiast mi sprawę zdać. A unikajcie ludzi!

Pocztowy oczy zmrużył, po głowie się podrapał.

– A które konie, panie? Na dyszlowych to nijak...

– Moje weźcie... – szepnął Nadolski.

– Które? – Semko niby nie dosłyszał.

– Moje! – Żegota wyprostował się i grymas twarz mu wykrzywił. – A jak mi który konia uszkodzi... – Nie dokończył.

Zadowolony sługa ukłonił się pokornie, choć hardość wyzierała z tej pozornej uległości. Na wojnie widać nabrał pewności, obcej chłopom do ziemi przypisanym. A choć bał się pana, to przecie i swoją wartość poznał. Bo w bitwie jak inni stawał i krwią swoją jak inni płacił.

Żegota obrócił się na pięcie i oddalił się ku dworowi, burknąwszy na odchodne zmęczone:

– Dobrej nocy!

Zza pleców usłyszał stłumioną odpowiedź, a potem pacholcy odeszli do stodoły, gdzie jakieś legowiska na krótki sen zamierzali przygotować.

Nadolski wszedł do ciemnej izby i z sapnięciem zasiadł za stołem. Wokół czerń była taka, że dalej niż na stopę niczego dostrzec się nie dało. Cisza. Jedynie wiosenne robactwo gdzieś za wytłuczonym oknem grało. Znad pól co jakiś czas dobiegały głuche pohukiwania nocnego ptactwa. Szlachcic objął głowę dłońmi. Wsłuchał się w mrok niczym w druha swojego szeptanie.

Spracowane, zmęczone drewno skrzypiało, jakby ktoś jeszcze był w ruinie. Ale mury to były jedynie. Ci, co mogliby to być, już dawno w ziemi spoczęli. A w dusze nawiedzające Żegota nie wierzył. Na wojnie z trupami się oswoił. Nieraz na poboju wśród nich nocował. I żaden znaku nijakiego nigdy nie dał. Byli tacy, co zaklinali się, że własnymi oczami upiory widzieli. Przy ogniu legendy o ssunach<sup>[19]</sup>, wapierniach, utopcach i zjawach wszelakich opowiadali, lecz dla Żegoty jasne było, że nie zmarłych, jeno żywych bać się należy. I teraz od żywych groźba zawisła. Sulatycki pewnie już do Stano dotarł. Rychło spodziewać się można będzie wizyty. Pocieszeniem był przyjazd pocztowego i Tatara, lecz niewiele to sytuację poprawiało. Może gdyby Dobrzańscy na czas dotarli...

Westchnął. Gdybyż to pierwszy najazd odeprzeć się udało. Wtenczas i Sulatycki zmiękłby, a i włościanie pewności by nabrali, albowiem teraz Żegota widział w ich oczach strach. Owszem, robili, co kazał, ale jakby bez wiary, przekonani, że los ich już przesądzony, a im bardziej opór stawiać będą, tym większa ich srogość spotka. Mrok nocy wniknął w duszę szlachcica i znów nadeszła myśl natrętna o klęsce i końcu. Z nią zapadł powoli w męczący sen, aż głowa jego opadła na stół. Zwolniony oddech wtopił się w melodię kończącej się nocy.

Zbudziły go krzyk i przekleństwa biegnące z podwórza. Błady świt wdzierał się do izby. Żegota natychmiast oprzytomniał. W dłoń chwycił czeczugę, za pas wcisnął półhaka. Tupot i tętent wskazywały, iż wokół dworu uwija się gromada ludzi. Nawoływania jasno znać dawały, że zamiary ich nie wróżą niczego dobrego. Nadolski drzwi kopnięciem odemknął i wybiegł na dziedziniec. To, co ujrzał, sprawiło, że szabla zadrżała mu w dłoni.

Trofan Sulatycki na koniu kręcił się wokół chłopskiej gromady, nie szczędząc razów nahajem. Przy nim Wołosi łapali ukrywających się i w kupę spychali. Reszta rozbiegła się po budynkach, ale jako że rabować nie było czego, klęła i dawała upust gniewowi na tych, co jeszcze nie wyszli z ukrycia. Sabaci, dzierżąc wynędzniałe kury, ze śmiechem troczyli ptactwo do siodeł i pasów. Wyjście Nadolskiego na chwilę przerwało ten chaos.

W ciszy wszystkie oczy wbiły się w Żegotę. Przerwał ten nagły bezruch Sulatycki. Odwrócił konia i ze złym uśmiechem nahajem dał znak Węgrom stojącym najbliżej Żegoty, a ci opadli go w kilku, obalając na ziemię. Powrozem z wprawą skrępowali mu ręce za plecami i ze śmiechem twarz głębiej w błoto wcisnęli. Szarpnął się Nadolski, ale nic zrobić nie mógł. Twarde kolana przygniatały go mocno. Słyszał jedynie chłopskie zawrozenia, mieszaninę słów i przekleństw przerywanych żołnierskim żartami. Wśród nich wyróżnił się tupot kopyt końskich z wolna zbliżający się do miejsca, gdzie leżał. Zatrzymał się tuż przy jego głowie. Sabaci zwolnili nieco uścisk. Nadolski mógł wreszcie usta z błota wyciągnąć i głębiej nabrać powietrza. Z góry dobiegł go głos niekryjący chełpliwej nuty:

– Witaj, panie Nadolski! Mówiłem, że wrócę! To i zajechałem do waćpana w odwiedzinie!

Koń parsknął, kopyta błotem prysnęły. Sulatycki nakazał władczo:

– Podnieść mi tego kurwiego syna! Niech mu w pysk zajrzę!

Szarpnięciem za ramiona uniesiono związanego. Stał na niepewnych nogach, a z nagłej zmiany pozycji w głowie mu się zakręciło. Byłby upadł, lecz powstrzymał go uścisk Sabatów. Brud tak oblepiał Żegocie twarz, że ledwie mógł oczy odemknąć. Odzienie całe miał w ziemi. Wygląd jego musiał Sulatyckiego rozbawić, gdyż zaśmiał się złośliwie i wysyczał:

– Witasz się waszmość czule z ojcowizną! Do ziemi się tulisz jak do kochanicy jakiej! Jakbyś do chędożenia się brał! Jak pasterze dzikie, co kijem w ziemi dziurę zrobiwszy, przyrodzenie tam wpychają! Może się w tym lubujesz? Co? Waszmość Nadolski! Odpowiedzże!

Zmilczał Żegota. Splunął jeno błotem, co mu do ust wlało, i głowę wyprostował. Skrzywił się na to jeździec i konia lekko w tył pociągnął. Obrócił się nieco, by bokiem się zbliżywszy, wycedzić:

– Plujesz psie... Krwią płuć będziesz!

Sulatycki uniósł głowę i batem na dwór wskazawszy, rozkazał głośno:

– Sprawdźcie tam, co w środku!

Żywo rzucili się Sabaci i Wołosi do drzwi. Widać powetować sobie chcieli

biedę zrujnowanego obejścia. Tymczasem Trofan Sulatycki zsiadł z konia, wodze pachółkowi rzucił i stanął na wprost Żegoty, podparłszy się pod boki. Wąsa podkręcił na swej suchej twarzy, krzywiąc się w szyderczym uśmiechu.

– I wróciłem na swoje, panie Nadolski! Tak to Bóg uczciwości sprzyja! Ledwie com wyjechał, a opatrność sprawiła, że się na pana chorążego Jerzego Stano natknął, który to w podróż się wybierał. I ludzi mi pan chorąży użyczył, cobym prawa jego wyegzekwował...

Przerwał, na ziemię spojrzął i uniósł upuszczoną przez Nadolskiego czeczugę. Z uwagą przyjrzał się wysłużonej broni. Nie uniósłszy głowy, ciągnął po chwili:

– Mówi mi pan chorąży, że dobrze, żeś waść wrócił, bo wreszcie będzie komu dług oddać, co go jeszcze waści żona zaciągnęła pod waszą nieobecność. Będzie na dziesięć tysięcy złotych, pod które to Wygnanka zastawiona. Ale mówi mi też pan chorąży: waszmość Sulatycki stratnym być nie możesz. Niech i więc waści pan Nadolski trud wynagrodzi, żeście gospodarkę pod jego nieobecność dzierżyli i chłopów w należytej karności trzymali.

Wyprostował się, w oczy milczącemu spojrzął.

– Mówi mi dalej pan chorąży sanocki, że przecie prawa trzymać się należy, by dobrego imienia kto pomówieniem o gwałt nie skalał. Wrócił, powiada, Nadolski, to chwała Bogu. I że Wygnanka jego dziedzictwo, nie neguję. Ale niech mi zwróci, co moje, a co w aktach grodzkich zapisane. Bo inaczej być nie może. A jak nie ma, to nie jego już ziemia, ale prawem moja. Tak... Tak mi pan chorąży rzekł...

Żegota patrzył w milczeniu z twarzą jak maska ściągniętą. Cisza widać nie w smak była Sulatyckiemu, gdyż znów począł:

– I ja tak mniemam, panie Nadolski, że szlachcic prawem winien się kierować. Ale mojej krzywdy też bez zapłaty nie zostawię. Zgodził się ze mną pan chorąży, gdym na trzy tysiące ją wycenił... Milczysz waść? To i milcz... Przykazał mi pan chorąży sanocki: jedź do Wygnanki i stratę swoją wyrównaj... A panu Nadolskiemu oznajmij, że w trzy niedziele dług mój ma zwrócić. A kiedy go nie stać, tedy niech ziemię moją opuści w spokoju, bo

choćem człek prawy i spokojny, to przecie o majątność swoją dbać umiem i warchoła nie zdzierzę.

Przerwał znów, na broń leżącą ze wzgardą ostatni raz spojrzął i dłonią pachołka przywoławszy, podał mu czeczugę. Po tym przeszedł kilka kroków wokół Żegoty, niby to w zamyśleniu. Złość jednak w nim kipiała od środka, bo kiedy za plecami związanego się znalazł, to silnym kopnięciem pod kolana na powrót na ziemię go obalił. Nadolski z dłońmi za plecami ledwie na bok był w stanie się obrócić, a choć zęby zacisnął, to ślizgały się mu nogi i wstać po raz wtóry, bez pomocy, nie był w stanie. Ucieszył Sulatyckiego ten widok, a dla poprawy humoru jeszcze raz leżącego kopnął.

– Więc, panie Nadolski... – stary szlachcic stanął nad powalonym – ...w trzy niedziele dług oddać musisz. A że jest, to w grodzie sprawdzić możesz... A o moim nie zapomnij!

Ręce zatarł.

– A żebyś pamiętał, to pozwolił mi pan chorąży, bym przypomnienie na skórze waszmości wypisał.

Spojrzął ciekaw reakcji na groźbę. Nic jednak widać nie dostrzegł, czego by chciał, bo ramionami poruszył i ponownie, celując w krocze, kopnął silnie. Jęknął Żegota i z bólu zwinął się w kłębek. Uśmiech zagościł na obliczu Sulatyckiego. Chwilę napawał się widokiem. Przywołał Sabatów, nakazał na powrót Nadolskiego na nogi postawić. Potem rozejrzał się, a wybrawszy krokiew z reszty dworu sterczącą, polecił do niej jeńca uwiązać, tak że ledwie nogami ziemi dotykał. Ramiona do tyłu wykręcone w stawach chrupnęły, a ból sprawił, iż szlachcicowi na chwilę w oczach pociemniało.

– Poczekaj tu na mnie, panie Nadolski, bo z chłopami mam jeszcze sprawę. A szczególnie z jednym, co mi dłoń uścisnął... Ale i na waszmości kolej przyjdzie! Czekaj cierpliwie! Bo wdzięczność ci winieniem, żeś mi tu chamów z rana kazał zgromadzić. To i po chałupach szukać nie muszę.

Z dworu Sabaci wynosili pozostawioną broń, a jeden z radością ścisnął znaną za belką sakiewkę. Rzucił na to okiem Sulatycki, lecz nie zareagował. Widać nie chciał zadzierać z ludźmi, co ich przywiódł, którzy i jemu mogli kości porachować, bo nie on był ich panem, a szacunek jeno



w pieniądzu widzieli. Znać było, że ze starego żaden bohater czy wódz. Ot, pozór jedynie, a za nim strach pomieszany z niezasadną dumą wobec słabszych, pokorą przed silnymi i zawiścią do równych. Dobrze wiedział Nadolski, że z tego rodzi się okrucieństwo.

Chudy szlachcic nakazał kilkunastu chłopów przed sobą postawić. Wypiął dumnie pierś cherlawą i wąsa kręcąc, głosem donośnym oznajmił:

– Jako że wy, chamy z suczego pomiotu, mnie, panu swojemu prawowitemu z nadania pana chorążego sanockiego Jerzego Stano, posłuszeństwo ważyliście się wypowiedzieć, przeto każdy z was, dla pamięci, po dwadzieścia pięć kijów na gołe plecy przyjmie...

Szmer się rozległ wśród włościan, a niejeden jęknął z cicha i opadł na kolana, ręce powiązane w błagalnym geście wyciągając. Nic to było Sulatyckiemu, który powtórzył:

– Po dwadzieścia pięć kijów na goły grzbiet! Nim jednak do wypłaty przyjdzie, jednemu z was winieniem szczodrzejszą odpłatę! Temu, co na pana swego brudne łapsko uniósł i prawicę moją uściskiem chamskim śmiało sprofanować!

Obrócił się i syknął do stojących przy nim Wołochów:

– Dawać mi tu tego wielkoluda, co z tyłu stoi!

Pachołcy spojrzeli po sobie. Fedko znacznie górował nad najroślejszym z nich. W końcu jednak ruszyli w grupie, ostrożnie, jeden przed drugim strach kryjąc i do odwagi zachęcając. Bo choć i chłop był w pętach, to przecie spodziewali się oporu. Mylili się. Bez trudu wywlekli olbrzyma, który spoglądał wkoło wzrokiem nieprzytomnym, jakby nie rozumiejąc, o co idzie. Postawili go przed Sulatyckim, a ten, spojrzawszy na chłopską gromadę, wyrzekł:

– Ten to Fedko na gardle powinien zostać pokarany, jako że przeciw boskiemu prawu i porządkowi ważył się rękę podnieść na urodzonego szlachcica!

Przerwał i powiódł wzrokiem po chłopach. Zapadła cisza wzmóc miała napięcie, jak to sobie stary wyobraził. Jakoby nie do kupy wystraszonej

przemawiał, ale do jeńców z pokonanej armii. Fedko jak wół spokojny stał, na boki zerkał i uśmiechał się niemądrze. Nasyciwszy się strachem, Sulatycki pociągnął:

– Alem człek ludzki, a miłosierdzie sercu memu bliskie, tedy życie niewdzięcznikowi daruję...

Westchnienie ulgi wyrwało się z chłopskich gardeł. Co poniektóry rękami związanymi znak krzyża wykonał.

– ...karząc jedynie obcięciem tej ręki, którą pies ważył się na pana swego podnieść! – dokończył stary.

Jęk głuchy się rozległ. Pospuszczali głowy włościanie. Jedynie Fedko, nieświadom swego losu, nadal uśmiechał się i oczami przewracał. Sulatycki obrócił się do dwóch Sabatów i polecił:

– Dawać tu pniak i toporek!

Stanął na placu chybotliwy pieniek, a jeden z Węgrów rękawy zawinał, w dłonie splunął i zza pasa wyciągnął niedużą siekierkę. W sam raz taką, co zdalna by do kaźni była. Zgromadzili się wokół żołdacy chciwi widowiska. Cisza zapadła. Dwóch Sabatów pod ręce Fedka pod pniak przyciągnęło. Na kolana go rzucili. Wielkolud nierozumnie spojrzął po nich. Ręce mu rozwiązali, a na prawicę pętle z postronka nałożyli. Z tyłu podeszli dwaj kolejni i silnie chwycili chłopskie ramiona, wykręcając lewe tak, że do ziemi się olbrzym pochylił. Ciężarem swym przygnietli go w tej pozycji. Nadolski mimo bólu wyprężył się i mocniej palcami ziemi dotknąwszy, głowę uniósł.

– Daruj mu! Daruj mu, mości Sulatycki! Przecie widzisz, że na rozumie słabuje! Przecie znasz go! Kara to przecie *contra ius fasque*<sup>[20]</sup>! Nic on nie winien!

Stary obrócił się ku wiszącemu i skrzywił w złym grymasie. Wycedził tylko przez ściśnięte zęby:

– Niewinny? Patrz więc panie Nadolski, jak chłopa się w ryzach trzyma! Boś widać zapomniał! – A zwróciwszy głowę do Węgrów zakrzyknął: – Dalej! Zaczynać!

Dwóch Sabatów pociągnęło za sznur, który na nadgarstku chłopa się

zaczynał. Wyciągnęli rękę tak, że w poprzek pniaka zaległa. Trójka innych mocno Fedka za ramiona i kark przytrzymała. Ten głowę wznosił, jakby dopiero teraz pojął, o co idzie. Zawył nieludzko:

– Panieeeee! Ja nie winien! Panieeee...

Sabat z toporkiem prędko krok w przód postąpił. Wprawnym ruchem uniósł siekiere i ciął gwałtownie. Żelazo z młasnieniem opadło, rozrabując na wskroś mięśnie i kości. Splątana w sznurek dłoń łukiem w błoto opadła. Szarpnął się Fedko, kikut ku niebu wznosząc. Krew z niego sikała. Sabatów z pleców strząsnął jak liście zwiędłe. Nazad go opadli, za nogi chwycili i w błoto obalili. W pięciu do ziemi przycisnęli. Wył olbrzym głosem bolesnym jak dziecko. Wpatrywał się oczami przerażonymi w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą miał rękę. Jeden z Wołochów dzierzących pochodnię przyskoczył ku leżącemu i wprost w krwawiący kikut przytknął smolną żagiew. Zaskwierczało ciało. Głos chłopca wznosił się gwałtownie, a potem opadł. Przypalona do mięsa krew sikać przestała. Rozszedł się zapach ciężki i dławiący.

Opadła Nadolskiemu głowa na piersi, a zębami zgrzytnął okrutnie. I chłopcy w milczeniu głowy pospuszczali. Niejednemu słodki i nieprzyjemny posmak w gardle stanął.

Ale nie koniec był to kaźni okrutnej. Zwlekli żołdacy z placu nieszczęsnego Fedka, który łkał jeno, a z oczu ciekły mu łzy bolesne. W to miejsce, gdzie na pniu rękę mu odrabali, Sabaci ustawili krzyżak drewniany, na którym w skos grubą belkę wsparli. Ten, co przed chwilą prawicę Fedkowi odciął, wziął w dłonie kij gruby. Machnął nim kilkakroć ze świstem. I poczęli wywlekać zajezdnicę chłopów po jednym. Przed kaźnią każdemu koszulę z pleców zdzierali. Potem kładli na belce i ręce na powrót pod nią wiązali. Nie krzyczeli już włościanie i nie błagali. Losowi poddani szli bez oporu. Na plecy każdego spadało przyobiecane dwadzieścia pięć razów. Za każdym uderzeniem jęk się rozlegał. Pobitych Sabaci z pręgierza zwlekali i ciskali na bok jak ochłap. Gdy zmachał się jeden kat, drugi go zastępował. Nierzadko z żartem na ustach i wesołością.

Sulatycki z ukontentowaniem spoglądał, co rusz słowem do mocniejszego

bicia zachęcał. Patrzył Nadolski na krzywdę ludzi swoich, a w duchu to myśli okrutne przywoływał, to modlił się gorąco. Dręczyło go poczucie, że znów za jego przyczyną zło się stało. Jakby był jakimś przeklętnikiem, co nieszczęście niesie za sobą. Jakby odrzucała go ojcowska ziemia śmiercią najbliższych i cierpieniem chłopów. Mówiła mu, by precz na wieki odszedł, bo z nim ból przyjść tylko może. Na takich myślach upłynęło mu spoglądanie przez bite dwie godziny na udrękę jego ludzi. W końcu ostatni z nich otrzymał niesłuszną karę. Sulatycki z wolna odwrócił się i podszedł do Żegoty. Oczy błyszczały mu podnieceniem. Na tę chwilę czekał. Na koniec sobie największą przyjemność zostawił.

– Pora na cię, mości Nadolski – mruknął głosem pełnym słodkiego okrucieństwa.

Przywołał pachołków, nakazał odpiąć szlachcica. Gdy ramiona w dół opadły, Żegota poczuł ból i bezwład. Nie zdołałby teraz nawet w połowie ich unieść. Sabaci chwycili go mocno i zaciągnęli pod pręgierz. Końce butów znaczyły ślad w miękkiej ziemi. Więzy mu przecięli i rozciągnęli go na belce. Po tym na powrót dłonie pod spodem splątali, a sznur, by się ciało nie osunęło, zaczepili o wystający sęk. Stary przyglądał się chciwie ukoronowaniu swej pomsty. Rozpiętemu nakazał odzienie z pleców zedrzeć. Ukazało się gołe ciało Żegoty, poorane wojennymi bliznami, białe, żylaste.

Nadolski uczuł chłód drewna wilgotnego od chłopskiej krwi, która go oblepiła. W myślach zaczął pacierz odmawiać. Oczy zamknął. Przywołał z pamięci obraz Zośki, takiej, jaką opuszczał przed laty. Pomyślał, że i to, co się stanie, za pokutę mu dane. Za to, że ją z dziećmi samą na śmierć zostawił.

Sulatycki obszedł skazańca wkoło. Potem stanął plecami do niego, na wprost kupy pobitych chłopów. Gestem ciszę nakazał. Chrząknął, brwi zmarszczył, nim głośno oznajmił:

– Chamy! Zdało się wam, że wrócił dziedzic, to i dawne prózniactwo wróciło! Nic z tego! Taki z niego dziedzic na Wygnance, jak ze mnie sułtan turecki! Bo Wygnanka, jako rzekłem, mnie w dzierżawę puszczonej przez pana chorążego sanockiego, który względem wierzytelności prawnie folwark zajął!

Rozejrzał się, czy chłopci należycie słuchają. Wąs zakręcił, podparł się pod boki.

– A żeby wam wiadomo było, że taki Nadolski niczym jest wobec prawa i mnie, egzekutora tegoż, tedy ja, Trofan Sulatycki, za zniewagę mi wyrządzoną i dla pamięci karę mu wymierzę... – sięgnął po nahaj – ...tym oto batem. I wiedźcie przez to, że jam jest jedynym panem waszym, póki w dzierzawie mojej Wygnanka, a nie ten tu przybłęda... – nie odwracając się, ręką w tył skinął – ...który dług mając u pana chorążego Jerzego Stano, ośmiela się w jego dziedzinę jak w swoje wchodzić i chamów przeciw prawu buntować!

Sapnął i popuścił koniec bata tak, że na ziemię opadł. Czape zdjęł, pachółkowi podał. Odgarnął wyliniałe kłaki na głowie, zlepione potem i brudem. Przeżegnał się i odwrócił ku pręgierzowi. Spojrzał na skazanego, ręce potarł. Przypomniawszy sobie coś jednak, bo znów do chłopów głowę obrócił i obwieścił:

– Trzydzieści batów! Po jednym od każdego sta, co mi ów Nadolski winien! A jeśli w trzy niedziele długu pana chorążego i mojego nie ureguluje, tedy nakazuję wam, chamy, byście sami pognali go z tej ziemi, bo jeśli tego nie uczynicie, to daleko sroższą niż dzisiaj karę wam wymierzę! Wam, babom waszym i dzieciom!

Skończył przemowę, wzrokiem powiódł po twarzach włościan, sycąc oczy ich spuszczonejmi głowami i skulonymi ciałami. Teraz dopiero uczuł, że chwila nastąpiła właściwa, by pomsty dokonać. Łamiąc w chłopach jej obrazem ostatnią myśl o jakimkolwiek oporze.

Mocno nogami stanął, bat do ręki przymierzył. A potem zaczął machnięciem zza pleców, cedząc przez zęby z wysiłkiem:

– Raaaz!

Nahaj świsnął i oplótnął grzbiet Żegoty. Piekący ból rozszedł się po ciele. Nadolski zęby zacisnął. Przysięgnął w duchu, że choćby miał zemrzeć, dźwięku nie wyda.

– Dwwwa!

Rzemień znów opadł, tnąc skórę. Cisza zapadła zarówno wśród włościan, jak żołdaków. Ci ostatni ciekawie zerkali na chłostanego szlachcica, bo widok był niezwykajny. Zdarzało się jakiegoś urodzonego ubić czy szablą zajechać, ale batem, jak chama jakiego, okładać? Rzecz niespotykana! A tu przed ich oczami działo się to właśnie.

– Trzyyyy!

Pierwsza krew spłynęła po boku. Wprawny był w tej robocie Sulatycki. Pewnie bardziej niż w szabli. Równo odmierzał każde uderzenie. Niespiesznie, by przed kolejnym siły na nowy zamach zebrać. Stary był i chudy, ale nahajem władać młodych mógłby uczyć.

Równo trzydzieści razy odmierzył, a każdy z nich był silny jak pierwszy. Naznaczył plecy ofiary krwawymi bruzdami. Postrzępił skórę do kości. Patrzył teraz z ukontentowaniem na swoje dzieło. Otarł bat, rękawem osuszył spocone czoło.

– Dla pamięci, panie Nadolski! – krzyknął, zwijając nahaj.

Odszedł, z pogardą po raz ostatni na chłopów zerknął. A potem na koń nakazał Sabatom i Wołochom wsiadać. Także sam wskoczył w siodło lekko, niby uniesiony dobrym humorem, którego nie krył. Zakręcił się na wierzchowcu. Jeszcze raz ku Nadolskiemu podjechał.

– Trzy niedziele! A potem... – Nie dokończył, tylko zakręcony nahaj przed siebie wyciągnął.

Świsnął przez zęby. Gromada żołdactwa opatrzona w ukradziony inwentarz i broń zabraną z dworu sprawnie zebrała się do odjazdu. Jeszcze tylko Sulatycki kazał chłopów do chałup pogonić, a zbliżywszy się do Żegoty, wysyczał:

– Zostaniesz tu, panie Nadolski! Ciekawym, czy też chamy przyjdą cię odpiąć. Bo coś mi się zdaje, że głupie myśli z ich łbów wygnał.

Koń parsknął, stary zaśmiał się, nazad zwierzę obrócił i lekko popędził piętami. Zajezdniczy, pokrzykując, wyjechali z obejścia.

Przypięty do pręgierza szlachcic został sam na dziedzińcu. Ból przeszywał mu poranione ciało, lecz gorszym od fizycznego cierpienia było pohańbienie,

jakiego przyszło mu doznać na oczach włościan. Spróbował więzy poluznić, lecz zdętwiałe ramiona i słabość nie pozwoliły na uwolnienie. Półprzytomnie Nadolski pomyślał o Semku i Bejdzie. Nie widział ich wśród chłopskiej gromady. Widać ukryli się albo uciekli. Złość w nim wezbrała, że panu w sukurs nie przyszli, choć wiedział dobrze, iż nic poradzić by nie mogli. Kilkudziesięciu swawolników stanowiło siłę zbyt dużą, by kto samowtór poważzył się jej postawić. Z nieba znów siąpić zaczęło, co niejaką ulgę plecom przyniosło. Powoli odwrócił Żegota głowę w stronę chałup włościańskich, ale te były martwe. Nikt nie wyszedł, nikt nie powrócił pana ratować. Bali się widać pobici, że Sulatycki skrycie wypatruje, a śmiałka, który by się odważył szlachcica odpiąć, należycie pokarze. Zrozumiał, że długo przyjdzie mu wisieć bezwładnie.

Myśli się plątały. Wyczerpane ciało wymykało się rzeczywistości. Nadolski nie wiedział, czy sen to, czy utrata przytomności nadchodzi. I było mu to obojętne. Słabość przemagała nad gniewem. Powoli osuwał się w ciemność. A tam czekała już na niego Zośka z dziećmi.

## ROZDZIAŁ IV

### REZUREKCJA

Żegota otworzył oczy. Bielona powała wydała mu się wyżej niż zazwyczaj i za jakąś mgłą. Z początku nie czuł bólu, lecz im bardziej wyostrzał się obraz, tym bardziej cierpienie przeszywało poranione plecy. By im ulżyć, spróbował, oparłszy się na łokciu, obrócić się na bok. Syknął tylko, na powrót opadł na twarde posłanie. Za oknem, pokrytym świńskim pęcherzem, mdło przebijało południowe słońce. Szmer rozległ się z prawej strony. Nadolski przekręcił głowę. W drzwiach izby stał stary Fiodor, ojciec Semka. Spoglądał trwożliwie, zaplatał nerwowo palce.

– Chwała Bogu, że pan do przytomności przyszedł!

– Pić daj – przerwał szlachcic, sam zdziwiony, że polecenie ledwie szeptem od ścian się odbiło.

Fiodor skłonił się i nabrawszy wody z beczki w sieni drewnianą chochłą, nalał ją w gliniany dzbanek. Podał go w milczeniu swojemu panu. Żegota zwilżył usta, odczuwając niejaką ulgę. Westchnął, kierując wzrok na starego, i zapytał:

– Gdzie jestem?

– U mnie! W mojej chałupie! – pospiesznie odpowiedział Fiodor. Na pytające spojrzenie dorzucił: – We dworze zimno, mokro... Nijak do zdrowia dojść... A Sabaty resztę, co była z mebli, porozbijali...

Szlachcic nie odpowiedział. Obrócił głowę i spojrzał w sufit. Z piersi mimowolnie wyrwał mu się bolesny jęk, gdy poruszył plecy. Słabą ręką oddał kubek. Fiodor odstawił naczynie na stół. Przez niskie drzwi, schylając się, do izby wsunął się Semko. Ściągnął nakrycie głowy i pokłonił się niepewnie.

– Niech będzie pochwalony... Wreszcie wielmożnemu panu duch wrócił... To już czwarty dzień po tym... – Machnął ręką, nie kończąc.

Nadolski, nie spoglądając ku niemu, mruknął gniewnie:



– A ty... Gdzieś się chował, psi synu, jak mnie na belce rozciągali?

Semko pociągnął nosem, rękawem pojechał po nozdrzach. Niewiele zmieszały go słowa Żegoty, bo głupcem chybaby był, gdyby sam w ręce Sulatyckiego podlażł. Burknął więc tylko:

– Konie my z Bejdą ocalili... Dyc chyba szkoda byłoby wielmożnemu panu?

Nadolski się skrzywił.

– Mieliście z Tatarem wypatrywać, czy kto nie idzie.

– To i my wypatrywali! Już z rana, jak pan nakazał, pojechali my na Nowotaniec, coby na trakt baczyć. Jeno pan Sulatycki z drugiej strony przyszedł. Od Odrzechowej.

Szlachcic pokiwał smętnie głową. Spróbował usiąść, ale syknął tylko z bólu i klnąc, opadł na posłanie. Czuł, jakby do pleców przylgnęła mu koszula Dejaniry, paląc do żywego mięsa. Fiodor szarpnął syna za rękaw i głośno nakazał:

– Leć po matkę! Opatrzyć pewnie znowu trzeba! Bandaże poprawić!

Pocztowy odwrócił się i zniknął za drzwiami. Fiodor przysiadł na skrzyni stojącej pod ścianą.

– Paprzą się rany... Nagniotła baba chleba z pajęczyną, ale ropą podeszło...

Nie dokończył. Żegota milczał.

Do izby weszła stara Fiodorowa. Krępa, mocna w kościach, w sobie nabita. Rzuciła ciche powitanie, ręce zaplotła na podołku. Spod chusty łypała ni to wyzywająco, ni to trwożliwie. Znać było, że baba to taka, co nie daje sobie w kaszę dmuchać. Fiodor zerknął na szlachcica i zaproponował:

– Plecy może moja zobaczy? Bandaże zmieni...

Semko stanął za matką. Żegota skinął głową,

– Niech swoje robi!

Stary spojrzął na syna. Razem podeszli do posłania. Tam, ujawszy poranionego pod ramiona, powoli pomogli odwrócić się mu na brzuch.

Płótno koszuli na plecach było sztywne od ciekących z ran płynów.

Tworzyły one pasma w kolorach od skrzepłej krwi do szarości. Stara nabrała wody do cebra i zmoczywszy szmatę, zaczęła przykładać ją do materiału, by koszulę zdutniej było od bandażu oddzielić. Nadolski cierpliwie znosił jej zabiegi. Tylko skurcze na twarzy świadczyły o bóle, którą odczuwał. W końcu wilgotny materiał odszedł. Pod nim położone były bandaż trzymające chleb zgnieciony z pajęczymi sieciami. Semko z ojcem spoglądali w ciszy. Żegota zerknął w lewo na sługę i zapytał:

– I jak, Semko? Mów! Na wojnie byłeś! Rany widziałeś! Gadaj prawdę!

Chłopak pokręcił głową. Potarł brodę szorstką dłonią. Szukał słów, ale widać trudno mu szło. Zezłościło to szlachcica.

– Mówże! Stoisz jak wół! Żle jest?!

– Żle – bąknął cicho chłopak.

– Głośniej mów! – warknął Nadolski i syknął boleśnie, gdy stara pociągnęła za opatrunki.

– Jątrzy się. Rany zasiniały na brzegach. Ropa idzie. Widzi mi się, że zaraz śmierdzieć zacznie. A potem zła krew...

– Gnić będzie? – przerwał Żegota.

– Ani chybi – mruknął Semko niechętnie.

Szlachcic sapnął wzgardliwie.

– Czyli że czas na mnie idzie?

Pocztowy pokiwał głową. Jego ojciec przecesał ręką kudły na głowie. Fiodorowa ściągała kolejny bandaż. Pod nim lepił się pomieszany z krwią i mętnym osoczem szary chleb. Stara się odwróciła. Nakazała synowi:

– Wody gorącej daj!

Pocztowy z ulgą opuścił pomieszczenie. Fiodor znów przysiadł na skrzyni. Żegota w bezruchu czekał na dalsze zabiegi, choć małą miał wiarę w ich skuteczność. Wiedział, że gdy rany gnć zaczną, to skażona krew opanuje całe ciało. A wtedy już nijakiego ratunku nie będzie. Nieraz było, że kto na plecy batem dostał, choć razy wytrzymał, potem umierał z gangreny. Żadne to były dla żołnierza arkana.

Oczy przymknął. Nie patrząc, zapytał:

– A Fedko jak?

– Ręka ucięta – odpowiedział żywo stary, kontent ze zmiany tematu. – Ale że mu kikuta przypalili, to widzi mi się, że wyjdzie z tego. Szkoda chłopca...

– Szkoda – przyznał szlachcic i zamilkł.

Do izby wszedł Semko z parującym garnkiem. Stara gestem pokazała mu, by postawił naczynie na klepisku. Potem udarła kawał materiału i namoczywszy w wodzie, poczęła ostrożnie usuwać z ran resztki chleba i nici z lnianych bandaży. Bolesna czynność zniechęciła Żegotę do mówienia czegokolwiek. Semko przysiadł na skrzyni obok ojca. Ten głowę spuścił, jakby zastanawiając się nad czymś. Ze dwa pacierze minęły, nim zaczął:

– Radzili my z synem, jak stara moja zobaczyła, że z ranami źle... – Przerwał i głowę uniósł. Spotkał zły wzrok swojej żony. Brodę znów opuścił, lecz nie umilkł: – ...z ranami, że źle się robi, coby się Ryty poradzić.

– Zamilkłbyś! – Stara przeżegnała się trwożliwie. – Przecie to wbrew boskim przykazaniom! – Wystraszona swoim wybuchem zerknęła na Nadolskiego. Ten oczy miał nadal zamknięte. Uspokojona tym dodała: – Nie dość, że ze złym się zadaje, to ona jeszcze Żydówka! Powiadają, że z Leżajska uszła, coby jej ludzie nie spalili! Bo tam... – znów trwożliwie się przeżegnała – ...z dzieciów krześcijańskich krew puszczała! Coby maści diabelskie czynić! Na sabaty...

Nie skończyła. Przerwał jej spokojny głos leżącego szlachcica:

– Kto zacz owa Ryta?

Stary wyprostował się, wyzywający wzrok na swoją żonę skierował. Ta odruchowo splunęła i gwałtownie wzięła się do przerwanej roboty, aż Żegocie świece w oczach stanęły. Fiodor zaś wyjaśnił:

– Baba, co wedle tych nowych osad z hamrami<sup>[21]</sup> pomieszkuje. W lesie, z dala od ludzi. Na Spalonym Horboku.

– I co ta baba? – dopytał Nadolski.

– Pomóc może. Na ziołach się zna. Niejednemu już wcześniej maści robiła. Tylko się ludzie jej boją, bo mówią, że wiedźma. Jednemu pomoże, a innemu i zaszkodzić się nie zawaha.

– Wiedźma, nie wiedźma... – mruknął szlachcic. Chrząknął, usta spieczone oblizął. – Sprowadź ją, jak może pomóc.

Fiodor podrapał się w głowę i szyją pokręcił.

– Kiedy wielmożny panie... ona nie pójdzie z lasu.

– A to czemu? – Nadolski aż uniósł się na łokciu.

– Boi się. – Stary ręką machnął. – Jak Tatarzy przeszły, to ludziska się zebrały po okolicy i chciały ją spalić, że to niby ona nieszczęście sprowadziła. W las uszła. Ale teraz żadna siła ją z jej pustelni nie wywiedzie. Psy ma, albo i inną gadzinę, co ją przed ludźmi ostrzegają.

– A bodajby spaliły! – wtrąciła gniewnie baba. Szmatę w wodę gorącą cisnęła. – Przez nią to nieszczęścia przysły! Jak jej nie było, to i złego nie było! Ledwie rok minął, jak się sprowadziła, to kurwie syny nas najechali, wsie popalili, ludzi nabili, jasyr wzięli! I waszą...

Spojrzała na Żegotę i umilkła strwożona widać tym, co miała wyrzec. Gniew jednak w niej płonął, bo zmieniając temat, dodała:

– Płody spędza dziewuchom! Ot, jak pomaga!

Sięgnęła po szmatę i wróciła do czyszczenia ran, sapiąc gniewnie. Nadolski nie zwrócił uwagi na jej gadanie. Mruknął tylko do Fiodora:

– Dobrze zapłacę. Sprowadź ją.

Stary znów głową pokręcił.

– Choćby ją prosić, nie pójdzie. Na pieniądze nie łasa.

– To na postronku przywiedź! – warknął Żegota.

Stary przeżegnał się i westchnął trwożliwie. Miast niego znów odezwała się jego żona:

– Nikt się nie poważy, wielmożny panie! Był jeden, co siłą chciał do chorych dzieciów swoich, do Odrzechowej, przyprowadzić jędzę. Gwałtem zabrał. W Pastwiskach padł bez ducha! Tylko go dotknęła wiedźma! I tak i on pomarł, i dzieci! Tfu! – Splunęła i zrobiła znak krzyża dłonią dzierżącą mokrą szmatę.

– To jak mi, kurwa mać, ma pomóc!? – Nadolski aż śliną prychnął

i zakaszlał gwałtownie.

Cisza zapadła na ten wybuch. Fiodor wstał ze skrzyni i po chałupie się przeszedł. Semko słomką dłubał w zębach ze wzrokiem wbitym w gliniane klepisko.

Żegota powoli się uspokajał. Parę razy szarpnął się tylko gwałtownie na zbyt bolesne zabiegi starej Fiodorowej. Pocztowy niespiesznie źdźbło wyciągnął z ust i, bardziej widać zwyczajny pańskich gniewów, wyjaśnił w końcu:

– Pojechać trzeba.

– To jedź! Maści przywieź! – Szlachcic stęknął i głową na drzwi wskazał.

– Na co czekasz?!

– Kiedy Ryta maści nie da, jak sama chorego nie obaczy. – Stary Fiodor przystanął na środku izby. – Na próżno tak jechać.

Żegota zaśmiał się złym śmiechem.

– To już! Na koń siadam! Tylko najspierw jeszcze potańcuję!

Zakaszlał, siwe włosy opadły mu na czoło posklejane w spocone strąki. Oddech sapiący cichł powoli. Stara, skończywszy czyścić rany, kazała synowi przynieść chleba. Gdy zjawił się z podpłomykiem, ugryzła kilka kęsów i poczęła żuć. Ciasto wymieszane ze śliną wypluła na dłoń. W tak przygotowaną masę zebrała z kątów szare pajęczyny. Wygniotła ten opatrunek, a potem usiadłszy przy pościeli, jęła zaklejać nim jęczące się rany. Ból wyrwał Żegotę z odrętwienia. Stary chłop spoglądał niepewnie. Siwą brodę co rusz pocierał, bijąc się z myślami. Zebrał się na koniec na odwagę i głuchym głosem wyrzekł:

– My tu nie ostaniem. Jak pana zabraknie, to i nam tu żyć nie będzie można. Jak Sulatycki wróci, to rychło się dowie, że to my wielmożnego pana do chałupy wzięli. Mówili inni, coby zostawić. Ale jakże to? Przecie nie po chrześcijańsku! Semko z Tataram wrócili, tośmy wielmożnego pana bez przytomności do siebie wzięli. Nikt nie pomógł. I teraz patrzą jeno, że nieszczęście na wieś żeśmy sprowadzili. Każden jeden wziął po dwadzieścia pięć kijów. I nie myśli kolejnych brać. Jak wielmożny pan zemrze, to tylko

nam tobołki zebrać i na Ukrainę iść. A chłopą zbiegłego jak kto złapie... – Przesunął dłonią po czole i znów zaczął: – Jeszczem u starego pana służył. Potem u ojca waszego. I u pani byłem do jej śmierci. Tymi rękami w grób ją kładłem z dziećiami... – Wyciągnął przed siebie spękane czarne dłonie ze skórą twardą jak cholewa buta – Tu dom mój. Więc jeśli nadzieja jaka, że wasza miłość wyjdzie z tego, że jakoś może być, że ostać się uda i na tułaczkę człowiek skazany nie będzie, to wszystko zrobię, żeby tej nadziei nie dać zgasnąć.

Nadolski otworzył oczy. Rzucił uważne spojrzenie na starego. Chłop głowę opuścił, ręce zwisały mu bezradnie. Fiodorowa kończyła zakładać bandażę. W milczeniu poprawiała materiał, ściskając w grymasie wąskie wargi. Pionowe zmarszczki nad jej ustami się pogłębiły. Szlachcic pomyślał, że i ona pewnie zostawiłaby go na śmierć, przypiętego do pręgierza. Ciężko musiał pewnie stary pokutować, słuchając jej wyrzeczeń i przekleństw. A i teraz wbrew niej radził, chwytając się ostatniej nadziei. Żegota w duchu uśmiechnął się gorzko. Cóż z tego, że wiedźma go do zdrowia wróci? Przecie ledwie w dwie niedziele i parę dni Sulatycki powróci. A on? Bez sił. Bez ludzi. Przypomniał sobie o Hantusku i Stalonym Dobrzańskich. Chwycił się tej myśli i zapytał:

– A z Dobrej już wrócił posłaniec?

Fiodor w milczeniu pokręcił głową.

– Widać nie przyjdą... – podsumował szlachcic.

Powietrze nosem wypuścił. Wzrok spuścił i spoglądając w klepisko, burknął:

– Co więc radzisz, stary?

Chłop podniósł głowę.

– Powieziemy pana do Ryty. Konie są. Zrobi się posłanie pomiędzy żerdziami. Na nim pociągniemy wielmożnego pana na Spalony Horbek. A tam może i wiedźma zaradzi.

– I ze wsi odejdę – złośliwie dodał Nadolski.

– To i prawda – przyznał Fiodor, wzruszając ramionami. – Ale we wsi to

chyba teraz panu na śmierć ostać. Bo tu na rany nikt nic nie zdziała. Moja próbowała, ale to nie na jej wyrozumienie. A jakby cyrulika z Sanoka, to pewnie nie przyjedzie, bo się będzie bał. Przecie tu dookoła ziemia chorążego sanockiego. Komu się chce narazić?

– Rację masz. Na śmierć chyba mi się tu ostać... – Żegota z wolna pokiwał głową.

Fiodorowa wstała, zbierając brudną, zawilgłą koszulę. Nie patrząc na nikogo, wyszła z izby. Semko znów przegryzał słomkę, czekając decyzji. Nadolski pomyślał, że tylko on i Bejda pozostali mu wierni. Ale na ile? Wiedzą, gdzie złoto i dobra pochowane. Co im szkodzi, by pod pozorem do lasu go wywieźć i w łeb dać, a rzecz całą na wiedźmę zrzucić. Że niby śmierć zadała swoimi czarami. Bo w chałupie trzymać, to narazić się Sulatyckiemu. A tak, to i przed gromadą pozór będzie, że po chrześcijańsku uczynili. A Sulatyckiemu rzekną, że jak nakazał, że wsi go powieźli. Jak im zawierzyć?

Strząsnął z siebie tę myśl. Przecie nie musieli go z belki zdejmować. A nawet jak zdjęli, to mogli we dworze porzucić i patrzeć tylko, czy skonał. Nie oni to przecie rany zadali. Sulatycki śmierci jego by nie wypomniał. Poruszył się powoli, odgarnął włosy spadające na oczy.

– Semko!

Pocztowy spojrział czujnie.

– Idź do dworu. Przynieś mi moją szablę, co ją pod strzechę wetknąłem.

Chłopak wstał, nic nie odrzekłszy, i skierował się do drzwi. Żegota zaś bardziej do siebie niż do pozostałych szepnął:

– Nie godzi się szlachcicowi bez szabli iść.

Fiodorowa minęła się z synem, niosąc świeżą koszulę. Tylko koso okiem rzuciła i twarz skrzywiła w grymasie złości. Wraz z mężem pomogła Nadolskiemu narzucić gieżło na grzbiet. Szlachcic powoli usiadł z ich asystą, boscie nogi oparł o chłodną podłogę. Uczuł wielką słabość. W głowie mu zawirowało, a plecy jakby kto mu żagwią przypalił. Łokcie oparł o kolana i znieruchomiał ze spuszczoną głową. Nie unosząc jej, rzucił:

– Buty dajcie!

Stara pospiesznie wyszła z izby. Fiodor przysiadł na skraju posłania.

– To jak będzie? – zapytał.

– Każ Bejdzie konie szykować. Nie ma co dłużej gadać.

– Jakże to? Teraz? Przecie wielmożny pan dopiero co do przytomności przyszedł! Może jutro? Z rana? – W głosie Fiodora nie było przekonania. Bardziej dla zasady niż z woli prawdziwej wyrzekł te słowa.

– Nie ma co zwlekać. A czasu tracić nie zamierzam. Sulatycki czekać nie będzie. I tak cztery dni, jak Semko prawi, zmitrężyłem, leżąc odłogiem. A dziś dzień jeszcze. Przed wieczorem u czarownicy będziemy, jeśli na Spalonym Horbeku siedzi.

Chłop w ciszy pokiwał głową, wstał i wyszedł. Żegota został sam.

Spróbował wstać, lecz ledwie się uniósł. Zaklął z cicha, rękami krawędź posłania z bólu zacisnął. W głowie starał się poskładać myśli. Sulatycki wróci. To pewne. Chłopi, prócz Fiodora, odsunęli się ze strachu i nic na nich liczyć nie mógł. A i Fiodor rozdarty wahaniem. Przez syna pomógł. Bracia Zośki, gdyby przybyć mieli, to pewnie już posłaliby kogo. Nie mógł liczyć na innych. Tylko sam mógł swojego bronić. Ale jak? Wykrzywił usta w grymasie, aż martwy kąt bardziej jeszcze opadł. Ledwie żywy nic zaradzić nie zdoła. Jeśli owa Ryta ma pomóc, to choćby i z diabłem konszachty miała, niech pomoże. Albo i jakie zaklęcie rzuci, coby zły los odwrócić. Wzdrygnął się Żegota na tę myśl. Zadumał nad duszą nieśmiertelną, która przez takie z biesem układy na wieczne potępienie by poszła. A wtedy nigdy już nie ujrzy Zośki ani dzieci. Głowę pokręcił. Palce rozluźnił, dla oprzytomnienia twarz kilkakrotnie przetaił. Co też w głowie mu się zaległo? Przeszedł szmat drogi w pokucie za grzechy, a teraz gotów byłby ze złym paktować, byle na swoim postawić? Przecie Hiob większe na siebie męki przyjmował, a Panu swemu wierności w każdy czas dochował. Niech więc mu owa Ryta rany zaleczy. Ale nijakich czarów i zaklęć. Sam jest swego losu kowalem, a wspomoczeniem mu jeno modlitwa. Westchnął i w duchu począł odmawiać pacierz dla odsunięcia ostatnich, tłących się jeszcze, mrocznych pokus. Takiego zastał go Semko, który przyniósł szablę. Chłodny metal ostatecznie



uspokoił myśli. Po pocztowym przyszła jego matka, przynosząc buty. Czyste, natłuszczone, błyszczące. Do tego spod pachy wyciągnęła zmięte spodnie. Wyprane, ale nie dość, by usunąć brunatne plamy po skrzepłej krwi. Powoli Nadolski się odział. Z pomocą starego na nogi stanął. Rozglądając się, zapytał:

– A żupan gdzie?

– Ludzie Sulatyckiego wzięli – odpowiedział Fiodor.

– Wszystkie ochędóstwo, co było, zabrali – dodał Semko. – Tylko to, co na wielmożnym panu było, się ostało.

Żegota zaklął. Choć żupan był już stary, prosty, z wełnianego sukna, to przywykł do niego jak do drugiej skóry. Bo chadzał w nim od lat. I na sobie go miał, gdy Zośka żegnała go idącego na wojnę. Prócz tego szlachcic bez żupana niczym nie różnił się od byle prostaka. Nawet mieszczenie swoje mieli, choć z łyka konopnego. Nadolski odczuł boleśnie, że Sulatycki odarł go i dosłownie z godności szlacheckiej. Szczęściem została szabla, wierna towarzyszka, i gotowizna, którą łatwo można będzie straty podreperować, o ile zdrowia i sił stanie. Tą myślą pocieszony Żegota węża przygładził i zapytał, czy konie gotowe. Semko wyszedł sprawdzić, a gdy długo nie wracał, wysłał Fiodor swoją żonę, by zobaczyła, co się dzieje. Wróciwszy, oznajmiła, że Tatar z pocztowym moszczą między żerdziami nosze, co czas jakiś zająć musi.

W pół godziny zjawił się Semko, meldując, że jechać można. Nadolski wsparł się pomiędzy pocztowym i jego ojcem i powlókł na zewnątrz. Głowę hardo podniósł, by spoglądający z ukrycia chłopcy nie byli świadkami jego słabości. Wkoło niby żywego ducha nie było. Ale czujne chłopskie oczy z ulgą wyczekiwały, aż Żegota wieś opuści. Niejeden w duchu prosił opatrność, żeby na zawsze. Tymczasem podprowadzono Nadolskiego do koni. Bejda stał, trzymając je za uzdy. Obydwa osiodłane, a do jednego przytroczone wzdłuż boków dwie żerdzie, których końce spuszczone były do ziemi. Pomiedzy nimi rozpięto skóry, na których miał ułożyć się ranny. Semko mruknął:

– Wozem niepodobna by się do wieźmy dostać. Tak musimy...

Potem z ojcem ostrożnie umościli szlachcica. Przykryli go kilkoma owczymi skórami. Nadolski starannie przy boku szablę ułożył. Żałował, że o półhak nie poprosił, lecz teraz nijak mu było, bo za strach mogłoby to zostać poczytane.

Bejda wsiadł na konia ciągnącego prowizoryczne nosze. Przy nim stanął Fiodor, a Semko wskoczył na wolnego wierzchowca. Rzucił przy tym za plecy:

– Przodem pojedę. Drogę najlepszą wskażę, a i wiedźmę na koniec uprzedzę, coby w las nie poszła.

Stary chłop machnął na to tylko ręką, a Żegota nic się nie odezwał. Ruszyły konie powoli, na przełaj, przez pole, w kierunku lasu ciągnącego się w oddali.

Dragi szurały po ziemi, znacząc dwie płytkie koleiny. Szlachcic w zamyśleniu spoglądał na oddalające się chałupy i stojący na górze po prawej dwór. Dumał przy tym, czy jeszcze przyjdzie mu zobaczyć ojcowiznę, czy też po raz ostatni żegna swoją ziemię. Odruchowo zrobił znak krzyża dla odegnania złych myśli.

Pojechali w kierunku na Pastwiska, omijając jednak osadę. Słońce słabo świeciło przez białe obłoki. Trawa z szelestem, jak woda, słała się z obu stron. Wysoko w górze krążyły unoszone wiatrem znad gór jastrzębie. Cisza. Słysząc było jedynie miarowe sapanie konia, brzęk uprzęży i szelest roślin. Wszystko sprawiało wrażenie spokoju. Czas jakby stanął. Mimo bólu Żegota poczuł senność. Podmuchy świeżego powietrza wzmagają ją jedynie, zamiast trzeźwić. Próbując ją odegnąć, rzucił nie wiedząc komu pytanie:

– A gdzie ta wiedźma siedzi?

Fiodor, nie odwracając się, odparł:

– Wedle urwiska na Olzach.

Gryzło go jednak widzieć, że panu nie godzi się tak zdawkowo odpowiadać, bo zwolnił i przy noszach iść zaczął.

– Może co poprawić? – zagadnął.

Nadolski prawie niewidocznie pokręcił głową. Chłop zaś począł wyjaśniać

bliżej, że Ryta na boku siedzi, na dawnym pogańskim uroczysku, co, jak prawią ludzie, wieki temu zostało wytrzebione przez chrześcijańskich mnichów. Ludzie jednak do tej pory miejsca unikają, powiadając, że złego do końca wygnać się nie udało. Niektórzy dodawali przy tym, że wiedźma dobrze wiedziała, gdzie osiąść, bo zły miejsce jej podał, coby najbliżej miał do niej, żeby się z nią cielesnie stykać. Jak mawiali ludzie z Pastwisk, nocami, w postaci capa, oblubienicę swą nawiedzał. Chłop śmiał się przy tym co rusz, niby na ludzką głupotę, ale jakoś nerwowo. Nie zwróciłby na to szlachcic zbytnej uwagi, miarowo kołysany, stojący na granicy snu i jawy, gdyby w pewnym momencie Fiodor nie chrząknął i nie zamilkł na chwilę. Potem zaś, spoglądając w bok, bąknął cicho:

– Bo to lepiej, cobym ja powiedział... Nie to, żeby tajemnica jaka, ale ludzkie gadanie różne... Tak, to nie mówiłem, bo i o czym tu było...

Żegota wrócił gwałtownie do przytomności. Dziwne słowa wyrwały go z przyjemnego odrętwienia. Wsłuchał się w przerywane słowa.

– Bo to tak było... Ja sam nie widziałem. Ale ludzie powiadali, że pani, znaczy się żona wielmożnego pana, pani Zofia, u wiedźmy była...

– Co?! – Nadolski uniósł się na łokciu.

– Ja panie nic nie widziałem – powtórzył nerwowo chłop. – Jeno mówię, bo jeśli prawda, to wiedźma może co gadać. A może to tylko bajanie jakie...

– Co gadali? – Szlachcic znów się ułożył i spoglądając w niebo, nadał słowom pozór spokoju.

– A co mieli gadać... Że niby jak Ryta przyszła i na uroczysku osiadła, to pani do niej z gościńcem jakim pojechała. Sama. A po co niby, powiadam, jechać by miała? Ludzkie gadanie i tyle.

– Kiedy niby to miało być?

– Na pół roku, zanim Tatarzy nadjechały. Jakoś tak w zimie, koło Bożego Narodzenia.

Wzdrygnął się Nadolski, przypomniawszy sobie, co mówiła stara Fiodorowa o spędzaniu płodów. Już miał pytanie zadać, ale powściągnął się, pomyślawszy, że nie godzi się chamowi swoich spraw objawiać, a tym

bardziej kalać pamięci Zośki jakimś podejrzeniem. Zmilczał z pół pacierza, nim rzucił niby niedbale:

– Jak była, to była. Widać powód miała.

– Tak i ja myślę – przytaknął Fiodor skwapliwie i zamilkł.

Żegota kątem oka spoglądał na niego. Stary wtulił głowę w ramiona, czapę na oczy nacisnął. Szedł sztywno. Domyślił się szlachcic, że nie wszystko powiedział. Że bije się w swej chłopskiej głowie z ciężkimi myślami. I nijak coś mu przez gardło przejść nie może. I Nadolski nie chciał tego usłyszeć. Zapadło więc milczenie. Wiele musiało się zdarzyć przez lata jego nieobecności.

Myśli niespokojne, gorączkowe przeszywały szlachecką głowę. Pełne poczucia, że wszystko to z jego winy. Zośka. Sama. Bez opieki. Z dwójką maluczkich. Bez niego witająca poranki i zasypiająca z wieczora. Co też myślała? Co uczyniła? Czy naprawdę wzięła od Stano dziesięć tysięcy? A jeśli, to na co? Za czym jechała do wiedzy? Każde pytanie rodziło następne. I wszystkie znajdowały jedną odpowiedź ostateczną w jej przedwczesnej, niezawinionej śmierci. Czemu do niego nie posłała, jeśli jej źle było? Sapnął pogardliwie. A bo to by posłuchał jej próśb? Przecie by wtenczas nie wrócił! Wiedziała to. Znała go. Ciasno mu było w Wygnance. Choć bał się przyznać, znalazł tysiące usprawiedliwień, gdzieś w głębi duszy wiedział, że to przed tą ciasnotą z domu na wojnę uciekł. Przed codziennym trudem u boku Zośki. Zostawił ją z nim samą. I to był jego grzech najcięższy. Strach przed codziennym życiem. Bo chociaż gotowizny brakowało, spłacheć ziemi ledwie co żywił, to przecie starczyłoby chleba na nim dla wszystkich. Żywi by pewnie byli, gdyby nie jego postanowienie.

Wjechali w las. Strzeliste drzewa mierzyły w niebo, którego błękit przetkany był gdzieniegdzie białymi pasmami. W oddali, jak czarne punkty, krążyło ptactwo. Promienie słońca, niby przez sieć nierówną, przemykały pomiędzy zieleniącymi się gałęziami. Czuć było wilgotną ziemię, rodzącą się do życia. Ten ciężki zapach drażnił nozdrza ludzi i koni. Kusił nadzieją przyszłości. Obfitości, która niezmiennie nabrzmiewała, by potem znów umrzeć pod śniegiem.

Żegota w półśnie zamyślił się nad niezmiennym kołem śmierci i narodzenia. W jakim miejscu był on sam? Czy jeszcze i w niego wiosna tchnie nowe siły? Prychnął pogardliwie przez nos na kłamliwe pocieszenie. Gdzież jemu nadzieja jaka? Oto zbity jak pies ciągnie ku nieznanemu przeznaczeniu.

Z przodu posłyszał nagle:

– Stój!

To Semko ściągnął wodze i zatrzymał wierzchowca. Zawrócił w miejscu i zbliżył się do noszy. Koń ciągnący rannego również przystanął. Nadolski z wysiłkiem uniósł głowę. Bejda stał przy łbie zwierzęcia, trzymając dłoń przy pysku. Fiodor był gdzieś z boku, zasłonięty przez wierzchowego. Od lewej nadjechał pocztowy. Bez słowa zeskoczył z siodła.

To już? – przemknęło Żegocie przez głowę. – Teraz skończą? Skurwysyny...

Drgnął na tę myśl, a przez ciało przeszedł mu dreszcz. Nagle poczuł ogromną wolę życia. Chciał nadal czuć zapach ziemi. Spoglądać w niebo. Odczuwać dotyk i smak. Słyszeć szumy lasu. Rzeczy zwyczajne, które teraz wydały mu się potrzebne do życia niczym powietrze i woda. Pod owczymi skórami zacisnął palce na rękojeści szabli. Twarz ściągnął mu grymas, pod którym ukrył strach. Chciał żyć! Nie tak, jak pod Pułkowicami, kiedy przyśniła mu się Zośka. Nie po to się podniósł, by teraz, w tym lesie, samotnie, tak zwyczajnie dać się zarznąć. Nie po to wracał!

Podniósł twardy wzrok na sługę. Niech wie, że do końca to on panem! Niech cham zapamięta! Semko zbliżył się powoli. Dłonie jednak miał puste. Powiódł wzrokiem po prowizorycznych noszach, a nie znalazłszy widać nic do poprawy, rzucił:

– Przodem mi czas podjechać. Rytę uprzedzę.

Nadolski powoli skinął głową. Dłoń ściśniętą na broni rozluźnił, a z serca spadł mu ciężar ogromny, tak że aż westchnął głęboko. Pocztowy schylił się z troską.

– Co wam, panie? Może przystanąć trzeba?

– Nie – odparł Żegota, czując suchość w ustach. – Dobrze wszystko. Jedź, Semko, a uważaj tam na siebie w drodze.

Chłopak wyprostował się i rzucił na szlachcica zdziwione spojrzenie. Słowa takie usłyszał pierwszy raz. Jakby Nadolski o los jego się troszczył. Nie tak przez lata wojenne było. Surowy był pan, wrażliwości nijakiej. Semko z niedowierzaniem głową pokręcił, zrzucając wszystko na karb słabości z ran wynikającej. Odwrócił się, koniowi popręg poprawił, broń sprawdził, a potem wskoczył w siodło i cmoknąwszy, odjechał między drzewa. Bejda stał jeszcze chwilę, by w końcu pociągnąć za wodze i ruszyć z miejsca. Fiodor znów zrównał się z noszami. Milczał. I Żegocie niespieszno było mówić cokolwiek.

Szli więc tak w ciszy przepłatanej jedynie odgłosami lasu, szuraniem żerdzi i chrapaniem konia, który nie nawykł do robienia za pociągowego. Ślady Semkowego wierzchowca szły pod górę. Droga stawała się coraz trudniejsza. Budzące się z wiosną poszycie przeszkadzało w pochodzie. Nie dbał o to Nadolski. Niby na nowo się rodził wraz z pęczniejącymi pąkami. Jakby świat znów poznawał, sycąc się jego kolorami. Oto żyje! I żyć będzie! Na przekór wszystkiemu. Przymknął oczy. W mroku opadłych powiek starał się przywołać obraz Zośki i dzieci. I choć zdało mu się, że już prawie dostrzeża ich twarze, to jakoś rozmywały się, gubiąc szczegóły rysów. Nie zostały w przytomnej pamięci. Na próżno wyteżał myśli. Zostały gdzieś w zakamarkach, które pogrzebał czas. Tylko sen na chwilę je przywracał. Zapadał weń powoli, a im bliżej był niego, tym wyraźniejsze stawały się ukochane niegdyś oblicza. Aż w końcu znalazł się pomiędzy nimi. W miejscu gdzie czas nie ma znaczenia, a światy żywych i zmarłych przenikają się, by koić ból i jednych, i drugich.

## ROZDZIAŁ V

### WIEDŹMA

Obudził się gwałtownie, choć nikt wołaniem ani ruchem nie przywoływał go do przytomności. Może to, że koń stanął, wyrwało go ze snu? Przymknął częściowo powieki, by wyostrzyć zmacony jeszcze wzrok. Semko z Fiodorem stali na prawo. Bejda wiązał konie do gałęzi. Wokół gęstniał las. Ciemniejszy niż wprzód. Jakimś mrokiem nieznanym objęty, lecz nie pochodzącym z braku słońca. Jakby od ziemi ciągnęła ciemna szarość, przed którą promienie słoneczne umykały. Nadolski raz jeszcze zmrużył oczy, by otrząsnąć się z niepokojącego wrażenia. Spróbował głowę odwrócić, aby poznać przyczynę postojów, gdy nozdrza jego poczuły zapach dymu. A więc dojechali! Ruch sprawił, że Fiodor z Semkiem zamilkli i obrócili głowy w jego kierunku. Stary zdjął czapę, przetarł spocone czoło, nim na powrót wdział nakrycie głowy. Z ociąganiem podszedł do noszy.

– Co tam? – zapytał Żegota. – Jużemy dojechali?

Chłop skinął głową i nerwowo ręce zatarł.

– Gdzie wiedźma? – Nadolski uniósł głowę. – W las uszła? No mówże!

– Jest panie... – Fiodor przerwał i rozejrzał się wokoło, odwracając wzrok.

– No to o co chodzi?! – warknął szlachcic gniewnie.

– Mówi, żeby wielmożnego pana ostawić... A my wracać mamy do wsi. Za trzy dni mamy przyjechać...

Żegota zmełł w ustach przekleństwo i głowa opadła mu na poślanie.

– Bo inaczej nie pomoże – dokończył stary.

Szlachcic w gniewie już miał zrugać chłopca, choć sam nie wiedziałby za co, lecz nagła rezygnacja zaciążyła mu w głowie. Nie ich to przecież wina. A jemu nic innego nie pozostaje, jak postąpić tak, jak chce owa Ryta. Poddać się losowi. Zaczerpnął głębiej powietrza. Przygryzł na chwilę usta. W końcu mruknął cicho:

– To i tak zrobić trzeba...

– Ale jak tak zostawić... – Fiodor bezradnie rozłożył ręce.

– I tak uczyniłeś więcej, niżem się spodziewał – przerwał mu Żegota. – A sam prawileś, że wiedźma uparta.

– Uparta, panie! – potwierdził chłop. – Z chałupy nie wyszła nawet. Mówi, że jak wielmożny pan ma zostać, to jeno wnieść go za próg mamy. Ale wtenczas natychmiast mamy odjeżdżać. A jak nie w smak nam, to razem mamy odejść. Inaczej przekleństwo rzuci.

– Przekleństwo... – Nadolski uśmiechnął się ponuro pod nosem. – Ja już jestem przeklęty!

– Co tam, panie, mówicie? – Fiodor pochylił się, nie dosłyszawszy ostatnich słów.

– Nic – odparł Nadolski. – Pomóżcie mi tedy zejść z posłania. Bo wola moja taka, że zostaję. A wy wróćcie po mnie, tak jak ta... Ryta wam nakazała.

Fiodor skinął głową. Gestem przywołał Semka. Bejda stanął z lewej strony. Beznamiętnie przygryzał w ustach źdźbło trawy, mrużąc, i tak już wąskie, skośne oczy.

– No dalej! – ponaglił Żegota. – Pomóżcie mi wstać!

Stary zdjął okrywające Nadolskiego owcze skóry. Żegotę przeszedł nagły chłód późnego popołudnia, który wzmagająca panująca wkoło wilgoć. Semko już pochyłał się, by podjąć pana pod ramię, kiedy odezwał się milczący Bejda:

– Złe miejsce.

Niezwyczajne było usłyszeć cokolwiek z ust Tatara. Pocztowy i Nadolski wraz odwrócili ku niemu zdziwione spojrzenia. Każdy inny rzuciłby jakieś wyjaśnienie, lecz Bejda na powrót przygryzł źdźbło i zacisnął usta. Żegota po chwili machnął niemrawo wciąż obolałą ręką i burknął:

– A się cholera odezwał, pohańcu jeden! Jak kamień cicho siedzisz, a jak coś już wyrzekniesz... – podał rękę Semkowi i prostował się z trudem – ...to diabeł jeden wie, o co ci idzie!



Tatar wzruszył ramionami i bez słowa ujął szlachcica pod drugą rękę. Ten, stanawszy na nogach, rozejrzał się.

Na niewielkiej ciemnej polanie stała stara chata. Jej trzciny dach gęsto pokrywał mech, a belki zieleniały ze starości. Małe okna zabite były deskami. Z kamiennego komina unosiła się smużka dymu. Niskie drzwi z resztkami bielienia stały zamknięte. Nadolski jęknął, bo przez poranione plecy przeszedł mu bolesny ogień. Zagryzł zęby i nakazał głucho:

– No dalej! Jak mnie za próg dać macie, to dawajcie!

Powoli, krok za krokiem, ruszyli do wejścia. W nozdrza coraz bardziej bił zapach starego, mokrego drzewa, gnijącej słomy i czegoś jeszcze, czego Żegota nie poznawał. Ciężki, mdły posmak poczuł w ustach. Jakby wchodził do wnętrza grobowej jamy. Obleciał go na powrót strach. Zła myśl narodziła się w głowie, że na śmierć u wiedźmy zostanie. Zaciśnął bezwiednie palce. Drzwi były o dwa kroki. Jeszcze pora, by zawrócić! Zawahał się. Na ustach zawisły mu słowa, by powrócić do koni. Może i wypowiedziałyby je, gdyby nie to, że drzwi nagle się otwały, a z ciemności wysunęła się odziana w czerń postać. Nadolski wyteńczył wzrok, podnosząc głowę. W duchu powściągnął swój strach, spodziewając się najstraszniejszego widoku. Ale przez twarz przebiegł mu nagły grymas zdziwienia, pomieszanego nawet z pewnym rozczarowaniem. Miał zgarbioną starą, straszną wiedźmy stanęła przed nim szczupłą czterdziestokilkuletnia kobieta.

Oblicze miała blade ze śladami gasnącej, lecz wciąż widocznej urody. Włosy czarne jak skrzydło kruka upięte w gruby warkocz opadały przez ramię na kształtne jeszcze piersi. Twarz pociągłą, szlachetną, z małym, wąskim nosem. Oczy bardziej czarne nawet niż brązowe. Otoczone długimi firanami ciemnych rzęs. Przy ustach rodziły się już dwie zmarszczki opadające ku brodzie. Usta czerwone, pełne, lecz ułożone w smutny grymas, dany tym, którym życie nie szczędziło cierpienia.

Kobieta bez słowa wyciągnęła ku Semkowi szczupłą dłoń z długimi palcami. Odsunęła pocztowego i sama ujęła Żegotę pod ramię. Sługa potulnie odszedł dwa kroki w tył, spoglądając w miejsce, którego dotknęła Ryta. Widać przypomniał sobie historię o chłopie z Pastwisk, który oddał ducha

ledwie muśnięty ręką wiedzmy.

Nadolski poczuł przy sobie mocne kobiece ciało. W nozdrza wpadł mu ulotny zapach ziół, który nagle zapanował nad ciężką wilgocią otaczającą dom. Ciepło dłoni wiedzmy ukoło pałący ból w plecach. Mimowolnie szlachcic uczuł podniecenie. Lekko odwrócił głowę ku Rycie, dostrzegając pod upiętymi włosami fragment małego kształtnego ucha. Jej skóra była biała i czysta. Szyja kusiała delikatnością i smukłą subtelnością, rzadką nawet wśród szlachcianek. Kobieta poczuła widać to spojrzenie, gdyż powoli obróciła głowę i spojrzała w oczy Żegoty, jakby odgadując jego myśli. Jej ciemne źrenice przeszywały go na wskroś. Nadolski zmieszany opuścił głowę. Był zawstydzony tym, że poczuł to, czego od lat nie czuł. Nie wiedzieć czemu, w tej chwili przypomniał sobie o Agnieszce Wierzbowskiej. I również nie wiedzieć czemu, poczuł się czegoś winnym. Chwila to była tylko, lecz taka, którą się do śmierci zapamiętuje. Tymczasem Ryta pociągnęła rannego za ramię i wraz z Bejdą przekroczyli próg starego domostwa.

W izbie panował półmrok, rozświetlony ledwie stojącym na stole kagankiem i słabym ogniem z otwartego komina.

– Na posłanie! – zakomenderowała krótko wiedzma.

Bejda posłusznie podszedł do rozłożonych na drewnianych balach skór i tam ostrożnie pomógł Nadolskiemu usiąść. Tatar nie zdążył nawet się dobrze wyprostować, jak usłyszał:

– A teraz wyjdź! W dwa pacierze ma was nie być! A nosze zostawcie! Wróćcie na trzeci dzień, licząc od jutra! Rozumiesz?

Sługa skinął głową i tyłem cofnął się do drzwi. Po chwili zniknął za nimi, żegnany skrzypnięciem nieoliwionych zawiasów.

Nadolski wsłuchał się w ciszę. Zaraz usłyszał szmer, głucho, niezrozumiałe słowa, a potem stłumione stuknięcia końskich kopyt świadczące, że pozostał sam na sam z czarownicą. Ta stanęła przy kominie odwrócona do niego plecami. Ogień oświetlał linie zgrabnej talii i krągłych, małych pośladków opiętych przylegającą czarną suknią. Milczał, czekając, co stanie się dalej. Kobieta nie odwracając się, rzekła zaś:

– Czekałam na ciebie, mości Nadolski.

Jej głos był głęboki i matowy, lecz nie niski. Jak gdyby wydobywał się z jakiejś pustki. A może to stare ściany tak go odbijały? Ranny syknął boleśnie, poruszywszy się, gdyż uraził poranione plecy.

– Czekaaś? A niby skąd miałaś wiedzieć, że mnie przywiozą?

Ryta uniosła prawą dłoń, nie spoglądając nawet ku niemu. Usłyszała jedynie jej ironiczne westchnienie. Zezłościło to nieco szlachcica.

– Daj spokój temu gadaniu! Ja w czarowanie mało wierzę! Po lekarstwo na rany przyjechałem i tego tylko chcę! Dobrze zapłacę, jak się sprawisz, więdźmo!

Kobieta się odwróciła. Na jej twarzy błąkał się ulotny uśmiej. Podeszła bliżej, tak że światło z kaganka padło wprost na jej oblicze.

– I ja mało wierzę – szepnęła. – A pieniądze zachowaj.

Nadolski się skrzywił. Odwrócił oczy pod ciężarem jej ciemnego spojrzenia. Z fałdy sukni Ryta wyjęła mały nożyk. Stalowe ostrze błysnęło czerwonałą poświata odbitego ognia. Żegota odchylił się gwałtownie i schwycił za nadgarstek rękę dzierzącą ostrze. Wiedźma powoli położyła na tej ręce swoją dłoń. Była sucha, lekko chłodna. Rozluźniając uścisk szlachcica, mruknęła:

– Koszulę ci rozetnę... Już nie będzie ci potrzebna.

Mężczyzna odsunął ramię i zamarł w bezruchu. Ryta zaś niespiesznie, od kołnierza poczynając, jęła przecinać w dół, wzdłuż pleców, mokre od wysięków z ran płótno. Zapadła drażniąca szlachcica cisza. By ją przerwać, ni to zapytał, ni stwierdził:

– Moja u ciebie była...

Kobieta, przeciąwszy materiał, ujęła skraje rękawów i płynnym ruchem zdjęła odzienie z rannego. Stanęła przed nim, o krok. Patrzył w jej twarz pytająco. Ona, nie odwracając oczu, cisnęła koszulę w ogień płonący w kominie. Dopiero wówczas odpowiedziała:

– Nie pora teraz... Mamy czas na rozmowę. Dziś tylko ranami się zajmę. Ale bądź cierpliwy, mości Nadolski... Wszystko ci powiem...

Odeszła do pieca, gdzie stały gliniane naczynia, a w górze, na belce suszyły się pęki ziół. Chwilę tam stała, nalewając do kubka jakiś napar. Odwróciła się, podeszła do Żegoty.

– Pij!

Szlachcic ostrożnie wziął naczynie i przytknął do ust. Z wolna spróbował. Napój miał mdły, słodki smak.

– Pij! To nie trucizna! – usłyszał ponaglenie.

W duchu wezwał boskie imię, a potem przechylił kubek. Wypił do dna. Oddał Rycie naczynie. Ta odniosła go na palenisko. Gdy wróciła, pomogła Nadolskiemu ułożyć się na brzuchu. Usiadła przy nim. Szlachcic znów poczuł ciepło jej ciała i kuszący zapach. Delikatne dłonie dotknęły mu poranionych pleców. Bez pośpiechu, dokładnie jąła oczyszczać rany z pozostawionych przez starą Fiodorową resztek zagniecionego chleba.

Zamknął oczy. Ogarniała go senność. Ból w plecach malał. Jak przez mgłę słyszał przerywane słowa wiedźmy:

– Na nic tu chleb z pajęczyną. Ciało już zakażone... Późno przyjechałeś, mości Nadolski... Niespieszno ci było widać... Teraz to jeno maść z zielonej pleśni pomóc może... A i to niepewne...

Powoli zapadał w sen ciemny, głęboki. Taki, co żadnych majaków nie przywołuje i najbliższy jest śmierci. Ból całkiem ustał.

Nie wiedział, czy świt to czy zmierzch. Zabite okna nie wpuszczały światła. Tylko ogień w kominku i kaganek rozrzedzały półmrok. Uniósł głowę i dostrzegł Rytę siedzącą na niewielkim stołku na prawo od ognia. Dłonie miała splecione. Wpatrywała się w bezruchu w płomień. Żegota poczuł, że duchem jest gdzie indziej. Ostrożnie opuścił głowę, by szmerem nie przerwać jej zadumy. Nie wiedział czemu, lecz chciał zostawić jej tę chwilę spokoju. Wsłuchał się w trzaskający ogień i wpatrzył w drugi kąt. Wciąż spoczywał na brzuchu. Ból w plecach ustał. Czuł na nich jedynie przyjemny, kojący chłód. Znieruchomiał. Zdziwił się więc tym bardziej, gdy usłyszał jej głos:

– Ocknąłeś się... To i dobrze!

Ryta wstała. Podniosła z ziemi stołek. Podeszła do szlachcica. Usiadła naprzeciw, tak by nie poruszając się, mógł widzieć ją oświetloną płynącym zza jej pleców blaskiem komina. Popatrzyła przez chwilę.

– Głodnyś?

– Nie – odpowiedział cicho.

Szeleszcząc czarną suknią, uniosła się i podeszła do pieca. Przez ramię jedynie rzuciła:

– Pić musisz.

Bez dalszych słów wróciła, podając Nadolskiemu naczynie. Ten spojrzał pytająco.

– Woda przegotowana – wyjaśniła krótko.

Pomogła podnieść mu głowę i podtrzymała drżący w ręce szlachcica kubek. Ten wypił zawartość, smakując chłodny, gaszący pragnienie płyn, o nieco metalicznym posmaku. Ryta odniosła puste naczynie. Na powrót przysiadła na stołku. Nadolski opadł na posłanie. Milczał. Zamiast niego odezwała się wiedźma:

– Pytałeś wczoraj o swoją. O Zośkę z Wygnanki.

Skierował oczy ku odzianej w czerń kobiecie. Ta, patrząc jakby ponad nim, ciągnęła:

– Była tu. W zimie. Sześć років temu. Ledwie com tu osiadła...

– Po co? – wycedził Żegota.

Ryta uśmiechnęła się nieznacznie i spojrzała w twarz szlachcica.

– O ciebie pytała. Czy żyjesz. I kiedy do domu wrócisz.

– I co jej rzekłaś?

– Prawdę jej rzekłam... Że żyjesz i w zdrowiu powrócisz. – Przerwała na chwilę. Wzrok jej stwardniał, a w źrenicach odbił się czerwono ogień. Innym już głosem dodała: – Tegom tylko jej nie rzekła, że ona tego nie doczeka. I dzieci twoje.

Nadolski poruszył się nerwowo. Usta wykrzywił mu grymas.

– Pleciesz! Skąd niby wiedzieć miałaś?

Nie zwróciła uwagi na jego słowa.

– Dobrą miałeś żonę, mości Nadolski! Ledwie jej dłoni dotknęła, to na wskroś mnie jej dobroć przeszła. Tak jakbym ręki jakiegoś dziecka niewinnego dotknęła. – Pochyliła się ku rannemu. – Ale i śmierć w tym była! Ból i śmierć bliska!

Żegota uniósł się gwałtownie na łokciach.

– Łżesz, więdźmo!

Cisza zapadła. Szlachcic, sapiąc, opadł na posłanie. Ryta wstała, podeszła do żarzących się w kominie kłód. Kucnęła odwrócona plecami. Niespiesznie dorzuciła polana do ognia.

– Gniew w tobie jest. I wina. Bo wiesz, że z miłości ku tobie do mnie przyszła. O tobie dzień i noc myślała... – Chwilę później dodała: – Prosiła, bym czar rzuciła, za którym byś tęskność poczuł i co prędzej do domu wrócił... Ale czarów nijakich u mnie nie masz... – Wyprostowała się i odwróciła do Żegoty. – Waśc w czarowanie słusznie mało wierzysz... Ja zaś wcale nie wierzę! Bo gdyby było... – Uniosła dłoń, zaciskając ją w pięść. Przerwała, powoli rozluźniając palce.

Ranny dyszał ciężko, wpatrując się w nią przekrwionymi ze złości oczami. Wiedział, że mówi prawdę. Że w Zoście tęsknota była jeno i miłowanie ku niemu. A jego w domu nie stało. Wycharczał głucho:

– Skoroś wiedziała, to czemu... – wysapał ciężko – ...czemuś jej nie ostrzegła?

Ryta znów przysiadła na stołku. Jej czarne oczy smutno przesunęły się po twarzy rannego.

– Czuć śmierć to jedno... Znać, skąd przyjsć ma, to drugie. Tego nigdy nie wiem...

Spojrzał pytająco. Ale wiedźma milczała z opuszczoną głową. Z pacierz minął, nim odezwała się znowu:

– Przed czym ostrzec mogłam? Śmierć to śmierć. Wiem jeno, że blisko. Ale czy można komuś rzec, że umrze niebawem? Czy można zatruć ten ostatek życia strachem, gniewem, obojętnością? Sam sobie odpowiedz, mości

Nadolski. Czy lżej by jej było? – Podniosła pytające spojrzenie.

Przygryzł wargi. Nie miał odpowiedzi na jej słowa. Przecie lepiej było, że Zośka nie wiedziała, co ją ma spotkać. Został jej spokój ostatnich dni i złudna nadzieja, że skoro mąż żyje i wróci, to znów się spotkają. Zacisnął powieki, a mimowolne łzy popłynęły wzdłuż bruzd na twarzy.

– Rozumiesz mnie? – wyszeptwała.

– Rozumiem... – wycedził cicho, prawie niesłyszalnie.

Ryta pokiwała głową. Sucho trzaskały świeże kłody podłożone do ognia.

– Potem była u mnie jeszcze wiosną. Cieszyła się. Dzieci zdrowo rosły. Majętność twoją trzymała, a mówiła, że nie poznasz, jak wrócisz, tak jej się robota w rękach paliła. Dla ciebie. Byś już nigdy nie wyjechał szukać na wojnach nie wiedzieć czego. Długi, coś je na broń, konie i pocztowego pozaciągał, pospłacała... Tak mi mówiła... Nawet odłożyć co zdołała...

Dłonie Żegoty zacisnęły się na skórkach posłania. Z piersi dobyło się łkanie bolesne. Wiedźma przerwała. Wstała. Położyła chłodną dłoń na jego głowie. Ten dotyk złagodził trawiący go ból. Jak gdyby tym gestem brała go na siebie.

– I wkoło ciebie śmierć jest. Nie wiem, czy twoja czy obca... Ale tyś inny niż ona! Tyś wilk! Ze śmiercią jesteś zbratany... Ona wie, że chciałbyś ją spotkać. A z takimi lubi żartować na swój okrutny sposób...

Cofnęła rękę, a on otworzył oczy. Oddech się wyrównywał. Twarz mu bladła. Ryta odrzuciła warkocz na plecy.

– Gdy dom twój najechali, czułam zło, które w Wygnance w ten dzień nastąpiło... – Westchnęła i pochyliła głowę. – Pobiełam co tchu... Ale do wsi nie doszłam...

– Czemu? – wychrypiał sucho.

Pogładziła fałdy sukni. Szczupłymi palcami ujęła nasadę nosa i ścisnęła w zamyśleniu.

– W lesie zastałam jeźdźców. Mieli stroje jak Tatarzy. Ale nie byli to Tatarzy. Tegom pewna. Popas zrobili. A przy nich było dwóch z twojej wsi. Wielkoludy obydwaj. Powiązani leżeli na wozie, a tamci czekali widać na

kogoś. Z koni poziadali, ogień rozpalili. Podkradłam się, coby więźniów uwolnić... Jednemu tylko więzy na nogach przeciąć zdołałam. Gdyby cicho został... Ale poderwał się zaraz i z krzykiem w las pognał... Jakby mnie posłuchał, kiedy mu mówiłam, by czekał z ucieczką, pewnie i drugiemu bym pomogła... A tak rumor się zrobił... – Urwała, a Żegota wyszeptał:

– Fedko...

– Rzuciłam się w zarośla. Strzelali gęsto i za tym, com go uwolniła, i za mną... – Dotknęła ręką ramienia i skrzywiła usta w bolesnym uśmiechu. – Nie mijają wiedźm ołowiane kule...

Odwróciła się i przeszła po izbie.

– Ledwom wróciła do chaty. Tak... Do Wygnanki nie doszłam...

– Kto to był?! – Żegota przerwał gwałtownie.

– Nie Tatarzy.

– Kto?!

Sapnęła pogardliwie. Parsknęła zaraz gniewnie:

– Tacy, co ich w tych stronach pełno! Za groszem każdemu na służbę pójdą! Sabaci, Wołochy, Rusini tutejsi... Bóg jeden wie! A że w strojach tatarskich? Mało to każe się sługom tak przyodziewać w czas najazdu, by sąsiada ograbić, kupców łupić i chłopów trzebić?! Nie mów, mości Nadolski, żeś o tym nie słyszał! O tym, na przykład, że jak właściciel dzierżawcę z folwarku ruguje, to ten w czas najazdu chłopów sam Tatarom napędza, coby od pohańców za jasyr wziąć, a gospodarzowi majątek uszczuplić. Przecie normalne to rzeczy... – zawiesiła głos z ironią – ...nieprawdaż, mości panie?

Zacisnął pięści i nic się nie odezwał.

– Takie to wasze szlacheckie sprawy! – rzuciła zdławionym głosem. – I niczemu tu się dziwić nie można!

W głowie Nadolskiego pędziły tysiące myśli. Pytania, na które nie znajdował odpowiedzi. Jak to możliwe? Kto mógł się powazyć? Sulatycki? Stano? Kim byli przebrani na tatarską modłę ludzie? Przytknął kułak do skroni, a z piersi wydobył mu się jęk zwierzęcy. Ryta w milczeniu podeszła



do pieca. Gdy uniósł oczy, stała nad nim z kubkiem jakiegoś naparu. Podsunęła mu pod same usta.

– Pij! Na dziś wystarczy!

Pokręcił głową. Ale był zbyt słaby, by protestować. Wiedźma obróciła go na bok silnym ruchem i przytknęła naczynie do warg.

– Pij! I ja mam dość!

Bezwolnie przełknął słodkawy napój. Płatanina myśli mieszała się coraz bardziej. Aż w końcu zbiła się w czarną przepaść, w którą zapadł się, jakby zatracił oparcie pod stopami.

Zapach gotowanego mięsa drażnił nozdrza. Nadolski spod półprzymkniętych powiek oczami wpatrywał się w odzianą na czarno kobietę krzątającą się przy kuchni. Była odwrócona plecami. Czuł, że wie, iż się ocknął, lecz świadomie milczy. I jemu niespieszno było mówić. W głowie przelatywała mu poprzednia rozmowa. Dławiły go gniew i bezsilność. Kim byli zbójcy, którzy zabili Zośkę i dzieci? Łatwiej byłoby pogodzić się z ich śmiercią, gdyby to naprawdę Tatarzy, zło wcielone, zbrodni dokonali. A tak zostaną mu jedynie paląca niepewność i podejrzliwość. Czyż stać się to przecież nie może, że dłoń poda, zupełnie nieświadom, temu, kto wymordował mu bliskich? Czy nie minie go na jakimś sejmiku bądź popisie? Łudził się, że może to była zwykła swawolna banda, jakich niemało przy okazji tatarskich najazdów. Marne to było jednak pocieszenie. I sam w nie mało wierzył. Bo wiedział, że za takimi przebierańcami zawsze stać musi ktoś, kto im przewodzi. Najczęściej możny szlachcic. Czasem zbój głośnego nazwiska. Ten, kto ponosi odpowiedzialność za śmierć jego rodziny. Tutejszy. Pewnie żywy jeszcze. Próbował dociec motywów napaści. Ale nic mądrego nie przechodziło mu przez myśli. By przegnać dręczące go pytania, poruszył się. Ryta odwróciła głowę i zdało mu się w półmroku, że się uśmiechnęła. Chrząknął, oblizął spieczone usta. Wiedźma naląła coś do miski i podeszła. Wyczuł zapach rosołu i pustkę w żołądku. Kobieta postawiła naczynie na stojącym wciąż przy jego posłaniu stołku. Potem podała mu rękę.

– Siądź! – nakazała cicho.

Żegota, podtrzymując się jej dłoni, uniósł się. Plecy nie bolały, lecz ciągnęły, jakby skóra na nich napięła się i skurczyła. Poruszył nerwowo ramionami.

– To nic. Goi się. Tak musi być – wyjaśniła zdawkowo wiedźma, widząc grymas na jego twarzy.

Szlachcic powoli oparł się o ścianę. Bose stopy położył na podłodze. Ryta podała mu miskę z zupą.

– Jedz, bo z głodu zemrzesz.

Uśmiechnął się krzywo w niemym podziękowaniu. Czarownica dotknęła lewej strony jego twarzy, tej, która od lat była martwa.

– Apopleksja... – mruknęła bardziej do siebie niż do niego, odsuwając dłoń. Potem głośniejszym głosem zapytała: – Dawno ci się tak stało?

Pokiwał głową, przełykając zupę, i odpowiedział:

– Będzie sześć років.

– Krew w mózgu się rozlała. – Odwróciła się i odeszła do pieca.

Nadolski nic nie odrzekł. Kobieta naląła sobie rosółu, przysiadła przy stole w kącie i powoli zaczęła jeść. Wolno poruszała drewnianą łyżką. Żegota spojrzał na nią i odczuł, że zagłębia się w swoich myślach, wpatrzona przed siebie. Pochylił głowę, uniósł kolejną porcję zupy do ust. Nim ją przełknął, zapytał:

– Skąd się tu wzięłaś?

– Co? – Ryta odwróciła się wyrwana z zamyślenia.

– Pytam, skąd przyszłaś. Przecie mówiłaś, że wtedy, kiedy... kiedy Zośka u ciebie była, to ledwo co się sprowadziłaś.

– Aaa... – Znów spojrzała przed siebie i nabrała rosółu.

– Z Leżajska. Tam miałam rodzinę.

– Żydówka?

Parsknęła wzgardliwie. Po chwili potwierdziła:

– Żydówka.

Zapadła cisza. Miarowo stukwały łyżki. Nadolski skończył i odstawił miskę

na bok. Odetchnął głęboko i uniósłszy głowę, spojrział w sufit. Wtedy dobiegać zaczęły go słowa, wypowiedane beznamyślnie przez czarownicę:

– Mój ojciec był kupcem. Niewielu Żydów było w Leżajsku. Ledwie dwanaście rodzin. Żyliśmy, choć niełatwo nam było... – Przerwała. Nabrała tchu i westchnęła głęboko. – Potem... potem było jeszcze gorzej...

Opuścił głowę i spojrział na nią z pytaniem w oczach. Siedziała zamarta z na wpół podniesioną do ust łyżką. Przez chwilę bezgłośnie poruszała ustami, nim głucho wyrzekła:

– Był jeden taki. Nieważne, jak się zwał. Z takich jak ty. Szlachcic. Dnia pewnego, kiedym z wieczora do domu wracała, miałam nieszczęście natknąć się na niego i jego kompanów... Młoda byłam... Ładna...

Przygryzł wargi, rozumiejąc bez dalszych słów. Ryta przełknęła zupę i opuszkami palców otarła usta.

– W dziewięć miesięcy urodziłam córkę... Bóg świadkiem, że gdym była brzemienna, nienawidziłam jej. Marzyłam, by umarła we mnie. Ale ojciec mój nie pozwolił płodu spędzić... Rzekł, że każde życie szanować trzeba... Mądry był... A potem, gdym ujrzała tę twarzyczkę niewinną, te oczy niebieskie... Wszystko się we mnie odmieniło. Pokochałam ją mocniej niż siebie. Moją Miriam... Była całkiem inna niż ja. Miała włosy jasne, skórę jak śnieg białą...

Przesunęła lewą dłońią po oczach i odłożyła łyżkę. Potem spojrzała na Żegotę. W źrenicach miała martwą twardość.

– Rosła moja Miriam, piękniejąc każdego dnia. A ja z radością patrzyłam na nią, bo nie było w świecie całym lepszego i urodziwszego dziecka od niej... Za nic mi było, że bękartem niektórzy ją zwali, że hańba na mnie spada... A moi we wszystkim mnie wspomagali... – Westchnęła i na chwilę spuściła wzrok. – I byłabym szczęśliwa, gdyby ten, co mi to zrobił, nie zwiedziało się o niej... Ledwie pięć lat miała...

Przerwała. Nadolski siedział bez ruchu. Patrzył na jej bladą, smukłą twarz, na której ból wyrył rysujące się teraz wyraźnymi cieniami smutne zmarszczki.

– Był na Krymie murza jeden, co harem sobie z małych dzieci uczynił, bo lubował się w takich. Za jedno mu było dziewczęta czy chłopcy. A szczególnie upodobał sobie jasnowłose. Krewny Temira, Krwawego Miecza... Gdy dziecko takie dojrzałości w niewoli u niego jakimś cudem dożywało, przedawał je dalej, gdyż tracił doń upodobanie...

Żegota zadrzał ze zgrozy.

– Taaak... Był taki murza... – Ryta oparła dłonie o blat stołu. – Kupców ormiańskich w świat puszczał, coby brali mu dzieci urodne i na Krym wieźli. I płacili za nie złotem... Zwiedził się o tym ten szlachcic. A że Miriam zobaczył w Leżajsku, tedy plan w głowie mu się zrodził...

– Na Boga... – wyszeptał Nadolski.

– Pieniądze przehulał, majątność postradał. A bawić się lubił... – Zmrużyła oczy. Ręce zacisnęły się jej w pięści. – Najechał z ludźmi nasz dom. Wszystkich pobili... A Miriam... – Zawiesiła głos. Dopiero po chwili skończyła: – Ostatni raz ją wtedy widziałam...

Wstała i podeszła do komina. Prętem żelaznym rozgrzebała tłący się żar. Wpatrzyła się w niego, nim znów zaczęła:

– Gdym do przytomności wróciła, pobiegłam szukać... Znalazłam go w karczynie. Pił z kompanami za tureckie złoto... Błagałam, by rzekł mi, gdzie ona... gdzie moja Miriam, gdzie moje szczęście ostawił. A on śmiał się jeno... Potem... Potem pobił mnie i z karczmy wyrzucić nakazał. Nikt za Żydówką się nie wstawił...

Wrzuciła na żar suche kłody. Podniosły się na moment snopy iskier, mrok rozświetlając. Nadolski ujrzał na jej twarzy krople łez mieniące się w ogniu.

– Kupcy ormiańscy odeszli... Szukaj wiatru w polu... Nikt nie wiedział, kim byli ani dokąd poszli...

Wyprostowała się. Lico otarła skrajem sukni. Szlachcic siedział z opuszczoną głową.

– Trzy niedziele bez przytomności leżałam... Lepiej by było, żebym umarła...

Podeszła do Nadolskiego i usiadła naprzeciw. Przez chwilę wpatrywała się

w jego oblicze. Zaplotła dłonie i podparła brodę.

– Gdym do żywych wróciła, wszyscy myśleli, że rozum postradam... Że gniew i boleść mnie rozerwą na strzępy. Alem ani łzy nie uroniła! Wyszły wtenczas moje oczy...

Spojrzał w jej źrenice. Były jak dwie głębokie, mroczne studnie.

– Księgi czytać zaczęłam, co je mój ojciec miał. Jako że czytania od dziecka byłam uczona. O ziołach, czarach, demonach... Całe noce i dni. Po co? – pytali. Ojciec mój sądził, że zapomnienie w tym odnajdę, tedy nie wzbraniał... Nawet nowe kupował, jak mógł. – Głos jej stawał się monotony. Beznamiętny. – Dwa lata nauki takie brałam. Dwa lata, każdej godziny... Z domu prawie że nie wychodziłam... A potem zwiedziłam się, gdzie ten... – zagryzła na chwilę wargi – ...gdzie ten czarci syn siedzi. I wino mu posłałam, że niby od jednego z jego krewnych. A wina on nigdy nie odmawiał... – Uśmiechnęła się uśmiechem złym i strasznym. – Zdychał przez cztery niedziele. Pluł krwią własną. Z trzewi gnijących otworami ciała wylewała się zatruta posoka. Wył jak pies w boleściach, kiedy skóra cuchnącymi płatami z niego schodziła. Odpadły mu palce u rąk i nóg, oczy wyschły... Nie darmo księgi mroczne zgłębiałam! Aż zdechł!

Odśloniła białe zęby i wbiła oczy wprost w źrenice Żegoty. Tyle w nich mroku i nienawiści było, że Nadolski zadrzał mimo woli. A ona mówiła z wolna:

– Mówią, że zemsta nie wraca spokoju ducha... Prawdę mówią! Ale gdyby on żył... Oddychał tym samym co ja powietrzem... Nie zniósłabym tego !

Powoli odwróciła głowę. Jej piersi zaczęły unosić się wolniej. Usta na powrót się zacisnęły.

– Jego kamraci przyszli pewnej nocy i dom mój spalili. Widać zwiedzieli się, kto wino posłał. A może i nie? Kto wie... Mnie wiedźmą okrzyknęli. Okna i drzwi belkami podparli, żeby nikt żywy nie wyszedł... Nie wiedzieli, że tego czasu w domu nie była... Ale inni tam byli. Wszyscy. Cała moja rodzina.

Uniosła rękę i rozłożyła palce.

– Ot, z dymem poszło tamto moje życie...

Położyła dłoń na kolanach.

– U krewnych dalekich byłam. Ale bali się oni mnie trzymać u siebie, bo i na nich nieszczęście mogłam sprowadzić... Pognali mnie więc... – Pokręciła głową i skrzywiła usta. – Mówią, że nie ma tego złego, które by na dobre nie wyszło... Mnie też coś Bóg w zamian za ból ofiarował... Gdym mroczne księgi zgłębiała, rozpamiętując... rozpamiętując Miriam... stało się tak, że gdym kogo dotknęła, czasem widziałam jego przeszły i przyszły los. Zrazu mgliście i niewyraźnie, a później jakbym w malunek jaki się wpatrywała... Nawet gdym martwego dotknęła, to czułam, za jaką przyczyną ten świat opuścił, kto za tą śmiercią stoi, jakie było jego cierpienie... Wiem, bom jego truchła też dotknęła! Alem nikomu o tym nie rzekła... Lubuję się w tym wspomnieniu, kiedym poczuła, jak konał... Znam każdą sekundę jego bóleści. I żałuję jeno, że więcej bólu zadać mu nie zdołałam! Niech płonie w piekle na wieki! – Zaśmiała się bezgłośnie i martwo. Przerwała na chwilę. Wstała i przeszła się po izbie. – Taaak... Wiedziała, że moich bliskich śmierć rychła... Ale swojej nie czułam... Odeszło wszystko... A mnie tu los przywiódł po tułaczce...

Podeszła do stołu, wzięła pustą miskę. Potem odebrała od milczącego Nadolskiego drugie naczynie. Przeszła do pieca i odstawiła czarki. Odwrócona plecami rzuciła:

– Teraz już wiesz... Potom pobiegła do Wygnanki. Czułam... Wiedziała, że oni martwi... Ale gdybym ich ciało dotknęła, poznałabym kto...

Nadolski sapnął i spróbował powstać. Mocno oparł ręce na posłaniu i podniósł się na drżących nogach. Ryta przesunęła się i na niego popatrzyła.

– Nie pora jeszcze. Usiądź.

Podeszła do stołu. Podniosła krzesło i podsunęła szlachcicowi.

– Masz.

Gdy zgiął kolana i przysiadł, odsunęła się o dwa kroki. Wyzywająco nań spojrziała.

– Nic nie mówisz! Czy niesłusznie uczyniłam? Osądzasz mnie?

Żegota powoli pokręcił głową. Potem wycedził przez zęby:

– Sam bym tak uczynił... A może i gorzej! Gdybym... Gdybym tych, co mi dzieci i żonę ubili, odnalazł!

Pokiwała głową, postąpiła krok i położyła mu dłoń na ramieniu. Szlachcic nie drgnął. Ręką powoli pogładziła obolałe ciało.

– Odnajdziesz... Wiem to!

Podniósł dłoń i położył na ręce wiedźmy. Ta jej nie odsunęła. Czuł chłód szczupłej ręki, pulsowanie krwi w drobnych błękitnych żyłach. Zamarli w milczeniu. Jak ludzie, których połączyła wspólna boleść, nawzajem rozumiejący ogień płonący w ich duszach płomieniem nienasyconej zemsty. Wiedźma z wolna wysunęła w końcu swą dłoń. Odwróciła się i odeszła do stołu. Szlachcic siedział bez ruchu z opuszczoną głową. Długie siwe włosy smętnie wisały mu nad twarzą. Ryta oparła się o mebel. Zaplotła ręce.

– Z chłopami swoimi mówiłeś? Wiesz wszystko? Wiesz, że ksiądz odmówił pochowania twoich w poświęconej ziemi?

Gwałtownie podniósł głowę i oczy mu się rozszerzyły.

– Co?! – krzyknął zdławionym głosem.

Szarpnął się, by wstać, lecz nie zdołał. Opadł z łoskotem na kolana. Ryta nie drgnęła.

– Nie wiesz... – rzekła w zamyśleniu.

Nadolski oparł dłoń na krześle i mozolnie się podnosząc, wycedził:

– Mów!

Wiedźma skinęła głową. Gdy na powrót usiadł, zaczęła:

– Gdy chłopci twoich znaleźli, to Zośka była na krzyż do wrót przybita. A dzieci na postronkach za nogi na drzewie wisały... – Przerwała na chwilę. Kiedy ich oczy się spotkały, ciągnęła: – Na ciałach mieli znaki pogańskie nożem powycinane. Gwiazdę w pięć ramion. Znak diabelski. U dzieci na piersiach wyryty, a u Zośki na plecach... I litery jakieś. Nie rzekli ci tego chłopci... Nie dziwota! Boją się złego! Przyszedł ksiądz zawezwany z Bukowska, ale kiedy ujrzał znaki i usłyszał, że twoja do mnie chadzała, to zakazał brać ciała na cmentarz. I tak ich na górcie pochowali. Rzekł klecha

chłopom, że kara boska za diabelskie konszachty twoich spotkała. Że niby przeze mnie zabici, bo ja diabła na nich nasłałam. Tak było. – Rozłożyła ręce i zapytała: – Wierzysz, że za moją to przyczyną?

Pokręcił głową. Ryta opuściła ramiona wzdłuż ciała i schyliła głowę.

– Spalić mnie chcieli... W las uszłam, choć ledwie żywa była po postrzale... – Podniosła wzrok. – Tedy nie chadzam już do wsi okolicznych. A kto chce, to mnie tu znajdzie... Albo i nie. – Uśmiechnęła się gorzko. – Boją się! Bo mówią, że chłop z Pastwisk dotknięciem zabiła. A prawda taka, że zaraza u niego w domu była. Sam chory do mnie się przywłókł. Dałam mu zioła, ale mało mu było. Siłą mnie chciał do dzieci swoich zawlec. Poszłam, choć pewnie mogłabym go jedną dłonią powalić, taki był z choroby słaby. Alem dla tych dzieci poszła. Nie doszedł już do swoich. Umarł na polu przed Pastwiskami. A ja do siebie wróciłam. Ot, moje czarowanie!

Nadolski zmarszczył czoło. Dłonią bezwiednie przyglądał obwisłe wąsiska.

– Skąd to... Skąd wiesz?

Wzruszyła ramionami.

– Mówią o tym po chałupach... Przychodzą tajemnie do mnie po zioła, to opowiadają. A i ksiądz, ten z Bukowska, na kazaniu prawil o znakach diabelskich. Jakoby dla utwierdzenia ludzi, że Tatarzy to plaga przez Boga na pokaranie grzeszników nasłana. Tylko... Tylko tak, jakem ci mówiła, nie byli to Tatarzy. I nie Bóg ich nasłał. Tego i ty chyba jesteś pewny? Prawda?

Po tym pytaniu spojrzła mu w twarz. Po chwili nieznacznie skinął głową i szepnął:

– Prawda...

Zmrużyła oczy. Niepewnym głosem rzekła:

– To i jedno ci jeszcze powiem... Choć może nie powinnam... Ale wiedzieć musisz... Jaki miesiąc po pochowaniu twoich podobno Rusini z Nadolan groby odkopali... Baczów<sup>[22]</sup> sprowadzili...

– Jezu! – wyjęczał Żegota i za głowę się złapał. A wiedźma dokończyła:

– ...kołkami ich piersi przebili, coby Zośka jako strzyga, a dzieci



mułuchidami<sup>[23]</sup> nie wrócili. Nie wiedzieli w Wygnance o tym twoi chłopci, bo pewnie by nie zezwolili. Ale stało się. Taka prawda...

Szlachcic siedział z głową spuszczoną, mnąc w gniewie siwe włosy na skroniach. Brakło mu słów, by odrzec cokolwiek. Ryta podeszła do pieca i nalała wody do kubka. Bez słowa podała Nadolskiemu. Stała nad nim, czekając, aż wypije. Potem odebrała czarkę. W to samo naczynie i sobie nalała. Kiedy przełknęła kilka łyków, znów się odezwała:

– Czasem, kiedy nocą sen nie przychodzi, błąkam się na jego granicy. Ni to na jawie, ni to rojąc marzenia nierozumne. Żadnej władzy nad nimi nie mam... Jakbym środkiem rzeki z nurtem płynęła. Szerokiej. Takiej, co brzegu jednego ni drugiego nie widać. Tylko niekiedy pojawia się obraz niczym fragment lądu na horyzoncie. Raz znajomy, innym razem odległy tak, że ani ludzi, ani miejsca nie poznaję. Tak i ciebie ujrzałam. I wiedziałam, że przyjdiesz kiedyś do mnie... Znam cię, mości Nadolski. – Uśmiechnęła się smutno. – Nie wierzysz mi pewnie... Mnie samej byłoby trudno uwierzyć, gdybym tego nie czuła... Zdarza się, iż myślę, że to szaleństwo jakieś... Raz na przykład widziałam idącego tymi wzgórzami mężczyznę. Podróżnego z workiem na plecach, w zwyczajnym odzieniu. Wysoki był. Twarz miał dobrą. Szedł i lasy tutejsze podziwiał. A potem tegoż samego widziałam w Rzymie, jak w stolicy Piotrowej zasiada w papieskiej tiarze... Jakież w tym sens? Jak uwierzyć, że zdarzyć się może? Ale czasem nieodległe rzeczy mi się objawiają. I wtenczas, gdy się wydarzą, myślę, że i te inne obrazy prawdę jakąś mi pokazują. Bóg jeden wie jaką. Kiedy spełnioną. Chciałabym sama to rozumieć... – Westchnęła, odstawiając naczynie. – Chciałabym ujrzeć, jak wtenczas było. W duszy proszę o to... Gdzie moja Miriam? Czy żywa jeszcze? Czy wróci kiedy? Czy spotkam ją? A jeśli martwa, to jak... – Uniesiona dłoń opadła jej bezwładnie. Opuściła głowę i skończyła ze smutkiem: – Ale nie widzę...

Nadolski pokiwał głową. Przez chwilę milczał. Potem zapytał głucho:

– A czy moją... Czy tamten dzień widziałas w swoich snach?

Zaprzeczyła wolnym ruchem.

– Nie. Czułam jeno z rana złe, które w okolice przyszło. I śmierć twojej

żony. Bez obrazu żadnego. Jak... jak zapach jakiś, co myśli w głowie przywołuje... A potem? Tyle wiem, com na oczy widziała. Gdybym dotknęła ciała, wtenczas może... Ale nie dane mi było.

Szlachcic zgarbił się i wpatrzył w podłogę. Poczłł nagle bezgraniczne zmęczenie i smutek dojmujący serce mu ścisnął. Nawet po śmierci nie oszczędzono ciała jego zmaltratowanych bliskich. Nie unosząc głowy, wyszeptał:

– Położę się już. Słabym...

Ryta postąpiła ku niemu i pomogła dojść mu do posłania. Bez słów ułożyła go, okryła ostrożnie derką. W izbie słychać było tylko monotonne strzelanie ognia w kominie. Za ścianą szumiał las. Żegota zamknął oczy i spróbował wyrzucić z głowy wszystkie ponure myśli. By żadne słowo i obraz nie dodawały mu cierpienia. Człł, że aż nadto ma go w duszy. I jeśli więcej dojdzie, to umrze w nim resztką człowieka. A wtenczas żadna dobra myśl ni wspomnienie się nie ostanie.

Przyjechali po niego w południe. Choć siły mu jeszcze nie wróciły, człł, że idzie ku zdrowiu. W ramionach i plecach ból zelżał. Mimo to twarz miał smutną, pobladłą i zwiędłą. Niewiele już z wiedźmą gadał. Bo to, czego miał się dowiedzieć, już wiedział. Nie tego czekał wieziony na uroczysko. I sam nie był pewny, czy dobrze to, czy też źle, iż Ryta rzekła mu o wszystkim. Do starych trosk nowe dodała. W ten oto sposób związała go powrozem z przeszłością, od której ani pokutą, ani modlitwą uwolnić się nie zdoła. Jedynie zemstą.

Kiedy ułożyli go w noszach, spojrzął po raz ostatni w smutną twarz czarnowłosej Żydówki. Ta podeszła i ujęła go za dłoń. Uśmiechnęła się blado. Odwzajemnił uścisk chłodnej, delikatnej ręki. Tej, co śmierć okrutną zadała, bo zabrano jej czułość matczynego dotyku. Spojrzął w czarne oczy. Gorycz w nich była i wiekuiste strapienie. Bezkresne. Puszczając jej palce, szepnął:

– Do zobaczenia.

Ryta pokręciła głową ze smutkiem.

– Kiedy się znów zobaczymy, jedno z nas umrze. Pamiętaj o tym! Nie

zajeżdżaj już nigdy do mnie. Ani nie szukaj... Żegnaj, mości Nadolski. Na zawsze... – Odwróciła się. Z delikatnym szelestem czarnej sukni, mijając wystraszonego Semka, podeszła do drzwi. Znikając w nich, rzuciła: – Znajdziesz ich! A wtenczas...

Drzwi zamknęły się ze skrzypnięciem. Żegota wpatrzył się w niewidziane tyle czasu niebo. Nabrał w płuca powietrza, a w myślach brzmiały mu wciąż ostatnie słowa Ryty. I nie było okrucieństwa, które nie przeszłoby mu przez głowę, kiedy dokończył przerwane przez nią zdanie.

**KRUSZEWSKI**

Nadolski nie pozwolił się na powrót ułożyć w chłopskiej chałupie. Kazał się wieźć do rozbitego dworu. Tam był jego dom. Co dzień zachodzili do niego Semko z Fiodorem, a Bejda w stajni nocował, przy koniach. Plecy goiły się smarowane daną przez Rytę maścią. Czerwone blizny, nabrzmiałe jeszcze, tężały nieregularnymi śladami. Żegota począł wstawać. Dni stawały się coraz cieplejsze. Słońce wyżej wschodziło. Wiosna dojrzewała wokoło. Gdyby nie smutek i gorycz w duszy, inaczej mógłby spoglądać na świat Nadolski. A tak patrzył na zieleniące się pola, by zaraz głowę w stronę grobów odwrócić i poczuć w sercu bolesne ukłucie żalu i tęsknoty. Nie wyrzekł Fiodorowi, że wie, jak było z pochówkiem. Cóż miał chłopu powiedzieć? Jaką winę mu przypisać? Co mógł on wtenczas uczynić? Tak widać być musiało i nijak nie można było czasu cofnąć ani odwrócić.

Dni mijały. Zbliżał się termin wyznaczony wizytą Sulatyckiego, lecz Żegota nie czynił nic. Odkąd wrócił chłop posłany do Dobrej z wieścią, że panowie Dobrzańscy przybyć nie mogą, bo ich ważne sprawy w domu trzymają, szlachcic stracił nadzieję na pomoc. Jedyne Bóg mógł cokolwiek zaradzić, zsyłając cud jaki, lecz i w ten nie wierzył już Żegota. Były wieczory, że modlitwą żegnał się powoli ze światem. Może by i kazał dla spowiedzi księdza sprowadzić z Bukowska, lecz nie mógł po tym, co o Zośki i dzieci pochowaniu usłyszał. W głowie układał zasłyszane od Ryty słowa, lecz żadną miarą dojść nie mógł, kto i z jakiej przyczyny mógłby zabić jego rodzinę. Stano mógł połakomić się na Wygnankę, miał jednak tysiące innych sposobów. Może i był chciwy, lecz nigdy Nadolski nie słyszał, by rabunkami się parał. Sulatycki dopiero rok później przyszedł, jak mu chłopci oznajmili. I nie stać by go było, żeby bandę samemu przysposobić. Myślałby, że przypadek jakowyś zdarzyć się mógł, gdyby nie rzekła mu wiedźma o okaleczeniach ciał. Zabić to jedno. Ukrzyżować, znaki nożami poryć to co innego. Jakby kto rankor jakiś miał, który musiał w zbrodni ujście znaleźć.

I tacy by się znaleźli, bo na wojnie Nadolski był okrutny, lecz dopiero po śmierci Zośki. Wcześniej jak inni żył. Wrogów nie miał.

Kiedy trzeci tydzień dobiegał końca, szlachcic częściej przed dwór wychodził i ciało w promieniach słonecznych wygrzewał. Patrzył wkoło, lubując się w widoku zmartwychwstającego świata. Nikt, prócz Fiodora z synem, ze wsi do niego nie zaglądał. Przyczaili się chłopci, czekając, co los przyniesie. Może i woleliby starego pana, ale radzi by też po grzbiecie już nie brać. Niektórzy, jak powtarzał mu Fiodor, mówili, by na czas oznaczony przez Trofana Sulatyckiego do lasu ująć i powrócić wtenczas, kiedy wieści się objawią, kto teraz prawowity gospodarz. Inni powiadali, że w chałupach siedzieć cicho trzeba, bo Sulatyckiego rozeźlić może, że chłopci mu się rozeszli, a tych, co tak uczynią, pewnikiem wybatoży. Nie było takich, co wróżyliby Nadolskiemu wygraną. A i on sam również wiarę w to utracił.

Ostatniego dnia przed zapowiedzianą wizytą dzierżawcy, późnym popołudniem, zasiadł Żegota przed zawalonym domostwem, jak zwykł był czynić. Wracały mu siły, ale nie na tyle, by o zdrowiu mógł już mówić. W samej tylko koszuli, spodniach jedynych, co mu zostały, butach utrudzonych pielgrzymką, bardziej na jakiego włościanina wyglądał niż herbowego szlachcica. A i włosy siwe, nieprzycinane, utwierdzały to wrażenie. Mrużąc oczy, spoglądał na odległe chałupy, obsiane pola, ciągnące się w oddali wzgórza pokryte lasami. Rozpamiętywał przeszłość, kiedy dzieckiem jeszcze będąc, patrzył na ten skrawek jak na świat ogromny. W nim zamykał się jego kosmos. I był tu szczęśliwy, choć wtenczas tego nie pojmował. Jak i wtedy, kiedy z Zośką gospodarował. Przeszło to bezpowrotnie. Westchnął i twarz dłońmi przetaił dla odegnania smętnej myśli. Bo i po cóż ona? Ani nią zapobiec czemu, ani zmienić cokolwiek.

Na drodze od wsi ujrział idącą postać. Poznał Semka, który o tej porze zwykle zachodził. Od paru dni chłopak zagadywał, coby może zabrać majątność ukrytą i wyjechać. Złościł się Żegota na te nagabywania i zbywał pocztowego szorstkim słowem. Ten jednak był uparty. Nie gniewał się na to Nadolski nadto, bo wiedział, że z troski Semko mówi, nie ze strachu. Trzy razy już panu swojemu życie w chorobie ocalił. Wiedział szlachcic, że nie

mógłby mieć lepszego sługi. Przyglądał wąsy i w bezruchu patrzył na powiększającą się sylwetkę. W głowie przebiegały mu myśli, które od paru dni układał. Bo kiedy zemrze, to nikogo bliskiego nie ma. Krewni, co są, niewarci niczego, skoro pomocy odmówili. Sam był jak palec. A ten Semko lata przy nim spędził. W potrzebach stawał. Choć zhardział, to wierności odmówić mu nie było można. Niech więc on schowane złoto zabierze. Jemu, Żegocie, talary po śmierci nie będą potrzebne. Ani też myślał zbawienie duszy darowizną jaką na kościół kupować. Skoro jego dzieci i żonę bez księdza chowali, niech i jego też tak położą. Przy nich, na górcie. O to jedynie Semka chciał prosić.

Niespodziewanie szlachcic dostrzegł kątem oka ruch jakiś na prawo, gdzie droga z Nadolan do Odrzechowej szła. Obrócił głowę i zmrużył oczy dla lepszego widoku. Przygryzł wargi. Ot, nie spodziewał się. W dole jeźdźcy sunęli niespiesznie, najwyraźniej do jego dworu się kierując. Przez myśl mu przeszło, że widać zniecierpliwził się Sulatycki i dzień wcześniej przyjechać postanowił. Zaklął pod nosem i dźwignął się z westchnieniem. Semko, który też konnych zobaczył, kroku przyspieszył. Nie czekając na niego, Żegota wszedł do izby i szablę swoją w dłoń ujął. Pogładził rękojeść, pocałował krzyż jelca. Mimowolnie się przeżegnał.

– No, Żegota, pora na cię przyszła... – mruknął i wyszedł na powrót przed dom.

Zdyszany Semko stał już tam pochylony, ręce opierając o kolana. Oczy tylko podniósłszy, wydyszał:

– Jada, wielmożny panie. Weźmy choć konie i w las...

Szlachcic przerwał mu ruchem dłoni.

– Ty jedź! Bejdę zabierz! Ja iść z mojego nie zamierzam!

– Jakże to!? Panie! – zaoponował gwałtownie chłopak. – Przecie tak nie można...

– Nie gadaj! – Nadolski złapał pocztowego za rękaw. – Rób, jak każę, bo ja tu jeszcze pan! Jazda mi stąd! Ale już!

Chłopak pokręcił głową, ale polecenie wykonał. Wyciągnął Bejdę, który

tylko co zdołał swój łuk zabrać, i przed Żegotę przyciągnął.

– Konie bierzcie! Niech choć one się psubratowi nie dostaną! Żywo!

Słudzy pospiesznie wpadli do stajni. Sylwetki zbliżających się były coraz wyraźniejsze. Nadolski oparł się na szabli i czekał. Lecz im bliżej byli konni, tym bardziej coś nie pasowało szlachcicowi. Banda Sulatyckiego niesforna była i mało karna. Rozbiegana. Tymczasem ci, co jechali, szli w wojskowym porządku. Równo, w szeregach, jedni za drugimi. Moderunek też mieli jakby wojskowy. Tylko jadący na czele krasne mieli stroje. Reszta zaś z żołnierska się nosiła. Zdało się, że są w kolety odziani. Żegota pewnością uczuł, że to nie banda swawolna, lecz jacyś wojskowi nadchodzą. Nie Sulatycki! Spadł mu z serca przykry ciężar. Nie pojmował jednak, po co wojsko jakieś w kilkadziesiąt koni ku niemu ciągnie. Wiedział, że chorągwie na leżach lubią poswawolić. Że obrok i żywność wszelką sposobnością dobywają. Sam tak dawniej czynił. Ale w Wygnance raczej na wiele liczyć by nie mogli. Wpatrzył swoje szare oczy, by po ruchu jakowymś zamiary jezdnych poznać. I nagle zaświecił mu na przodzie znany czerwony żupan.

– Kurwa... – wyszeptał bezwiednie. – Tego mi jeszcze do szczęścia brakowało... Kruszewski...

Rzeczywiście. Był to młody szlachcic, którego gdy wracał, na swojej drodze spotkał. Jechał na przedzie. Konia nie poganiał. Można by nawet pomyśleć, że się ociąga. Ale z każdym stąpieniem wierzchowca bliżej i bliżej był ruin dworu. Nadolski się nie poruszył. Kiedy Semko i Bejda zwierzęta ze stajni wywiedli, gestem nakazał im zostać. Stanęli więc, trzymając za uzdy wierzchowce osiodłane, i w ciszy wpatrywali się w niespodzianych gości. I oni pojęli, że to nie Sulatycki nadchodzi.

Tymczasem Kruszewski w towarzystwie jakiegoś wojskowego, dowodzącego widać, wjechał w rozbitą bramę. Rozglądał się przy tym z ciekawością i wężem czarnym poruszał. Żegota nie drgnął nawet, stojąc wsparty na swojej szabli. Wbił w młodzika oczy twarde, czoło zmarszczył, nogi rozstawił, by oprzeć się mocno o ziemię. Kruszewski ściągnął wodze i wpatrzył się przez chwilę dłuższą w starszego szlachcica. Żegocie przez myśl przeszło, że widać chce swoją reputację podreperować i zaraz do szabel

przyjdzie. Wiedział, że teraz go nie przemoże. Wykręcone barki i poranione plecy wciąż znać o sobie dawały. Słaby był. Mimo to stał dumnie, jak na szlachcica w swojej dziedzinie przystało. Tymczasem Andrzej Kruszewski z konia zeskoczył, oddając wodze najbliższemu żołnierzowi. A byli to żołnierze nie byle jacy. Dragoni, którzy coraz większe uznanie mieli wśród wojska. Zza nich wyłonił się rumiany Wawrzyniec Sulatycki. Drgnął Żegota, przypomniawszy sobie rozmowę z nim w karczmie, i przez myśl mu przeszło, że pewnie krewny Trofana. Znów niepewność w jego duszy nastąpiła. Młody szlachcic zaś podszedł i stanął naprzeciw. Dłonią wąsy przygładził, wzrok niepewnie odwrócił. Ustami poruszył, niby słowa jakieś układając, nim je na głos wypowie. W końcu westchnął i gwałtownym ruchem czapkę ściągnąwszy z głowy, ukłonił się. Nadolski aż usta otworzył ze zdumienia. Nie tego się przecież spodziewał. Nie zdołał nawet otrząsnąć się z oszołomienia, gdy usłyszał młodego szlachcica:

– Witam, mości Nadolski! Wybacz waszmość, że z tak liczną kompaniją śmiem niepokoić...

Przerwał i wąsa podkręcił. Sulatycki powoli gramolił się z konia na ziemię. Żegota odklonił się sztywno. Wracił mu powoli spokój, lecz nic się nie odezwał. Kruszewski zaś znów zaczął:

– ...ale nakazał mnie pan Stanisław Dereśniak do waszmości zajechać... i panna Agnieszka Wierzbowska prosiła, by pozdrowienie przekazać...

Ciężko młodemu przechodziły przez gardło uprzejme słowa. Widać było, że rzadko kiedy takich używa. Mimo to nie sprawiał złego wrażenia. Raczej wyglądał na zakłopotanego niż na kogoś, kto całkiem wbrew sobie mówi. Przerwał na chwilę, powietrza nabrał i westchnął, jakby coś najtrudniejszego zaraz miał wyrzec.

– ...a i ja chciałem się waszmości ukłonić... i rzec, że jeśli waszmości wola... jeśli wola sprawę dokończyć... to jestem do usług waćpana... Bom wtenczas... znaczy się w karczmie... niepotrzebnie waszmości uchybił... za co o wybaczenie proszę...

Odsapnął jak po trudzie ogromnym i głowę jeszcze raz skłonił. Żegota patrzył w milczeniu, choć w duszy jego było więcej niż zdziwienie. W końcu



dłonią po szorstkiej brodzie przejechał i odrzekł:

– Rad jestem waszmości w zdrowiu widzieć! A o zwadzie tamtej godzi się nam zapomnieć, bo żadnej urazy do pana nie mam, mości Kruszewski. I waszmość do mnie urazy nie chowaj. Ot, zdarzają się czasem takowe nieporozumienia. Pannie Agnieszce za pamięć proszę podziękować, bo anim się spodziewał, że mnie wspomni. A panu Dereśniakowi kłaniam się nisko.

Cisza zapadła. Kruszewski unikał wzroku Żegoty. Tymczasem u boku młodego stanął Sulatycki i sapiąc ze zmęczenia, również się skłonił.

– Czołem, panie Nadolski! Wróciłeś waszmość do siebie!

Rozejrzał się wkoło.

– Dużo pracy waści czeka!

Żegota pokiwał głową. Skrzywił się nieco i odpowiedział złośliwie:

– Cóż, nie zadbał o gospodarstwo krewniak waćpana!

Stary szlachcic poczerwieniał na twarzy. Rękami za pas się złapał i sapnął głośno.

– Nie żaden mi krewniak, mości Nadolski! Żaden krewniak! Toż to cham jest, co się do klejnotu nieprawnie przyznaje! Jak mi Bóg miły, panie Nadolski! Cham jest! Skóra mu na nazwisko! Trofan Skóra! Gdyby nie to... nie to, że sobie chorążego sanockiego za patrona przyjął, dawno by mu Sulatyccy naganę szlachectwa zrobili! Albo i kijami, jak się należy, obtłukli! Pies i cham to jest! Tak się rzeczy mają!

Prawdę widać mówił, bo gniew jego był aż nadto widoczny. Zdumiał się Żegota, więcby sytuację ułagodzić, rzekł:

– Przepraszam waszmości, jeśli uraził. Nieznane mi to sprawy, toteż sądziłem, że krewniak. Tym bardziej się cieszę że nie, gdyż mi ów Sula... – przerwał w pół słowa – ...ów Skóra mocno za skórę zalazł.

– Taki on jest! – przyznał skwapliwie Sulatycki i krok ku Nadolskiemu postąpił. – Chamska w nim dusza, to i po chamsku postępuje! Tfu! – Splunął na bok zamasyście.

Żegota pokiwał głową. Spojrzał na milczącego Kruszewskiego. Ten z nogi na nogę przestępował i oglądał się wokół. W końcu gospodarz zapytał:

– W czym mogę pomóc waszmościom?

Kruszewski nagle postąpił do przodu i prawą rękę wyciągnął.

– Na zgodę, panie Nadolski. Słaby ze mnie orator, ale szczerze o wybaczenie proszę! Ot, zapalczywość czasem górę bierze! Alem naukę dostał! – Pomacał się po karku.

W niebieskich oczach nie było buty ani chłodu pamiętanych z wcześniejszego spotkania. Raczej skrępowanie. Żegota zatem mocno uściśnął prawicę młodego szlachcica. Ten uśmiechnął się spod czarnych wąsów, a choć twarz się śmiała, to było w tym coś wilczego. Zawadiacki musiał w nim być temperament. Tym bardziej należało cenić, że pierwszy rękę wyciąga, bo wiele musiało go to kosztować.

Młody oficer dragonów, w kolecie obszytym srebrną nicią, zeskoczył z konia i podszedł do stojącej trójki. Skłonił się, wyciągając rękę do powitania.

– Krzysztof Wolski, u dragonów pana Gottharda Platera porucznik, pana Andrzeja krewniak i przyjaciel.

– Zaszczyt to dla mnie, mości Wolski. – Żegota uściśnął dłoń i pochylił głowę w uszanowaniu.

– Właśnie, panie Nadolski! – Kruszewski rad był ze zmiany tematu. – Prosić chcielibyśmy, coby żołnierze pana Krzysztofa obozowisko mogli na noc w waszmości majątku uczynić. Z góry mówię, że mają prowiant swój i o żadnych ekscesach nie może być mowy. W drodze jesteśmy, tedy jutro co świt się dalej zbierzemy.

– Słowem ręczę, że gwałtów żadnych nie będzie! Karny to żołnierz i na wojnach już bywały, choć z chłopów ruskich – dodał oficer.

– Nic przeciw nie mam! – Żegota nawet spróbował się uśmiechnąć. – A i z waszmościów wizyty rad jestem, bo sam tu jak palec siedzę. Nie masz u mnie może warunków... – ręką wskazał za siebie na rozbite domostwo – ...ale w gościnę zapraszam. Zaraz każę chłopom jedzenia jakiego uwarzyć... Może wieprzka na rożen. Co do wina, to niestety marny mam zasób, ale co jest, to dla waszmościów!

– U nas akurat na winie nie zbywa! – Sulatycki rozpromienił twarz w rubasznym uśmiechu. – Nie frasuj się tedy, mości Nadolski! Wspólnymi siłami damy sobie radę! A i do niewygód my przywykli!

Dragon uklonił się i oznajmił, iż pójdzie ludziom rozkazy wydać. Żegota odwrócił się, by gości w swe skromne progi wprowadzić. Nie spodziewał się, że Sulatycki bezceremonialnie podchwyci go za łokieć. Syknął z bólu, który odczuł w barku i plecach.

– Cóż to waść? Niezdrów może jesteś? – Kruszewski przystanął i spojrzał z troską.

Nadolski brwi zmarszczył i mruknął:

– Długo by gadać... – Zaraz też zapytał, by temat zmienić: – A waszmościowie z wojskiem to na jaką wyprawę? Widzę, że mało pół chorągwi pan porucznik Wolski wiecie! Wojna jaka nastąpiła? Tatarzy idą?

Kruszewski zmieszał się nieco. Spojrzeli po sobie z Sulatyckim. Z ociąganiem w końcu odparł:

– I o tym długo by gadać... – uniósł w półuśmiechu prawy kąt ust – ...ale że czas mamy, tedy przy winie opowiem. A i do waszmości drugą prośbę mieć będę...

– Rad spełnię! – odrzekł gospodarz.

Przez niskie drzwi weszli do smętnej izby. Z grzeczności z ust gości słowo żadne nie padło, choć musiało zakłuć w oczy ubóstwo na wpół rozbitego domostwa. Nadolski prędko Semka przywołał, kazał mu izbę i stół uprzątnąć i do wsi posłał, coby prosię jakieś przygotować dla gości. Bejdzie nakazał przynieść dzbany z winem, które cudem jakimś się pod sianem po najeździe dzierżawcy ostały. Skromnie to wyglądało, tym bardziej że każdy z biesiadników inne naczynie do trunku otrzymał. Mało tego. Nawet cynowych kubków nie było, więc trzeba było się glinianymi zadowolić. Wstyd było biedy Żegocie, ale cóż miał począć. Radował się w duchu, że wojsko przyszło. Może minie Trofanowi ochota na zwadę, jak dragonów ujrzy. Choć przecież zaraz dalej iść mają.

Wieczór już nadciągał. Usiedli przy stole. Zaraz też zjawił się porucznik

Wolski, który w koszu osobiście doniósł kilka butelek węgryna i wojskowego prowiantu. Jak nie omieszkał zaznaczyć Wawrzyniec Sulatycki, wina były z piwnicy jegomości Dereśniaka, który lepiej niż inni na nich jakoby się wyznawał. Wkrótce też doszło do pierwszych toastów, za zdrowie gospodarza. Dawno Nadolski nie pił, pokutę odbywając, a i słabował jeszcze. Trunek prędko do głowy mu poszedł. Więc kiedy Wolski o niedomaganie jego zapytał, wprost opowiedział o przyczynie niemocy. Stary Sulatycki aż dłonie w pięści zacisnął i co rusz w trakcie opowieści przeklinał najgorszymi słowy Trofana Skórę. I w twarzach Kruszewskiego, i Wolskiego zgroza się odbiła na takie potraktowanie gospodarza. Głowami z niedowierzania kręcili. Różnie bywało na świecie, ale żeby cham poważił się na pana rękę podnieść? Toż była to obraza boska! W dodatku cham, co się kłamliwie do szlacheckiego rodu przyznawał. Kiedy Żegota skończył, rumiany szlachcic, podochocony winem, jął opowiadać, jak to chłop Skóra przez kłamstwa i machinacje pergaminy sobie kupił, które jakoby urodzonym Sulatyckim go czyniły.

– Takiego Żyda przecherę znalazł, który gdyby mu zapłacić, to i od Radziwiłłów ród jego by wywiódł! A przecie wiadoma to rzecz, że cham to z chamów zrodzony, który się we wsi Krajna ulągł! Pies i skurwysyn! A my, Sulatyccy, za niego świecić oczami mamy! Dlatego waszmości w karczmie nie wspominał, bo wstyd mi było, że chamowi szlactwa nikt nie naganił! Ale na to, jak wiesz waszmość... – pochylił się ku Nadolskiemu – ...grosza trzeba! Ale przyjdzie na kurwiego syna sprawiedliwość! – Spojrzał przy tym na Kruszewskiego.

Ten oczy zmrużył. Najmocniejszą miał głowę, więc trzeźwo myślał. Ale widać pojął, o co może iść staremu. Czarnego wąsa przygładził.

– Tak, panie Nadolski... Okazja mi się nadarza, żeby waści się odwdzięczyć, żeś mnie przy życiu zachował...

Żegota już chciał przerwać, lecz młody szlachcic dłoń tylko uniósł.

– Nie neguj waćpan, bo mi panna Agnieszka rzecz wyłożyła, jak było. Miałeś mnie pod szablą, co i sam wiem, bom niejedną bitkę przeszedł. Aleś mnie płazem uderzył! Fehmistrz z waćpana, przyznać muszę, jakiegom

jeszcze nie widział! Tedy wybacz, mości Nadolski, alem wdzięczność waćpanu winien!

Nic nie odrzekł gospodarz. Przepił tylko winem do czarnowąsego młodzieńca. Sulatycki zaś, korzystając z okazji, wtrącił:

– Nie godziłoby się tak zacnego szlachcica w potrzebie zostawić... – zerknął na Wolskiego, który właśnie gliniany kubek opróżniał – ...prawda, panie Wolski?

Ten spojrział półprzytomnie. Wino i na niego już działać zaczęło. Głośno kubek na stół odstawił.

– Rację masz, waszmość Sulatycki! Nie godziłoby się, tak sprawy ostawić!

– Tedy rzecz postanowiona! – Stary klepnął się w uda z radością.

Nadolski zdziwiony nań popatrzył, a Sulatycki pospieszył z wyjaśnieniem:

– Nie na darmo ma pod sobą pan Wolski czterdziestu dragonów! Radzi zaczekamy na wizytę tego psa Skóry! Prawda, panie Wolski?

Oficer już miał coś odrzec, lecz spojrział pytająco na Kruszewskiego. Młody szlachcic skinął głową nieznacznie.

– Skoro jutro ma tu hultaj zawitać, tedy nam czasu nie ujmie... Tym bardziej że, jak rzekłem, mam i ja do waszmości prośbę... – Kruszewski odwrócił się ku Żegocie – ...z którą mnie tu panna Agnieszka, za pozwoleniem jegomości pana Dereśnaka, posłała...

Gospodarz nadstawił ucha. Za pomoc w sprawie gotów byłby każde życzenie spełnić. Wysapał przy tym:

– Dłużnikiem będę waszmościów! Tedy co mogę, gotów jestem dla was uczynić! Mówże więc, mości Kruszewski! A ja do usług jestem waćpanów!

Zamilkli nagle Sulatycki z czarnowłosym. I Wolski głowę spuścił. Cisza zapadła grobowa. Poczul Żegota, że o ważną rzecz idzie. Wino w jedną chwilę z głowy mu wywietrzało. Kubek ciężko na stół odstawił i głosem poważnym ponowił prośbę:

– Mówże więc, panie Andrzeju!

Ten czuprynę zmierzwił, ręce na stół położył i oparł się w krześle. Wąsami poruszył, zbierając się długo, by coś wyrzec. Rzucił okiem na Sulatyckiego,

ale stary tylko głową pokiwał. W końcu Kruszewski wciągnął nosem powietrze, westchnął głęboko i zaczął:

– Mości Nadolski! Aby rzecz całą objaśnić... Abyś waszmość wiedział, o co idzie, muszę zacząć od początku. A dłuższa to jest historia... Znasz waszmość nazwisko pana starosty dolińskiego Serafina Krasickiego. Człek to zalet niepospolitych, wielki pan i króla naszego umiłowanego przyjaciół. Bóg obdarzył go swą łaską, dzięki czemu ludzkim szacunkiem i majątkością się cieszy. Jego zasługą jest też to, że w ziemi dolińskiej spokój nastał, gdyż skutecznie egzekucję na Studnickich wykonał. Jednym słowem, człek zacny i niepospolity. Jednego mu tylko Bóg w swej łasce nie dał. Otóż potomstwa się własnego z małżeństwa z Beatą Tarnowską nie dochował. Przeto miłość swą przelał na bratanka Marka, najmłodszego z synów Zygmunta, starosty leżajskiego. Wziął go na wychowanie do Krasiczyna, gdzie charakter w nim chciał ukształtować. Ale bardziej się chyba ów młodzian w ojca wdał... Dość, że pan kasztelan z goryczą na przyszłych swoich spadkobierców spogląda. Bo ani to jego prawdziwi synowie, ani znani z zacności nie są.

Przerwał, kubek z winem uniósł i wypił jednym haustem. Otarł usta wierzchem dłoni.

– Ale nie o owym synowcu Marku nam mówić... Otóż umiłował sobie pan starosta innego młodzieńca, który może i z charakteru gwałtowny, z obycia szorstki, ale...

Zamilkł i czoło zmarszczył. Spode łba na Sulatyckiego zerknął. Ten zachęcił:

– Mówże, panie Andrzeju! Nie ma co kryć!

Kruszewski nasadę nosa palcami ścisnął i dokończył:

– ...ale z krwi jego własnej.

Żegota oczy otworzył szeroko i wąsy przygładził. Nie odezwał się jednak.

– Tak! Ma pan Serafin Krasicki syna z nieprawego łoża, który jednak ze szlachcianki jest zrodzony – kontynuował czarnowąsy szlachcic. – Jerzy Poniatowski. Z matką jego dawnymi czasy pan starosta wielce się miłował, ale że majątkością i rodem nijak mu nie równała, więc o jakichkolwiek

ślubach musiał zapomnieć. Wyszła później owa niewiasta za męża za Poniatowskiego, herbu Ciołek, który szczodrością pana Serafina Krasickiego skuszony zgodził się brzemieną za żonę przyjąć i dziecko jako swoje chować, nazwisko mu dając.

Spojrzał na Nadolskiego.

– O sprawie tej mało kto wie, więc i waszmość dla siebie zachowaj, o cię jak druh serdeczny proszę! Tak i o innych rzeczach, o których prawić będę.

Gospodarz skinął głową i odrzekł:

– Jakby kto kamieniem w wodę, mości panie Andrzeju!

Młodzik uśmiechnął się nieznacznie. Głową skinął i kontynuował:

– Otóż chłopak ów dorastał objęty cichą kuratelą pana Krasickiego, który i grosza, i starań nie szczędził, by dodać mu ogłady, wykształcenia i charakteru. Jednak, jak to bywa, młodzik opacznie rozumiał pana starosty dolińskiego starania. A i nad swój stan znaczenie swoje przez to pojmował. Ale, bądź co bądź, jedynym był synem pana Serafina Krasickiego, który też oko przymykał na mało przystojne wybryki Jerzego. Tak i do lat sprawnych doszedł. Zamyślał pan starosta, co uczynić może, żeby jakąś część majątności swojej potomkowi zostawić, tak by reszta rodziny siłą po jego śmierci jej nie wydarła. Przeto synowcom swoim nie szczędził i, jak rzekłem, na nich oficjalnie swoje umiłowanie dał. Tak by w obawie jakiej nienawiści nie nabrali i po śmierci pana starosty uszanowali wolę jego. Dalsze miał też pod tym względem pan starosta plany, które mogłyby uchronić go przed gwałtem ze strony krewniaków. Młodzieniec ten, Jerzy Poniatowski, miał jednak plan własny. Mając lat dwadzieścia, zaczął o sławie i splendorach marzyć. Za wzór mu był Bajda Wiśniowiecki, który, jak wiesz waszmość, chwałą wiekuistą się okrył, najazdy na Turka czyniąc. A i o śmierci jego prawią ludzie, że niepospolita była, gdyż jeszcze na haku dzień trzeci wisząc, wyklinał pogańskiego Mahometa, a jak mówią inni, nawet z łuku wyrwanego strażnikowi do bisurmanów strzelał. Taka sława zamarzyła się młodemu Poniatowskiemu. Zdało mu się, że do wielkich czynów jest stworzony, w czym łaska pana Krasickiego go utwierdzała. Prosić jął tedy swojego

dobrodzieja o gotowiznę, która by mu pozwoliła Kozaków przysposobić i wyprawę na Krym uczynić. Z początku gniewem się uniósł pan starosta na fanaberie młodzika, lecz w końcu uległ, bo niczego odmówić mu nie potrafił. A działo się to wkrótce po chocimskiej potrzebie. Zebrał Poniatowski ludzi, łodzie za pieniądze pana Krasickiego sprawił, w broń zaopatrzył. Zdało mu się, że stał się wodzem niczym, nie przymierzając, sam Aleksander Macedoński. Tak też wyruszył po sławę swoją. A czas nie był ku temu dobry, jak pewnie wiesz waćpan, bo spokój miał być na granicach.

Kruszewski znów podniósł kubek. Kiedy zobaczył, że pusty, podsunął Wolskiemu, a ten szcudrze nalał węgryzna. Szlachcic wypił kilka łyków. Odstawiając naczynie, mówił już dalej:

– Nieudana to była w zupełności wyprawa. Co prawda dał pan Krasicki do pilnowania młodzika Kozaka starszego, doświadczonego, który by miał mu radą służyć i zapalczywość powściągać. Ale Kozaka owego kazał już w drodze młody Poniatowski obwiesić, rzekomo jako zdrajcę, a po prawdzie dlatego pewnie, że mądre mu rady dawał. Jak mówili później, po tym część ludzi odeszła, bo nie chcieli życia swojego na hazard wystawiać. A ci, co zostali, to byli sami oczajdusze i hultaje. Z taką kupą Poniatowski na Turka poszedł. Nie dziwota tedy, że szybko rozgromiony został, a sam w niewolę trafił do krewniaka Kantymira, który się Murtaza zwał. Pewnie by go Turcy ścięli, lecz ratując się, młodzik wyrzekł, że w opiece ma go pan starosta doliński, magnat znaczny, który ani chybi okup gotów będzie zapłacić. Dał więc Murtaza zgodę, by posłać jednego do pana Krasickiego, który by wieści przywiózł i rzecz sprawdził.

– Kupca ormiańskiego, który takimi rzeczami we dwie strony się zajmował, równo naszych od Turka wykupując, jak i Turczynowi służąc – dodał Sulatycki.

– Tak – potwierdził Kruszewski. – Przybył tedy do Krasiczyna ów kupiec i rzecz przedstawił. Załamał ręce pan starosta, bo cóż było czynić, jak nie ratować własnemu synowi życia. Dał tedy słowo, że okup wypłaci. Jaki był, tego nie wiem. Dość, że znaczny pewnie, bo przecie był traktat z Turkami, który miał swawole z jednej i drugiej strony powściągać. I zagniewani byli



Turcy okrutnie, że tyle co po jego zawarciu ktoś poważył się najazd uczynić. Do rzeczy jednakowoż wracając. Przyjął pan starosta na służbę Wołocha jednego, który się zwie Giurgiu Barda, co po ichniemu Topór znaczy. Człek to jest zmyślny, który nieraz u bisurmanów bywał i niejedno w życiu widział. On to miał okup na Krym zawieźć. Gromadził go pan starosta przez trzy miesiące. Aż w końcu poszedł Barda wozami, by pana Poniatowskiego z niewoli wykupić.

Nadolski zasłuchany upił wina. Niedziwna była mu taka historia, bo życie znał, a z tych stron niejednen w tureckiej niewoli kończył. Tymczasem szło dalej:

– Nie wie nikt, prócz owego Bardy i pana Krasickiego, co się na Krymie zdarzyło. Czy zaraza jakowaś? Czy trucizna? A może w lochu pan Poniatowski zdrowie postradał? Wykupił Wołoch młodzika, tyle że na wpół żywego. Przez to długo z Krymu wracał, coby mu ten w drodze nie umarł. Kiedy do Krasieczyna zajechali, tam nakazał się nim pan starosta zająć. Solą było to jednak w oku małżonce jego, pani Beacie Tarnowskiej, która pochodzenia młodego się domyślała. Nakazał tedy pan Krasicki gdzie indziej Poniatowskiego umieścić. Gdzie? Tego nie wiem. Dość, że medyków różnych sprowadzał, grosza nie żałując, ale żaden pomóc nie potrafił. Jak zdrowie młodzik postradał, tak odzyskać go nie mógł.

– Okrutna to rzecz, kiedy taki los człowieka spotka – wtrącił Wolski i rozlał kolejną porcję wina.

Kruszewski pokiwał jedynie głową i ciągnął:

– Tymczasem łądził się pan starosta z małżonką swoją. Obiecał jej, że krewnym Tarnowskiej w testamencie nie poskąpi, a i dla niej dożywocie godne da, byleby tylko nie była przeciwna planom jego, które względem pana Poniatowskiego był powziął. Tak też do zgody ją przekonał. Jakiej? O tym zaraz waszmości rzeknę. Na razie jednak wrócę do młodego. Bo, jak mówiłem, chory był okrutnie z jakiejś przyczyny. Kiedy zdało się, że nadziei już żadnej nie masz, doradził Barda panu Krasickiemu, coby z Wołoszczyzny jednego takiego sprowadzić, który, jak prawił, na każdą chorobę radę znajdzie, taki jest biegły w medycznym rzemiośle. Posłuchał go pan starosta

i zaraz kazał słać po niego. Przywiózł go Barda w zamkniętym powozie, bo ów medyk na oczy nikomu nie chciał się pokazywać, jak sługi w Krasieczynie gadają. Zaraz też z panem Krasickim udał się w to miejsce, gdzie Poniatowskiego położono. Tam ostał, a pan starosta strapiony niezmiernie do domu powrócił. Źle widać być musiało, gdyż pan Krasicki schudł był, pobladły chodził, jakby mu kto i dziesięć roków dodał. Dawniej wesoły, teraz milczał więcej, niż mówił. Z Bardą tylko się czasem na długo zamykał. O czym rozprawiali, tego nie wiem. Tyle jeno rzeknę, że odsunął wtenczas pan starosta inne sługi od siebie, Wołocha owego mając za najbliższego powiernika. Tak mijały tygodnie całe i miesiące. Przyszedł najazd Kantymira. Musiał wtenczas pan starosta w służbie swojej urzędowej się pograć, by wspomóc kraj po spustoszeniach. Oderwał się od złych myśli, zatracając w obowiązkach. A czas płynął. Nikt nie wiedział, co z owym Poniatowskim. Czy żyw jeszcze? W czasie tym umarła ze zgryzoty matka jego, a ojciec formalny, znaczy stary Poniatowski, prędko nową żonę pojął i nijak się o Jerzego nie pytał. I ludzie z wolna zapominali. Pewnie i całkiem by zapomnieli, gdyby nie to, że Barda czasem z Wołochami swoimi do Krasieczyna zajeżdżał i z panem się zamykał. Aż przyszło zeszłego roku, że posłał pan starosta doliński do Rokietnicy, do pana Stanisława Dereśniaka zaproszenie, żeby go był łaskaw w Krasieczynie odwiedzić. Tam rzecz wyłożył, jaką też przyszłość dla Jerzego widzi. I poprosił pana Dereśniaka o przysługę w tej materii.

Kruszewski przerwał i spojrzał na Nadolskiego. Ten obracał kubek w dłoni. Nadal nie pojmował, w czym mógłby pomóc czarnowąsemu szlachcicowi. Czekał więc na dalszą część opowieści. A ta zaraz znów popłynęła z ust pana Andrzeja.

– Okazało się, że po latach młodzik zaczął do zdrowia powracać. Cud jakiś musiał się widać przydarzyć. Albo ów Wołoch to sprawił. Zamyślił tedy pan starosta, że najlepszym będzie ożenić Jerzego, żeby stateczności nabrał i o mołojeckiej sławie mrzonek więcej nie roił. A i sam pan Krasicki stary się już czuł. Znać było, że troski lat ubiegłych go przycisnęły. Dlatego musiał szybko rzeczy ułożyć, żeby śmierć nagła planów jego nie pokrzyżowała. I tak

poprosił pana Dereśniaka, by zaproszenie słał do krewniaczki swojej, Anny Wierzbowskiej, córki starosty szadeckiego Mikołaja z Wielkiego Chrzastowa Wierzbowskiego. Ona to bowiem miała zostać żoną pana Jerzego. Zapytasz waszmość jakim sposobem? Bo i ród znaczny, i bogactwo niemałe. Tedy powiem, uprzedzając słuszne pytanie. Otóż ułożył się pan starosta doliński z ojcem panny, iż jeśli zgodę pan Wierzbowski da, to on dziewczkę po cichu uposaży, przeznaczając jej dwieście tysięcy złotych. Tym sposobem i pan Poniatowski fortunatem się stanie, i z rodem zacnym się spokrewni. I nikt o rzeczy się nie dowie. Wierzbowski dał zgodę, bo jakże było mu się nie cieszyć, gdy majątku posagiem uszczuplać nie będzie musiał. Tym bardziej że tak być miało, że niby to on tak hojnie córkę obdarował, co mu pan Krasicki przyobiecał w tajemnicy trzymać. Ażeby pozór utrzymać, panna miała do pana Dereśniaka w odwiedziny jako do krewnego jechać. Tam miała rzekomo oblubieńca poznać i uczuciem do niego zapalać. A Wierzbowski, jak ojciec dobry, miał córcę pobłogosławić i zacnie ją na przyszłość obdarować. Na taki układ zgodę dała też pani Beata, żona pana Krasickiego, w zamian za legacje na rzecz jej krewnych w testamencie i szczodry zapis w dożywocie, które na jej oczach uczynione zostały.

– Na Boga! – Żegota popił mocno wina. – Toż to kalkulacje pokrętne! Ale przyznać muszę, że sprytnie to pan starosta doliński obmyślił! Taka fortuna!

Kruszewski skrzywił się w uśmiechu i głowę spuścił.

– Sprytnie, powiadasz waćpan? Tedy słuchaj dalej. Najął mnie pan Dereśniak na służbę i nakazał po pannę do Szadku jechać. Gdym wracał... – spojrział wymownie na Nadolskiego – ...tom waszmości w drodze spotkał. – Wyszczrzył białe zęby w uśmiechu. Stuknęli się kubkami i zdrowie przepili do siebie. – Po tym pojechaliśmy do Rokietnicy. Jak waszmość widziałeś, z panną Anną Wierzbowską i jej siostra Agnieszka przybyła, która to do klasztoru jest przeznaczona, a miała dla przyzwoitości z krewną jechać.

– Do klasztoru? – Gospodarz zająknął się nagle, aż spojrzeli na niego Sulatycki z Wolskim, bo nijak im się to ważne dla opowieści nie zdało.

Nie zwrócił na to jednak uwagi Kruszewski, który dalej mówił:

– Ledwie dojechaliśmy, ja na nogi tyle co stawać zacząłem, kiedy pismo

z Krasieczyna do pana Dereśniaka nadeszło. A w nim, że pan starosta niezdrów okrutnie, dlatego prosi, by pannę przysłać, coby pobłogosławić jeszcze zdołał, nim się na świat tamten wybierze. Zmartwił się pan Stanisław i czym prędzej pannę Annę w drogę wyprawił. Ja, jako że w pojedynku z waszmością raniony byłem, jechać nie mogłem. I panna Agnieszka w Dereśnicy ostała, o co ją panna Anna prosiła, by opiekę... – opowiadający zmieszał się nieco – ...opiekę nade mną sprawowała.

Zamilkł i popił wina. Odsapnął nieco, znów spojrzął prosto, odsuwając chwilowe zawstydzenie.

– Panna Anna pojechała do Krasieczyna. Dni kilka minęło, a że nie wracała, jął się pan Stanisław Dereśniak niepokoić. Posłał tedy ludzi do pana starosty po wieści jakieś. Wszak niedaleko to. W drodze zwiedzieli się posłańcy, że napaść jakowaś była, przy wsi Lubomierz lub jak zwą niektórzy Bełżyn<sup>[24]</sup>, na podróżnych, którzy zabici leżą. Pojechali tedy co prędzej sprawdzić, choć panna do Krasieczyna i z powrotem winna jechać nie lasem, ale traktem. Prawda, że przez bór droga krótsza, lecz sam wiesz waszmość, że w tych stronach o zbójów nietrudno. Na miejscu znaleźli ciała sług pana Dereśniaka. Tak... – Przerwał i czoło przetaił. Z kubka zdrowo wina pociągnął. – Jasne więc się stało... – Kruszewski westchnął ciężko – ...że na pannę Annę z jej poczem napaść uczyniona była.

– Jezus Maria! – Nadolski aż przeżegnał się z trwogi.

Sulatycki pokiwał głową i ze smutkiem dodał:

– Jam był wśród ludzi, co do Krasieczyna pojechali i własnymi oczami widziałem sługi porżnięte, postrzelane, których w las potem wciągnięto dla ukrycia. Z krwi skrzepłej i ciał ostygnięcia widać było, że dnia wcześniejszego to się stać musiało. Czemu pojechali tą drogą? Nikt już odpowiedzi nie da!

– A panna? – zapytał Żegota.

– Jej tam nie było. – Stary szlachcic westchnął i oczy spuścił.

– Nie było... – powtórzył Kruszewski. – Widać kto porwał. Pan Sulatycki natychmiast ludzi do Rokietnicy i do Krasieczyna posłał. A sam do Bełżyna poszedł, coby wozy jakie wziąć, na które ciała chciał zebrać, dla godnego

pochówku. Zresztą, mówże, panie Wawrzyńcze, sam dalej...

– Tak jak rzekł pan Andrzej, pojechałem ze sługami do Bełżyna, który się wśród lasu, nad potokiem Łętowianka mieści. Miejsce to od świata odcięte. Powiadają, że dawniej tu ludzie się przed Tatarami kryli. Kiedym do wsi dotarł i wozy kazał szykować, mówią mi tamtejsi chłopci, że jeden z tych, co leżeli, żyw jeszcze. Jakim sposobem? Pytam, bom przecie widział zabitych i poznałem, że wszystkie to pana Dereśniaka sługi, co z panną pojechały, i paru beskidników martwych. A oni prawią, że dowlókl się nocą jeden do ich wsi, w brzuch postrzelony, od którego się o napaści dowiedzieli. I w chałupie leży. Co prędzej więc się do owego człeka udałem. I co widzę? Żaden to sługa pana na Rokietnicy! Chłopa pozoruje, a z gęby znać, że on taki, co mniej rolę uprawia, a bardziej nożem i rusznicą włada. Zbój, jednym słowem! Mina mu zrzędła, kiedy mnie obaczył. Pytam więc, jak było. A ten Rusin kręci, głupio odpowiada, oczami przewraca. Że łże skurwysyn, od razu żem wiedział. A jako że w żywot był raniony, przeto, dla przypomnienia, w dziurę po kuli trzonek czekana mu wsadziłem. Jakem wiercić zaczął, od razu wszystko wyśpiewał! I tak żem się dowiedział, iż dni kilka wcześniej chłop Bernat, co się zbójctwem para i beskidnikom przewodzi, z Piekarek<sup>[25]</sup> rodem, najął go w karczmie w Gwoźnicy do napaści, która miała być uczyniona. Nie wiedział na kogo, ale że grosz gotowy ów Bernat miał, nie pytał. Nie dowiedziałem się więcej, bo zbójowi krew gębą poszła i zdechł...

– Jakże to? – zdziwił się Nadolski. – Gdzie Piekarki, a gdzie Krasiczyn?! I jakim sposobem kilka dni wcześniej ów Bernat bandę sposobił?!

– Tak samo i nam dziwne! – rzucił Kruszewski. – Przecie nagła była potrzeba wyjazdu panny listem oznajmiona!

– Zebrałem ciała... – ciągnął tymczasem stary – ...i natychmiast do Rokietnicy ruszyłem przodem, coby jak najrychlej wieści przekazać. Tam już był posłaniec, któregom wcześniej dał, więc pan Andrzej, choć ranny, na koń się szykował, żeby pościg za beskidnikami czynić...

– Tak i w drodze się spotkaliśmy, kiedym zbrojnie w parunastu ludzi jechał – wszedł w słowo Kruszewski. – Pan Wawrzyniec rzekł mi, czego się od zbója wywiedział. Jakem dotarł na miejsce napaści, to śladów nijakich

jednakowoż nie miałem. Dokąd poszli? Co z panną uczynili? Gdym wyjeżdżał, łamał ręce pan Stanisław, że krewniaczki nie upilnował i pod jego opieką ofiarą jakowegoś raptu padła. Nijak było z pustymi rękami wracać. Udałem się przeto do Krasiczyna, żeby języka zasięgnąć, jak było i czemu lasem poczet poszedł, a nie bezpiecznym traktem. Kiedym dojechał, wyszedł mi na spotkanie pan starosta doliński zafrasowany wielce, ledwie co z łoża powstały, bo też wieści od posła, przez pana Sulatyckiego danego, otrzymał. Rzekłem mu, com się od pana Wawrzyńca dowiedział o owym Bernacie. Poczerwieniał pan Krasicki z gniewu i natychmiast nakazał słać po dragonów pana Gottharda Platera, którzy po wsiach przy Przemyśle na leżach siedzą. A sam radzić ze mną począł, co dalej czynić. Jakem się dowiedział, poprawiło się nieco zdrowie pana starosty, odkąd panna go w Krasiczynie odwiedziła. A że miłe to było mu towarzystwo, tedy poprosił, by dzień czy dwa dłużej została. Sam posłał sługę z wieścią o tym panu Dereśniakowi, ale ów nie powrócił, czym też się pan starosta nie przejął, sądząc, że zabawił w Rokietnicy. Sługa ów miał rzec panu Stanisławowi, by się o pannę Annę nie niepokoił, i termin przyjazdu oznajmić. I tak pomyślałem wtenczas, że widać owego sługę zbójce pojмали, od którego wszystkiego zwiedzieć się mogli. Bo przecie do pana Dereśniaka nikt nie przybył.

– Jako żywo! Tak być mogło! – zakrzyknął gospodarz.

– Ale sługa ledwie trzy dni wcześniej poszedł... – Stary szlachcic sapnął wymownie i pociągnął z kubka. Potem kontynuował: – Co było czynić? I na co zbójom panna? Dla okupu? Dla sprzedania w niewolę? A może upatrył sobie ją jaki i tym sposobem, jak to czasem czynią hultaje, chciał ją zniewolić? Straszne myśli przez głowę mi do dziś biegają!

Sulatycki smętnie pokiwał głową. Młody szlachcic z kolei przerwał na chwilę i popił wina. Wolski znów kubki napełnił. Żegota zaś zapytał:

– A czemu lasem poszli? Pan starosta coś waści objaśnił?

Kruszewski pokręcił głową.

– Nic o tem pan Krasicki nie wiedział i, jak i ja, się temu dziwował. Prawił, że może panna ze stosunkami okolicznymi i ryzykiem niezaznajomiona, prędzej chciała do Rokietnicy? Może tak było? Nie masz

na to odpowiedzi...

Na chwilę głos zawiesił. Potem zaś począł dalej opowiadać:

– Przybył pan Wolski z dragonami, a że mi krewny, tym łacniej pomoc w potrzebie zadeklarował. I tak odesłałem sługi panu Dereśniakowi, wziąłem pana Wawrzyńca, który do Krasieczyna przyjechał, i ruszyliśmy. Najsampierw do Gwoźnicy. Bo tam ów Bernat zbójów przysposobił. Zdało się więc, że w to miejsce mogli się udać po napaści. Prędkośmy szli, tedy myślałem, że nawet może cud się zdarzy i bandę dościgniemy. Ale nie udało się. W Gwoźnicy z dragonami zajechaliśmy karcznię i ułapiliśmy oczajduszów, co zwykli tam bywać. Hardo zrazu odpowiadali, ale jakeśmy co poniektórym pięty przypiekli, to powiedzieli, że ledwie co przed nami był ów Bernat z paroma ludźmi. Konie tylko wzięli i pogнали. Dokąd? – pytamy. I tamci znowu klną się, iż nie wiedzą. Dopiero jakem znowu osmalił karczmarza, to mówi, że Bernat w swoje strony poszedł, na Piekarki, bo wystraszony był okrutnie i pościgu się bał. Ruszyliśmy więc czem prędzej w te strony, a ja posłałem panu Dereśniakowi wieści co i jak. Dziwne było, że panny z Bernatem nie było, ale widać ostawił ją z resztą kamratów, a sam po konie przyszedł. Albo i co innego uczynił... – Zmarszczył nos i zgrzytnął gniewnie zębami.

– W drodze doszedł nas od pana Stanisława człowiek, który oznajmił, że jegomość co koń wyskoczy do Sanoka wyjechał i tam z nami chce się spotkać – począł dalej wyjaśniać Sulatycki, widząc, że w Kruszewskim gniew wezbrał. – I takeśmy w Sanoku i jego, i pannę Agnieszkę spotkali. Dziewka to bowiem charakterna, która za nic by nie pozwoliła, by bez niej pan Dereśniak pojechał, skoro o jej siostrę szło.

Młody szlachcic przygładził czarne wąsy i usta skrzywił. Głową kiwnął, potwierdzając, co rzekł Sulatycki. Po chwili ciszy popatrzył na Nadolskiego.

– Tam uradziliśmy, żeby do Piekarek iść. Wtenczas rzekła panna Agnieszka, coby do waszmości, panie Nadolski, się zwrócić, boś z tych stron jest i pomoc możesz. A że w dobrej pamięci się u panny zachowałeś, przeto i pan Dereśniak nakazał zajechać do waści. No i... – zamilkł chwilę – ...w szabli żeś waszmość niezrównany, co sam potwierdzić mogę. Tedy

przyjechaliśmy do waćpana!

Żegota zmarszczył czoło i podrapał się w siwą głowę.

– Toście waszmościowie drogi nadłożyli... Prawda to, że strony te znam...  
– przerwał na moment – ...ale tu lata całe nie byłem. Pomóc rad byłbym z serca całego. Jednakowoż jak?

– Znasz waszmość lasy okoliczne, chłopów masz, którzy może i co wiedzą. Prędszej się waszmość czego dowiesz – pospieszył z wyjaśnieniem Sulatycki. – Teraz trzeba nam jak najprędzej owego Bernata znaleźć. On wie, co z panną i jak to z napaścią było.

– Może starosta sanocki... – zastanawiał się głośno Żegota.

Pozostali popatrzyli po sobie. W końcu Wolski machnął ręką.

– Pan starosta Franciszek Bernard Mniszech zacny to pan! Ale nijakiej pomocy nie dał. Mówi, że ludzi nie ma, że trzeba po szlachcie listy do stawiennictwa wzywające rozesłać, zebrać panów braci... Nawet smolaków<sup>[26]</sup> nie posłał! A tu o czas idzie! Nie pora na sejmikowanie i deliberacje! Nadto pan starosta bardziej teraz swoimi sprawami zajęty przy Dukli i prawdę wyrzekłszy, mało co się tutejszą stroną interesuje... Powiadają, że nie lubi się z panem Krasickim...

Spojrzał na Nadolskiego.

– ...tedy rozumiesz waszmość w czym sęk?

Nadolski przytaknął w milczeniu. Napił się łyk wina i odrzekł:

– Chłopów wypytam. Choćby i teraz, jeśli waszmość pošlesz dragona, coby mi tu ze wsi starego Fiodora przywiódł. Jak kto ma wiedzieć co o tym Bernacie, to on. A i sam, choć słabuję jeszcze, pójdę z wami, bo nie godzi się w potrzebie takiej nie pomóc!

– Toś mi waść druh! – Sulatycki uniósł się i już chciał gospodarza uścisnąć, lecz wspomniał na jego rany i tylko ręce na chwilę rozłożył, a potem na powrót siadł ciężko.

Wolski podniósł się i wychodząc z izby, rzucił:

– Tedy każę chłopą przyprowadzić!

W izbie została trójka biesiadników. Kruszewski siedział ze spuszczoną



głową, wpatrując się w stojący naprzeciw niego kubek. Odetchnął głębiej, wyprostował się i unosząc, mruknął:

– Wyjdę powietrzem odetchnąć... Wybaczcie waszmościowie... Wrócę zaraz...

Kiedy opuścił dwór, stary szlachcic polał węgryna Żegocie.

– Widzisz pan, panie Nadolski, nie da poznać po sobie pan Andrzej, ale cierpi męki okrutne. Zdaje mi się, że upodobał sobie on pannę Anusię Wierzbowską, choć przecie innemu przeznaczona... Gdyby nie to, żem sam z nim w Rokietnicy był, to mógłbym myśleć, że to on pannę porwał, coby ślub wziąć... Nie gwałtem, Boże broń, bo i on chyba się pannie nawidził! Ech, życie... Wiele go ta opowieść kosztować musiała, choć minę tęgą prezentuje...

Siwy gospodarz skłonił głowę i usta zacisnął. W milczeniu wypili trunek. Pogrążył się w niewesołych myślach. Taka to ziemia tutejsza, że jeno nieszczęścia i śmierć. Dnia ani godziny pewnym być nie można. A los drwi i z biednych, i bogatych. Sam swoich trosk miał niemało, lecz postanowił, że poczekać mogą. Byleby tylko Wolski pomógł mu Trofana Skórę przegnać i twardo na swoim osiaść. Kiedy czas przyjdzie, to i odnajdzie tych, co za Tatarów przebrani ubili mu rodzinę i majątność zrujnowali. Nauczył się cierpliwości z wiekiem i doświadczeniem. Siedzieli tak ze starym w rozmyślniach niewesołych, z rzadka tylko popijając. Takich zastał ich powracający Kruszewski. Chwilę po nim trwożnie wsunął się do izby Fiodor, a za nim Wolski, schylając swą postać pod niskim nadprożem. Żegota obrócił się do starego chłopca, przyjął marsową minę i zapytał:

– Słyszałeś może o zbójcu z Piekarki, co go Bernat nazywają?! Gadaj mi prawdę!

Bardziej ta ostrość dla pozoru przed szlachcicami była, niż rzeczywiście z serca i zamiaru Nadolskiego szła. Musiał jednak pokazać, że pan z niego twardy, co chłopów w ryzach trzyma, bo tak też wśród panów braci przyjęte było i za dobry obyczaj uchodziło. Tym bardziej po buntach i ruchawkach chłopskich, których już województwo ruskie doświadczało. Schylił się Fiodor, skurczył, czapę nerwowo zmiął w dłoniach. I on wiedział, że pokora

i uległość przy takich okazjach najlepiej się sprawdzają.

– Słyszałem, wielmożny panie.

– To mów mi zaraz, gdzie on!

Chłop wzruszył nerwowo ramionami.

– Dyc, panie, on wedle Przemyśla siedzi! Albo Rzeszowa! Z Piekarek rodem, jak rzekł wielmożny pan, ale w tych stronach nie bywa. Matka tam jego jeno mieszka. On zaś, od kiedy się zbójowaniem parac poczał, to tutaj nie zagłada! Wiele złego ludziom uczynił, tedy wie, że nie masz tu miejsca dla niego. Nawet inne bandy, kiedy by go dopadły, to pewnikiem ubijają. Mówią, że czas temu jakiś kompanów swoich oszukał, czego mu przyobiecali nie darować. Ponoć przez niego Zaklikę sądzili. Potem się z Łapszunem skumał, ale że się z Murdykiem Dwernickim z Ustrzyk powadził, tedy i tamtą bandę musiał opuścić... – Przerwał i rozejrzał się trwożliwie. – Tak ludzie gadali...

– A matka jego? – zapytał Kruszewski.

– Rusinka. W Piekarkach siedzi. Wdowa. Wala na nią mówią – odpowiedział chłop prędko i głowę nisko skłonił.

– A jakby w te strony wrócił, to gdzie schronienia by szukał? – pytał dalej młody szlachcic.

– Tutaj? – zdziwił się chłop. – Pewnie po lasach... Bo jako rzekłem, wrogów ma niemało. Chyba żeby na Spisz uszedł, do tołhajów<sup>[27]</sup>, co też dawniej czynił. Albo u matki może... Nie wiem, panie... I smolacy tutejsi na niego zawzięci okrutnie, bo wśród nich tacy, co z nim na pieńku mają od wtedy, kiedy jeszcze zbójowali...

– A z gęby go znasz?

Fiodor pokręcił głową. Drzwi za nim otworzyły się nagle. Do izby wszedł Semko, niosąc pieczyście. Rozejrzał się niepewnie, strwożony widać o ojca, którego dragon do dworu zabrał. W milczeniu postawił półmisek z parującym mięsiwem na stole i z za pazuchy wyjął solidny bochen chleba. Skłonił się i już miał wyjść, kiedy zatrzymał go Żegota.

– Szykuj się, bo z nami pójdziesz! Jutro! Tylko co pan Trofan nas

nawiedzi... – Wykrzywił chrome usta złym grymasem. – Od ojca dowiedz się wszystkiego o beskidniku, co go Bernat zwą. Rozumiesz?

– Co mam nie rozumieć? – burknął sługa, ale widać zmitygował się, że nie do samego Nadolskiego mówi, więc skłonił się kornie.

Gospodarz pospieszył z prędkim wyjaśnieniem dla biesiadników:

– Pocztowy mój, co na wojnie ze mną bywał. Sługa wierny, choć charakteru ciężkiego. Ale w potrzebach niezastąpiony.

Goście pokiwali głowami ze zrozumieniem. Bo choć chłop był Semko, to jednak wyżej cenili takiego, co przy panu swoim w bitwach służył, na większą poufałość zezwalając. Przecie i dragoni z chłopów się wywodzili, a żołnierz był dobry i waleczny. Chłopak skłonił się powtórnie, mruknął coś pod nosem i wyszedł. Fiodor niepewnie stał dalej, z nogi na nogę przestępując. Żegota spojrzał po gościach.

– Chcą waszmościowie o co jeszcze spytać?

Kruszewski pokręcił głową.

– Odejść możesz! – zakomenderował Nadolski, obracając głowę w stronę chłopca.

Ten skłonił się kornie i pochylony, nie odwracając się, wyszedł. Cisza w izbie zapadła. Gospodarz rozdzielił mięsiwo, połamał i rozdał chleb. Wolno pozywiali się, zagłębieni w rozmyślanie. Tylko czasem jakie słowo padało. Inaczej niż zwykle bywało przy szlacheckich spotkaniach. Ale też okazja nie służyła gadaniu. W końcu Wolski wstał z ociąganiem, mruknawszy, że każe paru dragonów wystawić, żeby wyglądali Trofana Skóry. Kiedy wyszedł, Sulatycki spróbował jeszcze rozwiać gęstą atmosferę jakąś lokalną anegdotą. Ale niesporo mu szło. Przepili więc winem, a goście oznajmili, że się w obejściu rozłożą, gdzieś w stodole czy stajni. Zaprotestował Żegota, lecz zdania nie zmienili, widząc, że to, co z dworu zostało, małe i dla samego dziedzica, a po prawdzie wcale nie lepsze od noclegu w gospodarstwie. Pożegnawszy się, wyszli odprowadzeni przez gospodarza. Żegota wrócił i przysiadł na chwilę. Sam sobie wina polał. Nim wypił, zapatrzył się w płonący kaganek. Dziwnie się los układał. Nieszczęście jednych stało się jego wybawieniem. Nie cieszyło go to ani

trochę. Wolałby, gdyby sam był nadal, a Anusia Wierzbowska bezpiecznie czekała narzeczonego w Rokietnicy. Nie o taki cud modlił się w duszy. Ale zaradzić temu nie mógł w żaden sposób. Westchnął ciężko, uniósł do ust naczynie i wypił. Potem powstał, odstawił kubek na stół i bardziej powlókł się, niż poszedł ku posłaniu.

## ROZDZIAŁ VII

### ZBRODNIA

Dragoni rozmieszczeni po chałupach chłopskich czekali rozkazów. Ukryci, wyglądali tylko, kiedy dostaną znak, by się objawić. Czujki doniosły już Wolskiemu o zbliżaniu się zbrojnej kupy około dwudziestu rzezimieszków pod wodzą starego Trofana. Jechali jak na kulig, bez specjalnej ostrożności ani porządku. Widać Skóra nie liczył na jakikolwiek opór. Chłopi w Wygnance z ciekawością wyglądali zdarzeń. Jakże odmieniła się sytuacja, kiedy w sukurs panu przyszło zbrojne wojsko! Oj, musiał widać Nadolski znaczenie mieć, skoro taką siłę sprowadził! Tak gadano po chałupach. A jako że Fiodor z synem jedyni panu Żegocie wierności dochowali, więc od wieczora poprzedniego w chacie starego drzwi się nie zamykały. Schodzili się kumowie, przypominając dawne przysługi i wspólne zabawy. Baby zagadywały do Fiodorowej, oferując się z pomocą i prezentami. Ta z dumy puchła, choć niedawno jeszcze krzywa była, że mąż jej w sprawę straconą się zawikłał. Semko w milczeniu przypatrywał się zmienności ludzkiej natury. Rozumiał, że przyczyną jej nie zawiść jakaś czy zła wola, lecz strach, który wśród chłopów zniewolonych i władzą pańską uciśniętych był powszechny. On to nakreślał rytm włościańskiego życia. A kto go nie czuł, ten albo do beskidników uchodzić musiał, albo też szybko mu krnąbrność z głowy kijem wybijano. Nierzadko i tak, że razem z życiem.

Nadolski tymczasem odział się przyzwoicie, korzystając z uprzejmości Andrzeja Kruszewskiego, który mu ochędóstwa użyzył. Przypasał swoją szablę, wąsa podkręcił, na głowę czapę z czaplím piórem włożył. W izbie we dworze siedzieli wraz z nim towarzysze wczorajszej biesiady. Sulatycki wyglądał co rusz przez rozbite okno i dłonie radośnie pocierał. I on pragnął wywdzięczyć się Skórze, który kalał starożytne nazwisko, nieprawnie się do herbu przyznając. W końcu stary szlachcic zawołał:

– Ot! Goście idą, mości Żegota!

A radości w głosie miał tyle, że pomyślałby kto, iż naprawdę na wizytę miłą się cieszy. Rzeczywiście. W oddali pojawiły się sylwetki jeźdźców, którzy kupą zbliżali się do obejścia.

– A do wsi pierwsze nie pójda? – zaniepokoił się Wolski. – Bo za dragonów moich wtenczas nie ręczę! Jak w drogę im te łotry wleżą...

Żegota pokręcił głową.

– Nie martw się waćpan. Najsampierw ze mną chce Trofan sprawę załatwić. Pewnie umyślił później chłopami się zająć. Jak mnie by ujął, to nakazałby ich spędzić, widowisko uczynić.

Porucznik dragoński skinął głową i dalej z ciekawością wyglądał. Nadolski poprawił odzienie, broń jeszcze raz sprawdził. Z podniecenia nie czuł nawet bólu, jaki został mu jeszcze w plecach. Tylko Kruszewski zamyślony stał, ledwie co zerkając przez okno. Znać było, że niecierpliwi się i dalej mu spieszo, choć rozumiał, że sprawę w Wygnance trzeba zakończyć. Gospodarz skrzywił się w nikłym uśmiechu i wyszedł. Przed progiem spojrzął w słoneczne niebo wstającego poranka. Dzień zapowiadał się udany. Ze dwieście kroków przed rozbitą bramą dostrzegł Trofana, który na jego widok konia przynaglił i zawołaniem swoich Sabatów pospieszył. Żegota przygładził wąsy, pod boki się ujął i do przodu postąpił. Takiego zastał go Skóra, który tuż przed nim konia osadził. Spojrzął z góry i wykrzywił twarz w złośliwym grymasie.

– Witaj, mości Nadolski! Cóż się tak wystroił jak na wesele?! Na mój to przyjazd?! Rad jestem, że tak mnie witasz... – Przerwał na chwilę i innym już głosem dodał: – Bo zaraz ci żupan zedrę i naukę powtórzę! Widać, żeś, skurwysynu, mało pojętny, że dalej na moim siedzisz!

Stojący uśmiechnął się tylko. Dłoń oparł na rękojeści szabli. Wzrok zmrużył i mruknął:

– Witaj, Skóra! I ja rad cię widzę...

Jeździec poczerwieniał na twarzy. Koniem zarzucił i ryknął do Sabatów:

– Brać go zaraz!

Słudzy z koni rzucili się zsiadać i już mieli ku Żegocie przystąpić, gdy

z dworu prawie wybiegł Wawrzyniec Sulatycki.

– Tuś mi, kurwi synu! Skóra, ty w zopę jebany chamie! Wreszcie dostanie cię prawdziwy Sulatycki za twoje łotrostwa! Ty psie plugawy! Ty kłamco! Bezecniku!

Trofan oczy wybałuszył i zamarł na chwilę. Stanęli Sabaci z rozdziawionymi gębami. Moment to był, jakby kto scenę w żywy obraz zamienił. Ogarnął się jakoś Skóra, choć trochę języka w gębie zapomniał. Wybełkotał w końcu parę słów niezrozumiałych i z konia zeskoczył. Tak niefortunnie, że musiał rękami się o błoto oprzeć. Kiedy się wyprostował twarz miał bladą, gniewem ściągniętą, a usta mu drżały. Nie swoim głosem, piskliwie krzyknął na ludzi:

– I tego skurwysyna dawać mi tu! W czepku żem się urodził widać, że dwa raki w sak mi wpadły...

Nie pojął widać, że nie po jego myśli idzie. Tym więcej się zdziwił, kiedy z drzwi wyszli Kruszewski i dragoński oficer. Czarnowąsy słyszał ostatnie słowa, bo mruknął głośno:

– Nie dwa, a cztery, mości Skóra! A będzie i więcej! Aż w gardle ci staną!

Wolski rękę w górę wyciągnął i skinął lekko. Na ten gest ruch się w chałupach chłopskich począł. Żołnierz był sprawny, ćwiczony, gotowy. Moment jeno zajęło mu, by ruszyć. Spieszeni Sabaci zamarli i patrzyli, jak z kilku stron galopem otaczają ich dragoni z marsowymi minami. Spoglądali groźnie, celując z krótkich muszkietów. Skórze z gęby cała krew odeszła. Mamrotał coś pod nosem sinymi ustami, ocierając bezwiednie o spodnie ubłocone ręce. W końcu zebrał się jednak w sobie, bo wyjęknął żałością:

– W prawie jestem! Dług pana chorążego sanockiego przybyłem egzekwować...

– Ja ci tu, kurwi synu, zaraz egzekucję uczynię! – przerwał mu Sulatycki i przypadł do niego, wymierzając siarczasty policzek.

Trzasnęło głośno, a Skóra na kolana opadł. Z tej pozycji zawył:

– Gwałt! Na szlachcicu gwałt się dzieje! Zbóje...

Kolejny cios otwartą ręką, tym razem w kark, uciszył go i czapę jego na

ziemię strącił. Wyszły spod niej rzadkie, posklejane, brudne włosiska, ledwie co zakrywające łysinę. Nadolski stanął nad nim i wolno wyrzekł:

– Chciałeś się z Nadolskim spotkać, chamie jeden! To i od Nadolskiego, należną takim jak ty, wypłatę dostaniesz!

Trofan uniósł głowę i wbił błagalne oczy w Żegotę. Pod kolana chciał go ułapić, lecz cofnął się szlachcic.

– Ja nie winien! Ja tylko sługa chorążego Stano! Dług odebrać miałem! Litości proszę! Zmiłowania...!

Żegota odwrócił się i splunął. Kruszewski zaś, stanąwszy w rozkroku, powiedział:

– Tyś, Skóra, nie miał żadnego zmiłowania nad panem Nadolskim, który ledwie co do domu powrócił! Nahajem go potraktowałeś na jego własnej ziemi! Przed chłopami upokorzyć chciałeś!

Podkreślił węża i wzrok groźny wbił w wijącego się starucha. Wolski zaś dodał:

– Żołnierza dzielnego, co na wojnie lata całe ojczyźnie służył, najechałeś! Tyle co głowę zdążył złożyć na swoim! Cierpienia jego nie uszanowałeś, że mu Tatar gospodarstwo i rodzinę zabrał! Pies jesteś i cham, Skóra! Nie szlachcica tu biją, jak prawisz, ale bydlę obrzydłe!

Sabaci stłoczeni w gromadę łypali na dragonów. Żaden nie powążył się na ruch jakikolwiek, bo zdadni byli jedynie rabować i słabszym krzywdę czynić. Gdy wojsko nad nimi stanęło, zmaleli, skurczyli się w sobie, strach ich obleciał. Znali, że za zajazd na dwór szlachecki nawet obwiesić ich by można. Choćby i ludźmi chorążego sanockiego byli. Wszak pojmani zostali *in recenti*<sup>[28]</sup>. Trofan na czworakach chlipał żałośnie, wpatrując się w ziemię. Nie śmiał podnieść wzroku, bojąc się, co ujrzeć może we wbitych w niego oczach. Wolski zawołał do dragonów:

– Zabrać tym hultajom broń i konie! I powiązać ich! A żywo!

Żołnierze sprawnie zabrali się rozkaz wypełniać. Kruszewski podszedł do Skóry i mocno trącił go nogą.

– Patrz na mnie! I słuchaj, co rzeknę! Byś słowa żadnego nie uronił! Jeśli



jeszcze raz w stronie tej się pojawisz, jeśli noga twoja kiedykolwiek tu postanie, tedy wiedz, że znajdę cię i na sztuki porąbię! Jeśli ludzi jakowychś tu naślesz, to pasy drzeć będę! I w rzyci mam, żeś ty sługa chorążego sanockiego! Możesz i cesarzowi chińskiemu służyć! Za jedno mi to! Wiedz, że gotów jestem druhowi memu, panu Nadolskiemu, swoją szablą i koneksjami służyć, jakem Andrzej Kruszewski!

Drgnął na to Trofan, jęknął głośniej i skulił się. Znał widać głośnie w tej stronie nazwisko. Znów wyjęczał cicho:

– Dług jeno należny... pana chorążego...

– Jaki dług? – warknął Sulatycki. – Dawaj dokument, jak masz!

Skóra podniósł głowę. Drżącymi ustami wybełkotał:

– W księgach ziemskich zapisane... Świadkowie byli, że pani Zofia pożyczyła...

– Jacy świadkowie?! – przerwał mu gwałtownie Nadolski.

– Ja byłem... – Trofan sam wystraszył się wypowiedzianych słów. Czoło na ziemi oparł i załkał.

– Ty?! – Sulatycki aż spurpurowiał. – Tyś świadczył, psie załgany?!

Wymierzył solidnego kopniaka w zadek klęczącego, aż ów na ziemi na płask się ułożył.

– Jak ty świadczyć możesz?! Tyś cham niepiśmienny! Liter składać nie umiesz! Jak ty, świnió, dokumenta potwierdzać możesz?! – Otyły szlachcic aż drżał z gniewu. Zwrócił twarz ku Nadolskiemu i zawołał:

– Nie masz żadnego długu, mości Żegota, jeśli ten tu za świadka! To kurwi syn i kanciarz!

Nadolski zapytał zaś:

– Gdzie niby ten dokument, co się moja pod nim miała podpisać?!

– Spłonął... – Trofan, ślizgając się, usiłował powstać. – Jak Tatarzy przyszły! Ale był! Na własne oczy żem widział podpis... Zofia Nadolska u dołu stało!

– I tyś to widział?!

Staruch złożył ręce jak do modlitwy.

– Nie ja tylko! Nie ja! Jeszcze panowie Dobrzańscy z Dobrej, bracia pani Zofii potwierdzili!

Żegota osłupiał z wrażenia. Nagle jasne wszystko się stawało. Ryta mówiła, że Zośka długi jego pospłacała i oszczędności poczyniła. Łatwo w to mógł uwierzyć Nadolski. Gospodarna była nad wyraz. Niedorzeczne zaś było, by gotowiznę bez jego zgody pożycziała. Taka była. Choćby i trawę żuć miała. A po jej śmierci bracia widać połaszczyli się na jaki grosz od chorążego Stano. Nie o ich majątek szło. Stalony i Hantusek cudze łatwo sprzedali. Dlatego nieskoro im było w sukurs przychodzić! Aż zadrżał z gniewu Żegota. Opadł mu bardziej martwy kąk w ustach. Pięści zacisnął.

– Mówisz, żeś podpis widział?!

– Jak żywo! – Trofan jak rab prawie do ziemi bił pokłony. – Nie skłamałbym!

– Łże! – rzucił Sulatycki.

Nadolski powstrzymał go gestem.

– To jak tam stało w podpisie?! – Wbił oczy w płaszczącego się Skórę.

Ten podniósł osłupiały oczy i gębę rozdziawił.

– Nooo... Jak to jak..?

– Jak stało, kurwi synu?! – ryknął na to pytający.

– Zofia Nadolska... A jakże miało inaczej? – odpowiedział prędko klęczący wciąż na ziemi rękodajny chorążego sanockiego i dla jakiego wypadku głowę dłońmi osłonił.

Żegota zaś brodę uniósł i zaśmiał się głośno, tak że aż jego towarzysze zdziwieni odwrócili na niego wzrok. Pospieszył więc z wyjaśnieniem:

– Zośka... Znaczy moja żona, świeć, Panie, nad jej duszą, zawsze kiedy papier jaki podpisywała, pisała się Zofia Krystyna. Nigdy jednego imienia nie zwykła w takich okazjach używać!

– Ja nie wiem, panie... ja nie wiem... – wyjęczał Skóra i łzawe oczy skierował do góry – ...pan chorąży miał dokument. Mówił, że miał... Ale spłonął...

– To miał, psie jebany, czy nie miał? – krzyknął Sulatycki.

Zaszlochał Trofan, palcami pokręconymi ziemię rozgarnął i wyłkał ledwie żywy:

– Ja nie wiem...

Ucichł. Tylko jęczenie z gardła mu wychodziło. Ubłocony, upokorzony, płacząc, wił się u stóp Nadolskiego. Inny może i by odpuścił. Lecz Żegota znał takich jak Trofan Skóra. Byli jak węże. Gdy tylko im but z głowy zdjąć, natychmiast ukąszą. Lubowali się w płaczu, jękach i okrucieństwie. Pamiętał szlachcic, jak kazał słudze jego, Fedkowi, rękę urąbać. Pamiętał, jak mu trzydzieści razy na plecy wyliczył. Jak chłopów obić bez przyczyny nakazał. Żadnej w nim wtenczas nie było litości. Tedy i sam nie mógł na nią liczyć.

– No, wstawaj, Skóra. Czas na cię. Dług ci pora wypłacić. – Nadolski głos miał spokojny, zimny.

Trofan przypadł mu do buta, oczy błagalnie w górę skierował i zawył:

– Litoości! Zmiłooowania!

Tylko go nogą odtrącił Żegota. Skinął na Bejdę, który bez słowa podniósł leżącego za grzbiet. Skóra nie stawiał oporu. Drżał jak osika, czekając, co będzie.

Na dziedzińcu stała jeszcze belka, na której wychłostano Nadolskiego. To do niej Bejda pchnął starucha. Zrozumiał widać, o co idzie, gdyż tym głośniejsze zawołał o zmiłowanie i ręce do nieba wyciągnął, jakby stamtąd kto przyjść mu miał w sukurs. Milczeli dragoni, wpatrując się obojętnie w zdarzenia. Milczeli i Sabaci, siedzący powiązani w miejscu, gdzie trzy niedziele wcześniej chłopów pokładli. Tatar pchnął Trofana na pręgierz, a gdy ten rękami mu uciekał, złapał silnie i przymusem rozciągnął. Przewiązał mu nadgarstki pod belką i więzy za sęk zaczepił. Wił się Skóra, jęcząc. Na portkach pomiędzy nogami objawiła się mu mokra plama. Nadolski podszedł bliżej.

– Tyle tylko litości we mnie, że ci odzienie na grzbiecie zostawię. Stary jesteś, a na sumienie cię brać nie chcę. Ale jak jeszcze kiedy cię na oczy

ujrę, to na Boga ci przysięgam, że zabiję. Pojmujesz?!

Trofan ucichł i głową pokiwał. Zrozumiał, że żywy wyjdzie, bo chyba śmierci się już obawiał. Siorbał tylko co raz czerwonym nosem i pochlipywał żałością. Nadolski odwrócił się do Bejdy.

– Wypłać temu, co mu się należy. Ni mniej, ni więcej jeno trzydzieści batów. Tyle, com mu dłużny.

Sulatycki, Wolski i Kruszewski stanęli blisko i czekali kaźni. Szczególnie Sulatycki z radością w oczach patrzył. Bejda odpiął od pasa Trofana ten sam bat, którym Żegota został pokarany. Powoli rozwinął, a niezadowolony widać rozejrzał się. Podszedł do stojącej opodał kałuży i rzemień przez chwilę zamoczył. Znał się na polecanej robocie! Kiedy to czynił, chłopci z wolna najpierw, nieśmiało, a potem już prędzej poczęli się gromadzić. Szeptali pomiędzy sobą. Palcami rozpiętego Skórę i powiązanych Sabatów wskazywali. A co który wzrok Żegoty napotykał, to czapę z głowy ściągał i kłaniał się kornie.

Bejda zdjął wierzchnie odzienie, ukazując muskularny, krępy tors. Splunął w dłoń i spode łba spojrział na ofiarę. Zmrużył swoje skośne oczy. Potem zerknął na Żegotę, a ten dał znak ręką. Nahaj świsnął, a nim ucichł jego dźwięk, zagłuszył go krzyk Trofana. Równomierne były ciosy. Z początku odzienie ochronę jakąś dawało rozpiętemu Skórze, lecz koło piętnastego uderzenia nici z żupana frunące w powietrzu znać dały, że Tatar bić potrafi. Trofan wył nieludzko, co znaczyło, że siły ma jeszcze. Lżejszą od swojej Nadolski kaźń mu wyznaczył. Nadrabiał to jednak Bejda, wkładając całą swą siłę i umiejętność w zadanie. Aż pod koniec doszedł do gołych pleców. Późno, ale spłynął krwią grzbiet starucha. Kat wymierzył w końcu ostatnie uderzenie. Bez słowa bat skręcił. Przedramieniem otarł spocone czoło. Nadolski głową mu skinął w podzięcie. Wawrzyniec Sulatycki splunął, niepokieszony widocznie, iż skończyło się widowisko. Wolski dłonią przywołał dragona i nakazał mu odpiąć Trofana. Ten słaniał się na nogach. Drżał na całym ciele i jęczał żałością. Żegota popatrzył po Kruszewskim. Zrozumiał, że pora mu w drogę. Zawołał więc do swoich chłopów:

– Konie, co na nich przyjechali, do siebie weźcie! Za zrabowane dobra to

dla was odpłata! A tych tu... – wskazał na siedzących Sabatów – ...precz pognajcie. Jak który kijem dostanie, za złe nie będę wam miał!

Zaszemrali chłopci i wolno, w groźnym milczeniu przesunęli się do związanych. Ci powstali zaniepokojeni. Poleciała pierwsza bryła błota w ich kierunku. Pojedyncza. Jakby kto badał, co się wydarzy. I nie stało się nic. Ktoś cisnął więc kolejną. I następną. Aż spadły gradem. Sabaci cofnęli się. Dragoni stojący przy nich odsunęli się, tworząc szpaler. Nim to przejść musieli ku wolności słudzy pana Stano. Wolski zakrzyknął:

– Płazami ich! Dalej!

Żołnierze już szabel dobywali, by rozkaz wypełnić. Cisnąca chłopska czereda pchała Sabatów ku nim. Nagle krzyk się rozległ potworny. Stanęli wszyscy zamarli. Chłopci, dragoni i Sabaci. Nieludzki był to odgłos. Niby z duszy czyjejs wyrwany. Pomiedzy wieśniakami ruch się zrobił. Upuścili trzymane w rękach kamienie. Szmer poszedł, aż się rozstąpili. Szedł między nimi Fedko. Błady, wychudły, lecz nadal ogromny. Przygarbiony, z włosom odkrytym i rozwianym. Kikut prawej ręki przewiązany miał szarymi szmatami. W lewej dzierżył ciesielski topór. Zadrżeli Sabaci i w kupę się zbili. A Fedko zmierzał nieubłaganie w ich stronę. Nie krzyczał już. Usta zacisnął i wbił martwy wzrok w stojącą ciżbę. Spojrzeli po sobie Kruszewski, Żegota i Wolski. Porucznik już usta otwierał, by rozkaz jaki dać, lecz Nadolski wstrzymał go gestem. Zatrzymał się bowiem Fedko przed Sabatami. Dyszał ciężko, szukając wzrokiem. Aż znalazł. Tego, co mu rękę odrąbał. Oczy wbił w niego. A tak straszny był w tym, że odruchowo kamraci odsunęli się od tego, na którego spoglądał. Na moment bezruch i cisza nastąpiły. A potem olbrzym topór na bok rzucił i jedyną ręką pochwycił ofiarę. Jak piórko na ziemię obalił swojego oprawcę. Ten zawył i rzucił się powstać, lecz ciężka stopa przycisnęła mu plecy. Wił się pod butem niczym robak. Fedko schylił się i podniósł topór. Rozległy się wkoło szepty pełne zgrozy. Leżący na brzuchu Sabat uniósł wzrok przerażony. Rękami spętanymi głowę zasłonił. Lecz nie o nią chodziło chłopcu. Nastąpił twardo na bark, tak że ramię leżącego do ziemi przycisnął. I z krzykiem ciął z zamachem między łokieć a nadgarstek. Próbował Sabat odsunąć rękę. Cios

z młaśnięciem wbił się w miękką, błotnistą ziemię, zahaczając jedynie cel. Sługa chorążego sanockiego jęknął okropnie i szarpnął się. Wyrwał się spod buta i począł czołgać niezdarnie ku swoim. To go zgubiło. Fedko skoczył żywo do przodu i ciął ponownie w wyciągniętą, skrwawioną już rękę. Tym razem trafił! Ostrze przecięło rękaw i mięso. Odrąbany kawałek stanął na sztorc wbity w błoto, a rozczapierzone palce drgały przez chwilę. Sabat z wyciem porwał się na nogi. Przywiązany do lewej ręki kikut wyszarpnął z błota. Zadyndał żałośnie nad ziemią. Spływał krwią. Rzucił się żołdak ukryć wśród swoich, lecz ci jak ognia chcieli go uniknąć. Fedko zaś, dysząc, stał, wpatrując się w odciętą rękę bezładnie majtającą się, zniewoloną sznurem niczym brelok koszmarny. Topór wypadł mu z garści. Groza nastąpiła. Nawet Nadolskiego dreszcz jakiś przeszedł.

Przyskoczyli dragoni do Fedka. Już za ramiona chcieli go schwycić. Lecz ten głowę uniósł i spojrział ku nim tak, iż stanęli w pół kroku. Spośród chłopów wypadła jakaś baba. Głowę okrytą chustą ścisnęła rękami. Z oczu ciekły jej łzy.

– Fedko! Synaczkę mój jedyny! Fedko! Cóżże uczynił!?

Chłop opadł na kolana i broda mu do piersi poleciała. Załkał jak dziecko. Matka przypadła do niego i objęła łeb wielki, kudłaty jak u żubra. A on wtulił się, chlipiąc, w matczyne piersi. Nadolski postąpił w przód. Szmer wokół rosły, jakby pszczoły się roiły. Nawet żołnierze między sobą spoglądali i mrużeli pod nosami. Chwila to była taka, że zaraz stać się mogło coś, czego nie można by odwrócić. Stali naprzeciw siebie gniewni mężczyźni, a zapach krwi pobudzał w nich złość. Dyszeli chłopci chęcią odwetu. Sabaci szykowali się bronić, choćby i zębami, gdy ręce związane. A między nimi dragoni, którzy siłą, w jedynie znany sposób, porządek swój chcieli narzucić.

– Dość! – krzyknął Nadolski i postąpił do przodu. – Dość, kurwa wasza mać! Wystarczy!

Wolski wpadł pomiędzy dragonów i rozdawszy kilka razy, najbardziej zapalczywych do porządku przywrócił. Wieśniacy się cofnęli. Weszła między nich Fedkowa matka, prowadząc zgarbionego syna. Ciężba zamknęła się za nią, jakby chowając ją i chroniąc. Sabaci stanęli wkoło rannego towarzysza.

Ten ucichł. Z ust żołdaków chorążego Stano z rzadka płynęły przekleństwa. Patrzyli spode łba. Groźnie. Jak osaczone zwierzęta.

– Opatrzeć go! – Nadolski, nie patrząc, wskazał na rannego Sabata.

Z początku nikt się nie ruszył. Potem Semko wyszedł z cizby. A za nim dwóch jeszcze. Bez słów weszli między powiązanych ludzi, przywiedzionych przez dzierzawcę. Przyklęknęli przy bezrękim i jęli wypełniać pański rozkaz. Żegota rozejrzał się, wypatrując Fiodora. Gdy wzrokiem go spotkał, zawołał:

– Do mnie!

Stary podszedł, zdejmując nakrycie głowy. Spode łba patrzył.

– Dość widowiska! Bierz chłopów i do chałup wracajcie! A jutro zagoń do roboty, żeby mi w obejściu porządek był! Jak wrócę, to obaczę, coś zdziałał! Rozumiesz? Bejdę zostawię, który będzie miał na was baczenie!

Wieśniak skinął głową. Skłonił się w milczeniu i odszedł. Chłopska cizba poczęła się rozpraszać. Co poniektórzy bykiem jeno patrzyli na Sabatów. Lecz nic już nie poważyli się uczynić. Nagle skończyła się kaźń, co może i dobrze się stało. Nadolski odwrócił się i podszedł do przerażonego Skóry.

– Zaprawdę, tobie winien Fedko łapę odciąć! Ale niech tam... – Żegota splunął – ...głupio uczynił. Ale go nie obwiniam. Ani karać nie myślę. A teraz słuchaj! Rzeknij chorążemu Stano, że ja tu gospodarz, a kiedy o długu jakim mówi, niech go przed sądami dochodzi! Ja z nim zwady nie szukam, ale i nie unikam. A ty... – przerwał na chwilę – ...konie dostaniesz. Weź swoją hołotę, coś ją tu sprowadził, i won z mojej ziemi! Jako ci mówiłem, na zawsze! A jeśli wrócisz pod moją nieobecność, to ciebie i ludzi co z tobą powiesić każę!

Skinął na Bejdę, a ten podprowadził Trofanowi konia. Ten spojrzał nań nienawistnym wzrokiem. Widać było, że w duszy już Tatara najmniej na pal wbija. Nic to jednak nie poruszyło spokoju sługi Żegoty. W ustach miał beznamiętnie kawałek słomy, a w zmrużonych oczach nie odbijało się żadne uczucie.

Dragoni Wolskiego pochowali szable. Rozeszli się do swoich wierzchowców. Tylko kilku przy Sabatach zostało. Porozcinali im więzy na

rękach i kazali iść precz. Ci, boso, w samych koszulach, ze spuszczoneymi głowami, ruszyli tą samą drogą, co przyszli. Skóra wgramolił się na konia. Pewniej się poczuł, lecz słowa nie wyrzekł. Skrzywił się z bólu w plecach. Rany jego żadną miarą nie były równe tym, które Żegota na swoim grzbiecie nosił. Konia odwrócił, zaklął cicho pod nosem i skierował się za swoimi ludźmi idącymi drogą w dół, na Nadolany.

Do Nadolskiego podszedł Kruszewski.

– Kto był ów? – Machnął głową w kierunku, gdzie rozchodzili się wieśniacy.

Szlachcic wzruszył ramionami.

– Chłop mój... Fedko go zwał... Ten, co mu rękę odjął, jemu wcześniej tak samo uczynił...

– Sprawiedliwie! – Czarnowłosa pokiwał w zamyśleniu głową.

– Sprawiedliwie – przyznał Żegota. Zaraz też brwi zmarszczył i dodał: – Wiem, że waszmości spieszno. Tedy pozwól jeno, że rozkazy ostatnie dam i gotów jestem już na koń wsiadać.

Kruszewski uśmiechnął się krzywo i ręką machnął z westchnieniem. Odszedł do Sulatyckiego, który żywo z Wolskim dyskutował. Nadolski zaś przywołał Semka i Bejdę.

– Ty... – wskazał na pocztowego – ...jak rzekłem, ze mną pojedziesz. A ty... – skierował wzrok na Azjatę – ...tu zostaniesz. Pilnuj, żeby robota szła. Mają chłopci rozbite belki ściągnąć, zabudowania do porządku doprowadzić. Niech też szukają drewna na odbudowę mojego domu. Modrzewi. – Skrzywił się i popatrzył podejrzliwie. – Wiesz, co to modrzew, bisurmanie jeden?

Bejda nie odpowiedział. Dalej tylko słomkę w gębie obracał. Żegota już miał co rzec, ale sapnął tylko i czoło dłonią przetarł.

– Gadatliwy to ty nie jesteś... Ale wiem, że rozumiesz. Jakby co, to natychmiast wieści mi przywieź. Na Piekarki pójdziemy. O drogę się wypytasz... – Przerwał i głową pokręcił. Sam do siebie się uśmiechnął na myśl, jak Tatar, co słowo z niego ledwie wydobyć można, będzie się



z chłopami dogadywał i o drogę pytał. Wiedział jednak, że jeśli będzie potrzeba, to i do piekła poganin ów trafić zdoła. I nic go nie wstrzyma.

– Nooo... A teraz konia mi dawaj! – Odwrócił się do Semka. – Ty bierz drugiego. Weź półhaki, z broni po Sabatach jakieś zdatne rusznice. Resztę niech chłopci po chałupach pokryją. Przydadzą się.

Dragoni szykowali się do odjazdu. I Kruszewski już na koń wsiadał. Skończona była sprawa u Żegoty. Jeśliby miał wrócić Skóra, to chyba na rozumie musiałyby być kaleki. W końcu i Nadolski z pocztowym znaleźli się w siodłach. Szlachcic spojrział na górkę, gdzie stały krzyże, i przeżegnał się. W duchu wyrzekł słowa pożegnania swoim bliskim. Potem czapkę mocniej na głowę wcisnął i ponaglił konia ostrogami. Słaby był jeszcze po ranach, lecz gdy znalazł się w siodle i wiatr poczuł, jakby mu kto sił dodał. Wysforował się, a zrównawszy się z Kruszewskim i Sulatyckim, węża przygładził i mruknął:

– Skoro pomóc mam, tedy poprowadzę drogą najkrótszą. Pójdziemy na Wolę Piotrową, a potem prosto lasem. Będzie nie dalej jak cztery mile. Od Komańczy to ledwie co. Stępem idąc, stąd za sześć godzin będziemy na miejscu.

Młody szlachcic skinął głową. Za nimi ciągnęły się szeregi jadących dwójkami dragonów. Wmieszał się w nich Semko i znając wojskowy ordynek, w kolumnie stanął.

Spomiędzy niknących za plecami chałup wyglądali chłopci z Wygnanki. Niepokój nadal był w ich sercach, bo choć pan sprawę swoją załatwił, to przecie znów wyjeżdżał, a pod jego nieobecność wszystko się zdarzyć mogło. Żegota także to czuł, ale prośbie panny Agnieszki odmówić nie chciał.

Jechali, milcząc, bukowym lasem, który zaczynał się zielenić. Z rzadka tylko zamieniali półsłówka, a Wolski bardziej przy dragonach chodził, niż im towarzyszył. Męczyła widać cisza Sulatyckiego, bo posapywał i oczy mrużył. W końcu nie wytrzymał, gdyż zapytał:

– A dalej w Jaworniku pan Odnowiski siedzi?

Żegota skinął głową.

– Pewnie tak.

– Aaaa.... – skomentował przeciągle stary szlachcic i zamilkł.

Przez chwilę znów jechali w milczeniu. Kruszewski zerknął na towarzysza, a widząc, że w siodle się wierci i tylko czeka na pytanie, mruknął:

– A cóżeś sobie, waszmość, tak przypomniał?

Sulatycki uśmiechnął się zadowolony. Sam z siebie nic by nie rzekł, lecz skoro pytają... Wąsa podkręcił i łypnął szelmowsko.

– Bo mi się taka stara historia przypomniła, jeszcze z czasów rokoszu pana marszałka Zebrzydowskiego<sup>[29]</sup>... – Przerwał.

– No mówże, waszmość! – ponaglił czarnowąsy, uśmiechając się nieznacznie. – Widzę, że aż waści rozpiera, żeby co wyrzec!

– Było wtenczas, że w naszym województwie miał licznych zwolenników ów bunt. Pan starosta Jan Szczęsny Herburt<sup>[30]</sup> tutejszej szlachcie przewodził. Pisma liczne przeciw królowi wydawał, planując na tronie księcia siedmiogrodzkiego osadzić. W Dobromilu drukowane były i po szlachcie się rozchodziły. Tak i pan Odnowski się do rokoszan zaliczał, ale że natury raczej był tchórzliwej, tedy bardziej w domu swoim przeciw królowi perorował, niż do czynu się garnał. I on owe pisma chętnie brał i znajomym okazywał, co znakiem być miało jego odwagi i dla wolności szlacheckiej umiłowania.

Nadolski spojrział z zaciekawieniem. Z opowiadań dawnych znał tylko te czasy, lecz nigdy nie zgadłby, że Odnowski w sprawie miał jakiś udział. A Sulatycki ciągnął:

– Miał pan Odnowski córkę. Urody wielkiej, a i ojciec ją hołubił i hojnie wyposażyć przy zamęściu przyobiecał. Zachodził do niej sąsiad jeden... – podrapał się po czole – ...nie pomnę nazwiska, ale rzecz to małej wagi. W każdym razie starszy dużo, a i urodą niegrzeszący, więc panna ochotna mu nie była. Ale jak kropla skały drążąca nawiedzał Jawornik, by ojcu panny ukłony składać.

– To i pewnie wychodził! – Kruszewski machnął ręką.

Nie skomentował tych słów stary, lecz uśmiechnął się tylko.

– Zdarzyło się, że na leżach stali w tej stronie petyhorcy<sup>[31]</sup>, a oficerem był u nich niejaki Oskierko, z Litwy rodem. Zdaje się, że porucznikował wtenczas. Oskierko ów chwacko sobie poczynął, żadnej biesiady okolicznej nie opuszczając. A że młody był, żywy i urodny, tedy go chętnie okoliczni panowie bracia gościli. A zima była. I raz tak się zdarzyło, że po jednej z takich gościń wracał ów Oskierko sam na kwaterę. A jako że dobrze był już wstawiony, więc nie dziwota, że z konia w śnieg spadł. I zamarłby pewnie, gdyby drogą tą nie wracał do siebie pan Odnowski.

– To i chwała Bogu, że znalazł! – stwierdził Żegota.

– Dobrze to... – przyznał stary szlachcic – ...ale bez ducha znalazł. Tak przynajmniej myślał, kiedy sługi Oskierkę ze śniegu wygrzebały. Przestraszył się pan Odnowski, lecz widząc, że zamarznięty to człowiek urodzony, kazał na sanie zabrać i do domu swojego wieźć. Tam złożyli go w jednej izbie, a Odnowski frasował się, co z nieboszczykiem dalej czynić. I byłby się tak długo frasował, gdyby nie to, że nagle drzwi izby się otwarły, a w nich stanął wskrzeszony oficer.

– A to ci siurpryza! – zawołał Kruszewski.

– Mało co pan Odnowski na apopleksję nie padł. Ale kiedy do przytomności wrócił, jał mu dziękować Oskierko. A że wygadany był, tedy od razu do serca przypadł swemu wybawcy. I tak biesiadować w Jaworniku zaczęli. Towarzystwo miłe było, tedy przedłużała się owa gościna. Tym bardziej że Oskierko pannę zobaczył, a jak zobaczył, od razu mu się nawidziła. Więc i jemu się do wojska wracać nie spieszyło. A i panna oczami strzelała na zawadiakę i kolanami ku niemu tarła.

– Prędki ten oficer! Nie ma co! – mruknął Nadolski.

– Nie w smak było to drugiemu konkurentowi, który właśnie w odwiedzinę zajechał. Ale że widział, iż pan Odnowski wielki sentyment ma do młodego petyhorca, niepodobna było, by wprost powiedział, żeby oficera odprawić.

– Pewnie się posiekli – podsumował Kruszewski.

– A gdzie tam! – zaprzeczył Sulatycki. – Jął jątrzyć ów konkurent, że pora wracać żołnierzowi do oddziału, że niepokoją się ludzie. No i Oskierko w końcu rację przyznał. Już chciał jechać, lecz pan Odnowski nie zezwolił, każąc ostatnią biesiadę pożegnalną szykować. Okazalszą niż dotychczasowe, bo też dziedzic na Jaworniku ze smutkiem miłe towarzystwo tracił. Pili więc od południa, a podochocony pan Odnowski, choć już to po Guzowie było<sup>[32]</sup>, jął przeciw królowi gadać. Zabrał Oskierkę na stronę i pisma mu zaczął pokazywać, które miał u siebie pochowane, a które lżyły króla jegomości najgorszymi słowy. A sam swoje przewagi i zasługi głosił, jakie niby to miał w rokosz. Podпиты oficer tak i samo wołał, a jeszcze Odnowskiego do większej śmiałości zachęcał. Tak tedy w końcu obaj w ramiona sobie padli, a pijany już dziedzic rzekł, że czego tylko chce, może sobie Oskierko życzyć od niego. Nie spodziewał się jednakowoż, że młody poważnie słowa te weźmie. Padł porucznik na kolana i o rękę panny poprosił. Początkiem za żart to kolejny wziął pan Odnowski, lecz kiedy pojął, że nie o krotchwile chodzi, w moment wytrzeźwiał. Jął kluczyć, zwodzić, bo też taki charakter miał, że ostrożność w nim była wielka. I po prawdzie bał się, co też chwatał taki, jak Oskierko, uczynić może, jeśli się wprost z odmową spotka.

– To kłopot sobie na głowę ściągnał! – Nadolski zaśmiał się i aż w udo się klepnął.

– A zdarzyło się, że ów konkurent... którego nazwiska nie pomnę... słyszał, jak Oskierko o pannę poprosił. Bał się, że koniec końców Odnowski zgodę wyrazi, bo znał go i wiedział, że przymuszony gwałtownym naleganiem gotów i na to. Petyhorzec tymczasem zdziwił się na pokrętne słowa, które za jedno z odmową były. Przecie dopiero co miłość wieczną sobie z Odnowskim przysięgali! Wypadł więc smutny wielce z izby i w złości sam konia w drogę począł szykować, kiedy to afront taki go spotkał. Tymczasem, by Odnowski zdania nie zmienił, bo strapiony siedział, dopadł go ów drugi absztyfikant i jął prawić, że słusznie mu odmówił ręki córki pan na Jaworniku, bo przecie ów Oskierko to szpieg królewski, który w te strony zjechał, by zwolenników pana Herburta wyłuskać i, jako i pana starostę, do więzienia wtrącić. Przeraził się Odnowski, bo przecie tyle co przeciw królowi

wołał, a i pisma ulotne oficerowi pokazywał. Wrzucił w ogień papiery. Ale mało to było! Bo Oskierko w gniewie odjeżdżał, a w ambicji swojej urażony wiele mógł złego uczynić! Patrzył zdziwiony ów drugi konkurent, jak Odnowski po dworze się miota, za głowę łapie, krzyczy, że zgubiony już jest! W końcu wypada z domostwa, do stajni pędzi i odjeżdżającego Oskierkę siłą zatrzymuje! Konia za wodze trzymając, krzyczy, że zgodę daje na zamęście, byleby tylko go petyhorzec nie gubił!

Słuchający zaczęli się śmiać i głowami z niedowierzania kręcić.

– Oskierko zdziwiony z konia zeskoczył i w podziękowaniu do kolan upadł. Nie rozumiał, o co Odnowskiemu idzie, bo też żadnym królewskim szpiegiem nie był. Jako że rzecz po jego myśli szła, tedy nie frasował się tym za bardzo. I panna za ojcem z dworu wybiegła, a że chętna była zamążpójściu za tak zacnego kawalera, więc i ona ojcu dziękować poczęła. Na podwórzu, w śniegu, pobłogosławił im pan Odnowski, a kamień z serca mu spadł ogromny. Tylko ten, co jego nazwiska nie pomnę, stał z gębą rozdziawioną, bo pojąć nie mógł, że to, co za dobre dla siebie poczytywał, przeciw niemu się obróciło. Aż w końcu na koń wsiadł i precz pojechał. A wkrótce i wesele było!<sup>[33]</sup>

Kruszewski śmiał się głośno, rad, że opowieść choć na chwilę wyrwała go ze smutnych rozmyślań. I Żegota wesoło zerkał na Sulatyckiego, głową kręcąc i wąsy gładząc. Rozwiązał się nieco smętny nastrój wędrówki. Wolski, który dopiero co od dragonów z tyłu podjechał, zdziwiony patrzył na roześmiane twarze. Ale że zadowolony był, iż w lepszym nastroju zastaje swoich towarzyszy, więc nie pytał o jego przyczynę.

Tak też dotarli do Komańczy, gościem już gawędząc, dzięki czemu i droga im się nie dłużyła. Stąd ruszyli w lewo, lasem, kierując się na Przełęczki<sup>[34]</sup>. Im bliżej Piekarek, tym znów poważniejsze stawały się ich twarze. Ani na popas się nie zatrzymali od Wagnanki, a co zjedli, to w siodle. Gęstwina leśna otaczała pobrużdżoną drożynę, którą pewnie ledwie chłopskie wozy przebrnąć mogły przy wiosennych roztopach. Popołudnie już dobre było. Z lasu dochodziły odgłosy zwierzyny, która niewidoczna dla jeźdźców wodziła za nimi ostrożnymi oczami. W końcu rozmowy na powrót ustały

i tylko brzęk rynsztunku i pochrapywanie koni świadczyły, że ktoś jedzie. Przeszli w bród Osławę i wjechali między kilka biednych chałup we wsi. Chłopi ostrożnie wyglądali, znając, że wojsko nie wróży niczego dobrego. Co poniektórzy wcześniej już w las uszli, bo skoro tylko żołnierzy zobaczyli, rozumnie doszli, że za jedno od swojego czy obcego żołnierza ciągi brać. Dragoni jednak niewzruszenie szeregiem stępa jechali, z góry patrząc na nędzne ochędóstwo. Ruska to wieś była, więc ludzie prawosławnym znakiem zegnali się na ich widok. Sulatycki odjechał nieco w bok. Konia zatrzymał, rozparł się w siodle, tak że jego sylwetka jeszcze godniej wyglądała. Surowo spoglądając na kilku chłopów w gromadzie, zawołał:

– Podejść mi tu, chamy! A żywo!

Wieśniacy niepewnie zgięli się w pół i w takiej pozycji nieco przysunęli do szlachcica. Obok niego zatrzymali się Wolski z Kruszewskim. Nadolski stanął z boku. Pocztowy podjechał do swojego pana. Ten gestem nakazał mu zostać w siodle. Dragoni powstrzymali konie.

– Bliżej, hołoto! – warknął groźnie stary pan Wawrzyniec, a dla dodania powagi węża podkręcił zamasyście.

Chłopi ostrożnie podeszli dwa kroki i znów czapkując uniżenie, w oczy spojrzeć nie śmieli. Radował się znaczeniem swoim Sulatycki, bo choć rękodajnym był jeno u pana Dereśniaka, to przecież z urodzenia szlachcic. A każdy wiedział, że nie masz nic piękniejszego na świecie, niż urodzić się polskim szlachcicem.

– Znacie wy Bernata z Piekarek?! Tego, co z beskidnikami chodzi!

Stojący pokornie wieśniacy spojrzeli po sobie niepewnie. Nie wiedząc za bardzo, o co idzie, wahali się, co odpowiedzieć. I który ma to uczynić. W końcu wypchnęli jednego spośród siebie albo widać bardziej wygadanego, albo głupszego. Jak inni był zarośnięty na gębie, a włosy na głowie zbite miał w całkiem okazały kołtun. Zamrugał oczami, prędko uklon niezgrabnie wykonał i wyseplenął:

– Dyć znamy, jasny panie. Starej Walentyny od Iwana, co go drzewo przygnietło, syn.

– A widzieliście go teraz?!

Chłop odwrócił się ku zbitym w kupę kamratom, szukając w nich wsparcia. Ci jednak tylko rękami odzienie mieli i między sobą szeptali. Zniecierpliwił się Sulatycki.

– Gadaj mi tu zaraz! Jak nie, to po łbie dostaniesz!

Kudłacz zgiął się wpół, aż czapą w dłoni utrzymaną zamiótł brudną ziemię.

– A co my mieli wiedzieć... Przecie on ze trzy roki abo i wincyj precz poszedł...

Zaszemrali chłopci za nim między sobą. Głowami pokręcili. Niby coś by dodać chcieli, lecz strach ich paraliżował. Żegota skinął na Semka, a ten podjechał do zbitej gromady i zeskoczył z konia.

– Gadać zaraz, bo jak prawdy nie powiecie, to wojsko wieś z dymem puści! – warknął i wyszarpnął jednego zdaniej odzianego spomiędzy ciżby. – Stawaj tu przed jaśnie panem i mów!

Pchnął przerażonego chłopca ku Sulatyckiemu. Ten groźnie omiótł go wzrokiem. Wieśniak pokłonił się nieudolnie. Grube palce rąk zaplótł i nerwowo wykręcił. Oczy w ziemię wbił.

– My nie widzieli... – przerwał i głowę uniósł – ...ale mówił jedyn taki... – zająknął się i zamilkł.

– Co mówił?! – ponaglił Sulatycki.

– Mówił jedyn taki, co od Mikowa rodem, a smolarzem jest na Kiczerze, że widzioł go niby...

– Kiedy?! Gdzie?! – zniecierpliwił się szlachcic.

Chłop skulił się na gniewne słowa. Z ociąganiem wycedził:

– Mówił, że jak wedle brodu na Osławie w Piekarkach był, coby raków nałapać, to widzioł przed świtaniem, jak od Chreszczatej<sup>[35]</sup> do Piekarek przemykoł... Trzy dni bedzie... Z kamratami jakiemiś...

Sulatycki aż wąsa przygładził i spojrział tryumfalnie na Kruszewskiego. Ten podjechał i stanął przy nim. Spojrzął na chłopca i mruknął:

– A co się tak gadać boicie?

Wieśniak podniósł pierwszy raz głowę i zdziwiony spojrzął na szlachcica,

który nie odezwał się krzykiem. Westchnął i machnął z rezygnacją dłonią, w której dzierżył baranią czapę.

– Jasny panie! Przecie my tu piekło przez onego Bernata mieli! Chwalić Boga, że drzewiej uszedł był! Bo chodził z tołhajami po lasach, zwierzynę rabował, baby gwałcił, spyżę brał... Piekarki tylko szczędził, bo stamtąd rodem... Niedzieli jednej nie było, żeby kogo w okolicy nie sponiewierał! Tedy strach jest, że wrócił! – Wciągnął powietrze nosem i wysapał: – A mać jego, znaczy Walentyna, na nowo łeb podnosi, grozi, że syn jej sprawiedliwie odpłaci niby za jej poniewierkę... Co gadać... – znów machnął ręką – ...byli dawniej i smolacy, coby kurwiego syna schytać, ale nie poradzili z kryjówki wyłuskać...

– A wy wiecie, gdzie owa kryjówka?! – przerwał Sulatycki.

Chłop ręką wskazał za siebie, na lewo.

– Kajś tam... na Chreszczatej... Diabeł jeden zna!

Kruszewski głową skinął i milcząc, odjechał do Żegoty. Ten spojrzał pytająco. Młody szlachcic zaś mruknął cicho:

– Może nie diabeł, ale matka na pewno...

Nadolski pokiwał głową, zgadzając się z tym spostrzeżeniem. I tak do matki Bernata jechali. Teraz zaś pewność mieli, że babę przycisnąć trzeba. Pewnie to i bez chłopskiego wyrzekania by uczynili, lecz dzięki temu wiedzieli już, o co pytać trzeba.

Sulatycki podjechał bliżej, a zostawiony samemu chłop prędko wmieszał się pomiędzy swoich. Tylko ten, co go pierwszego wypchnęli, rozglądał się głupkowato z rozdziawioną gębą. Zadowolony stary pan Wawrzyniec zatrzymał konia i łypiąc to na Nadolskiego, to na Kruszewskiego, rzekł:

– Słusznie chłopów nacisnąłem! Jest ów skurwysyn tutaj! – Nagły grymas smutku przebiegł mu po twarzy. Spuścił oczy i ciszej już dodał: – Może i panna...

Kruszewski nic nie odrzekł. Tylko konia przynaglił, co widząc, Wolski dał znak dragonom. Ruszyli w milczeniu. Żegota z Sulatyckim dołączyli na koniec kolumny. Im bliżej było Piekarek, tym znów czarniejsza myśl w nich



się rodziła. Póty bowiem nadziei, póki jej słowa prawdy nie rozwieją. A te paść mogły już wkrótce. Nieskoro było może im je usłyszeć.

Piekarki były nieduże i biedne. Nędzne chałupy, pola nieurodzajne i las wkoło. W dodatku odludna wieś często nawiedzana była przez węgierskich tołhajów, a i rodzimi zbóje jej nie omijali. Pomyślał Nadolski, że nawet jego skrawek w Wygnance na bogatszy wygląda. Jak poprzednio w Przełęczkach, wieśniacy z chałup wyszli, ze strachem zerkając. Nie było tu dzierżawcy, a osada lokowana przed laty przez sanockiego starostę marnie się miała, jak ziele na kamieniu posadzone. Tylko drewna wokoło było pod dostatkiem. Nie dziwota więc, że wieśniacy w takich okolicznościach nie tyle uprawą, ile kłusownictwem i kradzieżą się parali. A niejeden na stałe do beskidników przystawał. Znów Sulatycki się wysforował. Pośrodku wsi stanął, między kilkunastoma obejściami. Dlatego że pierwszy wjechał, chłopci spojrzeli na niego jak na dowódcę jakiego. Kręgiem niespokojnym go otoczyli, zerkając na zbierających się z wolna dragonów. Pan Wawrzyniec powiódł oczami ni to nad głowami chłopskimi, ni to po wieśniakach i zawołał:

– Gdzie Walentyna?! Ta, co matką Bernata jest!

Szemranie się rozległo. Chłopi rozstąpili się, odsłaniając babę otyłą, w krasnej chuście na ramionach, co odróżniało ją od innych, raczej biednie i na szaro ubranych. Wieśniaczka śmiało zrobiła krok w przód.

– Jo jestem!

– Aha! – Sulatycki skinął głową i nic nie dodając, palcem pokazał Wolskiemu. Ten zaś zakomenderował dragonom:

– Z koni!

Sam także zeskoczył z siodła. Cicho rozkaz wydał kilku żołnierzom, a ci weszli między chłopów i babę między siebie wzięli. Na razie nic jednak innego nie uczynili. Gromada mieszkańców zapobiegawczo odsunęła się od wywołanej. Stanęli kilka kroków dalej w półkołu i z ciekawością patrzyli, co się stanie. Baba niby hardo patrzała, ale co rusz na boki się oglądała. Poznała, że skoro ją wezwano, to nic dobrego wróżyć nie może. Nie pojmowała jednak co. Kruszewski podjechał bliżej, stając między kobietą a Sulatyckim. Skierował wzrok ku babie i warknął:

– Gdzie syn wasz?!

Wieśniaczka wzruszyła tylko ramionami pod krasną chustą.

– Nie wim!

Młody szlachcic powoli pokiwał głową. Potem skierował oczy na Nadolskiego. Ten rozłożył ręce i westchnął:

– Nie ma rady...

Zrozumiał bez dalszych słów Wolski. Skinął tylko lekko dłonią, a dragoni w mig babę pod ramiona chwycili i powiedli między swoich towarzyszy, którzy w czworoboku stanęli. Kilku tak się ustawiło, by baczenie mieć, żeby kto z chłopskiej cizby w las nie poszedł.

Godzina była może piąta po południu. Marcowe słońce słabo grzało. Ośława szumiała nad kamieniami, w otaczającym wieś półkolem korycie. Chłopi, szepcząc między sobą i gestykułując gwałtownie, nie wiedząc o czym dyskutowali. W końcu jeden starszy, poważany widać w gromadzie, wystąpił i przed Sulatyckim się skłonił.

– Za czym, to jasny panie, starą Walentynę bierzecie?

Pan Wawrzyniec aż spurpurowiał na twarzy na taką bezczelność. Bo nie miał chłop prawa pytać, gdy szlachcic rozkaz dał.

– Ty chamie! – wrzasnął. – Nie twoja to psia sprawa!

Wieśniak stał jednak niewzruszenie. Skłonił się sztywno, ale pokory w tym ledwie co było. I patrząc na jeźdźca, powiedział:

– My tu z nadania starosty sanockiego. Jego ludzie jesteśmy. Jego prawo nam kary wymierzać.

Sulatycki ruszył koniem i piersią zwierzęcia pchnął starego. Ten krok do tyłu zrobił, lecz nadal w górę spoglądał. Już miał po nahajkę szlachcic sięgać, kiedy Kruszewski podjechał doń i rękę mu na ramieniu położył.

– Ja powiem – rzekł krótko.

Starszy głową skinął i nienawistnie wzrokiem wieśniaka obrzucił. Tylko drgające wąsiska wskazywały, że miałby jeszcze co wyrzec pan Wawrzyniec.

Kruszewski koniem zakręcił, stając bokiem do gromady. Powiódł

wzrokiem i zawołał:

– Z zezwolenia pana starosty sanockiego beskidnika ścigamy, co ważył się napaść poczynić i mordu dokonać na ludziach pana Stanisława Dereśniaka z Rokietnicy! Ta tu... – wskazał na stojącą między dragonami babę – ...to matka owego zbója, którego Bernat zwa, a z waszej wsi pochodzi! W te strony ów łajdak i oczajdusza uszedł, a wiadome nam, że matka jego pomocy mu udzieliła! – Spojrzał prosto w oczy stojącego przed nim chłopca. – Tedy w prawie jesteśmy i każdą rzecz uczynić gotowi, by zbója owego pojmać i karę należną mu wymierzyć!

Wieśniak pokiwał głową. Usta mu drgnęły. Ważył widać słowa, które zamierzał wypowiedzieć. W końcu rzekł:

– Znamy tego Bernata. Odszedł z tych stron dawno. Od tego czasu nie był widziany.

Kruszewski uśmiechnął się krzywo, odsłaniając wilcze zęby.

– A to się jeszcze obaczy!

Szarpnął konia, znak tym dając, że więcej gadać nie zamierza, i podjechał między żołnierzy. Tam z konia zeskoczył. I Nadolski obok stanął, a przy nim Semko. Pocztowy nieraz na wojnie widział podobne wypadki, że kogoś siłą do gadania przymuszano, tedy bez wrażenia żadnego spoglądał. I dla dragonów nie pierwszyczna to była. Za jedno, babę czy chłopca. A zdarzało się i dziecko, jeśli było trzeba.

Stara Walentyna pojęła widać już, o co idzie, bo hardość z jej gęby zeszła, a oczami mrugała, jakby jej co za powieki wleciało. Tymczasem Kruszewski nakazał żołnierzom rozciągnąć mocno grubą linę konopną, między stojącymi opodal chatami. Kiedy to uczyniono, podszedł do baby, a z nim razem pozostali szlachcice. Chłopi, milcząc, zza dragonów spoglądali.

– Nooo... – Czarnowąsy zdjął czapkę z piórem i podał jednemu z dragonów. Włosy przycięte modnie, po szlachecku, przygładził. – Gadaj tedy, gdzie syn twój!

Walentyna zamachała rękami, aż na nowo dragoni ją pochwycili.

– Jo nie wim! Jak uszedł, to go ni ma! Na Boga przysięgom!

Kruszewski westchnął z rezygnacją i powtórzył:

– Mów, babo, gdzie, bo łatwo nie będzie!

– Nie wim, jasny panie! Klnę się, że nie wim, w jakiej stronie!

Zawyła, a łzy z oczu jej pociekły. Na kolana się rzuciła i ręce wyciągnęła jak do modlitwy. Chusta spadła jej z ramion. Nadolski pochylił się, podnosząc kwiecistą materię.

– A to skąd u ciebie?

Walentyna głowę obróciła, szeroko rozwierając powieki. W głowie szukała jakiejś odpowiedzi.

– Kupiłam se!

– Kupiłaś... – Żegota zmiął w dłoni podniesiony fragment babskiego odzienia i cisnął nim w twarz starej.

– Nie ma co gadać – usłyszał z tyłu słowa Kruszewskiego. – Im prędzej zaczniemy, tym prędzej się co trzeba dowiemy.

Siwowłosy szlachcic przytaknął ruchem głowy. Wolski krzyknął do dragonów:

– Na linę<sup>[36]</sup> z nią!

Żołnierze schwycili mocno babę i podnieśli z kolan. Ręce jej za plecami skrępowali. Stara wyła niemiłosiernie, wzywając ludzkiej i boskiej pomocy. Skupieni chłopcy głowy pospuszczali i zęby zagryźli. Tymczasem kobietę uniesiono i okrakiem na sznurze usadzono. Podwinęła się brudna spódnica, odsłaniając grube, pobrużdżone nogi i stopy od ziemi czarne. Lina ugięła się pod ciężarem. Dragoni po bokach chwycili zwisające uda i podtrzymali dla równowagi. Walentyna zawyła z bólu:

– Luuuudzieeee! Ratujtaaaa!

Poruszyła się rzesza wieśniacza, ale nikt nie wystąpił. Sznur wbijał się pod ciężarem ciała w babskie krocze. Kruszewski podszedł i podniósł głowę, by starej w oczy spojrzeć.

– Mów! – rozkazał.

– Neeee wiiiiim! – wyjęczała przeciągle. – Ulituuuuujta sieeeee!

Pytający pokręcił głową. Nie pragnął tego, co zdarzyć się miało.

– Trzy dni nazad przez bród do ciebie szedł! Nie łzyj! Gdzie on?!

– Paaanie! Jo nieeee wiiiiim!

Ostatni raz Kruszewski zapytał, wprost oznajmiając:

– Zaraz każę po sznurze cię pociągnąć! Mów, babo!

Bełkot i wycie wydobyło się tylko z gardła Walentyny, której łzy i ciekące z nosa smarki twarz zalewały. Szlachcic nabrał powietrza nosem, wypuścił je z sapnięciem i z rezygnacją skinął dłonią trzymającym kobietę dragonom. Mruknął przy tym:

– Na pierwszy raz nie spieszcie się! Z wolna! Niech przedsmak poczuje!

Żołnierze tężej ścisnęli babskie uda i poszli powoli, ciągnąc ją w przód kilka kroków. Lina konopna szarpała mięso między nogami. Wieśniaczka zawyła przeciągle:

– Jeeeeeeeeeezuuuuuuuu!

Dragoni zatrzymali się i odwrócili w przeciwną stronę, czekając dalszego rozkazu. Czarnowłosa przeszedł ku Walentynie i patrząc w jej napuchłą od płaczu i cierpienia twarz, ponownie nakazał:

– Mów! Gdzie Bernat?!

– Ulitujta się, jasny panie... – Głos miała cichnący. Chlipała żałośliwie – ...na Boga żywego! Nie wim!

Pokiwał głową i poleciał.

– W drugą! Żywiej!

Tym razem kaci mocniej babę do liny docisnęli i biegiem prawie przeciągnęli ją w miejsce, gdzie ją z początku usadzili. Na sznurze krew się pojawiła z resztkami kłaków i skrawkami udartej skóry. Walentyna wyła nieprzytomnie, szarpiąc się mocno trzymającym dragonom. Kruszewski podszedł do niej i odczekał, aż nieco ucichnie.

– Gdzie syn twój, babo! Bo nazad pojedziesz! Na pół przeciąć każę!

Kobieta milczała, chlipiąc i podrygując na napiętym sznurze. Znać było, że czas kupuje, szykując się pewnie na ból dalszy. Zniecierpliwiał się młody

szlachcic.

– Mów! Bo do trzech liczę!

Walentyna nie odpowiedziała. Kruszewski do dragonów się więc zwrócił:

– Jak trzy usłyszycie, na nowo ciągnijcie! Ile siły w nogach!

Potem spojrzął na babę.

– Gadasz?!

Cisza była mu odpowiedzią.

– Raaaz! Dwaaa! – odczekał chwilę. – Trzyyyy!

Pociągnęli Walentynę dragoni. Aż poszedł wizg z napiętej liny jak ze struny. Zmieszał się z nieludzkim wołaniem męczonej i wzbierającym szmerem chłopskich głosów. Wśród nich, niby pszczele brzęczenie, unosić się poczęło:

– Darować babie... Nic nie wie... Puścić ją....

Nie baczył na to Kruszewski. Oczy zmrużył, czoło skroplone nerwowym potem przetaił. Chwilę stał, patrząc się w siedzącą na sznurze okrakiem chłopkę. Krew spływała jej po obnażonych udach. Skapywała kroplami w zdeptaną, błotnistą ziemię. Baba przechylona w jedną stronę chlipała boleśnie. Szlachcic przeszedł przed nią. Spoceni dragoni czekali dalszego rozkazu. Czerwienieli z wysiłku, bo teraz kobieta bezwładnie siedziała, opierając się tylko na nich. A ciężka była.

– Mów! – rzucił krótko szlachcic.

Nadolski smętnie spoglądał na kaźń. Okrutna była, ale znał, że tak trzeba. Inaczej nie znajdą Bernata, a wtedy i panna będzie zgubiona. Jęczała matka beskidnika. Z ust wypływała jej gęsta ślina, zmieszana z krwią przygryzionych warg. Pieniła się pękającymi bańkami urywanego, szybkiego oddechu. Kruszewski już unosił rękę, by żołnierze na nowo pociągnęli. Wtenczas szept bolesny posłyszał. Nie zrozumiał go na początku, więc bliżej się przysunął. Poczł znany sobie zapach strachu i ludzkich wydzielin.

– Co gadasz?!

Ucha nadstawił. Wówczas wyraźniej doszło go:

– Powim... Puśta mnie...

– Z liny! – nakazał głośno.

Dragoni poluźnili uścisk. Baba przechyliła się na prawo i niepodtrzymywana runęła na błotnistą ziemię. Skuliła się, okrywając skrwawioną spódnicą obnażone nogi. Nie miała siły usiąść ani wstać. Kruszewski kucnął przy jej głowie i twardym ruchem twarz jej ku sobie odwrócił.

– Gadaj! Jak nie, na powrót na sznur trafisz!

– Zmiłujta się, panie... Powim...

– Gdzie jest!?

Baba chlipnęła i nie otwierając oczu, wyłkała:

– Za potokiem... Jak Olchowy idzie, gdzie ziemia z Chreszczaty schodzi... Tam na lewo kamienie w szczelinie są... Tam siedzą...

– Ilu!

– Cztyrech... Na Boga! Panie! Przecie on nie winien! Przecie chowo się! W strachu jest! Przecie nie on...

Kruszewski nie słuchał więcej. Wyprostował się i spojrzał z tryumfem po milczących teraz wieśniakach. Ci pospuszczali głowy. W końcu krzyknął do nich:

– Weźcie ją! Gdyby od razu rzekła, nic by jej nie było!

Podeszło dwóch chłopów, więzy babie zdjęli i ostrożnie wzięli Walentynę pod ramiona. Pociągnęli bezwładne ciało do chałupy. Okrwawiony sznur wisiał znakiem kaźni, która się właśnie odbyła. Nadolski podszedł do młodego szlachcica. Spojrzał pytająco. Już za chwilę wieczór miał zapadać.

– Idziemy! – zdecydował Kruszewski. Zawołał Wolskiego i Sulatyckiego.

– Panie Krzysztofie! Weź pan dragonów kilku. Razem ze mną pójdą. I waszmość, jak chcesz.

– Też idę! – oznajmił krótko Nadolski. – I mój Semko!

Czarnowąsy skinął głową. Potem zwrócił się do Sulatyckiego:

– Panie Wawrzyńcze, pan we wsi zostaniesz. Chłopów dopilnować trzeba,

coby w chałupach siedzieli i póki nie wrócimy, nie ruszali się. Jednego tylko weźmiemy na przewodnika. Najlepiej tego, co tak hardo pytał...

– Zaraz każę go sprowadzić! – mruknął Wolski i wydał polecenie stojącym opodal żołnierzom.

– A nam ruszać trzeba. Zaraz zmrok będzie. A beskidnicy pewnie prędko wywiedzą się, żeśmy zjechali – dokończył pan Andrzej. I dodał: – Albo i już wiedzą...

Dragoni przywiedli chłopca. Kruszewski stanął przed nim i oznajmił:

– Poprowadzisz nas w to miejsce, o którym baba mówiła. Wzdłuż potoku, gdzie ziemia z Chryszczatej schodzi i jakaś szczelina w skale jest. – Spojrzał stojącemu w oczy i mrużąc je, mruknął: – A jeśli zwiedzisz nas albo na manowce poprowadzisz, to znasz już, że żartów nie ma! Nic dla mnie osadę spalić! A ciebie na pal wbić każę! Pojmujesz?!

Wieśniak skinął głową. Szlachcic odwrócił się i zakomenderował:

– W konie!

Już podać mu mieli wierzchowca, kiedy zza pleców usłyszał spokojny głos chłopca:

– Końmi to, jaśnie panie, daleko nie zajedziecie. Tam na pieczętę iść trzeba.

Kruszewski stanął w pół kroku i odwrócił się. Przygłodził wąsy i zaklął szpetnie. Potem ręką machnął.

– Dobrze! Brać półhaki i szable. Jak pieszo trzeba, to i pieszo pójdziemy!

Stanęli przy nim Nadolski z Semkiem, Wolski i pięciu dragonów. Wszyscy za pasy pistolety włożyli, a przy bokach wisały im szable. Choć Żegocie ból w plecach wrócił, zagryzł zęby i postanowił iść, bo czuł, że niewiele na razie pomógł. I bez niego mogliby tu być. Nawet wcześniej. Trudno było mu pojąć, czemu Agnieszka Wierzbowska nakazała Kruszewskiemu zabrać go z Wygnanki.

W trzy pacierze wyszli. Sulatycki rozstawiał właśnie patrole wkoło wsi. Pozostali żołnierze rozlokowali się przy chałupach, rozpalając ogniska i szykując posiłek. Idący minęli ostatnie domostwa i skręcili na lewo, gdzie zaczynała się leśna ścieżka wiodąca pod górę.



Ziemia była rozmiękła i śliska. Kruszewski w duchu przyznał, że trudno byłoby jechać wierzchem. A dalej pewnie gorsza czekała przeprawa. W lesie bukowym ciemniej już było. Prędzej tu zmierzch zapadał, dlatego zapobiegliwy Wolski kazał dragonom zabrać pochodnie, które, zapalone w razie potrzeby, mogłyby oświetlać drogę. Szli w ciszy prowadzeni przez chłopą. Ten pewnie stawiał kroki. Olchowaty szemrał, spływając kamienistym korytem. Minęli niewielki próg wodny, na którym utworzył się wodospad. Potok po prawej płynął raz to w głębszym, raz to w płytszym jarze. Gdzieniedzie zwalone drzewa piętrzyły go bądź tworzyły omszałe kładki. Robiło się coraz to stromiej. Buty ślizgały się po tłustej żółtawej ziemi pokrytej pozostałymi po zimie resztkami zeszłorocznych liści. Oddechy niewprawnych do górskich wędrówek stawały się szybkie i urywane. Nadolski zagryzł zęby, bo dodatkowo czuł nieprzyjemne ciągnięcie w nie do końca wygojonych plecach. Przed nim szedł Semko krokiem pewnym i równym. Młody był i do trudów zwyczajny. Jak i dragoni, którzy szeregiem pieli się w górę. W nieco ponad godzinę osiągnęli bardziej płaski teren. Chłop rozejrzał się i wskazał na prawo, tam gdzie strumień się rozwidłał. Śliskie zbocze było tu jeszcze bardziej strome.

– Chreszczata – mruknął przewodnik. – Tu grunt się rusza, bo ziemia miętka. Jak wiosna przyjdzie, to czasem błoto schodzi. Niebezpiecznie iść.

– Dalej! – warknął Kruszewski. Buty miał całe w lepkiej mazi. Jego bogate odzienie nie wyglądało najlepiej. Podobnie zresztą jak i u pozostałych.

Chłop skinął głową i przeżegnał się ruskim krzyżem. A potem poprowadził. Przechodzili pod górę pomiędzy majestatycznymi bukami. Gdzieniedzie zwalone drzewa odsłaniały wyrwę po korzeniach pęknięcia w luźnym podłożu. Czarnozielone kamienie i skały utrudniały wędrówkę.

– Daleko jeszcze? – wysapał Wolski i przystanąwszy, wyprostował się.

Wieśniak pokręcił głową, nie przerywając marszu.

– Daj znać, jak będziemy się zbliżać! I cicho teraz! – rozkazał czarnowłosy szlachcic, opierając się o drzewo.

Zapadała ciemność. Widać było tyle, co idących przodem. Pobrzękiwania i sapanie stanowiły jedyne odgłosy wędrówki. Coraz więcej było skalistych

odłamków i kamieni. Wilgotne sprawiały, że idący wciąż musieli podierać się dłońmi. Nadolski z trudem wspinał się na końcu. Semko musiał pomagać panu w podejściu, podtrzymując mu ramię. Zły był Żegota na swoją słabość. Odsapnął więc zadowolony, kiedy pochód zatrzymał się nagle. Powoli podszedł do przodu, mijając dyszących dragonów. Kruszewski wpatrywał się w ciemność po lewej stronie, tam gdzie widać było niewyraźnie zarysy głazów. Przewodnik, szepcząc, pokazywał coś wyciągniętą ręką. Nadolski stanął przy młodym szlachcicu i również skierował wzrok w tamtą stronę. Mrok nad kamieniami wyglądał na rzadszy, choć nie widać było ognia, który musiał to sprawiać. Wolski cicho wydawał rozkazy żołnierzom. Znikali w ciemności, ściskając w dłoniach półhaki. Zachodząc z lewej i prawej, otaczali pokazywane przez przewodnika miejsce. W końcu i szlachcice przesunęli się ku kamieniom. Starając się nie poruszyć żadnej gałęzi, w napięciu, pochyleni skradali się w przód. Kryjąc się co chwila za szorstkimi pniami drzew i skalnymi odłamkami. Kruszewski wiódł przed sobą chłopca, nie spuszczać go z oka. Trzymany w dłoni pistolet stanowił jawną groźbę, że jeśli uczyni cokolwiek wbrew woli młodego dowódcy, czeka go niechybnie kula w łeb. W kilka minut po cichu dotarli do rumowiska. Ciemność stawała się nieprzenikniona. Czarnowąsy spojrzął na Żegotę, a ten ledwie widział białka jego oczu. Wzrokiem Kruszewski wskazał na chłopca i szepnął:

– Popilnuj go waść. Ja dalej sam skoczę.

Nadolski skinął głową, choć nie wiedział, czy pan Andrzej mógł to dostrzec. Silnie pochwycił wieśniaka za ramię. Ten nawet nie drgnął. Przycupnął za skałą i zamarł w bezruchu. Obok przysiadł Semko, który, z braku innego polecenia, wołał przy panu pozostać. Szelest oznajmił, że Kruszewski znika w ciemności. Żegota został jedynie z pocztowym i przewodnikiem. Czas dłużył się, a każda sekunda wyczekiwania wystawiała na próbę jego cierpliwość. W mroku słyszał jedynie odgłosy leśne i czasami jakby trzask pękających pod stopami gałązek. Nic jednak się nie działo. Dopiero po dłuższej chwili usłyszał głośny okrzyk, potem błysnęły dwa strzały z półhaków, po których zapadła cisza jak nożem uciął. Wyprostował

się i pociągnął chłopca. Semko również wstał. Rozejrzeli się wkoło. Nadolski dostrzegł, że nieco w prawo mrok coraz bardziej się rozrzedza, aż w końcu buchnął płomień ogniska. Zarysowały się na jego tle ludzkie postacie. Niewiele myśląc, swój krok tam skierował, pociągając wieśniaka. Semko posłusznie poszedł za nimi. Zbliżyli się do światła. Dragoni krążyli wokół, rozglądając się bacznie. Wolski kłął cicho pod nosem i wyteżał wzrok, wpatrując się w ciemność. Tylko Kruszewski siedział bez ruchu na zwalonym pniu. Z głową opuszczoną i rękami zwieszonymi bezwładnie. Żegota pozostawił chłopca pocztowemu, a sam podszedł do młodego szlachcica.

– Gdzie oni? – zapytał krótko.

Kruszewski bez słowa ramionami wzruszył i głowę tylko nieco unosząc, ręką wskazał na puste posłania z mchu i gałęzi, pokryte jakimiś szmatami, rozłożone przy podsyconym przez dragonów ogniu.

– Uszli? – upewnił się Nadolski.

Pan Andrzej pokręcił smętnie głową.

– Nie było nikogo. Ledwie się ogień żarzył. Myśleliśmy, że śpią. Znienacka wpadłem, a wtedy pojąłem, że legowiska puste...

– Ostrzegł kto? Słyszeli?

Młody ponownie ramionami poruszył.

– Jakie to ma znaczenie? Nie ma...

– Szukać trzeba! – Żegota gwałtownie się rozejrzał. – Skoro ogień się jeszcze tlił, to nie odeszli daleko!

Kruszewski westchnął i ręką machnął z rezygnacją.

– W tym mroku to nikogo nie znajdziemy. A jeszcze sami karki połamiemy.

Dragon z pochodniami krążyli wkoło, nawołując się i szukając jakiegoś tropu, który mógłby wskazać drogę, jaką uciekł Bernat z towarzyszami, lecz ślady widać było tylko przy ognisku. Dalej kamienista ziemia i ciemność skutecznie ukrywały jakikolwiek trop.

– Jeszczem się łudził... – usłyszał Nadolski szept Kruszewskiego. –

Jeszcze nadzieję miał... Panna Agnieszka rzekła, że waszmość musisz z nami jechać, bo bez ciebie się udać nie może. Uparła się na to, choć nijak tego wyrozumieć niepodobna, dlaczego tak właśnie być miało. I ja uległem złudzie... Ale widać i waszmości obecność pomóc nie mogła...

Żegota westchnął cicho i usiadł obok młodego. Ten zaś, patrząc w oświetlaną czerwonym płomieniem ziemię, mówił:

– Miłowałem ją... Choć wiedziałem, że innemu pisana... Ot, serce nie sługa! A teraz gdzie ona? Ani narzeczonemu, ani mnie niedana...

Kruszewski wstał tak wolno, jakby wiek już go przycisnął. Zarys zgarbionej sylwetki odbił się w ogniu. Patrzył się w drgający płomień.

– Jutro dalej pójdziemy! – próbował pocieszyć Nadolski. – Jeszcze przecie możemy dojść owego beskidnika!

Stojący pokręcił głową i zrezygnowany odpowiedział:

– Sam waszmość w to nie wierzysz, mości Żegota. Tedy i mnie złudnej pociechy nie dawaj. W górach to jak wiatru w polu szukać. Już tu jadąc, do Piekarek, małom wierzył. Ale kiedy ujrzałem żar tłący się między skałami, to pomyślałem, że może się trafi... Tym więcej gorczy we mnie, że chwilę temu pewny byłem...

Pokiwał smutno głową i ręce założył na piersi.

Wolski z dragonami jeszcze uwijali się gdzieśgdzie, lecz żołnierze pojedynczo, powoli, zaczęli schodzić się ku ognisku. Z głowami spuszczoneymi siadali gdziekolwiek. I porucznik w końcu do Kruszewskiego się zbliżył. Dłoń mu na ramieniu położył.

– Panie Andrzeju... – wyrzekł i w pół zdania przerwał.

Młody szlachcic odwrócił głowę i spojrzał w oczy oficera. Potem na powrót brodę na piersi zwiesił. Wolski opuścił rękę, czapkę ściągnął i zaklął szpetnie. Potem w ogień patrząc, zapytał:

– Co teraz?

Kruszewski zagryzł wargi. Zwlekał z odpowiedzią. Odwrócił się, przeszedł wkoło ognia i na powrót usiadł. Rękami głowę objął. Oficer, widząc to, podszedł do swoich żołnierzy i szeptem coś z nimi rozprawiał. Semko pchnął

chłopa bliżej ogniska, a sam przysiadł na jednym z pozostawionych posłań. Strzelały iskry z czerwonego żaru. Płomień tyle co oświetlał krąg ludzki, raz odsłaniając, a raz gubiąc stężałe twarze. Pogłębiał każdą strapioną zmarszczkę.

Żegota smutno wpatrzył się w ognisko. Na nic zdała się jego obecność. Może gdyby ominęli Wygnankę i prędeż w Piekarkach byli, to inaczej by się stało? Pewnie o tym myślał udręczony Kruszewski. Jakby dla przypomnienia strony rodzinnej Nadolskiemu na nowo odezwał się ból w plecach. Westchnął boleśnie i dłonią przetarł wilgotne czoło. Gorącość jakaś go brała. Nadwerężył nadwątłone siły przeprawą. Niewygojone rany musiały w końcu dać znać o sobie. Niewesołe myśli rodziły się w głowie, kiedy tak wpatrywał się w jęzory rudych płomieni tańczących przed nim. Wszystko to, poranione plecy, ogień i dojmujący smutek, przywiodło jego myśli ku Rycie. Poczul się jak wtenczas, w jej chacie, kiedy wszystko z głowy chciał wyrzucić, bo inaczej pękłoby mu serce. Wróciło wspomnienie Zośki i dzieci, na chwilę na boku zostawione. Tym mocniej o sobie znać dało. Wypychał Żegota siłą woli każdą myśl z głowy. Wyteżył oczy, by zagubić swój umysł w rozedrganym ogniu. W duchu powtarzał słowa modlitwy, którą zastąpić chciał dręczące wyrzuty sumienia. Płomienie rosły i ginęły nad czerwonym żarem. Syczały, trawiąc bukowe polana. Rozmywały się w żółtoczerwonych plamach.

Nagle Nadolski drgnął. Oczy zamknął i głową potrząsnął. Dla otrzeźwienia dłonią po twarzy przejechał. Nikt nawet nie spojrział na niego. Każdy zajęty swoimi sprawami i dumaniem. Znów w ogień spojrział i na powrót zjawilo się widziane przed chwilą złudzenie. Wyszeptał ostatnie słowa mówionej w myślach modlitwy i zamarł bez ruchu. Nie zamykał już oczu. Tak dziwna wydała mu się mara, że pojąć chciał, co oznacza. W ogniu pojawiała się i znikła kobieca twarz. Błada, okolona czarnymi włosami. Twarz Ryty. Była niczym martwa. Wpatrzona w Żegotę, z ustami ściągniętymi w wąską kreskę. Unosiła się z językami ognia i niknęła, gdy opadały. Nadolski szepnął do siebie:

– Wszelki duch...

Miał chęć się przeżegnać, lecz bał się stracić widzenie. Ni to lękał się go,

ni to pragnął. Otwarte oczy zaczynały łzawić, rozmywając obraz. Nie chciał nawet mrugnąć, by nie stracić ulotnego wizerunku. Zza mgły dostrzegł nagle unoszącą się dłoń czarownicy. Palcem wskazywała na niego. Wyteżył źrenice, by pojąć, co wiedźma chce przekazać. Czy winę jego? Ogień opadał i się wznosił. Wyprostowany palec migotał w nim, co rusz gubiąc się w ciemności. Usta widziadła się poruszyły, wyrzekając niesłyszalne słowo. I wtedy Żegota pojął, że Ryta nie jego wskazuje, lecz pniak, na którym siedzi. Zmieszały mu się w głowie myśli. Nie pojmował niczego. Jeszcze raz oczy wyteżył, by jakąś wskazówkę zobaczyć. Wtenczas strzeliło jedno z polan, a snop iskier popłynął w niebo. Drgnął i przeszedł go dreszcz otrzeźwienia. Jakby ze snu się wybudził. Zniknęło widzenie.

Wstał gwałtownie i rozejrzał się wkoło. Las ciemny szumiał groźnie. Dragoni, zbici w kupę, gryźli suchy chleb wyjęty z pazuch. Wolski stał przodem do ognia, w milczeniu grzejąc ręce. Kruszewski nadal ze spuszczoną głową rysował się w półmroku naprzeciw. Semko, na rozpostartych na ziemi gałęziach siedzący, szeptem rozprawiał z chłopskim przewodnikiem. Chwila zawisała pomiędzy tym, co było, a tym, co ma się zdarzyć. Nadolski ostrożnie odwrócił się i spojrzał na pniak, z którego był powstał. Leżał na ziemi jak i inne wokoło. Czego chciała Ryta? Czemu na niego wskazała? Lekko kopnął bukowe drewno. Nie odwracając się, zawołał:

– Semko! Do mnie!

Pocztowy powstał z ziemi i popychając przed sobą chłopca, podszedł do swojego pana. Spojrzał pytająco. Szlachcic ruchem głowy wskazał na pniak.

– Co widzisz?

Chłopak wbił oczy w leżące drewno i prychnął:

– Pniak... A niby co?

Nadolski nie odpowiedział i pochylił się, aż żywym ogniem zapiekły gojące się rany. Położył ręce na drewnie i warknął:

– Na co czekasz! Pomóż odwalać!

Nie pojmował niczego pocztowy. Ale rozkaz posłusznie wypełnił. I chłop z Piekarek z pomocą przyszedł. Wolski znieruchomiał i znad ognia spoglądał

na zdarzenia. Dragoni przerwali posiłek. Z otwartymi gębami dziwowali się szlacheckiej fanaberii. Tylko Kruszewski siedział nieporuszony. Zdawałoby się ciężki pniak, nad wyraz lekko dał się unieść i w bok odwalić. Semko postąpił, dźwigając go krok w przód, i nagle noga jego wpadła w pustkę. Ratując się, runął na plecy z urwanym przekleństwem. Kłoda z hałasem opadła na ziemię. Siwy szlachcic wyprostował się z trudem i otrzepał dłonie. Podał rękę pocztowemu, pomagając mu wstać. Stanęli nad miejscem, gdzie przed chwilą leżało drewno. W ziemi czerniła się dziura.

Zaciekawieni dragoni z pochodniami zbliżyli się, oświetlając znalezisko. I Wolski obszedł ognisko, by sprawdzić, o co chodzi. Wszystkim nagle jasne się stało, co znalazł Żegota. Porucznik, nie spoglądając do tyłu, zawołał:

– Mości Kruszewski! A podejdź no ku nam! Zobacz, co też pan Nadolski odkrył!

Młody szlachcic wyrwany ze swoich myśli podniósł głowę i zamrugał nieprzytomnie oczami. Gdy zobaczył stojącą gromadę i świecące przy ziemi pochodnie, wnet zrozumiał, że jakaś ważna rzecz stać się musiała. Przyskoczył więc szybko, a pojąwszy sytuację, wyrwał jednemu z żołnierzy żagiew i w dół poświecił.

– Nie dziwota, że smolacy ich najść nie umieli... – mruknął pod nosem.

Cisnął ogień do jamy. Przez moment widać było cofające się w ciemność czyjeś nogi. Kruszewski spojrzał na Żegotę i pokręcił głową z ciągłym niedowierzaniem.

– Miała rację panna Agnieszka, że bez waszmości... – Przerwał i powietrze nosem wypuścił, nadal głową kręcąc.

Nadolski nie odpowiedział mu, tylko krzyknął w dół:

– Wyłazić, kurwie syny!

Szmer głuchy, stłumiony dobiegł jego uszu. Zrzucona pochodnia z sykiem dopalała się w dole.

– Wyłazić, bo więcej ognia wam damy!

Z jamy wypłynęło basowe przekleństwo i jakieś słowa urwane. Potem szuranie. Na koniec pojawiła się w dziurze drewniana drabinka, mozolnie

wysuwana przez schowanych pod ziemią.

– Nie strzylojcie! – dobiegł zgłuszony głos z czeluści. – Idziem!

Końce drabiny zadrgały. Ktoś piął się z ciemności ku światłu pochodni. Zaraz też pojawił się pierwszy łeb okryty kudłatą czapką baranią. Beskidnik wysunął się do połowy. Surowa twarz pokryta grubym zarostem wyrażała mieszaninę trwogi, złości i zdziwienia. Rozejrzał się dookoła. Potem uniósł puste ręce i wspiał się po szczeblach na górę. Gdy stanął na ziemi, dwóch dragonów sprawnie obaliło go i związało mu ręce i nogi. Po nim wypełzło jeszcze trzech. Jeden w drugiego chłopcy żyłaste, silne, z gębami jak noc ponurymi. Umorusani ziemią, cuchnący od brudu, zarośnięci. Po kolei pętali ich żołnierze, wprawnie obszukując nędzne przyodziewki w poszukiwaniu jakiejś broni. Znaleźli jedynie noże, które odrzucili na bok.

Nadolski, Wolski i Kruszewski w milczeniu przyglądali się karpackim zbójom. Oficer nakazał po wyjściu beskidników wrzucić do jamy kilka żagwi zapalonych, a za nimi, po pozostawionej drabinie, zszedł tam jeden z żołnierzy dla sprawdzenia, czy kto nie został w ukryciu. Dragon stłumionym ziemią głosem oznajmił po chwili, że kryjówka jest pusta. Cisza zaległa, choć raczej nikt nie spodziewał się cudu, by porwaną odkryto w dole. W końcu młody szlachcic warknął:

– Który to Bernat!?

Odpowiedzią były jedynie posępne spojrzenia leżących. Pytający odwrócił się więc do chłopca, który służył za przewodnika.

– Pokaż!

Stary z wahaniem zrobił krok. Potem nieznacznym ruchem głowy wskazał jednego ze zbójników. Ten splunął pogardliwie i syknął:

– Bodajbym cię dojść jeszcze mógł, skurwysynu...

Przerwało mu kopnięcie Wolskiego i krótki rozkaz wydany dragonom:

– Podnieść go i na ziemi usadzić!

Po chwili Bernat zmienił pozycję. Jego towarzysze nadal leżeli brzuchami na ziemi. Kruszewski podszedł do beskidnika i popatrzył nań groźnie. Bernat bez lęku wytrzymał spojrzenie, a nawet skrzywił się w złym uśmiešku.



Szlachcic pokiwał głową i rzekł:

– Widzę, że sprawa z tobą trudna być może... Tedy nie będę ci kłamał. Życia ci nie daruję. Ale wybór masz. Albo śmierć prędką, bez bólu zbędnego i okrucieństwa, albo...

Nie dokończył, bo jasne było, co chciał wyrzec dalej. Chłop wzruszył ramionami na tyle, na ile pozwalały więzy, i splunął ponownie. Niezrażony szlachcic pociągnął:

– Pytań ci kilka zadam. Jak odpowiesz, to ani się spostrzeżesz, jak do piekła zawitasz. Jak nie, to tu ci sam jego przedsmak zgotuję. Pojmujesz mnie?

Bernat milczał, spoglądając spode łba. Wolski zaszedł go od tyłu i walnął otwartą dłonią w łeb, aż poleciała czapa barania na ziemię.

– Pyta cię pan Kruszewski o co! Odpowiadaj, skurwysynu!

Zbójnik przekręcił głowę i łypnął nienawistnie na oficera. Mruknął jednak cicho pod nosem:

– Pojmuję.

Kruszewski skinął głową i wprost zapytał:

– Gdzie panna, coście ją pod Krasiecznym porwali!

Głos nieświadomie zdławił mu się, gdy kończył słowa te wypowiadać. Bernat skrzywił się i łbem pokręcił.

– Anim był pod Krasiecznym, ani znam, o jakiej pannie prawicie...

Młody szlachcic westchnął tylko, bo spodziewał się oporu. Skinął na Wolskiego i coś do ucha mu szepnął. Ten podszedł do żołnierzy wydać rozkazy. Jeden ogień podsycił, a dwóch innych z oficerem podeszli do leżących na ziemi pozostałych zbójników. Przyjrzał im się uważnie porucznik, aż w końcu jednego, jak mu się zdało młodszego wiekiem, palcem wskazał. Dragoni bez słowa unieśli go i przy ogniu cisnęli. Tam sprawnie rozdiali mu stopy. Nogi, wyżej kostek, powiązali mu sznurem, który tak przewlekli, że dwa długie końce na lewo i prawo się ciągnęły. Ujęli je dragoni, stając po bokach ogniska, a pięty beskidnika naprzeciw ognia ustawili. Spojrzeli pytająco na oficera. Kruszewski podszedł do leżącego,

trącił go butem i zapytał:

– Jak cię zwa?

– Mikołaj – burknął leżący.

Choć minę miał buńczuczną, w oczach jego strach można było wyczytać. Ciepło ogniska omiatało mu podeszwy, dając namiastkę tego, co za chwilę stać się mogło.

– Więc słuchaj mnie, Mikołaju! Powiedz mi, gdzie panna, a krótka sprawa z tobą będzie. Bo żeście ją zabrali, to wiem.

Chłop zerknął ku Bernatowi opartemu o belkę, przy którym na straży stał Semko z dragonem. Herszt nie poruszył się nawet. Zacisnął więc usta Mikołaj i oczy zamknął. Pojął Kruszewski, co to znaczy.

Wolski dał znak żołnierzom. Ci szarpnęli za linę i pociągnęli nogi zbójnika wprost w żar. Zniknęły stopy w migotliwej czerwieni, a za tym jęk długi, przeciągły i straszny przeszył leśne ciemności. Chwila to była, bo zaraz też porucznik cofnąć się kazał żołnierzom. Wysunęły się z ognia poparzone nogi. Wyzierały rany wypalone, do których tłące się drewno przywarło. Smród palonego ciała się uniósł. Pan Andrzej stanął przy głowie zbójnika i ponownie zapytał:

– Gdzie panna? Mów, Mikołaju, bo na powrót w ogień pójdziesz!

Mimowolne łzy ciekły z oczu beskidnika, a usta do krwi przygryzł. Przez twarz przebiegały mu drgawki bolesne.

– Mów! – ponaglił Kruszewski.

– Nie wim! – wyjęczał zbójnik.

Już znak miał dawać porucznik, kiedy Mikołaj krzyknął rozpaczliwie:

– Ulitujta się! Nie wim! Wedle Iskania my ją oddali! Zabrał ów Wołoch! Nas wyrzezać chcieli! Ledwie my uszli!

Przyklęknął gwałtownie czarnowłosy szlachcic i złapał silnie za piersi leżącego chłopca.

– Po kolei gadaj! Prędko! Albo w ogień!

– Bernat zna! On mnie naraił! Godał, że prędko robota! Jo nie wim! Tela

jeno, com widzioł!

– Coś widział!?

– Pannę, co z innemi była! Ją my wzięli, a tamtych ubilim! A potem my mieli na Iskań iść! Tam Wołoch miał onom wziąć, a nam talary dać! Otoczyły nas hajduki! Jeno czterech nas ostało! Bernat! – Przekręcił głowę do herszta i zawył: – Powiedźże im! Na Jezusa! Powiedz, że prowadę godom!

Kruszewski odwrócił się do spętanego zbójnika siedzącego pod strażą. Bernat patrzył nienawistnie na młodego kamrata leżącego przy ogniu. Drgały mu szczęki. Usta w kreskę, ledwie co widoczną, zacisnął. Szlachcic na powrót odwrócił się do Mikołaja. Spojrzał w jego rozwarte oczy i nie odwracając wzroku, zakomenderował:

– W ogień!

Pociągnęli dragoni. Wycie odbiło się między drzewami i echem znad gór wróciło. Kiedy cofnęli się żołnierze, beskidnik rzucał się nieprzytomnie i pianę toczył. Miast stóp miał czerwone mięso, z którego wisiały resztki upalanej skóry. Ponownie szlachcic skierował oczy ku hersztowi bandy.

– Starczy? Będiesz mówił? Po kolei was brać będę. A uwierz mi, to jeno początek tego, co wam uczynię, jeśli nie dowiem się, czego chcę!

Gestem nakazał odciągnąć torturowanego na bok, a dragonów Wolski wysłał po kolejnego zbójnika. Żołnierze wprawnie zaczęli gotować go na męki. Kiedy leżał naprzeciw ognia i rzucał się wściekle, pan Andrzej, wyprostowawszy się, podszedł do Bernata.

– Nic ci z milczenia. Ich na mękę skazujesz, a sam śmierci nie unikniesz. Kto był ów Wołoch?

Beskidnik zmarszczył czoło. Zadrgały mu usta, jakby co rzec miał, lecz nic nie powiedział. Kruszewski westchnął i wrócił do ognia. Już rękę unosił dla dania znaku, kiedy zza pleców doszło go:

– Stójta!

Czarnowłosa się odwrócił. Podszedł do skrupowanego chłopca i zajrzał mu w twarz.

– Stójta – ciszej powtórzył Bernat. – Powiem.

– To mów! – warknął Kruszewski.

– Przymierzajcie jeno, że jak nas ubić macie, to prędko będzie. Na miejscu. Nie weźmiecie nas na pohańbienie, coby nas na hakach wieszali.

– Przecież mówiłem! – odparł szlachcic.

– Przysięgnijcie! Na krzyż!

Pan Andrzej wysunął szablę i podniósł rękojeścią w górę. Nie spuszczać oczu z beskidnika, mruknął:

– Przysięgam.

Zaraz też na powrót kucnął przy zbójniku. Podeszli też zaciekawiony Nadolski i dragoński porucznik. Patrzyli wszyscy z uwagą. Beskidnik utkwiał oczy w ogniu.

– Kto był ów Wołoch, nie znam – zaczął. – W Gwoźnicy mnie nalazł. Wtenczas, kiedym się powadził z Murdykiem Dwernickim z Ustrzyk, bo pieniądze byłem mu dłużny znaczne. Tedy grosza mi trzeba było, inaczej Mudryk szybko sprawę by ze mną skończyć kazał. Przyjechał sam jeden ten Wołoch. Czarny, wysoki. Ze czterdzieści roków miał. Może i więcej. Rzekł, że sprawę ma i złotem płaci. Zapytałem, o co mu idzie. Objął mi, że trzeba pannę pojmać. Dla jakiej przyczyny, nie dochodziłem. Mało to spraw takich, że kto chce musiem przed ołtarz dziewczkę przyprowadzić? Dał mi trzos ze złotem i nakazał ludzi szykować. Resztę zapłaty, jak prawili, da mi, gdy pannę mu dowiozę. Poleciał, że w sześć dni stanąć mają ze mną ludzie moi w lesie pomiędzy Wapowcami a Bełżynem w miejscu, co mi je opisał, a co je znałem. Tam na gońca miałem czekać. Jak przyjdzie, rzekł mi ów Wołoch, to powie ci, którą orszak jedzie i ilu ich. Posłuchasz go, a potem ubijesz...

– Posłańca ubić? – zdziwił się Wolski, lecz Kruszewski uciszył go gestem.

– Potem, jak pannę pojme, miałem jechać pod Iskań... – Spojrzał na leżącego z boku młodego zbójnika. – Prawdę rzekł wam Mikołaj. Tam Wołoch ów miał mi złota resztę dać.

– Co dalej?! – ponaglił czarnowłosa.

– Przyszedł ów goniec. Młody, odziany dobrze, znaczy, że z bogatego domostwa sługa. Rzekł, że kolejnego dnia panna z ludźmi jechać będzie

traktem przez las wedle Bełżyna. O wszystko z nim go wypytał. Jak jada i czy zbrojni mocno. Nie krył niczego. Tylko kto owa dziewczka, nie zdradził, bo jak prawil, pan jego mu zakazał. Kiedy już wiedziałem, co trzeba, młodzik do dalszej drogi się zbierał. Powiedział, że do Rokietnicy mu pora. Wtenczas mu gardło poderznąć kazałem. Przy sobie nic nie miał prócz trzosiku zacnego. Ani pisma jakiego, ani pierścieni na rękach. Zakopali my go w lesie. Pod Bełżyn poszedłem. Tak było, jak mi ów goniec przekazał. Prędka była robota, choć się bronili. Ludzi mi kilku położyli, tom ich na miejscu martwych ostawił. Tych ze sług panny, co żywi jeszcze byli, dobić kazałem. Dziewka krzyczała, zemstą starosty groziła...

Kruszewski zgrzytnął zębami. Spojrzał na niego Bernat i dodał:

– Aleśmy jej palcem nie tknęli. Jeno więzy nałożyć kazałem i powiodłem w umówioną stronę.

– Nie znałeś przedtem, kto owa panna? – upewnił się Nadolski.

– Nie – mruknął chłop i westchnął. – Gdybym znał, to może i bym się nie zdecydował. A kiedy się stało, to za późno było. Przecie dość kłopotów miałem, żeby jeszcze gniew starosty na siebie ściągać. A wiem, że człek to taki, co do końca zawsze swoje sprawy prowadzi. Panna u niego w gościnie stała... Pojąłem, że nie daruje. Tym prędzej poszli my pod Iskań. Kilkunastu ludzi ze mną było. Pod Krzywczą, co ją Tatarzy doszczętnie spaliły, w bród San przeszedłem. W dwie godziny na miejscu byłem. Czekał tam już ów Wołoch.

Przerwał i głowę spuścił. Nadolski potrząsnął go za ramię.

– Dalej mów!

– Czterech tylko było z nim ludzi. Takoz jak i on Wołochów. Wszystkie dobrze ubrane i wyposażone. Ale diabeł mnie skusił, że skoro ich czterech jeno, to potargować się można... A jak nie, to inszym sposobem sprawę rozwiązać. A pannę wypuścić... – Łypnął spode łba, a widząc niedowierzanie, dodał: – Wierzyć nie musicie. Ale pojąłem, że naraził mnie ów Wołoch na hazard taki, z którego nie sposób cało głowy wynieść. Chyba żeby choć pannę uwolnić albo złota tyle wziąć, coby ujść i już nigdy w te strony nie wrócić. Tedy stanęliśmy, a tamten ją sobie prowadzić kazał. Na

widok jego umilkła. Nie wiem... Zdałoby się, jakby go znała. Ale nic nie rzekła. Złoto wyjął i cisnął mi w ręce. Już kazał swoim brać dziewczkę, kiedym ją na powrót szarpnął. Wrzasnęła, lament podniosła. Zamęt się zrobił, a wtenczas ten, co sprawę mi polecił, świsnął jeno gwizdkiem. Najechali nas ze wszystkich stron jego ludzie. W ukryciu stać musieli i na znak czekali. Nie wiem, ilu było, ale w mig nas posiekli...

Spod drzewa gdzie leżał Mikołaj rozległy się jęki. Bernat przerwał i zerkając ku kamratowi, poprosił głucho:

– Skróćcie mu mękę. Przecie mówię, jak było...

Nadolski skinął na Semka. Ten bez słowa podszedł do poparzonego zbrojnika. Pochylił się. Najpierw usłyszeli cichy, jedyny w swoim rodzaju dźwięk noża tnącego szybko i głęboko. Potem charczenie. Ciało zadrgało, Mikołaj ostatni raz wierzgnął upalonymi nogami. Kiedy znieruchomiał, pocztowy wyprostował się i otarł ostrze o spodnie. Żegota głową mu kiwnął w podzięcie. Herszt beskidników niespiesznie odwrócił się ku Kruszewskiemu.

– Czterech nas tylko uszło. Reszta pobita zaległa. Co z panną, nie widziałem, bom ratowaniem własnej głowy był zajęty. Pognaliśmy w las. Ścigali. Broni za wiele nam nie zostało, a złota tyle, co z zadatku od owego Wołocha. To, co mi na koniec dał, gdzieś w zawierusze przepadło. Konie ledwie zipały. Tak do Gwoźnicy się dowlekliśmy. A tamci nie popuszczali. Za nami w pościgu byli. Tyle co wierzchowce zmienić zdołałem, płacąc resztą złota i broni. I w te strony poszedłem. Na Węgry iść miałem. Matkę nawiedziłem... Dała co do jedzenia. Przykazałem, coby konie sprzedała i pieniądz mi przyniosła. W górach teraz i tak niezdatne. Nie doczekałem...

Spojrzał wymownie na siwego szlachcica.

– Dobra była skrytka. Ale widać znany wam sposób. Kiedy usłyszałem, że idziecie, miast uciec, do jamy wejść nakazałem. Tak i wiele razy czyniłem... Za tym razem nie wyszło...

Kruszewski się wyprostował. Ręką pogładził twarz. Zamyślony zapytał:

– A ten posłaniec, co pod Bełżynem do was przyjechał... Powiedz o nim!

Bernat wzruszył ramionami.

– Jużem mówił. Młody, zdatnie przyodziany, na koniu dobrym. Nazwiska nie wyrzekł, jeno tyle, że do mnie z wieścią przysłany. Anim wypytywał, ani sam co więcej niż o pannie i jej orszaku nie powiedział. Tyle mi wyznał, co mu kto kazał. Ni mniej, ni więcej. Na koniec jeno wyjawiał, com podał, że do Rokietnicy mu droga.

– A Wołoch?

– Duży, chudy, żylasty. Jak oni wszyscy czarniawy. W sile wieku. Groźnie mu z oczu patrzało. Taki, co w drogę mu lepiej nie wchodzić. Nigdy go wcześniej nie widział. Ale musi w naszych stronach obeznany, bo po naszymu gada, drogi i miejsca zna. Bogato odziany, choć nie po naszymu. Na czarno, w skóry miękko garbowane. Guzy srebrne przy tym.

– Mówisz, że panna go znać mogła? – zapytał Żegota.

– Tak mi się zdało. Ale omylić się mogłem. To jeno, że jak go zobaczyła, to umilkła. I bez strachu do niego iść chciała.

– A w Gwoźnicy znał kto tego Wołocha? Pytałeś?

Zbójnik pokręcił głową.

– Nie znał go karczmarz. Więcej nikogo nie pytałem.

– A czemu do ciebie się zwrócił?

– Tego nie wiem. Może mu kto polecił? A może przypadek to zrządził? – Przerwał, by dodać po chwili głucho: – Na moją zgubę...

– A on znał ciebie? Jak było?

– W karczmie się przysiadł. Dziwne mi było, bo rzadko kto obcy nie lęka się tam bywać. Ale, jak rzekłem, groźny to człek z wyglądu i obejścia. Spode łbów tylko inni łypali, lecz nikt pierwszy zwady by z takim nie szukał. Do mnie imieniem mówił. Musi, słyszał gdzieś.

– Mówiłeś, że ścigali cię owego Wołocha ludzie – ciągnął Nadolski. – To gdzie oni teraz?

– Nie wiem – mruknął Bernat i głowę spuścił. – Od Gwoźnicy prędko my szli, takimi ścieżkami, co jeno nam znane. Pewnie w drodze nas zgubili. A ja zem nie myślał za nimi się oglądać. Na nic mi było w miejscu stać. Moi...

znaczy, od Mudryka ludzie, mnie gonią, staroście dolińskiemu gwałt uczyniłem, Wołochy ścigały... Jak nie jedni, to drudzy by mnie doszli. Anim się spodziewałem, że kto inny... – Poruszył się, nosem pociągnął i splunął na bok.

Żegota zamilkł i popatrzył na Kruszewskiego. Ten bezwiednie gładził wąsy, szukając pytania, które mogłoby coś rozjaśnić. Bo to, co powiedział beskidnik, dziwne mu się zdało. Jakże to, że posłaniec do Rokietnicy jadący zbójnikom doniósł? Jeden mu tylko do głowy goniec przychodził. Ten od pana Krasickiego wysłany, co miał wieści przywieźć, że panna w gościnie została i lada chwila do majątności Dereśniaka wróci. Lecz to był sługa starosty. Ktoś pachółka przekupił? Dlaczego go zabić kazano? Tego Bernat jednak nie mógł wiedzieć. I kim był ten gad przeklęty, który beskidników najął?

– A kiedy to było, żeś się z tym Wołochem w Gwoźnicy spotkał? Kiedy ci rzekł o porwaniu i nakazał pod Bełżyn iść? – zapytał w końcu.

– Dwie niedziele będzie – odpowiedział Bernat.

– Pewny jesteś? – Młody szlachcic zmarszczył brwi.

– Jak tego, że tu siedzę i na śmierć czekam... – Chłop skrzywił usta w grymasie i podniósł oczy.

Kruszewski odwrócił się i przeszedł przy ogniu kilka kroków. Czoło gładził dłonią, przypominając coś sobie i w głowie układając. W końcu przystanął i bardziej do siebie niż do innych powiedział:

– Niemożliwe! Wtenczas panna w gościnie u pana Dereśniaka stała... Ani było mówione, że do Krasiczyna pojedzie... Potem dopiero list przyszedł! Chyba że pan starosta wcześniej co sługom wspomniał...

Żegota drgnął. Nagła myśl przeszła mu przez umysł. Podszedł do młodego szlachcica i ujmując go pod łokieć, zapytał:

– A widziałeś waść kiedy owego Bardę, Wołocha, co u pana Krasickiego na służbie?

Kruszewski spojrział nieprzytomnie, zaplątany we własnych myślach. W końcu odparł:



– Raz jeden.

– Jak on wygląda? – drążył Nadolski.

– Wysoki, chudy, na czarno się nosi... – Przerwał i oczy zmrużył. Głową pokręcił. – Nie może być!

Nadolski nic nie odrzekł. Odwrócił się do beskidnika i rzucił:

– Mówiłeś, że na ile lat widzi ci się ten, co ci sprawę nadał?

– Najmniej czterdzieści. – Bernat sapnął. Patrzył zdziwiony na zmieszanie, jakie wywołał swoimi słowami.

Żegota znów spojrział pytająco na Kruszewskiego. Ten nasadę nosa palcami ścisnął. Bezwiednie wyszeptał:

– Jakże to? Po cóż?

Nikt mu nie odpowiedział. Siwy szlachcic podszedł bliżej zbójnika. Spoglądając z góry, rzekł:

– Masz co do dodania jeszcze?

Beskidnik przełknął ślinę i wzruszył ramionami.

– Nie.

– A poznałbyś owego, jak go byś widział? Tego Wołocha.

– Pewnie! – rzucił mężczyzna twardo. – Przecie dwa razy zem go widział!

Szlachcic spojrział na pana Andrzeja. Zapytał:

– Chcesz go brać, mości Kruszewski?

Młody pokręcił głową i mruknął cicho:

– Nawet jak by poznał, to kto by zbójowi zawierzył? Wszystko by przecie rzekł, coby głowę ocalić. Nawet ja miałbym wątpliwość, czy prawdę gada.

Nadolski skinął głową ze zrozumieniem. Podszedł do beskidnika i trącił go nogą.

– Pomodlić się chcesz?

Bernat zmarszczył nos, uśmiechając się nieznacznie. Żegota na to tylko powieki przymknął i zmarszczył czoło. Odwrócił się do stojącego nadal nieruchomo Kruszewskiego.

– Masz co jeszcze waszmość do niego? Bo kończyć pora! Ciemno, a tu

dziewki nie ma!

Czarnowłosa powoli pokręcił głową. Nadto było mu tego, co usłyszał. Tych poplątanych wniosków, które układał w myślach i pojąć próbował.

Siwowłosa skinął na Wolskiego, a ten w lot zrozumiał, co gest ten oznacza. Dragoni najpierw podeszli do leżących w więzach zbójników. Krótka była sprawa, jak obiecał Kruszewski. Potem przyszła kolej na Bernata. Jeden żołnierz zaszedł go z tyłu i ciął mocno przez gardło. Drugi nogą pchnął beskidnika na ziemię, coby posoka tryskająca z tętnicy, nie chlapała wokoło. Charczenie urwane, zdławione bulgotem zalewanego krwią gardła, znaczyło chłopski koniec. Potem dragoni z Semkiem zwlekli wszystkie ciała i do jamy cisnęli. Jeszcze niedawno była zbójczą kryjówką, a teraz stała się przypadkowym grobem. W ślad za zwłokami wrzucili kilka kamieni. Chłop przewodnik przeżegnał się kilkakrotnie, szepcząc pod nosem niesłyszalną modlitwę. W świetle ognia błyskały jego przerażone oczy. Na reszcie śmierć nie robiła wrażenia. Choć straszna, była chlebem powszednim ich życia.

Wiedzeni mrocznymi ścieżkami w dół, w blasku migoczących pochodni, szli w milczeniu. Kruszewski, Nadolski i porucznik dragonów byli zajęci własnymi myślami. Każdy na swój sposób chciał w głowie ułożyć to, co usłyszał. Żegocie w jedno się sumowały słowa zbójnika. W to, że sługa starosty Serafina Krasickiego, Wołoch Giurgiu Barda zamyślił okup za pannę wziąć, znając plany swego pana. Bo cóż innego mogło nim powodować? Znał widać wszystko, co było mu trzeba. Wiedział, że pan na Krasieczynie chory. Może sam mu myśl poddał, coby dziewczkę sprowadzić. Albo i choroba starosty z jego przyczyny była. Potem sługi przekupił i tak poprowadzić orszak Anusi Wierzbowskiej nakazał, by lasem szedł. Zbójów wcześniej wynajął, by nazwiska jego nikt ze sprawą nie wiązał. A dziewczka mogła go widzieć w Krasieczynie. Stąd bez strachu pod Iskaniem była, jak go ujrzała. Myślała widać, że pan starosta wykupić ją nakazał. Składnie się to w myślach Żegoty układało. Nieświadomie czuł jednak, że inaczej być mogło. Odrzucał tę myśl dręczącą, po raz wtóry analizując ciąg przyczyn i skutków. Niezmiennie dowodził poprawności swego rozumowania, lecz niepokój

zostawał.

W Piekarkach byli przed świtem. Jeszcze szarzało, kiedy na koń wsiedli i razem do Sanoka ruszyli, gdzie stał dalej pan Stanisław Dereśniak. Wieść smutą wieźli, iż nie było dalej wiadomo, gdzie panna Anna Wierzbowska się podziała. Nikt więc skory do rozmów nie był. Choć pewnie normalnym tempem szli, to dłużyła się droga Nadolskiemu, jakby przez wodę jakąś brnęli. Próbował wymyślić, co dalej czynić, lecz nic prócz owego Bardy do głowy mu nie przychodziło. A rozumiał, że sługa to zaufany pana Krasickiego, tedy mało prawdopodobne jest, by dał starosta wiadomości.

Do Zagórza już dochodzili, kiedy jadący przodem dragon krzyknął, że konny jakiś z przodu się zbliża. Przystanęli, wpatrując się w ponaglającą wierzchowca postać. Kruszewski zmrużył oczy, wyężając wzrok. Mruknął pod nosem:

– To zdaje się Janek... Od pana Stanisława sługa.

Tętent rósł, sylwetka stała się wyraźna. I konny musiał ich widzieć, bo przynaglał co rusz zwierzę ostrogami. Na koniec gwałtownie wierzchowca zatrzymał tuż przy początku kolumny, gdzie stali szlachcice. Czapkę z głowy zdarł. Rękawem obtarł czoło potem skroplone. A później wydyszał jedynym tchem prawie:

– Niech będzie pochwalony! Panienkę Annę bez głowy znaleźli!

Zbladł Żegota i ręce na wodzach zacisnął.

## ROZDZIAŁ VIII

### POGRZEB

Ciało wystawiono w sanockim kościele, co po spaleniu przez Tatarów odbudowany został kosztem podkomorzego sanockiego Piotra Bala. Świątynia stała nowa, murowana<sup>[37]</sup>, taka, co wieki przetrwać by mogła. A w niej trumna w bocznej kaplicy. W gorączce szykowano się do pochówku, który i tak miał być tymczasowy, gdyż posłano po ojca nieboszczki, a ten pewnie będzie chciał ciało zabrać w rodzinne strony.

Stanisław Dereśniak od zmysłów odchodził, winiąc się za śmierć krewniaczki. Słudzy jego pod okiem panny Agnieszki szykowali uroczystość. I pan starosta doliński umyślnego przysłał z wieścią, że na pogrzeb spieszy.

Nadolski od różnych ludzi słyszał o zdarzeniach, z czego dopiero sam całość historii mógł ułożyć. Otóż szlachcic Iwan Kopystyński, właściciel Arłamowa, ponoć jadąc do Sanoka na targ, w lesie odnalazł bezgłowe ciało dziewczyny. Widząc przyodziewek zacny i słusznie wnosząc, że urodzoną szlachcianką była nieboszczka, nakazał wziąć zwłoki i powieźć do grodu dla okazania. Tam wieść szybko się rozniosła o niecodziennym wypadku. Pan Stanisław polecił sługom swoim obejrzeć trupa, gdyż naszedł go niepokój niejasny, że może to być jego krewniaczka. Łudził się kilka pacierzy, nim wrócili, że przypadek to tylko. Wtenczas pacholcy oznajmili mu, iż dziewczyna odziana jest w szatę podobną do tej, co miała na sobie panna Anusia, jadąc do Krasieczyna. Pobiegł prawie, mimo wieku, pan Dereśniak, gdzie okazywanie się dokonywało. A za nim panna Agnieszka. Na miejscu bezsprzecznie pojęli, że ciało należy do Anny Wierzbowskiej, córki starosty szadeckiego Mikołaja z Wielkiego Chrzastowa Wierzbowskiego. Padł zemdlony właściciel Rokietnicy, a słudzy kwadrans go cucić musieli. Łzami rzewnymi zalała się siostra nieboszczki. A jeden rękodajny, który w Sanoku przy panu swoim przebywał, jął rozpytywać Kopystyńskiego, gdzie zwłoki odkrył i kiedy. To od tego starego szlachcica Nadolski dowiedział się, iż ciało porzucono przy nieuczęszczanym prawie leśnym trakcie. Musiało dni

kilka leżeć, bo i fetor czuć było, i zwierzęta swoje zrobiły. Posłał pan Stanisław sługi w to miejsce, gdzie nieboszczkę znaleziono, żeby głowy szukać, lecz choć z psami poszli, to niczego już nie odkryto. Natychmiast też gońca pchnął do Kruszewskiego, spodziewając się, że od Czaszyna na Zagórz może wracać.

Ludzie, co na trakt do Arłamowa poszli, mówili, że w najgłębszym lesie szła droga. Krwi żadnej nie było. Widać pannę gdzie indziej uśmiercono, tylko trupa, dla omylenia, jak szelmy w prawie biegli łotrom radzą, porzucono. Przypadek sprawił, że znaleziono ciało zdatne jeszcze do poznania. Gdyby cieplej się stało i zwierzęta czas miały, zostałyby się z panny tylko kości rozwłóczone, których przecie nawet okazać by nie można.

Pan Stanisław zaniemógł tak, iż do łoża musiał być dany. Na przemian rozpaczał i zlorzeczył. Szli gońcy do krewnych i powinowatych. A wśród nich i do Krasieczyna z wieściami o terminie pochówku. Zbierała się szlachta zaciekawiona wypadkiem, komentując zdarzenia w najbardziej nawet nieprawdopodobne sposoby. Kopystyński, który w Sanoku na prośbę i koszt właściciela Rokietnicy pozostał, w karczmie niestworzone rzeczy wygadywał. Mówił, iż las w miejscu, gdzie trupa znalazł, od dawna przeklęty. Kto w niego wejdzie, ten żywy wrócić nie ma prawa. Powiadał, że łoś ogromny w nim grasuje, na kule i strzały nieczuły, co zabija wszystkich myśliwych. Dzieci chłopskie z okolic giną i ślad po nich nie zostaje. Żegnali się strwożeni słuchacze, stawiając kolejne kwaterki wina. A szlachcic prawil, jak to rok wcześniej pięciu śmiałków poszło, coby zwierzę diabelskie ubić. Jeden tylko ocalały, bez zmysłów prawie, znaleziony został na skraju lasu. Nim skonał, zdołał wyrzec, iż łoś nie wiadomo skąd się zjawił, niby z mgły wychynął. Strzelali ku niemu, lecz ten, na ołów niewrażliwy, na rogi nadział myśliwych, wkoło rozrzucił, w ziemię wdeptał. Jęki diabelskie przy tym wydawał, tym większe przerażenie czyniąc. Wszystkich poranił, śmierć zadając okrutną. Ocalały dowlókł się tylko do traktu, by ducha wyzionąć. Strach w okolicy panował.

Nocą włościanie po chałupach siedzą, modlitwy odprawiają, jak prawil

Kopystyński. Nikt nawet nie śmie za drzwi wyrzeć. Czasem bowiem słycać tętent diabelskiej czeredy, która wśród wycia wiatru przemyka, szukając ofiar, by żywcem je do piekła porwać. Pewnie i pannę owe diabły naszły, ale że szlachcianka i dziewica, więc powieść za sobą nie mogąc, uśmierciły na miejscu, a głowę dla drwiny schowały. Kiwali słuchacze podchmielonymi łbami, a potem szli do kościoła, by spojrzeć na zdekapitowane ciało. Trumna w bocznej kaplicy była jednakże zamknięta. Do czasu ukończenia portretu nakazał tak pan Stanisław, by pohańbienia zmarłej nie czynić. Pewnie i kazałby trupa gdzieś w okolicy, w jakim dworze złożyć, lecz strwożony pomyślał, iż lepiej, by leżał w uświęconym miejscu, na wypadek gdyby śmierć istotnie diabelską była sprawką.

Kruszewski zniknął. Choć Żegota wiedział, że siedzi w osadzie Olchowce przy Sanoku, to nie nawiedził go, bo słycał, iż samotności szuka i w winie ukojenie niejako znajduje. Wolski z wojskiem na kwatery pod Przemyśl pojechał, choć zapowiedział powrót dla pożegnania nieboszczki. Został Nadolskiemu Wawrzyniec Sulatycki, który z poruczenia pana Dereśniaka i panny Agnieszki ubłagał siwego szlachcica, by w grodzie na pogrzeb został. Spieszno było Nadolskiemu do Wagnanki, lecz pomny na wdzięczność, którą był winien pannie, posłał tylko do swojego majątku Semka. Pocztowy miał wieści przywieźć, jak robota idzie i czy niepokojów jakich nie było. Agnieszki Wierzbowskiej Żegota nie spotkał, gdyż zajęta była dopilnowaniem wykonania portretu trumiennego. Na miedzianej blasze zrobiony zasłonic miał okrutny ubytek w ciele. Tak tedy spędzał Żegota czas ze starym szlachcicem nad kuflami piwa i czekał uroczystości. A w kościele wznoszono dla trumny ozdobny *castrum doloris*<sup>[38]</sup>, mający oddać ostatni hołd znamienitemu pochodzeniu i przedwczesnej śmierci zmarłej. Smętny był to czas, tym bardziej że i natura deszczów znów obfitość przyniosła, a chmury ciężkie przemykały nad miastem.

Jednego dnia, jak to zwykle wieczorem czynili, siedział Żegota z Sulatyckim w karczmie, co przy rynku stała. Nie kleiła się rozmowa tycząca przygotowań do ostatniego pożegnania. W głowie Nadolskiego wciąż były pytania bez odpowiedzi. Wyrzucał sobie, że Bernata żywego nie

przywiedli do Sanoka, gdzie mógłby tajemniczego Wołocha rozpoznać. Rozmawiał o tym kolejny raz ze starym, lecz ten rację przyznawał decyzji pana Kruszewskiego. Bo jakież to znaczenie miałyby słowa beskidnika, który kłamstwo mógł równie dobrze jak prawdę powiedzieć. Tak samo i historię całą z Wołochem nieznanym mógł zmyślić. Pewne to jedynie było, że dziewczki przy nim nie znaleźli. Nadto Kruszewski słowo dał na krzyż zbójowi, że go na miejscu uśmierci. A słowo szlacheckie rzecz święta.

Piwo smakowało cierpko i gorzko wśród urwanych zdań i półsłów. Jedynie to dobre było, że Nadolskiemu siły wracać poczęły, a w plecach bólu prawie że już nie czuł. Sulatycki wpatrywał się w kufel, jakby w nim szukał odpowiedzi, co wydarzyło się z panną Anusią Wierzbowską i dla jakiej przyczyny ktoś młode życie zgasił. Najbardziej karkołomne myśli przychodziły do głowy. Że to za sprawą tajemnie ułożonego małżeństwa z Poniatowskim albo też ktoś z krewnych pani Tarnowskiej za tym stał. Lub też kto okup chciał, jak Żegota sądził, lecz coś nie po myśli złoczyńcy poszło. Nie było o czym bając bez dowodów. Czekał Nadolski przyjazdu pana Krasickiego, z którym ów Barda mógł zajechać. Wtenczas zdarzy się okazja, jak sądził, zapytać pana starostę o jego sługę. Jedynie to mogło nieco sprawę rozjaśnić.

Dopijali już piwo, wsłuchując się w perorującego w kącie, dobrze już podchmielonego Kopystyńskiego. Po raz kolejny, mocno barwiąc, opowiadał historię odnalezienia ciała i przekłętą lasu wedle Arłamowa. Wokoło niego rozlegały się to okrzyki zachęty, to przestradchu. Cieszyła ubogiego szlachetkę popularność, którą na chwilę cudzym nieszczęściem zdobył. Korzystał z niej, nie odmawiając poczęstunku. Chętnie rozgłaszał, iż gdyby wcześniej znał, że panna porwana, to pierwszy poszedłby szukać i gotów byłby się zmierzyć nawet z siłą nieczystą. Przy jego mikrej posturze, wieku i chudości trudno byłoby brać to za prawdę. Lecz tak jest, że im kto w ciele słabszy, tym bardziej gębą nadrabia. W uszach Żegoty słowa jego brzmiały niczym wyrzut, iż z kompanami nie zdołali odnaleźć zaginionej. Zwiesił głowę i łapał dolatujące słowa, a każde smutek tylko pogłębiało.

Otrząsnął się z przygnębienia z przymusem. Pociągnął nosem powietrze

i dłonie o stół oparł. Spojrzał wymownie na Sulatyckiego, a ten pojął, że pora chyba się zebrać, gdyż mocniej piwa pociągnął i rękawem otarł wilgotne wąsiska. Już prostował się Nadolski, a prawicą czapki szukał, kiedy drzwi karczmy się otwały. Wiedziony ciekawością odwrócił głowę.

Pierwszy wszedł człek wysoki, ubrany z cudzoziemska. Kapelusz skórzany dzierżył w dłoni, otrzepując go z kropel deszczu. Kiedy zrobił krok, Żegota zauważył, iż chroma na jedną nogę. Nieznajomy rozejrzał się dookoła, by zaraz skierować się do karczmarza. Twarz miał suchą, pobrużdżoną zmarszczkami. Wąs mizerny, jasny, sterczący. Na brodzie klinem odbijała się wąska bródka, czerniona widać, bo zupełnie innej barwy niż spięte włosy na głowie. Za nim wszedł, a raczej wtoczył się bardziej otyły jegomość, który wzrostem ledwie sięgał towarzyszowi do ramienia. Twarz gładko ogolona, rumiana, znamionująca naturę skórą do biesiady. Włosy czarne, rzadkie, tuż przy głowie leżały, nasmarowane jakimś tłuszczem.

Chudy cudzoziemiec zamienił słów kilka z karczmarzem, by wnet odwrócić się i spoglądać tam, gdzie wskazał mieszczanin. Żegota drgnął, pojmując, iż to w niego skierowany był palec. Zmrużył oczy i na powrót na ławie usiadł. Nieznajomy zaś głową skinął w podzięcie karczmarzowi, a potem podszedł bliżej. Nadolski dostrzegł teraz długi rapier u jego boku, bogato zdobiony, z misternym koszem przy rękojeści. Lewak przypasany miał po prawej stronie. Otyły towarzysz wysokiego cudzoziemca stanął u jego boku. Nie miał białej broni przy sobie, lecz zza pasa wystawały mu dwa pistolety kołowe. Szlachcic skierował wzrok w stojących nad nim. Nie wyrzekł słowa. Tak samo milczał zdziwiony Sulatycki. Chudy skłonił się nisko, kapeluszem nad ziemią machnął. Po polsku, choć z akcentem obcym, niemieckim najpewniej, powiedział:

– Witam waszmościów! Jestem Werner Stiller, rodem z Saksonii, na służbie u arcybiskupa lwowskiego Jana Andrzeja Próchnickiego<sup>[39]</sup> oficer. A to mój druh i przyjaciel serdeczny William Murray ze Szkocji, który również we Lwowie służy.

Żegota skłonił się w niemej odpowiedzi na powitanie. Wysoki żołnierz pochylił się nieco i zapytał:



– Czy zaszczyt mam z panem Nadolskim?

– Tak! – mruknął zapytany. A głośniejsze dodał: – Jestem Żegota Nadolski z Wygnanki.

Nieznajomi spojrzeli po sobie krótko. Szkot skinął głową, przymykając oczy. Stiller pogładził sterczące wąsy i zerknął pytająco na starszego szlachcica. Ten dumnie wypiął pierś i rzekł:

– A ja jestem Wawrzyniec Sulatycki, druh i przyjaciel pana Nadolskiego!

Obydwaj cudzoziemcy skłonili się z uszanowaniem.

– Czy przysiąść możemy w tak zacnej kompanii? – Chudzielec, pytając, w zasadzie już zajmował miejsce przy stole. Obok mościł się Murray.

– Zapraszamy! – burknął stary szlachcic niechętnie. Zmarszczył nos i wymownie rzucił spojrzenie Nadolskiemu. Nie był widać kontent z nieznanego towarzystwa.

Żegota również myślał iść na kwatery, lecz niegrzeczności czynić nie chciał, tym bardziej iż zaciekało go, czegoż to chcą od niego słudzy biskupi ze Lwowa. Otyły Szkot gestem przywołał karczmarza i nakazał przynieść piwa i wina, czym rozpogodził nieco oblicze pana Wawrzyńca. Oficer zaś, odłożywszy na bok szeroki kapelusz, uśmiechnął się lekko.

– Pewnie waszmość pytanie sobie zadajesz, co też nas sprowadza i w jakim celu śmiemy wieczór zakłócać. Nie będę wystawiał cierpliwości waćpana, mości Nadolski, na próbę. Otóż jesteśmy tu z polecenia naszego dobrodzieja, biskupa Próchnickiego. A ten sprawę nam zlecił, którą zbadać mamy. Myślę, iż waszmość możesz znać coś, co istotne dla nas być może.

Siwowłosa szlachcic wzruszył ramionami.

– Nie sądzę – burknął.

Murray pokiwał głową, rozlewając szczerze piwa. Niezrażony Stiller kontynuował:

– Sprawa jest delikatnej natury... – Zerknął na Sulatyckiego. Ten aż poczerwieniał, zrozumiałszy intencję. Sapnął gniewnie, pod boki się wziął i już miał wybuchnąć na taką impertynencję, lecz powstrzymał go Żegota słowami:

– Nie mam przed panem Wawrzyńcem tajemnic, bo przyjaciel to mój, który pomocy mi w nieszczęściu udzielił, za co jestem mu dozgonną wdzięczność winny. Tedy waż słowa, panie oficerze, by obrazy mojemu kompanowi nie uczynić!

Cudzoziemiec pokręcił głową. Z przymusem skrzywił usta, unosząc ich kąciki.

– Ani mi w głowie zacnemu szlachcicowi dyshonor jaki sprawić! – Spojrzał na starego. – Jeślim uraził, o wybaczenie proszę. Sprawa tak osobistej natury, iż sądziłem, że lepiej o niej na osobności mówić. Lecz... – skierował uważny wzrok na Nadolskiego – ...jeśli taka wola waszmości...

Oczy miał niebieskie. Głęboko osadzone, zimne i groźne. Takie, jakie mają ludzie, co niejedną śmierć widzieli, a nierzadko i sami zadali. Sulatycki opadł na ławę i wąsami poruszył. Znać było, że gniew w nim się burzy. Stiller nie spojrzał nawet w jego kierunku.

– Przywiodła nas tu wieść o tragicznej śmierci panny... – Przerwał, przypominając coś sobie.

– Anny Wierzbowskiej – dokończył Szkot i przepił solidny haust piwa.

– Panny Anny Wierzbowskiej... – ciągnął Saksończyk – ...która porwana została, a potem jej ciało bez głowy odnaleziono.

Żegota drgnął gniewnie. Odsunął kufel i głową w kąt wskazał, gdzie Kopystyński siedział.

– Jego pytajcie! On znalazł zwłoki, to więcej wie!

– Tę historię już znamy – mruknął znad piwa Murray i niezrażony otarł usta wierzchem dłoni.

– Jak i sprawę porwania – dodał Stiller. – Z Krasieczyna przybyliśmy.

Sięgnął za pazuchę i wyjął pomięty nieco pergamin z pieczęcią biskupią.

– To glejt naszego patrona na dowód, że służbę u niego sprawujemy.

Podsunał dokument Nadolskiemu. Ten niespiesznie podniósł go i przebiegł wzrokiem.

– Pisze eminencja, żeby wszelkiej pomocy wam udzielić... – zerknął znad papieru ku Sulatyckiemu – ...grożąc ekskomuniką tym, coby przeciw wam

działali.

Uśmiechnął się krzywo, zwracając list.

– Ale Lwów daleko!

– Daleko – przyznał oficer, chowając papier. – Ale czasem z daleka więcej dostrzec można.

– I mniej wyraźnie! – złośliwie skomentował Sulatycki.

Biskupi sługa kościstą dłonią objął kielich i zamoczył usta. Spod skóry wybijały mocne ścięgna i niebieskie żyły. Nadolski pomyślał, iż Stiller, mimo chudości, musi być silny nad wyraz. Krzepą płynącą z natury i ciągłego ćwiczenia. Dowodził tego też rapier, który większy był niż te, co Żegota dotychczas widział. A na wojnie bywał i niejednego cudzoziemskiego oficera spotykał.

Z kąta, gdzie siedział Kopystyński, znów płynęła historia o porwanych dzieciach i klątwie, która jakoby spadła na ziemię ruską po tatarskim najeździe. Chuderlawy szlachcic, mocno już wstawiony, machał kielichem, rozlewając wkoło wino. Przed Bogiem zaklinał się, że prawdę szczerą mówi, wzywając niedowiarków na szable. Próżne i żalosne były jego pijackie wywody. Żegota ze wstrętem odwrócił oczy. Saksończyk zaś, upiwszy nieco wina, wycedził:

– Głośny ów szlachcic... Ale ziarno prawdy jest w tym, co mówi.

– Tyle, co brudu za paznokciem – burknął Sulatycki zjadliwie.

Murray niespodziewanie przytaknął i wyciągnął kufel, by trącić się ze starym szlachcicem. Ten zaskoczony stuknął naczyniem. Stiller zaś mówił:

– Prawdą jest, że od lat kilku giną ludzie bez wieści. W różnej okolicy, czasie, różnego stanu. Ciało raczej się nie odnajduje. Prawdą też jest, iż wszystko zaczęło się od najazdu Kantymira. Ludzie różnie prawią o tym. Ale najwięcej, że diabeł to sprawia.

– Wszędzie jeno diabeł! – rzucił Nadolski sarkastycznie. – Ilem lat żywy, to diabła nie widziałem. A Bóg świadkiem, że nie uciekałem przed czartem.

Oficer pokiwał głową.

– Widzę, że umysł waszmość masz praktyczny. Tak samo i biskup

Próchnicki. Człek to wielkiej mądrości, miłośnik ksiąg wszelakich, student dawny z Padwy i Bolonii. I on mało wierzy, że czart za tym stoi. Bo na ziemi nie masz większego zła niż to, co z ludzkiej przyczyny się dzieje.

– Prawda! – stęknął Szkot znad kielicha i pociągnął solidnie.

– Ale ludzie nierozumnie w gusła wierzą. Strach zaś popycha do bezeceństw różnych. Choćby i takich, że w pogańskich obrządkach ratunku szukają. Albo sąsiadów swoich o czary winią. Kiedy śpi rozum, łąco budzą się potwory. Dobry pasterz, którym jest jego eminencja, musi dbać o swoją owczarnię. A że urząd metropolity sprawuje, tedy pieczy jego i inne biskupstwa podlegają.

– Szlachetna to i godna podziwu postawa. – Sulatycki, mówiąc to, nie wiedzieć czemu oczy zmrużył.

Stiller niezrażony ciągnął:

– Jego eminencja nakazał nam, by sprawie na miejscu się przyjrzeć. Zbadać i zrozumieć. A że dawnymi czasy już niejedną usługę oddaliśmy jegomości arcybiskupowi Próchnickiemu, więc ufność w nas pokłada, iż i tym razem zagadkę rozwikłamy. Tak od trzech miesięcy wędrujemy po okolicach.

– I czegoś się dowiedziałeś, panie oficerze? W czym ja wam pomóc mogę?

– Żegota przyglądał węża zmoczonego piwem.

Werner Stiller odsunął kielich. Spoglądając nań, westchnął:

– Powiadają, że kiedy Tatarzy przeszli, to zło się zaczęło. Jak rzekłem, znikają ludzie, a ciała nie wiadomo gdzie. Czasem jednak kto trupa odnajdzie. Porzuconego w lesie. Albo jak i owa panna Anna Wierzbowska bez głowy, albo też... – przerwał i podniósł wzrok, spoglądając Żegocie w oczy – ...z gardłem przerżniętym i krwią całkiem wypuszczoną.

Drgnął szlachcic i dreszcz zimny przez grzbiet mu przeszedł. Zacisnął dłoń na krawędzi stołu. Przypomniał sobie dzieci swoje wykrwawione i żonę na śmierć umęczoną. Nic nie rzekł, tylko wzrok twardy wbił w chudego żołnierza.

– Głównie chłopci znikają. Najwięcej dziewczki, ale i dzieci małe. Czasem

i na herbowego przychodzi. Był człowiek... – pstryknął palcami – ...i nie ma! A ciała bez krwi się zdają.

Żegota przełknął ślinę. Usta kalekie bardziej niż zwykle mu opadły. Czoło zmarszczył. Powoli podniósł naczynie i bardziej, by ręce zająć, niż z ochoty, wypił. Stiller zamilkł na chwilę. Wzroku z Nadolskiego nie spuścił.

– Więc chyba wiesz waszmość, o co zapytać zamierzałem?

Szlachcic skinął głową. Przez zaciśnięte wargi wydusił:

– Jakiż to związek ma ze zgonem panny Wierzbowskiej? Że bez głowy ciało? Mało to głów obciętych i trupów pogubionych? Takie prawo jest, że kiedy głowy nie stanie, to i wątpliwość co do osoby. Każdy jeden to wie! Tak to Raszowski panu Rabrowskiemu uczynił, Tysarowski Cieszanowskiemu i wiele innych jest przykładów!

– Tedy i ja chcę ziarno od plew odsiać – odpowiedział chudzielec. – Ale waszmości rodzina pierwsza zginęła. I wiem od księdza z Bukowska, jak ciała znalezione były.

– To po co pytać?! – warknął Żegota.

– Bo jedno ksiądz mówi, który diabelskie sztuczki jeno dostrzega, a inna prawda być może.

– Tatarzy mi rodzinę ubili! – Nadolski oparł się o stół łokciami i obojgiem dłoni uniósł kufel. – Ja na wojnie byłem.

– Pojmuję... – Stiller westchnął i ucichł.

Murray z sapnięciem odsunął piwo. Oparł się wygodnie, brzuch tęgi wypiął. Nie spuszczać oczu z naczynia, zaczął:

– Jak i my, mości Nadolski, wiesz, że nie Tatarzy to byli...

Sulatycki drgnął i powiekami zamrugał. Natężył słuch, bo dziwna naraz zdała mu się rozmowa. A Szkot dalej mówił:

– A to, że za czambułem szli i z tatarska się nosili, Tatarów z nich nie czyni.

– Niby skąd mam to wiedzieć?! – zaperzył się ze złością szlachcic.

– Od więdźmy, mości Żegota! Od więdźmy! – wtrącił Stiller.

Szlachcic odsunął się od stołu i pogardliwie usta wykrzywił.

– To słudzy arcybiskupi w bajania wiedźm wierzą?

– I tak bywa – skwitował grubas z pistoletami, po czym sięgnął po kufel.

– Nie wasza rzecz! – Nadolski gniewnie uderzył dłonią w blat stołu.

– Wspólny mamy cel – zaczął inaczej Stiller. – Nawzajem pomóc sobie możemy. Wiedz waszmość, że dla nas wszystkie te zbrodnie w jedną się łączą zagadkę. I sporo już wiemy. Powiedz nam, czy Ryta ci co rzekła, bo jej nijak znaleźć nie mogliśmy. Jak was do zdrowia wróciła, tak zniknęła ze Spalonego Horbeka.

– Co mi rzekła, moja sprawa!

Murray ze stuknięciem głośnym odstawił kufel. Twarz mu stężała. Oczy zmrużył i nie wyglądał już na dobrodusznego grubasa. Wbił ciemne źrenice w Żegotę.

– To ja ci powiem, mości Żegota, co dalej było. Kazał ksiądz z Bukowska twoich w ziemi nieświęconej pochować. Ale i to nic! Ktoś baczów przysłał. Nocą grób rozkopali i wszystkim głowy obcięli. Dla pewności jeszcze zęby bronie w piersi wbili! Ale kto baczów przysłał? Mówili, że Rusini z Nadolan grób rozkopali. Ale żadna to prawda! Ledwie swoje baczowie zrobili i do domów wracali, ktoś i ich uśmiercił. Żeby śladu nie było, kto gusła zlecił!

Szlachcic porwał się, by schwycić Szkota za gardło, lecz ten nad wyraz żywo się odsunął, a dłoń na rękojeści pistoletu ułożył. Nadolski dyszał gniewem. Sulatycki siedział z rozdziawionymi ustami bez ruchu. Zamilkli i inni w karczmie, tylko Kopystyński, stojąc na stole i ręką machając, bełkotał niezrozumiale. Żegota poczuł kościstą dłoń na ramieniu. Na powrót usiadł, schylając głowę. Stiller zaś cicho mruknął:

– Nie czas i miejsce na widowiska, panie Nadolski. Jak rzekłem, jedna nam droga. Znaleźć tego, co zbrodnią kieruje.

Siwowłosy skinął powoli głową. Gwar na nowo podniósł się w karczmie. Saksończyk zaś ciągnął:

– Że to nie Tatarzy byli, wiemy. Znaleźliśmy jednego takiego, co z Kantymirem przyszedł i tu ostał. Pod Martynowem jeńcem wzięty, okupu

czeka. Nieważne kto. Dość, że jasno wyraził, iż kiedy Nadolany i Wygnankę podjazdem naszli, to we wsiach nikogo nie było. Splądrowali jeno dobytek i dalej ruszyli. Jasyru żadnego nie wzięli ani też nikogo nie ubili. Wiedzieli pohańcy, że ktoś za nimi postępuje. Najprzód myśleli, że to wojsko jakieś. Ale wnet pojęli, że z daleka się trzyma. W przebraniu grabi to, co po czambułach zostaje. Zwykła to rzecz na wojnie. Więc bez obaw swoje czynili, by potem na powrót w większą kupę się połączyć i do siebie zebrać.

Szkot przysiadł i niby nic po kufel sięgnął. Znów widział się rubasznym kompanem, a nie groźnym drapieżcą.

– Potem dowiedzieliśmy się od chłopów, że owa Żydówka, Ryta, co z Leżajska uszła, jakoby raniona była wtenczas, kiedy twoich ktoś ubił. I mogła widzieć, kto zbrodni dokonał. Szukaliśmy więc. Ale że spalić ją chcieli za namową owego księdza z Bukowska, więc nie dziwota, że nijak jej znaleźć nie można było.

– A wiemy, żeś u niej leczenie odbywał – dodał Murray.

– Tyle co i wy wiedźma znała – odparł w końcu Żegota. – Że nie Tatarzy to byli. Na własne oczy widziała. Ale kto był, tego nie wie. Uwolniła z ich rąk jednego z moich chłopów. Fedko mu jest. Jego brata Tymona ze sobą wzięli.

– A ów Fedko? – podchwycił Stiller.

– We łbie mu się popsowało. Nijak się czegoś od niego dowiedzieć. Mówi, że diabły to były. A jego Najświętsza Panienka wyratowała.

– Aha! – Szkot skinął głową i zerknął na Stillera. Ten westchnął ciężko.

– Tośmy się niewiele dowiedzieli nadto, co wiemy.

– Sam bym wiedzieć chciał, kto byli! – Nadolski zacisnął pięści. – Serca bym skurwysynom z piersi wyrwał!

Poruszył się dotychczas milczący Sulatycki. Chrząknął, chcąc uwagę zwrócić na siebie. Saksończyk niespiesznie głowę do niego skierował. Stary zaś ni to zapytał, ni to stwierdził:

– Powiadacie, że ci sami to mogą być, co za śmierć panny Wierzbowskiej odpowiadają?

– Tak. Może tak być – przytaknął oficer.

– I że innych jeszcze brali?

– Brali. Od Sambora po Sanok. Ale już po tatarskim najeździe. Tak że nikt nie widział.

– Bo myśmy zbója, co pannę porwał, doszli... – Przerwał i zerknął na Żegotę.

Drgnęli cudzoziemcy na taką wiadomość. Obydwaj wbili ciekawie oczy w starego. Ten jednak zamilkł, szukając zgody od Nadolskiego. Siwy szlachcic w końcu głową skinął. Wówczas pan Wawrzyniec powiedział:

– Bernat temu beskidnikowi było. Powiadał, że Wołoch go najął w Gwoźnicy. Wysoki, czarno odziany, ze czterdzieści років mający. Za nim inni byli, którym przewodził. Złotem płacił...

– Gdzie ów Bernat? – przerwał Murray gwałtownie.

Sulatycki sapnął i oczami przewrócił.

– W piekle najpewniej. Bo na zbawienie chyba liczyć nie mógł.

– Ubiliście? – upewnił się Stiller.

– Tak – mruknął Żegota.

– *Donnerwetter*<sup>[40]</sup>! – zaklął Saksończyk. – Gdybym miał go w rękach...

– Pewnie to samo by wam rzekł, co nam! – skwitował stary szlachcic.

– Co dalej było?

– Tyle powiedział Bernat, że pannę pod Iskaniem oddał, a tam Wołosi jego ludzi przetrzebili. Ani nazwiska żadnego nie znał, ani też...

Nadolski dłoń uniósł, na co umilkł pan Wawrzyniec. Siwowłosy zaś głucho dopowiedział:

– O panie zbójników uwiadomił posłaniec, który najpewniej z Krasiczyna był wyszedł... Na rozkaz Wołocha uśmiercił go Bernat. A Wołoch ów, jak miemam, to sługa... – podniósł oczy i spojrzał w wyczekujące źrenice Stillera – ...pana starosty dolińskiego Serafina Krasickiego. Zwą go Giurgiu Barda. Do takich wniosków doszliśmy. I na niego czekamy, patrząc, czy z panem Krasickim na pogrzeb zajędzie.



Saksoński oficer pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie może być!

– Ale jest!

– Tedy posłuchaj waszmość! – Stiller pochylił się ku Żegocie. – Z Krasieczyna jedziemy, jak rzekłem. Tam widzieliśmy się z panem starostą dolińskim. Wielce on zasmucony śmiercią panny Wierzbowskiej. Nad wyraz, jakby mu krewną była. Może przez to, że umiłował sobie dziewczynę, gdy ją gościł? Nie wiem. Do pogrzebu się szykuje i lada dzień w Sanoku będzie. O słudze zaginionym wspominał. Że do Rokietnicy poszedł i nie wrócił. Ale nie to ważne... W Krasieczynie widziałem owego Bardę, co waść o nim powiadasz. W rzeczy samej Wołoch wysoki, na czarno się nosi i wiekiem odpowiedni... – zawiesił głos – ...tyle że na moich oczach przybył z listami do pana starosty, które od króla jegomości były. W drodze był miesiąc cały. Jakże to więc on pannę mógł porwać? Odpowiedz mi waszmość?

Szlachcic zagryzł usta. Przez głowę przeszło mu, że mylić się może. Niejeden przecież Wołoch wysoki, a wszyscy oni podobni z natury. Dlaczegoż miałby być to ów Barda, skoro z listami szedł? W duszy jednak miał pewność jakąś, która nie tylko z rozumu szła, lecz z przecucia niejasnego. Dlatego przekornie odrzekł:

– Kto zna, jakie listy? Pisma do sakwy włożyć, na koniu przez bramę wjechać i oznajmić, że w drodze cztery niedziele się jest, łatwo!

– Wtenczas pan starosta musiałby w sprawie uczestniczyć! – skwitował Murray. – A to już, wybacz waćpan, niebezpieczne słowa!

Wzrok wbił w Żegotę, który głowę opuścił i nic nie odpowiedział. Stiller zaś pogładził się po farbowanej bródce.

– Ale sługa z Krasieczyna był... Skoro i sam pan starosta przyznał, iż zniknął mu pacholek, a jak powiadacie, zbójnik mówił, że posłaniec mu wieść o panie przywiózł... Tedy ktoś mu nakazać musiał. Albo przekupił, albo też... – Nie dokończył i zerknął znacząco na Murraya. Ten oczami przewrócił i głową niechętnie pokręcił. Nie w smak była mu myśl niewypowiedziana.

Cisza zapadła nad stołem. Pochylony Nadolski powoli się wyprostował. Martwo spoglądał przed siebie.

– Jeśli prawdę mówisz, panie oficerze, że pannę zabił ten sam, co dzieci moje... Tym bardziej dostanę owego Wołocha. Może i ty pewny nie jesteś, że to pana starosty sługa. Może i jest wątpliwość jaka... Ale prędzej się dowiem, jak go nieco... – obrócił się i twardo wejrzał Murrayowi w oczy – ...przypiekę, niż jak ważyć będę w głowie racje za i przeciw. Tedy poczekam tu na skurwysyna... Więc nie mów mi, mości panie oficerze, że niebezpieczne to słowa, bo mnie się bać powinien ten, co dzieci mi zabił. Nie ja jego.

W źrenicach miał taką nienawiść i chłód, iż mimowolnie Szkot odwrócił wzrok, a zimny dreszcz przeszedł jego zahartowane serce. Pojął, że szlachcic na wszystko się gotów poważyć, bo nie ma już nic do stracenia. Stiller chrząknął, przerywając ciszę, co zapadła po ciężkich słowach.

– Chyba pora nam w drogę, Williamie.

Murray wychylił ostatni haust i przytaknął w milczeniu. Stary szlachcic zapytał:

– Na pogrzeb zostaniecie?

Saksończyk uniósł kąciki ust.

– Bez nas się obejdzie. – Zmarszczył czoło i dodał: – Jedno tylko jeszcze miałbym pytanie.

– Słucham. – Nadolski nawet nie spojrzał w kierunku chudzielca.

– Czy... Czy podczas okazania ciała jakoweś znaki na nim były...

Żegota głową kiwnął na Sulatyckiego.

– Pan Wawrzyniec widział zwłoki. Jego pytajcie.

Stiller, nie powtarzając słów, wzrok na starego skierował. Ten ramionami wzruszył.

– Znaki? Żadnych nie widziałem. Ani nikt nie wspomniał. Tyle jeno, że ciało mocno przez zwierzęta pokąsane.

Oficer biskupi bąknął pod nosem jedynie krótkie słowa podziękowania. Twarz zmarszczył, jakby coś przez głowę mu przeszło. Powstał, a za nim również Murray. Skłonił się dwornie, rzucając pożegnanie. Szkot tylko głową

skinął. Kiedy odchodzili, Nadolskiemu znów rzucił się w oczy chromy krok Saksończyka.

Przez chwilę milczał. Potem wycedził matowym głosem:

– Teraz już wiesz, mości Sulatycki, co moim uczyniono... Proszę mam taką, byś o tym innym nie wspominał.

Stary z powagą głową skinął. Dopiewszy piwa, wrócili na kwatery.

Żegota długo nie mógł zasnąć. Wiercił się, w ciemność patrzył. Myślał wciąż o tym, co usłyszał. Czy prawdą może być, że jego strata jest w sposób jakiś związana ze śmiercią Anny Wierzbowskiej? Przecież tyle lat minęło! Nie słyszał o innych zbrodniach. Jednak dopiero co wrócił. Mało zajmował się tutejszymi sprawami, mając własny kłopot z Trofanem Skórą i odzyskaniem majątku. A jeśli był jakiś związek pomiędzy tak odległymi zbrodniami, to kto za nimi stoi? Czy rzeczywiście może być, że ów Barda? Mocne słowa w karczmie wypowiedział. I złość, i napitek swoje zrobiły. Wątpliwość jednak targała Nadolskim. Nie znali pewnie Murray i Stiller zakulisowych działań Krasickiego w sprawie jego nieślubnego syna. Stąd i wiedzieć nie mogli wielu rzeczy. Z jakiej przyczyny miałby Wołoch wbrew swemu panu działać? Przez myśl przemknęło szlachcicowi, że może dzieło to żony pana starosty, która na uszczuplenie majątku zgodzić się nie chciała, lecz wiele było okazji, by sprawę zamknąć. Gdyby Barda był przekupiony, to sprawując opiekę nad Poniatowskim, chorym przecie, łatwo mógł ze świata go usunąć. Wszystko dałoby się przecie na karb niemocy nieuleczalnej złożyć. Tym bardziej iż sam lekarza z Wołoszczyzny przywiódł. Głowił się Żegota i dręczył, co raz przywołując w myślach obrazy strasznej śmierci swoich bliskich i hańbiącego losu, jaki ich i po zgonie nie ominął. Przysiągł w duchu, że wróciwszy do Wygnanki, choć tę ostatnią sprawę zakończy. Księdza, nawet i siłą, do godnego pożegnania przymusi. Niech chociażby po śmierci spokoju zaznają. Długo dręczył się, nim zapadł w końcu w sen niespokojny i raczej męczący niż dający wytchnienie.

Rano przybył z zaproszeniem sługa od pana Stanisława Dereśniaka. Właściciel Rokietnicy lepiej się poczuł i zapragnął osobiście podziękować za pomoc okazaną przez Nadolskiego. Nie mając innych spraw, by czas

wyglądania Semka skrócić i majątnego szlachcica nie urazić, szykował się Żegota do wizyty.

Dereśniak stał w kamienicy przy rynku, niedaleko kościoła. Tam najął kwaterę u kupca, którego znał, bo z nim zbożem handlował. Przywdział więc Nadolski ubranie, co jeszcze mu pan Kruszewski użyczył, przypasał swą czarną szablę, pasem się mocno ścisnął. Gotów, przeszedł pod górę piechotą, bo niedaleko było.

Mżawka wisiała w powietrzu. Błotnisty rynek, otoczony wkoło kamienicami, był prawie pusty. W rogu stał kościół, gdzie ciało zamordowanej złożono. Przed nim tylko kręcili się cieśle, którzy szykowali *castrum doloris*, i baby, co świątynię miały przyozdobić.

Brnąc przez błoto, Żegota pomyślał, iż mógłby przy trumnie uklęknąć i pacierz jaki zmówić za spokój duszy zabitej dziewczyny. Poniechał jednak zamiaru, stwierdziwszy, iż na dziwowisko tylko by się pracującym rzemieślnikom wystawił. Czas będzie odpowiedniejszy, kiedy świątynia opustoszeje. Podszedłszy do drzwi, zakołatał żelaznym kołem wiszącym w ozdobnym okuciu. Krótko było, jak otworzono mu, a sługa, skłoniwszy się, na śniadanie prosił. Żegota buty nieco z błota otrzepał, czapkę z głowy ściągnął i wiedziony przez pachołka wszedł do izby gościnnej. Tam przy stole siedział już Stanisław Dereśniak, a wraz z nim panna Agnieszka Wierzbowska i Sulatycki. Dziewczynę Nadolski zobaczył pierwszy raz od pamiętnego spotkania w przydrożnej karczmie. Zbladła, oczy miała podkrążone z niewyspania i płaczu. Na czarno cała przyodziana, z włosami chustą zakrytymi. Podniosła oczy, a smutek z nich bił ogromny.

Uniósł się pan Dereśniak dla powitania. Podszedł i ujął pod ramię Żegotę, prowadząc do miejsca za stołem. Pan na Rokietnicy starszy już był. Słyszał Żegota, że dawniej chwacko sobie poczynał. Za nic miał wyroki, a woźnych<sup>[41]</sup> z ziemi swojej nie wahał się gonić. Najbardziej zasłynął sporem z wojewodziecem podolskim Jakubem Sienieńskim, któremu winien był 12 000 złotych. Wtenczas doszło też do zajazdu na Rokietnicę, gdzie kulą z półhaka dwuletnią córkę pana Stanisława w czoło raniono. W Przemyślu szlachta na to nawet akt konfederacji uchwaliła, co jednak dalej niczym się

skończyło. Dawne to jednak były czasy. Teraz Stanisław Dereśniak bardziej na cień samego siebie wyglądał. Łysiejąca głowa, wąsy gęste, obwisłe, posiwiałe. Policzki blade, na czole bruzdy zmarszczek głębokie. Oczy miał napuchłe, czerwone, niczym z długiej bezsenności. Grzecznie i godnie gościa powitał. Zgodnie z obyczajem wiele słów cnoty Żegoty wychwalających wypowiedział. Tym samym odwdzieczył się Nadolski, znając, czym w gościnie należy się okazać. Z panną przelotnie się przywitał, a z Sulatyckim, jak z druhem serdecznym, wyściskał.

Na stole niczego nie brakło. Stały mięsiwa, chleb, wino, ciasta i jaja. Zasiadł tedy szlachcic do jadła, a zachęcany, wszystkiego próbował. Z początku rozmowa głównie podziękowań dla Nadolskiego tyczyła, których mu pan Stanisław nie szczędził. Znał sprawę z odnalezieniem Bernata, tedy wychwalał zmyślność i doświadczenie Nadolskiego. Ten skromnie o sobie gadał, podnosząc zasługi pana Kruszewskiego, jak również nie zapominając o podziękowaniach dla Sulatyckiego i Wolskiego za pomoc mu w Wygnance okazaną. Tak dłuższy czas upłynął. Panna Wierzbowska milczała zajęta własnymi myślami. W końcu westchnął pan Dereśniak głośno i głową łysą pokiwał.

– Niestety waszmość wielkie się stało! Tym więcej dla mnie cierpienia, że to w mojej gościnie! Pod moją opieką! Jakże teraz mam panu staroście Wierzbowskiemu w oczy spojrzeć? Jak mam mu rzecz wyjaśnić? Jak ból jego rodzicielski ukoić? Ech, mości Nadolski... Gdybyż to wiadomo było, kto zbrodni dokonał, sam bym poszedł, choć stary już jestem, i na pal kazał nadziać mordercę. Pasy bym darł! Ale gdzie go szukać? Kto zacz? Mówił mi pan Wawrzyniec, iż ów Bernat gadał, że Wołoch to jakiś. Aliści gdzie owego Wołocha znaleźć? Co rzecz mam panu staroście szadeckiemu? Smutek i boleść na głowę mą spadły. Hańbą się mój dom okrył...

Przerwał i gestem teatralnym otarł czerwone powieki. Widać było, że nie czeka od gościa odpowiedzi, więc milczał Żegota, głową jedynie kiwając. Po chwili zaś Dereśniak, oczy zmrużywszy, dalej mówił:

– Powiada mi pan Wawrzyniec, iż wraz z panem Andrzejem sądzicie, że ów Wołoch to sługa jegomości starosty dolińskiego, jak go tam zwał... –

Spojrzał na Sulatyckiego, a ten podpowiedział uczynnie:

– Barda. Giurgiu Barda.

– Właśnie. Barda! Ale czy możliwe to jest? – Łypnął w kierunku Żegoty. – Wiem, że znane ci waszmość plany pana Krasickiego, co je powziął względem Jerzego Poniatowskiego. Tedy wiesz też, iż to właśnie ów Barda z okupem na Krym jechał z polecenia pana starosty. Wielką gotowiznę wiózł, a słowa dotrzymał! Wiernie sprawę wypełnił! Jakże to więc może być, że wtenczas nie połakomił się na złoto, a teraz miałby wbrew woli swego pana czynić? Niepodobnym mi się to zdaje!

– Bo też ludzie zmieniać się mogą – odrzekł krótko Nadolski.

– To i prawda – przyznał gospodarz, lecz zaraz dodał: – Ale od lat ów sługa nad panem Jerzym opiekę sprawuje. A pan Krasicki z usług jego w najtrudniejszych sprawach korzysta. Mówił mi pan Wawrzyniec, iż ponoć ostatnimi czasy Wołoch nawet listy od króla jegomości do pana starosty dolińskiego woził.

– Też tak słyszałem – przyznał Żegota.

– Z drugiej strony... – Dereśniak zmarszczył brwi – ...żadnego śladu lekceważyć nie można. Choćby i nieprawdopodobny był, sprawę wyjaśnić należy. Ale... – przerwał i zerknął na gościa – ...pan Andrzej, wielkiej zacności to młodzieniec, szlachetnego charakteru, lecz gorączka. Mógłby co uczynić, co ze szkodą by dla niego było. Niepotrzebnie zwadę jaką wywołać. Pojmujesz waszmość, o czym mówię?

Nadolski skinął głową. Gospodarz zaś ciągnął:

– A i waćpana mógłby w jaką opresję wciągnąć, która też nikomu niepotrzebna by była.

Przerwał, spojrzał uważnie, westchnął smutno.

– Pojmuję smutek, jaki w sercu pana Andrzeja zagościł. Ale i mnie, jako krewnemu i w tym czasie opiekunowi panny Anusi, nielekko. Własny żywot bez wahania bym na szali położył, gdyby ją z martwych przywrócić to miało! Krwi bym utoczył! Lecz stało się... A kiedy biegu zdarzeń odwrócić się nie da, wtenczas trzeba z głową rzecz całą przemyśleć. Kiedy szło o ściganie

beskidników, sam ponaglałem. Teraz jednakowoż politycznie trzeba do rzeczy podejść. Ostudzić głowy gorące. – Zerknął na siedzącą przy stole dziewczynę i dodał: – Panna Agnieszka wychwalała stateczność i powściągliwość waszmości, którą naocznie widziała przy owym smutnym i niepotrzebnym zajściu z panem Andrzejem. Więc liczę, że i w waszmości będę miał wsparcie.

– W czymże mógłbym waści służyć? – zapytał Żegota.

– A w tym, mości Nadolski... – podchwycił Dereśniak – ...by uspokoić nieco gniew pana Andrzeja. Powiadają mi sługi, że na Olchowcach siedząc, grozi, iż jak się pan starosta doliński pojawi, sam w oczy mu rzeknie, iż sługa jego mordercą. A jakież to dowód jest? Że ów Bernat gadał? Jeszcze raz rzeknę! Politycznie sprawę ułożyć należy!

– Chętnie bym spełnił prośbę waszmości – odparł gość. – Ale trudno rzec, by mnie pan Kruszewski usłuchał. Wielce przeżył śmierć panny Anny, gadać z nikim nie chce, tedy i mojej rady pewnie do serca nie weźmie. Co innego waćpana! Człeka i z charakteru statecznego, i z urodzenia oraz majątności poważanego wszędzie. Gdzie mnie tam się swoim słowem mierzyć z waszmości opinią.

Dereśniak smutno pokiwał głową, choć przelotnie zadowolenie odbiło się w jego starym obliczu.

– Próbowałem... List posłałem, by pana Andrzeja zmitygować. Bo co prawi, to ludzie słyszą. A jak inni słyszą, to i uszu pana starosty dojść może. A krzywdę mu słowa takie sprawić mogą! Zacności to wielkiej pan! Zasługi dla województwa i Rzeczypospolitej ogromne położył, urząd z narażeniem zdrowia i majątności godnie sprawuje, tak że spokój nareszcie w swojej ziemi zaprowadził. I z obyczajów, i cnotliwego charakteru znany. A pan Andrzej... – Machnął ręką i smętnie brodę opuścił. – Sam waszmość widzisz! A mnie jeno o to idzie, by na moje barki sprawę z panem Krasickim złożyć. Ja z nim rzecz omówię. Znamy się od lat, tedy i łącniej mi będzie delikatną kwestię poruszyć. Bez gróźb i gniewu. A pan starosta doliński to taki człowiek, iż jeśli tylko cień wątpliwości mu się w duszy zrodzi, to sprawę wyjaśni. Jego to przecie sługa i sam najlepiej rzecz zna, gdzie bywał, co robił i jak z nim

postąpić. Tedy niechby pan Andrzej słowa jakiego nieopatrznie nie wyrzekł, burd nie wszczywał. A mnie tym łatwiej będzie rzecz panu starości przedłożyć. Bo każdy wie, że pan Kruszewski u mnie na służbie teraz. I gdyby co uczynił, to jakbym ja to uczynił...

– Pojmuję – skwitował Żegota.

– Tedy pomożesz waszmość?

Nadolski skinął wolno głową, choć nie w smak mu była prośba. Stanisław Dereśniak uśmiechnął się szeroko.

– Wiedziałem, że waszmość statysta i politycznie myślisz! A że wiekiem jesteś starszy, w świecie bywały, tedy i bardziej delikatność materii pojmujesz. Napijmy się, panie Żegota! Bo choć i smutek mamy w duszach, to przynajmniej jeden głąz z mego serca zdjąłeś!

Stuknęli się wzniesionymi kielichami.

– Pojedziesz więc waćpan do Olchowiec? – upewnił się gospodarz.

– Pojadę – mruknął Nadolski.

– Więc rzecz ułożona! – Dereśniak klepnął się po udach. – Dla towarzystwa, jeśli waszmość życzysz, mógłby i pan Wawrzyniec z waćpanem pojechać!

– Jeśli taka wola... – Sulatycki się skłonił.

– Z chęcią skorzystam z tej uprzejmości. – Nadolski napił się wina. – Bo łatwiej we dwóch może do pana Andrzeja przemówić zdołamy.

Temat uznał gospodarz za skończony, bo jął mówić o przygotowaniach do pogrzebu, kosztach, terminach i wszelkich trudach, które, mimo zdrowia nadwerężonego, pokonywać musi. Chwalił przy tym zaangażowanie panny Agnieszki, bez której, jak prawił, żadną miarą nie poradziłby wszystkiego na czas wykonać. Tak też dobiegło końca śniadanie.

Nadolski jął żegnać gospodarza, zapewniając po raz kolejny, że rychło się do pana Andrzeja wybierze. Ucałował dłoń milczącej Wierzbowskiej. Ta, nieco dłużej rękę jego przytrzymawszy, powiedziała ledwie tylko głośniej niż szeptem:

– Za zgodą pana Stanisława, pozwól waćpan, że do drzwi cię odprowadzę,



bo chciałam jeszcze słowo zamienić.

Zmieszał się nieco gospodarz, gdyż nie było przyjęte, by kobieta gości u wrót żegnała, chyba że krewna czy żona. Zadowolony jednak, iż Nadolski obiecał mu w sprawie Kruszewskiego pomóc, machnął w końcu ręką na konwenanse.

– A idź waćpanna, jeno prędko wracaj!

Żegota skłonił się po raz ostatni panu Dereśniakowi, uścisnął z Sulatyckim i skierował do wyjścia. Sługa przeprowadził go wąskim korytarzem. Za nim weszła panna Agnieszka. Otworzyły się drzwi wiodące na rynek. Przestało mżyć, a słońce przeblyskiwało pomiędzy chmurami. Na lewo rzemieślnicy wnosili do kościoła elementy zdobnego katafalku, co smutno przypominało o nadchodzącym pochówku. Dziewczyna spuściła głowę i odwróciła wzrok. Żegota stał zmieszany, ściskając w dłoniach czapkę.

– Słyszałam, jaka tragedia waszmości dotknęła. – Wierzbowska uniosła smutne oczy. – Szczerze waści współczuję. I wierzę, że znajdziesz waćpan w końcu ukojenie jakie.

Nadolski skinął głową i bąknął ciche słowa podziękowania.

– I za pomoc okazaną równiem wdzięczna...

– Szkoda, że nadaremna była – odparł szlachcic. – I ja waćpannie współczuję straty niespodziewanej.

Agnieszka pokiwała głową.

– Pewnie byłeś waćpan zdziwiony, że przykazałam panu Andrzejowi do Wygnanki jechać.

– Przyznam, że tak, choć prośbą swą zaszczyt mi waćpanna uczyniłaś. Gdybym jakkolwiek mógł... – Przerwał na chwilę. Chrząknął i głośniejszym dokończył. – Gdybyś waćpanna kiedykolwiek pomocy jakiej chciała, to zawsze we mnie będziesz mieć sługę swego.

– Dziękuję waszmości. Chciałam jeno wyjaśnić, dla jakiej przyczyny ośmieliłam się o przysługę prosić.

– Ani tego od waćpanny nie oczekuję.

Dziewczyna uniosła w smutnym uśmiechu kąciki ust.

– Myślałam... Myślałam, iż waszmość sprawisz, że Anusia do domu powróci... Tak mi się zdało...

Pokręciła głową, otrząsając się z myśli jakiej ciężkiej.

– Tak mi się zdało... Kiedy do Sanoka z panem Dereśniakiem zajechaliśmy, niedaleko zamku spotkałam niewiastę. Mówiła, że zna waćpana. Na imię jej było Ryta. Tak przynajmniej mi rzekła...

Nadolski drgnął.

– Pewnie bym i słuchać nie chciała, lecz rzekła mi rzecz... Lecz rzekła mi coś, o czym tylko ja wiem... – bezwiednie przygryzła usta na chwilę – ...więc pozwoliłam jej mówić.

– Co waćpannie powiedziała? – głucho zapytał Żegota, a serce mu biło gwałtowniej.

– To, że bez pomocy pana Nadolskiego z Wygnanki nigdy się nie dowiem, kto moją siostrę porwał. I muszę go o pomoc prosić. – Spojrzała na szlachcica. – Znasz waćpan ową Rytę? Ładna, wysoka. W czerń odziana była. Myślę, że Żydówka.

– Znam. – Żegota nerwowo oczami zamrugał. – To więdźma, co od lat kilku w lasach niedaleko Wygnanki żyje. Rany moje wyleczyła.

– Tak i myślałam, że znasz...

– Tylem co u niej był plecy pocięte kurować. Raz jeden ją spotkałem – pospieszył z wyjaśnieniem siwowłosa. Niejasny wstyd poczuł, przypomniawszy sobie chłodny dotyk ręki czarownicy.

Nie odpowiedziała nic panna. Głową tylko skinęła, a potem westchnęła:

– I mnie się zdało, iż musi być więdźmą. Dziwnie do mnie mówiła. Niby znała mnie więcej, niż mogła. Nalegała, prosiła, by do waćpana o pomoc słać... A ja sądziłam, że tak bieg losu odwrócę... Nadzieję jeszcze miałam. Choć przecie tylko rzekła, że kto porwał, się dowiem... Nie mówiła, że siostrę żywą jeszcze zobaczę... I pana Andrzeja swoją nadzieją zwiódłam...

Łza potoczyła się po bladym policzku. Żegota zacisnął usta. Wycedził cicho, przez zęby:

– Dowiem się, kto zabił pannę Anusię. Jak mi Bóg miły, waćpanna,

dowiem się! Nie spocznę, póki go nie dostanę!

– Nie żądam tego od pana, mości Nadolski. – Dziewczyna szczupłą dłonią otarła łzę. – Jak było pisane, tak się stało. Jenó mi jej młodości żal... Bo w czymże ona komu zawiniła?

Podniosła pytający wzrok. Błękitne oczy błyszczały z rozpaczny. Żegota mimowolnie uniósł dłoń. Jak w transie dotknął policzka dziewczyny. Ta się nie poruszyła. Chwila to była jedynie, szlachcic jednak w mig pojął, iż nie powinien był tego robić. Gwałtownie cofnął rękę i krok w tył wykonał. Głowę spuścił, zmiął w palcach czapkę futrzaną.

– Pójdę już... – szepnął, nie unosząc wzroku. – Jeśli waćpanna zezwolisz...

Wierzbowska przysunęła się bliżej i położyła dłoń na piersi Nadolskiego. Poszukała jego spojrzenia, a gdy spotkały się ich źrenice, cofnęła się. Głowę kilkakroć wolno pokiwała. Odwracając się już, rzuciła tylko:

– Oby cię Bóg prowadził, mości Żegota.

Zniknęła w drzwiach kamienicy.

Szlachcic stał, nie poruszając się jeszcze przez chwilę. W głowie miał pustkę nagłą. Myśli rozbiegły się, nie wiedzieć gdzie. Przed oczami zaś wciąż stała dziewczyna, która to sprawiła. W końcu gwałtownie, w złości, czapkę na głowę wcisnął i obrócił się na pięcie.

Z wieczora Semko z Wygnanki powrócił. Oznajmił, że wszystko dobrze idzie. Chłopi ruiny uprzątnęli, dachy w obejściu łatają, pod okiem Fiodora drzewa tną. Zapytany, czy spokój jest i nikt majątku nie nachodzi, mruknął, że tak, ale znać było, iż coś ukrywa. Zezłościło to Nadolskiego, który pachółka przycisnął do mówienia. W końcu wyznał pocztowy:

– Mówią, że Trofana Sulatyckiego ktoś ubił...

– Co? – Żegota osłupiał z wrażenia. – Gadaj po kolei!

– Powiadają, że krótko po tym, jak w Wygnance ostatni raz był, to do pana Stano ze skargą się udał. Ale nic nie wskórał, tedy do swojej majątności, co w dzierzawie ma, ruszył. No i w lesie ktoś mu w gardło z łuku strzelił.

– Kto?

Semko wzruszył obojętnie ramionami.

– A bo to kto wie?

Przez myśl szlachcica przeszedł Bejda ze swym tatarskim łukiem. Wiedział, iż pohaniec byłby zdolny do tego. Ale nic nie powiedział. Zapytał tylko:

– I co dalej?

– Znaleźli ludzie trupa i do pana chorążego sanockiego, do Nowotańca, zawieźli.

– To pewnie na okazanie do grodu przyjedzie?

– A gdzie tam... – Sługa machnął ręką. – Powiadają, że pan chorąży pochować kazał. A bo to mu rodzina jaka? A i mówią, że co do klejnotu szlacheckiego jakaś wątpliwość była, bo żaden Sulatycki się do pokrewieństwa z nim nie przyznawał. Więc prędko pogrzeb wyprawili i już.

Mimowolnie Nadolski się uśmiechnął. Póty był dobry Skóra dla Jerzego Stano, póki żywy i służbę mu sprawował. A kiedy trzeba by za nim się wstawić, zbrodnię wyjaśnić, nie chciał chorąży sanocki ciężaru na siebie wziąć. Pod nosem Żegota mruknął tylko:

– Kto za sługą się nie ujmie, to i za żoną także.

Semko pokiwał głową. Widać było, że i on swoje myśli, lecz przed panem się nie odkrywał. Zadowolony był Nadolski z obrotu rzeczy. Jednego wroga mniej to jakby znak losu odwrócenia. A i Stano pewnie swoje sądzi. Raz, że ludzi jego dragoni przegnali. Dwa, że prowodyr trupem padł. Poznał, że nie przelewki. Szlachcic podkręcił wąsa i klepnął pocztowego po plecach. Ten zamrugął zdziwiony oczami.

– Dobre wieści przywozisz. Jak tylko pogrzeb się odbędzie, to do Wygnanki wrócisz. A ja... – przerwał i zmarszczył czoło – ...a może i ja pojedę.

Dnia następnego wraz z panem Sulatyckim Żegota do Olchowiec się udał, jak panu Dereśniakowi przyobiecał. Niespiesznie jechali, bo też wiedzieli, iż pewnie mało rad będzie Kruszewski wizycie. Ale słowo się rzekło. Przez San brodem przeszli, by do folwarku się skierować, gdzie stał dworek drewniany.

Wieś była służebna dla zamku w Sanoku, a w niej administrator siedział

porządków pilnujący. U niego stanął pan Andrzej w gościnie, by w grodzie swojego smutku nie obnosić. Mógłby go bowiem kto opacznie pojąć. Co w sercu mu zostało, chciał przed ludźmi ukryć.

Oddawszy konie pacholkom, weszli do domostwa. Ciche się zdało i puste. Dziewka służebna oznajmiła, iż pan Andrzej jeszcze spoczynku zażywa. Nie baczyli na to, lecz do izby sypialnej zakołatali. W końcu odemknął im Kruszewski. Twarz miał napuchniętą, oczy mało przytomne. Czuć było od niego winem. Odziany ledwie co w hajdawery<sup>[42]</sup> i koszulę nie pierwszej świeżości. Skrzywił się na widok niespodziewanych gości. Mimo to ręką, bez słowa do izby zaprosił. Sam siadł przy prostym stole i obojgiem dłoni za głowę się ujął. Głośno zawołał, by wody mu przynieść, co zaraz służba uczyniła. Łapczywie pił kilka chwil wprost z dzbana. Na koniec usta rękawem otarł i bardziej trzeźwo spojrzawszy, mruknął:

– Co też waszmościów sprowadza?

Sulatycki łypnął na Żegotę.

– W gościnę zajechaliśmy, bo wieści od waćpana żadnych, to i niepokoić się zaczęliśmy. A i przekazać chcemy, co z pogrzebem...

Kruszewski wyduł usta pogardliwie.

– Niepokoić? A czemóż to? Czy mi co grozi? Chorym? Źle mi się dzieje? Przecie tu... – machnął ręką gwałtownie, pokazując wkoło – ...jak u Pana Boga za piecem mam!

– To i widać – wysapał stary szlachcic i zamilkł.

Nadolski zmrużył oczy. Wąsa przygładził, nim wyrzekł:

– Mości panie Andrzeju. W bawełnę owijać nie zamierzam, bo i po co. Przysłał nas pan Stanisław Dereśniak do waszmości, by...

– To i waćpan u niego służysz? – złośliwie przerwał młodzik.

– ...by się z waszmością rozmówić – dokończył Żegota niezrażony.

– Tedy słucham! – Kruszewski rozparł się w krzesło wygodnie i wbił w gości przymglone oczy.

– Martwi się otóż pan Stanisław, iż do jakowejś zwady możesz waćpan doprowadzić z panem starostą dolińskim Serafinem Krasickim. Za sprawą

owego Wołocha, Bardy.

Pan Andrzej skrzywił się w nieprzyjemnym uśmiechu. Nic nie rzekł. Siwowłosa ciągnął więc:

– Mogłoby to powagę uroczystości zakłócić, żałobę pohańbić i do awantury niepotrzebnej doprowadzić.

– Wiem! – warknął Kruszewski. – Pisał mi pan Dereśniak!

Żegota skinął głową.

– Tedy prosił nas pan Stanisław, byśmy do waszmości przyjechali i rzekli, że sam on sprawę ze starostą dolińskim omówi. Tak by bez gwałtów się obyło, a sprawiedliwości zadość się stało.

– Bez gwałtów?! – Czarnowłosa oparł dłonie o stół i wyprostował się, schylając ku Nadolskiemu. – A czyż gwałtem nie jest śmierć panny Wierzbowskiej?! Jak ma się bez gwałtów obyć, skoro już się stały?!

Nadolski sapnął nerwowo i twardo młodzikowi w oczy zajrzał.

– Nie znasz waszmość, że i mnie prędko do pomsty. Bo i moja krzywda w tym jest. Ale nie godzi się teraz, przy pogrzebie, do szabel się brać.

– Ani to pannie życia nie wróci, ani też nikomu nie usłuży – dodał Sulatycki.

Powoli obrócił się ku niemu Kruszewski. Gniewnie oczami łypnął, dłonie w pięści zacisnął.

– To i wiem, mości panie, że nie wróci! Ale przynajmniej spokój mi przyniesie!

Żegota wstał. Mimo wieku górował wzrostem nad młodym gospodarzem.

– Nie czas na spory! Rzekłem, co mi pan Dereśniak powierzył. Co waćpan zamierzasz?

– Moja rzecz! – odburknął Kruszewski.

– Zważ więc, że nie tylko twoja! U pana Dereśniaka panna w gościnie była! On opiekę nad nią sprawował! On się z panem Krasickim w sprawie małżeństwa z Poniatowskim układał! Oczami świecić będzie przed ojcem dziewczki, starostą szadeckim! Tedy mniemasz, że rzecz bez końca ostawi?!

Młody szlachcic zacisnął usta. Zdusił w sobie gniewny wybuch. Dostrzegł to Żegota i łagodniej już dodał:

– Z prośbą jak do druha przyjechałem. Tyle tylko, byś się waszmość do pogrzebu wstrzymał. Potem czyn, co ci serce podpowiada. A ja w tym ci nawet gotów swoją osobą służyć. Ale teraz uszanuj żałobę, jeśli nie przez wzgląd na pana Stanisława, to na siostrę zabitej.

Kruszewski stał chwilę, wpatrując się w blat stołu. Na koniec wolno głową przytaknął. Matowym głosem mruknął:

– Jeśli waszmości i panny Agnieszki to prośba, tedy słowem szlacheckim ręcę, iż nic nie uczynię, póki panna Anusia do grobu nie będzie złożona. Ale potem... – Nie dokończył. Podniósł oczy. Westchnął ciężko. Odwrócił się wolno i przeszedłszy kilka kroków, dodał: – Panu Stanisławowi przekaż waszmość, iż służbę mu wypowiadam. To, co mi winien, może zatrzymać. Albo niech da na mszę za spokój duszy Anusi. I niech się nie turbuje, że kłopot mu sprawię. Bo po pochówku nie jego to już rzecz będzie.

Nadolski podszedł do młodzieńca i objął go ramieniem. Stał sztywno, bez ruchu. Tępo wpatrywał się w kąt izby.

– W Sanoku się spotkamy. Wtenczas uradzimy, co dalej, mości Kruszewski.

Czarnowłosa skinął głową. Puścił go Żegota i zerknął na Sulatyckiego.

– Cóż, panie Wawrzyńcze. Myślę, że kontent będzie pan Dereśniak?

Stary skrzywił się smutno.

– Kontent, nie kontent... Myślicie, że ja co? Rękodajny, to jeno panu się chcę przypodobać? Szlachcic jestem! Jak i wy dostać chcę skurwysyna, co to uczynił!

– To wiem... – Nadolski podszedł do szlachcica – ...wiemy, mości Sulatycki.

Kruszewski stanął przy nim.

– Wybaczcie, mości Sulatycki. Gniew przeze mnie mówi. Znasz, jak pannę Anusię... Jakem ją lubił.

Wyciągnął rękę do pana Wawrzyńca, którą ten zaraz uścisnął.

– Znajdziemy owego Wołocha. Nawet jak do Sanoka nie przyjedzie, to do Krasieczyna po niego pójdę. – Spojrzał na Żegotę. – I wy, jeśli będzie taka wola.

Nadolski przytaknął.

Krótko po tym rozmawiali, wspominając głównie to, co od Bernata się dowiedzieli, gdzieniegdzie tylko wracając do sprawy Trofana Skóry. Nie rzekł nic właściciel Wygnanki, co mu Semko powiedział. Choć miał ochotę, bo pewnie by to zwarzony nadal humor Sulatyckiego nieco poprawiło.

Po południu się pożegnali. Goście ruszyli w powrotną drogę do Sanoka. Rzeka zasilona deszczem przybrała, zasłaniając kamieniste dno. Wkoło zieleń nabrzmiewała wilgocią. Nadolski ledwie co zwracał uwagę na otoczenie. Wciąż myślał o pokreconym losie, który sprawił, iż zaraz będzie musiał decydować, co czynić. Słowa Stillera i Murraya brzmiały mu w uszach. Może prawdę mówili, że ten sam stoi za morderstwem w Wygnance co innymi zabójstwami w ruskim województwie. Ale gdzie dowód? To, że ktoś ze zwłok krew wypuszczał? Głowy obcinał? Przez tyle lat nieznaną? Pokręcił głową do własnych myśli. Niemożliwe przecie było, by tyle lat łotr mógł bezkarnie działać. Chętnie pomówiłby jeszcze Żegota ze Stillerm, lecz nie wiedział, gdzie go teraz szukać. Westchnął. Co innego ze sprawą Wierzbowskiej. Tam trop prosty. Wystarczy tylko Wołocha zdybać i sprawę rozjaśnić. Wiadomo, przyznawał w duchu, trudna to rzecz będzie. Na hazard przyjdzie się wystawić. Ale czy pierwszy raz? Przypomniał sobie wojenne eskapady, z których bez szwanku wychodził. Strzegła go widać z nieba Zośka, by do domu powrócił. Spojrzał na mętną wodę pod końskimi kopytami i zapytał się w duchu, czy powróciwszy znów ma się narażać. Czy stanie mu szczęścia w niebezpieczeństwie? Głos jakiś podpowiadał, by zostawić to wszystko, te spory, tajemnice, właśnie. Sobą i Wygnanką się zająć. Coraz natarczywszy stawał się ten kusiciel. Przedkładał kolejne argumenty, łudził i groził. Aż nagle stanął przed oczami Żegocie obraz panny Agnieszki. Takiej jak ją na sanockim rynku pożegnał. I niczym od jednego cięcia szabłą wszystko ucichło. W sercu zaś nastąpiła pewność, że nie jest widać Nadolskiemu pisane teraz stać się hreczkosiejem. W końcu i na to czas



przyjdzie. Ale nie dziś.

Pogrzeb rozpoczął się dzwonami. Przyodziani na czarno pacholcy przenieśli otwartą już trumnę z bocznej kaplicy i ustawili na ozdobnym katafalku. Strzeliste *castrum doloris* obite aksamitem uświetniało ostatnią drogę Anny Wierzbowskiej, córki starosty szadeckiego. Ciało dziewczyny odziane w białą suknię spoczywało w prostej drewnianej skrzyni, mającej stanowić znak pokory wobec śmierci. W miejscu gdzie niegdyś była głowa, położono portret zmarłej. Sześciokąt malowany naprędce, z grubsza tylko oddawał przeszłą urodę nieboszczki. Na lewo od katafalku, w ławach przy ścianie, zasiadła rodzina i najgodniejsi z gości. Wśród nich i Agnieszka Wierzbowska. Cała na czarno okryta, z twarzą zasłoniętą koronkową materią. Przyjechał i ojciec panny, Mikołaj Wierzbowski. Pan znamienity, wielce królowi w wojnach zasłużony. Z nim sługi liczne, które teraz rzędem przy trumnie ze świecami stały w szatach zdobionych herbem Jastrzębiec. Obok zasiadł starosta doliński. Dopiero co do Sanoka zjechał. Siedział rozparty w ławie, dumnie reprezentując jeden z najznamienitszych rodów województwa. Twarz miał szeroką, męską. Włosy podgolone na szlachecką modłę, sterczały zaczesane w czub. Broda gęsta, przycięta i wąs, podkreślony nieco, dodawały majestatu. Podpuchnięte oczy miał zamknięte, jakby w śpiew żałobny był wsłuchany. Przy nich zasiadł Stanisław Dereśniak. Może majątnością i powagą nierównający się z wielkimi panami, lecz przecie krewny Mikołaja i ten, co na miejscu przygotowań pilnował. Tłum szlachecki gromadził się w kościele rozświetlonym setkami świec. Blask płomieni migotliwie barwił majestatyczne ściany odbudowanej świątyni, przesuwając się po złoceniach obrazów, zawilościach rzeźbień i gładkości szlifowanej posadzki. Solidne mury odbijały i potęgowały żałobną pieśń. Woń kadzidła rozchodziła się wkoło, głuszając zapach ludzki i przykrywając fetor ciała, które już rozkładać się poczęło. Tłumnie zjechała szlachta okoliczna na uroczystość. Bo też nieczęsto się zdarzało, by tak znamienitą osobę chowano. A przy tym każdy chciał ujrzeć postać zmarłej, o której urodzie legendy już krążyć poczęły. Nic to, iż ciało głowy nie miało. Tłum wychylał się, by jak najwięcej dostrzec z leżącej w trumnie niewiasty. A pieśń głośna przykrywała rozliczne szepty. Prócz panów braci weszli do świątyni

przedstawiciele cechów miejskich. Ubrani odświętnie. Stanęli szeregiem, dzierżąc woskowe świece. Mnisi ustawieni wzdłuż ścian, okryci kapturami, ćwiczonymi głosami mocno intonowali łacińskie wersety. W tyle tłoczyły się czeladź i pospólstwo, które też chciało uszczknąć coś z widowiska, bo było na co patrzeć. Ściany świątyni obito czarną materią. *Castrum doloris* obrazowało aniołów schylających się nad zwłokami. Między ich skrzydłami zawisł malowany herb z krzyżem i podkową. Ten, co jeszcze z czasów bardzo dawnych wychodził, kiedy to podkuwszy konie żelazem, przodkowie Wierzbowskich Łysą Górę od pogan zdobywali. Na prawo od trumny zasiadł starosta sanocki Franciszek Bernard Wandalin Mniszech z żoną Barbarą ze Stadnickich ze Żmigrodu. Wszyscy wkoło znali, iż to brat owej słynnej Maryny, która dawniej carową Rosji się stała. Blask złota i przepychu bił od dumnego magnata. A on spoglądał wyniośle, znając, że rodem i znaczeniem wszystkich zgromadzonych przewyższa. Słudzy jego odziani bogato, z tarczami w malunek siedmiu strusich piór zdobnymi, stanowili mu świtę, dodając splendoru.

Szlachta rękodajna i rezydenci magnaccy zajęli dalsze ławy. Pomędzy nimi stali Wawrzyniec Sulatycki z Andrzejem Kruszewskim. Pytali wcześniej Żegotę, czy i on zechce z nimi być, lecz Nadolski wołał pomiędzy lokalnymi panami braćmi się znaleźć. Raz, że dla pokazania się, a dwa, że miejsca bliższym zmarłej osobom zabierać nie chciał. Spomiędzy tłumu ledwie dostrzegął Agnieszkę Wierzbowską. Siedziała pochylona u boku ojca. Nadolski smutno pomyślał, iż pewnie zaraz po pogrzebie wyjedzie. Dziwna tęsknota w nim się odezwała. Za czymś, czego nie miał, a co czuł jakby utraczone.

Pieśń ucichła. Rozległy się dzwonki *campanelle da messa*<sup>[43]</sup>. Powstali ci, którzy do tej chwili jeszcze siedzieli. Ubrany w biel i złoto ksiądz uniósł ręce i modlił się przy ołtarzu. Ucichły szmery wśród zgromadzonych. Znieruchomiały postacie odziane w żółte i karmazynowe żupany. Mimowolnie pochyliły się wszystkie głowy wobec majestatu śmierci. Ksiądz z wolna odwrócił się ku zebrany. Za nim widniał ołtarz świętego Franciszka, który miłosiernie spoglądał z malowidła. Duchowny głosem

mocnym zaintonował:

*Dies irae, dies illa,  
Solvat saeculum in favilla:*

Mnisi podjęli zaraz:

*Teste David cum Sibylla*<sup>[44]</sup>.

Zaśpiewali pieśń ci, co łacinę znali. Popłynęło coraz głośniejsze:

*Quantus tremor est futurus.  
Quando iudex est venturus.  
Cuncta stricte discussurus!*<sup>[45]</sup>

Spojrzał Nadolski, wzrokiem szukając wśród sług starosty dolińskiego takiego, co by na Wołocha wyglądał. Nie widział nikogo takiego wcześniej, kiedy Serafin Krasicki do Sanoka zajechał. I teraz nikt taki nie stał w kościele. Nie przybył widać Berda ze swoim panem. Obrócił wzrok na Kruszewskiego. Stał bez ruchu, wpatrując się w ciało spoczywające w trumnie. Widział jedynie jego plecy nieruchome, zgarbione. Czasem tylko drgnęło mu ramię, gdyż miał w dłoniach czapę futrzaną, jakby w nią mógł wcisnąć swój skrywany smutek. Dumni magnaci, siedzący po bokach, zacisnąwszy usta, poschylali głowy. Mikołaj Wierzbowski oczy dłonią przesłonił. Pieśń starodawna i w najbardziej nieczułe serca sprowadziła smutek i żalobę. Stężały twarze, zmarszczyły się czoła, odżyły twarde sumienia, przypominając sobie o marności ludzkiego żywota. Pokora wstąpiła w dusze. Płynęły łacińskie słowa błagające Boga o miłosierdzie.

Nagle szmer się u wejścia zrobił. Początkiem cichy, jak brzęczenie pszczoł. Potem głośniejszy. Pojedyncze głowy obracać się zaczęły. Melodia głosów jeszcze zagłuszała ów dysonans. Poruszyła się ciżba przy drzwiach. Zaszurały stopy na kamiennej posadzce. Zamierała pieśń pod szlacheckimi

wąsami. Czeladź, nie wiedząc czym strwożona, na boki rozstępować się poczęła. Ci, co bliżej katafalku byli, niczego jeszcze nie dostrzegli. Żegota zaciekawiony odwrócił głowę. Lecz i on w tłumie nie mógł poznać, co się dzieć może. Tymczasem poruszenie jednych falą zmuszało innych, by drgnęli. Niczym krąg na wodzie, co w jednym punkcie rozpoczęty, coraz to dalej i dalej sięga. Odsuwali się stojący przy drzwiach pacholcy, przepychali, nie zważając na szlachtę drobną, która gniewnie mrużyć poczyniała. Szaraczki napierały na dalszych. Pomruk pytający się podniósł. Ksiądz opuścił nabożnie uniesione oczy. Nie przerywając śpiewać, wpatrzył się w ludzkie kłębowisko. Za jego wzrokiem podążyli milczący magnaci. Jedynie pan Wierzbowski, mając dalej dłonią oczy przysłonięte, nic nie dostrzegł. Do chwili gdy zamarła pieśń na ustach duchownego. Zachwiały się głosy zakonników. Szlachta słowa i melodię zgubiła. Gdziekolwiek tylko jeszcze cichł ten, co się w śpiewie zapomniał i nagle w kościele tylko kilka głosów słyszał. Zamiast śpiewu pomruk się uniósł. Szmer nóg, przesuwanych ław. A potem i to się skończyło. Został tylko stukot pojedynczych stóp na kamiennej posadzce. Miętko odbił się od kamiennych sklepień. Nadolski wspiął się na palce. Dojrzał czarne włosy, przesuwające się korytarzem utworzonym w ciżbie. Długie i proste. Drgnęło mu serce nagłym przecuciem. Jeszcze niepewnym. Przypomniał sobie powiedziane kiedyś słowa: „Kiedy się znów zobaczymy, jedno z nas umrze. Pamiętaj o tym!”. Przełknął mimowolnie ślinę i poczuł nieznośny, metaliczny smak w ustach. A Ryta szła na wprost. Ku trumnie, gdzie spoczęło okaleczone ciało. Zamarli wszyscy. Ksiądz ledwie dłonie opuścił, stojąc w bezruchu. Magnaci zastygli w ławach. Stojący z tyłu wyciągali szyje niczym żurawie. Chwila była taka, że zamarł kościół z wiernymi jak w rzeźbę zaklęty. Tylko wiedźma była oznaką życia. Na czarno odziana. Wysoka. Zdało się, iż nad wszystkimi swoją postacią górująca. Błada jak śmierć, tym więcej przerażenie czyniąca. Niespiesznie podeszła do trumny. Wolno głowę ku zmarłej obróciła. Szept poszedł między ludźmi. Niektórzy nabożnie znak krzyża czynić poczęli. Ryta zaś dłoń swą szczupłą wyciągnęła. Rozpostarła delikatne palce nad ciałem. Drgnęła jej ręka w wahaniu. Napięły się w niej ścięgna. Nabrzmiały żyły. Stężała biała twarz. Przymknęła oczy. Wówczas ręka opadła wprost na pierś

trupa. Ucichło wszystko. Głowę zadarła, a wargi jej poruszyły się w bezgłośnych słowach. Poznał Nadolski, co czyni. I skamieniał w trwożnym wyczekiwaniu. Chwila była jedynie bezdźwięczna. A potem z wolna otwarły się karminowe usta Żydówki. Najpierw lekki jak oddech wyleciał z nich głos. Z każdą sekundą tężał. Rósł. Drżał. Aż wypełnił ów krzyk każdą szczelinę w świątyni. Każde ludzkie ucho i serce. Zadrżeli zgromadzeni z trwogi. Tyle w nim było bólu i niewymownego cierpienia. Mimowolnie każdy poczuł część tego, co czuć musiała Anna Wierzbowska, umierając. Rozchyliły się usta wiernych w osłupieniu, bezwiednie. Odruchowo ręce powędrowały znak krzyża uczynić. Zwilgotniały niejedne oczy. A krzyk wznosił się i opadał. Jak jęk z grobu wprost idący. Aż nagle, niczym cięciem topora skrócony, zgasł. Wzniesiona ku sklepieniu głowa kobiety bezwładnie opadła. Dłoń złożona na piersi trupa wolno w pięść się zacisnęła. Ksiądz trwożliwie padł na kolana, czyniąc znak krzyża. Ryta otworzyła oczy. Powoli wracała jej przytomność. Podniosła wzrok i przymglonymi jeszcze źrenicami wkoło spojrzała. Szukała kogoś. Na chwilę skrzyżowały się jej oczy z Nadolskim. Wątki uśmiech przebiegł przez bladą twarz. Niedostrzegalnie innym głową skinęła. A może tylko mu się zdawało? Potem dalej powędrowała wzrokiem. Ku ławom magnackim. Głucho odbił się w świątyni jej niski głos:

– Jest tu! Wśród was! Ten, co przyczyną śmierci!

Szept poszedł między ludźmi. Przyspieszyły rytm strwożone serca. Wyteńczyły się oczy i uszy. Napięły ciała. Wiedźma powoli uniosła ramię. Wyprostowała wskazujący palec. Ręka powędrowała nad głowami tłumu w kierunku ławy, gdzie siedzieli rodzic zmarłej, Stanisław Dereśniak i starosta doliński. Wszystkie oczy tam się skierowały. Palec wolno przesunął się i zastygł w bezruchu, jedną tylko postać wskazując. Zaszemrał tłum w trwodze. Przeraził się tym, na kogo wiedźma pokazać śmiała. Ta, utwierdzając jeszcze gest, krzyknęła donośnie:

– On to jest! On zło sprowadził!

Rósł szmer gniewny. Poruszyły się ciała zgromadzonych. Poczzerwieniał na twarzy Serafin Krasicki. Schwycił brzeg ławy dłońmi i ścisnął tak, iż zbieleły mu palce. A czarownica wciąż jego wskazywała, wbijając weń błyszczący

wzrok. Moment to był. Ale taki, gdzie nie znać było, co się wydarzy. Czy tłum zabobonny uwierzył Rycie, którą przecie znali w okolicy ludzie? Czy też szemrał o pohańbieniu pana zacnego przez przeklętą Żydówkę? Znał takie chwile starosta doliński. Niejedną w przeszłości widział podczas sejmików. Gdzie wystarczy tylko słowo, by tłumem pokierować. Na razie udało się to czarownicy. Lecz gdy umilkła, straciła władzę nad chwilą. Uniósł się gwałtownie i zawołał:

– Wiedźma! Urok rzuca! Zmarłą znieważa i duszę jej na potępienie skazuje! Profanacja!

Rosły głosy. Coraz więcej wołało:

– Czarownica! Żydówka!

Starosta podkręcił węża. Już prawie szalę przechylił. Głosem senatorskim, donośnym i głębokim oznajmił:

– Miejsce święte pokalała! Diabeł przez nią mówi!

Ruszyła się cizba chrześcijan. Szlachta do boków sięgnęła. Wkoło już krzyczano:

– Hańba! Brać ją! Na stos!

Tylko trumna stojąca przed ołtarzem powstrzymywała jeszcze zapalczywość. Próżno Nadolski chciał się ku Rycie przebić. Ścisnął go tłum stłoczony. Zasłonił kobietę w czerni. Nie widział, co dzieje się z przodu. A tam wypadł z ławy Serafin Krasicki. Żywo rękami machając, sługom swoim rozkazy wydawał. Ci, świece cisnąwszy, rzucili się ku stojącej bez ruchu czarownicy. W mig ją dopadli. Tego tylko trzeba było gawiedzi. Runęła w przód, krzycząc i złorzecząc. Przebijały się coraz mocniejsze:

– W ogień! Na stos!

– Diabelski pomiot!

– Przeklętnica!

– Żydówka!

– Śmierć!

Tumult nastąpił. Schwyciwszy czarownicę, tłum zaczął ją wywlekać ze świątyni. Nie szczędzili wierni chrześcijanie razów. Ludzie zbici u wejścia

deptali się wzajem, byle prędzej na rynek się dostać. A między nimi ciągnięto już skrwawioną Rytę. Dziesiątki rąk szarpały jej ubranie. Każdy chciał choć jeden cios zadać przeklętej. Żegota szarpnął się ku drzwiom. Niósł go tłum, a on gwałtownie próbował się przebić w przód. Lecz ciżba wkoło, jak oblepiające błoto, uniemożliwiała cokolwiek. Krzyknął więc głośno:

– Zostawicie ją! Ona wie!

Nikt go nie posłuchał, a jego słowa zgasły wśród setek okrzyków wzywających do natychmiastowej kary. Zaniósł Nadolskiego motłoch przez wejście. Wypchnął na rynek, gdzie wreszcie mógł tchu zaczerpnąć. Przestrzeń sprawiła, iż wkoło stało się luźniej. Odepchnął najbliższych, nie bacząc nawet kto zacz. Szedł gwałtownie tam, gdzie najgłośniejsze i najbardziej groźne padały słowa. Gdzie pięści wzniesione co raz opadały.

– Puśćcie ją! Na Boga! Ona wie!

Żegota z krzykiem parł do przodu. Już dostrzegł pomiędzy ludźmi skrwawioną kobietę. Już widział jej poszarpane odzienie i wystające spod niego białe ciało. Nagość jeszcze bardziej rozjuszyła motłoch. Podnieciła mężczyzn i zasiała nienawiść w zazdrosnych kobietach.

– Śmierć! Śmierć! Spalić kurwę! – niosło się przez plac.

Szlachcic już prawie dopadł tych, co trzymali Rytę. Wstąpiła w niego niezwykła siła. Szarpał wokoło drapieźnie, nie zwracając uwagi, że i na niego poczęły spadać pierwsze ciosy.

– Zostawicie! Ludzie! – krzyczał.

Może i udałoby mu się dotrzeć, gdzie chciał. Kto wie, co wtenczas by się stało? Lecz nagle, nad głowami tłumy uniósł się mocny głos starosty dolińskiego, który właśnie przecisnął się przez kościelne wrota:

– Na stos! Do piekła z kurwą!

Zawyły rozjuszone gardziele. Podchwyciły okrzyk. Szarpnęli oprawcy nieszczęsną kobietę w dół, przez skarpe, tam gdzie błonia nad Sanem. Zakrzyknął Nadolski, rozpaczliwie bijąc rękami ludzką ścianę przed sobą. Ostatnie, co zobaczył mgnieniem oka, to padająca na jego głowę drewniana kłoda. Nie widział, kto ją dzierżył ani skąd się wzięła. Nie zdążył nawet rąk

unieść dla obrony. A potem zapadła ciemność.



## ROZDZIAŁ IX

### PONIATOWSKI

Kiedy Nadolski się ocknął, poczuł najpierw ogromny ból w głowie. Minęła chwila, nim rozejrzał się wkoło. Ze zdziwieniem dostrzegł znaną izbę w dworku w Wygnance. Powoli przypominał sobie ostatnie zdarzenia. Kościół, Rytę i to, co stało się na sanockim rynku. Poruszył się i syknął z bólu. Wówczas doszedł go głos:

– Powoli, mości Nadolski. Solidnie waść w głowę dostałeś.

Był to Sulatycki. Siedział w kącie. Żegota ze zdziwieniem odwrócił się ku niemu.

– Skąd się tu znalazłem?

– Jakaś waszmość padł, tośmy ze służą waszym, Semkiem, wyciągnęli was z tłumu. Nie powiem, martwy się najsamprzód zdałeś, a krwi było, jakby kto wieprzka ubił. Ale dychałeś jeszcze, tośmy cię prędko do kwatery pana Dereśniaka zabrali. Tam pierwiej byłeś. A potem pojechaliśmy do Wygnanki. Pan Stanisław na prośbę moją zezwolił, bym się o waszmości zatroszczył, a i panna Agnieszka prosiła.

Ranny stęknął i opadł na łożo. Wpatrując się w sufit, zapytał:

– A wiedźma?

Sulatycki, westchnąwszy, odpowiedział:

– Nad San ją powlekli i spalili. Tyle że pewnie już martwa była, jak ją w ogień rzucili, bo okrutnie ją łyki pobiły.

Żegota przełknął ślinę i w sercu poczuł ukłucie mimowolnego żalu. Sulatycki zaś ciągnął:

– Nie udał się pochówek! Co tu dużo gadać. Starosta doliński gniewem się uniósł i odjechać od razu kazał. Tyle, co upewnił się, że wiedźma spalona, bo przecie mu hańbę okrutną uczyniła. Prosił pan Dereśniak, ale na nic się to zdało. A i pan Mniszech zły był. Bo to pod jego nosem. Oj, narobiła owa

Ryta zamieszania! Tedy słusznie, jak mówią, karę poniosła. Tylko mi siostry panny szkoda i jej ojca, którzy patrzeć musieli na te zdarzenia. Jak ową czarownicę spalili, to prędko trumnę do krypty księża dali. Nie takiego pogrzebu można było się spodziewać. Nie takiego...

– A pan Kruszewski?

– Jak inni z kościoła wylegli, tak on w środku został. Pożegnać się chciał z nieboszczką godnie. A nie tak... A potem, na drugi dzień, pojechał pod Przemyśl. Paru pacholków ze sobą wziął.

– Ze mną miał – mruknął Nadolski.

– Nijak mu czekać było. Kiedy zobaczył, żeś waszmość solidnie poturbowany, to rzekł, że jak do zdrowia przyjdiesz, to go znajdziesz. Bo prędko chce owego Bardę ułapić... – Stary przerwał zmieszany. Sapnął ciężko. – Dziwne było, co wiedźma gadała... – Pokręcił głową. – Dziwne. Rozum jej się pewnie pomieszał!

Żegota nie odpowiedział. Spróbował podeprzeć się na łokciu, a potem zsunął z posłania nogi i oparł na podłodze. W głowie mu się zakręciło. W gardle poczuł bliskie wymioty. Zamarł z opuszczoną brodą, czując, iż każdy dalszy ruch może mieć swoje konsekwencje. Sulatycki podszedł do niego.

– Pomóc co? Pachółka wezwać?

Nadolski na to ostatnie powoli skinął głową. Stary wyszedł więc z izby, szukać jakiegoś sługi. Ranny objął dłońmi obandażowaną głowę. Przed oczami przemknęły mu ostatnie chwile na sanockim rynku. Krzyki, a potem uderzenie drewnianym kołkiem. Myślami cofnął się dalej. Oto znów widział wiedźmę stojącą przy trumnie i wskazującą Serafina Krasickiego jako winnego zbrodni. Pamiętał, co mówiła mu kiedyś Ryta. Że starczy jej trupa dotknąć, by poznać, jak śmierć przyszła. Szlachcic drgnął mimowolnie. W duchu zapytał się, jak to możliwe, by pan wielki, pochodzeniem i majątkiem jeden z najpierwszych w województwie, mógł być winien. Nie mieściło się to w głowie. Kłamała widać czarownica albo czart ją opętał, lecz ziarno niepewności zasiane zostało w sercu właściciela Wygnanki. Choćby przeczył, to wszystko układało się w jakąś całość. List nagły, który pannę do

Krasiczyna przywiódł. Sługa powiadamiający zbójników. Barda płacący za dziewczkę pod Iskaniem. Łączyła zdarzenia osoba starosty dolińskiego. Ryta nie mogła wiedzieć, co rzekł Bernat. Rozmyślania przerwało nagłe wejście pocztowego. Za nim wkroczył ciężko Sulatycki. Chłop skłonił głowę.

– Niech będzie pochwalony!

– Na wieki wieków! – rzucił Nadolski. – Wołaj mi tu Bejdę!

– W lesie jest. Drewno biorą.

– Kiedy wraca?

Semko wzruszył ramionami.

– Z wieczora pewno.

Żegota mruknął coś pod nosem. Podniósł oczy i nakazał:

– Pomóż mi się odziać.

Sługa podszedł i ujął rannego pod rękę. Ten z wysiłkiem począł wstawać. W głowie mu się kręciło. Zacisnął usta, mocniej wsparł się na pacholku. W końcu stanął jakoś, choć chwiał się. Chwilę trwało, nim narzucił na siebie ubranie i wdział buty. Ruch otrzeźwił go nieco. Wspierany przez Semka podszedł do drzwi. Silne słońce oślepiło go zrazu, aż musiał przysłonić oczy. Przed domostwem rozejrzał się, a zobaczywszy leżącą nieopodal grubą kłodę, skierował się do niej. Zmęczony wysiłkiem usiadł. Przy nim spoczął i Sulatycki, a sługa stanął o kilka kroków, czekając dalszych poleceń.

Wkoło zmieniło się wiele. Obejście było uprzątnięte. Stare belki i deski w jedno miejsce złożone. Stosy zwiezonego drewna leżały w nierównych kupach. Dachy zabudowań częściowo poprawione. A i obeschła ziemia nadawała wrażenie porządku. Kilku chłopów kręciło się przy stodole, szykując nowe wrota. Gorzka myśl przemknęła przez umysł Żegoty, że to właśnie tam przybito jego żonę. By odepchnąć ją, spojrzął na sługę i zapytał:

– Widziałeś, jak... jak wiedźmę spalili?

Chłopak skinął głową.

– I co...? – Szlachcic nie dokończył pytania.

Pocztowy wzruszył ramionami.

– Co ma być? Anim ręki przyłożył, anim przeszkadzał.

– Aha – mruknął Żegota. – A nie pomagała wam ona, jak tu była? Nie leczyła?

Twarz Semka się skrzywiła.

– Pomagała. Ale po co do kościoła laźła? Przecie wiadomo było, że tylko z tego nieszczęście być może. Od niedzieli ludzie tylko o zabitej panie mówili. Wzajem się napuszczali. Tylko było patrzeć, aż co będzie. No i się stało. Sama śmierci szukała, to i znalazła.

– Może i masz rację... – odparł Żegota.

Pomyślał, że prawdę mówiła Ryta, iż jedno z nich zginie, kiedy znów się zobaczą. A mało brakło, by obydwójce zeszli z tego świata. Mimowolnie ponownie dotknął bandaża na głowie. Zerknął na Sulatyckiego. Dobrą chwilę ważył pytanie, nim rzekł:

– A waszmość... co myślisz o tym, co się stało?

Stary poruszył się nerwowo.

– Nie mnie myśleć. Mówił chwilę pan Dereśniak ze starostą dolińskim, jak ten przed pogrzebem zajechał. Barda niewinny. Posłował w czas, kiedy pannę porwano. Tak rzekł pan Krasicki. Nawet wtenczas już zły był, że kto śmie w ogóle pytać o jego sługę. Ale dał się przeprosić, kiedy mu pan Stanisław wyrzekł, co ów zbój, Bernat, mówił. A potem ta sprawa z wiedźmą! Widać czarę przelała, bo ani myślał pan starosta w Sanoku zostać. Narobiła czarownica... Oj, narobiła! Taki wstyd dla krewniaków zabitej!

– Tedy sądzisz, że nieprawdę rzekła? – upewnił się Nadolski.

– Prawdę, nieprawdę! – burknął stary. – Nie na moją to głowę!

– A ty? – Spojrzał na Semka. – Też słyszałeś. Co myślisz?

Pachołek podrapał się po czuprynie. Zaskoczyło go pytanie, bo pan nie zwykł jego zdania słuchać. Wolał więc zastanowić się dwa razy, niż co głupiego odrzec.

– Wiedźma swoje znała. Jakby co na rzeczy nie było, toby nic przecie nie gadała – wydusił w końcu.

– Głupiś! – warknął Sulatycki. – Niejeden wrogiem panu Krasickiemu! Wystarczyłoby, żeby babie kto złota dał i nakazał, co ma robić! Przecie teraz cała okolica, ba, całe województwo pewnie, o tym tylko prawi! Wstydzacnemu człowiekowi!

– Może i tak. – Nadolski spojrział przed siebie. – A może i nie. Za złoto Ryta na śmierć by poszła? Przecie niegłupia była! Długo z nią gadałem, jakem był poraniony. Ani na talary łasa, ani wroga panu Krasickiemu z jakiej przyczyny.

Stary szlachcic wstał i machnął ręką.

– Gadanie takie! Przecie to on pannę sprowadzić kazał! Znasz waszmość sprawę! I co?! Z jakiej to przyczyny miałyby za mordem stać?! Jeszczem był gotów w owego Bardę uwierzyć! Bo to przecie Wołoch, a tacy wiadomo, raz usłuży, a drugi raz zdradzi! Ale nijak nie wierzę, by pan Serafin Krasicki miał ze sprawą cokolwiek wspólnego!

Odwrócił się na pięcie i mruknąwszy zrezygnowane:

– Aaaa tam... – odszedł w kierunku resztki dworu.

Nadolski został sam ze sługą. Westchnął i spojrział znów po obejściu. Domostwo było uprzątnięte. Dach połatany. Tam gdzie była część zwalona, została jedynie płaska przestrzeń z wypaloną gdzieniegdzie podłogą. Patrząc na nią, cicho zapytał Semka:

– Złoto nieruszone?

Ten skinął głową.

– Sprawdzałeś?

– Sprawdzałem.

– To i dobrze – odpowiedział uspokojony Żegota.

Ciepło wiosenne go orzeźwiło. Choć z trudem, wstał sam. Podskoczył do niego pocztowy, by ramię podtrzymać, lecz go odsunął. Zaczerpnął powietrza. Potem odwrócił się w kierunku, gdzie na górcie były groby jego najbliższych. W myślach odmówił modlitwę. Był w domu. Wolnym od bezpośredniej napaści. Powstającym z martwych. Odradzającym się, jak i on sam. Ból w głowie przypominał mu jednak o Kruszewskim. Skrzywił się na

myśl, że przyjdzie mu pewnie słowa dotrzymać. Znow będzie musiał na konia wsiąść i pod Przemyśl jechać. Zezłościł się na swoją niewczesną obietnicę. Wtenczas pomyślał o Agnieszce Wierzbowskiej. I pojął, że nie Kruszewskiemu dał słowo, ale pannie. Zawstydził się swojej złości. Tym bardziej że pamiętał o słowach Stillera, iż mogli ci sami jego rodzinę ubić, co Anusię Wierzbowską porwali. A swojej pomsty przysiągł nigdy nie poniechać.

Pod wieczór wrócił Bejda z chłopami. Tatar nic poznać nie dał po sobie, jakby mu obojętne było, czy pan leży jeszcze bez przytomności, czy już ozdrowiał. Krótkim wzruszeniem ramion zbył pytania Nadolskiego o Trofana Skórę. Żegota wiedział, że choćby pasy darł, to nic z niego nie wyciągnie, jeśli sam mówić nie zechce. Tylko od starego Fiodora się dowiedział, iż rzeczywiście pohaniec na dwa dni zniknął pod nieobecność dziedzica, jakoby na łowy się udał. Faktycznie z jelonkiem wrócił. Po tym zaś przyszła wieść, że znaleziono ubitego dzierzawcę. Przez las jechał, ledwie dwóch pachółków miał przy sobie. Świsnęła strzała i tyle. Nawet krzyknąć nie mógł, bo gardło na wskroś przeszła i własną krwią się udławił. A słudzy umknęły ze strachu.

Żegota znał Bejdę. Jak w swoim łbie co ułożył, to nie dało się tego i batem wybić. Pewnie wykoncypował, że gdy Trofana nie stanie, to problem z Wygnanką się skończy. A i on sam, jako że Skórę chłostał, mógł jakąś obawę mieć w sercu. A tak? Jedna strzała i koniec. Nie znał praw ani stosunków tutejszych. Widać takim sposobem u niego, na Krymie, sprawy podobne się rozwiązywało. Zamyślił się Nadolski i przyznał w duchu, iż niegłupi to sposób.

Dopiero pięć dni później szlachcic poczuł się na tyle dobrze, iż mógł ruszyć, by dołączyć do Kruszewskiego. Pojechali z nim Sulatycki, który do Rokietnicy zmierzał, Semko i Bejda. Chłopów nadzorować miał pod nieobecność pana stary Fiodor.

Długo w drodze byli, bo też już od Birczy wypytywali się po karczmach i dworach o Kruszewskiego. Z rzadka ktoś tylko wspominał, że jechał, ale prędko, nie zagrzewając miejsca. Tak też dotarli do wsi Olszany, gdzie dowiedzieli się, iż młody szlachcic po okolicy się włóczy, od wsi do wsi

jeżdżąc. Napotkanym wprost opowiada, iż pannę Annę Wierzbowską zabił sługa pana starosty Krasickiego, co się zowie Barda. Głośno o tym się stało. Nadolski pomyślał, iż Kruszewski widać chce sprowokować Wołocha, by z ukrycia go wywabić. Tedy im głośniejsze zarzuty przeciw niemu padają, tym prędzej Barda będzie musiał się stawić. Ryzykownie sobie pan Andrzej poczynał. Bo jeśli rzeczywiście Wołoch pannę ubił, to pewnie i nie zawahałby się zbrodni przeciw Kruszewskiemu popełnić. Tym bardziej iż, jak powiadali ci, co młodego widzieli, ledwie z nim trzech pachółków było. Żaden szlachcic do towarzystwa nie dołączył, coby się panu staroście dolińskiemu nie narazić. Bo zysk zapowiadał się z awantury żaden, a kłopotów wiele.

Różnie po wsiach komentowano rewelacje czarnowłosego. Jedni prawili, że Wołoch obcy, to i możliwe, że zbrodni dokonał. Przecie cudzoziemce tylko zarazę i nieszczęście do Rzeczypospolitej przynoszą. Inni zaś mówili, iż widać się coś panu Kruszewskiemu w głowie popsowało, gdyż sługa Serafina Krasickiego nie winien, co też sam pan starosta potwierdził. To jednak, czego chciał Kruszewski, stało się. Szum wedle Przemyśla i Krasieczyna się zrobił i nawet wśród włościan o niczym innym nie prawiono, tylko o tej sprawie. Przy okazji Nadolski więcej posłyszał o znikających dzieciach i dorosłych. Dawniej działo się to i w tej okolicy, lecz teraz, jak mówiono, bardziej na południu, wedle Arłamowa aż do Ustrzyk. Ale w tych stronach nie było to nowe, bo i dawniej ludzie ginęli. A to w lesie od zwierza, a to przez bandy beskidników ubici, a to porwani na handel z Turkami. Niebezpieczna była to ziemia, czas ryzykowny, więc i zdarzały się różne wypadki.

W karczmie usłyszeli, iż Kruszewski, wyjeżdżając trzy dni wcześniej, jasno wyraził, iż do Dybawki się udaje. Nie krył się, chcąc najpewniej sprawę Bardzie ułatwić, gdyby ten w końcu znaleźć go postanowił. Przenocowali więc w Olszanach, a rankiem poszli traktem przez Rokszycy, żeby jednak Krasieczyn ominąć. Nie chciał się tam bowiem Sulatycki pokazywać, wiedząc, iż znany jest z komitywy z panem Andrzejem. Prędko też do wsi dojechali.

O wiele bogaciej wyglądała niż te, co wedle Sanoka stały. Położona pomiędzy Krasieczynem i Przemyśłem korzystała z ich bliskości. Chłopi mieli

gdzie sprzedawać swoje produkty i do prac się najmować. A i karczma solidnie i nowo wyglądała. Drewniana, kryta trzcina, nawet okna ze szkłem miała. Tam skierowali swe konie podrózni. Kiedy pacholcy zajęli się końmi, Nadolski z Sulatyckim weszli niskimi drzwiami do środka. Było przed południem, toteż nie spodziewali się, by w gospodzie tłoczno było. Faktycznie, zrazu pusto się zdało. Jedyne karczmarz kręcił się po izbie, a jakaś kobieta wyjrzała z komórki, coby zobaczyć, kto idzie. Dopiero po chwili Żegota dostrzegł w kącie dwóch gości. Poznał ich natychmiast. I ci go ujrzeli. Stiller uśmiechnął się nawet i skinął zachęcająco ręką. Niepiesznie podeszli Sulatycki z Nadolskim do cudzoziemców. Ci powstali, uścisnęli dłonie przybyłych na powitanie i po kilku uprzejmościach zaprosili do stołu. Suto zastawionego, więc widać nie żalowali sobie sładzy biskupa Próchnickiego pieniędzy z jego kiesy. Szkot natychmiast powrócił do pałaszowania gorącej jajecznicy. Saksończyk zaś z półuśmiechem i zmrużonymi oczami zerkał na Żegotę. Ten w końcu zapytał:

– I cóż tak się dziwujesz, panie Stiller?

– Że waszmości w tych stronach widzę. Myślałem, iż do domu wrócisz.

Murray znad jajecznicy rzucił:

– Jak pogrzeb?

Wykrzywił się przy tym znacząco. Poznał szlachcica, iż wiedzą już o zdarzeniach z Sanoka. Co i dziwne nie było, bo przecież już czasu trochę minęło. Nic nie odpowiedział na tę złośliwość. Spojrzał ponownie na wysokiego.

– Szukamy przyjaciela. Andrzeja Kruszewskiego, który trzy dni temu zapowiedział, iż się do Dybawki udaje.

Drewniana łyżka z jajecznicą zatrzymała się w pół drogi od talerza do ust. Szkot spojrzał na Stillera. Ten pochylił się i podrapał w czoło. Na jego wargach wciąż błąkał się uśmiech. Zniecierpliwiony Żegota burknął:

– I co? Może coś panowie o nim słyszeli?

Murray powrócił do swojej jajecznicy obojętny na pytanie. Stiller zaś dopiero po chwili odrzekł:



– Toście się waszmościowie spóźnili. Bo ten, co go szukacie, na tamtym świecie już gości, a nie w Dybawce.

– Co!? – zakrzyknęli prawie jednocześnie Sulatycki z Nadolskim.

Saksończyk pokiwał głową.

– Tak jest, mości panowie. Wczoraj to się stało.

– Mów waść! Nie wystawiaj naszej cierpliwości na próbę! – ponaglił siwowłosa szlachcic, a rękami mocno w stół uderzył. – Jakże to?! Gdzie on?!

– Spokojnie, mości Nadolski. Wszystko opowiem. Krzyczeć nie ma co, bo życia to owemu młodzikowi nie wróci – wycedził oficer. – Sam śmierci szukał, to i znalazł. Jak kto głupio czyni, to i głupi ma koniec.

Żegota aż poderwał się na te słowa. Sulatycki czerwony na twarzy dłonie w pięści zacisnął.

– Jak... Jak śmiesz! To był nam przyjaciel!

Oficer westchnął przez nos.

– Tedy współczuję waszmościom – odrzekł sztucznie smutnym głosem. I nie wiadomo było, czy współczucie tyczy śmierci Kruszewskiego, czy też tego, iż jakoweś głupstwa czynił, a szlachcic zwał go przyjacielem.

Pojął Żegota, iż nerwami niewiele wskóra. Usiadł na powrót, dłoń położył panu Wawrzyńcowi na ramieniu. Spokojnym już głosem poprosił ponownie:

– Mów waść.

Chudy oficer zwilżył usta piwem, otarł rękawem wyliniałe wąsy i zaczął:

– Jeździł od paru dni pan Kruszewski po okolicy i się Wołochowi Bardzie odgrażał. To i go ów Barda znalazł. Ot, cała historia.

– Gdzie? Kiedy?

– Wczoraj. Niedaleko stąd. W Tarnawce.

– Jak się to stało? – niecierpliwił się Żegota.

Stiller znów zmrużył oczy.

– Nie myśl waść, że do jakiego gwałtu doszło, bo zdaje mi się, iż tak przypuszczasz. Nie tak było. Po prostu zajechał Wołoch z ludźmi i wyzwiał Kruszewskiego na pojedynek honorowy. Za to, że imię jego plotką potwarczą

w okolicy kawa, mimo słów pana starosty dolińskiego, że Barda niewinny. Widać czekał na to pan Andrzej, skoro ochoczo się stanąć zgodził.

– I co? – Sulatycki szeroko rozwartymi oczami wpatrywał się w sługę biskupa Próchnickiego.

Ten skierował spojrzenie na starego szlachcica. Obojętnym tonem dokończył:

– I tyle, że Barda położył pana Kruszewskiego. W głowę go ciął, aż rozum mu na wierzch wylazł. Trup na miejscu.

Żegota się przeżegnał. Pan Wawrzyniec przygryzł sumiaste wąsiska, a oczy mu się zaszklily. Po chwili Nadolski głucho zapytał:

– Widziałeś to waść?

Oficer wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Nie.

– To skąd wiesz?

– Od tych, co widzieli. Wczoraj wieczorem głośno o tym tu wszyscy gadali. W karczmie niczego innego słyhać nie było. Taka okolica, że jak kto w jednej wsi kichnie, to w drugiej mu na zdrowie w mig mówią.

– Gdzie... gdzie pan Andrzej? – wysapał Sulatycki.

– Do Rokietnicy go zabrali. Mówili, że na służbie u pana Dereśniaka był, to i niech on się wszystkim zajmie – odparł rzeczowo Saksończyk.

– Jezus Maria... – westchnął stary. Opuścił głowę i oczy dłonią przysłonił.

– A Barda? – zapytał Żegota.

– Wyjechał. Może do Krasieczyna? A może i gdzie indziej. Kto wie? Na jego miejscu zniknąłbym na chwilę, bo przecież herbowego ubił... – przerwał, wyszczerzając zęby, co niemiłe wrażenie sprawiło – ...a pan Krasicki dopiero mu się o indygenat<sup>[46]</sup> stara u króla jegomości.

– Oby go śmierć nagła dościgła! – zaklął siwowłosy szlachcic.

Zapadła cisza. Sulatycki oddychał ciężko. Nadolski tarł nerwowo głowę, mierzwiąc długie włosy. Szkot niespiesznie kończył jeść jajecznicę. Tylko Stiller bez ruchu wpatrywał się w gości. W końcu Sulatycki wstał ciężko.

– Trzeba nam do Rokietnicy.

Żegota również się podniósł i skinął głową. Rzucił zdawkowe pożegnanie. Już do drzwi podchodzili, kiedy zza pleców usłyszał:

– Mości Nadolski!

Odwrócił się. Widział wahanie w oczach Stillera. Oficer wycedził w końcu z oporem:

– Mości Nadolski, może z nami zostaniesz?

Szlachcic spojrział pytająco i rozłożył ręce. Sulatycki odwrócił się w drzwiach niepewny, co dalej. Saksończyk zaś dodał:

– Nie pożałujesz!

Z ociąganiem siwowłosa podszedł na powrót do cudzoziemców:

– Po co? – zapytał krótko.

– Zobaczysz. Niech pan Sulatycki, jeśli chce, jedzie do Rokietnicy. Umarłemu i tak już waćpan nie pomożesz. A tu... – Nie dokończył.

Zawahał się Żegota. Zerknął na swojego towarzysza. W głowie ważył, co też ma uczynić. Rzeczywiście, w majątności Dereśniaka trupa tylko znajdzie, jeśli prawdę mówił Stiller. Na nic tam jego obecność. Oparł się o stół i zajrzał w twarz oficera.

– O co idzie? – zapytał.

– Zobaczysz waszmość. – Stiller uśmiechnął się nieznacznie.

Szlachcic skinął głową.

– Dobrze – mruknął. Odwrócił się i rzucił Sulatyckiemu: – Weź waszmość Bejdę i Semka i jedźcie. Ja tu jeszcze chwilę zostanę. Potem dołączę.

Stary szlachcic z ociąganiem rzucił słowo pożegnania. Schylając się w drzwiach, wyszedł. Żegota zaś na powrót usiadł przy stole.

– Mów więc waćpan.

– Żaden ze mnie waćpan. – Stiller się skrzywił. – Jeszcze pewnie długo na nobilitację poczekam. Niespieszno jego eminencji.

Szlachcic odpowiedział mu tylko wzruszeniem ramion. Oficer pogładził się po czernionej bródce.

– Źle zaczął pan Kruszewski. Od razu chciał sprawę załatwić. I skończyło się, jak skończyło.

– To jak niby miał zrobić? – burknął szlachcic.

Stiller łypnął chytrze.

– Dowiedzieć się więcej, nim prowokować zaczął. Teraz, na przykład, jedno już wiemy.

– Cóż takiego? – rzucił ironicznie Nadolski.

– A to, że ów Barda w szabli mocny – odparował chudzielec, a Murray uśmiechnął się złośliwie i pokiwał głową.

Żegota przygryzł usta i słuchał. Sługa biskupa zaś ciągnął:

– Kto jest ów Barda? Że z Wołoszczyzny pochodzi, wiadomo. Że na służbie u pana Krasickiego, także. A co więcej? Nic. Tyle że do sprawy pana Poniatowskiego najęty u starosty dolińskiego został. – Mrużąc oczy, spojrział na Żegotę. – Sprawę Poniatowskiego znasz waszmość?

Siwowłosa szlachcic skinął głową.

– To i tłumaczyć nie będę. Nie rzekłeś mi też waszmość w Sanoku, że panna miała za pana Poniatowskiego za męża iść... – machnął ręką – ...ale już wiemy.

– Jak to się ma do jej zabójstwa? – Żegota sięgnął po dzban i nalał sobie wina.

– Ma albo i nie ma... – rzucił Szkot filozoficznie znad leżącej mu na talerzu kiełbasy. – Różne rzeczy mogły się potoczyć.

– Nie ma co bając i gdybać. – Stiller położył ręce na stole. – To ważne, co można sprawdzić albo od jakich świadków się dowiedzieć. A potem do kupy ułożyć.

– Prawda – przyznał szlachcic.

– Tedy szukaliśmy takiego, co mógłby co więcej o owym Bardzie powiedzieć.

– I? – zaciekawiał się Żegota.

– I znaleźliśmy – mruknął Murray lakonicznie.

– Tak – uzupełnił wysoki oficer. – Jednego, co jechał z Wołochem na Krym z wykupem za Poniatowskiego. Kiedy ładnie go poprosiłem, zgodził się rzec nam co nieco.

– Cóż takiego? – Nadolski aż pochylił się nad stołem.

Stiller wzruszył ramionami.

– Tego się dopiero dowiemy. Czekamy tu na niego. Z wieczora ma przyjechać.

– A po co ja wam do tego?

Wysoki mężczyzna pogładził się po długim nosie.

– Lepiej, żebyśmy razem działali. Kruszewski szumu dużo narobił. Teraz ludzie mniej gadatliwi będą. – Spojrzał uważnie na Żegotę. – I waszmość mógłbyś... hmm... zbyt nerwowo sobie poczynać. A tu najpierw trzeba więcej się dowiedzieć. Uwierz mi, mości Nadolski. Przy nas prędzej prawdy dojdiesz.

Siedzący obok Murray dorzucił:

– A powiadają też, żeś waszmość w szabli mocny. Podobno Kruszewskiego położyłeś. Więc i w naszej kompanii rażniej będzie.

Zastanowił się szlachcic. Pomyślał, że dobrze byłoby usłyszeć coś o Wołochu. Skinął więc zgodnie głową i zapytał:

– A któż ów, co z Bardą na Krym jeździł?

– Mnich. Franciszkanin z Przemyśla. Opój i zbereźnik, ale ze łbem do pohańskiej mowy. Dlatego go ze sobą wzięli. Mówią, że dzieckiem będąc, u Turków się chował.

– To czemuście go od razu w Przemyślu nie wypyтали?

– A kto waści powiedział, że on w Przemyślu siedzi? – Stiller się uśmiechnął. – Rzekłem tylko, że franciszkanin stamtąd. Ale głowę ma na karku i w klasztorze rzadko bywa. Woli po karczmach się obijać, po dworach wałęsać. A że zawsze datki jakie zwozi, to mu przeor nie wzbrania. Pewnie nawet kontent, żeby go nie było, boby i braciszków do złego przywiódł.

– Powiadają nawet, że i tureckiego miłowania próbował<sup>[47]</sup> – mruknął Murray z pełnymi ustami.

– Aaaa... – Chudzielec z niesmakiem pokręcił głową. – Takie gadanie.

Szkot zaśmiał się pod nosem. Gestem przywołał karczmarza i pytająco spojrzął na Żegotę.

– Co życzysz waćpan? Bo czasu mamy pod dostatkiem.

Nadolski zamówił jadło, nakazał też przynieść dodatkowy napitek, by oficerowie nie myśleli, że na ich koszt biesiadować zamierza. Kiedy wszystko zjawilo się na stole, zapytał:

– A jakże to, że go znaleźliście?

– Trudno było – przyznał Stiller. – Ale pomógł biskup Próchnicki, który dowiedział się o nim od jednego takiego, co z tureckiej niewoli uszedł. Stołczyn mu na nazwisko. Trzy lata jak razem z Markiem Jakimowskim<sup>[48]</sup> Turkom galerę skradli. Głośna to historia. Możeś waszmość słyszał?

Szlachcic pokręcił głową.

– Nieważne. Tenże Stołczyn pamiętał, jak na Krym przyjechali ludzie z okupem za Poniatowskiego, a wśród nich i ów braciszek, co za tłumacza był. Wiadomość do swoich chciał za jego pośrednictwem dać, ale braciszek słowa nie dotrzymał. Ponoć nawet się przeorowi nie opowiedział, że do bisurmanów jedzie, takie korzyści mu pan starosta przyobiecał. Myśleli mnisi z Przemyśla, iż go kto ubił, jak po okolicy kwestował. A tu po czasie wrócił. Opowiedział, że na Litwie datki zbierał. Taki z niego filut.

– I gadać chce?

– Chce, nie chce... – Stiller pociągnął wina i skrzywił się w złym uśmiešku. – Musi! Raz, że nagrodę dostanie, a dwa, jak nie powie, to przeor się dowie o jego sprawkach różnych, w tym i o owej na Krym eskapadzie. Najmniej cela klasztorna o chlebie i wodzie. Albo i ekskomunika. A mniszek przyzwyczajony do łatwego życia. Jak się wieczorem nie stawi, to prosto do Przemyśla nam droga, do Świętego Piotra<sup>[49]</sup>. I jego eminencja biskup Próchnicki swoje słowo wtenczas dorzuci. Z kwestarza w żebraka się braciszek zmieni.

– Przecie to zakon żebraczy. Wedle reguły żyć zacznie. – Murray zachichotał.

Nie uśmiechnął się Żegota na tę konstatację. Myśli jego wciąż krążyły przy Kruszewskim. Szkoda mu było młodego szlachcica. Żył z fantazją, głośnego nazwiska, wiele jeszcze przed nim być mogło. Zakochał się w pannie nieszczęśliwie, ale gdyby żyła, to za mąż by poszła, a on prędzej niż się spodziewał, by zapomniał. Jeszcze nieraz by sobie jaką upodobał.

Nadolski nagle pomyślał o Zośce. I zrozumiał, że nie takie to łatwe, jak się kto sercem zwiąże. Nietrudno o kimsz sądzić, że prościej by mu było. Błędnie każdy mniema o wyjątkowości swojego żywota. Pociągnął wina, chcąc przegnać złe myśli, które przypominać mu się zaczęły. Mniemał widać Stiller, że o nieboszczyku duma, gdyż powiedział:

– I mnie szkoda owego szlachcica, mości Nadolski. Czasem pod słowem grubszym trzeba ukryć, co w sercu. Bo stało się. Taki widać był boski wyrok.

Żegota smętnie przytaknął. Chwila dobra minęła w milczeniu, nim usłyszał od Murraya:

– A jak to z ową wiedźmą było, co na pana starostę dolińskiego pokazała? Bo niby wiemy, ale ludzie różnie gadają. Chłopi nawet, że się w powietrzu unosiła.

Saksoński oficer także spojrział zaciekawiony.

– Byłeś waść wtenczas w kościele?

– Byłem – mruknął szlachcic.

– I cóż?

– Zwłok dotknęła, a potem na Serafina Krasickiego wskazała, że niby on śmierci winien.

– Trupa dotknęła? – zdziwił się Stiller. – Znaczy, nekromancję<sup>[50]</sup> jakąś czyniła?

– Mówiła mi, że kiedy kogoś dotknie, to widzi różne rzeczy – skończył Żegota niechętnie i przytknął kielich do ust.

– Może tak być – mruknął Szkot, a Nadolski obrócił na niego zdziwione spojrzenie. Spodziewał się raczej jakiegoś złośliwego komentarza niż zgody.

– Tedy i tym gorzej pan Kruszewski robił, głosząc wokoło, że sługa starościński za zbrodnią stoi. Po prawdzie nie miał ów Barda wyjścia. I tak

dziwne, że otwarcie wystąpił, zamiast skrytobójstwo zlecić.

– *Iudicum Dei*<sup>[51]</sup> – stwierdził krótko Murray.

– Tak... – Saksończyk przeciągnął się. – Może i o to szło. Dużo ludzi w to wierzy. Skoro stanął naprzeciw oskarżyciela i w uczciwej walce go pokonał, tedy Bóg wziął jego stronę. Zabobon odwieczny.

Nadolski przygładził mokre od wina wąsy.

– A więcej coś wiecie o owym pojedynku? Długo pan Andrzej sprostał?

Murray pokręcił głową. Żegota zrozumiał, iż Barda w samej rzeczy mocny być musi w szabli. Bo choć on sam pokonał Kruszewskiego, to wiedział, że ten dobrze sobie z bronią radził. Zerknął na leżący na stole ogromny rapier Stillera.

– A pan, mości oficerze, dałbyś mu radę?

Saksończyk odpowiedział mu ironicznym sapnięciem.

– Znasz, panie Żegota, że jeden tylko jest sposób, by sprawdzić. Od gadania jeszcze nikt potyczki nie wygrał. A mnie na razie niespieszno spotykać tego Wołocha. Im więcej coś o nim będę wiedział, tym łatwiej słabość jakąś w nim znajdę. Bo u mnie na pierwszy rzut oka moją widać.

– Jaką? – zaciekał się szlachcic.

– Przecie i waszmość dostrzegłeś. Nogi nie mam lewej niżej kolana. Miast niej drewniana proteza, sprawnie przez mistrza ze Lwowa wyciosana. To i skakać z rapierem nie mogę.

Żegota przypomniał sobie, iż faktycznie oficer chromy jest. Nie myślał o tym, gdy siedział z nim przy stole. Zapytał krótko:

– A jakże to się stało?

Stiller rzucił mu spod brwi czujne spojrzenie. Pomyślał chwilę, nim zdawkowo odpowiedział. Widać nie bardzo lubił wspominać o przyczynie swojego kalectwa.

– Kula armatnia mi urwała. Dawno temu.

Nie wiedzieć czemu Murray oczy zmrużył i uśmiechnął się prawie niezauważalnie nad talerzem. Ledwie co dostrzegł Nadolski ten krótki



grymas, który przemknął przez jego twarz. Poznał, iż chyba nieprawdę powiedział Saksończyk. Lecz tematu nie drążył. Stiller zaś zrewanżował się szlachcicowi:

– A i u waści widać, iż lewa strona mniej sprawna. Znak widomy, żeś porażenia jakiegoś doznał.

Żegota skinął głową. Oficer zaś dodał z uśmiechem:

– Znać razem musimy się trzymać. Jak to kaleki. W potrzebie jeden drugiemu usłuży.

– Może i racja... – mruknął siwowłosy szlachcic. Trącił się kielichem ze Stillierem. Ten, spojrzawszy na Murraya, rzucił:

– Tylko mój druh jeszcze cały. Takie ma szczęście, że z każdej opresji bez szwanku wyjdzie. Bywało, że w najgorszej zawierusze się znalazł w bitwie, a żadna kula go nawet nie drasnęła. A przecie trafić nietrudno, zważywszy na rozmiar Williama.

Szkot poklepał się po brzuszysku.

– Obły jestem, a każdy wie, że po obłym kształcie się kule ześlizgują. Tedy dbam o swoją ochronę, nie żałując sobie jadła ani napitku. Ty zaś, Werner, inny widać sposób obmyśliłeś, boś chudy jak szydło, to i trafić cię trudniej. A nadto za lada jaką żerdzią schronić się możesz.

Stiller zaśmiał się pod nosem.

– Taka to z nas kompania, mości Żegota. Kaleka i grubas.

Szlachcic zmrużył oczy. Wiedział, że żarty z siebie nijak się do prawdy mają. Może i nie miał nogi chudzielec i gruby nad wyraz był Murray, lecz znał już takich jak on. Niebezpieczną musieli stanowić kompanię, skoro wysłał ich biskup Próchnicki dla zbadania sprawy morderstw. I z oczu pozornie żartobliwych przeświecał czasem chłód, który jasno zrozumieć dawał, iż lepiej im w drogę nie wchodzić. Dlatego Nadolski wycedził po chwili:

– To i ja pasuję do panów oficerów. A lepiej we trzech, bo, jak mawiają, *Boh trojcu lubit*<sup>[52]</sup>.

Spojrzeni po sobie cudzoziemcy, a potem razem wyciągnęli ku Żegocie

kielichy z winem.

– Zdrowie waszmości! – zawołał Murray.

– Wasze zdrowie! – Szlachcic się skłonił i jednym haustem wypił zawartość naczynia.

To samo uczynili Szkot z Saksończykiem. Potem chudzielec otarł rękawem usta i szczerze zadowolony powiedział:

– Posłuchaj więc, mości Nadolski, co chcemy uczynić. Najsampierw musimy poznać, kto zacz ów Wołoch, gdzie stoi i ilu ludzi z nim. Potem... – Przerwał i spojrzał na Murraya. Ten skinął głową. – Trzeba będzie jednego z jego ludzi pochwytać i więcej się o sprawkach Bardy dowiedzieć. A wtenczas postanowimy, co dalej czynić. Bo tak samo być może, że winny, jak przypuszczasz, jak i to, że nic ze sprawą mordów wspólnego nie ma.

Murray zacisnął usta. Poważnie popatrzył na Żegotę i dodał:

– Może też tak być, że... – Przerwał na chwilę. Oczy przymrużył. – ...Barda jedynie narzędziem jest w czyichś rękach. I wiedźma w Sanoku prawdę pokazała. – Łypnął na Nadolskiego. – Rozumiesz waszmość, o czym mówię?

Szlachcic potwierdził ruchem głowy. Zapytał jedynie:

– Co wtenczas?

– Biskup Próchnicki zdecyduje – odparł Stiller. Przygłodził rzadkie wąsy i dodał wolno: – Waści nic nie będziemy narzucać. Jeśli okaże się, że waszych ów Barda, albo i kto inny... – zerknął na Szkota – ...zabić kazał, sam zdecydujesz, co czynić. My słowem jesteśmy związani, lecz ty... nie – zakończył.

Nadolski uśmiechnął się lekko kalekimi ustami. Zrozumiał, o co chodzi. Oto słudzy biskupa mieli chronić swego mocodawcę. Gdyby okazało się, iż starosta doliński za zbrodniami stoi, arcybiskup znalazłby się w nie lada kłopotcie. Nijak byłoby o karę jaką wystąpić albo też komu odwet jakiś zlecić. Co innego szlachcic samotny, który w rozpacz po stracie bliskich pogrążony, z własnej woli, a może i szaleństwa, zbrodni jakowejś dokona. Choćby i na najświetniejszym panu w województwie. Popłyną wtenczas

głosy potępienia dla zbrodniarza i współczucia dla ofiary. Wszystkie ręce czyste pozostaną. A nieszczęsnego szaleńca można będzie się pozbyć albo i katu oddać. Nietrudno było pojąć zamiary oficerów. Wiedział też Stiller, że Żegota nie jest głupi. Dlatego dodał:

– Do waszmości decyzja należy. My nic nie narzucamy. A ryzyko, jak sądzę, znasz. Uczciwie sprawę postawiłem?

Szlachcic wolno skinął siwą głową.

– Uczciwie.

Nie ważył długo, że zemsta za śmierć rodziny ważniejsza jest dla niego niż wszystko, co dalej stać się może.

– Więc napijmy się! – zaproponował Szkot poważnym głosem.

– Napijmy! – podchwycił Stiller.

Stuknęły o siebie trzy kielichy. Przymierze zostało zawarte.

Ciemno już się robiło, kiedy przez drzwi karczmy wszedł zakonnik we franciszkańskim habicie. Nogami zastukał, otrzepując z ziemi buciska. Czujnie rozejrzał się wkoło. W gospodzie niewielu było gości. A wśród nich wyróżniali się siedzący we trzech szlachcic i dwóch oficerów. Do nich skierował swe kroki. Wzrostu był miernego. Twarzy ospowatej, czerwonej. Włosy miał ciemne, rzadkie, do góry zaczesane. Rysy grube, lubieżne, znamionujące słabość do uciech. Oczy małe, rozbiegane, czujne. Jak u zwierzęcia, co zawsze obserwować musi otoczenie, czy nie czyha na nie jakiś drapieżca. Podeszedłszy do stołu, uśmiechnął się nieszczercze, odsłaniając nierówne brązowe zęby. Ręce złożył na wydatnym brzuchu sposobem, jakim duchowni zwykli to czynić.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – szepnął z wyraźnie sztuczną nabożnością.

Głowę przy tym skromnie pochylił, wzrok spuścił. Mimo pozoru spokoju znać było, iż jest zdenerwowany.

– Na wieki wieków – odpowiedzieli mu siedzący. Stiller gestem zaprosił go, by usiadł.

Mnich mimowolnie rozejrzał się po zastawionym obficie stole

i bezwiednie zwilżył usta językiem. Zauważył to Szkot, który mruknął:

– Nie krępuj się, bracie. Korzystaj z bożych darów.

Nie trzeba było mu powtarzać. Bez skrępowania polał sobie wina i schwycił w dłoń kawał chleba. Rozejrzał się, by następnie ułamać kielbasy. Odgryzł kawał mięsa, a kiedy zobaczył skierowane na siebie spojrzenia, usprawiedliwił się:

– W drodze wiecznie jak pielgrzym od domu do domu chodzę. Nie dojadam, ale dla Bożej chwały znoszę niedogodności wszelakie...

– Rozumiemy, bracie Piotrze, rozumiemy. Podjedz sobie, nim zaczniemy – zachęcił słodko nad wyraz Stiller i sam podsunął pod nos zakonnika półmiskę z pieczonym kapłonem.

Dłuższa chwila minęła, nim mnich z pełnymi ustami powiedział:

– Wielcem rad, iż szlachetni panowie datkiem wspomóc nasze zgromadzenie chcą, aliści zdziwiony jestem, że w takowej tajemnicy w tym celu spotkać się zechcieliście. Ale ja, skromny sługa Boży, nie oceniam, bo niejednom w życiu widział, a i tacy są pośród wiernych, co nie dla chwały ludzkiej, ale z dobroci serca i porywu duszy gotowiznę pragną na zbożne cele przeznaczyć. Jam tylko narzędziem w ręku Pana naszego, Jezusa Chrystusa, który kroki me tam kieruje, gdzie zechce.

Wzniósł oczy i nabożnie się przeżegnał. Usta drgnęły mu ironicznie. Nie krył zbyt, że sam w gładkie słowa nie wierzy. Saksończyk zza pazuchy wyjął sakiewkę, którą położył na dębowym stole. Brzęknęła odgłosem jedynym w swoim rodzaju, oznajmiając kusząco, że złoto w niej się znajduje. Zakonnik nawet się nie poruszył. Stiller oparł się dłońmi o blat, zerknął na braciszka i wolno wycedził:

– Jak widać, mamy dla ciebie, bracie Piotrze, datek sowity...

– Nie dla mnie, nie dla mnie... – przerwał mnich – ...jeno dla zgromadzenia duchownego, na Bożą chwałę.

– Tak... – kontynuował chudy oficer – ...niech i tak będzie. Ale nim przekazemy złoto, pragnęlibyśmy, byś nam na kilka pytań odpowiedział.

– A cóż ja, mnich skromny, wiedzieć mogę? – Łypnął spode łba chytrze. –

Ale skoro wasza wola... Co mogę, to zrobię, bo taka rola kwestarza, by pokornie prosić i służyć.

Murray skrzywił się w złośliwym grymasie. Nie w smak mu były nabożne wyznania, które nijak nie pasowały do wyglądu zakonnika. Znać było na pierwszy rzut oka, iż to przechera lubiący sobie folgować. Można by nawet mniemać, iż igra sobie z pytającymi. Niezrażony Stiller popatrzył uważnie na mnicha i niespiesznie powiedział:

– Tedy opowiedz nam, braciszku, o tym, jak to na Krym poszedłeś z okupem za pana Poniatowskiego.

Zakonnik drgnął. Zamarły mu usta, które dopiero co napełniły się mięsiwem. Ręce w pół drogi nad półmiskiem stanęły. Nie więcej jak sekundę to trwało, bo zaraz się ogarnął. Przełknąwszy jedzenie, uśmiechnął się nieszczерze.

– Wybaczcie, panie, alem nigdy na Krym nie chodził. Znam co prawda tamtejsze obyczaje i mowę, bom w dzieciństwie w niewoli tatarskiej chowany, ale tym bardziej już więcej do bisurmanów iść bym nie chciał. Musi pomyliliście mnie z kimś innym, panie oficerze.

Otworzył dłonie w geście otwartości i bezradności wobec zadanego pytania. Saksończyk z westchnieniem sięgnął po miszkę ze złotem. Przerzucił go z ręki do ręki, spoglądając nań smutno. Nie patrząc na zakonnika, westchnął:

– Cóż... Skoro to omyłka, wybaczcie, bracie, żeśmy głowę zawracali. Bo tylko temu, co by nam opowiedział o rzeczy, com ją wspomniał, datek przekazać możemy. Taka wola jest naszego mocodawcy. – Wzniósł oczy. – Ale nic to! Ugościć choć was możemy. Jedz więc, bracie Piotrze, na zdrowie! Choć tyle dla ciebie możemy uczynić.

Franciszkanin skrzywił się z niesmakiem. Jakoś mniej chętnie powrócił do przerwanej posiłku. Żegota dostrzegł w tym jednak jakąś sztuczność. Zbyt przerysowane były ruchy i miny zakonnika. Ten, nie patrząc na rozmówców, mruknął:

– Z serca bym pomógł. Trochę słyszałem o owej peregrynacji. Bywam to tu, to tam, to i ludzie gadają.

– Tak? – Zciekawiony Murray pochylił się ku niemu. – A cóż gadają?  
Mnich wzruszył ramionami.

– Tyle jeno, że wiele złota musiał pan Krasicki przeznaczyć. A że sprawa delikatna była, to posłał z nim zaufanego Wołocha.

– A kim jest ów Wołoch? – podchwycił Stiller.

– Wołoch jak Wołoch. – Brat Piotr spojrział na chudego, mrużąc oczy. – Z Multanów<sup>[53]</sup> ponoć pochodzi. Jego ojciec razem z hospodarem Michałem<sup>[54]</sup> wojował, a jak tego pod Turdą ubili, do Turcji poszedł. Tam się wychował. Barda mu na nazwisko, chociaż inni prawią, że przez matkę czy babkę z Besarabami<sup>[55]</sup> spokrewniony. Mówią też, że dalej panu staroście służy.

– A znasz go, bracie?

Zakonnik ostrożnie pokręcił głową, odwracając wzrok.

– Szkoda... – Saksończyk nadal bawił się sakiewką – ...bo nam powiadali, żeś z nim jednak na Krym wtenczas pojechał.

Piotr nic nie odrzekł. Stiller zaś ciągnął:

– Nic to... Pojedziemy tedy do Przemyśla, żeby datek przeorowi przekazać. Przy okazji jego zapytamy, jak to z ową wyprawą było. Bo może i on co słyszał...

Nadolski patrzył uważnie na braciszka. Przygarbił się na wzmiankę o przeorze. Nie był już tak chętny do jedzenia. Trzymał je w rękach bardziej dla ich zajęcia niż z głodu. W końcu stęknął spode łba:

– Czego chcecie? Wyznania?

Stiller uśmiechnął się pod nosem.

– Prawdy. Tego, co wiesz, bracie Piotrze. A jak ty nam prawdę powiesz, to sprawa na wieki między nami zostanie. – Położył znów mieszek na stole. – A i złoto do ciebie pójdzie. Jak ty z nami igrac nie będziesz, to i my nie będziemy.

Mnich westchnął głęboko. Ręką przeczesał skudłone nad czołem włosy. W końcu powiedział głucho, jakże inaczej niż do tej pory:

– Dość komedii! Wiem, po com tu przyszedł. Ani ze mnie ten, co sądzicie, ani z was darczyńcy. Pomnijcie, że mimo to z własnej woli przybyłem. Bo pora widać przyszła, by się z przeszłością zmierzyć. Chcieliście chciwego mnicha zobaczyć? To i dałem wam przedstawienie. A teraz starczy.

Podniósł wzrok poważny. Inny zupełnie niż przed chwilą. Pojęli oficerowie, że mnich nie w ciemną bitą, rolę przed nimi odegrał. Taką, jakiej się spodziewali. Lecz skończyła się krotochwila. Tym więcej słuch wyteżyli.

– Gdybym wtenczas wiedział... Gdybym wiedział, to za skarby żadne bym nie poszedł... Młody byłem. Głupi. Ech...

Machnął ręką. Podniósł oczy. Mieszały się w nich twardość jakaś, strach i rezygnacja.

– Mów więc – zachęcił Stiller. – Bo ciekawi jesteśmy tej historii.

Zakonnik zmarszczył brwi. Zbladła mu chropowata twarz. Długo szukał słów pierwszych, by zacząć opowieść. W końcu rzekł:

– Był to wtenczas rok pański tysiąc sześćset dwudziesty drugi. Zima szła. Kiedym kwestował w Krasieczynie, zdarzyło się, iż poprosił mnie do siebie pan starosta doliński. Zrazu myślałem, iż zgromadzenie moje chce jakim datkiem wesprzeć, lecz nie o to chodziło. Długo rozmawiał ze mną pan Krasicki. Dość, że złotem i perswazją przekonał mnie, coby na Krym z jego ludźmi iść z wykupem za pana Jerzego Poniatowskiego. Sprawa szlachetną mi się zdała, bo cnotliwa to rzecz z niewoli pohańskiej chrześcijan wyzwolić. Bałem się, albowiem znałem jak u bisurmanów jest, jednakże młody byłem. Bez rozumu. A pan starosta kusił talarami. Tak się zgodziłem. Za tłumacza miałem być. Okiem i uchem pana starosty. I posługę duchową nieść w drodze powrotnej oswobodzonemu. – Przerwał i głową pokręcił. – Okup zawieźć mieli najęci Wołosi. Przewodził im ów Giurgiu Barda. Tyle o nim wiem, com rzekł. Nieskory do gadania to człek. Posłuch u swoich ma taki, iż gdyby kazał się któremu sztyletem w serce pchnąć, to zrobi to bez gadania. Sam raz widziałem, kiedy mu jeden ze sług zawinił, kazał mu się obwiesić. A ten żwawo sznur gotował, coby opieszalnością bardziej jeszcze Bardy nie rozsierdzić. Inni jeszcze go ponaglali. Po turecku gada, choć tatarskiej mowy nie zna. W szabli mocny. Wojenny to mąż. A serce u niego jak z kamienia.

Dla nikogo względów nie ma, a słuca się tylko starosty dolińskiego. Co ten każe, to uczyni.

Westchnąwszy, polał sobie wina.

– Tak to, jak już na wiosnę szło, poszliśmy z Krasiczyna. Na wozach był okup w złocie, którego pilnowali Wołosi. Ja wierzchem jechałem z innymi. Barda przewodził. Za Samborem dołączyli jeszcze do nas kupcy ormiańscy w trzy wozy...

Przełknął napitek i smętnie pokiwał głową.

– Gdybym wtenczas wiedział...

– Mów, bracie! – ponaglił Murray. – Nie czas na sentymenta!

Zakonnik spojrział na niego obojętnie. Opadł z niego widać strach, a wspomnienia odnowiły jakieś niezabliźnione rany.

– Do wozów zbliżyć mi się Barda zakazał. Pomyślałem, iż nie ma ufności do mnie, ale że słucać się go miałem, tedy czyniłem, jak kazał. Długa jednak była droga. A w takiej, choćby i człek nie chciał, więcej się dowie, niżby pragnął...

– Czegoś się więc dowiedział? – Stiller przymrużył oczy.

Zakonnik jeszcze raz dolał wina. Nie z nieumiarkowania. To widać było. Lecz dla przytłumienia emocji. Przełknąwszy trunek, głucho szepnął:

– Były trzy ormiańskie wozy. Z początku myślałem, że to kupcy, co korzystając z eskorty zbrojnej, do nas dołączyli dla bezpieczeństwa. Potem... Potem poznałem, że drugą część okupu wiozą...

– Jakże to? – zdziwił się Nadolski, a w sercu powstała mu nagle myśl nieprawdopodobna.

Piotr nawet na niego nie spojrział. Ze wzrokiem wbitym w stół ciągnął:

– Poniatowskiego w niewoli u siebie Murtaza trzymał. Znany to krewniak Kantymira. I nie z zasług bynajmniej, ale z tego, że dzieci małe do zaspokojenia swych chuci wykorzystuje...

Stężały twarze słuchających. Żegota zaklął pod nosem. Do uszu jego dochodziły kolejne słowa:



– Tedy dowiedziałem się, że prócz złota i innego okupu murza zażądał. Tego, co w wozach Ormian był wieziony. Dziewczynek małych, które miały mieć włosy jasne...

– Skurwysyn! – wycedził Murray pod nosem.

– Ormianie na polecenie pana Krasickiego mieli je zgromadzić. Ale tak, żeby nikt nie znał dla kogo. Nie starsze były niż pięć, sześć lat. Dziesięć ich było.

Przysłonił oczy ręką. Przestał mówić, lecz tym razem nikt go nie ponaglał. Spoglądali po sobie oficerowie z Nadolskim. W głowie nie mieściła im się niegodziwość, o której zasłyszeli. W końcu Nadolski zapytał matowym głosem:

– Była wśród nich taka, co ją Miriam zwali?

Zakonnik pokręcił bezradnie głową, nie podnosząc jej.

– Nie wiem. Anim poznał skąd i kto owe dziewczuszki. Z daleka miałem się trzymać. I bałem się. Pojąłem, że chyba za dużo zobaczyłem. Więc udawałem, iż nic i o niczym nie wiem. Jak obóz był stawiany, to w drugim końcu niż Ormianie się kładłem. Jak jechaliśmy, to jak najdalej od nich byłem. Byleby Barda nie domyślił się, że prawdę poznałem.

– A skądęś to wiedział? – przerwał rzeczowo Stiller.

Zakonnik podniósł głowę i popatrzył na niego przez chwilę.

– Od jednego ze sług ormiańskich, który sądził widać, że z całą sprawą obznajomiony. A dzieci na własne oczy widziałem, kiedy je raz rankiem nad rzekę puścili, coby się obmyły. Z wozów je rzadko puszczały. – Sapnął. – Im bliżej było do celu, tym mniej się kryli. Aż Barda razu jednego wezwał mnie i rzekł, iż jeśli słowo pisnę komu, co wiem, to znajdzie mnie i żywcem ze skóry obedrze. Kiedy to mówił, łatwo było poczuć, że nie rzuca słów na wiatr.

– I nie boisz się teraz mówić? – zapytał Żegota z niedowierzaniem.

Zakonnik uśmiechnął się smutno. Głową kiwnął w kierunku Stillera.

– Myśleliście, panowie oficerzy, że nie wiem, kto jesteście? Żeście sługi biskupa Próchnickiego, co się o morderstwa po okolicy rozpytują? I ja

niegłupi jestem. Czuję, że prędzej czy później przyjdzie mi się ze wszystkiego wypowiadać. Kiedyście mnie o spotkanie poprosili, zrozumiałem, że czas przyszedł. Może i macie mnie za ladaco. Może i racji w tym dużo. Ale nigdy krzywdy czyjejs nie pragnął. A na sercu tamta sprawa mi ciąży, bom ręki przyłożył bezwiednie do najgorszej zbrodni. Mówił Pan, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili<sup>[56]</sup>. Grzech to śmiertelny, choć nie z własnej woli go popełniłem. Kiedym się jednak dowiedział, nic nie zrobiłem.

– To czegoś od razu mówić nie chciał? – burknął Murray.

– Czemuście od razu wprost nie pytali? Dlaczego udawaliście kogo inszego? Sakiewką i strachem chcieliście mnie do gadania przymusić... – Zamrugął. – A ciężko to opowiadać. Ani wam ufam, ani wierzę. Lecz może i jedyni jesteście, co cokolwiek uczynią.

– Mów dalej. – Stiller przyglądał farbowaną bródkę. Przed nim leżał mieszek ze złotem. Ale mnich nie patrzył na niego.

– Dotarliśmy na Krym. Tam za tłumacza byłem. W końcu przybyliśmy i pod pałac Murtazy, który był murzą z rodu Argynów i zasiadał w dywanie<sup>[57]</sup>. Jako że okup wieźliśmy, tedy spodziewaliśmy się dobrego przyjęcia... Tymczasem inaczej było. Poza pałacem nam kwatery wyznaczono i kazano czekać, aż nas Murtaza przed swoje oblicze dopuścić zezwoli. Pieklił się Barda. Kazał mi się dowiedzieć, o co idzie, skoro wszystko przez Ormian było już umówione. Tak i zacząłem się sługi murzy pytać o pana Poniatowskiego. I z tego, co mówili, ułożyłem, jak było. – Zaciekawieni słuchacze pochylili się jeszcze bardziej. – Miał Murtaza służącą. Albo i więcej znaczyła niż służąca. Dziewka, co na nią Sonka mówili, a na Krymie imię Fatimy przyjęła. Ponoć dzieckiem jeszcze będąc, w niewolę poszła. Ale gdy dorosła, murza jej nie sprzedał jak innych. Upodobał ją sobie bardzo. A i ona strzegła jego... – Piotr zająknął się – ...nałożnic. Panią w pałacu była. Sługi powiadały, iż wieczorami to ona dzieci do Murtazy przywodzi, a nierzadko i wraz z nimi w łóżnicy zostaje.

– Tfu! – splunął Żegota. – Żeby ją robaki zjadły, kurwę!

Pokiwał zakonnik głową.

– Kiedy Poniatowski do niewoli trafił, zrazu w lochu był trzymany. Ale jak doszło do wymiany listów między Murtażą a starostą dolińskim i ustalenia okupu, tedy pozwolono panu Jerzemu w pałacu zamieszkać. Dał słowo murza, że jeśli tylko okup przyjdzie, to natychmiast jeńca żywego i całego uwolni. A słowo u takiego pana rzecz święta. Bo i porządek świata jest na słowie utrzymany. Na Koran przysiągł. Wygodnie tedy żył sobie pan Poniatowski, czekając wykupienia. Niczego mu nie zbywało. Jadła, napitków. Lecz nudził się, jak to z młodymi bywa. Tak i dostrzegł ową Sonkę, czy też Fatimę. I ona strzelać ku niemu oczami zaczęła. Bo też urodny był. Nie taki jak ów stary, obmierzły Tatar, co na sześćdziesiąt lat mu już szło. A i ona była ładna. Jasne miała włosy, białą skórę, oczy niebieskie. Tylko na wskroś jej dusza była zepsuta. Tak też spotykać się zaczęli potajemnie. Z początku to i nawet nikt o tym nie wiedział. Jednak w pałacu takim jak u murzy ściany mają oczy i uszy. Dowiedział się Murtaza o schadzkach. I razu jednego z ludźmi swymi wpadł do komnaty, gdzie właśnie pan Potocki ową Sonkę chędożył. Nadużył jeniec gościnności pohańca. Własności jego bez zgody używał, bo też niewolnik u nich jest jak mebel czy koń traktowany. A choć owa dziewczka pierwszą była w pałacu, to przecie jednak nadal niewolnicą. Wielce był murza wściekły. Gdyby nie słowo dane, pewnie by kazał natychmiast ubić śmiałka. A pierwej wytrzebić, jak to zwykli cudzołożnikom czynić. Ale na Koran przysiągł. Gniew swój na Sonce więc wyładował. Bo nie masz większej złości na świecie jak ta, co z zazdrości idzie. Myślał widać, iż Sonka jego tylko miłuje, a ta zdradziła go pod jego własnym dachem. Kazał ją więc zabić. Lecz nie tak od razu. Ponoć kilka dni ją kaci na wszelkie sposoby męczyli, tak że gdy konała, to ledwie z niej ochłap mięsa został.

– I dobrze! – syknął Żegota ze złym uśmiechem. Braciszek tylko oczy przymrużył.

– Kiedy gniew minął Murtazie, to tęskność poczuł. Od lat przy nim dziewczka była, we wszystkim służyła. Nikogo nie miał od niej bliższego, co wszystkie jego znał tajemnice. Tedy miotać się zaczął, wyrzucać sobie poniewczasie, co uczynił. Na koniec zaś uznał, iż wszystko to zło dziełem

jest jego więźnia. Bo gdyby nie on, to panna żywa by dalej była i wszystko szłoby jak dawniej. Miał jednak w pamięci, że na świętą księgę zaprzysiągł żywego i całego go oddać, gdy okup otrzyma. Nie mógł go ubić. Gniotła go złość okrutnie. O tym jeno myślał, jak zemstę uczynić, by gorszym czym niż śmierć młodzika pokarać. Zrazu kazał przyrodzenie mu rzemieniem skrępować, tak by już nigdy do płodzenia zdatne nie było. Wył Poniatowski w lochu z bólu, kiedy mu kaci to uczynili. Ale nie umarł. Słowa Murtaza dotrzymał. Ani życia, ani też kawałka ciała jeńca nie pozbawił. Mało mu jednak było. Radzić się więc począł mędrców i lekarzy. Aż znalazł się jeden, co swoim pomysłem murzę zachwycił. Nakazał więc brać się do rzeczy.

Nadolski słuchał już w milczeniu. W głowie rodziły mu się pytania. Czy wśród dzieci na wykup przeznaczonych była córka Ryty, za którą tak wiedźma tęskniła? Jak możliwe było małżeństwo z Anną Wierzbowską, skoro narzeczony był niezdolny w łóżnicy spełnić obowiązków? Jak to jest podobne, że pan takiej godności jak Serafin Krasicki dopuścił się zbrodni najgorszej, oddając niewinne dzieci na pohańbienie? A mnich monotonnym głosem ciągnął:

– Czarowników u pohańców mają, co z diabłem jawnie paktują. Umieją tacy różne rzeczy czynić, których w chrześcijańskim świecie się nie zobaczy. Potrafią zmarłego do życia powrócić. Ale i umieją tak sprawy poprowadzić, że z żywego zrobią na pół trupa. Zawieszają go pomiędzy życiem a śmiercią, iż ani w jedną, ani też w drugą stronę pójść nie może. Leży taki bezwładnie, ciało i skóra u niego jak u trupa. Sine, chłodne. Jeno oddech rzadki świadczy, że jeszcze w nim tli się życie. Na szyi puls powolny wyczuć można. Jeśli wodę takiemu i jadło rozdrobnione rurą do trzewi dawać, to całe lata tak może pozostawać. Robią się od tego leżenia na skórze rany głębokie, śmierdzące i jątrzące się. Dlatego należy takiego masować i wielokroć w ciągu dnia obracać. Poruszać bezwładnymi członkami, by stawy i mięśnie nie znieruchomiały i nie skostniały na zawsze.

Przeżegnał się mimowolnie Murray. Stiller słuchał z otwartymi ustami. Wiedzieli już, jak skończył Jerzy Poniatowski.

– Nie masz na taki czar lekarstwa. Lepiej od razu zginąć, niż na pół trupem

pozostawać. Bo też nikt nie wie, czy jest jaka świadomość w tym martwym ciele. Czy czuje ów codzienne zabiegi, które wokół obcy sprawiają? Czy nie woła w duchu o litość i skrócenie męki? Straszna to kara! Lecz słowa Murtaza dotrzymał. Nie zabił młodzika. Zawiesił go w półmroku pomiędzy nocą i dniem.

Mnich napił się wina. Przetarł usta rękawem habitu i pogładził palcami zmarszczone czoło.

– Rzekłem o tym Bardzie. Wierzyć nie chciał. Lecz w końcu wezwał nas przed swoje oblicze murza. I wtenczas Wołoch na własne oczy zobaczył. Żywy trup, *vivus cadaver*[\[58\]](#), tak mówią mędracy na taki stan. Leżał Poniatowski w lektyce miękkiej. Oczy martwe, choćby i światłem poświecić, lecz jeśli lustro pod usta się podsunie, para osiądzie. A na szyi nierówno krew tętni. Murtaza z uśmiechem zaprezentował nam jeńca. Oznajmił, że żywy i cały, jak słowo dał, będzie wrócony. Protestować jął Barda. Wzywał, by czar odmienić. Prosił i groził imieniem starosty dolińskiego. Na to usłyszał jedynie, że nikt nie ma takiej mocy, by na powrót do w pełni żywych chorego przenieść. Jedynie można śmierć zadać, by męki skrócić. Murza zaś dodał, iż jeśli nie chce Barda więźnia zabrać, jakim jest, tedy on go u siebie zatrzyma, nie biorąc okupu, bo radość sprawia mu co dzień oglądanie jego męki. Zgrzytał Wołoch zębami, lecz nakazał wnieść złoto i dziewczuszki wprowadzić. Nawet nie obejrzał się Tatar na klejnoty. Od razu do dzieci poszedł i cmokał z zachwytu nad ich urodą, jasnymi włosami i niebieskimi oczami. Kontent był widać z jasyru. Nie mogłem patrzeć...

Zaczerpnął głęboko powietrza. Oczy mu się zaszklily. By odegnąć wspomnienie, w inną stronę opowieść skierował:

– Murza nakazał nam w jeden dzień wyjechać. Sprawę zakończył i nie chciał dłużej gościć niechcianych przyjezdnych. Tedy zebraliśmy się. Poszedł Poniatowski na wóz, a Barda mnie opiekę nad nim zlecił. Miałem go karmić, masować, obracać. Na chwilę nawet z oczu nie spuszczać. Jasno mi Wołoch rzekł, iż jego życie jest moim. I w momencie gdy on wyda ostatnie tchnienie, ja żywot skończę. Drżałem tedy ze strachu, bo nijak nie znałem, co czynić. Ani też nikt nie powiedział, jak opieka ma wyglądać. Ledwie to wiedziałem,

com usłyszał, gdym ze służbą pałacową rozmawiał. Wszystkiego się w drodze nauczyłem. A długa była, bośmy wolno szli z obawy, iż Poniatowski zemrze. – Sapał i ręką machnął. – Ech, straszna to droga była! Jak kondukt pogrzebowy. Nieraz budziłem się w nocy i wsłuchiwałem, czy młodzik dycha jeszcze. Wielokroć myślałem, że martwy. Modliłem się o zbawienie duszy i życia ocalenie. A dzień był podobny do dnia. W końcu też nauczyłem się nieco, jak z panem Poniatowskim postępować. Dawać mu jeść wprost do żołądka, pić tak, by się nie zakrztusił, przewracać, by ran wyleżanych nie było. Umoszczono mu posłanie w miękkiej bawełnie, którą często zmieniać było trzeba, bo wszelkie wydzieliny w nią szły. Co tu opowiadać. Łatwo wam zrozumieć, jak to człowiek żywy, ale bez przytomności, wszystko to, co i każdy robić musi, robi pod siebie. Tak mi powrót upłynął. W smrodzie i ciągłym strachu. Alem pana Jerzego żywego do Krasicyzna dowiozł!

– Na nieszczęście – mruknął Stiller.

Zakonnik wzruszył ramionami.

– Ani na szczęście, ani na nieszczęście. Żyć chciałem. To jedno mi w głowie było. A kiedym przyjechał, to pomyślałem, że teraz pewnie mnie ubiją, bom był świadkiem rzeczy, których nie powinienem był widzieć.

– To i dziwne właśnie, żeś z życiem uszedł i swobodnie chodzisz – wycedził chudy oficer. – Jak to możliwe?

Piotr pokiwał głową.

– Możliwe, możliwe. To, co nieszczęściem moim było w podróży, okazało się też wybawieniem. Otóż dowieźliśmy Poniatowskiego do Krasicyzna, lecz nikt zająć się nim nie potrafił. Jeno ja. To ja wiedziałem, co czynić, by nie zgnił w posłaniu. Jak członkami poruszać, by się nie zastały. Jak strawę podawać. Wszystko, co konieczne było, by półtrupa przy reszcie życia utrzymać. Gdyby mnie zabrakło, to niechybnie umarłby młodzik. Tak i ubić mnie nie mogli. Nakazali za to zostać przy chorym i go pielęgnować. A przy okazji i innego sługę przyuczać. Tak też w zamku zostałem.

– Co dalej było? – Murray zwilżył usta winem. Patrzył uważnie i wcale nie wyglądał już na beztroskiego tłuściocha.

– Przybywali różni medycy. Najpierw z Krakowa, a potem i z zagranicy.

Badali, mierzyli, sprawdzali. Nic pomóc nie mogli. Potem kolejni przyjeżdżali. Tacy, co już bardziej się czarami niż medycyną parali. Grzech było patrzeć nawet i słuchać, jakimi sposobami próbowali chorego ożywić, jednak i to nie pomagało. A żona starosty dolińskiego coraz bardziej zła była na trwonienie gotowizny. Znała, kto zacz Poniatowski. Tak długo gderała, aż w końcu pan Krasicki nakazał chorego wywieźć.

– Dokąd? – przerwał Stiller, chwytając mnicha za rękę. Ten rozłożył dłonie w bezradnym geście.

– Nie wiem. Mnie wezwał pan starosta, złoto dał i rzekł, iż odejść mogę, gdyż synowi jego życie ratowałem. Lecz ostrzegł, iż jeślibym komukolwiek sekret zdradził, to znajdzie mnie Barda. Nie do cna zepsuta była jeszcze dusza w panu Krasickim.

– Nie do cna? – powtórzył złośliwie Nadolski pytającym tonem.

– A tak! – Braciszek spojrzał mu w oczy. – Bo żywy wyszedłem z pałacu. Inny by pewnie nie zaryzykował mnie puszcząć. Choć nie pojmiesz waszmość, jakie moje życie od tej pory.

– To czemu teraz gadasz? Nie boisz się?

– Boję – przyznał zakonnik. – Ale w strachu żyję już od kilku lat. Mam dość tego oglądania się za siebie. Tego, żeby każde słowo ważyć. Kiedy się dowiedziałem, że ci... – wskazał głową oficerów – ...chodzą po okolicy i wypytyują, to pomyślałem, że może i czas na Bardę. Liczyłem, że ten młody Kruszewski go położy. Gdyby tak było, to pewnie bym tu nie przyszedł do was. Ale inaczej się stało. A wyście służy biskupa Próchnickiego. Można to pan! I potęga Kościoła za nim stoi. Pomyślałem, że tędy droga ucieczki dla mnie. Nadto już mi ciężar nosić, tym bardziej że jedno zło mogło i drugie zrodzić, co w okolicy się zagnieździło. Te wszystkie zniknięcia dzieci... Jak słyszę o nich, od razu przypomina mi się tamta dziesiątka niewiniątek, co na zatracenie poszły. A ja nic wówczas nie uczyniłem.

Przetarł palcami kąciki oczu.

– Mniemasz, że ci sami mogą teraz dzieci brać? – zapytał Saksończyk.

– Może tak być. – Zakonnik westchnął. – Nie znam przyczyny. Długom

myślał. Może ślą do Murtazy, żeby od niego sekret uzdrowienia wykupić? A może co inne...

– Co? – warknął Nadolski. – Mów! Bo dzieci mogą nie tylko porywać, ale i mordować!

Patrzył się na mnicha błyszczącymi oczami. Ten poczuł bijący od siwowłosego szlachcica gniew. I zrozumiał, że osobista musi być uraza noszona przez niego w sercu. Z ociąganiem odpowiedział:

– Myślałem, że do czarów jakichś wykorzystywać mogą. – Przerwał, by po chwili dodać: – Ale tego nie wiem. To jedynie przypuszczać mogę po tym, com widział w Krasieczynie.

– Mówią, że Wołoch ze swojego kraju kogoś sprowadził. Medyka jakiegoś. Wiesz coś o tym?

Brat Piotr pokręcił głową.

– Też słyszałem. Ale nic więcej nie wiem. Nie było mnie już przy Poniatowskim, kiedy to stać się miało.

– I gdzie jest teraz Poniatowski, nie wiesz? – upewnił się Szkot.

Franciszkanin się zawahał. Potarł dłońmi o siebie. W końcu ostrożnie wycedził:

– Nie wiem... Ale mówią, iż gdzieś w lasach między Huwnikami a Arłamowem jest dworek, który jeszcze kasztelan lwowski, Michał Krasicki, ojciec Serafina, kazał pobudować. Lubował się rzekomo w łowach. Z dala od traktów i osad ludzkich. Pomyślałem, że może tam go zawieźli.

Murray i Stiller spojrzeli po sobie znacząco. Ten ostatni zapytał:

– A o morderstwie panny Anny Wierzbowskiej coś wiesz?

Mnich się skrzywił.

– Tyle, co ludzie gadają. Że wiedźma jakaś na pogrzebie palcem wskazała dolińskiego starostę jako winnego zbrodni. Gdym to usłyszał, to... – Przerwał i ręką machnął. – Gdyby ludzie widzieli to, co ja, łatwiej byłoby im uwierzyć, że i wielki pan może za zbrodnią stać. A tak prawią, że diabeł przez nią przeciw cnotliwemu mężowi gadał. A ja milczeć muszę.

– O mordzie w Wygnance koło Nadolan słyszałeś? – wtrącił Żegota. –



Dwoje dzieci tam zabito z ich matką. Na ciałach im znaki ktoś nożem powycinał. A potem baczów posłał, by groby sprofanować.

W odpowiedzi zakonnik pokręcił jedynie głową. Już otwierał usta Szkot dla kolejnego pytania, gdy ruchem dłoni przerwał mu zakonnik.

– Teraz wy mnie posłuchajcie. Bo niewiele więcej wiem nad to, com powiedział. Radę wam dam. Taką, co życie może być warta. Ja się bez trudu dowiedziałem, ktoście wy, więc baczcie, że i inni wiedzieć mogą. To, co do moich uszu doszło, pewnie i do innych trafiło. Zdaje się wam, że działacie w ukryciu? Za długo tu krązycie, za dużo pytacie. To świat mały. Prosilicie mnie o spotkanie tutaj. Kto wie, czy już Barda nie słyszał, żem się z wami miał spotkać. Ja wziąłem to pod rozwagę. I pomimo to przyszedłem. Lecz wy nie żyjcie w złudzeniu, że tu, na tej ziemi, cokolwiek się bez wiedzy pana starosty dolińskiego dzieje. Może to nie wy kogo ścigacie, jeno ktoś z wami się bawi jak kot z myszą. Pamiętacie, gdzie się spotkaliśmy? Gdzie mnie o rozmowę prosiliście? W Krzywczy. Czyje to dobra? Pana starosty, który ją sześć lat temu zakupił i na nowo od króla Zygmunta lokację uzyskał. Tedy sądzicie, że nie doniosła o was jaka życzliwa dusza komu trzeba? Mniemacie, że ja jestem chciwy i głupi. To wam powiem, że gdyby tak było, to dawno bym już tego świata nie oglądał. Po kweście chodzę. A habit zakonny nijak w tych stronach nie chroni. Jedno, co mam, to rozum i głowę na karku. Oby wam tego nie brakło! Złotem mi w oczy świecić chcecie? Za złoto życia nie kupię. A zbytnio sobie je cenię, by się na hazard zdawać. Co wiem, tom powiedział. Ale nie dla złota ani też ze strachu. Łatwo was w błąd wprowadzić, panowie oficerowie! Ale wam zaufałem i przed wami serce otworzyłem. Miejcie więc baczenie na siebie, bo i o moją głowę idzie!

– Zbytek troski! – warknął zmieszany nieco Murray, a w oczach błysnęły mu złe ogniki.

Stiller uniesioną dłonią powstrzymał dalsze słowa kamrata. Uważnie zajrzał w oczy zakonnika i rzekł wolno, pierw cichym głosem, który tężał w miarę wypowiedzanych słów:

– Może i omyliliśmy się co do ciebie. Może i wie pan starosta, że pytamy. Ale nie mów, że wyrzuty sumienia cię do gadania przywiodły. Prawda jest

taka, że tylko o swoją głowę się boisz. Bo Barda najpewniej teraz wszystkich, co cokolwiek wiedzą, będzie chciał usunąć. Jedna ci droga została. Z nim już się nie ułożysz. Szukasz tedy tych, co go pokonać mogą. Nie zamydlisz mi oczu gadaniem o dziewczeczkach, które przed oczami ci stają. Sześć lat w rzyci to miałeś. I dalej byś miał, gdyby nie zrobiło się głośno o zbrodniach. Gdyby Kruszewski nie głosił, kto jest ów Barda, gdyby wiedźma nie pokazała na Krasickiego w Sanoku. O siebie drzysz jak osika. Bo skończył się czas łaski pana starosty. Teraz on sam w strachu. A tobie donikąd uciekać.

Zmrużył oczy. Nerwowo potarł brodę. Zakonnik zamarł z na wpół otwartymi ustami. Krew nabiegła mu do ospowatej twarzy. Oddech przyspieszył, a oczy błysnęły gniewem i strachem. Nie zważał na to Saksończyk. Równym głosem ciągnął:

– Ckliwa ta twoja opowieść o wędrownicy na Krym. A prawda jest taka, żeś pewnie od początku wiedział, jaki ma być okup. I gównem cię to obchodziło. O złoto nie stoisz? Niedziwne mi teraz. Bo po prawdzie to wiesz, że złotem się od śmierci nie wykupisz. Albo Wołoch cię ubije, albo my katu oddamy. Może i sami gdzieś jak psa obwiesimy. Tedy pozostało ci grać kiepską komedię o nawróconym grzeszniku, który drogę cnoty odszukał. U Bardy łaski nie znajdziesz. Tedy u nas się starasz. A jak naprawdę było? Pojechałeś jako zaufany Krasickiego na Krym. Może i dzieciom nabożne pieśni w temczasie śpiewałeś, coby spokojne były. Nic ci Barda kazać nie musiał ani też cię nie straszył. Takiś sam skurwysyn, jak i on. Tylko tamten o tyle lepszy, że nie udaje. Żyłeś, bo wiernie służyłeś panu staroście. Chadzałeś tu i tam, wieści znosiłeś. Prawdę powiedziałeś, że tu nic bez wiedzy pana starosty dolińskiego się nie dzieje. Przez takich jak ty. Ale głupi nie jesteś. Wiesz, kiedy pora pana zmienić. I Bogu świeczkę, i diabłu ogarek chcesz zapalić. Myślę, że ty staroście Krasickiemu o nas pierwszy doniosłeś. Na wypadek gdyby to się przydać mogło. Że niby lojalnie postępujesz, służysz wiernie. A nam prawisz, że inni pewnie już wieści podali. Wlazłeś tu i niby komedię odstawiłeś, grając zrazu jowialnego mniszka. A potem jakoby szczerłość cię ogarnęła. Naprawdę wtenczas dopiero grać zaczęłeś jak kuglarz jarmarczny. Może i inni się na takie sztuczki łapią. Ale kiepski z ciebie aktor,

braciszku Piotrze. I więcej wiesz, niż gadasz. Lecz i tego, coś powiedział, nadto. Myślisz, że z boku staniesz i przypatrywać się będziesz, co się zdarzy? Przycupniesz jak mysz? A potem w swoim łbie wykoncypujesz, jak wkupić się w łaski tego, co wygra? Tedy ci powiem. Ani ci z Bardą po drodze, który pewnikiem czerep ci rozłupie, jak cię spotka, ani z nami. Taki los skurwysynów, co ni honoru, ni wiary, ni też żadnego ludzkiego uczucia w sercu nie mają. Tak! Myliłem się co do ciebie, kiedyśmy się pierwszy raz spotkali! Mylą się też ci, cośmy ich o ciebie pytali! Boś nie tylko opój i rozpusztnik, ale i bydlę obrzydłe! Dopiero to poznać mogłem, kiedy twoich słów słuchałem, kiedym na twoje gesty patrzył, na łzy fałszywe! I pojąłem, żeś stokroć gorszy niż najgorsza murwa! Za nic masz innych, byleby tobie dobrze się działo!

Zamachał mnich rękami, uniósł się w gniewnym oburzeniu. Lecz ujrzał zaraz dłoń Murraya spoczywającą na rękojeści pistoletu. Żegota patrzył na niego wzrokiem tak złym, iż ciarki przeszły Piotrowi po plecach. Zmrużył chytre oczka. Wysyczał przez zęby:

– Śmierć was czeka! Modlić się o nią będę dla was!

Stiller odchylił się, rozpierając w ławie. Popatrzył na wściekłego zakonnika z mieszanią pogardy i politowania.

– Może i tak. Ale prędzej ciebie, skurwysynu. Jak nic do piekła pójdziesz, gdzie twoje miejsce. Idź! Powiedz panu staroście, że znamy już od ciebie najmniej połowę prawdy! Płaszcz się i o zmiłowanie błagaj! Bo może on cię wysłucha. U nas nie będziesz miał żadnej litości. Tedy jedno ci rzeknę. Wypierdalaj stąd, pókim dobry! – Prawą dłonią przysunął ku sobie ciężki rapier. – Bo jak chwilę jeszcze tu zostaniesz, to jak mi Bóg miły, wsadzę ci to żelazo w rzyć po samą rękojeść!

Piotr spojrział na długie ostrze i mimowolnie przełknął ślinę. Sprawniej niż można było po tuszy sądzić, wymknął się z ławy. Rzucił jeszcze nienawistne spojrzenie, by następnie wybiec prawie z gospody. Z drzwi warknął jeszcze:

– Niech was diabli, skurwysyny!

– I ciebie! – odkrzyknął na odchodne Murray.

Przy stole zapadła cisza. Nadolski westchnął przez nos i pokiwał głową.

Mruknął:

– Trzeba było łajdaka na ruszt wziąć.

Saksończyk pokręcił głową.

– Nie, mości Nadolski. Tyle, co powiedział, starczy. Bo sędzę, że o sobie tylko kłamał. Resztę prawdę rzekł. Najlepiej tak łąć, by nieco tylko sprawy przeinaczyć. Znany to sposób. A gdyby go przycisnąć, to co bądź by mówił. Wtenczas ani byś potrafił waszmość ziarno od plew odsiać.

– Do starosty pójdzie.

– Może i tak. Lecz mniemam, że bać się będzie. Wszystko to jedno. Serafin Krasicki wie już, że nie tylko pomówienia Kruszewskiego i słowa więdmy mu groźne. Z tym łatwo by sobie poradził. Ale biskup Próchnicki to inna sprawa. Dlatego pewnie wszystko każe uczynić, by nikt znający jego sprawki się nie ostał. – Zerknął uważnie na Żegotę. – Znasz waszmość historię o Elżbiecie Batory?

– Nie – odpowiedział krótko szlachcic.

– Lata całe ludzi mordowała za sprawą więdmy, co ją Darvulia zwali. I dalej by tak było, gdyby nie to, że przeciw niej stanął hrabia Thurzo. Różnie o tym ludzie mówili<sup>[59]</sup>. Dla nas starczy, że jednego możnego pana tylko inny pokonać może. Wie to starosta doliński i wszystko uczyni, by odium jakiegokolwiek winy od siebie odsunąć. Duszno się wkoło niego zrobiło. A kiedy duszno, łatwiej o błąd jakiś. Rozumiesz waćpan?

Żegota, nie odpowiadając, skinął głową. Po chwili zapytał:

– Co teraz zamierzasz, panie Stiller?

– Do Arłamowa pojedziemy, do pana Kopystyńskiego. Opój to i bajkopisarz, ale okolicę zna pewnie. Pomoże leśniczówkę Krasickiego znaleźć. Tyle, żeby wiedzieć, gdzie jest na początek. Potem może większą siłę sprowadzimy. Na razie zwiad zrobić trzeba. A że w Sanoku parę razy Iwanowi Kopystyńskiemu gościnę wyprawiliśmy... – uśmiechnął się – ...tedy rad będzie z wizyty. Powiemy mu, że o zabójców panny rozpytać chcemy w okolicy.

Żegota zmarszczył brwi.

– Mnie raczej do Rokietnicy droga.

– Rozumiem. – Stiller się skłonił. – Więc poczekamy dwa dni na waszmości w Arłamowie. Jak przyjedziesz, to z nami będziesz mógł pójść rekonesans uczynić. Jak nie... – Nie skończył, rozkładając ręce.

– Przyjadę – zapewnił szlachcic.

Z godzinę jeszcze rozmawiali, analizując to, co usłyszeli od mnicha. Nadal niejasne było, dlaczego zginęła Anna Wierzbowska. Czemu też służyć miały wcześniejsze mordy i porwania. Jedno zdawało się prawie już pewne, że za wszystkim stoi Giurgiu Barda. Jego zaś mocodawcą był starosta doliński, kasztelan przemyski i podczaszy królewski w jednej osobie, Serafin Krasicki. Człowiek mający tyle władzy i koneksji, by każdej sprawie łeb ukręcić. Za nic to miał jednak Żegota, gdy wspomniał śmierć swojej rodziny. A o sprawiedliwość gotów był i u diabła się upomnieć. Nie wiedział jeszcze, że gorsza niż z czartem czeka go sprawa.

## ROZDZIAŁ X

### ZDRADA

Dwór w Rokietnicy miłe dla oka sprawiał wrażenie. Zbudowany na wzniesieniu, otoczony był ziemnym wałem i palisadą. Drewniana brama zwieńczona wieżą. Za nią droga wprost wiodła do domostwa. Nie było na pierwszy rzut oka obszerne. Niskie, przysadziste, mocno w ziemi osadzone na kamiennej podmurówce. Dach gontem kryty, a pod nim ściany bielone. W narożnikach wysunięte alkierze. Gdy kto się przyjrzał, od razu dostrzegał, iż bogata to majątność. W oknach wszystkich były szyby wstawione ze szkła kolorowych. Ganek kamienny, a nad nim solidny dach wsparty na dębowych balach. Wkoło drzewa stare, które świadczyły o długowiecznej historii rodu. Porządek i czystość wszędzie panowały, gdyż gospodarstwo w innym miejscu było położone. Ścieżki żwirem i otoczakami wysypane, a przy nich zadbane zielniki, w których pierwsze kwiaty się rozwijały. Nadto tak był dwór ustawiony, iż słońce zgrabnie go oświetlało, przydając mu jeszcze urody. Takim dostrzegł go Nadolski, kiedy przez bramę wjechał. Lecz omyłne było to sielskie wrażenie. Gdyby uzupełniała je codzienna krzątająca służba, zwyczajność dnia wiejskiego, to wówczas można by westchnąć z zachwyty i spocząwszy pod jedną z ogromnych lip, oddać się rozmyślaniam. Jednak nie było wkoło żadnej wesołości. Zachęcała do niej przyroda, ale ludzkie sprawy i troski nie pozwalały włączyć się w tę wiosenną zabawę z promieniami słońca. Znać było ten kontrast żałoby i rodzącego się z zimy życia. Tym więcej czuło się smutek, niczym czarną plamę na jaskrawym płótnie obrazu.

Żegota zsiadł z konia i wodze uwiązał do sterczącego pala. Nikt nie wyszedł mu na spotkanie. Wstąpił więc na ganek i zakołatał. Głucho załomotała żelazna obręcz o solidne drzwi dębowe nabite ćwiekami. Jakby do grobowca ktoś pukał. Zaszemrało gdzieś w sieni, a potem otwarły się wrota. Młoda służka z niepokojem i pytaniem w oczach zerknęła na przybysza. Ten podkręcił węża i głosem pewnym zadał pytanie:

– Mości Dereśniak w domu?

Panna pokręciła głową. Zmieszał się w duchu Żegota, lecz poznać po sobie nic nie dał.

– A gdzie jest?

– W kościele. Razem z panienką i panem Sulatyckim pojechali.

– Z panienką? – Szlachcicowi drgnęło serce.

– Panną Wierzbowską – pospieszyła z wyjaśnieniem służka.

Zdziwił się, gdyż sądził, iż dziewczyna z ojcem do domu pojechała. Nic jednak nie rzekł. Śmiało próg przekroczył, czapkę zdjął z głowy i mruknął:

– Tedy poczekam, aż wrócą.

– A waść... – Dziewczyna z niepokojem patrzyła na jego poczynania.

– Żegota Nadolski z Wygnanki. Znajomy pana Dereśniaka, który pewnikiem mnie oczekuje.

– Aha! – Panna dygnęła w ukłonie i ręką wskazała korytarz. – Wejdźcie, panie. W izbie zaczekajcie. Poprowadzę i zaraz coś z jadła podać każę.

Poprowadziła szlachcica przed wąskie drzwi. Sama je otwarła. Za nimi był pokój z obszernym stołem, a przy nim krzesła skórą wyściełane. Przy jednej ze ścian kamienny kominek, teraz pusty i wygasły. Zimą musiał cieszyć ciepłem i światłem żywego płomienia. Na przeciwnej stała masywna szafa gdańska, bogato rzeźbiona w ornamenty z kwiatów i roślin. W górnych narożnikach uwiecznione były alegorie pór roku, mające przypominać odwieczny bieg natury – odrodzenia i śmierci naprzemiennie.

Dziewczyna zniknęła, a Żegota usiadł. Ciężką szablę położył na stole przed sobą. Bezmyślnie wpatrzył się w czarną rękojeść i złożone nity trzymające drewno. Czuł zmęczenie. Prawie nie spał w noc, którą spędził w gospodzie w Rokszycach. Stiller i Murray zaraz po spotkaniu z mnichem odjechali do Arłamowa. A on przez chwilę chciał być sam, by poukładać w głowie to, czego do tej pory się dowiedział. Trudno jednak było znaleźć odpowiedzi na niektóre pytania. Nie pomagały ani wino, ani modlitwa. Wspominał Zośkę, dzieci i Rytę, która do końca nie знаła, jak z jej córką się stało. Czy cokolwiek to zmieniało, komu ją ojciec sprzedał? Choć Żydówką

była, zmówił i za jej duszę pacierz, kiedy o zbawienie swoich dzieci i żony prosił. Pomyślał, że nie zaszkodzi, a kto wie, czy pomoc nie może zagubionemu duchowi. Wszystkie nieszczęścia w jedno się łączyły. Jakby diabeł iskrę skrzesił, z której buchnął śmiertelny płomień, obejmujący coraz to innych ludzi. A teraz jemu przyszło z ludzkich prochów i popiołu odczytywać, kto był przyczyną zbrodni. Ciężka to była noc, kiedy tylko o zmarłych myślał. Świt nie dał też pocieszenia. Na konia wsiadł i pojechał dalej niczego niepewny. Dłonią przejechał po wyrobionym od ręki drewnie trzonka szabli. A w uszach brzmiały wypowiedziane kiedyś przez wiedźmę słowa: „Znajdziesz ich!”.

Sam już nie wiedział, czy prawdę mu rzekła. Jaki los zobaczyła, kiedy go dotknęła? Westchnął ciężko. Z rozmyślań wyrwało go wejście dziewczki służącej, niosącej chleb i mięso. Bez słów postawiła posiłek przed Żegotą. Wysła, by chwilę później donieść wina. Nie patrząc na nią, Nadolski zapytał:

– A pan Kruszewski to gdzie położony?

– W alkierzu – odparła krótko dziewczyna.

Już miała odchodzić, lecz zatrzymał ją głos szlachcica:

– Zaprowadź mnie.

W milczeniu poszli do narożnej izby. Służąca zatrzymała się, wskazując zamknięte drzwi.

– To tu.

Głos miała cichy i strwożony. Przeżegnała się. Młoda była, to jeszcze pewnie trupów się bała. Nic nie rzekł Żegota, tylko pchnął drzwi i wszedł do środka.

Kruszewski leżał w trumnie sosnowej. Odziany był godnie w karmazynowy żupan. Złoty pas okrywał mu biodra, zwieszając się dwoma końcami przez nogi. Wysokie buty błyszczwały. Ręce na piersi złożone przytrzymały niezapaloną gromnicę. Gość głowę pochylił i podszedł bliżej. Głucho zabrzmiały jego kroki na drewnianej podłodze. Spojrzał na woskowo bladą twarz. Znać było w niej ślady niedawnej urody zmarłego.



Tylko rana na lewej stronie głowy zakłócała harmonijne rysy. Głęboka, równa. Ciągająca się od oczodołu, nad uchem, by zniknąć pod czarnymi włosami. Czerwieniła rozplątana skóra, białeły pod nią kości rozłupane, a pod nimi przeświecał odsłonięty mózg. Mocne musiało być uderzenie. I pewną ręką zadane. Żegota westchnął i pod nosem szepnął modlitwę za duszę zmarłego. Ot, krótki był żywot pana Andrzeja! Jak iskra błysnął, dając nadzieję czynów bohaterskich i, jak papier, zgasł szybko. Krótkotrwała była jego sława, nieszczęsna miłość. A teraz leżał martwy, obojętny już na niedole żywota. Może i ukojenia zaznał, a w lepszym świecie spotkał się z Anusią Wierzbowską? Mało w to wierzył Nadolski, choć bardzo by chciał. Śmierć jawiła mu się jak odejście w nicość. Jeśli nawet co tam było, to nic już nie znaczyły w zaświatach ziemskie sprawy. Przełknął ślinę, a w ustach poczuł nieznośną, dławiącą słodkość, znaną tym, co na śmierć nagłą, brutalną mogli patrzeć. Objawiającą się wraz z dojmującą świadomością nicości i kruchości ludzkiego życia. Żegota westchnął i dłonią po twarzy przejechał. Przegnał myśl smętną, gasząc ją w duchu słowami, że tak być musiało i jeden dla wszystkich jest koniec. Śmierć nieuchronna. Pokiwał posępnie głową, by w końcu odwrócić się i wyjść.

Przed drzwiami czekała trwożliwa służka. Bez słów poprowadziła gościa z powrotem do izby, gdzie mu podała jedzenie. Tam samego go zostawiła. Smutna cisza wkoło nastąpiła. Nadolski pochylił się nad stołem i polał wina. Napiwszy się solidny łyk, jął się posilać. Bezwiedne były jego ruchy, gdyż myślami krążył przy sprawach odległych od smętnego dworku w Rokietnicy. Czas płynął powolnie.

W dwie godziny wrócił gospodarz z kościoła. Wraz z nim Agnieszka Wierzbowska i Sulatycki. Już przed dworem służki uwiadomiły pana Dereśniaka o czekającym go gościu. Prędko też tedy wszedł do domostwa, a znalazłszy przybysza, w milczeniu uściskał go serdecznie. Krótkie było z panną przywitanie, gdyż szybko do swojej izby odeszła. I rad, i nierad był temu siwowłosy szlachcic. Został zaś z panem Stanisławem Wawrzyniec Sulatycki, który wylewnie powitał Żegotę. Znać było, iż ciekawy jest stary powodów, dla których oficerowie ze Lwowa jego kompana w Rokszycach

zatrzymali. Nie o tym jednak z początku rozmawiali. Dereśniak jął żale wylewać na nieszczęścia, co dom jego dotknęły za sprawą śmierci panny. Pogrzeb w Sanoku, który hańbę nań ściągnął, a teraz zgon młodego szlachcica. Zdawać się mogło, że bardziej jednak od tych strat bolesnych myślał majątny gospodarz o gniewie możnego sąsiada, który mógł urazę w sercu chować. Podkreślał przeto, iż Kruszewski służbę mu wymówił i nie on winien jego postępkowi szalonemu. Pan Wawrzyniec kiwał głową jedynie, co rusz zerkając na Żegotę. Dowiedział się także Nadolski, iż pana Andrzeja nie będą w Rokietnicy chować. W kilka dni chciał pan Dereśniak ludzi z ciałem wyprawić, co zawieźć je mieli do rodzinnych stron Kruszewskiego na Podlasiu, do wsi Kruszewo, skąd ród swój wywodził i gdzie ojciec jego, Jan, gospodarował. Nad wyraz rzeczowo mówił przy tym pan na Rokietnicy o kosztach i trudach, jakie ponieść musi, co chwila podkreślając, iż z serca to czyni, bo wielką zawsze miał dla pana Andrzeja życzliwość. Okazania w Przemyślu także nie uczyniono, co dziwne się zdało, lecz pan Stanisław tłumaczył pokrętnie, iż krewni to uczynić powinni, a on z sumienia szlachetnego i dobroci wrodzonej jedynie pomaga. Znać było, iż bardziej kłopotu chce się pozbyć prędko, niż uczynić coś, co mogłoby się staroście dolińskiemu nie spodobać. Pytał też, niby z troską, lecz z obawą w głosie, co też Nadolski zamierza i czegoż się dowiedział, ale Żegota, wysłuchawszy jego długiego monologu, zbył go, iż zaraz do siebie, do Wygnanki wraca, bo też roboty huk go czeka. Zadowolilo to pana Dereśniaka, choć może i nie do końca wierzył. Na koniec gospodarz na obiad prosił, a sam, pożegnawszy się, odszedł dopilnować służby. Został Nadolski z Sulatyckim, którego zaraz o sługi swoje zapytał. Stary powiadomił go, iż w gospodarstwie nocowali, deklarując, że zaraz tam gościa zaprowadzi. Tak i wyszli w końcu ze smutnego domostwa.

Słońce mocniej grzało. Choćby i kto nie chciał, podświadomie milej się w duszy robiło na myśl o nadchodzącej obfitości życia. Zieleniały i pęczniały pąki, świeże liście radowały delikatną barwą. Głębiej odetchnął Żegota pachnącym powietrzem, a świat wydał mu się prostszy niż przed chwilą, kiedy siedział samotny w izbie. Póki siły ma, póty prosta mu droga i każdą przeciwność pokonać zdoła. W końcu też zadał Sulatycki pytanie o rozmowę

z cudzoziemcami. Siwowłosy szlachcic najpierw upewnił się, że stary niczego nie powtórzy, a potem mu rzecz całą opowiedział. Zamyślił się pan Wawrzyniec dłuższą chwilę. W końcu zaś westchnął głęboko i wyrzekł posępnie:

– Tedy mniemasz waćpan, że pan starosta wszystko to sprawił?

– Nie może być inaczej! Ów Barda tylko jego rozkazów słucha. Jeśli pannę porwać kazał, to za sprawą pana Krasickiego – potwierdził Żegota.

– Ale po cóż miałyby to czynić? Po cóż...?

– Tego się dowiem – mruknął Żegota.

Znów milczenie zapadło. Sulatycki czoło marszczył i drapał się po głowie.

– I cóż waszmość uczynić zamierzasz? Słowem ręczę, że nikomu nie rzeknę!

– Do Arłamowa jadę. Tylko Semka z Bejdą zabiorę i w drogę ruszam.

– A co dalej?

Nadolski wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Z owymi oficerami ustalę. Jedno pewne, nie odpuszczę. Dopadniemy owego Wołocha!

– Jak i pan Kruszewski, nieszczęśnik... – wysapał stary szlachcic.

– I za jego krzywdę – odparł na to Żegota.

Sulatycki pokiwał głową. Ważył coś w myślach. Niepewnym głosem wyrzekł:

– Może by po pana Wolskiego posłać?

Nadolski przystanął i zmrużył oczy.

– A po cóż?

– Krewny to jest pana Kruszewskiego – począł wyjaśniać stary. – Dragonów pod sobą ma. A sam waćpan wiesz, że i Barda ma swoich ludzi. Jakże to w piątkę poradzić macie? Niepodobna, jeśli pan Krasicki za zbrodniami stoi! Sameś waszmość rzekł, iż teraz każdego, który by na drodze stał lub za dużo wiedział, usunąć każe.

Żegota przygryzł wąsa i zastanowił się.

– A pójdzie? Bo to i ryzyko jest. On porucznik dragoński, władzy hetmańskiej podlega. Długie może mieć pan starosta ręce. A w wojsku sprawa prosta. Łatwo można głowę stracić.

– Pójdzie! – zapewnił Sulatycki. – Mało go waszmość poznałeś, kiedyście Bernata ścigali. Ale zacny to człowiek, a dla pana Andrzeja wiele by uczynił! Jenemu trzeba mu sprawę odpowiednio przedstawić. Że nie przeciw władzy starościńskiej, tylko żeby Bardę, mordercę panny i jego krewniaka, schwytać.

– Może i tak... – Nadolski pokręcił głową. – Ale mnie nijak do niego jechać, szukać, gdzie na kwaterze stoi.

– To ja pojedę! – zwołał na to pan Wawrzyniec.

Siwowłosy szlachcic spojrział na niego zdziwiony.

– Jakże to? Przecie waszmość u pana Dereśniaka jesteś teraz potrzebny. Z tego, co mówił, zdało mi się, iż pilnować masz transportu zwłok pana Kruszewskiego.

Stary chytrze zmrużył oczy.

– Znam ja pana Stanisława! Rzeknę mu, iż krewniaka pana Andrzeja powiadomić trzeba o wszystkim. Niedaleko to. Tedy sam się zaoferuję na posłańca. Ani chybi się zgodzi. Tylko mi waszmość powiedz, że nie jesteś przeciwny!

– I co dalej?

– Dalej? Powiem panu Krzysztofowi, żeś do Arłamowa się udał. A on niechybnie z ludźmi tam pociągnie. Jak mi Bóg miły, nie może być inaczej!

– Może to i dobra rada... – Nadolski zastanowił się i zamilkł.

– Jedyna! – podchwycił stary.

Żegota niepewnie skinął głową. Nie do końca przekonany, powiedział jednak:

– Więc jedź, mości Sulatycki. Jeśli ci się uda, to każda pomoc się przyda. Jak mu wola będzie, niech ruszy do Arłamowa.

Otyły szlachcic uśmiechnął się i aż po bokach klepnął. Sapnął radośnie, bo też każdemu miło, kiedy jest się potrzebnym, tym bardziej zaś tym, co w wieku posunięci. Żegotę zaś inne od przybycia frapowało pytanie. Układał

w głowie słowa, by jak najlepiej je zadać. Tak by nie poczuł Sulatycki, iż bardziej go sprawa obchodzi, niż powinna.

– Aaa... A panna Wierzbowska to z jakiej przyczyny została? – wycedził w końcu niby obojętnym głosem.

Stary ręką machnął.

– Aż mówić wstyd, mości Nadolski.

Żegota spojrzał pytająco. Kręcił głową Sulatycki, brwi marszczył. Chwilę dobrą miny stroił.

– Nie wiem, jak rzec, tedy po prostu powiem – wystękał. – Przysłał pan Krasicki list staroście szadeckiemu, iż skoro panna Anna nie żyje, tedy, w imieniu pana Potockiego, jej siostrę, Agnieszkę, o rękę prosi.

– Co!?! – Nadolski stanął jak wryty.

Otyły szlachcic aż poczerwieniał z zażenowania.

– A tak, mości Żegota.

– Pewnie odmówił ojciec panny?

Sulatycki wolno głową pokręcił.

– Nie może być! – zawołał Nadolski, głośniejszym głosem niż powinien.

– Może, bo jest. Panu Dereśniakowi na rękę, bo w strachu, że pan Krasicki zły na niego. A tak gniewu uniknie. Mówią nawet, że panu staroście chce Rokietnicę odsprzedać, żeby młodym tu miejsce zrobić.

– Jezus Maria! Przecie tamta nawet ostygnąć nie zdołała!

– Tedy i czas żałoby mają odczekać – wyjaśnił rękodajny. – A pozostałe ustalenia w mocy są utrzymane.

– I co panna na to? – zapytał Żegota.

– A co ona może? Postanowił ojciec, zostać nakazał. To i siedzi posłusznie. Błada, chuda. Nie mówi nic prawie.

Nadolski przygryzł wargi i głową z niedowierzaniem kręcił. Wspomniał spotkanie w Sanoku, a żal jakiś serce mu ścisnął za czymś, co nigdy jego nie było, a czuł jakby utracił. Zbladł, westchnął głęboko, głowę smętnie opuścił. Patrzył na niego niepewnie Sulatycki. Powoli pojmosfera zaczęła, iż nie tylko

panu Kruszewskiemu jedna z Wierzbowskich w duszy siedziała. Nie spodziewał się tego. Tym bardziej zmilczał. Bo co tu rzec, kiedy magnaci sprawę ułożyli, a jakiemuś szarakowi nie wiedzieć co się roi. Tak był ten świat stworzony i rady na to nie było. Aż nadto dobrze to wiedział, bo w swoim długim życiu niejedno już widział. Nie mówiąc już nic, doszli do zabudowań gospodarskich. Tam Nadolski znalazł Semka z Bejdą. Nakazał konie do drogi szykować, oznajmiając, iż tyle co po obiedzie pojedają. Nie powiedział dokąd, a słudzy nie pytali, widząc jego minę ściągniętą i lewy kąt ust bardziej niż zwykle obwisły. Lada co mogło Żegotę do wybuchu doprowadzić. Niespiesznie do dworu ruszył, gadając z Sulatyckim o rzeczach codziennych, zwyczajnych. Ani Żegocie w głowie było wracać do trudniejszych tematów, bo w myślach kłął siebie za niewczesne rojenia i własną głupotę. Każdy jednak wie, iż serce nie sługa.

Obiad może nie był wystawny, lecz w sam raz taki, jak na dzień zwyczajny przystało. Nadolski półsłowami tylko na pytania odpowiadał. Nie krył, że spieszo mu do wyjazdu. Zrzucił to na niepokój, co w jego majątności się dzieje, i konieczność dopilnowania chłopów przy odbudowie. Dereśniak chwalił jego troskę i zapobiegliwość. Tylko panna spoglądała na niego ukradkiem. Zdawała się zdziwiona, a z oczu wciąż wycierał jej smutek. Żegota starał się usilnie nie patrzeć w jej stronę. Niewiele wina spróbował, a zjadł tylko tyle, by głodu nie czuć. Prędko też gospodarza przeprosił za pośpiech, usprawiedliwiając się, że w drogę mu już pora. Niby to zatrzymywał pan Dereśniak, niby zaklinał, że nie puści, ale raczej dla dobrego obyczaju to czynił niż z serca porywu. Zapytał tylko, czy w pożegnaniu pana Kruszewskiego nie zechce uczestniczyć, który miał być w dwa dni do stron rodzinnych wyprawiony. To jedno mogłoby Żegotę do pozostania naprawdę skłonić, lecz odrzekł, iż pożegnał się już ze zmarłym, a u siebie mszę za jego duszę zamówi. Przygryzła wtenczas usta panna Agnieszka. Oczy jej błyszczeć poczęły. Chciałby Nadolski prawdę jej powiedzieć, by nie myślała, iż obietnicę łamie. Nie dało się jednak tego uczynić w towarzystwie. Widział to Sulatycki, a że zmyślnego umysłu, jął zagadywać pana Stanisława o różne sprawy gospodarskie, czemu i ten rad był, bo dbał o swoją majątność. Tak że w końcu pod jakimś pozorem,

wyciągnął na chwilę Dereśniaka z izby. Nadolski sam został z panną. Pochylił się nad prawie pustym talerzem, udając, iż jedzeniem zajęty. I pannie nieskoro chyba było mówić. Siedzieli w milczeniu. W końcu, nie podnosząc oczu, mruknął głucho Żegota:

– Słowa danego waćpannie w Sanoku dotrzymam.

Nic nie odpowiedziała. Spojrzał więc na nią, by choć z twarzy wyczytać, co myśli. Patrzyła na niego z poważną miną. Lekko głową skinęła. Potem oczy spuściła.

– Słyszałeś już waćpan?

Przełknął ślinę, bo zrozumiał pytanie. Udał jednak, iż nie wie, o co idzie.

– Cóż takiego?

– O moim zameńciu.

Zmarszczył brwi, a głos drgnął mu mimo woli.

– Tak.

Znow cisza nastąpiła. Jakby wszystko już zostało powiedziane.

Zza drzwi dobiegły głosy wracających Sulatyckiego z Dereśniakiem. Weszli, a stary zerknął ukradkiem na Żegotę. Ten wstał i skłonił się niezgrabnie.

– Jechać mi pora! Za gościnę dziękuję. Zawsze do usług waszmość pana jestem i do siebie proszę, jeśli kiedy droga przy moim domu wypadnie. A nawet jak i nie wypadnie, to radość mi waćpan sprawisz.

Popatrzył na rękodajnego.

– I waćpana rad zobaczę, bo pomnę, coś dla mnie uczynił z panem Andrzejem. Do śmierci dłużnikiem będę.

Skłonił się ponownie. Spojrzał na siedzącą dziewczynę.

– A waćpannie życzę... Wszystkiego dobrego życzę waćpannie.

Odwrócił się gwałtownie i nim kto coś odpowiedzieć zdołał, wyszedł, zagryzając usta. Czym prędzej chciał odejść.

Pojechali traktem na Przemyśl, gdzie pod miastem Żegota zanocował ze sługami. Przed świtem ruszyli przez Kormanice<sup>[60]</sup>, lasami, aż na Arłamów.

Nie zatrzymywał się Nadolski na popasy, bo spieszno mu było. Semko z Bejdą cicho siedzieli. Dopiero jak zamek Fredrów minęli, wyjawiał im szlachcic, dokąd ich droga prowadzi. Nie wdawał się w szczegóły, oznajmiając tylko, że do bitki dojść może. Pocztowy wzruszył na to obojętnie ramionami, a po Tatarze jak zwykle nic nie można było poznać.

Przejechali przez lasy gęste, pełne buków i ogromnych jodeł. Teren raz wznosił się, raz opadał. Nieliczne były siedliska ludzkie, a i te małe, bo jeszcze przed najazdem Tatarów lisowczycy tu grasowali. Potem zaś lepiej też w tych stronach nie było. Częściowo po wsiach Niemców osadzano, licząc, iż swoją zmyślnością prędzej nieużytki zagospodarują. W większości jednak byli tu Rusini. Własnym też porządkiem wsie dawniej zakładano, na ruskim prawie, które potem dopiero wołoskim zastępowano. Do lat niedawnych wieś Arłamów była własnością Arłamowskich, co się od Herburtów wywodzili, lecz za długi przejął ją Iwan Kopystyński. Mówiono, że nazwa osady pochodzi od jeńców tatarskich, których dawno temu w okolicy osadzano, a których arłamami zwano. Teraz jednak prawosławni w niej żyli.

Sama wieś nad potokiem leżała. Mała była i uboga, bo też nie dbali o nią Arłamowscy. Jedynie dwór obronny godniej się prezentował, choć i on wymagałby poprawy. Wznosił się na górcie, wśród łąk i pól odsłoniętych, z widokiem na wszystkie kierunki. Jak większość w tych stronach otoczony umocnieniami, z wieżami i palisadą drewnianą wokoło. Nie dało się inaczej, bo często najazdy się zdarzały, jak nie tatarskie, to kup swawolnych żołnierstwa czy sąsiadów. W takim obwarowaniu i chłopci okoliczni znajdowali ukrycie na czas niebezpieczny, o ile w las nie uszli.

Słońce kwietniowe dogrzewało, a widok wkoło przykuwał oczy. Hen daleko ciągnęły się drzewa nieskończonej puszczy na falujących aż po horyzont wzniesieniach. Piękne było miejsce, lecz z racji pustkowi wokoło bardziej od innych niebezpieczne.

Jeźdźcy wjechali przez bramę otwartą, a Żegota rzucił niedbale wodze chłopu, który stał nieopodal. Dworek z modrzewiowego drewna, solidny, z małymi oknami i otworami strzelniczymi, gontem kryty. Wejście jeno



jedno, osadzone w dębowych framugach, z drzwiami gęsto ćwiekami żelaznymi nabitymi. W narożach przysadziste alkierze, bardziej dla obrony niż urody przydane. Wystając w przód, dawały możliwość strzelania do tych, co drzwi ośmieliliby się forsować. Zdatny był dwór do odpierania ataków, choćby i niewielką załogą. Tym bardziej że od środka obwarowania wokoło grube i solidne się wydawały. Może i dawno postawione, ale wiele jeszcze lat mogące dobrze służyć. Udało się domostwo panu Kopystyńskiemu. Trafiło się jak ślepej kurze ziarno. Bo też Żegota pamiętał z Sanoka szlachcica, który ni posturą, ni zachowaniem nie wyglądał na człowieka wojennego.

Nim zdołał do drzwi podejść, wybiegł na podwórze Stiller i ramiona rozłożył. Uścisnął serdecznie przybysza. Za nim też wytoczył się z dworu gospodarz, który, choć nie znając przecie Nadolskiego, z równą serdecznością jął się witać. Pokrzykiwał przy tym, iż druh jegomości Stillera, który najlepszym przyjacielem jest jakoby niepozornego szlachcica, najmilszym jest gościem w Arłamowie. Tylko Murray powoli wylazł, nie włączając się do powszechnej wylewności. Mniej był widać pijany od chudego oficera i Kopystyńskiego. Uśmiechając się pod nosem, dłoń Żegocie uścisnął. A okiem mrugnawszy, ruchem głowy wskazał na pozostałą dwójkę.

– Wesoło, jak widzisz, waszmość.

Żegota skrzywił się nieco. Nie dana mu była jednak chwila wytchnienia, albowiem Iwan Kopystyński pod ramię go chwycił i jął ciągnąć do domostwa, gościnę huczną na cześć szlachetnego przybysza zapowiadając. Co było robić. Poddał się losowi Nadolski, by już na wstępie niczym gospodarza nie urazić. Schylając głowę, wszedł do środka przez niskie drzwi i prowadzony wciąż przez mizernego pana brata dotarł do izby gościnnej, która apokaliptyczne wręcz wrażenie sprawiała. Na stole dzbany i butle stały, pomiędzy nimi misy z jedzeniem, które też po podłodze gdzieś się wałały. Jakiś nieznany gruby szlachcic siedział pod ścianą, z głową na piersi spuszczoną. Nie wiadomo, czy spał, czy też przytomności z nadmiaru trunków nie miał. Nad nim stróżowały przybite do ściany rogi jelenie. Na innych ścianach również były trofea myśliwskie oraz bez ładu i składu broń różna porozwieszana.

Kopystyński zaciągnął Żegotę na krzesło i natychmiast wina mu polał do pucharu, w którym najmniej kwarta się mieściła<sup>[61]</sup>. Pokrzykując, zachęcił do wypicia na powitanie. Chcąc nie chcąc, wznosił więc Żegota toast za zdrowie szlachetnego gospodarza i kielich przechylił. Prędko wszystko się działo. By szlachcica nie urazić, do dna wypił, co też zachwyty wzbudziło Kopystyńskiego, który natychmiast podskoczył uzupełnić naczynie. I Stiller zdrowo wypił, wznosząc toast za nowo przybyłego. Murray zaś niedbale wznosił kielich, wlewając w swoje obfite ciało godną porcję napitku. Zrozumiał Żegota, iż Szkot równo ze wszystkimi pewnie biesiaduje, ale głowę ma mocniejszą. Zasiadli wszyscy w końcu u stołu. Poszły kolejne toasty. Nadolski między nimi sięgnął po jedzenie, bo poczuł, że prędko obok pijanego pod ścianą może się znaleźć, jeśli żołądka czym nie wypełni. Kopystyński bełkotliwie głosił swą radość z wizyty zacnych przyjaciół, co rusz podkreślając, iż wszystkim się gotów podzielić, bo bliżsi mu goście od krewnych. Chudym ramieniem kielich wznosił i nie żałował sobie trunku. Raptem nieco po południu było, pomyślał więc Nadolski, iż pewnie biesiada nieprzerwana trwa od przybycia do Arłamowa cudzoziemców. Dziwne mu się wydało takie Bardy szukanie. Ale że w głowie mu zaszumiło już kielich, co go pierwszego wznosił, ręką machnął. Ozwało się w jego duszy to, co każdemu się po winie odzywa. Odwieczne i niezmiennie wtenczas przemyślenie, że jakoś to będzie. Tylko Murray łypał na niego z ironicznym grymasem na ustach. Niewiele więc dumając, przepił Żegota do niego, wznosząc słowa pochwalne dla zacnych Szkotów, którzy ojczyznę nową w Rzeczypospolitej znaleźli. Potem i za Saksończyków trzeba było wypić, by Stillera nie urazić. A za tym i zdrowie gospodarza, który przecie najważniejszy był ze wszystkich. Zakręcił się świat dokoła. Nawet myśl o nieszczęsnym zameściu Agnieszki Wierzbowskiej już tak straszna nie była. Może to ją nieświadomie chciał tak naprawdę Żegota zgubić? Odpychał na chwilę trunek co złe. Każdemu czasem trzeba takiego ogłupienia.

Ze dwie godziny minęły, nim wysoki oficer bełkotliwym głosem oznajmił, iż zna pan Kopystyński, gdzie jest leśniczówka, co ją ojciec pana starosty dolińskiego wykorzystywał na czas polowań. Chudy szlachcic natychmiast podchwycił, schylając się ku Żegocie, aż mu wino z przechylonego

nadmiernie kielicha pociekło.

– Znam... Prawdę pan Stiller mówi! Posłuchaj mnie tu waszmość! Niechybnie poprowadzę! Choćby i teraz, jak wola wasza! Posłuchaj mnie tu! Na uroczysku to jest... Tam gdzie ów łoś, co ludzi ubija... Ale co mnie tam łoś! Szlachcic jestem! Skurwysyna rach, ciach... – machnął zamasyście kielichem, rozlewając resztę trunku na stół i ściany – ...potnę! A łeb... – rozejrzał się po ścianach nieprzytomnie i ręką drżącą, niepewną pokazał – ...o tu zawiesić każę!

– Ubijemy! – podchwycił Stiller i pięścią w stół walnął.

Drgnął nieznany szlachcic pod ścianą, rękami zamachał, jakby się od czegoś odganiał. Nie otwierając oczu i on bezrozumnie zawołał:

– Ubijemy skurwysynów!

Murray spojrzał na Nadolskiego. Głosem cichym mruknął:

– Jutro ma nam dać gospodarz chłopa, co nas poprowadzi.

Żegota skinął głową. Starał się, by przytomnie wyglądała jego milcząca odpowiedź, bo choć umysł nadal zdawał mu się jasny, to ciało mogło już własnymi się rządzić prawami. Tymczasem Kopystyński usiadł. Powiódł wkoło pustym spojrzeniem.

– Łoś ten... Pięciu myśliwych poszło! Pięciu! Imaginujcie sobie! Jeden tylko ostał, ale i tak umarł! Na rogi nadział i tak nosił! Jak... – zmarszczył czoło, bo widać pustka mu w głowie nastąpiła i wywiało z niej wino, co rzecz miał – ...jak na widłach! – Sapnął zadowolony, że skończył.

Na powrót poszły w ruch kielichy. Wołał Stiller, przekrzykując się z Kopystyńskim. I Żegota w bezładną gadaninę się włączył. Plątał historie gospodarz. To raz o pannie bezgłowej mówił, to o sąsiedzie jakimś, który go procesami nęka, by zaraz na powrót łośia diabelskiego wspomnieć. Nie wadziło to chyba pijanym, którzy jasność jakąś w tym bełkocie odnajdywali. Gościna trwała w najlepsze.

Nie spodziewał się tego Żegota, gdy naraz poczuł pod stołem kopnięcie. Zrazu pomyślał, że Stiller przypadkiem go trącił, więc nic sobie nie robił, ale kiedy ponownie się to stało, oprzytomniał nieco i spojrzał uważnie. Oficer

niby to gadał z Kopystyńskim, lecz oczami na drzwi znacząco wskazał i głową, prawie niezauważenie, ruszył. Pojął w końcu Nadolski, że chce wyjść. Mruknął coś więc bełkotliwie, podniósł się chwiejnie i oznajmił, iż za potrzebą idzie. Płasały i kołysały się ściany. Nierówną podłogą szły nogi, lecz trzymał się jeszcze.

Wieczne powietrze owionęło mu twarz. Zaczerpnął głęboki oddech. Stał pod ścianą dworzyszczą, opierając się o nią plecami. Pusto już było na podwórzu. Ze dwa pacierze czekał, nim wytoczył się z domostwa Stiller. Zerknął to w lewo, to w prawo, by w końcu spostrzec Żegotę. Podszedł bliżej, spojrział zmrużonymi oczami i ciężko rękę na ramieniu szlachcica położył.

– Kurwi syn... jak tylko trzeźwieć zaczyna, to chłopą przewodnika dać nie chce...

Głowa Saksończyka dwakroć ciężko opadła i z wysiłkiem się uniosła. Choć dotarła informacja do mózgu szlachcica, nie bardzo mógł poskładać jakieś zdanie w odpowiedzi. Wybełkotał tylko:

– Dlaczego?

Stiller wykrzywił wargi i głową pokręcił.

– Boi się... skurwysyn... opój jebany...

Żegota sapnął głośno, niby zastanawiając się, aż wydukał:

– Siłą, kurwa, brać... siłą...

Podniósł oficer dłoń z ramienia siwowłosego kamrata i machnął nią niezgrabnie, z rezygnacją.

– Aaa tam... siłą...

– A czegoż się... boi?

Odpowiedzią było wzruszenie ramion.

– Pies go wie... Niby gada... Niby las przeklęty...

– Niech pokaże, dokąd iść... Sami damy radę...

Stiller zacisnął wargi i pokiwał niemądrze głową. Przypomniał sobie o czymś Żegota. Bez związku zupełnie wysapał:

– Dragoni może przyjadą.

Aż w tył się odchylił z wrażenia sługa biskupi. Ręce po bokach z otwartymi dłońmi rozłożył, dając znak, że nie rozumie, o co idzie. Zachwiał się przy tym tak, iż mało nie upadł. Pospieszył więc Nadolski z wyjaśnieniem nieskładnym:

– Posłałem po dragonów... Oficer ich krewny pana Kruszewskiego...

Zdało mu się, że Saksończyk nie słucha. Przetarł garścią zapitą twarz, ponownie się zachwiał, a potem odwrócił bokiem. Machnął ręką, mrużąc:

– Wracajmy... Kurwa mać...

Tak i poczłapał za nim Żegota z powrotem.

Noc już była, kiedy spać się pokładli, jak kto mógł i gdzie chciał. W ciemności nakrył się Żegota czymś, co mu się jaką skórą zwierzęcą zdało, i ułożył w kącie. Czuł, jakby go kto do beczki włożył i z góry sturlał. Niedobrze mu się robiło. Wstał więc i po omacku, rękami szukając wyjścia, dotarł do drzwi. Wytoczył się na podwórze, padł na kolana i rękami się podparł. Palec do gardła wraził, by co prędzej przykrego ciężaru się pozbyć. Długo szarpał mu się żołądek. Dawno wina tyle nie wypił co teraz. W końcu otarł usta przedramieniem i uniósł głowę.

Gwiazdy świeciły na niebie. Takie, jakie tylko w tych stronach można zobaczyć. Jakby bliższe, jaśniejsze i wyraźniejsze. Odetchnął głęboko i na nogi stanął. Lepiej mu już było. Nie chciał jednak do dworu wracać i na powrót drogi w mroku szukać. Noc była ciepła. Rozejrzał się, dostrzegając widniejące w ciemności kontury zabudowań gospodarskich. Sapnął i tam bezładne kroki skierował, marząc o miękkim sianie. Dotarł w końcu do wrót, które mu się wejściem do stodoły zdały. Szarpnął, lecz ani drgnęły. Zaklął pod nosem. Wodząc ręką po ścianie, poszedł wzdłuż budynku. Doszedł na koniec do drabiny, która na strych wiodła. Spojrzał w górę, gdzie na tle nieba odbijały się małe odemknięte drzwiczki. Niezgrabnie stopą przymierzył. Pierwszy raz zsunęła się ze szczebla. Skupił się więc w sobie, zęby zacisnął i jął piąć się w górę. Drabina chwiała się, jak mu się wydało, a może to i on raz w lewo, raz w prawo się kiwał. W końcu, pijackim szczęściem wiedziony, dopełził na górę. Bezwładnie zwałił się na deski, z radością wyczuwając

miękkie siano pod sobą. Westchnął, a nim ponownie dech zaczerpnął, już spał.

– Ocknij się!

Otworzył oczy, jakby kto go za ramię szarpnął, i usiadł gwałtownie. Szarzało. Noc zamieniała się w dzień. Ból w głowie szybko przywrócił mu przytomność. Przypomniawszy sobie sen męczący i Rytę, która pochylona nad nim w ucho szeptała mu gwałtownie:

– Ocknij się!

– Sen, mara... – mruknął cicho pod nosem i objął zapity łeb rękami.

Zamarł przez chwilę w tej pozycji. Wokoło żaden dźwięk nie drażnił wrażliwych uszu. Pomyślał, że pora wrócić do dworu, bo w gardle paliło go pragnienie. Już oparł się, by powstać, kiedy nagle szmer jakiś doszedł go z podwórza. Znieruchomiał. Powoli podpełzł do drzwiczek, przez które wlaź tu nocą. Na zewnątrz nie dostrzegł nikogo. Już myślał, że przesłyszał się pewnie, kiedy usłyszał miękki dźwięk stąpających powoli końskich kopyt. Blisko. Tuż przy ścianie budynku. Wyteżył słuch. Ucichło na chwilę. Potem jakieś drzwi skrzypnęły. Niewyraźnie dobiegło z dołu słowo powitania. Choć szeptem powiedziane, niosła je poranna wilgotna cisza. Krótka była rozmowa, ale Żegota w mig wytrzeźwiał, słysząc kolejne zdania:

– Powiedz swojemu panu, że już może drogę pokazać.

– Dziś?

– Tak. Dzisiaj trzeba.

– Jak przetrzeźwieje, pójdę.

Krótki, urwany śmiech.

– Moczymorda jebany. Zapłatę jak zwykle dostanie. Może mu co Giurgiu dorzuci. Ale niech gębę na kłódkę zawrze.

– A tamci?

– Nie twoja rzecz!

Zabręczała końska uprząż. Kopyta głucho zastukały po ziemi, aż ucichły. Stojący na dole zaklął pod nosem. Nadolski nie widział, kto to. Drzwi skrzypnęły i cisza zapadła na powrót. Siedział oszołomiony, rozumiejąc, że

Kopystyński współdziałał z Wołochem. Nagła jasność ogarnęła mu umysł. Oto o klątwach i duchach bajając, siał strach przed okolicznym lasem. Po to, by śmiazków zniechęcić. Pannę bezgłową do Sanoka też pewnie z rozkazu czyjś powiózł. Już wtenczas dziwne mu się zdało, że chciało się szlachetce trupa na okazanie dostarczać. Każdy raczej wzrok by odwrócił i udał, że nie widział. Bo to i kłopot tylko dla obcego. Rodziny rzecz sprawiedliwości dochodzić. Może i nawet wiedział, kto zbrodni dokonał. Albo sam w niej uczestniczył. Żegota zacisnął pięści. Gniew w nim wezbrał. Gdyby nie wiek i doświadczenie, pewnie od razu pobiegłby zdrajcę pokarać. Ale poznał, na wojnie bywając, że złość bezmyślna tylko szkodę przynosi. Gdy wróg nie zna, że jego zamiary przejrzałeś, łatwiej pokonać go idzie. Odetchnął głęboko kilka razy dla uspokojenia. Cud sprawił, iż rozpoznał fałszywego przyjaciela. I Ryta, która ze snu go wybudziła. Już drugi raz wiedźma z pomocą mu przyszła. Tyle że wtenczas, gdy był na Chreszczatej, żyła. A teraz? Wzdrygnął się na myśl, że przybyła z zaświatów. Przeżegnał się i dla spokojności pacierz za jej duszę półgłosem odmówił. Potem wychylił się powoli. Nasłuchiwał przez moment. Ale że nic nie usłyszał, ostrożnie wlaźł na drabinę. Jak najciszej stawiał nogi na szczeblach. Będąc już na ziemi, rozejrzał się. Wrota stodoły były zawarte. To stamtąd musiał wyjść jeden z tych, co gadali. Odszedł w drugą stronę. Okrążył zabudowania gospodarskie i idąc wzdłuż palisady, skierował się do dworku. Przeszedł tyłem, co rusz rozglądając się, czy go kto nie widzi. W końcu wyjrzał zza węgła. A gdy zobaczył, iż podwórze dalej puste, zakradł się do drzwi i wsunął bezszelestnie do domostwa. Dobiegło go głośnie chrapanie współbiesiadników. Powoli przeszedł do izby, gdzie ucztowali. Tam przestąpił nad grubym nieznanym, który nadal przy ścianie leżał. Z kąta, ledwie przykryte jaką derką, wystawały nogi Stillera. Nie widział Szkota, który pewnie gdzie indziej legowisko sobie znalazł. Podeszedł do ławy stojącej przy ścianie. Gdy się na niej układał, skrzypnęła. Zamarł, lecz nikt się nie poruszył. Wyciągnął się i zamknął oczy. Dumał, co teraz czynić należy. Tak doczekał do chwili, gdy pełny dzień nastał. Posłyszał pierwszą dworską krzątanicę. Służąca do izby zajrzała, coś ostrożnie wzięła ze stołu. Wyszła na palcach, by śpiących nie zbudzić i na pijacki gniew się nie narazić.

Z podwórza zaczęły dobiegać głosy. Gospodarstwo budziło się do życia.

Wstali biesiadnicy, jakby ich kto z krzyża zdjął. Śniadanie niesporo im szło, a bardziej przedkładali wodę nad inne napoje. Stiller miał oczy zaczerwienione, odznaczające się w bladej twarzy. Nadolski nadal czuł łupanie w głowie. Jedynie Murray trochę lepiej wyglądał, ale i jego rozmiary nie poradziły do końca ilości wypitego wina. Kopystyński nawet zbyt do kielichów nie namawiał. Ocknął się też szlachcic tłusty, co pół dnia i noc całą pod ścianą spędził. Okazał się nim sąsiad Iwana z Kwaszenina, co zwał się Czuryło. Osiem lat temu wieś od Herburtów kupił. Nie lepiej od innych wyglądał, choć przecie nie pił wczorajszej nocy. Rozmowa nie kleiła się zbyt do czasu, aż gospodarz na chwilę wyszedł, jakoby do obowiązków wezwany. Kiedy wrócił, twarz rozpogadzał mu szeroki uśmiech. Od razu też do rzeczy przeszedł, mówiąc, że chłopą przewodnika już daje, który Stillera z Murrayem i Nadolskim poprowadzi do leśniczówki Krasickiego, jak obiecywał. Wyraźnie ucieszył się Saksończyk i jął dziękować gorąco. Również Murray na tę wiadomość żywiej się poruszył. Tylko Żegota nadal markotnie siedział, co zrzucił na karb zmęczenia. Wiedział, że doszła już do Kopystyńskiego wiadomość, którą przed świtem przyniósł nieznany posłaniec. Nie wróżyło to nic dobrego.

Po posiłku oficerowie prędko zaczęli się zbierać, bo chcieli czym prędzej wyruszyć. Chcąc nie chcąc i Nadolski począł się szykować. Poszedł szukać Semka z Bejdą, wyrzucając sobie, że wczoraj ich samopas zostawił, nie zadbawszy nawet o to, gdzie spać poszli. Wiedział jednak, iż są zmyślni i z pewnością sobie poradzili. Nie mylił się, bo gdy ich znalazł, dowiedział się, że noc spędzili w stajni przy koniach, a z kuchni dobry posiłek im służba przyniosła. Kazał im Żegota wierzchowce szykować. Tymczasem Stiller z Kopystyńskim rozmawiali, stojąc na podwórzu z chłopem jakimś, który ręką coś na południe pokazywał. Widać to on miał iść za przewodnika.

Nadolski chciał z którymś z cudzoziemców na osobności pomówić, lecz okazja nie przychodziła. Wkoło kręciła się służba albo też oficerowie z gospodarzem gadali. Dopiero kiedy Stiller do swojego konia podszedł sprawdzić, czy dobrze przygotowany, nadarzyła się sposobność. Żegota



podszedł do niego i niby to wierzchowca taksując, pochylił się ku Saksończykowi. Mruknął cicho, iż pogadać pilnie trzeba. Stiller głową nawet nie poruszył, rzucając jedynie coś o zaletach ogiera. Pomyślał nawet szlachcic, iż go nie usłyszał, ale prośby nie powtórzył. Zamienili jeszcze kilka głośnych zdań, zanim Nadolski podszedł do swoich pachołków. Pacierz nie minął, kiedy chudy oficer, sprawdzając półhak w olstrach, mruknął głośno, że klucz do zamka diabli mu wzięli. Przeszukał sakwy, poklepał odzienie. Na powrót do dworu się skierował, zerknąwszy ku siwowłosemu druhowi. Murray w tym czasie gospodarza z Czuryłą zagadywał. Żegota zrozumiał, iż chyba nadarza się okazja ku temu, by rozmówić się z oficerem. Poszedł za nim, deklarując pomoc w poszukiwaniu. Nikt nie zwrócił na nich większej uwagi. Weszli do pokoju, gdzie niedawno spożyli śniadanie. Stiller położył palec na ustach, rozglądając się czujnie. Przeszedł się, za drzwi wyjrzał i pytająco spojrzął na Żegotę. Ten zbliżył się i wyszeptał:

– Kopystyński zdrajca. Z Bardą w układzie.

Łypnął na niego Saksończyk niedowierzająco.

– Skąd wiesz waćpan?

– O świcie człowiek przyjechał z poleceniem, że można nam już drogę pokazać. Dlatego chłopu dał. Wcześniej, mówiłeś waćpan, że niechętny był.

– Pewnyś? – zmrużył oczy Stiller.

– Tak.

– Teraz nie będziemy gadać. Udawaj waszmość, że wszystko jest jak trzeba. A ja rzecz ułożę.

Żegota skinął głową. Oficer wyciągnął z za pazuchy klucz do zamka kołowego. Wychodząc pierwszy, głośno oznajmił, iż na podłodze się walał. Głośno przy tym swoją głupotę wyklinał. Za nim wyszedł szlachcic, który poszedł zaraz do swoich koni.

W kwadrans się zebrali. Kopystyński dał chłopu lada jaką chabetę, groźnie przykazał prosto prowadzić, a potem jął żegnać wylewnie, zapowiadając, że po powrocie druhowi umiłowanych gościńcem im taką sprawi, że wczorajsza przy niej niczym była. Równie słodko mu Murray ze Stillerm odpowiadali,

dziękując za zacne przyjęcie, chwając trunki i przymioty gospodarza. I Nadolski kłaniał się nisko za przednią biesiadę. Wesoło kompania wyszła bramą, by zaraz na południe skręcić, gdzie las już niedaleko się zaczynał. Semko z Bejdą jechali z tyłu. Przewodnik pewnie prowadził. Znać było, że okolica mu nieobca i wie, dokąd zmierza. Luźniej się zrobiło. Kiedy kawałek od wsi odeszli, Saksończyk zrównał się koniem z Żegotą. Rzucił krótko, półgłosem:

– Mów waszmość.

– Kiedym na strychu w stodole spał...

Stiller skierował na niego zaciekawione spojrzenie. Oczy przymrużył, ale nie przerwał.

– ...przed świtem się obudziłem. Usłyszałem, że jakiś konny przybył. Nie wiem, z kim się spotkał, ale słyszałem, jak mówił, iż już dziś można nam drogę wskazać. Potem wspomniał, że Kopystyński złoto, jak zwykle, dostanie. Od Giurgiu jakiegoś. I milczeć ma.

– Coś nadto?

– Tyle.

Oficer skinął głową. Zmarszczył czoło. Potem podjechał do Murraya. Krótko gadali, a Szkot z uznaniem spojrzał ku Nadolskiemu. Nawet mu ukłon nieznaczny posłał. Kiedy ponownie Stiller do Żegoty podjechał, widać było z jego twarzy, iż wie już, co zrobić. Na początek jednak podziękował krótko:

– Jeśliś waszmość dobrze słyszał, to życie nam ocaliłeś.

Mruknął coś szlachcic w odpowiedzi, choć nie spodobało mu się to „jeśli”, bo dobrze wiedział, co słyszał. Saksończyk zaś dalej mówił:

– Skoro Kopystyński szelmą, to jak z szelmą uczynić nam wypada. Podjedziemy pod las. Tam chłopą zatrzymamy. Jednego sługę waszmości przy nim zostawimy, coby nie uciekł. A potem na powrót do Arłamowa pojedziemy.

Zdziwiony Żegota rzucił pytające spojrzenie.

– Zdrajcy powiemy, że chłop niecnota uciekł, bojąc się do lasu wejść.

Tedy gospodarza poprosimy o wskazanie drogi. Skoro z Bardą się układa i dziś miał nas posłać, chcąc czy nie, zgodzi się. Bo bać się będzie Wołocha, jeśli rozkazu nie wypełni. A kiedy z dworu wyjedziemy... – ręce w powietrzu rozłożył, puszczając na chwile wodze – ...wszystko może się panu Kopystyńskiemu przydarzyć. Przecie to przekłete strony, jak prawi. – Nadolski z aprobatą pokiwał głową. Saksończyk zaś dodał: – Musi zasadzkę urządzili. I prosto w nią jedziemy. – Zerknął na szlachcica. – Mówiłeś waść wczoraj, że dragonów można się spodziewać?

Nawet nie myślał Żegota, że Stiller pamięta pijacką rozmowę. Potwierdził jednak swoje słowa. Oficer zapytał krótko:

– Kiedy?

Odpowiedzią było lakoniczne:

– Nie wiem.

A potem wzruszenie ramion. Pytający podrapał się po głowie i sapnął z rezygnacją.

– Cóż... Poczekać przyjdzie...

– Na co?

– Żeby wyłapać skurwysynów. Jakby teraz byli dragoni, to tamtych można by w naszą zasadzkę wziąć. Rad bym był siurpryżę im sprawić. Ale pewnie smakiem się obejdę.

Nie mówiąc już wiele, wjechali w wąski trakt pomiędzy drzewami. Prawie ścieżka to była. Chłop przewodnik rozejrzał się trwożliwie i przeżegnał. Nie wiadomo było, czy ze strachu przed złym, czy też znał, co się ma wydarzyć, i bał się, by w jakim zamieszaniu głowy nie stracić. Małe to jednak miało dla Nadolskiego znaczenie. Pan kazał, sługa musiał. Choćby i wiedział cham o wszystkim, trudno jego było winić.

Jeszcze z dwa kwadranse jechali, kiedy Murray zawołał nagle do przewodnika:

– Ej! Ty! A stańże, bo poprę mi się poluźnił!

Chłop zatrzymał konia. Miejsce było wśród gęstych drzew. Z każdej strony dobrze zasłonięte. Szkot zeskoczył z siodła i zaczął majstrować przy

uprząży. Stiller, jak gdyby nigdy nic, podjechał do przodu. Zagadał coś do chłopca, schylając się ku niemu, a gdy ten się zbliżył, udzielając odpowiedzi, wyrzucił go pięścią prosto w twarz, tak że bez dźwięku z konia zleciał. Semko z Bejdą po sobie spojrzeli, bo nie wiedzieli nic o tym, co było ustalone. Nadolski warknął na nich nerwowo:

– Na co czekacie? Brać psubrata!

Jednocześnie z koni zeskoczyli i podbiegli do podnoszącego się włościanina, który wyrazem twarzy znać dawał, iż nie pojmuje, o co chodzi. Złapali go pod ramiona pacholcy. Stanęli, czekając dalszych rozkazów. Żegota podjechał bliżej.

– Mów, gdzie ci pan kazał nas prowadzić!

Chłopu krew z nosa gęsto ciekła. Nie było mu jej jak obetrzeć, bo ramiona miał uwięzione. Bełkotliwie odpowiedział:

– Do leśniczówki. A gdzie by miał?

Szlachcic spojrzał na Stillera. Ten mruknął:

– Tak, to się niczego nie dowiemy, mości Nadolski. Trzeba nam po Kopystyńskiego wrócić. Rozkaże jednemu z tym tu pozostać. – Skinął na wystraszonego przewodnika.

Siwowłosa nakazał Bejdzie chłopca skępować i pilnować go, aż wróci. Tatar wziął wystraszonego mężczyznę pod ramiona i bez słowa popchnął w krzaki. Potem poprowadził za nim konie. Żegota krzyknął jeszcze:

– Jakby uciec próbował, to ubij! Byle cicho!

Zawrócili. Bez pośpiechu skierowali się do wsi. Saksończyk, jadąc równo z Nadolskim, powiedział:

– Jeśli łaska, pozwól mi mówić. Jakby co, potwierdzaj tylko waćpan, co powiem. Zgoda?

Szlachcic skinął głową. Chudy oficer dodał:

– Nie spodziewałbym się, że Kopystyński w zмовie z Bardą. Skończyłyby się nasz rekonesans rychło, gdyby nie waszmość. A swoją drogą, jakim to cudem wylądowałaś, mości Żegota, w stodole? Dziewka jakaś?

Zerknął ironicznie, mrużąc jedno oko. Nadolski się skrzywił.

– Ani mi w głowie dziewczki. Dawno nie piłem tyle wina. Powietrza potrzebowałem.

– Aha! – skwitował Stiller, nie pytając już więcej.

Popatrzył przed siebie.

– A co tam w Rokietnicy słycać?

Żegota wzruszył ramionami.

– A co ma być słycać. Ciało Kruszewskiego chcą wyprawić do jego majątku na Podlasie. Ponuro i smutno, bo to dwa razy śmierć przeszła przez to domostwo. Siedzi pan Dereśniak i kłopotów od starosty dolińskiego się boi. Panna Wierzbowska też mało co gada...

Przerwał, poczuwszy nieznośne ukłucie w sercu.

– Panna Wierzbowska? – zaciekawił się Niemiec. – A to do Szadka nie pojechała?

– Nie – burknął szlachcic nie swoim głosem.

– A to czemu? – drążył Stiller, nie zwróciwszy uwagi na ton odpowiedzi.

– Bo za mąż ma iść.

Saksończyk spojrzał zdziwiony.

– Za mąż?

– Pan Krasicki z panem Poniatowskim ją swata. – Nadolski nie bardzo chciał o tym gadać.

Stiller z niedowierzaniem pokręcił głową.

– A to ci dopiero nowina! Jednej siostry brakło, to drugą wydają! Przecie do klasztoru miała iść po tej awanturze, której przyczyną była! Widać starosta szadecki wszelkim sposobem chce się córki pozbyć, żeby nie wracała do domu. Ale że Krasicki taki desperat! Niebawale!

Teraz Żegota głowę na chudzielca obrócił. Siłąc się na spokój w głosie, zadał pytanie:

– Jakiej awanturze?

– Nie słyszałeś waszmość? Głośno o tym było!

– Mało widać! – burknął Nadolski, wpatrując się w oficera.

Niemiec zerknął spode łba. Uśmiechnął się pod nosem.

– Z łykiem jakimś na amory jej się zebrało. Ponoć medykiem był, co do pana Mikołaja Wierzbowskiego przychodził. Uciec planowali, ale ojciec panny w porę się zorientował. No i łyeczka wytrzebić kazał. A ten w taką desperację popadł, że się obwiesił. Prawie jak w dziejach Abelarda i Heloizy, tylko zakończenie gorsze. Wstyd był, że panna z takiego domu hańbę ojcu przyniosła. To i klasztor jej nakazał. Dlatego się dziwię, że zdanie zmienił. No, ale skoro kandydata do zamęścia znalazł, a pan Krasicki posag płaci... Kłopotu się pozbędzie.

Nadolski przygryzł usta. Głowę spuścił i przynaglił konia, sforując się do przodu. Nie chciał nic więcej słyszeć. Smutno jakoś mu się w duszy zrobiło. Stiller wzruszył ramionami zdziwiony i mruknął pod nosem:

– *Verdammt Scheiße!*<sup>[62]</sup>

Nie przejął się zbytnio zmianą nastroju szlachcica, bo bardziej o przeprawie z Kopystyńskim myślał.

Dotarli w końcu do Arłamowa. Zajechali przed dwór i pana prosić kazali. Ten już popijać zaczął w towarzystwie Czuryły. Na szczęście przytomny był jeszcze, kiedy na podwórze się wytoczył. W oczach nie krył zdziwienia. Ręce rozłożył i krzyknął:

– A cóż to waszmościowie? Już z powrotem?

Stiller uśmiechnął się nieszczerze, jakby nieco zawstydzony.

– Toś nam pan dał przewodnika, mości Kopystyński! Ledwieśmy do lasu wjechali, a ten przeżegnał się tylko i w krzaki na koniu skoczył! Wystraszony taki, jakby diabła obaczył!

– Co waszmość mówisz?! – Twarz szlachcica stężała.

Podszedł bliżej, złapał konia Saksończyka przy pysku i spojrzał czujnie w górę.

– Jakże to?!

– To ty mi waszmość powiedz! – burknął jeździec. – Pognał za nim sługa mości Nadolskiego, ale szukaj wiatru w polu!

Kopystyński z niedowierzaniem pokręcił głową. Pod nosem zasyczał:

– Pasy drzeć będę! Na pał nadzieję!

Stiller zaś, nie zwróciwszy uwagi, ciągnął:

– Zabobonny widać cham! Trzeba było nam odważniejszego przewodnika dać!

Szlachcic przełknął ślinę. Wytrzeźwiał zupełnie. Wylazł z dworku Czuryło, dzbanem potrząsnął i gospodarza za ramię ułapił. Ten jednak odtrącił go gniewnie.

– Co mi tu waćpan! Nie pora!

Gruby sąsiad patrzył zdziwiony, chwiejąc się na nogach. Chwilę cisza zapadła. Stiller zakręcił się na koniu.

– Co teraz, mości Kopystyński? Dasz nam drugiego człowieka?

Szlachetka podrapał się po skudlonej głowie. Skupił swoje myśli, szukając rozwiązania. Może i czuł, że coś jest nie tak, lecz nie mógł poznać, o co chodzi. Zaklął szpetnie. Rozejrzał się po obejściu, jakby kogoś szukał, ale sapnął tylko i głową ze złością pokręcił.

– Jak nie... – zawołał z konia Stiller – ...to zsiadamy, bo chyba nie udała nam się wyprawa. Ot, pomyślmy, co czynić. Może jutro co uradzimy. Pośpiechu nie ma.

Wyciągnął nogę ze strzemia, szykując się, by zeskoczyć z siodła.

– Zaczekaj! – krzyknął niemal Kopystyński. Zmitygował się prędko i ciszej dodał: – Zaczekaj waćpan! Przecie jest rada!

– Jaka? – zdziwił się Saksończyk, zatrzymawszy ruch w połowie.

Gospodarz zakręcił się nerwowo, spode łba spojrzął i mruknął złym głosem:

– Ja poprowadzę!

– Waszmość? – zdziwił się niby Niemiec. – Nie chciałbym kłopotów przydawać... – Znów zaczął nogę przez grzbiet koński przekładać.

– Pojadę! – Kopystyński szybko podskoczył do jeźdźca, powstrzymując go.

Opanował się nieco, gdyż nawet uśmiechnął się krzywo.

– Słowo dałem, że pojedą waszmościowie, to dotrzymam. A z chamem... –  
oczy przymrużył – ...rozliczę się jak należy!

Odwrócił się do parobka stojącego przy stajniach i krzyknął głośno:

– Konia mi szykuj! Gniadego! A żywo!

Zerknął na przyjezdnych, uniósł nieszczерze kąciki ust:

– Zaczekajcie waszmościowie. Tylko szablę zabiorę...

Nie kończąc, skierował się do dworku. Ogłupiały Czuryło patrzył zdziwiony na zajście. W końcu machnął ręką, wina z dzbana pociągnął i również wszedł do domostwa.

Nadolski milczał, tak jak ze Stillerm ułożył. Chwilę później wyszedł Kopystyński. Przypasał sobie broń, poprawiał jeszcze rapcie. Parobek podprowadził mu konia. Gospodarz przyjrzał mu się surowo, ale nie znalazłszy niczego, co mógłby wyrzucić, bez słowa wskoczył na siodło. Podjechał do Stillera. Ten zerknął zmrużonymi oczami.

– Nie chciałbym gościnności waćpana nadużywać...

– Słowo dałem! – przerwał mu szlachcic. – Nie ma co gadać! Jedźmy!

Saksończyk wzruszył ramionami i skinął dłonią na Żegotę i Murraya.

– Skoro taka wola waszmości... Z serca dziękuję!

Konni wyjechali przez bramę. Kopystyński do przodu się wysunął. Znać było, że nie chce z nikim gadać. Musiał być wściekły, czego usilnie nie chciał po sobie dać poznać. Za nim niespiesznie podążali pozostali.

Dojechali do linii drzew, a przewodzący szlachcic podążył tą samą ścieżką, którą jeszcze niedawno prowadził ich chłop. Oglądając się nerwowo, pan Arłamowa dawał do zrozumienia, by jadący za nim prędzej się ruszali. Niewiele to jednak pomagało, gdyż Niemiec włókł się jakby na złość. A równo z nim Murray z Żegotą. Semko pochód zamykał. W końcu Kopystyński przystanął.

– Prędzej! Co tak się waszmościowie wleciecie, jakby za pogrzebem jakim?

Stiller przepaszająco rozłożył ręce:



– Wybacz waszmość! Za sługą pana Nadolskiego patrzymy, co za chłopem pojechał. Może psubrata ułapił?

– Aaa tam! – warknął chuderlawy szlachcic i ruszył.

Wjechali głębiej, między buki i jodły. Niedaleko już było do miejsca, gdzie przewodnik po gębie dostał. Szkot spojrział na drugiego oficera znacząco. Ten skinął głową. Murray wysunął się do przodu i zawołał:

– Mości Kopystyński! A poczekajże, bo spytać o coś chcę!

Szlachcic się zatrzymał. Popatrzył gniewnie i burknął:

– A czego tam, mości oficerze!? Prosta droga! Czasu nie ma!

– Krótka sprawa! – odparł Murray.

Z drugiej strony, jakby nigdy nic, do przewodnika podjechał Stiller. Rozglądał się ciekawie dokoła, bardzo zajęty otoczeniem. Gruby oficer stanął przy Kopystyńskim strzemieniu w strzemieniu. Spojrział na niego i mruknął coś pod nosem.

– Co tam? Mówże waść głośniej, bo nie słyszę! – Szlachcic odruchowo pochylił się do Murraya.

To był błąd. Iście kocim ruchem Szkot schwycił w pół drobnego mężczyznę, ściągnął z siodła, przerzucił przed sobą i kułakiem zdzielił w głowę tak, że ledwie zdziwiony szlachcic krzyknąć pół słowa zdążył. Bezwładnie zawisł na końskim grzbiecie. Stiller przytrzymał wodze luźnego konia.

– Co teraz? – zapytał Nadolski, podjechawszy bliżej.

– Trzeba twojego sługę z chłopem sprowadzić – odparł Saksończyk.

Żegota gestem przywołał Semka i wydał mu krótki rozkaz. Prędko też pocztowy obrócił, wracając z Bajdą i skrępowanym włościaninem przewodnikiem. Kopystyński zaś przychodził powoli do przytomności. Szarpać się zaczął, pokrzykiwać o gwałcie szlachcicowi zadany, ale mu Murray prędko worek na głowę wsadził i pięścią mocno w okolice nerek zdzielił, cedząc przez zęby:

– Cicho, przyjacielu drogi! Jeszcze słowo, to znowu w łeb dostaniesz!

Szlachcic zaklął szpetnie, lecz kolejny cios na dobre go uciszył. Dla

pewności Szkot sprawnie skrępował Kopystyńskiemu ręce za plecami. Stiller podjechał do chłopca i zajrzawszy mu groźnie w twarz, powiedział:

– Chcieliście nas w zasadzkę poprowadzić! Tedy pogadamy sobie!

– Litości! Panie! Ja nie winien! – zawył przewodnik. – Na Boga przysięgam, że prosto do leśniczówki prowadziłem! Tak jak mi mój pan przykazał!

– Może i tak – burknął Niemiec.

Zawrócił konia i skierował się do skraju lasu. Inni pojechali za nim.

Stanęli w miejscu, gdzie już pomiędzy drzewami pola prześwitywały. Niewielka to była przestrzeń. W sam raz, by konie powiązać i samemu usiąść. Żegota wysłał Bejdę z Semkiem pomiędzy drzewa, by pilnowali, czy kto od lasu nie idzie. Milczący Kopystyński i jego chłop leżeli związani. Skrępowany szlachcic patrzył spode łba wściekłym wzrokiem. Murray rozpałał niewielkie ognisko. Saksończyk zaś grzebał w sakwach przy koniu. W końcu, znalazłszy coś, czego szukał, odwrócił się i podszedł do chuderlawego szlachetki. I Żegota zbliżył się zaciekawiony. Stiller stanął w rozkroku nad więźniem i rzekł:

– No, mości Kopystyński, chciałeś nas Wołochom wydać...

– Gównu prawda! – przerwał syczącym, złym głosem szlachcic.

Niemiec pokiwał głową.

– To wiem, iż waszmość bez pomocy się nie przyznasz.

Niepokój przemknął przez twarz związanego. Zmarszczył nos. Na siłę nadając głosowi obojętny ton, burknął:

– Mękami chcesz mnie traktować?

Stiller pokręcił głową i uśmiechnął się. Nadolski pochylił się ku niemu, szepcząc:

– Przecie nic nie powie, jak mu się pięt nie przypiecze.

– Słyszysz, panie Kopystyński? – rzucił głośno Saksończyk. – Radzi mi pan Nadolski, żeby pięty waści opiec!

Związany przełknął ślinę. Wąsy zadrżały mu nerwowo. Stiller celowo

ciszę przedłużył. W końcu powiedział:

– Ale inne są sposoby, bo na torturach to co bądź byś mi waszmość plótł. Dobra to może czasem metoda, ale hałasu dużo, widok nieszczególny, a i natrudzić się trzeba.

Kopystyński odetchnął. Nadal niepewny odsunął przynajmniej na chwilę wizję swojej męki. Tymczasem Saksończyk z za pazuchy wyciągnął niewielką buteleczkę. Żegota patrzył zdziwiony, jak stawia na ziemi metalowy kubek, nalewa do niego wina, a potem, taksując wzrokiem powiązanego szlachcica, odmierza krople skapujące do napitku. Zadowolony zakorkował buteleczkę i ukrył ją pod odzieniem. Podniósł naczynie, zakręcił winem nalany do połowy.

– No! Mości Kopystyński! Napij się za nasze zdrowie!

Jeniec zacisnął usta i odwrócił głowę. Stiller wyszczerzył zęby:

– A nie bój się! Nie chcę cię otruć! Język chcę ci tylko poluzować!

Głową skinął do Murraya. Ten bez słowa odszedł od niewielkiego ognia i przystanąwszy za plecami powiązanego szlachcica, złapał go za głowę.

– Otwieraj gębę! – rozkazał.

Na nic to jednak było. Jeszcze mocniej zawarł wargi chuderlawy więzień. Stiller zbliżył się z kubkiem. Wtedy Szkot mocno wbił Kopystyńskiemu palec w miejsce, gdzie żuchwa kończy się pod uchem. Ten zawył głośno z bólu. Nim zdołał zacisnąć ponownie usta, Murray zablokował mu szczęki, ściskając z całych sił policzki. Na to czekał Niemiec, który wprawnym ruchem wlał zawartość kubka w rozwartą gębę. Zakrztusił się Kopystyński, oczy wybałuszył, ale Szkot nie pozwolił mu wypluć. Docisnął mu brodę, a usta zatkał otwartą dłonią. Począł, aż szlachetka przestanie się szarpać. Upewnił się, że nic w ustach nie zostawił. Dopiero wtedy puścił więźnia. Żegota patrzył na to wszystko oszołomiony.

Napojony prychał, kaszlał, czerwieniał i bladł na przemian. Klął przy tym straszliwie. Stiller i Murray nie zwracali na to uwagi. Usiedli w milczeniu przy ogniu i zaciekawieni wpatrywali się w jeńca. Nadolski podszedł do nich. Zapytał w końcu:

– Co to? Co mu waszmość dałeś?

Niemiec uniósł wzrok. W oczach zabłyśły mu wesołe iskry.

– To? Taki napitek na prawdomówność.

– Czary? – zaniepokoił się Żegota.

Stiller zaśmiał się głośno.

– Żadne czary! To wywar z czarciego ziela, co inni go zwą trąbą anioła<sup>[63]</sup>. W odpowiedniej ilości podany sprawia, iż człowiek gada o tym, o czym nawet nie chciałby rzec. Trzeba chwilę poczekać, a potem z panem Kopystyńskim pogadamy. Sam zobaczysz waszmość. Nieraz jużemy z Williamem ten sposób stosowali. Trochę jak pijany będzie gadał, ale prawdę.

Murray potwierdził skinieniem głowy. Żegota zdziwiony skrzywił się z niedowierzaniem. Ale że ciekaw był, usiadł przy cudzoziemcach i jak oni przyglądał się więźniowi. Tymczasem Kopystyński poczerwieniał ostatecznie na gębie. Rozglądał się gwałtownie wkoło, jakby orientację stracił. Oddech mu przyspieszył, a oczy wyszły z orbit. Powiązany chłop leżący obok, niemrawo odpychając się nogami, odsunął się od swojego pana. Z trwogą bełkotał coś pod nosem. Kopystyński zadrżał gwałtownie. Otworzył usta, jakby miał co powiedzieć, ale głosu nie mógł wydusić. Żyły nabrzmiały mu na szyi. Żegota się zaniepokoił:

– Nie zemrze?

– Nie – zaprzeczył pewnie Niemiec. – Musi jad podzielać. Zaraz się uspokoi i mowę odzyska. – Nie martw się waszmość!

Jeniec położył się na boku i zawierzgał nogami. Cichy jęk wyszedł mu z gardła. Żegota poruszył się nerwowo, ale Niemiec położył mu dłoń na ramieniu.

– Cierpliwości. Jeszcze chwila.

Rzeczywiście. Po jakimś czasie Kopystyński się ożywił. Chrząknął głośno i splunął.

– Wody dajcie! – wycharczał.

– Nie można, mości panie! – odkrzyknął Murray. – Mógłbyś się waść

zachłysnąć!

Wstał, podszedł do więźnia i posadził go na ziemi. Saksończyk zerknął na Nadolskiego.

– No! Pora pogadać. Idziesz waćpan?

Zbliżyli się do jeńca. Ten patrzył pustym, mało przytomnym wzrokiem. Usta miał spieczone, suche. Oddech świszczący.

– Jak tam, mości Kopystyński? Lepiej? – zagadnął Stiller.

Szlachcic nic nie odpowiedział. Rozglądał się dookoła.

– Ej! Ty! – Murray trącił nogą związanego. – Słyszysz? Mówi się do ciebie!

Chuderlawy szlachetka drgnął i popatrzył w górę. Zamrugął oczami. Stiller kucnął przy nim.

– W zasadzkę kazałeś nas prowadzić?

Szlachcic nadał policzki. Zatrząsł się i począł chichotać. Kręcił przy tym głową, jakby żart jakiś przedni usłyszał. Żegota patrzył zaciekawiony, choć targała nim wątpliwość, czy aby sposób cudzoziemców jest dobry. Osobiście wolał bowiem tradycyjne metody. Tymczasem jeniec przestał się śmiać. Chrząknął, splunął po raz kolejny i burknął:

– Pies was jebał! Nie daruje wam Barda!

– Naprawdę? – Niemiec zrobił zdziwioną minę.

– Naprawdę? – powtórzył złośliwie Kopystyński. – Flaki wam wypruje!

– A gdzie on teraz? – spokojnie pytał Saksończyk.

– Chuj wie! – mruknął więzień. – Pojechał na wezwanie.

– Czyje wezwanie? – drążył przesłuchujący.

Szlachcic zaśmiał się znowu.

– Czyje? Czyje? Swojego pana! A czyje miałyby, kurwa, być! Jużeście trupy!

Stiller pokiwał głową.

– A co w leśniczówce było? – zapytał po chwili.

Kopystyński drgnął. Twarz mu stężała. Rozejrzał się zaniepokojony.

Niemiec westchnął i głośniejszym głosem powtórzył pytanie:

– Czego Barda w leśniczówce pilnował?!

Szlachcic łypnął spod łba, głos zniżył prawie do szeptu.

– Diabła!

– Diabła?!

– Ciii... – Jeniec skulił się trwożliwie. – On słyszy!

– Jaki on?!

– Ciii... – Prawdziwy strach odmalował się na mało przytomnej twarzy.

Niemiec westchnął. Podrapał się po policzku.

– Kto miał nas ubić?

– Wołosi! – odburknął więzień i oblizał się. – I nie mieli ubić, a ubiją! Jak Bóg na niebie, to pewne!

– Ilu i gdzie?

Kopystyński znów zaśmiał się głupawo. Poruszył związanymi za plecami dłońmi.

– Ilu tych Wołochów? – warknął wprost w ucho Stiller.

– Starczy! – wysyczał chuderlawy. – Jakbyście tylko do leśniczówki poszli...

– Tam się zasadzili?

Związany nie odpowiedział, tylko wykrzywił gębę w głupiej minie. Nadolski podszedł bliżej. Korzystając, że Niemiec przerwał na chwilę, pochylił się nad Kopystyńskim i wycodził mu prosto w twarz:

– Poniatowski jest w leśniczówce?

Szlachetka znów zgarbił się i rozejrzał strwożony. Potem zerknął na Żegotę.

– Ktoś ty?

Wpatrywał się intensywnie w twarz siwowłosego. Nawet oczami nie mrugał. Źrenice rozszerzyły mu się tak, że prawie nie widać było wyblakłych tęczęwek. W końcu wyjęczał głosem piskliwym:

– Oni cię nasłali! Czarci, którzy co noc do mnie przychodzą! Ale nie pójdę

z nimi! Jeszcze czas mam! Nie boję się ciebie! Nie pójdę!

Nadolski, niewiele myśląc, schwycił pod brodę jeńca, przysunął się tak, że prawie zetknęli się nosami i sapnął grobowym głosem:

– Pójdiesz, skurwysynu! Prostą drogą do piekła pójdiesz!

Zawył Kopystyński i na bok się rzucił.

– Precz! Precz ode mnie! – wrzasnął.

– Kto zabił pannę Wierzbowską!

– Nie wiem! Nie wiem! – Jeniec szarpał się w więzach. – Mówili, że wypadkiem to się stało! On! Diabeł! Mnie kazali tylko trupa zawieźć! Nie chcieli tego! Nieszczęście się stało!

– Kto ci kazał! – cisnął Żegota.

– Barda!

– Gdzie on?!

– Nie wiem! Pojechał! Zabrali go i pojechał!

– Kogo zabrali?!

Jeniec zadygotał, oczy podeszły mu krwią. Miał w nich tylko strach. Łapał powietrze jak ryba wyciągnięta z wody. W końcu wyszeptał przez ściśnięte wargi:

– Jego! Potwora!

– Mów jaśniej! – Nadolski gniewnie pięścią się zamierzył.

Kopystyński schował głowę między ramiona i opadł na bok. Ledwie słyszalnie wysapał:

– Poniatowskiego...

Zwinął się w kłębek i załkał. Żegota poczuł dłoń Murraya na ramieniu. Wyprostował się powoli. Stiller spoglądał na związanego. Trącił go butem. Zerknął na jego spodnie mokre między nogami.

– Poszczał się! – stwierdził zdziwiony.

– Co teraz? – Nadolski splótł ręce na piersi. – Od rzeczy gada! Taki to sposób z tym waszym napojem! Bełkot o diabłach!

Stiller zdziwiony spojrział na szlachcica.

– Przecie powiedział wszystko, co trzeba!

– Co? Że niby w leśniczówce Barda Diabła pilnował, którym był Poniatowski?

Murray uśmiechnął się i spuścił głowę. Saksończyk widać jednak poczuł obowiązek rzecz wyjaśnić:

– Mości Nadolski. Tak rzecz Kopystyński widział i we łbie sobie ułożył. Poniatowski to dla niego potwór jakiś. Diabeł. Nie znamy przyczyny, dla której tak go opisuje. Może co widział albo słyszał? Barda go w leśniczówce strzegł. Teraz dokądś pojechał z nim na wezwanie Krasickiego. Zostali Wołosi, co na nas się zaczęli. Coś jeszcze nie jest jasne? Bo to, że pannę, zdaniem tego... – głową skinął na Kopystyńskiego – ...ów Diabeł, czyli Poniatowski, zabił, to chyba nie muszę tłumaczyć.

– Ale dlaczego? – Żegota potarł skronie. – Nijak w tym sensu! Przecie Wierzbowska była mu swatana na żonę! Barda porwał ją niby, żeby do Poniatowskiego zawieźć, a ten ją zamordował? Głupszej rzeczy, wybacz waćpan, nie słyszałem! Po co miałyby Wołoch pannę porywać, skoro ojcowie młodych rzecz ułożyli?

Niemiec wzruszył ramionami.

– Nie szukaj sensu, mości Żegota, tylko skup się na faktach. Bo ręczę, że choć nieskładnie, prawdę powiedział. A co do zbrodni, mówi, że wypadek. Nieszczęście. Nie dowiesz się teraz więcej waćpan. Może o jakieś machinacje z posagiem szło? Kto teraz w tym się wyzna?

– Takie to fakty... – siwowłosa machnął ręką – ...jakby kto niespełna rozumu gadał!

– Jak przetrzeźwieje, to dopytamy – burknął Murray. – Będziesz mógł wtedy, jeśli wola, pięty przypiekać.

– W rzeczy samej! – potwierdził Stiller. – A teraz nad czym innym pomyśleć trzeba. Bo pewnie jak do leśniczówki nie dojedziemy, to Wołosi się zaniepokoją i do Arłamowa poślą. A tam im powiedzą, że Kopystyński z nami poszedł. Łatwo się zorientują, iż coś jest nie tak.

– Co więc waćpan radzisz? – mruknął Żegota.



– Na początek chłopą zapytam... – podszedł do związanego przewodnika –  
...czy drogę do leśniczówki jakby co wskaże.

Kopnął leżącego nogą i zawołał:

– Ej, ty! Głowę chcesz zachować?

Odpowiedzią był potok słów potwierdzających, że chłopu nie po drodze na tamten świat. Niemiec przerwał mu i warknął:

– Tedy słuchaj! Jak każe, to nas do leśniczówki poprowadzisz. Ale jak coś nie tak będzie, to kula w łeb! Pojmujesz?!

– Tak, panie! – Skrępowany wieśniak gwałtownie pokiwał głową.

Stiller odszedł kawałek i pogładził się po nasadzie nosa.

– Teraz by ludzi trzeba... – wysapał cicho, bardziej do siebie niż do innych. Spojrzał na Żegotę i zawołał: – Mości Nadolski! A nie posłałbyś pocztowego, by sprawdził, czy dragoni od Przemyśla nie idą? A jakby co, to niech nawet na kwatery jedzie i tego... tego krewniaka Kruszewskiego prosi. List byśmy mu dali!

Siwowłosa skinał głową. Przywołał Semka z warty, objaśniając mu, o co chodzi. Potem usiadł z Niemcem i na kawałku papieru naskrobali kilka zdań mających przekonać Wolskiego, by natychmiast przybywał. Sługa wsadził list za pazuchę, przeżegnał się, trącił konia ostrogami i ruszył. Prędko im z oczu zniknął.

– A co z nami? – odezwał się Żegota, spoglądając w kierunku, gdzie stracił z oczu Semka.

– Za nim na Przemyśl pójdziemy – stwierdził Saksończyk.

– Jakże to?

– A masz waszmość lepszy pomysł? Tutaj raz-dwa nas znajdą. A że szukać będą, to pewne. Pocztowy przodem poszedł, prędzej dojedzie. A my się tyłem powlecjemy z tymi. – Dłonią wskazał na więźniów.

– I z dragonami wrócimy?

Niemiec przytaknął w milczeniu ruchem głowy.

Półprzytomnego Kopystyńskiego Bejda wrzucił na siodło jak wór kartofli.

Chłopu zdjęto więzy, ostrzegając, że jeśli o krok się oddali, to bez ostrzeżenia zostanie zabity. Murray ugasił ogień, żałując, iż nie zdołał przygotować żadnej strawy. Potem pozostali wsiedli na konie. Omijając wieś, skierowali się na trakt wiodący do Przemyśla.

Nadolski pomyślał, iż przynajmniej oddalą się od niebezpiecznej okolicy. W głowie starał się też ułożyć wszystkie uzyskane dotąd informacje. Nie potrafił jednak znaleźć w nich żadnego sensu. Żałował, że nie zapytał Kopystyńskiego o śmierć swoich bliskich. Może by i na ten temat coś wiedział? Na razie jasne zdawało się, iż z nieznaney przyczyny Wołoch Barda, sługa starosty dolińskiego, nakazał porwać Annę Wierzbowską, która była przeznaczona na żonę nieślubnemu synowi Krasickiego. W wyniku jakiegoś wypadku dziewczyna zginęła, zwłoki zaś, nie wiedzieć czemu, Barda nakazał chuderlawemu szlachetce zawieźć na okazanie do Sanoka. Dlaczego jednak były pozbawione głowy? Co z tą sprawą miał wspólnego Poniatowski? Czy, jak twierdził Kopystyński, to za jego sprawą zginęła panna? Dlaczego z takim strachem mówił o młodym szlachcicu z leśniczówki właściciel Arłamowa? Czemu Krasicki kazał go trzymać w lesie i pilnować swoim sługom? Jaki miały z tym związek zniknięcia ludzi, o których mówili Stiller i Murray? Rodziły się kolejne pytania, lecz nie przychodziły żadne odpowiedzi.

Kopystyński bezwładnie chwiał się w kulbace. Trzymał go w odrętwieniu podany napój, a zapytany Stiller mruknął jedynie, że sam nie wie, jak długo to potrwa. U jednych, jak prawił, szybko przychodzi otrzeźwienie, a innym nawet i dzień schodzi. Bejda czujnie spoglądał na obydwóch więźniów. Łuk miał na podorędziu, a znając jego celność, Żegota nie wątpił, iż jeńcy albo grzecznie będą jechać, albo też padną martwi.

Na wszystko to nakładała się sprawa boleśniejsza dla Nadolskiego. Nie chciał o niej dumać. Lecz im więcej odsuwał natrętną myśl, tym bardziej powracała. O tym, co usłyszał na temat panny Agnieszki. Czy prawdę mówił Niemiec, że wbrew ojcu zakochała się w człowieku niskiego stanu? Czy Żegota mylnie odczytał jej drobne gesty, z których śmiał czerpać nadzieję, że nie jest jej obojętny? Skarcił się w duchu. Miał już swoje lata. Wyglądem

bardziej wilka kalekiego przypominał niż wdzięcznego młodzika. Jakim to prawem śmiał mniemać, że panna przychylniej na niego spoglądała? Przecie to jasne, iż myślała o nim jak o narzędziu pomsty! Widziała, że w szabli sprawny. Na własne oczy zobaczyła, kiedy spotkał się pierwszy raz z Kruszewskim. Nikogo bliskiego nie ma, to i strach mniejszy czuje. Zagniewał się Nadolski, iż wykorzystała swój kobiecy wdzięk, by namieszać mu w głowie. Tylko po to, by szukał zabójców jej siostry. A przecież i bez tego by zbrodniarzy chciał pokarać, skoro możliwe, że mu jego Zośkę i dzieci ubili. Klął w duchu i nie szczędził gorzkich słów dziewczynie, których by głośno nigdy nie wypowiedział. Najłagodniejszym z nich było „ladacznicą”, a inne aż wstyd byłoby nawet szeptem wyrzec.

Markotną i marsową miał minę, więc go Stiller nie zagadywał. Gadali coś z Murrayem, szukali odpowiedzi na te same pytania, które po części dręczyły i Nadolskiego. Ale i oni kręcili głowami. Widać było, że na razie nie znajdują rozwiązań zagadek. Tak też do wieczora zeszło.

Doszli do Uhelnik<sup>[64]</sup>, gdzie mieszkali węglarze. Mała była wioska wchodząca w skład klucza rybotyckiego, biedna. Należała do Mikołaja Ossolińskiego, któremu ją w posagu wniosła jego żona, Anna z Korniaktów.

Zatrzymali się nieopodal, nie wchodząc jednak do osady. W pobliżu płynął potok Wiar. W nim napoili konie. Bejda rozpałił ogień i posadził przy nim więźniów. Kopystyński patrzył bykiem z zaciśniętymi ustami. Przyszedł do siebie i pamiętał, co gadał, napojony przez Stillera. Rozumiał, że oficerowie znają już jego zdradę. W duchu rozważał, co teraz z nim poczną, rysując najczarniejsze scenariusze. Murray poszedł do wsi. Wrócił niedługo, niosąc trochę chleba, martwą kure, ser. Skromny posiłek, w sam raz na obozowanie pod gołym niebem.

Zasiedli razem przy ogniu. Jedzenie równo się rozeszło, nawet uwięzieni dostali swoje porcje. Bejda skrępował chuderławemu szlachcicowi ręce z przodu, by miał jak jeść, ale sznurów, mimo próśb, nie zdjął. Na dodatek nogi mu związał.

Zapadła noc. Tylko niewielki płomyk oświeślał obozowisko. Milczeli wszyscy, każdy w głowie wążąc swoje nadzieje. Część na rychłe nadejście

dragonów, Kopystyński zaś rychłą śmierć oprawców. Nie zostało nic z jego pijackiej gadatliwości. Nad głowami rozgwieździło się wiosenne niebo. W oddali pohukiwała leśna zwierzyna.

Żegota ziewnął zmęczony. Poszedłby chętnie spać, ale nie dawały mu spokoju pytania zadawane sobie w drodze. Opadł w nim gniew. Już nie myślał, by Iwanowi stopy opalić czy inną torturą do gadania go przymusić. Miał rację Stiller, że przy mękach różne można usłyszeć rzeczy, niekoniecznie prawdziwe. Zerknął na związanego szlachcica, który niespiesznie, z pochyloną głową przeżuwał kęsy chleba.

– Mości Kopystyński – zagadnął.

Tamten drgnął, lecz nic nie odpowiedział.

– Mości Kopystyński! – powtórzył głośniejszym głosem Żegota.

Iwan podniósł oczy i mruknął niechętnie:

– Czego?

– Pogadać chcę.

Jeniec wzruszył ramionami i wrócił do posiłku. Nie zraziło to Nadolskiego. Patrząc w ogień zapytał:

– Słyszałeś waszmość może o zabójstwie w Wygnance? Sześć років temu. W tym czasie, jak Kantymir z czambułem przyszedł. Żonę i dzieci wtedy mi ktoś zabił.

Kopystyński siedział w milczeniu. Dopiero po chwili pokręcił głową i mruknął spode łba:

– Nie słyszałem.

– Na duszę przysięgniesz?

Więzień sapnął pogardliwie i burknął:

– A co mam przysięgać? Wierz albo nie.

Żegota pokiwał głową. Westchnął.

– A pannę Wierzbowską Poniatowski zabił?

Iwan przerwał kęs w połowie. Zamarł na moment. Potem znów począł żuć.

– Nie wiem, co mi tamte oficerki dały, ale od rzeczy gadałem – mruknął

pod nosem, nie patrząc na Nadolskiego.

– Prawdę gadałeś! – rzucił Stiller krótko.

Kopystyński prychnął tylko. Żegota przyjrzał mu się dłuższą chwilę.

– A ty kogo zabiłeś?

Jeniec gwałtownie poderwał głowę. Twarz miał bladą. W oczach odbiły się migotliwe płomienie.

– Nie zabiłem! – zawołał.

– A przysięgniesz na zbawienie?

Tym razem bez zwłoki powiedział:

– Na zbawienie duszy, przysięgam!

– Ale nas chciałeś na śmierć wydać? To jakbyś sam zabił. Nie uważasz waszmość? – Murray łypnął znad obgryzanego kawałka pieczonego kurczaka.

Więzień skrzywił się i zmrużył oczy. Nic nie odpowiedział.

– Prawdy chcemy tylko dojść, panie Kopystyński – nie dawał za wygraną Żegota.

Podświadomie czuł, że skrępowany szlachcic się waha. Bał się czegoś, lecz ważył, przed czym strach silniejszy. Syknął w końcu:

– Prawdy? A o czym prawdy? Czyjej prawdy?

– Na początek twojej – odparł, nie podnosząc głosu, Nadolski.

Chuderlawy szlachcic pochylił się nad trzymaną w dłoniach kromką. Milczał tak długo, iż wydało się, że zadana kwestia zdążyła się już rozpląnąć w powietrzu i zniknąć w mroku. Dlatego nagle i niespodziewane było, kiedy mówić zaczął wolno, ważąc każde ze słów:

– Pomógł mi starosta doliński dług od Herburtów Arłamowskich odzyskać. Wieś zająć. Jednego tylko w zamian zażądał. Żebym pilnował, czy kto obcy w okolicy się nie pojawia, i ludziom o strachach bajął. Jakby kto przyjechał, słać miałem do leśniczówki człowieka z wieściami.

– Tak i na nas doniosłeś?

Nadolski spojrział niechętnie na Stillera, który rzucił pytanie. Jedno słowo

nieopatrzne mogło przerwać wyznanie. Kopystyński pokręcił głową.

– Nie. To oni mnie uprzedzili, że przyjedzie dwóch oficerów, którzy zbrodnię na panie Wierzbowskiej chcą rozwiązać. Kazali mi przytrzymać gości, póki znaku nie dadzą, że można was już do lasu pokierować. Barda tyle co miał gdzieś jechać. Nie wiem gdzie, bo rozkaz od Krasickiego przyszedł. Zabrał ze sobą Poniatowskiego i tego czarownika, co z nim siedział. Więcej nie wiem. Zrobiłem, jak polecił mi Wołoch.

– Czekaj, czekaj, waszmość... – Nadolski przerwał ruchem dłoni. – Rzeknij coś więcej, bo trudno wyrozumieć.

Kopystyński skrzywił się w żalonym uśmiechu.

– A co tu rozumieć?

– Jakiego czarownika?

Jeniec nabrał powietrza w płuca i głośno nosem wypuścił.

– Poniatowski z niewoli prawie bez życia wrócił. Nie pomogli medycy. To i pan Krasicki sprowadzić kazał owego czarownika z Wołoszczyzny. On do zdrowia młodego przywrócił. Nie wiem kto, bo nie widziałem. Tyle jeno, co mi czasem jaki posłaniec od Bardy powiedział pół zdania. W każdym razie Poniatowski żywy, ale boją się go wszyscy, bo odmieniony jakoś. Dlatego go w lesie trzymają. Mówią, że Diabeł. W ciemności widzi i szmer każdy słyszy. Jak zwierz dziki. Myślałbym, że to bajanie jakieś, ale prawdziwie się śludzy Bardy bali młodego. Bardziej nawet niż samego Bardy, Wołocha. Ja nigdy w leśniczówce nie byłem. Nawet bym nie chciał tam iść. A i ludzi ode mnie z dala trzymali i zabraniali podchodzić. A jakby który próbował, to pewnie by żywy nie wrócił. Jak ci myśliwi, co ich pięciu poszło.

– A jak z panną Wierzbowską było?

W odpowiedzi usłyszeli westchnienie. Więzień odłożył na kolana nadgryzioną pajdę.

– Przyjechali nagle. Sam Barda im przewodził. Kazał wóz brać. Powiódł w las. Tam trupa zobaczyłem. Powiedział, że mam do Sanoka na okazanie zawieźć. Zznać, że przy drodze znalazłem. Nie rzekł mi kto, tylko że wypadek się zdarzył i Poniatowski nieumyślnie pannę skrzywdził.

Zapytałem, gdzie głowa, ale warknął tylko, że im mniej pytam, tym lepiej dla mnie. Straszny to człek. Za nic mu kogo ubić. Serce z kamienia ma chyba.

– I godziłeś się waszmość?

Kopystyński spojrział zmęczonym wzrokiem na pytającego Stillera.

– A co miałem czynić? Choćbym i chciał, to co? Kto ja jestem? A pan Krasicki kto? Łatwo rzec, trudniej uczynić, kiedy się na pustkowiu siedzi, a wokoło tylko groźba wisi milcząco.

Niemiec pokiwał głową ze zrozumieniem. Potarł dłonią czoło.

– A inne porwania?

Odpowiedział mu szlachcic wzruszeniem ramion.

– Nie wiem. Nie widziałem. Mówią, że to Bardy sprawka, ale kto prawdę zna? Chyba on tylko. Że groźny jest, sam mówiłem. Ale czasem groźnemu wszystko co złe się pisze. Ot, choćby Dydyński. Taką sławą się okrył, że gdzie teraz jaki zajazd, od razu mówią, że Jacek nad Jackami najechał. A on spokojnie wino w karczmie wtenczas popija. Takie to ludzkie gadanie!

Spojrzął na Żegotę.

– I prawdę mówię, że o sprawie w Wygnance nigdy nie słyszał. Współczuję waszmości. Ale ja nikogo swoją ręką nie ukrzywdził. Na Boga się klnę!

Nadolski w tonie głosu wyczuł, że mówi prawdę. Popchnął nogą niedopalony kawałek drewna do ognia. Myślał. Ważył się w duchu, czy możliwe to jest, by za zbrodnią sprzed sześciu lat stał sługa Krasickiego. Nie miał żadnego śladu, który rozwiałby wątpliwości. Zmęczony przetarł czoło. Przynajmniej to wiedział na pewno, że Barda porwał Wierzbowską, którą potem zabił nieślubny syn dolińskiego starosty. A on obiecał siostrze zamordowanej poszukać zemsty. Zabiło mu znów mocniej serce na przypomnienie panny Agnieszki, gniew na siebie samego powrócił. Ze złością cisnął w ogień niedojedzony kawałek mięsa. Z drażniących rozmyślań wyrwał go głos Kopystyńskiego:

– Co ze mną zrobić zamierzacie?

Nie rwał się nikt do odpowiedzi. W końcu Saksończyk mruknął,

rozkładając ręce:

– A co niby mamy uczynić? Wypuścimy, jak się to skończy. Do domu sobie wrócisz.

Jeniec pokiwał głową. Nie patrząc na Stillera, powiedział:

– Albo Barda was dojdzie... A wtedy i mój los przesądzony. Tegom akurat pewny. Wisi nade mną miecz jak nad Damoklesem.

– To powiedz waszmość, jak zrobić, by nas nie doszedł! Gdzie jest na ten przykład? – odparł Murray.

– Mówiłem już. Nie wiem.

– To kto wie? – nie dawał za wygraną Szkot.

Szlachcic zastanowił się chwilę.

– Mogą ci, co w leśniczówce zostali. To jedynie mi do głowy przychodzi.

Oficerowie popatrzyli na siebie. Pewnie i oni tak sądzili. Stiller z ociąganiem powstał i przeciągnął się.

– Połóż się spać, mości Kopystyński. Póki z nami jesteś, toś bezpieczny. A tyle ci powiem, że Barda prędzej czy później kazałby cię ubić. Za dużo wiesz. Grunt mu się pod nogami pali. Myślisz, że jakby nas Wołosi zabili, to po sprawie by było? Inni by przyszli. Tryby maszyny ruszyły i nijak ich zatrzymać. Nieubłaganie mieli żarna boskie i arcybiskupie. – Uśmiechnął się lekko. – Dlatego na mszę powinienes dać, żeśmy cię od ciężaru sumienia uwolnili i ze sobą zabrali!

Iwan nie odpowiedział. Spoglądał, milcząc, w ognisko. Może też wiedział, że Wołoch musiałyby sprawę z nim skończyć? Dobry był, póki się nic nie działo. Teraz zaś byłyby tylko przyczyną niepewności i obiektem podejrzeń. A Barda jeden znał sposób na pozbycie się wątpliwości. Krótki i ostateczny.

Przed snem Nadolski z oficerami ustalili warty. Pierwszy stanął siwowłosy szlachcic, bo choć senność czuł, wiedział, iż trudno byłoby mu zasnąć, tyle miał w głowie zdań niedokończonych. Nawet kiedy go Bejda zmienił, długo wpatrywał się w ciemność, jakby to z niej wyłonić się miały odpowiedzi. Ale mrok tylko ukrywa prawdę.



## UROCZYSKO

Dragonów spotkali dopiero pod Książcami. Dwudziestu wiódł porucznik Krzysztof Wolski. Między nimi Żegota ze zdziwieniem dostrzegł Sulatyckiego. Przywitawszy się, Nadolski zapytał, czemu nie wyruszył z ciałem Kruszewskiego, jak miał przecież uczynić. Wtenczas usłyszał coś, co zmroziło w nim serce. Okazało się, iż kiedy pan Wawrzyniec pojechał do Wolskiego, przyszedł do Rokietnicy posłaniec z zaproszeniem dla pana Dereśniaka i panny Wierzbowskiej od starosty dolińskiego. Prędko też zabrali kilka sług i pojechali do Krasieczna. Nie chciał pan na Rokietnicy narazić się opieszałością na nieprzychylność magnata, bo Krasicki mógłby za afront przyjąć jakiegokolwiek opóźnienie. Ruszył więc za nimi Sulatycki, ale gdy dotarł do pałacu, dowiedział się, że pan starosta z gośćmi wyjechali. Nikt nie znał dokąd. A może i wiedzieli, lecz staremu nie zdradzili. Tak też pan Wawrzyniec, niewiele myśląc, ruszył na trakt z Przemyśla do Arłamowa, gdzie szczęśliwie spotkał porucznika Wolskiego. Wczorajszego dnia, późnym wieczorem, przybył sługa Żegoty z listem i ponagleniem. O świcie ruszyli, by czym prędzej dojechać. Wieści były niedobre, bo złożone razem z nagłym wezwaniem dla Bardy i Poniatowskiego wskazywać mogły, iż dzieje się coś, co mogło być groźne dla pana na Rokietnicy i jego krewniaczki.

Żegota opowiedział o wszystkim, czego się od Kopystyńskiego dowiedzieli. Wieść, że Poniatowski zamordował Annę Wierzbowską, wzburzyła Sulatyckiego i młodego oficera. Wolski sam ponaglał, by czym prędzej do Arłamowa dotrzeć. Dziwił się przy tym, że Stiller z Murrayem nie powiesili Kopystyńskiego na jakiej gałęzi po tym, jak chciał ich na śmierć w zasadzkę posłać. Machnął na to jednak ręką, bo nie czas był na jałowe spory. Kazał jeńców dragonom pilnować, sam zaś omawiać począł z cudzoziemskimi oficerami i ze szlachcicami, co czynić należy. Jedna tylko rada wszystkim się zdała właściwa. Jak najszybciej do leśniczówki dotrzeć,

wyłapać pozostawionych tam ludzi i od nich dowiedzieć się, dokąd mógł Barda pojechać. Bo prawdopodobne było, iż w to samo miejsce udał się Krasicki ze swoimi gośćmi. Z kopyta ruszyli więc prosto do lasów pod Arłamowem. Tak też w trzy godziny pod osadę dotarli. Tam ustalili, iż chuderlawego szlachcica, który by tylko zawadą był, Sulatycki w towarzystwie trzech dragonów odstawi do dworu. Surowo przykazał przy tym Wolski swoim ludziom, by z domostwa go nie puszczali, dopóki nie zezwoli sam lub przez posłańca. I na Kopystyńskim wymógł Żegota słowo szlacheckie, że żadnych głupstw czynić nie będzie. Szlachcic wyglądał zresztą na bardziej zrezygnowanego niż skorego do oporu. A choćby chłopów chciał podbuntować, to dwór w Arłamowie na tyle był solidny, że trójka żołnierzy mogłaby w nim i dobę się utrzymać. Nawet jeśli i nie, to czasu mieliby aż nadto, by jeńca życia pozbawić. Bo przykazał oficer dragoniński nie patyczkować się w razie kłopotów, co i pan Wawrzyniec solennie przyobiecał. Objął komendę nad żołnierzami, dumnie wąsa podkręcił i wyruszył w swoją drogę.

Kiedy z oczu zniknęli, Wolski wysłał podjazd, by zbadać, czy Wołosi nie kręcą się gdzieś w pobliżu Arłamowa albo czy nie przyszło im do głowy sprawdzić, co też we dworze się dzieje. Sam zaś z cudzoziemcami i Nadolskim przysiedli na ziemi dla omówienia sposobu działania. Ustalili, iż cicho należy podejść do leśnego domostwa, otoczyć je i nagle zaatakować. Nie spodziewali się znacznego oporu. Z tego, co mówił Kopystyński, wnosili, iż Barda nie ma więcej nad trzydziestu ludzi. Jeśli więc nawet tylko połowa z nim poszła, to dragoni poradzą sobie z pozostałymi bez trudu. A pewniejsze się zdało, iż z dowódcą Wołochów więcej jego sług pojechało.

Gdy patrol z niczym powrócił, wsiedli na konie. Chłop przewodnik, drżąc ze strachu, ruszył przed siebie. Pilnował go nieodłączny Bejda, który czujnie rozglądał się na boki. Tuż za nim jechał Semko, a dalej Żegota, Murray oraz Wolski ze Stillerem. Za nimi dragoni.

Las gęstniał. Już nie widać było ścieżki, tylko przesmyki pomiędzy drzewami. Omijali wykroty i powalone pnie. Wkoło panowała cisza. Porucznik nakazał dla bezpieczeństwa kilku dragonom iść po bokach. Szpica

z przewodnikiem także nieco się oddaliła, tworząc coś na kształt awangardy. Szli prawie jak na wojnę, sposobem znanym podjazdom na wrogim terenie. Tylko czasem brzęknięcie upręży zdradzało, że ktoś jedzie pustkowiec. Wolski surowo zabronił żołnierzom jakichkolwiek rozmów, a i pozostali nie byli skłonni do gadania. Przewodnik wiódł pewnie, rzucając nerwowe spojrzenia na każdy krzak i głąz, jakby za nimi śmierć mogła się czaić. Żegota nie był do końca pewny, czy Kopystyński prawdę powiedział, iż ludzie Bardy dopiero przy leśniczówce zasadzkę szykowali. Teraz nie miało to znaczenia. Byleby tylko za wcześnie dragonów nie spostrzegli i nie umknęli albo do obrony się nie uszykowali.

Dobłą godzinę szli, kiedy chłop z Arłamowa przystanął. Wyprostował się i wyteżył słuch. Bejda podjechał do niego z pytaniem w oczach. Przewodnik nic nie rzekł. Skręcił nieco w lewo. Droga zaczęła wieść pod górę. Las teraz stawał się mroczniejszy, starszy, bardziej omszały. Z wilgotnej ziemi unosił się zapach gnijących liści i błota. Woda ściekała, szemrząc, wymytmymi korytami. Słońce nie osuszyło jeszcze gruntu osłoniętego drzewami. Stąpanie końskich kopyt miętko i głucho brzmiało na leśnej ściółce. Kwadrans znów minął, gdy przewodnik ponownie stanął. Teraz jednak nie poruszył się, lecz poczekał, aż podjadą do niego oficerowie. Wolski pytająco poruszył głową i uniósł brwi. Chłop palcem wskazał w górę stoku. Skierowały się tam wszystkie oczy, ale niczego nie dostrzegły prócz drzew takich samych jak wszędzie. Dlatego porucznik wycedził cicho:

– Co?

Przewodnik pochylił się ku niemu.

– Uroczyisko. Diabelskie miejsce. Tam łoś przekłety chodzi. Bokiem obejść trzeba.

Wolski zaklął pod nosem i spojrział na Żegotę. Ten wzruszył ramionami.

– Bajanie – skwitował szeptem.

Murray ze Stillerem milcząco skinęli głowami, iż zgadzają się z opinią Nadolskiego. Dragon spojrział więc na chłopca i burknął:

– Prosto prowadź!

Widać było strach, jaki odbił się w chłopskich oczach. Ślinę przełknął, przeżegnał się. Niechętnie ruszył tam, gdzie przed chwilą wskazywał dłonią. Żegota popatrzył na Semka i Bejdę, a kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, pokazał wymownie na pistolety. Słudzy skinęli głowami i poszli za przewodnikiem. Pozostali pozwolili im się oddalić o kilkadziesiąt kroków. Potem Wolski puścił dwójkę dragonów, a za nimi poszła i reszta.

Las był jakby martwy. Nic się nie poruszało. Nawet drobne wiosenne liście wisiały bezwładnie. Nie słyhać było żadnego odgłosu. Pusta, drażniąca cisza zgęstniała dokoła. Nieprzyjemne uczucie naszło Żegotę, udzielając się chyba i reszcie, co można było wnosić po skupionych twarzach i nerwowych spojrzeniach. Między drzewami z przodu co rusz pojawiała się i niknęła idąca na czele trójka. Dwaj dragoni za nimi trzymali w rękach krótkie muszkiety. Zapobiegliwie nakręcili wcześniej zamki, gotując się na wszelki wypadek. Równomiernie stukotały końskie kopyta. Napięły się nerwy, wyostrzyły zmysły. Milczenie lasu łudziło spokojem. Mamiło pozorem bezpieczeństwa. Tak że z wolna luźniejsze stawały się dłonie, dotąd mocno trzymające wodze. Wysychał na nich pot nerwowy. Zdało się, że przesileniu uległa atmosfera napięcia. Osiągnąwszy szczyt, słabła. Żegota wypuścił cicho powietrze z płuc. Nawet rzekłby może coś wesołego, gdyby nie nakazana cisza. W duszy zaśmiał się z siebie i niepotrzebnej bojaźni. A wtedy się zaczęło.

Z przodu, gdzie szła szpica z przewodnikiem, rozległ się ryk potworny. Nieludzki. Straszny. A za nim zaszleściły krzaki, zaszumiwały drzewa. Ożył las wkoło. Przestraszone konie stawały dęba, kwiczały, mieszały się ze sobą. Jeźdźcy mocno chwycili wodze, by je uspokoić. Lecz kolejny ryk na nowo trwożył zwierzęta. I ludzie zadrżeli, tak nagła była zmiana. Nadolski spojrzał w przód. Koń kręcił się pod nim nerwowo. Szlachcic jednak nie baczył na to. Wzrokiem szukał swoich sług i przewodnika. Zdało mu się, że od tej strony doszedł go odgłos i szelest krzaków. Nie dostrzegł ich. Dobrze natomiast widział dwóch dragonów, którzy oddaleni nieco stanęli ramię przy ramieniu, celując muszkietami w pustkę dokoła. Nerwowo wiercili się w siodłach. Spoglądali na stojących z tyłu towarzyszy. Nie wiedzieli, kto i co ich może zaatakować. Wtedy, nie wiedzieć skąd, wystrzelił ku nim w pędzie potwór

nieznany. Najmniej na dziesięć stóp wysoki. Cały okryty brązowymi skórami, na dwóch nogach, lecz nieludzki w swym kształcie. Z łbem ogromnym, na którym tkwiły dwa potężne, błyszczące rogi. Jak wichur gwałt wprost na stojących dragonów. Jeden tylko zdołał wystrzelić. Niecelnie chyba, bo zwierzę nawet się nie zachwiało. Z rykiem dzikim uderzył rogami w koński bok. Zakwiczało straszliwie ranne zwierzę, rzuciło się na drugiego konia, obalając go. Dragoni polecili na ziemię jak wystrzeleni z procy. Muszkiety puszczane z dłoni zakołowały i spadły gdzieś w krzaki. Żołnierze nie zdołali nawet się unieść, kiedy dopadła ich bestia. Jednego przybiła rogami do ziemi, a szarpnąwszy się, nadzianego uniosła. Łbem gwałtownie rzuciwszy, cisnęła go na bok. Drugi był na kolanach, kiedy dosięgło go poroże błyszczące szarym blaskiem jak metal. Powłókł go potwór przed sobą i przycisnął, miażdżąc, do bukowego pnia. Wyprostował się, nogą pchnął martwego żołnierza. Na moment odwróciła się bestia w kierunku stłoczonej gromady. A potem, ryknąwszy, pognęła w przeciwną stronę. Tam gdzie powinni być ślady Żegoty z przewodnikiem.

Wymieszali się dragoni, szlachcic i oficerowie. Zbita gromada falowała. Z ust leciały przekleństwa i urwane komendy. Chaos i pierwsze przerażenie, nad którym próbował Wolski zapanować, stając w strzemionach, sparaliżowały ludzi. Nie patrzył na to Żegota. Tylko konia zdołał uspokoić, trącił go ostrogami i skoczył do przodu. Wyciągnął pistolet, mocno ściskając go w dłoni. Nieświadomie kłął pod nosem, poganiając zwierzę. Pomiędzy drzewami migotał mu gnający przed nim potwór. Zbyt odległy, by móc doń wystrzelić. I zbyt prędko biegnący. Gdzieś błysnął strzał. Rozległ się huk. To Semko próbował powstrzymać pełen dzikiej furii atak. Dostrzegł go Żegota, jak w ostatnim momencie zeskakuje z siodła, kiedy bestia uderza w wierzchowca. Przeturlał się pocztowy, zerwał na równe nogi i sięgnął do szabli. Nie zdołał jej nawet z pochwy wyciągnąć, kiedy daleko w tył poleciał kopnięty przez zwierzę wprost w piersi. Potwór pochylał się, by natrzeć na niego po raz ostatni. Wtedy zafurkotała pomiędzy gałęziami szeptem śmiertelnym strzała. Miętko weszła w kosmate cielsko. Aż po lotki. Monstrum gwałtownie się wyprostowało i ryknęło nieludzko. Łapą wielką jak bochen chleba, czarną, ze szponiastymi pazurami, sięgnęło do grzbietu,

gdzie utkwiał pocisk. Żegota był już blisko. Starczyła mu ta chwila, kiedy zwierz, wyszarpnąwszy strzałę, odrzucił ją na bok. Zaparł się w strzemionach, mocno ścisnął rękojeść pistoletu. Strzelił pewny, że musi trafić niechybnie. Dym uniósł się, a za nim Nadolski z trwogą ujrzał, jak pocisk snopem iskier odbija się od łba potwora i uderza w drzewo, odrywając kawał kory. Bestia odwróciła się do niego. Przerażony koń, nie bacząc na trzymane wodze, stanął dęba. Jedna z nóg wypadła Żegocie ze strzemienia. Zawisł na chwilę bezwładnie, szukając oparcia dla stopy. Nie usłyszał świstu drugiej strzały, lecz zobaczył, że potwór zadrżał. Łbem pokręcił, szukając łuczniaka. Ale dobrze skrył się Bejda! A wystrzeliwszy jeden pocisk, natychmiast zmieniał kryjówkę. Ta chwila dała Żegocie możliwość zapanowania nad wierzchowcem. Kiedy to uczynił, sięgnął po szablę i krzyknął:

– Jezus Maria!

Dźgnął konia w boki tak, że ten aż zakwiczał boleśnie. Jak wichur ruszył na potwora. I ten bieć począł naprzeciw. Rycząc wściekle, rzucając na boki rogatym łbem. Nadolski podniósł się w siodle, rękę do cięcia uszykował. I kiedy już zderzyć się mieli, ruchem z wielu bitew znanym, pchnął konia na lewo. Sam zaś ciął od serca w dół, tak jakby atakiem w skłębiony wir piechurów się wbijał, chcąc jednym zamachem jak najwięcej z nich uśmiercić. Jednak brzęknęła tylko szabla, odbijając się w górę od potwornego łba. Rękojeść wytłumiła nieco drgnięcie, ale i tak dłoń zaboląła Nadolskiego. Jakby w kamień uderzył. Cud, że szabla na pół nie pękła. Zatrzymał konia. Odwrócił. Ujrzał, że i monstrum szykowało się do nowego ataku. Ale za nim, wśród drzew, pojawiły się pierwsze ludzkie postacie.

– Dragoni! – szepnął Żegota i nadzieja odżyła mu w sercu.

Żołnierze opanowali konie, a Wolski natychmiast rzucił ich w ślad za Nadolskim. Teraz celowali z muszkietów do potwora. Strzały, najpierw pojedyncze, potem już gęsto poszły. Zeskoczywszy z wierzchowców, dobrze mierzyli. Zwierz cisnął się z rykiem w bok, zachwiał. Spośród dymu widać było, iż kule, trafiając w korpus, przeszywają ciało, unosząc kłęby wyrwanych z futra kłaków. Jęk bestii stawał się cichszy, przechodził

z groźby w zawrodozenie. Opadła na kolana. Wzniosła łapy, jakby w geście błagalnym ku niebiosom. Aż padł ten strzał, który zakończył jej cierpienie. Z łomotem cielsko zważyło się na ziemię. Wierzgnęło ostatni raz i znieruchomiło.

Ucichło wkoło. Biały dym powoli rozmywał się w powietrzu. Las milczeniem żegnał potwora. Ludzie odkładali broń. W ciszy patrzyli na zwałiste kształty pokryte brązowym futrem i rozłożyste rogi sterczące ku niebu. Niejeden przeżegnał się z trwogi. Nadolski schował szablę. Wciąż ostrożnie patrząc, podjechał w pobliże martwego zwierzęcia. Lekko zeskoczył z siodła. Poklepał dla uspokojenia konia po pysku, podszedł kilka kroków. Stał nad parującym od ciekącej krwi ciałem. Wolski z cudzoziemcami również się zbliżyli. Zeskoczywszy z siodła, z obnażoną bronią, podeszli powoli. Nic nie mówiąc, patrzyli na potwora. Stiller się pochylał. Dotknął dłonią sterczących rogów.

– Żelazo – mruknął.

Tak też Żegocie się zdało. Do kosmatego łba przytwierdzone były wykute z metalu ostre kolce. Bez słowa Nadolski chwycił jeden z nich i pociągnął. Nie drgnął. Z pomocą przyszedł mu Murray. Szarpnęli, aż poczuli, że poruszył się pokryty futrem łeb. Jeszcze jedna próba. Gruby, obleczony zwierzęcą skórą hełm zsunął się z głowy zabitego. Odsłonił potarganą czuprynę i blade ludzkie oblicze. Martwe oczy wpatrywały się bezmyślnie w korony drzew. Z kąta ust ciekła krew. Żegocie dreszcz przeszedł przez ciało.

– Fedko! – zawołał zdławionym głosem.

Spojrzał na dłonie trupa. Czarne, z przypiętymi szponami. Obydwie. I pojął, że nie jest to jego sługa z Wygnanki.

– Tymon... – wyszeptał.

Nagle z całą jasnością pojął już wszystko. Zyskał pewność, której mu brakowało. Rozwiała się każda wątpliwość. To Barda musiał zabić jego rodzinę! To on winien śmierci Zośki i dzieciaków! Bo to jego ludzie musieli uprowadzić Tymona w ten dzień, kiedy śmierć przeszła przez Wygnankę. A potem uczynili zeń swojego bezrozumnego sługę.

Zamilkł, a gardło zdławiło mu coś, co na chwilę odebrało mowę. Wpatrywał się w martwe oblicze jak w księgę, z której wyczytał przeszłość.

Z odrętwienia wyrwał go chłodny, rzeczowy głos Stillera:

– Znasz go waszmość?

Dopiero po chwili skinął głową.

– Kto to?

– Chłop z Wygnanki... Wtenczas porwany... – Nie powiedział nic więcej.

Starczyło jednak, by Niemiec zrozumiał wszystko. Położył Żegocie dłoń na ramieniu i pochylił głowę.

– Już wiesz tedy, mości Nadolski... Już wiesz na pewno...

Zbliżył się Bejda, prowadząc przerażonego przewodnika. Podszedł poobijany Semko, trzymając się za ramię. Kręgiem stanęli dragoni. Cisza zapadła. Murray przysunął się do wieśniaka. Ręką wskazując na zwłoki, wycedził przez zęby:

– Patrz! Człowiek! Nie demon! Człowiek! Nie łoś diabelski!

Chłop przełknął ślinę i przytaknął kilkukrotnym skinieniem głowy. Przeżegnał się ruskim krzyżem.

Nie czas był jednak na rozmowy. Wiedział to Wolski aż nadto. Strzały i krzyki musiały roznieść się po okolicy. Na nic podchody. Jeśli kto był w pobliżu, wiedział już, że przez las idzie siła zbrojnych. Krzyknął więc, by na koń wsiadać. Ponaglił chłopca i nie bacząc już na szyk ani ciszę, rozkazał czym prędzej do leśniczówki. Pognali za przewodnikiem między drzewami. Konie głośno załomotały o ziemię, gałęzie zaszumiały. Z ust dobiegały krzyki ponaglające ludzi i wierzchowce. Zostawili za sobą zabitego Tymona i dwóch nieżywych dragonów. Nie czas był, by o martwych się troskać. Teraz żywych należało osiągnąć.

Żegota gnał niesiony gniewem. Wściekłość wypełniła mu duszę i poczuł mrok jak wtedy, kiedy gubił w śmierci wspomnienie o Zośce i dzieciach. Chciał zabijać tych, co zabrali mu wszystko.

W kilka minut otworzyła się przed nimi nieduża polana, a na niej drewniane zabudowania. Dom z bali ledwie ociosanych, ale mocny



i obszerny. A przy nim kilka mniejszych budynków gospodarskich. Wszystko pociemniałe od starości, przysadziste, surowe. W leśniczówce okna niewiele większe były od otworów strzelniczych. Omszały dach pokryty był szerokim gontem. Wilgotny, śliski, zzieleniał ze starości.

Ledwie konni wypadli na otwartą przestrzeń, spod dworu rozległy się strzały. Jacyś ludzie biegli w kierunku drzwi domostwa. Ktoś inny celował zza sągu drewna. Zakwiczał postrzelony koń. Jeźdźcy ściągnęli wodze i na powrót wpadli pomiędzy drzewa. Gałęzie i liście osłoniły ich na chwilę przed wrogiem. Gdzieniedzie jeszcze padały pojedyncze strzały z dworu, a kule szumiały w wiosennych pąkach. Powoli cichły i nawoływania w wołoskiej mowie oraz okrzyki kryjących się wkoło dragonów.

Kiedy uspokoiło się nieco, Wolski nakazał z dwóch stron pojechać żołnierzom skrajem lasu i rozstawić się pieszo tak, by całą polanę otoczyć. Stiller, Murray i Żegota zostali przy poruczniku. Zeskoczywszy z koni, wpatrywali się w budynki. Nic się nie poruszało. Ci, którzy byli w gospodarstwie, ukryli się. Mieli czas, gdyż pewnie słyszeli kanonadę wywołaną zajściem, którego sprawcą był Tymon. Dragoński porucznik ostrożnie podszedł do linii drzew. W dłoni dzierżył muszkiet. Powoli odgarnął drobne liście zasłaniające widok. Dom stał o jakieś dwadzieścia, trzydzieści kroków. Widać było lufy rusznic wystające z otworów w ścianach. Tylko czekały, by pojawił się jakiś cel. W jednym z okien znalazła się nawet hakownica. Dach pośrodku zwieńczała przysadzista wieżyczka, pozwalająca kontrolować polanę. Tam umieszczony był folgierz<sup>[65]</sup> na obrotowym forkiecie. Coś poruszyło się przy nim. Widać Wołosi szykowali się do mocnej obrony. Wolski zaklął i się cofnął.

– Za mało ludzi! – syknął. – Dom solidny, przygotowany. I ta cholerna śmigownica<sup>[66]</sup>!

Żegota patrzył na polanę. Przypominał sobie, jak na wojnie zdobywali takie umocnienia. Rację miał porucznik. Musiałoby być więcej ludzi. Wtedy można byłoby do ścian dopaść pod kryjącym ogniem, szable w otwory strzelnicze i okna wrazić. A kilku z toporami rozłupałoby drzwi. Albo ogień podłożyło pod wejście.

- Ogień... – powtórzył półgłosem myśl.
- Co mówisz waszmość? – Stiller odwrócił głowę.
- Ogniem ich trzeba!

Wolski rozłożył ręce.

– Łatwo rzec! A kto pod chałupę podejdzie? Zanim dziesięć kroków zrobi, salwę dadzą! Dobry widok na wszystkie strony mają skurwysyny! A chałupa mokra się zdaje!

- Bejda! Bejdę mi tu dajcie!

Nadolski zawołał głośno imię Tataru. Podchwycili Stiller z Murrayem. Poniosło echo lasem. Aż w kilka minut zjawił się krępy poganin z nieodłącznym łukiem. Żegota wskazał mu zabudowania.

- Dasz radę podpalić? Strzałami zapalonymi.

Sługa się skrzywił.

- Dom solidny. Drewno mokre – burknął krótko.
- Nie dom! – przerwał mu Nadolski. – Obok! To, co słomą kryte!
- Słoma wilgotna... – Tatar pokręcił głową.
- Tym lepiej! – Żegota spojrzał mu w twarz. – Dymu dużo będzie!

Pojął Wolski, o co chodzi siwowłosemu szlachcicowi. Kiedy niewielką przestrzeń pokryje dym, nie sposób będzie tym w leśniczówce cokolwiek zobaczyć. A wtedy dragoni mogą pod ściany bezpiecznie dobiec. Obrońcy będą strzelać na oślep. Że trafią, mało było prawdopodobne.

Bejda ściągnął łuk. Z kołczanu wyjął kilka strzał i kawał materiału. Rozejrzał się, a znalazłszy jodłę, podszedł i szmatę potarł kilkakroć żywicą. Potem podarł ją w pasy i jął owijać drzewo, tuż za grotami.

- Poczekaj! – powiedział Murray i z sakwy przy boku wyciągnął butelkę.
- Okowita – wyjaśnił.

Polął dla pewności przygotowane paliwo. Bejda przysunął się do skraju lasu. Nadolski skrzesał ogień. Podał Tatarowi płonącą szczapę. Ten, zanim strzelił, odwrócił się i mruknął:

- Radzę odejść. Jak zobaczą, skąd strzała, cały ogień tu pójdzie.

Miał rację. Odsunęli się więc na boki, kładąc na ziemi. Bejda podpalił strzałę. Napiął cięciwę i celując krótko, wypuścił. Syknęła w powietrzu. Łukiem opadła dokładnie w środek słomianego dachu. Przygasł niewielki ogieniek. Z mokrej słomy podniosła się smużka wątego dymu. Tatar nie patrzył na to. Już druga strzała leciała w powietrzu. Gdy i ją puścił, odbiegł kilkanaście kroków na bok. W dobrym czasie to zrobił. Z wieży huknął bowiem folgierz, a siekańce zaszumiały w liściach, tnąc wiosenne gałęzie i odrywając korę z pni. Za nim i z budynku poszły trzy błyski, lecz Tatar już strzelił z innego miejsca. Leżący na ziemi Wolski zawołał głośno:

– Jak który by gasić wyszedł, to zastrzelić! Niech we dworze siedzą!

Powiększały się smużki na zabudowaniach gospodarskich. Ciężki, wilgotny dym, wirując, wznosił się w powietrze. Powolne języki ognia wpełzały spomiędzy strzechy. Tatar, zmieniając pozycję, pozbył się w końcu wszystkich strzał. Ogień, niespiesznie strzelając iskrami, obejmował obejście. Trzask zmieniał się w monotony huk. Dym gęstniał, a wilgotne powietrze cisnęło go ku ziemi. Obejmował otwartą polanę, ciągnąc wprost ku leśniczówce.

Z płonących budynków wybiegło trzech obrońców, krztusząc się dymem. Dragoni strzelali w ich kierunku. Jednak i im przeszkadzał unoszący się gryzący obłok. Jeden z Wołochów zdołał dotrzeć do dworu, gdzie dobijał się do drzwi, krzycząc. Chwilę później został wpuszczony, a okute wejście natychmiast się zatrzasnęło.

Wolski ocenił sytuację. Odbiegł do dragonów, stojących z lewej strony, bo tam była najśłabsza widoczność i najgęstsze kłębowisko dymu. Żegota zobaczył, iż porucznik z kilkoma żołnierzami podbiega do ścian dworu. Zauważyli go widać Wołosi, gdyż poszedł strzał z wieży prosto w ciężką chmurę, lecz na szczęście poczynił niewielkie szkody. Tylko jeden dragon zachwiał się, a potem zawrócił do drzew. Reszta dopadła do ścian leśniczówki. Stając przy nich wyciągnęli szable, które z okrzykiem wkładali w otwory, gdzie wystawały lufy. Zrobiło się zamieszanie. Przekleństwa padały z jednej i drugiej strony. Oczy łzawiły atakującym i obrońcom. Żegota postanowił skorzystać, skacząc do przodu. Za nim pobiegli Murray i Bejda.

Stiller, z racji kalectwa, pozostał wśród drzew. Położył się, przygotował muszkiet i czekał, aż odsłoni się ktoś z obsługi folgierza. I obolały Semko nie ruszył się z krzaków. Srodze musiał dopiec mu Tymon.

Kaszląc w kłębach ciężkiego dymu, Żegota przebiegł kilkadziesiąt kroków. Nie zwracał uwagi na strzały, które słyszał, bo i tak nie widział, kto i skąd strzela. W końcu dopadł ściany. Dyszał z intensywnego wysiłku. Zaraz też obok stanął Murray. Cały czerwony i spocony, bo tusza z pewnością nie pomagała mu w bieganiu. Obok do wilgotnych belek przytulili się dwaj dragoni. Jeden z nich naszykował muszkiet i zobaczywszy na lewo okienko, z którego wystawała lufa rusznicy, wraził tam broń, strzelając. Potem rzucił ją na ziemię, by poprawić pchnięciem szabli. Także Żegota nie próżnował. Kuł szablą głęboko w otwór strzelniczy na prawo. Klinga zgrzytnęła po lufie, która zaraz się cofnęła. Bez wahania Nadolski skorzystał z okazji i sięgnął po półhak zatknięty za pasem. Wystrzelił wprost w dziurę. Usłyszał stłumiony krzyk, z którego zrozumiałe było jedynie donośne:

– *Pulă!*<sup>[67]</sup>

Coraz więcej luf znikało. Dragoni pojedynczo podbiegali pod ściany. Dym rozrzedzał się, ale nie miało to już znaczenia. Powoli przesuwając się wzdłuż boków budynku, Wolski dotarł do drzwi.

– Hej! Kurwie syny! Poddajcie się! – krzyknął.

– W rzyć się całuj! – dobiegło go ze środka.

– Chałupę podpalimy!

– Próbuj, próbuj!

Porucznik zaklął. Spojrzał na dragona stojącego po drugiej stronie od wejścia. Ten sięgnął po zatknięty za pas toporek. Uderzył kilkakrotnie w solidną, okutą dębinę. Poleciały iskry. Żołnierz pokręcił głową, dając do zrozumienia, że niewiele to da. Strzały ustały. I obrońcy, i stojący pod ścianami zastygli w oczekiwaniu. Wydało się, iż sytuacja jest patowa. Nadolski, dotykając ścian, czuł mokre drewno. Długo trzeba by ogień podkładać. Mruknął kilka grubych słów pod nosem. Wysunął się do przodu i zerknął na dach, wyglądając spod zwieszającego się nisko okapu. Przez myśl przebiegło mu, iż wieżyczka może być jedyną drogą. Nie wiedział

jednak, ilu w niej może siedzieć Wołochów. Cofnął się i posuwając wzdłuż ściany, ostrożnie omijając otwory i okienka, przesunął do Wolskiego. Ten nadal tkwił opodal drzwi. Trącił go dłonią.

– Na górę trzeba – szepnął.

Porucznik wzruszył ramionami. Jedno tylko słowo rzucił w odpowiedzi.

– Jak?

– Na znak niech dragoni palbą z muszkietów w wieżę strzelą. Ci na górze skryją się na moment. Dym się z prochu zrobi.

– I co? – zapytał młody oficer wąpiącym głosem.

– Ja pójdę. Z Bejdą.

– Waszmość wiesz, jaki to hazard? – Wolski zmrużył oczy.

Żegota skrzywił się w półuśmiechu.

– Wiem – mruknął.

Porucznik skinął głową. Szeptem przekazał rozkaz stojącemu opodal żołnierzowi. Ten poniósł go dalej. Tymczasem Nadolski wrócił do Bejdy i krótko oznajmił mu, co trzeba zrobić. Tatar w milczeniu schylił głowę na znak zgody. Odłożył łuk, sprawdził pistolet za pasem. W ręce wziął zakrzywiony nóż. Podobnie i Żegota się przygotował. Wolał jednak czekać od noża, bo mógł nim na dachu się podciągnąć, a i w walce broń to była nieoceniona. W napięciu czekali chwili, kiedy padnie salwa. Szlachcic się przeżegnał. Dłużył się czas, nim usłyszał głośny okrzyk Wolskiego:

– Teraz!

Potem, w sekundę prawie, padły strzały z kilkunastu muszkietów wprost w wieżę. Jeszcze ich echo nie umilkło, kiedy Żegota z Bejdą wyskoczyli i błyskawicznie podciągnęli się na stromy dach. Deski gontów były lepkie i śliskie od starego zielonego osadu. Nadolski wbił czekan, zaparł się nogami i przesunął w górę. Tatar sprawnie używał noża, wbijając go w miękkie drewno. Stanęli na czworakach i ostrożnymi ruchami pełzli. Jeszcze nie dostrzegli ich ci na wieży. Gryzący dym z prochu rozwiewał się jednak szybko. Posiekana kulami wieżyczka była na razie martwa. Nagle coś się na niej poruszyło. Jakieś głosy zakłęły po mołdawsku. Mignęła czyjaś czapa.

Żegota wiedział, iż teraz są jak na widelcu. Gdyby tylko ktoś ich zobaczył, to strzałem zdmuchnie, nim cokolwiek zdołają uczynić. Zacisnął zęby i pomagając sobie czekaniem, brnął po oślizłych gontach. Wtem Bejda się przyczaił. Płasko przylgnął do dachu. Szlachcic spojrział w górę. Zobaczył wychyloną głowę. Powoli odwracała się do niego. Wołoch nie widział napastników. Jeszcze nie. Aż do chwili, kiedy skrzyżowało się spojrzenie jego i Żegoty.

– *Bastard!*<sup>[68]</sup> – krzyknął i błyskawicznie uniósł do strzału rusznicę.

Nadolski widział wycelowany w siebie otwór. Choćby chciał, nie miał jak uciec. Zamknął oczy, a przez głowę przebiegły mu tysiące wymieszanych wspomnień. Nim je pojął w jakikolwiek sposób, huknął strzał. Spodziewał się, że będzie głośniejszy. Wołoch był nie dalej niż cztery łokcie od niego. Nie poczuł nic. Żadnego uderzenia ani bólu. Zdziwiony wolno odemknął powieki. Nie było już celującego doń przeciwnika. Zamiast niego widniały rozbryźnięty po dębowych belkach wieżyczki mózg, resztki kłaków i krew. Celny strzał rozłupał mu czaszkę.

– Stiller! – mruknął Żegota pod nosem.

Szarpnął się i skoczył do góry. Wbił czekan w krawędź wieży. Z boku dopęłał Bejda, odsłaniając ostre zęby w nie wiedzieć czemu radosnym uśmiechu. Chwycili półhaki jak na komendę. Złapali dłońmi belki wieżyczki i unosząc ręce z bronią, nie wychylając się, wypalili wprost do środka. Natychmiast też poderwali się z krzykiem i nie bacząc, co może ich spotkać, skoczyli. Kłębił się dym prochowy. Jakiś obrońca z krzykiem i uniesioną szablą rzucił się ku nim. Nie była to jednak najlepsza broń w tych warunkach. Zamachnął się, a ostrze trafiło wprost w jedną z belek zadaszenia. Szarpnął, chcąc je wyciągnąć, lecz było za późno. Bejda wprawnym ruchem cisnął nóż, który utkwiał w gardle Wołocha. Zacharczał ciemnowłosy zbir, a z gęby bluznęła mu krew. Osunął się na kolana, ściskając przebitą szyję.

Drugi z przeciwników usiłował wskoczyć do otworu w podłodze prowadzącego do wnętrza budynku. Już miał nogi zsunięte i w połowie zawisł na krawędzi. Żegota skoczył i czekaniem rozwalił mu łeb. Broń utkwiała na moment w kościach czaszki. Szarpnięciem Nadolski ją wyrwał,

odsłaniając równy kwadratowy otwór. Siknęła wysoko posoka, a zwłoki bezwładnie opadły do włazu. Cudem szlachcic nie pochylił się nad nimi, gdyż zaraz świsnęły z dołu kule. Krzyk się podniósł. Ktoś odtrącił drabinę prowadzącą do wnętrza. Inny szukał wzrokiem ukrytych przy balustradach napastników. Ci jednak stanęli z daleka.

Żegota sapnął, otarł pot z czoła i ruchem głowy wskazał Tatarowi na folgierz. W mig Bejda pojął, o co idzie. Ruchomy forkiet umożliwił skierowanie działka w dół. Wprost do wnętrza leśniczówki. Lecz Wołosi nie próżnowali. Pokrzykując, strzelali w górę. Gdzieś fruwały odłupywane ołowiem drewniane drzazgi. Widać i oni zrozumieli, że teraz jedynie odbicie wieżyczki może ich ocalić. Tymczasem pełzli już po dachu pierwsi dragoni, których zachęcił sukces. Pomiedzy nimi odskakiwały gdzieś gonty rozszarpywane od dołu niecelnymi strzałami. Wołosi miotali się w środku bezsilnie. Gdy żołnierze dotarli, huknęły strzały ich muszkietów wprost w otwór w podłodze. Biała gryząca mgła na chwilę pokryła wieżyczkę. Skorzystał z tego Tatar. Skoczył i jednym ruchem przechylił folgierz w dół, tak iż lufa skierowała się w dach tuż za krawędzią balustrady. Żegota podsunął zapaloną drzazgę do lontu w zapale. Zasyczało, poszły na boki iskry. A potem rozległ się grzmot. Szarpnięta wybuchem lufa działka poderwała się w górę. Grad siekańców, jakimi było nabite, podziurawił deski, poszarpał belki. A że blisko było do celu, większość pocisków poszła jednym strumieniem, wyszarpując postrzępiony otwór, z którego uniosły się kłęby dymu. Obrońcy zawyli przekleństwami. Rozległa się beładna kanonada. Z otworów strzelniczych i okien wyleciały smugi dymu.

Nadolski się rozejrzył. Zobaczył worek z prochem od działka, cudem jakimś jeszcze nienaruszony. Na pół przywalony zabitym przez Bejdę wołoskim zbójem. Przesunął się bliżej i kucnąwszy, pociągnął sakwę ku sobie. Pomógł mu Tatar, który z drugiej strony szarpnął trupa, zwałając go na krawędź wejścia do leśniczówki.

Ucichły strzały. I atakujący, i ci w środku zastygli w oczekiwaniu. Wtedy Nadolski, nie ruszając się z miejsca, krzyknął:

– Hej! Wy tam!

– Czego! – odpowiedział mu po chwili tubalny głos z dołu.

– Mam wasz proch!

Nikt nic nie odrzekł. Żegota uciął kawałek lontu.

– Jak drzwi nie odemkniecie i się nie poddacie, to w dół go wam cisnę!

– A ciskaj! – zachrypiął ten sam głos. – Sam do nieba pójdziesz!

– Może i pójde! – przyznał, odkrzykując szlachcic. – Ale z was, skurwysyny, nie będzie co zbierać!

– I tak nas ubić chcecie! Za jedno nam!

– A coście myśleli, w rzyć jebane kiepy?! – warknął Żegota, szykując ładunek. – Taki wasz psi koniec, zdychać za wasze zbrodnie!

– Coś ty za jeden, że o naszych zbrodniach krzyczysz?! – Z dołu dobiegało jakieś szuranie. – Sameś kurwi syn z rzyci wszeteczniczy jakiej jak gównu wysrany!

– Szczekaj! Szczekaj! – odgryzł się siwowłoso. – Ujadanie to język twojej matki, co ją twój tatko wychędożył w psiarni, aż się oszczeniła!

Zamiast odpowiedzi gruchnął niecelny strzał i uniósł się biały kłęb. Żegota zaśmiał się szyderczo. Rozejrzał się wkoło. Szukał czegoś, by włożyć ładunek. W końcu skinął na Bejdę. Ściszej głos, wycedził:

– Zleż cicho w dół i daj mi jaką beczułkę. I prochu więcej w niej przynieś. Nawet niech muszkietowy dragoni dadzą.

Tatar skinął głową. Wysunął się za brzeg wieżyczki i bezszelestnie zsunął z dachu. Tymczasem Nadolski znów krzyknął do zamkniętych w leśniczówce:

– A dokąd wasz herszt pojechał?

– Twoją matkę chędożyć! – padło w odpowiedzi.

– Piętnaście roków, jak w grobie leży! Ale skoro takie ma gusta, jego rzecz! – odkrzyknął szlachcic i zaklął pod nosem.

Zerknął w dół, gdzie Bejda, ale nie widział Tataru. Dragoni przycupnięci za belkami czekali. Żegota skinął dłonią i syknął przez zęby:



– Dajcie mi wasze kulki.

Posłusznie wysypali z woreczków ołowiane pociski i podali jeden przez drugiego Nadolskiemu. Ten i swoje kule dołożył. Było tego z kilkadziesiąt sztuk. Coś zaszeleściło z dachu. To pacholek wspinał się powoli, ciągnąc na sznurze za sobą niewielką beczkę. Wołosi na dole posłyszeli coś, bo huknęły gdzieniegdzie strzały, odrywając gont. Bejda przycupnął, a kiedy ucichło, znów ruszył do góry. Z sapaniem ominął szerokim łukiem otwór wybity przez siekańce. W końcu oparł się o ściankę wieży. Pociągnął sznur i górą podał Żegocie beczkę. Nie była wielka. Miała może ze cztery garnce<sup>[69]</sup>. Ale była solidna, dębowa, z dwiema obręczami. Na dnie leżał skórzany worek z prochem wziętym od tych na dole. Tatar podał Nadolskiemu pokrywę. Szlachcic w milczeniu zaczął przygotowywać bombę. Na początek wyjął szpunt. Tędy miał iść lont. Potem ostrożnie zdjął skórzaną kurtkę i wyjąwszy z beczki proch, wyłożył pojemnik odzieniem, tak by luzów nie było. Na to wsadził worek z prochem z folgierza i sypnął przyniesiony przez sługę drobniejszy proch muszkietowy. Do tego, przy ściankach, dosypał ołowianych kul. Docisnął wszystko tak, żeby nałożyć wieko. Tępą stroną czekana dobił kilkoma stuknięciami. Z dołu rozległ się szelest, a potem dobiegł głos:

– Jak dzięcioł stukasz?! Dziupłę chcesz wydziobać?!

Zaraz też rozległ się śmiech nerwowy, niepewny, mający przykryć strach. Żegota tylko skrzywił się złym grymasem. Wyjął nóż i przez szpunt zrobił otwór w worku z prochem. Wetknął weń krótki lont. Wszystko podsypał jeszcze z rożka, utkał strzępem urwanym z koszuli. Krytycznie spojrzął na długość lontu. Niewiele myśląc, obciął połowę i tak krótkiego sznurka. Zostało w sam raz tyle, by dopalił się w momencie, kiedy ciśnięta beczka dotknie podłogi leśniczówki. Nie widząc Tatara, szepnął w jego kierunku:

– Bejda! Słyszysz mnie?

– Tak!

– Bierz dragonów z dachu i na dół złaźcie. Wolskiemu powiedz, żeby od ścian się odsunął z żołnierzami. Rozumiesz?

– Rozumiem.

- W dwa pacierze proch rzucę.
- Ale przecie nie zdążycie...
- Idź już! – przerwał mu Żegota.

Zaszeleściło za belkami wieży, ktoś szepnął kilka słów niezrozumiałych. Skrzypnęły gonty. Nadolski zerknął na zsuwających się towarzyszy.

Cicho było. Przeżegnał się nerwowo. A potem zaczął krzesać ogień. W myślach powoli odmawiał:

- *Ave, Maria, gratia plena, Dominus tecum...*<sup>[70]</sup>

Kiedy doszedł do amen, odpalił smolną drzazgę. Płomyk popęzł pomarańczowym blaskiem po drewnie. Westchnął i od nowa rozpoczął modlitwę. Spiał się cały do skoku. Wolno płynęły ostatnie słowa. Przysunął płomień do lontu. Nabrał powietrza w płuca. Podpalił. Zasyczał sznur, sypiąc iskry. Żegota poderwał się gwałtownie, uniósł beczkę obydwoma rękami nad głową i z krzykiem:

- Naści, skurwysyny! – rzucił wprost w otwór w podłodze wieży.

Sam szarpnął się, przeskoczył przez brzeg swojej kryjówki i runął w dół poszarpanym dachem, turlając się bezwładnie. Nie słyszał krzyku, który podniósł się wśród Wołochów. Zawirował świat szarym błękitem nieba i brudną zielenią drewna. A potem huknęło, jakby grom tuż obok uderzył. Uniosły się deski wokoło. Poderwało Nadolskiego w górę niby łątkę<sup>[71]</sup>. Owionęły go gorący podmuch i dym. W oczach mu pociemniało. Nim spadł na ziemię, nic już nie czuł. Zostały tylko pustka i czerń.

Ocknął się, kiedy chluśnięto mu w twarz kubłem zimnej wody. Powiódł wokoło nieprzytomnym spojrzeniem. W uszach wiercił go uporczywy, świszczący dźwięk. Jakby z oddali usłyszał słowa naznaczone niemieckim akcentem:

- Żyjesz, mości Nadolski?

Uniósł się, usiadł, pokiwał smętnie głową.

- Pić! – wycharczał nie swoim głosem.

Zaraz też Semko podsunął mu kubek. Żegota wychłęptał łąpczywie zawartość. Bardziej trzeźwo się rozejrzał.

Leśniczówka stała jak przedtem. Ale drzwi miała wyrwane, dach poszarpany. Wkoło leżały odłamki desek, okucia, gwoździe. Nad domostwem unosił się dławiący dym z tłącego się wilgotnego drewna. Dragoni niespiesznie wynosili pomiędzy niego ciała obrońców i układali rzędem. Ktoś podszedł do szlachcica. Podniósł oczy, by ujrzeć Wolskiego.

– Toś się waszmość sprawił! – Porucznik z niedowierzaniem kręcił głową.  
– I żywy wyszedłeś! Niepodobna! Tak huknęło, jakby armatę rozerwało! Chałupa szczelna była, to podmuch, ujścia nie mając, dach w górę na chłopą wyrzucił! A waćpana z nim!

– Aha... – przytaknął bezmyślnie Żegota. W głowie wciąż słyszał nieznośne brzęczenie.

– Drzwi jeno furknęły! Dobrze, żeśmy się odsunęli!

Nadolski przełknął ślinę. Trochę złagodziło to nieznośne ciśnienie w uszach. Wskazał palcem na wynoszone trupy.

– A tamci?

Wolski wzruszył ramionami.

– Dwóch żywych jeszcze. Zaraz na spytki weźmiemy. A reszta... – Przejechał palcem po szyi.

Żegota podparł się ręką, by powstać. Zaraz też podbiegł Semko i pomógł mu, ujmując pod ramię. Stał na chwiejnych nogach. Stiller przyglądał mu się z krzywym uśmiechem.

– Trudno waści zabić. Myślałem, że zbierać nie będzie co, jak cię w powietrze wyrzuciło.

– Złego diabli nie wezmą – mruknął szlachcic. Potem skinął głową w kierunku leśniczówki. – A za ten strzał, dziękuję. Byłby mi w łeb prosto palnął.

Saksończyk się odklonił. Zmieniając temat, powiedział, wskazując na domostwo:

– Musi, jak waszmość beczkę rzuciłeś, wybuch ich prochy podpalił. Bo siła była znaczna jak na waści ładunek. Dobrze, że się chociaż dwóch przy życiu uchowało, bo nie byłoby kogo pytać.

Zmrużył oczy, a Żegota wyczytał z nich niemą przyganę. Skrzywił się na to i burknął:

– Chciałeś tam, w krzakach, mości Stiller, dzień cały spędzić? Moglibyśmy tak pukać do nich i pukać!

– Racja! – przyznał Wolski.

Niemiec wzruszył ramionami. Już miał coś odrzec, ale przerwał mu Murray, który osmalony wylazł z leśniczówki.

– Podejdźcie tu! Zobaczyć musicie!

Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Mimo oszołomienia Żegota pierwszy ruszył do wyrwanych drzwi. A za nim Stiller i Wolski. Szkot wskazał w głąb domu.

– Jak żyję, pierwszy raz takie coś widzę! Jakby spod ziemi się napaści spodziewali! Cała podłoga sztabami metalowymi wzmocniona, a włącz do lochu taki, że i z armaty by go nie rozbił. Więzienie jakie czy co?

Bez słowa Nadolski wszedł do środka. Dębowe deski pod nogami w istocie spojone były żelaznymi klamrami. Im głębiej szedł, tym więcej pasów żelaza przymocowanych było do podłogi. Spajały gęstą siecią drewno.

Szlachcic przeszedł korytarz i wkroczył do obszernej izby. Wkoło porozrzucone były domowe sprzęty rozbite wybuchem. Na ziemi wały się resztki połupanego drzewa, potrzaskane naczynia, poszarpany materiał. Nad głową dziurami prześwitywało niebo, oświetlając pobitewny chaos. Dalej był kolejny pokój. Proste meble stały przy ścianach. Żadnych ozdób, oznak jakiegokolwiek bogactwa. Tylko to, co niezbędne. Na ścianach resztki trofeów łowieckich zwisały żałośnie pokrzywione. A podłogi wszędzie tak samo obite. Żegota się cofnął. Wszedł znów w korytarz, z którego wiodła droga na wieżę. Na ziemi leżała połamana drabina. Wkoło plamy krwi były. Postrzępione ściany świadczyły, że tu wybuch moc miał największą. Żegota się zatrzymał. Obok stanął Murray. Wzrokiem wskazał małe pomieszczenie na lewo.

– Tam!

Podeszli Wolski ze Stillerem i ciekawie zajrzeli do środka. Niewielka izba

była ciemna. Pełna jakichś rozbitych szklanych naczyń, z wywróconym metalowym piecykiem. W kącie stało wąskie posłanie, a nad nim wisiał krzyż prawosławny. Walało się kilka rozrzuconych ksiąg, tliły się luźne pergaminy zapisane cyrylicą. Tu prawie wcale nie widać było drewna na podłodze, tyle było żelaznych okuć. A na środku widniała zamknięta ciężka kłapa z wielkim stalowym kołem pośrodku. Nabita ćwiekami jak zamkowa brama. Nad nią, na grubej belce pod sufitem, przytwierdzony był blok do przewieszania liny. Widać tak podnoszono ciężkie wrota.

– Skarbczyk jaki czy co? – mruknął pod nosem Wolski i podszedł bliżej. Kucnął i ręką przesunął po kłapie. Nie odwracając się, rzucił: – Zamki jakby wejścia do twierdzy strzegły! Jeszcze było sztabami jakimś od góry zamykane, bo po bokach są okucia! Ale teraz zdjęte! Niby do lochów wejście.

Żegota również podszedł i spoglądał ciekawie. Właz miał ze dwa łokcie na długość i szerokość. Po bokach rzeczywiście widniały zasuwki, a sam opatrzony był w solidne zamknięcia. Podniósł głowę i rozejrzał się za kluczami, lecz nie dostrzegł nic, co mogłoby wskazać, gdzie są.

– Może owego człowieka, co za łosia się stroił, tu trzymali? – Stiller stanął za Nadolskim, wpatrując się w podłogę.

Szlachcic pokręcił głową.

– Przecie luzem chodził! Nie jego musieli tu więzić.

– Wypada Wołochów spytać – skwitował Murray. Podrapał się po czuprynie. – Gdyby sam właz był, myślałbym, iż loszek jaki. Ale całą podłogę obili! Po co? Jakby bali się, że to, co na dole, wyleźć może.

Wolski wyprostował się i otrzepał kolana.

– Nie ma co deliberować! Chodźmy zapytać, bo też pora z tamtymi pogadać! Jeszcze gotowi zemrzeć!

Nadolski przytaknął. Na powrót weszli w korytarz i stamtąd skierowali się na zewnątrz. Każdy w myślach czuł, jakie może być rozwiązanie. Pamiętali słowa Kopystyńskiego. Ale nikt słowa nie powiedział, tak nieprawdopodobna zdała się ta myśl.

Dwóch rannych Wołochów złożono pod ścianą. Jeden był bez przytomności. Leżał bezwładnie. W jego brzuchu widniała poszarpana rana odsłaniająca trzewia. Charczał, dysząc ciężko. Drugi zdawał się mieć lepiej, choć pół twarzy i ucho miał poczerniałe i opalone. Łypał jednym ocalałym okiem wokoło. Kiedy podeszli, splunął tylko. Widać było, iż na litość nie czeka. Twardy się zdawał. Taki, co los przyjmuje, jaki jest, ani sobie, ani innym nie folgując.

Stiller przykucnął przy nim, patrząc mu w poranione oblicze. Chwilę dłuższą mierzył go wzrokiem, lecz tamten nie spuścił hardego ślepią. Na koniec Saksończyk westchnął i powiedział:

– Życie ocalisz, jak na pytania nam szczerze odpowiesz. Zostawimy cię tu, opatrunek dostaniesz. Jak radę dasz, to wyżyjesz. Od ciebie zależy.

Wołoch skrzywił zarośniętą gębę w ironicznym grymasie. Nic nie odpowiedział. Wolski pochylił się nad nim.

– Gdzie Barda? – warknął.

Ranny wzruszył ramionami. Porucznik już zamierzył się, by dać mu w gębę, ale powstrzymał go głos Niemca:

– Poczekaj waszmość! Dajmy mu pomyśleć. Na głupiego nie wygląda.

Popatrzył na Wołocha.

– Jak cię zwa?

– Ionuc – mruknął jeniec.

– Słuchaj tedy, Ionuc! Słowo ci dam, że żywego cię zostawimy. O Bardę nam stoi. Nic nam z ciebie. Pojmujesz?

Ranny, nie spuszczać oczu, wolno skinął głową.

– Tedy powiedz, dokąd Barda pojechał i ilu miał ludzi.

Wołoch przygryzł wargę. Ważył w duchu odpowiedź. W końcu wycedził niechętnie:

– Na Sobień. W dwudziestu pojechali.

– Na Sobień? – upewnił się Stiller. – Wedle Bykowiec pod Sanokiem? Tam gdzie stary zamek Kmitów stoi?

Mężczyzna odpowiedział skinieniem głowy.

– A po co?

– Z panem Krasickim się spotkać. Vlad zabrał Poniatowskiego. Gody będą wyprawiać.

– Vlad? Jaki Vlad? – przerwał Nadolski.

Ranny podniósł głowę. Zmarszczył nos, chrząknął i splunął.

– Zaklinacz. Ten, co Poniatowskiego wskrzesił. Mówił, że na Sobieniu moc większa niż tu.

– Czekać, czekać... Od początku gadaj! – Żegota pochylił się zaciekawiony.

– Co tu gadać. Odczarować chcą potwora. Vlad twierdzi, że zaślubiny z dziewicą sprawić to mogą.

Siwowłosa szlachcic zadrżał. Pomyślał o pannie Wierzbowskiej i śmierci jej młodszej siostry. Zmrużył oczy. Już chciał dalej pytać, ale ubiegł go Saksończyk.

– Mów wszystko! Czemu domostwo całe żelazem wyłożone? Kto w lochu siedział?

– I tak nie uwierzycie. – Wołoch przymknął jedyne oko.

– Mów! – ponaglił Nadolski.

Ranny westchnął. Przesunął się i mocniej oparł o ścianę. Potem zaczął:

– Kiedy tu młodego przywieźli, to jakby martwy był. Nikt pomóc nie mógł. Aż Barda przywiózł Vlada. Ten rzekł, że jedyna droga to pozwolić Poniatowskiemu zemrzeć, a potem do życia go przywrócić.

– O czym ty gadasz? Jakże to? – Wolski patrzył szeroko rozwartymi oczami.

– Mówiłem, że nie uwierzycie.

– Pozwól mu dalej prawić, mości Wolski. – Stiller poklepał rannego w ramię. – Mów, Ionuc!

Ten spojrzał martwo przed siebie.

– Krasicki z początku nie zezwolił. Ale kiedy czas płynął i nic się nie zmieniało, nakazał czarownikowi swoje czynić. Ten polecił krew dzieci

sprowadzić...

Żegota wyprostował się i zacisnął pięści. W sercu poczuł mróz, a w ustach posmak ciężki i dławiąco słodki. Wołoch zaś ciągnął:

– Za jedno Władowi było czyją, lecz Krasicki, jako że pan wielki, umyślił, że musi być szlachecka. Żeby syna mu chamską posoką nie skalać.

Ranny przerwał i popatrzył na Żegotę. Ten stał blady, twarz mu stężała, usta obwisły bardziej niż zwykle po lewej stronie. Spoglądał straszonym wzrokiem, w którym czała się śmierć. Murray stanął obok i szepnął głucho:

– Strzymaj, mości Żegota. Pozwól mu skończyć.

Wołoch zaś, nie opuszczając oka, dalej opowiadał:

– Zdarzyło się, że Kantymir ziemie tutejsze najechał. Lepszej okazji nie było. Poszedł tedy Barda z ludźmi za Tatarów przebranymi za czambułem. Tym sposobem chciał rozkaz starosty wykonać. Mnie z nim nie było, ale powiadali inni, że w końcu, opodal Nadolan, naszli co trzeba. Barda dwójkę dzieci ubił, a Wład skończył, swoje czary odprawiając. Krew całą z nich puścił. Ponoć i matkę ich zabili. Wtenczas też owego olbrzyma przygłupiego przywieźli, co w lesie za strażnika nam robił. Za tym powrócili...

Siwowłosy szlachcic położył ciężką dłoń na rękojeści szabli.

– Gorze mi! Gorze mi! – wycharczał przez zęby.

Zbielały mu palce zaciśniętej dłoni. Siłą trzymał się, by nie skoczyć i nie rozłupać łba rannego. Wiedział jednak, że musi do końca wysłuchać jego słów.

Wołoch zakaszłał. Splunął, przerywając opowieść. Na chwilę obrócił wzrok na ziemię, by potem na powrót spojrzeć na Nadolskiego. Mimowolnie odczuł lęk, tak straszny wydał mu się szlachcic stojący nad nim. Zrozumiał, iż osobista musiała być przyczyna, przez którą ów siwowłosy za Bardą podążył. I poczuł, że mimo obietnicy śmierć mu chyba pisana. Nie przestał jednak mówić, lecz słowo każde ważył.

– Jak zjechali, Wład ponoć Poniatowskiego do końca własnymi rękami zadusił. A potem swoje obrządki czynił. Nie wiem jakie. Powiadali niektórzy, że trupa ową krwią napoił, zaklęcia odprawiając. Straszna to noc



była. Jeny krzyki i wycia z izby, gdzie był, dochodziły. Nad ranem ucichło. I młody z łoża powstał.

– Jezu Chryste! – Wolski przeżegnał się trwożliwie.

– Nie może być! – szepnął Stiller.

– Też bym nie uwierzył, gdybym na własne oczy nie widział! – Jeniec sapnął ciężko. – Ale nie był to człowiek. Już nie. Słońce paliło go, choćby tylko promyk mu padł na skórę. W mroku musiał siedzieć. Jak łasica poruszać się potrafił. Silny taki, że i dwudziestu chłopów by mu nie sprostało. A przy tym ludzkiego słowa niemówiący. Krwi i surowego mięsa tylko chciał.

– Martwiec... – wycedził cicho Wolski.

Wołoch skinął głową.

– Tak powiadali – potwierdził. – Upiór, wapiierz, wiesyczy... Jak zwał, tak zwał. Potwór. Diabelski pomiot. – Splunął ponownie i przeżegnał się po rusku. Nie patrząc na nikogo, cedził wolno: – Najsampierw w klatce żelaznej go trzymali. Krasicki włosy ze łba darł na to, co Vlad uczynił. Klął i groził. Ale ten rzekł mu, iż teraz klątwę zdjąć trzeba, a syn mu na powrót żywym człowiekiem się stanie. Tylko przygotować się musi. Tymczasem karmić trzeba było bestię. Początkiem zwierzęta mu rzucano, które ten zębami gryzł i krew spijał. Nie starczała jednak mu taka wieczerza. Chudł, gasł, pianę toczył. Nakazał więc czarownik człowieka mu dać. Przywiódł Barda dziewczkę, którą we wsi okolicznej porwał...

– Skurwysyn! – Żegota patrzył spode łba, nie mrugając nawet.

– Mów, Ionuc! – ponaglił głucho Stiller.

– Rzucili mu ową. Szybko się sprawił. A kiedy ludzkiej posoki popił, w letarg jakiś zapadł na kilka dni. Jakby spał. Gdy się ocknął, dali mu owcę. Nie spojrzął nawet. Jak raz w człowieku zasmakował, innej krwi nie chciał...

– I ludzi mu zwoziliście? – upewnił się Murray.

Ionuc, milcząc, skinął powoli głową. Potem łamiącym głosem wyszeptał:

– Jak pojadł, ulga była kilka dni...

– Jego w piwnicy trzymaliście? – Saksończyk wskazał na drzwi wiodące

do leśniczówki.

– Tak – potwierdził ranny. – Z klatki śpiącego do lochu go przenieśliśmy. Specjalnie kazał go pan Krasicki pobudować. Najpierw spokój był, ale razu jednego klapę wyłamał i nocą wyrwał się na świat... Pięciu ludzi nam ubił. Nijak zatrzymać się go nie dało. Wszyscy żywi kryli się w strachu. A tak szybko się ruszał, że uciec niepodobna. Jeden strzelać próbował, ale za nic miał potwór kule z ołowiu. Barda wściekły zarąbał tego, co wypalił z muszkietu, bo bał się, iż kto synowi pana starosty krzywdę uczynić może. Tak też dopiero gdy bestia krwi się opila i w sen zapadła, mogliśmy ją na powrót do loszku wrzucić. Vlad nakazał wtenczas całą podłogę żelazem wzmocnić, coby już nie było sposobu, by znów się wyswobodziła. Sam zaś księgi wertował, po pergaminy różne stare ludzi w świat rozsyłał i szukał sposobu, by z potwora na powrót człowieka uczynić.

Ranny zamilkł, patrząc przed siebie.

– Co dalej było? Jak z panną, co ją bez głowy Kopystyński do Sanoka zawiózł? – Stiller potrząsnął Wołocha za ramię.

– Dalej? Vlad w końcu sposób obmyślił. Miało się potworowi zaślubiny z dziewicą wyprawić. Ale ważniejsze były pokładziny po tym. Rzekł czarownik, że musi bestia dziecko spłodzić. A wtedy ma się narodzić potworny czort jakowyś. Ale nie tak zwyczajnie. Pazurami w dziewiątym miesiącu ma swoją mać rozerwać, która to za pierwszą ofiarę dla czarów odczynienia będzie służyć. W jej krwi ma się skąpać i nią ma być ochrzczony.

– Jakże to spłodzić?! – przerwał Stiller. – Przecie Poniatowskiemu przyrodzenie rzemieniami na Krymie uszkodzili!

Ionucowi rozszerzyły się oczy ze zdziwienia:

– Tego to nie wiem... – bąknął w końcu. – Ale tak prawić!

Saksończyk ruchem głowy zachęcił go, by dalej opowiadał. Żegota kipiał gniewem, ledwie zdołał ręce przy sobie utrzymać. I w oczach innych słuchających, prócz Niemca, widać było złość pomieszana z przerażeniem.

– Potem zaś chciał Vlad owego mieszańca w ofierze złożyć. Na niego miał

czar cały z Poniatowskiego przejść, jako na krew z krwi jego i kość z kości. Zatem ubić należało owo dziecko diabelskie z obrządkiem odpowiednim i rzecz miała się skończyć. Tak w księgach jakowychś wyczytał i rzecz całą panu Krasickiemu wyłożył.

– Barda kazał porwać pannę Wierzbowską? Ona miała być matką? – zapytał Wolski.

Ionuc wzruszył ramionami.

– Początkiem rzecz całą ułożył pan Krasicki, żeby normalnie zaślubiny sprawić. Z rodziną panny się ugadał. Tego tylko nie rzekł, iż pan młody niezwykajny. Prędko też miał owdowieć. Ale nijak nie można było tego zwykłym porządkiem przeprowadzić. Jak miał swatów na takie gody sprosić? Tedy potajemnie chciał rzecz uczynić. Nakazał, by Barda ludzi najął dla porwania. Dumny jest pan Krasicki. Nie wziął lada jakiej dziewczki, lecz starosty szadeckiego córkę. Bo choć syna miał potwora, to przecie nie mógł niższej stanem za żonę mu dać. – Machnął zrezygnowany ręką. – Beskidnicy ją pod Iskań przywieźli. Już wtenczas po myśli nie szło, bo do zwady przyszło, za czym kilku zbójów uciekło. Goniliśmy ich, ale szukaj wiatru w polu. Potem dziewczynę tu Barda przywiódł. Księżda Krasicki sprowadził, który miał ślub dać. We dworze wszystko się działo. Ja z ludźmi na zewnątrz mieliśmy pilnować. Co się zdarzyło, nie wiem. Tyle, że nie wesele to było, jeno pogrzeb. Bo potwór i pannę, i księżda jakimś sposobem uśmiercił. Powiadali, że wyrwał się, chociaż cały łańcuchami był spętany. I znów jak krwi się opił, to w sen zapadł.

Stiller przełknął ślinę i potarł czoło. Kręcił z niedowierzaniem głową. Wołoch zerknął na niego i skrzywił się.

– Nie dajesz wiary waszmość? Tedy dalej słuchaj! Krasicki nie chciał, by dziewczkę z innymi zakopać tu, w lesie. Bo przecie to i rodu znacznego, i synowi jego była przeznaczona. Dziwnie się rozum w magnackich głowach układa. Nakazał, by ciało porzucić, a że głowę i szyję miała całą pogryzioną, odciąć polecił. Tak bezpieczniej było. Kopystyński trupa do Sanoka zawiózł. Księżda tam... – wskazał ręką na lewo – ...za stajnią żeśmy zakopali. Jak innych. Najpierw łeb trzeba odrąbać i dla pewności kołek w pierś wbić, bo

powiadał Vlad, iż przez bestię zabity także odmienić się może i z grobu powstać, jeśli choć odrobina życia w nim została. – Przerwał i odetchnął ciężko. – No a dalej, to tyle wiem, że Vlad rzekł, iż obrządek w miejscu innym odbyć się musi. Tu ponoć za mała jest siła, a na Sobieniu mocniejsze mają być zaklęcia. Ponoć Węgrzy tam żywcem ludzi palili i do dziś straszy. Krasicki nową narzeczoną wynalazł. Siostrę owej pierwszej panny. W ruinie zamku rzecz ma się odbyć... – Podniósł oczy. – Nas Barda zostawił, bo przybył mniszek jeden, franciszkanin, z wieścią, iż ludzie biskupa Próchnickiego chcą leśniczówkę nawiedzić. Ubić mieliśmy, a potem za innymi wyruszyć.

– A ów mniszek? – Murray zmrużył oczy, zerknąwszy na Niemca.

Ionuc uśmiechnął się złym grymasem.

– Do loszku poszedł. Trzeba było dać bestii na sen, to Barda nakazał owego wrzucić. Nie było co zbierać, jakeśmy weszli Poniatowskiego do skrzyni załadować. Głodny być musiał.

– Potwór jest w skrzyni zamknięty? – upewnił się Stiller.

Ranny przytaknął skinieniem głowy.

– W trumnie żelaznej łańcuchami spiętej. Na dodatek sam żelazem skrępowany leży. Bo na Sobieniu trzeba będzie wieko odemknąć i oswobodzić diabła. Ślub przecie ma brać!

– Kiedy? – warknął Żegota.

Wołoch rozłożył ręce.

– Jak ze snu się wybudzi. Raz w dwa dni przytomność mu wraca, a nieraz i całą niedzielę śpi, jak się opije. Nikt nie zna, od czego to zależy. Vlad powiada, że im więcej złego w człowieku było, tym dłużej potwór w letargu zostaje, krwi się napiwszy. Ale, po prawdzie, to chyba sam nie wie...

– Ile czasu minęło, jak Barda wyszedł? – przerwał Murray.

– Trzy dni. Pewnie już jest na Sobieniu. Z wozem ciężkim trudniej się jedzie.

– Kurwa mać! – zaklął Żegota. Zawtórował mu Wolski i krzyknął na dragonów, by prędko się do koni zbierali.

Stiller wyprostował się, pogładził sterczące wąsy. Obróciwszy twarz ku Nadolskiemu, mruknął cicho:

– Waści są. Więcej mi pytać nie trzeba.

Murray poklepał szlachcica po plecach i w milczeniu się odwrócił. Ionuc łąpnął niepewnie jedynym okiem.

– Powiadałeś waszmość, że życie darujesz! – przypomniał zdławionym głosem.

Niemiec machnął tylko ręką, odchodząc. Za nic miał słowo, które dał dla uzyskania wieści. Bo i w najbardziej strasznych przypuszczeniach nie sądził, jak potworna może być prawda. Szedł wolno z opuszczoną głową, trawiąc w myślach to, co usłyszał. Mieszały się w nim niewiara, zwątpienie i strach, jednak nad nimi górowała chęć położenia kresu zbrodni, która od lat nękała okolicę. Dla tej przyczyny wysłał go tu lwowski biskup. Twardy był charakter najemnego Saksończyka.

Żegota został sam z rannymi. Podszedł blisko. Spojrzał z góry zimnym, nieludzkim wzrokiem. Niespiesznie wyciągnął szablę. Ionuc przełknął ślinę. Suchymi ustami wycharczał:

– Słowo daliście!

– Ja ci, kurwi synu, żadnego słowa nie dałem... – syknął szlachcic, przykładając ostrze do gardła rannego.

Grdyka Wołocha drgnęła w górę pod naciskiem żelaza. Zacisnął usta i hardo popatrzył na swego oprawcę. Puściwszy nosem powietrze, westchnął głosem pustym i głuchym:

– Tedy kończ.

Usta Nadolskiemu drżały nerwowo. Dłoń, ściskająca rękojeść, spotniała. Zgrzytnął zębami. Nie opuszczając szabli, wychrypiał:

– Co wiesz, jak z owymi dziećmi było?

Ranny się nie poruszył. Nie opuszczając wzroku, rzekł przez zaciśnięte wargi:

– Tyle, com rzekł. Nie było mnie tam... – Przymknął powiekę, wyciągnął bardziej szyję. Prawie niedosłyszalnie wyszeptał: – Wyście krewny pewnie...

Ojciec...

Żegota mocniej docisnął szablę. Pocięła kropla krwi. Wołoch nie prosił o litość. Innym jej nie dawał, to i sobie poniżenia szczenił. Ot, takie życie! Gdyby choć jęk wydał, pchnąłby szlachcic. Choćby drobinę błagania dostrzegł. Grymas jaki strach znaczący. Lecz niczego nie ujrzał. Z wolna rozluźnił ramię. Odsunął szablę. Pot spływał mu z czoła, jakby bitwę najmniej stoczył. Szumiało mu w głowie. W uszach na powrót zabrzmiał mu pisk, który słyszał tuż po wybuchu. Zachwiał się. Prawie upadł, ledwie się podpierając na opuszczonej ku ziemi broni. Ionuc wolno otworzył powiekę. Poparzona twarz stężała mu w grymasie zdziwienia.

– Co wam? – zapytał.

Jak z daleka doszedł Nadolskiego jego głos. Machnął wolną ręką, odganiając niepotrzebne pytanie. Powoli świat przestał wirować. Chłodniejszy podmuch otrzeźwił umysł. Nabrał powietrza w płuca, dłonią otarł wilgotne czoło. Bezwiednie prawie schował ostrze do pochwy. Ostatni raz popatrzył na rannych. Pokiwał głową i powoli się odwrócił. Już krok pierwszy postawił, by odejść, kiedy z za pleców usłyszał:

– Czekaście!

– Czego! – warknął gniewnie.

– Srebra się boi! Zabić go nim można!

Żegota przekręcił głowę i spojrzał na Ionuca. Ten powtórzył:

– Srebrem go jedynie można ubić! Tak Vlad powiedział. Albo spalić!

Nadolski popatrzył chwilę bez słowa. Potem skinął głową. Nic nie odrzekł. Po prostu odszedł.

Przy koniach spotkał szykującego się do drogi Stillera. Ten z półuśmiechem ironicznym wskazał głową na resztki leśniczówki, gdzie zostali ranni.

– I co waćpan? Darowałeś psubratom?

W odpowiedzi posłyszał jedynie niewyraźne burknięcie. Sprawdzając popręg i siodło, Niemiec ciągnął niezrażony:

– Dziwny z was naród. Kiedy trzeba z głową, to wam szlachetność oczy

przesłania. A jak trzeba by wielkość okazywać, to małostkowi jesteście jak nikt inny. Dwadzieścia lat tu żyję, ale zrozumieć trudno! Ot, żywego zostawisz, to zaszkodzić może. Ale wasza wola! Pamiętam, że jedna historia najlepiej was opisuje. Jakem ją usłyszał, to jako żywo, charakter wasz się odmalował. O Florianie Szarym. Tym, co Zamoyscy go za protoplastę mają. Znasz waszmość?

Szlachcic obojętnie wzruszył ramionami. Saksończyk uśmiechnął się pod nosem. Podciągnął rzemienie uprzęży.

– W bitwie trzy kopie brzuch mu rozdarły. Zdaje się, że to za waszego króla Władysława było. Tego z Piastów. I leżał tak ów rycerz na poboju, a trzewia mu na wierzch wylazły. Wpychał kiszki na powrót do brzucha. Król, jadąc pomiędzy trupami, takiego go zastał. W podziwieniu za odwagę i waleczność herb mu potem nadał, co go Jelita zwał, od owych kiszek wywalonych. Medyka swego sprowadził, by rannego opatrzył. I zapytał, czegoż ów rycerz by chciał. Chwila jak z jakiej ballady rycerskiej, z Francji, czy naszej, saksońskiej. Ale wtedy wychodzi to, co w was siedzi! Bo zamiast wzniosłej odpowiedzi słyszy król, że sąsiada ma ów Florian, co w szkodę mu włązi. I sroższa mu ta męka niż te trzewia, co mu z brzucha wylażą. W obliczu śmierci, w chwili gdy władca przed nim stoi, ten o swoim sąsiedzie prawi i zwadzie o miedzę! Tacy to wy jesteście! Od wielkości do małości jeden krok u was zaledwie. Myślisz, mości Żegota, żeś szlachetnie uczynił, tego tam oszczędzając? Głupiość waćpan uczynił! Ani krzty w tym wspaniałomyślności, jak pewnie mniemasz! Tyle ci rzeknę! Ale wasza wola!

Poklepał konia po łbie, spojrzał zmrużonymi oczami na Nadolskiego. Ten tylko wskoczył na siodło i machnął od niechcienia ręką. Stiller westchnął, pokręcił głową i mruknąwszy pod nosem coś po niemiecku, włożył nogę w strzemię. Spojrzał za swoim druhem ze Lwowa.

Murray, stojąc przy domostwie, machnął dłonią:

– Pójdziemy loszek zobaczyć?

Podjechał ku niemu Wolski z Żegotą. Coś krótko pogadali, z koni zsiadli. Potem weszli do środka, a za nimi dwóch żołnierzy. Stiller, siedząc na wierzchowcu, przypatrywał się temu bez ruchu. W końcu potrząsnął

ostrogami i wolno podjechał bliżej. Zmierzył się spojrzeniem z siedzącym pod ścianą Ionucem i znów głową pokręcił. Nie w smak mu było łaskę okazywać.

Zeskoczył z siodła. Wszedł w poszarpany korytarzyk wiodący w miejsce, gdzie było wejście do piwnic. Posłyszał stamtąd stłumione głosy i stęknienia z wysiłku. Pomyślał, iż pewnie dragoni ciągną linę, unosząc okutą klapę. Ciężka być musiała. Nie spiesząc się, podszedł i stanął w drzwiach. Właz był już odemknięty. Szkot, porucznik i Żegota pochyłali się nad nim i wpatrywali w dół. A i dragoni zerkali im ciekawi zza pleców. Do nozdrzy Stillera dotarł, z początku słaby, potem zaś intensywniejszy trupi smród. Musiał z podziemi wypłynąć. Odsunęli się od otworu pozostali, zatykając nosy. Choć nie pierwszozna im, to zapach był tak zgęstniały i dławiący, iż nie szło wytrzymać.

– Śmierdzi? – Stiller uniósł kąciki ust, odsłaniając zęby.

Żegota odwrócił się ku niemu i mruknął ze ściśniętym palcami nosem.

– Prochu żeś waćpan nie odkrył! Przecie czujesz!

Niemiec podszedł bliżej. Mimowolnie zrobiło mu się niedobrze. Nie dał jednak po sobie poznać. Spojrzał w dół i powiedział:

– Ciemno!

Wolski już próbował na to poradzić i w korytarzyku przygotowywał prowizoryczne łuczywo. Po chwili wszedł, niosąc zapalony kawał drewna. Bez słowa cisnął go w dół. Zasycało, pojaśniało na chwilę, a potem zgasło.

– Błoto musi być! – zauważył Murray. – Zejść trzeba!

Żegota rozejrzał się, a znalazłszy odłupany fragment deski, owinął go szmatą z podłogi. Zerknął na Szkota i poprosił:

– Daj waść okowity.

Murray sięgnął po manierkę i szciodrze polał po pochodni. Szybko zapłonęła. Nadolski przeżegnał się, popatrzył na wiodącą w ciemność drabinę, przekroczył krawędź otworu. Szczebble były śliskie od gęstego, mokrego powietrza. Z trudem powstrzymywał napływającą mu do ust ślinę i resztki jadu podchodzące do gardła. Ostrożnie zszedł w dół.



Słabe światło padło na zrobione z grubego kamienia ściany. W półmroku dostrzegł resztki przegniłej słomy i jakieś posłanie. Posłyszał szelest. To Wolski złaził, mocno zaciskając ręce na szczeblach. Z góry doszedł głos Stillera:

– I co tam?

– Nic! – odkrzyknął Żegota. – Loszek murowany! Smród jeno i...

Przerwał, nastąpiwszy na coś, co chrupnęło nieprzyjemnie. Schylił się, poświecił bliżej. Mimowolnie przełknął ślinę przez ściśnięte gardło. Na ziemi leżała oderwana ludzka ręka, z której sterczała ułamana kość. Na pół już zgniła, ze skórą poszarpaną, brunatną. Żegota wyprostował się gwałtownie.

– Coś waszmość tak zamilkł? – rozległo się z izby nad nim.

Nie odpowiedział. Wolski podszedł bliżej. Żegota w milczeniu poświecił mu na ludzki szczątek.

– O kurwa! – wyrwało się porucznikowi.

Drabina drgnęła. Szkot z sapaniem sprowadzał swoje okazałe ciało do piwnicy. W rękę dzierżył drugą pochodnię. Rozejrzał się zaciekawiony.

Loch składał się z dwóch połączonych izb. Obie zdawały się puste. Sufit stanowiły mocne dębowe podłogi leśniczówki, wsparte na solidnych belkach. Przeszli dalej. Przy ścianach wały się resztki. Ze smrodu wnosić należało, iż to gnijące w błocie mięso. Tylko domyślać się można było, iż ludzkie, bo już nic w tych kształtach z człowieka nie zostało. Murray poświecił na mur.

– Patrzcie! – wyszeptał.

Wzdłuż kamieni ciągnęły się równoległe bruzdy wydrapane jakby szponami. W niektórych miejscach zaprawa była wydłubana. W innych ściany pokrywały brunatne śliskie plamy.

W drugim pomieszczeniu do muru przymocowano żelazny łańcuch, długi na kilka stóp, z ogniwoami grubymi na dwa palce. Na końcu zawieszono obręcz od kajdan. W tym lochu każdy kamień nosił ślady drapania. Również deski sufitu były porysowane, gdzieniegdzie tak głęboko, iż wystawały końce żelaznych gwoździ, jakimi obito podłogę w leśniczówce.

– Musiał się skurwysyn natrudzić! – wysapał Szkot z podziwem.

– Widać spieszno mu na zewnątrz było! – Wolski przyglądał się okuciom łańcucha.

Żegota rozejrzał się po raz ostatni. Przeszedł z pochodnią dokoła. Potem ruszył ku drabinie, mruknąwszy:

– Nic tu nie ma.

W ciszy wspięli się do tonącego w półmroku pokoju. Stiller patrzył ciekawie, lecz nie zapytał. Wiedział, że i tak Murray wszystko mu powie. Nie mylił się. Szkot, sapiąc, wylazł z otworu w podłodze. Otrzepał odzienie, stuknął butami, strząsając błoto.

– Pusto – wydyszał. – Ale coś, co tam było, bardzo do ludzi chciało.

– Ludzi to mu wrzucali. Nie musiał się trudzić – mruknął Żegota.

– Prawda – skwitował Murray.

Wolski nabożnie się przeżegnał. Gestem nakazał dragonom zatrzasnąć klapę. Opadła z łoskotem. Porucznik ostatni raz spojrzął na ciężkie okucia.

– Nie wiem, co tam było, waszmościowie, ale lepiej to ubić.

Pozostali skinęli głowami. Żegota milczał chwilę, nim wyrzekł powoli:

– Ionuc mówi, że srebra się boi. Tylko nim można go zabić. Albo spalić.

Saksończyk wykrzywił się w złośliwym grymasie.

– Bajanie! Przecie nie wierzysz, mości Nadolski, że wąpierz tu trzymali!

– Nie byłś waćpan na dole – odpowiedział Wolski zamiast siwowłosego.

Stiller westchnął z rezygnacją i machnął ręką.

– Chcecie, to szykujcie kule ze srebra. Ja sobie tym poradzę! – Uderzył dłonią w ciężki rapier. – Bo prawda jest taka, że jak co żyje, to zabić się da. A wrózek, ssunów, topielców czy innej gadziny na tym świecie nie ma! Tak to i dzisiaj losia z piekła rodem ustrzeliliśmy, waszmościowie!

Uśmiechnął się złośliwie i pierwszy wyszedł. Wolski podrapał się po głowie. Ni to do innych, ni to do siebie wyszeptał:

– Ja tam jeden pistolet guzem srebrnym naładuję. Nie ma co! Strzeżonego Pan Bóg strzeże!

Nikt nie odpowiedział.

Nie spiesząc się, wyszli z leśniczówki. Pierwszy raz chyba, odkąd Nadolski poznał Szkota, ten szedł zasepiony, z głową na piersi spuszczoną. Widać i on wahał się pomiędzy tym, co powiedział jego towarzysz, a tym, co widział w lochu. Nie mówiąc nic, podeszli do koni. Wolski puścił jeszcze dragona do Arłamowa, coby Sulatyckiego i żołnierzy z nim będących czym prędzej sprowadził, każąc na Załuż się kierować. Poleciał też, by Kopystyński chłopów wysłał dla pochowania zabitych. Tych, co w lesie zostali, i Wołochów z leśniczówki. Potem ruszyli prędko prosto na Sobień.

## ROZDZIAŁ XII

### BESTIA

Na nocnym niebie ruiny zamku odbijały się wyszczerbionymi zębami rozbitych murów. Drzewa zarastały puste dawniej zbocza. Spoglądały w dół posępnie drapieżnymi kształtami czarnych gałęzi. Pomiedzy nimi pohukiwały nocne stworzenia, niewidoczne dla oka. Mroczne i straszne czyniło to wrażenie. Nie dziwota więc, iż omijali okoliczni mieszkańcy to miejsce, bo wciąż żywa była historia sprzed ponad stu pięćdziesięciu lat, kiedy krzyki i rżenia mordowanych wypełniły wzgórze. Nie byli skorzy do łaski najeźdźcy, mszcząc się za zniszczenia dokonane na Górnych Węgrzech przez wojska Pawła Jasińskiego. Potem raz jeszcze, w roku 1512, przypuścili najazd. Kiedy Madziarzy złupili twierdzę Kmitów, nie stało na miejscu gospodarza. Dziedzice poszli do Leska, a forteca zaczęła rozsypywać się w proch. Ziemia w końcu przeszła wraz z ruiną na Stadnickich. Ale nie w głowie im było podnosić ją ze zgliszcz. Bo i zamek był mały, i szczyt góry nie dawał przestrzeni, by wznieść tam inną rezydencję. Opustoszał, tym bardziej że gadali ludzie, iż straszy wśród syjących się murów Czarna Dama, wdowa po Janie Kmicie Nosku, co spłonęła żywcem w trakcie węgierskiego najazdu. Bajali, że snuje się wśród głazów, szukając, gdzie też odeszli jej krewni. A jeśliby ją kto z Kmitów zobaczył, niechybnie znaczyło to, iż śmierć mu bliska pisana.

Wolski, jeszcze spod Arłamowa, posłał jednego gońca pod Przemyśl, do reszty chorągwi, żeby ją jak najprędzej pod Sobień przyprowadzić. Nie spodziewał się, żeby prędko doszli, ale ludzi miał mało, a nie wiadomo było, ilu swoich razem mają Barda z Krasickim.

Tymczasem stanęli pomiędzy wsią, co ją Kmitowie jeszcze założyli, a górą, na której wznosił się zamek. Czarno było choć oko wykol. Księżyc ledwie co przeświecał przez chmury, a gwiazdy błyskały tylko gdzieniegdzie zimną poświatą. Ognia porucznik zakazał rozpalać. Wszystko to, co brzęknąć mogło, dragoni bądź to w sakwy włożyli, bądź to mocniej przypasali. Tak

poszedł zwiad pod górę przeciwną stroną, niż San płynął. W godzinę wrócili żołnierze, oznajmiając, iż na polanie pod stokiem stało kilku Wołochów. Straże rozstawili, ognisko niewielkie tylko rozniecili, by blaskiem nie kusić obcego do odwiedzin. Dragoni z daleka musieli patrzeć, bo też czujni byli Wołosi jak na wyprawie wojennej. Karnych miał Barda ludzi.

Oficer szeptem naradzał się z towarzyszami, co też czynić można. Nijak bowiem nie było prawdopodobne ominąć strażników. Potem kolejnych ludzi posłali, by od strony rzeki rzecz sprawdzili. Ale i tu lepiej nie było. Nie dość, że błota się ciągnęły, przez które przeleźć trudno, to i tam, przy Sanie, dostrzegli zwiadowcy kilku Wołochów.

Nadolski zaklął grubo. Paliło go, by czym prędzej morderców dostać w swe ręce. Pojmował jednak, iż z głową rzecz całą należy ułożyć. Bo choć zamek stał opustoszały i zrujnowany, to starczyłby dla obrony. Trzeba by strażę ominąć, fortecę zająć i samemu się w nim umocnić. Wtenczas można by Krasickiego i Bardę pochwycić. I owego czarownika, którego Ionuc zwał Vladem. Gdyby nawet strażę z dołu chciały w sukurs przyjść, to daliby radę odeprzeć. A potem, nawet jeśli i w dwa dni, zjawią się przecież pozostali ludzie porucznika z kwater pod Przemyślem. Nic wtenczas Wołosi nie poradzą. Poza tym Sanok był niedaleko. Jakby do bitki doszło, zaraz też przyszliby ludzie rzecz sprawdzić. A za tym może i pacholki starościńskie. Nie w smak byłaby Bardzie i Krasickiemu taka wizyta. Spokoju i mroku potrzebowali. Bo jakże to tłumaczyliby się ze swojej bytności w ruinach Stadnickim przynależnych? Co też starosta doliński mógł robić nocą w opustoszałej fortecy? Trudno byłoby mu znaleźć jakieś wytłumaczenie.

Gorączkował się Żegota, czekając. A tymczasem noc coraz głębsza się stawała. Jałowe zdały mu się rozmowy między Stillerem i Wolskim. Irytujące komentarze Murraya. Niepotrzebne wyrzekania Sulatyckiego. Bo dalej w miejscu stali. A tam, na górze, wszystko się dzieć mogło. Choć sam nie przyznawał się do tego, choć wszystko zemstą przykrywał, wiedział w głębi duszy siwowłosy szlachcic, iż jest jeszcze jeden powód jego gniewu. To on najbardziej ciążył. Nieubrany w słowa, lecz nawracający obrazem błękitnej barwy oczu i brzmieniem głosu tej, której ślub na zamku miano wyprawić.

I choć starał się wyrzucić ów obraz z głowy, im silniej to czynił, tym wyraźniejszy się stawał. Mieszał się ze wspomnieniem Zośki i dzieci, w jedno się zlewając.

W końcu warknięciem przerwał dysputę, iż jedzie do wsi pobliskiej chłopa jakiego sprowadzić i wypytać, czy nie ma na górę innego dostępu niż od tych stron, co je Wołosi zajęli. Po prawdzie niewiele w to wierzył, lecz chciał być sam choć przez chwilę, by móc myśli w głowie poskładać, rześkim powietrzem nocy nerwy ukoić. A może i zakląć, Bogu wygrażając, lub też łzę bezsilności uronić. Byle tylko mrok objął go swą czernią, a on mógł w nim zgubić ciężar, który ścisnął mu serce.

Zgodził się też Wolski, że myśl dobra. Nawet dragonów do towarzystwa chciał dać, lecz odmówił Żegota, prawiąc, iż sam ciszej i sprawniej rzecz całą uczyni. Wskoczył na siodło, za sobą zostawił szepczących bezradnie.

Nie zabręczała uprząż, nie szcęknęła szabla. Jak duch sunął przez ciemność, bardziej na konia się zdając niż na swoje zmysły. Bo też chałupy niedaleko przecież były. Starczyło groblą przejechać pomiędzy nadrzecznymi mokradłami.

Wierzchowiec szedł miękkim brzegiem. San szumiał, tocząc wodę po kamienistym dnie. Mrok przepleciony był mgłą i chłodną wilgocią ciągnącą od nurtu.

Szlachcic odetchnął pełną piersią. Samotność i ciemność go uspokajały. Czuł, jakby wszystko wkoło zniknęło. Pozostały tylko niebo wyglądające zza chmur, noc, monotonny szum, a pośród tego on. Zawieszony pomiędzy nimi, oderwany od czasu i trosk. Chwila to była, w której wszystko, co przeżył, snem mu się zdało. Jak idący znad Sanu opar ulotny, co go nijak ręką nie dało się dotknąć, choć przecież widać było i czuć mokry powiew. Opuścił głowę, pomyślawszy, iż takie właśnie jest ludzkie życie. Mgnienie, którego żadną miarą w dłonie pochwycić się nie da. Przenika między palcami, mami, kusi, by potem zakpić z człowieka, odmieniwszy kształty jak nadrzeczna mgła. Przelknął gorzką myśl, że i jego los jest taki. Choćby zdało mu się, iż sam go wykuwa, to przecie naprawdę był jak pióro na wietrze. Miotany we wszelkie strony, uwikłany w przeszłość i nierealne pragnienia. Między

rozpaczą i marzeniem, zawieszony w połowie drogi od piekła do nieba. Żal poczuł nad swoim życiem. Stanęli mu pod na wpół przymkniętymi powiekami Michaś i Marysia. Tacy, jakich widział, gdy wyjeżdżał z Wygnanki. Mali, nieporadni jeszcze, z oczami wielkimi, dziecinnie wpatrzonymi w świat, który miast szczęścia śmierć im jeno przyniósł. A przy nich Zośka. Dobra najprostszą i najszczerzą z dobroci. Czuła i cicha. Z uśmiechem, którym witała każdy dzień. Czego więcej trzeba było? Nie rozumiał teraz Żegota, za czym pojechał w świat wielki. Na cóż mu owo złoto ukryte w piwnicy? Po co włosy siwe i sprawna do szabli ręka? Nawet jak zemstą serce nasyci, to cóż potem? Komu z wieczora słowo czule szepnąć? Z kim spoglądać na pola dojrzewającego zboża? Kogo uczyć konno jeździć? Komu lalki strugać? Spłynęła mu po policzku zimna kropla. Sam nie wiedział, czy to wilgoć na twarzy osiadła, czy to łza popłynęła. Westchnął ciężko. Dreszcz przeszedł go na wskroś, taki, co mówią, iż nadchodzi, gdy kostucha opodal do żniwa się szykuje. Pochylił się w siodle. Przygarbił pod ciężkimi myślami.

Z odrętwienia wyrwało go parsknięcie konia. Nie wiedzieć czemu zwierzę zatrzymało się, zakręciło nerwowo. Wypukłe ślepia wpatrywały się w mrok, chrapy rozszerzyły, chłonąc gęste powietrze. Nadolski czujniej spojrzął wkoło. Ukłął konia ostrogą, lecz ten zaparł się przednimi nogami.

– Ki diabeł? – mruknął jeździec.

Ciemność. Nieporuszona czerń, której wzrok nijak nie mógł przeniknąć. Gdzieś z tyłu, na tle zachmurzonego nieba, rysowały się jedynie porośle drzewami górskie szczyty. Rzeka szumiała monotonnie. Pustka. Szlachcic poklepał konia po karku.

– No! Dalej! – zachęcił.

Wierzchowiec parsknął powtórnie i łbem wstrząsnął. Zakręcił się w miejscu, głucho stukając podkutymi kopytami na miękkiej ziemi. Już napiął Żegota nogi, by mocniej przynaglić oporne zwierzę. Zacisnął dłonie na wodzach. Wtedy poczuł chłód. Nie taki, jak podmuchami znad rzeki niesiony. Powietrze w miejscu stało. Nie był to wiatr ani wilgoć. Skamieniał, a włosy zjeżyły mu się pod czapką.

Tuman nadrzecznej mgły kłębił się nienaturalnie. Gęstniał i rozchodził się mimo bezruchu wokoło. Tworzył kształt coraz bardziej ludzki.

Nadolski przetarł oczy. W myślach przywołał boskiego imienia. Koń zakwiczał krótko, zastrzygł zaniepokojony uszami. Jeździec, szepcząc, uspokajał siebie i zwierzę. Tymczasem wyłonił się z bieli kształt kobiety. Wysoki, szczupły. Rozmyty, lecz jednak znajomy. Żegota się przeżegnał.

Ryta! – przez myśl mu przebiegło.

Stało przed nim widmo. Bliżej niż o kilka kroków. Nie zadrżał nawet opar go tworzący. Niby z kamiennej bryły ktoś, odrzucając co zbędne, posąg wyciosał. Lecz nie w kamieniu wyryty, tylko we mgle.

Szlachcic, niewiele myśląc, zeskoczył z wierzchowca. Już krok miał przed siebie uczynić, kiedy podniosła się biała poświata we wstrzymującym geście. Zamarł.

Zdało mu się, że w szumie wody głos słyszy. Choć sam nie wiedział, czy bardziej w myśli, czy do uszu dźwięk natarczywy mu dochodził. Zamknął oczy, wyostrając zmysły. Najpierw nic nie rozumiał. Jeno pojedyncze drgnienia głosek odległych. Ale im bardziej się skupiał, tym wyraźniejsze były słowa:

– ...Prokop... młyn... idź...

Zacisnął dłonie. Usta przygryzł. Powoli pojmować zaczynał.

– ...do młyna idź... Prokop... on...

Wstrzymał oddech. Jedynie szum krwi pulsującej w skroniach mieszał się z pluskiem rzeki.

– ...on wie... droga...

Nagle ucichło wszystko jak nożem ucięte. Siwowłosy zdziwiony otworzył powieki.

Znów tylko zwykły odgłos nocy rozbrzmiewał. Mglista postać niknęła w podmuchach znad Sanu. Była tu ona czy też zmysły splątały mu figa? Wyostrzył się na nowo świat wokoło. Bardziej niż uprzednio realny. Poczuł, jakby ze snu głębokiego się wybudził.

Nerwowo znak krzyża uczynił. Wspomniał wcześniejsze widzenia. To



z Chreszczatej i Arłamowa. Pojął z intuicyjną pewnością, że wiedźma ostatni raz mu pomogła, by pomsty swojej dokonał. W duchu wyszeptał słowa podziękii, a za nimi modlitwę za jej zagubioną duszę. Chwilę jeszcze bez ruchu stał, wpatrując się w resztki mgły nikszące w mroku.

Wyrwało go z tego odrętwienia parsknięcie. Koń pyskiem trącił go w ramię. Bezwiednie poklepał łeb zwierzęcia, odnajdując w jego ciepłym oddechu ostateczne uspokojenie. Serce zwolniło rytm, rozluźniły się napięte mięśnie.

– Pora... – szepnął ni to do siebie, ni to do wierzchowca.

Niespiesznym ruchem podszedł do strzemia, włożył w nie nogę i wskoczył na siodło. Wodze złapał krótko. Obrócił się, spoglądając wkoło. A potem w ciemność ukłón głęboki uczynił, żegnając tę, co rozplýnęła się w mroku. Czuł, iż już nigdy więcej nie dane mu będzie jej spotkać. Aż ruszył przed siebie.

Ledwie w kilka chwil wyłoniły się kontury chałup. Ciemne i ciche. Spali niczego nieświadomi chłopci, a może woleli niczego nie widzieć? Żegota podjechał pod pierwszą z brzegu chatę. Zeskoczył z siodła, podszedł do drzwi i załomotał. Ze środka odezwało się ujadanie psa, potem szmery jakies, głosy ściszone. W końcu padło niepewne:

– Kto tu?!

– Otwieraj! Bo drzwi wywalę!

Zachrobotał przesuwany skobel. Gdzieś w głębi rozległ się płacz dziecka. Potem zza wrót wysunął się skudlony łeb. Chłop omiótł wątlým światłem kaganka przybysza, skłónił się unizienie. Zadrżała mu ręka, trzymająca płomień, na widok przeciętej blizną twarzy. Nie zważał na to Nadolski.

– Gdzie młyn?! Prokopa szukam!

Gospodarz niezgrabnie skinął ramieniem za siebie, w ciemność.

– Tam panie... przy rzece...

– Prowadź! – przerwał groźnie szlachcic.

Wieśniak ostrożnie wysunął się z chałupy. Bał się. Mało był jeszcze przytomny, widać ze snu zerwany, bo z kudłów wystawały mu resztki słomy.

Pociągnął nosem, splunął gęsto, resztę wytarł rękawem łachmana. Potem odwrócił się plecami i kierując na zachód, rzekł:

– Tędy, wielmożny panie!

Nadolski wziął konia pod pysk i za sobą pociągnął.

Szli błotnistą ścieżką w milczeniu może ze trzy pacierze. Szum wody się wzmagał. Prócz rzeki nakładał się nań kolejny, niosący się pewnie od stawidła<sup>[72]</sup> wodę spiętrzającego. Na koniec pojawił się zarys budowli. Chłop przystanął, odwrócił się.

– Tutaj – wymamrotał niepewnie.

Żegota sięgnął za pazuchę. Wieśniak drgnął przestraszony, ale zaraz zaiskrzyły mu się oczy. Oto wcisnął mu przybysz w dłoń czerwonego złotego. A potem iść precz nakazał.

Przeszedł bliżej. Konia do lada jakiej belki uwiązał. W głowie brzmiały mu jeszcze słowa, które od widma usłyszał. A może sam je sobie wyobraził? Rodziła się w sercu niepewność, ułomna córka nocnych majaków. Strząsnął ją z siebie gwałtownym krokiem. Stanął u wejścia i trzykroć zastukał. Najpierw nic się nie działo. A potem mdłe światło w oknie zamajaczyło przez chwilę. Szlachcic krzyknął:

– Otwieraj, Prokop! Sprawę mam do ciebie!

Zaskrzybiały deski. Ale nie otwarły się solidne drzwi.

– A ktoś ty? I skąd mnie znasz?

– Skąd znam, moja sprawa! Otwieraj, mówię!

Gdzieś z głębi odezwał się kobiecy głos, niski i stary:

– Nie puszczaj! Zbój pewnie jaki! Beskidnik!

– Odmykaj, bo sam wlezę! – warknął Nadolski.

Uchyliły się drzwi wąską szczeliną, zza której tylko oko lypnęło. Niewiele myśląc, Żegota wyrwał półhaka zza pasa i wycelował prosto w źrenice.

– Otwieraj, jak każą!

– Jezu Chryste! – rozległo się jęknięcie.

Zawiasy skrzyknęły grobowo. Drewniane skrzydło powoli, własnym

bezwładem się przesunęło. Żegota pewnie w przód postąpił.

W świetle dostrzegł grubego chłopa dzierżącego świecę, a za nim babę tłąstą, w koszuli lnianej jeno i czepku na głowie.

– Mówiłam ci! – syknęła kobieta. Zaraz też na pięcie się obróciła i zniknęła w ciemności. Tylko zatrzeszczała pod nią stara podłoga.

Młynarz stał, nie wiedząc, co będzie.

– Tyś jest Prokop?

– Ja... – bąknął niepewny.

– Do zamku drogę znasz?

Chłop drgnął, oczy zdziwione wybałuszył.

– Dyć co mam nie znać? To przecie na górze. Za rzeką iść trzeba!

Żegota pokiwał głową. Prokop ostrożnie zapytał:

– Wyście do tych Wołochów, co w ruinie stanęli?

– Nie twoja rzecz! – odburknął siwowłosy.

– Nie moja... – przyznał wieśniak – ...ale zakazali się zbliżać, póki nie odjadą. Tedy jeśli nie od nich jesteście, panie, to... – Nie skończył.

Nadolski przeszedł się po izbie kilka kroków. Wokół czuć było miły zapach zmielonego zboża. Stanął za plecami grubasa, który nie śmiał się odwrócić.

– A baba twoja gdzie uszła?!

Prokop przełknął ślinę.

– W komorze najpewniej się zawarła... Strachliwa jest...

– Aha...

Cisza zapadła na chwilę. Żegota znów stanął naprzeciw, bawiąc się półhakiem.

– Powiadasz, że prosta na zamek droga...

– Nooo! – przytaknął skwapliwie młynarz i rękę wyciągnął. – Oooo, tam iść trzeba!

– A znasz ty jaką trudniejszą drogę? – Szlachcic zerknął spode łba.

– Tru-tru-dniejszą? – zająknął się młynarz. Światło zamigotało mu w ręce.  
– Taką, coby w ruinach się znaleźć, żeby nikt nie widział – wyjaśnił siwowłósy.

– A niby jak, panie? – wystękał grubas, a grdyka mu do góry poszła.  
Żegota pokiwał głową kilkakroć.

– Znasz, znasz, Prokop... Ja to wiem i ty to wiesz...

– Na Boga żywego...

– Ty mi tu Boga, Prokop, nie wołaj... – półhak znalazł się lufą na wprost wypiętego brzucha – ...bo nim się obejrzysz, przed Jego obliczem stanąć możesz!

Chłop przeżegnał się trwożliwie.

– Jezusie, Maryjo... – wyjęczał szeptem. Zadrżały mu nogi, aż cofnął się o krok.

– No! Gadaj!

– Kiedy panie wielmożny... – zamachał ręką – ...co mam gadać?

– Wiesz, Prokop! Nie drażnij się ze mną! – Nadolski wbił mocno żelazo broni w miękki bandzioch. – Do trzech liczę!

Młynarz zamarł. Oczami zamrugał prędko, ślinę głośno przełknął.

– Raz!

– Panie miłościwy! Jakże to...

– Dwa!

Gorący wosk świecy spłynął na rękę chłopca. Ten syknął z bólu. Ale nim Nadolski zdążył „trzy” powiedzieć, zawołał:

– Powiem! Jak na spowiedzi powiem!

– Prędko, bo czasu nie mam! – ponaglił szlachcic.

– Jakeśmy piwnicę kopali... Jakem piwnicę kopał za młynem... W dole cegły były...

– No... Dalej!

– Stare takie. Długie. To zem je drażniem wybił. A wtedy dziura się pojawiła.

– I co w tej dziurze?!

Prokop stęknął dwa razy. Poczzerwieniał na gębie i za serce się złapał.

– O Jezusie! O Jezusie!

– Żywo, bo jeszcze mi tu zdechnąć gotowyś!

Chłopa jakby zatkało. Głową pokręcił, rozejrzał się bezradnie, aż w końcu, sapiąc, zrobił krok do skrzyni stojącej przy ścianie i na niej z łomotem usiadł. Świecę na podłodze postawił. Dłuższa chwila minęła, nim łapiąc jak ryba z wody wyciągnięta powietrze, wydyszał:

– Powiadali, że Kmity miały z Sobienia do Leska przejście... Nie wierzył nikt... Alem tunel odkopał...

– Tunel?! – Żegota pochylił się nad Prokopem. Ten głową kilkakrotnie gwałtownie pokiwał.

– Gdzie idzie?

– Na zamek... w lochach głęboko wychodzi... Jezu Chryste! Wody, panie! Wody!

Żegota wetknął półhak za pas. Wzrokiem wokół zatoczył. Prokop, widząc jego bezradność, ręką gwałtownie skinął, wskazując kierunek. Siwowłosey dostrzegł cebrzyk i chochlę. Podszedł, zaczerpnął i podał młynarzowi bez słowa. Ten sięgnął łapczywie. Pił jakby wody tydzień nie zaznał. Westchnął z ulgą, gdy skończył. Otarł usta rękawem. Przytomniejszym już głosem dodał:

– Tunel, panie, co na samą górę idzie. Tu, nad rzeką, woda w nim po pas stoi, ale dalej sucho...

– Pokaż!

Prokop spróbował wstać. Niesporo mu szło. W końcu Nadolski zawołał zniecierpliwiony:

– Babo! Wyłaż! Mąż ci słabuje! Pomóc trzeba!

Nikt nie odpowiedział.

– No wyłaż, do licha! Nic wam nie zrobię!

Zaskrzypiało coś, zachrobotąło. Potem powoli kroki zadudniły

w ciemności. Kobieta wychynęła z kąta. Czujnie popatrzyła to na męża, to na Żegotę. Koszulę okryła wełnianą chustą. Nosem pociągnęła i podlazła ostrożnie.

– Daj mu co, żeby wstał! Wódki czy czego tam trzeba! – zarządził Nadolski.

Baba głową skinęła. Wyjęła z szafki dzbanek, połała zawartości do kubka. Podała milczącemu mężowi, mruknąwszy tylko:

– Na!

Młynarz powoli wziął naczynie. Pociągnął dwa łyki, zakaszłał, oddał kubek. Siedział jeszcze z pół pacierza, nim podniósł się ze stęknięciem. Wziął świecę na powrót do rąk.

– Chodź! Powietrze cię otrzeźwi, Prokop! – zachęcił nieproszony gość.

Ten tylko ręką machnął. Podeszli do drzwi. Nim chłop wyszedł, usłyszał zza pleców od młynarzowej:

– Dokąd?

– Cichaj, babo! – fuknął, co znakiem było, iż lepiej mu już chyba.

Żegota uśmiechnął się pod wąsem. Ot, każdego na nogi postawi łyk okowity!

Przy wątlym świetle świecy wyszli z młyna. Mimo to pewnie wieśniak prowadził. Odeszli od wody ze trzydzieści kroków, gdzie stała piwniczka, ledwie co z ziemi wystająca. Prokop wskazał na małe drzwiczki.

– Tu! – mruknął.

Nadolski otworzył wejście. Gestem nakazał poświecić. Drabinka wiodła w mrok schowka.

– Właż pierwszy!

Grubas skrzywił się, ale posłusznie podszedł. Podał świecę, sam zakasał rękawy i stękając, wsadził nogi do środka. Potem zniknął w ciemności.

– Stój! – zawołał Żegota. – Bierz ogień i świec tam w dole, by ci nic głupiego do łba nie przyszło!

Pochylił się, podając światło do wyciągniętej ręki. Kiedy ucichły chrzęsty

i sapania, szlachcic zajrzał. Młynarz stał otoczony nikłą poświatą w kącie małego loszku, który miał nie więcej niż siedem stóp wysokości. Długi był może na dziesięć łokci. Na podłodze walały się jakieś beczki i skrzynki. Chłop sięgnął świecą wyżej, a za chwilę rozpalilo się blaskiem zatknięte pomiędzy kamienie łuczywo. Teraz wszystko lepiej było widać. Żegota przeżegnał się, a potem zlazł w dół po chybotliwej drabinie. Kiedy stanął na ziemi, zapytał:

– Gdzie to?

Młynarz ruchem głowy wskazał jedną z beczek stojących u ściany. Szlachcic podszedł i trącił ją nogą. Zerknął na młynarza:

– No? Na co czekasz? Odwalaj!

Chwilę później, kraszac wysiłek westchnieniami i sapaniem, Prokop odsunął pokrywę.

Z czarnego otworu w podłodze wionęło stęchłym powietrzem. Nadolski pochylił się ciekawie, wziął świecę, spróbował coś dojrzeć. Ale nic nie dało się w głębi zobaczyć. Prostując się, łypnął podejrzliwie na chłopca.

– Mówisz, że do zamku idzie? Nie łiesz li ty?

– Na Boga! Gdzieżby tam! Panie! – zaprzeczył gwałtownie młynarz.

– A szedłeś tam? – Żegota wskazał na ciemną dziurę.

– Raz! Latem w przeszłym roku.

– I co?

– Na Lesko droga zawałona. Ale do zamku da się dojść. Znaczą... wtenczas dało...

– A teraz?

Prokop wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

Szlachcic sapnął i podrapał się po głowie. Musiał zaufać swojemu widzeniu, bo i innej drogi chyba nie było, żeby Wołochów pod górą ominąć. Co prędzej postanowił sprowadzić pozostałych. Popatrzył na młynarza, zastanawiając się, co też z nim uczynić. W końcu powiedział:

– Słuchaj, Prokop! Teraz do młyna pójdziemy. Babie ani słowa nie rzekniesz. Z domostwa nie wyłażcie. Ja tu zaraz ludzi swoich przywiode i jak ujrzę, żeś głupstwo jakieś uczynił, to spalę ci i młyn, i całe obejście. Pojmujesz?

Grubas skinął głową.

– Póki nie zezwolę, na miejscu siedzicie! Jak uczynisz, com rzekł, to nagroda na koniec cię nie minie.

Chłop przełknął ślinę. Zawahał się chwilę, oczy chytre przymrużył. Widać było, że ma coś na końcu języka. W końcu nieśmiało zapytał:

– A wy, panie... skądście znali?

Żegota uśmiechnął się pod nosem. Nie odwracając się do pytającego, wycedził głosem, któremu nadać się postarał najbardziej z grobowych tonów:

– Od martwej więdźmy, Prokop... Od martwej więdźmy!

Chłop aż cofnął się o krok, żegnając trwożliwie.

– O Jezusicku! O Jezusicku!

Nie słuchał już tego Nadolski za bardzo. Podszedł do drabiny i czym prędzej opuścił piwnicę. Krzyknął w dół, ponagłając młynarza, by to samo uczynił. Gdy na powrót przed młyn doszli, szlachcic raz jeszcze przypomniał, co polecił, poczekał, aż wieśniak za drzwiami zniknie, a potem na koń wsiadł i ruszył do swoich.

Zastał Wolskiego w takim samym położeniu, jak opuszczał go, odjeżdżając. Dalej trwała jałowa dysputa, a Sulatycki nalegał nawet, by szturmem górę zdobyć. Jak prawił, głośno się zrobi, to i pomoc rychło z Sanoka nadejdzie. Tylko odpowiedzieć nie potrafił, co z panną stać się może, i umilkł, usłyszawszy takie pytanie z ust Murraya.

Żegota zsiadł z konia, rzucił wodze Semkowi i podszedł. Porucznik zmierzył go wzrokiem, a widać zły był, bo burknął tylko:

– A gdzie przewodnika masz waszmość?

Nadolski wzruszył ramionami. Umilkły dyskusje, wpatrzyły się w niego oczy najbliższej stojących. Poprawił czapkę, oznajmiając:

– Przewodnika nie trzeba. Mam drogę taką, co nas na samą górę



poprowadzi. Zbieraj ludzi, mości Wolski. Byle cicho!

Zaszeptali między sobą Szkot ze Stillerem, przysunął się pan Wawrzyniec z pytaniem w oczach. Dragoński oficer spojrział czujnie i z niedowierzaniem.

– Jakąż drogę? Mówże waszmość!

– Pod ziemią. – Siwowłosy szlachcic skrzywił się w tajemniczym uśmiechu.

– Co waćpan gadasz?

– Mości Wolski! Nie czas na wyjaśnienia! W drodze opowiem. Teraz ludzi co prędzej dawaj, na koń każ wsiadać! Czasu mało!

Porucznik wolno skinął głową i cicho wydał rozkazy. Dragoni poczęli wskakiwać na siodła. Stiller, mrużąc oczy, przeszedł obok Żegoty. O nic się nie pytał. Łypnął tylko, a potem wsiadł na konia. Kiedy wszyscy w parę minut byli gotowi, Wolski podjechał do Nadolskiego i mruknął:

– Tedy prowadź waćpan, skoro drogę znasz. I mów, jak rzeczy się mają.

Przysunęli się cudzoziemcy z Sulatyckim, by także posłuchać. Krótko rzecz całą szlachcic wyłożył. Nic o widzeniu nie wspomniał. Rzekł, iż przypadkiem do młyna zajechał, a tam od gospodarza o tunelu Kmitów się dowiedział. I na własne oczy wejście do niego zobaczył.

Zaroilo się od dragonów w okolicy młyna. Prokop trwożliwie za okno wyglądał, a jego baba na powrót w komorze się zaszyła. Czuł młynarz, iż na coś niedobrego idzie, a w duchu modlił się, by jego straty w tym nie było.

Tymczasem Nadolski z Wolskim i Stillerem zleźli do piwniczki i stanawszy nad otworem w podłodze, wpatrywali się weń, rzucając tylko z rzadka jakieś zdania. W końcu porucznik wyszedł i nakazał przygotować dragonom pochodnie. Żegota zaś zawołał Bejdę i Semka. Oznajmił im, iż pierwsi pójdą wraz z nim. Nakazał co zbędne przy koniach zostawić, broń zabezpieczyć, ogień przynieść. Kiedy na powrót sam ze Stillerem został, ten zapytał:

– Pewny jesteś waćpan, że na zamek droga idzie?

Szlachcic wzruszył ramionami.

– Pewny? Panie Stiller! Bóg jeden wie, co na dole! Ale wejścia innego do

zamku nie ma. No, chyba że owych Wołochów, co góry strzegą, jakimś cudem waszmość usuniesz. A noc za godzin kilka się skończy. Więc, mości panie, wyjścia szczególnego nie mamy!

Niemiec skinął głową na znak zrozumienia. Potem mruknął:

– Jeśli łaska, z waćpanem przodem pójdę. Zgoda?

Żegota uśmiechnął się i potaknął.

W kilka pacierzy zjawili się powtórnie Semko z Bejdą. Za nimi wlaźł Murray, sapiąc i wyrzekając. Na propozycję Saksończyka, by również do Żegoty w awangardzie dołączył, pokręcił głową, mówiąc, iż chętnie by i pierwszy był na zamku, lecz znając swój rozmiar, woli w ariergardzie iść, by w razie jakiego nieszczęścia drogi nie zablokować. Zszedł i Wolski, więc ciasno się robić zaczęło. Oznajmił, iż Sulatyckiemu z jednym dragonem nakazał przy koniach zostać i młynarza pilnować. Zżymał się stary pan Wawrzyniec, ale przyjął, że droga niebezpieczna, a ktoś musi tyłów strzec.

Tak też w końcu zsunęli w czarny otwór drabinkę przyniesioną spode młyna. Nadolski przeżegnał się i wzięwszy w dłoń jedną pochodnię, począł w dół schodzić.

Płomień migotał. Powietrze było stare, cuchnące i wilgotne. Ceglany strop pokryty białym nalotem. Żegota poświecił w dół, kiedy cały już zniknął w otworze. Z góry w milczeniu wpatrywali się w niego inni. Poniżej stóp zobaczył mętną wodę stojącą w bezruchu. Przez myśl mu przeszło, iż nie zna, gdzie dno być może, choć przecie drabinka na czymś się oparła, i co też w owej wodzie się czai. Nic to jednak nie wstrzymało szlachcica. Postąpił niżej i niżej po szczebłach. Powoli nogi zaczęły zanurzać mu się w gęstej cieczy. Odczuł nieprzyjemny chłód. Usta przygryzł, dłoń z pochodnią wyżej podniósł. Na oślep kolejny szczebel macając, brnął dalej. Woda już po pas była. Wtedy, opuściwszy kolejny raz stopę, poczuł pod nią śliskie podłoże. Trzymając się jedną ręką drabiny, rozejrzał się wkoło.

Tunel miał jakieś osiem stóp wysokości. Cały murowany z cegły długiej, innej niż teraz robiona. Między nią kruszała stara zaprawa. Wąski był, bo też może ledwie na dwa łokcie od ściany do ściany. Taki, co tylko gęsiego iść było nim można.

Żegota zadarł głowę. W świetle dopływającym z piwnicy widział nad sobą skupione twarze. Machnął pochodnią i uśmiechnął się krzywo.

– Dobrze wygląda! Lepiej, niżem się spodziewał! Złaź, Bejda! Woda po pas jeno!

Tatar bez słowa zsunął się na drabinę. Zasłonił swym ciałem wejście. Przez chwilę tylko pochodnia dzierzona przez Nadolskiego dawała światło. Potem i ogień niesiony przez poganina mrok rozjaśnił. Szlachcic usunął się na lewo, macając ostrożnie dno nogą. Sprawdził pistolety zapobiegliwie włożone za pazuchę na piersi. Pomacał szablę, ledwie co z wody wystającą.

Za Tatarem zesli Semko i Stiller. Każdy ciekawie przypatrywał się przejściu. Kiedy przy sobie stanęli, Nadolski zakomenderował szeptem:

– Ruszamy!

Nie patrzyli już na Wolskiego zsuwającego się wolno ani na dragonów czekających w kolei. Ostatni miał iść Murray. Dla pilnowania, by który się nie cofnął, bo też pewnie swym ciałem drogę od jednej do drugiej krawędzi mógłby przesłonić.

Żegota, wyciągnąwszy przed siebie rękę dzierzącą ogień, brnął przez mętłą wodę. Dno zdawało się równe. Wiedział, iż stary tunel mógł się gdzieś osunąć, lecz mało na to zważał. Poruszał się miarowo. Tylko po plusku wody za sobą poznawał, że reszta za nim ciągnie. Wolną ręką wiódł po nierównej wilgotnej ścianie. Echo odbijało każdy dźwięk niczym w krypcie grobowej.

Długo szedł, nim poczuł, że dno zaczyna się wznosić. Woda powoli niżej i niżej sięgała. Zachęcony przyspieszył kroku. Pora była najwyższa, bo też pochodnia słabła. Na koniec ledwie podeszwy butów w błocie zostały. Odwrócił się dla odpoczynku. Bejda, sapiąc, również przystanął. A za nim i reszta.

Nic loch się nie zmieniał. Dalej był tak samo wysoki i wąski. Może pół pacierza minęło, kiedy Żegota na powrót iść począł. Powietrze, choć suchsze, drażniło stęchłym zapachem, podobnym do tego, który wydziela błoto nadrzeczne. W końcu pod stopami grunt zaczął być twardy. Tunel nagle zaczynał się podnosić i ścieśniać. Z początku lekko, potem zaś coraz bardziej, tak iż Żegocie sklepienie ledwie wyżej czapki sięgało. Z mozołem szło się

pod górę. Znać było, iż Sobień może być blisko.

Nie wiedział szlachcic, co też na końcu znajdzie. Od Prokopa usłyszał tyle tylko, iż wyjście ma być gdzieś głęboko w lochu zamkowym. Co dalej? Na ryzyko wszystko było wystawione. Bo też sposobu innego nie było, a jak mawiają, kto nie ryzykuje, ten w miejscu stoi. Brnął więc, sapiąc, spoglądając na dopalającą się pochodnię i myśląc, czy długo jeszcze przyjdzie mu się w tym lochu trudzić. Zastanawiał się, jak też gruby młynarz się nim przeciskał. Bo i jemu, szczupłemu przecież, ciasno się zdało. Przytłaczała myśl o ziemi, która ciąży nad tunelem.

Droga zdała się bez końca, a gdzieś w głębi myśli rodził się strach, iż nigdy już nie opuści tego przejścia. Zaklął Żegota z cicha pod nosem. Pot spływał mu po czole. Szlak wznosił się pod takim kątem, że prawie wspinać się trzeba było, pomagając sobie rękami. Za sobą Nadolski słyszał miarowe sapanie Bejdy i Semka. Dodawało mu otuchy, kiedy mrok zamykał się za nim. Choć przeszło mu przez głowę, czy to na pewno oni. Ciasnota i oćma sprzyjały rodzeniu się wszelakich niepotrzebnych myśli. Tak stromo w końcu się stało, iż co chwila na czworakach szedł, dbając, by ognia nie zgasić. Pomyślał, iż mógł go Prokop okłamać. Ale cofnąć się nie zamierzał. Jedna była mu droga. Do przodu!

Gdy natłok myśli pędzących przez umysł stawał się już nieznośny, a zmęczenie prawie ból sprawiało, nagle korytarz zaczął powoli opadać. Żegota odetchnął z nadzieją. Otarł rękawem zroszone czoło. Zerknął na ściany. Pomiędzy cegłami przebijały się gdzieniegdzie cienkie korzenie drzew. Pomyślał, iż musi być już blisko. To dodało nowych sił. Zebrał się w sobie i przyspieszył. Mniej było stromo. Na podłodze pojawił się miękki, drobny pył. Powietrze też zdało się lepsze, bo płomień żywiej zaświecił. Suche. Pewnie wysoko już we wzgórzu ciągnął się tunel. Aż w końcu na powrót stał się loch poziomy, prosto wydrążony. Nadolski poczuł, iż lada moment znajdzie się pod ruiną. Przystanął. Zerknął na ogień za nim i zbliżającego się Tatara. Kiedy ten był blisko, dłonią nakazał mu stanąć i palec na ustach położył. Wsłuchiwał się w otaczającą ciszę. Żaden dźwięk nie dochodził pod ziemię. Z głębi przejścia głucho echem odbijały się jedynie

nieliczne stęknięcia i sapania idących dragonów.

Żegota skinął Bejdzie, by dalej ruszyć. Ale krok jego stał się czujny, miękki, cichy, by szmerem nie zdradzić obecności. Nie znał, co kryje mrok przed nim.

Tunel ciągnął się jeszcze jakieś sto stóp. Nagle też kończył się drzwiami solidnie w żelazo okutymi, blokującymi przejście. Szlachcic poświecił. Przyjrzał się przeszkodzie. Potem złapawszy za koło żelazne, przytwierdzone do drewna, szarpnął. Ani drgnęło. Zaklął. Rozejrzał się, gdzie pochodnię odłożyć. Wsadził ją w szczelinę w murze, by dwiema rękami spróbować. Zaparł się mocno i na nowo pociągnął. Poczzerwieniał z wysiłku, nabrzmiały mu żyły. Wrota drgnęły i przesunęły się kilka cali z piskiem zawiasów. Odbił się od sklepień, przerwał ciszę nieznośnym dźwiękiem. Nadolski zamarł na moment. Potem szarpnął jeszcze mocniej. Zazgrzytało, zachrobotał piach dociśnięty krawędzią drzwi do ziemi. Droga stanęła otworem.

Bejda stał z tyłu, przyświecając. Żegota ujął swoją pochodnię i ostrożnie wsunął się przez wejście. Za nim była niewielka izba o sklepieniu krzyżowym. W kwadrat zrobiona, na jakieś dziesięć łokci szeroka. Siwowłosa rozejrzał się czujnie. Nim Tatar wszedł za nim, dostrzegł na lewo i prawo łuki sklepiające się nad otworami w ścianach. Podszedł bliżej do jednego z nich i pojął, iż są to wyjścia. Schody wiodące w górę ginęły w ciemności. Za Tatarem weszli Semko i Stiller. Potem doszedł i Wolski. Loch zaczął się zapełniać.

Porucznik nakazał gestem stanąć tym, co jeszcze z korytarza nie wyszli. Spojrzał pytająco na Żegotę. Ten podszedł bliżej i mruknął:

– W dwie strony schody idą...

Dragon zaklął szeptem. Szlachcic palcami ścisnął nasadę nosa w zastanowieniu.

– Podzielić się trzeba.

– A jak która droga ślepa? Połowa ludzi bezczynna będzie! – syknął cicho Wolski. Potem, spokojniejszym już głosem dodał: – I tak ich mało!

– Rację ma pan Nadolski – wtrącił Stiller. – Nie ma co czasu na próżne

gadanie tracić.

Dragon spojrział krzywo na niego. Nic nie odrzekł. Niemiec zaś zaproponował:

– Daj mi waść połowę ludzi. Zaczekam na Williama i na lewo pójdziemy. Wy z panem Żegotą i resztą w prawo. Kto pierwiej z lochów wylezie, ten zacznie. Drugi dojdzie, jak strzały posłyszysz. Jakby droga nie ta była, to cofnie się i śladem właściwym ruszy. Dla tamtych... – wskazał w górę – ...też siurpryzą będzie, jak dwa oddziały ich zaatakują. Albo jeden drugiemu w sukurs nadejdzie.

Wolski się zawahał. Oczy zmrużył i węża przygryzł. W końcu, wciąż niepewny, skinął głową.

Porucznik wziął z sobą ośmiu żołnierzy. Razem ze sługami Nadolskiego czyniło to dziesiątkę. Taką samą liczbę dragonów przydzielił Saksończykowi, poleciwszy im słuchać jego rozkazów do czasu połączenia oddziału.

Żegota szepnął Bejdzie i Semkowi, by blisko niego się trzymali. Do nich miał największe zaufanie, bo też niejedno razem przeszli. Za nimi stanął Wolski, dzierżąc w ręku pistolet. Potem poszli dragoni.

Korytarz szedł schodami w górę. Przejście jak poprzednio było ciemne, wąskie, a na dodatek kręte. Nie wiadomo było co parę kroków dalej czaić się może. Szlachcic, ściskając półhak w jednej ręce, drugą przyświecał sobie dzierzoną pochodnią. Trzymał ją z dala od siebie, na lewo, bo wiedział, iż jak kto światło ujrzy, to w nie będzie celował. Podobnie uczynił Semko za nim idący.

W milczeniu posuwali się w górę. Szeleściły kroki na ceglanych schodach, ramiona ocierały się o ściany. Choć szli już ładnych kilka minut, niczego dalej słyszeć nie było. Na koniec korytarz się rozszerzył i znów weszli do niewielkiej komnaty. Była pusta. Tylko na ziemi walały się jakieś resztki drewna i żelaza. Przy ścianach wisały haki, na których można było przytwierdzić pochodnie. Tak też Żegota uczynił, a za nim Semko. Szlachcic rozejrzał się wkoło. Nigdzie nie widać było wejścia. Ściany wszędzie stanowiły całość. Nawet szczeliny pomiędzy cegłami pomieszanymi z kamieniami nie można było dostrzec. Nadolski zaklął, pomyślawszy, iż

wlazł w ślepy zaułek. Tymczasem Bejda z pochodnią obchodził wkoło komnatę. Ręką macał spoiny pomiędzy budulcem. Mruczał coś cicho pod nosem. Na koniec stanął przy jednej ze ścian i wpatrzył się w nią, oczy mrużąc. Nadolski podszedł ku niemu. Również wzrok wlepił w mur, a nic nie dostrzegłszy, syknął szeptem:

– Co?

Bejda wyciągnął rękę i palcem wskazał w jedno miejsce. Siwowłosa wyteżył wzrok. Podszedł, ręką pomacał. Zrozumiał, iż wąskiego pasa pomiędzy kamienną krawędzią i ceglami nie wypełnia żadne spoiwo. Ciągnął się od ziemi na jakieś dwa łokcie w górę. Powiódł palcem wzdłuż cienkiej szpary. Cicho przywołał Semka. Ten w mig zrozumiał, o co chodzi. Wyjął nóż i wsadził w przerwę. Weszło całe ostrze. Przejechał swobodnie od góry do dołu. Spojrzawszy na Żegotę, mruknął:

– Musi być przejście ukryte.

– Tylko jak je odemknąć? – powiedział Nadolski bardziej do siebie niż do niego.

Dragoni zgromadzili się w kupie, przyświecali, patrząc ciekawie. Podszedł Wolski. Po głowie się podrapał. Potem stanął plecami do ściany, zaparł się nogami i pchnął. Zgrzytnął niemiło kamień trący o kamień. Z jednej strony mur na cał się wysunął, w rogu zaś cofnął tyle samo. Zachęcony sukcesem porucznika siwowłosa szlachcic położył dłonie przy jego głowie i pchnął, szepnąwszy:

– Razem!

Kawał muru obracał się wokół jakiejś osi, trzymającej go w środku. Teraz i Semko z Bejdą podskoczyli. Za trzecim razem ukazała się szczelina, w którą już można było wejść. Wionęło z niej chłodne powietrze, świeższe niż do tej pory. Droga musiała na świat prowadzić.

Nadolski zdjął pochodnię z haka. Przeżegnał się, a potem wsunął w otwór. Za nim ruszył schylony Semko.

Korytarz nie był już ceglany. Mur stał się kamienny, jak i w całym zamku. Przejście wąskie i niskie. Tylko głowę schylając, można było nim iść. Nie

dawało żadnej możliwości schronienia, gdyby ktoś z przodu stanął i strzelił. Wiedział to Żegota, ale twardo w przód szedł. Nagle zdało mu się, iż coś posłyszał. Przystanął, ręką idącego za nim sługę wstrzymał. Wyteżył słuch. Z początku była cisza, lecz potem doszły go stłumione murami głosy. Głuche, basowe, dudniące przez grube ściany. Ledwie słyszalne, lecz nieomylnie ludzkie. Siwowłosy mimowolnie uśmiechnął się radośnie. Wtedy do jego uszu doszedł huk strzałów.

\* \* \*

Stiller z Murrayem i dragonami przesunęli się wąskim korytarzem w górę. Już w jeden pacierz pojęli, że wyżej siedzą jacyś ludzie. Słysząc było stłumione głosy, charkot dziwny, przekleństwa. Ścisnęli mocniej pistolety. Niemiec, idący przodem, zezłościł się, bo zrozumiał, iż atak wąskim korytarzem to pewna przegrana. Wystarczyłoby kilka strzałów, by zablokować wyjście. Zabity czy ranny na czele uniemożliwiłby przejście innym. Ktoś drogę prowadząc, zmyślnie to uczynił. Uciekający z zamku mogli małą siłą pościg wstrzymać. Teraz jednak odwrotnie rzecz się miała. To ci na zamku mieli przewagę. W duchu zaklął w ojczystej mowie, a potem niewiele myśląc, rzucił pochodnię na ziemię i nogą przydeptał. Zgasła z sykiem. Gestem nakazał to samo idącym za nim. Nikło światło w głębi korytarza, aż w końcu mrok gęsty jak błoto ich objął. Teraz tylko dotykiem można było drogi szukać, a słuchem sprawdzać, jak daleko jeszcze do wroga. Ruszył ostrożnie. Potniała mu dłoń dzierżąca pistolet. Długi rapier od czasu do czasu chrobotał o schody. Stiller za którymś razem odpiął go i przewiesił przez plecy.

Szedł wolno, ważąc każdy krok. Za kolejnym zakrętem dostrzegł nagle nikłą plamę światła przed sobą. Niewyraźną i migotliwą. Zrozumiał, iż stamtąd dochodzą go głosy. Powoli, bez szelestu szedł dalej. Światło rosło, dźwięki stawały się wyraźniejsze. Pełzał na czworakach. Dłońmi poczuł miękkie, suche piach leżący na schodach. Nie spuszczać oczu z jaśniejącego otworu, pełzał. Schody kończyły się kilka łokci przed dziurą. Dalej droga biegła prosto. Stiller zobaczył, iż to nie drzwi widzi przed sobą, lecz



nierówny wyłom w murze, przez który ledwie człowiek prześliznąć by się mógł. Bądź to kamienie ze starości wypadły, bądź to ktoś wybił otwór w sam raz nie większy niż dla jednej osoby. Przeczłogał się bliżej, aż o ścianę pod dziurą się oparł. Głosy stały się wyraźne. Nie wiedział jednak z początku, kto mówi.

– ...Na chuj mi teraz dziewczka?! Jak czar odczytać, kiedy, kurwa jedna, bez wianka?! Okpił mnie skurwysyn starosta szadecki! Gdybym wiedział! Przecie niepewnie się robi! Przyjechać tu ryzyko było! I co ja mam teraz niby z Dereśniakiem i tą kurwą uczynić?! Wszyscy znają, żem ich w gości zaprosił!

Poznał Stiller w mgnieniu oka, czyj głos słyszy. Doczłogał się do niego jeden dragon i spojrzał pytająco. Niemiec tylko palec na ustach położył. A słowa zza ściany dalej biegły:

– Cała rzecz na nic! No, mówże, Giurgiu, co czynić?!

Szczęknięły łańcuchy. Za murem coś szarpnęło się gwałtownie, a potem warkot głuchy, zwierzęcy się rozległ.

– Mówili, że się z jakimś medykiem zborsuczyła! Alem wiary nie dawał! A powinienem! Nie na darmo przecie gadają! I na dodatek jeszcze ten klecha Próchnicki! Wszystko w rzyć wsadzić można!

Znów zabręczało żelazo. Ciężkie dyszenie się rozległo. Cisza po tym zapadła. Pół pacierza minęło, nim Krasicki znów zapytał:

– Co czynić? Radź coś!

– Dereśniaka i panny nijak żywych ostawić – rozległ się głos gruby, matowy, ciężki. Słowa wolno szły.

– A co z nim?

– Nakarmić trzeba i na powrót do trumny wsadzić.

– I co dalej! Przecie nijak do Arłamowa wracać! – Starosta przerwał na chwilę. Potem burknął: – Masz jakie wieści z leśniczówki?

– Nie – padła krótka odpowiedź.

Ktoś westchnął za ścianą. Znów nastał moment milczenia.

– Nie troskaj się waszmość. – Męski głos był spokojny. – Tu sprawę

skończyć trzeba. Ja synem waszym się zajmę. A wam pora do domu wrócić.

– I co rzeknę?! Gdzie Dereśniak i dziewczka?!

– W gościnę do krewnych odjechali.

– Uwierzy kto?

– Nawet jak nie uwierzy, to nigdy nikt ich nie znajdzie. Nie ma ciała, to i zbrodni nie ma. Takie przecie prawo.

– Prawo, prawo!

Rozległ się jęk, sapanie, charczenie gardłowe.

– Patrzyć na to nie sposób! – Głos Krasickiego, choć mocny, pełen był rezygnacji. – Mój syn... mój syn jedyny... Vlad! – Widać nie usłyszał wołany, bo powtórnie się rozległo: – Vlad! Czarci synu! Do mnie!

Stiller wahał się, ściskając pistolet. Jeśli w lochu przed nim byli tylko Barda z Krasickim i zakuty w łańcuchy Poniatowski, to mógłby spróbować znieacka strzelić i wyskoczyć przez dziurę. Za nim inni by poszli. Lecz jeśli kto jeszcze prócz nich tam był, to śmierć pewna. Głosy dwa tylko słyssał. Prawda! Ale może stali po kątach w milczeniu Wołosi. Albo tuż obok byli. Z rozmyślań wyrwał go szelest kroków. Gdy ustał, znów głos starosty usłyszał:

– Gdzie ta kurwa chędożona?

– Z wujem swoim, pod drugą wieżą, w lochu. – Głos był skrzekliwy, stary, obcy w tonie.

– I co mi rzekniesz teraz, Vlad? Miałeś czar odwrócić!

– Gdyby dziewczka była dziewicą, to już byłoby po pokładzinach, wasza miłość. Ale taka ruchana nijak się nie nada. Mówiłem przecie...

– Mówiłeś! Mówiłeś! – powtórzył złośliwie Krasicki – Skąd mam znać, co między nogami chowa?! Ojciec jej zapewniał, że cnotliwa!

– Druga była niewinna! – wtrącił Barda.

– Ale drugiej łeb ten tam urwał! Takeście mi syna pilnowali!

Znów głosy umilkły. Tylko co jakiś czas łańcuch brzęczał, warczenie się z rzadka rozległo, coś zadyszało, zasapało.

– Co mam czynić? – Vlad pierwszy się odezwał.

– Stój tu! – Krasicki wydawał się zniecierpliwiony. – My z Giurgiu pójdziemy tych tam sprowadzić! Da się mu na sen! Tyle tylko dobrego, że Jerzy wdowcem prędko zostanie, bo te całe zaślubiny o kant rzyci rozbić!

Zaszemrały kroki. Potem rozległ się miarowy stukot. Znać było, że ktoś po schodach idzie. Długo niknął ten odgłos. Aż w końcu ucichł zupełnie.

Saksończyk przygryzł wargi. Pomyślał, iż teraz jest chwila właściwa lub nigdy. Pomacał swoją drewnianą nogę i zawahał się, czy da radę. Szturchnął dragona skulonego obok. Wskazał na pistolet. Potem wolno zaczął się prostować, tak by z dala od dziury być. Poczekał, aż odzyska czucie w ścierpniętych kończynach. W mroku dotykem sprawdził, czy zamek nakręcony. Przez myśl przeszły mu słowa:

– *In nomine Dei nostri...* [\[73\]](#)

– *Iesus Christus!* – dokończył głośnym krzykiem.

Jednym ruchem wsadził w dziurę rękę trzymającą broń i strzelił na oślep. Tak samo i dragon uczynił. Za tym skoczył Stiller gwałtownie w otwór, na nic nie bacząc. Przetoczył się po ziemi. Krzyk się rozległ, wycie straszliwe się uniosło. Nie zważał na to Niemiec. Przykucnąwszy na jednym kolanie, wyszarpnął rapier zza pleców. Ze szczeliny w murze wypadł za nim żołnierz. Za tym i drugi w niej się pojawił. Dym niósł się w lochu i widok przesłaniał. Światło pochodni niczym przez mgłę mrok rozświetlało. Kolejny strzał padł, nim Saksończyk ujrzał zasuszonego starucha w czarnym odzieniu, który nagle w kąt się rzucił ku jakiemuś kształtowi szarpiącemu się w rogu. Skoczył tam Stiller, wyciągnąwszy ostrze, lecz zanim się spostrzegł, pchnęło go coś w piersi gwałtownie. Poleciał do tyłu kilka kroków. Podniósł się, jak mógł najszybciej. Widząc, że dragoni w zamieszaniu nie wiedzą, co czynić, ryknął:

– Schodami na górę! Tam dziedziniec zająć!

Sam zaś rozejrzał się za Murrayem. Ten właśnie, ostatni, ze ściany wyłaził. Dragoni posłusznie runęli ku wyjściu, tym bardziej że coś przerazić ich musiało. Pchali się w drzwi jeden przez drugiego. Zastukały na schodach ich podkute buty. Wtenczas Stiller zawołał:

– William! Do mnie! W kącie są!

Murray podbiegł ku niemu.

Zniknął ostatni żołnierz. Dym gryzł w oczy, ale widać było dwa kształty ludzkie przy przeciwległej ścianie. Szkot, ścisnąwszy pistolety w obydwu rękach, wycelował. Stiller mocniej ścisnął rękojeść broni. Powoli postąpili do przodu. Powłóczył kopec unosił się smugami. Nieruchomo leżały postacie przy murze. Lecz nagle, nie wiedzieć jak, tak szybko, iż nieludzkie to było, zerwała się jedna z nich i runęła ku idącym. Z prochowej mgły na mgnienie oka wychynęła twarz straszna. Aż odskoczyli cudzoziemcy z okrzykiem przerażenia. Bo to, co ujrzeli, w niczym nie przypominało człowieka. Zabrzęczało żelazo, szarpnęło coś potwora do tyłu. Widać do ściany przykuty, jak pies na łańcuchu, własną siłą mieciony się odbił. Murray przeżegnał się szybko. Niewiele myśląc, strzelił z obu luf naraz. Zawyło to coś w kącie. A potem na powrót na nich runęło. Z tumanu wyłoniła się maska potworna. Biała jak śnieg, z oczami czarnymi, jakby je same źrenice zajmowały. Szczercząca kły długie niczym u wilka, a między nimi z rzędem ostrych, błyszczących zębisk. Rozdarły powietrze machnięcia szponiastych łap, zakończonych pazurami grubymi, czarnymi, w hak zgiętymi, jak u orła. Niemiec machnął rapierem, ale żelazo tylko pustkę przeszyło. Skoczył na prawo pod mur, a za nim i Szkot poszedł. Stamtąd lepszy widok w kąt mieli.

Pośrodku leżał na wpół oparty o ścianę staruch. Trzymał się lewą ręką za pierś, a spomiędzy palców krew mu ciekła. Uśmiechał się złym grymasem. Prawą dłoń trzymał na żelaznym okuciu, gdzie łańcuch był przytwierdzony. Biegł on, ciągnąc się po ziemi, do kąta. Gruby i długi. A do niego przykuty był dwunogi potwór, odziany w łachmany. Przykucnął, czając się. Napiął do skoku gotowy. Bezwłosy, jak trup bladoniebieski. Ze skórą pomarszczoną niczym u starca. Z gęby ciekła mu gęsta ślina, pomieszana z krwią. Charczał nienawistnie, wpatrując się w stojących przed nim.

– Jezus Maria! – zajęczał Murray i co prędzej począł ładować pistolet.

Stiller przełknął ślinę. Z góry, tam gdzie dragoni poszli, posłyszał krzyki i strzały. Przesunął wzrok na leżącego Vlada. A wtedy włosy stanęły mu dęba. Powolnym ruchem czarownik wyjmował bolec, którym był

przytwierdzony do ściany łańcuch trzymający potwora.

– O kurwa! – zaklął bezwiednie oficer.

Jego towarzysz podniósł oczy. Rozszerzyły mu się źrenice. Strach wykrzywił mu nalaną twarz. Jednym ruchem wyprostował rękę i prawie nie celując, strzelił. Rozprysł się łeb maga na ścianie. Poleciały wokoło kawałki mózgu. Krew bluzgnęła. Jednak było za późno. Jego ręka ściskająca żelazny kołek opadła na ziemię. Bestia była wolna.

Runęła skokiem w ich stronę. Nawet nie zdążył Niemiec ostrza nastawić. Murray zasłonił się lewym ramieniem. Wrzeszcząc, oparł się o ścianę. Na nic to się zdało. Potwór złapał go zębami za wyciągniętą rękę między nadgarstkiem a łokciem. Wgryzł się tak, iż buchnęła krew spod rękawa. Szarpnął, aż wyprostowało się ramię i Szkot zatoczył się do przodu. Stiller odskoczył w bok. Setki myśli przez głowę mu przebiegło w mgnieniu oka. Wtem przypomniał sobie, co rzekł na uroczysku Ionuc. Niewiele myśląc, uniósł wysoko rapier. A potem ciął z całą mocą. Wprost tam, gdzie był łokieć jego druha, tak by odrąbać zarażoną rękę. Rozległ się krzyk. Potwór, wciąż w gębie trzymając ucięty kawał, zatoczył się gwałtownie do tyłu. Saksończyk spróbował uderzyć powtórnie, mierząc w łeb, lecz na nic się zdał prędki ruch. Wąpierz był szybszy. Uchylił się błyskawicznie, nie puszczając z zębów zdobyczy. Łańcuch zabrzączał po kamiennej posadzce. Bestia nagle wykonała obrót i jednym skokiem runęła w otwór w ścianie, którym przed chwilą przyszli Stiller z dragonami. Tak szybko, iż porwany w powietrze ciężki ciąg żelaznych ogniów świsnął jak bat, zataczając szeroki łuk. W mgnieniu oka zniknął w ciemności. Tylko chwilę jeszcze słychać było brzęk żelaza obijającego się o ściany. A potem ucichło.

Stiller przypadł do towarzysza, unoszącego skrwawiony kikut. Usta Murraya zamarły, źrenice z niedowierzaniem wpatrywały się w miejsce, gdzie przed chwilą miał przedramię, a teraz sikała krew. Bezsilnie osunął się po ścianie.

– Ucięłeś mi rękę! – wymamrotał.

Niemiec rapierem wskazał na korytarz, gdzie chwilę temu zniknął potwór.

– Chciałeś się w to odmienić?! Krew w mig by ci się skaziła!

– Uciąłeś mi rękę! – powtórzył Szkot, jakby nie słysząc i nie odrywał wzroku od kikuta.

– Aaa tam! – Stiller szarpnął za brzeg koszuli, oddał kawał płótna i niezgrabnie owinał ranę. – Nie czas gadać! Wstawaj! To coś wrócić może! Na górę!

Szarpnął towarzysza za zdrowe ramię. Ten ocknął się z otumanienia. Zakląwszy szpetnie, mieszając polskie i szkockie wyrazy, zerwał się na równe nogi. Patrząc na ciekącą grubymi kroplami krew, rozejrzał się. Nie myślał dłużej niż sekundę, nim wsadził koniec uciętej ręki w ogień wiszącej na ścianie pochodni. Zaskwierczało, zaśmierdziało mdłym, ciężkim zapachem palonego ciała. Szkot zawył, cofnął się, łapiąc zdrową ręką za resztę drugiej kończyny. Potem skoczył ku schodom. Stiller nie czekał na zachętę. Klnąc po niemiecku, w mgnieniu oka pognął za swoim druhem. Tam gdzie dalej brzmiały wrzaski i huczały pistolety.

\* \* \*

Nadolski prawie biegł w górę krętymi schodami. Nie baczył, iż na końcu może stać wróg, któremu starczyłoby jeden strzał oddać. Odgłosy walki stawały się jakby bliższe. W końcu wpadł w poziomy szeroki korytarz, na którego ścianach w obręczach tkwiło kilka pochodni. Był pusty. W murach znajdowały się wnęki ziejące czernią. Tylko jedna miała solidne drzwi okute żelazem. Zawahawszy się, Żegota przystanął przy nich na chwilę. Wolski dobiegł do niego i spojrzał pytająco. Szlachcic, milcząc, wskazał na wejście. Porucznik burknął tylko:

– Nie czas teraz!

Nie kończąc, pobiegł dalej wzdłuż korytarza. Za nim ruszyli zasapani dragoni, ściskając w rękach szable i pistolety. Tylko Semko z Bejdą zatrzymali się przy swoim panu. Nadolski już się odwracał, by ruszyć za żołnierzami, pomyślawszy, iż przyjdzie później pora, by sprawdzić, co kryje zamknięty loch, lecz wtedy z przodu, zupełnie blisko, gruchnęły strzały, a potem zaszczękały metalicznie szable. Echo poniosło się korytarzem, tak że aż w uszach zadzwoniło. Swąd spalonego prochu wypełnił nozdrza. Wprost

w ten dym skoczył Żegota z wyciągniętym pistoletem.

Dragoni ze swoim oficerem, skuleni kryli się przy ścianach. Co rusz strzelali w ciemność przed sobą. Porucznik kłął, patrząc na dwa ciała leżące kilka kroków dalej, ledwie widoczne w mroku. Szlachcic przyskoczył ku niemu i przyklęknął.

– Co się dzieje? – szepnął gwałtownie.

– Wpadliśmy na tamtych! Dwóch ludzi mi ubili! Potem w mrok się cofnęli!

– W rzyć jebani! – warknął Żegota.

Rozejrzał się, a później podpełzł w przód kilka kroków. Z ciemności gruchnął strzał. Kula zrykoszetowała od kamiennego muru nad nim i uderzyła w posadzkę. Wzbił się niewielki obłok kurzu. Szlachcic pojął, iż póki pochodnie na ścianach, póty tamci jak do kaczek mogą strzelać. Zerwał się więc na równe nogi i niewiele myśląc, zrzucił ogień. I swoje łuczywo cisnął do przodu. Wolski pojął szybko, co Nadolski robi. Krzyknął na dragonów, by czym prędzej gasili wszelkie światło. Rzucili się ku sterczącym żagwiom. Padło kilka strzałów, ale niecelnych, bo ciemność zapadła w jeden moment. Ucichło. Tylko dudnienie murów wskazywało, że ktoś na górze walczy.

Nadolski wyteżył umysł. Nic mu innego do głowy nie przyszło, jak jedna tylko droga. Do przodu. Na pamięć odpełzł ku Wolskiemu. Ręką pomacawszy, wyczuł skórzany kolet.

– To waszmość, mości poruczniku? – zapytał szeptem.

– Ja! – doszło z mroku.

– Słuchaj tedy. Trzeba jedną salwą w przód strzelić, a potem... potem skoczyć na tamtych. Inaczej koniec.

– Zgoda!

Wolski cofnął się i coś począł szeptać. Rozległ się szmer. Ludzie zaczęli się przesuwac, ale nic nie było widać. Po chwili Żegota poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Z głosu poznał, iż to porucznik powrócił.

– Chodź waszmość. – Pociągnął szlachcica ku środkowi korytarza. Ten

popęłzył posłusznie.

Ułożyli się płasko na środku. W ciemności szmer dowodził, iż i inni zajmują pozycje zdatne, by w przód strzelić. Nadolski pomyślał, że w mroku celując, Bóg wie dokąd, niejeden swojego trafić może. Nie wiedział, gdzie Semko i Bejda. Mając ich u boku, bezpieczniej by się czuł niż teraz. Kiedy szelest ucichł, nastąpiła chwila ciszy. A potem Wolski zakrzyknął:

– Ognia!

Błysnęły płomienie w mroku. Posypały się iskry płonącego prochu. Nim opadły, zagrzmiął okrzyk i wszyscy skoczyli do przodu. Zajaśniało stamtąd kilka razy. Zaświstały kule, w migotliwym świetle na mgnienie oka pojawiły się i zniknęły zarysy postaci. Zaszczękał metal o metal. Ktoś klął, ktoś inny, widać zraniony, krzyczał. Żegota ciął szablą puste powietrze przed sobą. Modlił się w duchu, by swojego nie trafić. Jeszcze gdzieś tam tylko słychać było szamotaninę. A potem ucichło. Z mroku rozległ się rozkazujący głos Wolskiego:

– Światła!

Najpierw zazgrzytało krzesiwo. Wątle płomyki podniesionych pochodni nieśmiało rozsuwały czarną kurtynę. Aż w końcu można było coś dostrzec.

Na ziemi leżało kilku Wołochów. Niektórzy splątani wciąż w śmiertelnym uścisku z dragonami. Z twarzami wykrzywionymi morderczą walką wręcz po omacku. Podziurawieni kulami, przeschyci szablami i nożami.

Porucznik zaklął siarczyście, widząc, iż kolejnych dwóch ludzi stracił. Jeden był już nieżywy, drugi zaś ranny, niezdolny dalej iść. Towarzysze odciągnęli go na bok i prędko opatrzyli zranioną nogę. Rozgrzany walką dragoński oficer ponaglał, by prędzej ruszać. Wtedy do Żegoty podszedł Bejda i ruchem głowy wskazał do tyłu, w ciemność, z której dopiero co wyleźli.

– Czego?! – warknął gniewnie Nadolski.

– Drzwi! – padło w odpowiedzi.

– Wiem! I co, że drzwi?!

– Ktoś jest zamknięty. Głos słychać.



Szlachcic spojrział na Wolskiego. Ten ręką machnął.

– Chuj z drzwiami! Tam na górze się biją!

Wtedy Tatar wyrzekł coś, na co zadrżał Nadolski:

– Panna!

Skoczył natychmiast Żegota w mrok. Za nim też młody porucznik z dragonami. Stanęli przed okutym wejściem. Zaszemrały szeptem rozmowy. Oficer uniósł rękę, uciszając szum głosów. Wyteżył słuch. Dopiero gdy cisza zapadła, pomiędzy odgłosami strzałów z góry dało się usłyszeć wątle:

– Pomocy!

Siwowłosa szarpnął drzwiami. Nawet nie drgnęły. Wymamrotał coś ze złością pod nosem.

– Semko! – zawołał głośno.

Sługa w mig przy nim stanął.

– Kluczy szukaj przy tamtych trupach!

Pocztowy z Tatarem obrócili się na pięcie i skoczyli do przodu. W świetle pochodni macali nieżywych Wołochów. Na koniec chłopak zawołał radośnie:

– Są!

Zabrzęczały zawieszony na solidnym kole kawałki żelaza. Semko natychmiast podbiegł do pana i podał mu znalezione. Ten krótko szukał właściwego klucza. Wcisnął go w zamek. Przekręcił. Zachrobotło, nad wyraz łatwo obrócił się trzpień. Nadolski gwałtownie pociągnął za drzwi. Tym razem ustąpiły bez oporu. Wskoczył bardziej niż wszedł do środka.

W świetle pochodni ujrzał dwie osoby. W jednej natychmiast poznał starego Dereśniaka. Druga stała głębiej, przy ścianie. Poświecił bardziej i wówczas uczył skurcz w sercu.

– Panna Wierzbowska! – szepnął.

Właściciel Rokietnicy podbiegł i chwycił w objęcia wybawcę.

– Jezus Maria! Mości Nadolski! Wiedziałem! Wiedziałem!

Żegota z trudem uwolnił się z uścisku. Postąpił ku dziewczynie. Ta stała blada, w sukni białej, porwanej, poplamionej ziemią.

– Chodź waćpanna! – zawołał Nadolski i rękę wyciągnął. Wtedy Agnieszka Wierzbowska wyprostowała przed siebie dłonie.

Zadźwięczał łańcuch. Szlachcic ze zgrozą ujrzał kajdany ściśnięte wokół nadgarstków. Przyskoczył, podał pochodnię Semkowi, który obok stanął. Spróbował szarpnąć żelazo, jednak nic to nie dało. Tymczasem Dereśniak wybiegł z celi i prędko coś gadał Wolskiemu. Dragoni stali w przejściu, świecąc.

– Dawaj klucze! – rozkazał Żegota słudze.

Pocztowy odwrócił się posłusznie i skoczył na korytarz. Przymknął drzwi, by sięgnąć do tkwiących wciąż w zamku kluczy.

W ciemnej celi zostali tylko Nadolski z dziewczyną. Wtedy z głębi podziemi rozległ się dziwny brzęk ciągniętego po kamieniach łańcucha. Odbił się echem, ludzie w przejściu stanęli nieruchomo. Ucichło. Chwilę później brzęknęło bliżej. Niejeden dragon się przeżegnał. Panna ścisnęła mocnej dłonie Nadolskiego. Znów umilkł dźwięczny stukot. A potem rozległ się krzyk. Tak przeraźliwy, iż Żegocie włos się zjeżył.

– Jezuuuuuu!!!! – zawył ktoś.

Padły bezładne strzały. Zmieszały się trwożliwe wrzaski, brzęk żelaza i warkot tak potworny, iż nie mógł go wydać człowiek.

– Drzwi! – krzyknęła dziewczyna.

Żegota jednym susem znalazł się przy wejściu. Sięgnął ręką do kluczy, wyszarpnął je z zamka. Poczul na nich lepką maź, trudną do pomylenia z czym innym. Potem pociągnął skrzydło ku sobie. Zatrzasnęło się z łomotem. Po omacku szlachcic począł szukać otworu, by zamek przekręcić. Ręce mu drżały. Z korytarza wciąż dobiegały go skowyt, uderzenia, strzały. Ludzie najpewniej uciekali w panice, hałas bowiem się oddalał. Nadolski w duchu modlił się, by czym prędzej zamknąć celę. Wtedy poczuł gwałtowne uderzenie w drzwi. Tak mocne, że zadrżały w kamiennych futrynach. A po tym nastąpił długi, jednostajny dźwięk, jakby kto nożem po żelazie pociągnął. I charczenie straszniejsze od rżenia umierających.

Żegota zacisnął usta. Dziewczyna w kącie załkała przerażona.

W ciemności szlachcic macał gorączkowo dłońmi okucia. Znów coś uderzyło. Pył posypał się spomiędzy kamieni. Mężczyzna dziękował Bogu, iż wejście nie otwiera się do środka, bo mało było prawdopodobne, by zdołał utrzymać barykadę przy takiej sile. Bełkocząc przekleństwa, natrafił w końcu na otwór w metalu. Wcisnął klucz. Zazgrzytał niemiłosiernie, oznajmiając dźwiękiem, iż zasuwca zablokowała przejście. Odetchnął z ulgą głęboko. Wtedy dopiero poczuł ciekące mu z czoła krople zimnego jak lód potu. Opadł na posadzkę bez siły, jak ktoś uwolniony spod ogromnego ciężaru. Klucze z brzękiem spadły na podłogę. Pomacał ręką w ciemności, lecz nic nie poczuł. Zaklął pod nosem. Spróbował raz jeszcze, ale na próżno.

Było ciemno. Semko zabrał obydwie pochodnie, a potem nie było czasu pomyśleć o świetle. Szlachcic siedział oparty o ścianę, wsłuchując się. Coś za drzwiami zaszeleściło, chrupnęło. A potem rozległo się miarowe mlaskanie, takie jak zwierzęta wydają, gdy piją łąpczywie. Zabrzęczał za chwilę łańcuch. Cisza. Przerwało ją ledwie słyszalne przedśmiertne:

– Jezuuu!

I na powrót cisza nastąpiła.

Żegota nerwowo pomacał się po bokach. Nadal miał szablę, a za pasem tkwił wystrzelony półhak. Wyjął go i by zająć ręce, począł go na wycucie ładować. Podsypał prochu, stuknął rękojeścią w posadzkę, żeby się ułożył. Zawahał się jednak, kiedy wsadził palec w woreczek z kulami. Przypomniał sobie, co mówił ranny Wołoch w leśniczówce. Cofnął dłoń. Wymacał srebrny guz przy żupanie. Szarpnął. Jednym ruchem oderwał i po omacku owinąwszy we flejtuch, wsadził do lufy. Potem dokończył ubijakiem. Marne było pocieszenie. Ledwie na jeden strzał. Ale mimo to pewniej się poczuł. Powstał i wyciągnąwszy przed siebie wolną rękę, szepnął:

– Gdzie jesteś waćpanna?

– Tutaj! – dobiegło z ciemności. Zabrzęczały kajdany.

Kierując się słuchem, Nadolski zrobił dwa kroki, wciąż trzymając wyprostowane ramię. Kiedy niczego nie dotknął, machnął w lewo i prawo.

– Mości Nadolski!

Zrobił jeszcze krok w stronę głosu. Poruszył palcami. Opuszkami dotknął chłodnej skóry. Drobną dłoń pochwyciła jego rękę i pociągnęła. Brzęknął łańcuch, którym była skuta. Dziewczyna wtuliła się w Żegotę. Poczł jej bliskość każdym calem ciała. Niezgrabnie, lecz powoli, by nic z chwili nie uronić, odsunął w tył rękę dzierżącą półhak. A ona nadal ścisłała mu drugą dłoń, aż przez ciało przenikać się zdała jej ufność, że on ją wybawi. Sam nie był tego tak pewien. Dłuższą chwilę stali tak, milcząc. W końcu Nadolski bąknął nie swoim głosem:

– Nie bój się waćpanna. Drzwi zawarłem. Nikt nie wejdzie.

Odpowiedziała mu cisza. Drobne palce mocniej ścisnęły mu rękę. A potem posłyszał nikły szept:

– Może lepiej, by koniec przyszedł...

– Co też mówisz? – przerwał gwałtownie.

Dłoń wysunęła się z uścisku. Zaszleściła biała suknia, kiedy Agnieszka Wierzbowska o krok odeszła. Żegota zamarł zdziwiony. Z mroku dobiegły kolejne słowa:

– A co ty wiesz, mości Nadolski...

– Pomoc przyjdzie!

Usłyszał tylko delikatne westchnienie.

– Wiem, mościa panno, co Krasicki planował, ale udało się...

– Udało się? Ten tam, za drzwiami, potwór, co znasz już pewnie, to teraz mój mąż. Tak to się udało.

Nadolski przełknął ślinę.

– Co też waćpanna mówisz? Panno Agnieszko!

– Prawdę. Najtrudniej prawdę mówić. Nieprawdą? Ale moją jeszcze trudniej wyrzec. Uwierz mi.

Nic nie odpowiedział. Najlepsze mu się to wydało. Głowę spuścił, żałując, że słów mądrych nie zna, które by jakiegolwiek pocieszenie przyniosły. Oczy, przyzwyczajając się do mroku, dostrzegły nikły kontur stojącej opodal postaci. Płynący szept związał się z jego migotaniem w ciemności.

– Mówią, panie Nadolski, że nie masz nad miłość ojcowską niczego więcej. Wydał mnie więc dobrze mój ojciec za mąż. Za kawalera zacnego. Miast mojej siostry nieszczęsnej los łaskawy mi przypadł. Jedną tylko ów oblubieniec ma wadę... Nic w nim z człowieka. Krwią ludzką się żywi. Ale nic to, że potwór. Ważne, iż pan Krasicki posag daje, a mnie z domu pozbyć się pan starosta szadecki może...

– Co też waćpanna...

– Do klasztoru miałam iść. Tyle że jeszcze z Anusią tu pojechałam. Bo hańbę na dom rodzinny ściągnęłam... Przecie wiesz waćpan... A wina moja taka była, że śmiałam pokochać nie tego, co należało. Choć szkoły liczne pokończył, świat zmierzył, językami władał, to jedną miał wadę... Taką, co nijak usunąć się nie dała. Urodzenia mu brakło. Tak więc ojciec lepszego mi męża znalazł... Nie masz nad ojcowskie uczucie niczego... Nieprawdaż, mości Żegota?

Słowa nie rzekł.

– Milczysz? Chyba nie dziwi cię, że niespieszno mi do oblubieńca? Posiła się teraz. Na łowy poszedł. Za drzwiami pewnie krew spija.

Zaszeleściła suknia, zadźwięczały kajdany. Zniknął biały kontur w mroku. Nie takich słów spodziewał się Nadolski. Mróz przeszedł mu po plecach.

– Jak rzecz jestem – dobiegł go znów smutny głos. – Co mi z tego, że zdejmiesz mi z rąk kajdany, kiedy nie na moich dłoniach się one ścisnęły. Zawsze je miałam. A te tu... – brzęknęły żelazne okowy – ...mniej uwierają niż świadomość, iż nic ode mnie nie zależy...

Westchnął. Grobowym głosem wycedził:

– Nie mów mi, waćpanna, o ojcowej miłości. Ja nigdy ani dobrym, ani złym się dla swoich dzieci nie okażę.

– Wiem. – Kształt pojawił się na powrót w ciemności. Drobna dłoń oparła się o jego ramię. – Wiem, mości Żegota, żeś inny. Od razu to poczułam, kiedym pierwszy raz cię zobaczyła. W twoich oczach dostrzegłam, żeś i ty kogoś najbliższego stracił...

Położył twardą rękę na jej szczupłych palcach. Nie odsunęła ich.

– Posłuchaj mnie – szepnęła. – Bo chcę ci rzec prawdę trudną. Powiedziała mi owa wiedźma, com ją w Sanoku spotkała, a co ją potem na stosie spalili... – załamał się jej głos na chwilę – ...że los nasz nie przypadkiem się splątał. Może i prawdę rzekła... Nie mówiłam ci tego...

Westchnęła głęboko. Nadolski powoli uniósł rękę i pogładził kontur jej niewidocznej twarzy. Poczuł pod palcami łzy. Przygryzł usta. Serce wypełnił mu żal jakiś niezrozumiały. Sam nie znał za czym, tęsknota ścisnęła mu gardło. Agnieszka przytuliła chłodny policzek do wnętrza jego zgrubiałej ręki. Drżącym głosem zaczęła:

– Czasem, nie wiedzieć jak, to, co złe w życiu się zdarza, na dobre wychodzi... Miłowałam go... Młoda byłam. Zdało mi się, że wszystko możliwe... Wtedy... – Wzruszenie i lęk dławili słowa. Z trudem ostatnie wymawiała: – Brzemienna zostałam...

Dłoń Żegoty zamarła w pół pieszczoty. Drgnęły palce nerwowym ruchem. Tak jakby w pięść chciał je zacisnąć. Nic jednak nie uczynił.

– Kazał ojciec sprawcę wytrzebić swoim sługom. A potem on się powiesił... A mnie nakazali płód spędzić. Sprowadzili potajemnie znachorkę, co się na rzeczy rozumiała. Drutem w hak zakrzywionym wygrzebała ze mnie po kawałku moje dziecko...

– Po co mi to mówisz waćpanna? – wycharczał Żegota. Cofnął rękę od gładkiego policzka. I ona zdjęła dłoń z jego ramienia. Ochłódł jej głos.

– Na koniec miałam do klasztoru trafić. Taka była wola mojego ojca. Ale wtenczas swaty przyszły do Anusi... Co się zdarzyło, wiesz, mości Nadolski. Zabrał mnie wuj w gościnę, a potem tu trafiłam. Ślub mi pan Krasicki z synem swoim wyprawił. Oblubieniec, na łańcuchach trzymany, słowa nawet nie wyrzekł. Ale i tak ksiądz najęty pobłogosławił. Bo i jemu pan starosta złotem błogosławieństwo dał. Później wzięli mnie do piwnicy, gdzie pokładziny miały się odbyć. Już też ów staruch, co Vladem go zwą, do swoich czarów się szykował. Już wzywał demony, by weszły w nasienie, którym dziewczica zostanie namaszczona... Nie spodziewał się tego, gdym w głos się śmiać poczęła. Bo jakaż ze mnie dziewczica? Gdzie mój wianek? Mówiłam, mości Żegota, że nie wiedzieć jak, to, co złe w życiu się zdarza, na

dobre wychodzi... Gdybym cnotliwa została, pewnie już byłoby dopełnione moje małżeństwo z panem Poniatowskim... – Zaśmiała się głucho, szyderczo.  
– A tak...

Odwróciła się znów, odchodząc w ciemność. Stał Nadolski jak zakłęty.

– Przypadł do mnie staruch. Nogi siłą mi starosta doliński z Bardą rozwarli. I lament się podniósł, bo nie tak rzecz odbyć się miała... Oto okpił ich mój ojciec, fałszywy towar sprzedając...

Brzęknął łańcuch w ciemności. Zaszleściła suknia. Dziewczyna pod ścianą usiadła. Ledwie bielszym cieniem odbijał się jej kształt w mroku.

– Zatem do celi mnie wrzucili, gdzie mój wuj już był zamknięty. Na dodatek łańcuchem przykuli. Pytasz więc waszmość, czemu rzekłam, by może i lepiej koniec przyszedł... Sam sobie odpowiedz... Dość mam swojego marnego żywota. Gdzie mnie wracać? Do ojca? Do klasztoru mnie da, gdzie za życia martwą się stanę. Albo i cokolwiek innego uczyni, byleby pozbyć się mnie do końca... Dla niego skończone moje życie. Prawo takie jego, by nim rządzić, jak chce...

Bezwiednie szlachcic postąpił w jej stronę. Rozluźniły się napięte mięśnie. Miast złości smutek poczuł ogromny. Nad losem okrutnym, który jemu i pannie przypadł. Dłonią wymacał mur. Biały kontur jej sukni rysował się tuż obok. Westchnął ciężko, a potem powoli przysiadł. Odłożył na bok trzymany półhak. Splótł ręce za kolanami. Patrząc w czerń przed sobą, pod dłuższej chwili dopiero rzekł cicho:

– Tedy zostań...

Posłyszał szmer. Dziewczyna drgnęła.

– Zostań? Gdzie mi zostać?

– Ze mną... – Z trudem przeszły mu przez gardło te słowa. Sam wystraszył się własnej śmiałości.

Wieki zdało się trwać milczenie. A potem szept usłyszał:

– A chciałbyś mnie... taką?

Nie odpowiedział, tylko ramię ku niej wyciągnął. Poszukał drobnej dłoni, a kiedy ją znalazł, uścisnął mocno, bez słów zbędnych. Oddała mu uścisk.

I nic nie rzekła.

\* \* \*

Wypadli dragoni z Wolskim na dziedziniec zamkowy. Przed nimi gnał Dereśniak, wrzeszcząc ze strachu. To, co stało się w podziemiach, dreszczem przejmowało. Nie wiedzieć co rzuciło się na nich, tak iż żadnej obrony nie było. Zamigotały pochodnie, zahuczały pistolety. Na nic to się zdało. Tylko zabrzączał potwornie łańcuch i mroczna postać w łachmanach jednym ciosem rozszarpała brzuch stojącego najbliżej żołnierza. Później runęła ku zбитym w trwodze ludziom. Rzucili się wszyscy do ucieczki. Przekleństwa mieszały się z wołaniem o miłosierdzie. Byle dalej! Byle umknąć przed wyszczerzonymi kłami i pazurami szarpiącymi ciało na sztuki! A z tyłu dźwięczało żelazo, które obijało się o kamienie. Biegli, nie bacząc, co z przodu. Gnali, obijając się o siebie, padając na kolana, gubiąc broń. Aż ucichł za nimi potworny odgłos. Zajaśniało migotliwe światło pochodni gdzieś z przodu. Blżej rozległy się strzały. Skoczyli w to światło, wpadając wprost na tył broniących się Wołochów. Strach, niedowierzenie, wściekłość. Wszystko to mieszało się w ich sercach. By gniew i lęk zadusić, rzucili się na wrogów z tym, co kto miał w dłoni. Bez miłosierdzia siekli, szarpali, tłukli pochwyconymi naprędcami kamieniami. Aż zgasł opór wszelki. Dwie postacie tylko skoczyły do murowanej strażnicy stojącej tuż przy zamkowej bramie. Załomotały zatraskiwane drzwi. A potem na chwilę ucichło. Tylko za murem słyhać było pytające wołania i przekleństwa w wołoskiej mowie.

Porucznik stanął pośrodku dziedzińca, sapiąc ze zmęczenia. W ręce ścisnął skrwawioną szablę. Rozejrzał się wkoło. Jego żołnierze wychodzili zza załomów i kamieni. Słudzy Nadolskiego stanęli w świetle pochodni. Wpatrywali się trwożliwie w otwór, z którego dopiero co wybiegli. Pojął Wolski, iż nie koniec to jeszcze. W lochu pozostał diabelski pomiot. A za murami ci Wołosi, co na dole stróżowali. Krzyknął więc donośnie:

– Kto żyw, zamku i bramy pilnować!

Skoczyli żołnierze rozkaz wypełnić. Ci, którzy broń w lochu porzucili, wzięli co trzeba zabitym wrogom.



Kilkunastu się dragonów ostało. Pomyślał oficer, że mało, ale do świtu nadto do obrony wystarczy. A potem Bóg jeden wie, co się wydarzyć może. Zaklął pod nosem. Otarł rękawem pot z czoła. Podeszli do niego Stiller z Murrayem. Ten drugi wciąż ścisnął opalony kikut. Porucznik nic nie rzekł, tylko popatrzył pytająco.

– Długo by gadać – mruknął Saksończyk, widząc ciekawskie spojrzenie.

Rapierem wskazał na wyjście z lochu.

– Co tam się stało? – zapytał krótko.

Wolski sapnął.

– Pan Poniatowski nas raczył odwiedzić.

Zmrużył oczy.

– I tyle waszmości powiem, że jakieś nie wierzył w potwora, to uwierzysz, jak go zobaczysz.

– Widziałem – uciął Niemiec.

Murray zaklął siarczyście na te słowa. Spode łba na towarzysza spoglądał. Odpowiedzią było tylko wzruszenie ramion.

Stiller się rozejrzał.

– Pora pana starostę i jego sługę odnaleźć. Widziałeś waść?

Oficer pokręcił głową. Odszedł kawałek, trącając nogą trupy co poniektóre. Nie odwracając się, mruknął:

– Dwóch do stróżówki uciekło.

Chudzielec zerknął ku murowanemu budynkowi.

– A Nadolski?

– W lochu został.

– Nieżywy?

Wolski rozłożył ręce, machnąwszy w bok szablą.

– Nie wiem. Może w celi z panną się zawarł? Nie było sposobności obaczyć! – dokończył zjadliwie.

– Z panną? – Niemiec uniósł brwi.

– Tak. W celi byli moi Dereśniak i panna Wierzbowska. Tylko że ona do

ściany przykuta. Pan Stanisław o tu... – machnął dłonią w kierunku postaci kołyszącej się przy murze – ...lamentuje. A dziewczka... – Nie skończył. Splunął tylko i pochylił się nad kolejnym martwym Wołochem.

Stiller zmarszczył brwi. Popatrzył po ludziach czających się na murach zamkowych. Potem na powrót wzrok ku stróżówce obrócił. Podeszedł do Bejdy i Semka, stojących w milczeniu.

– Gdzieście pana zostawili? – zapytał.

– Tam – burknął pocztowy i palcem w ciemność wskazał.

Pytający pokiwał głową. Potem skierował się znów do Wolskiego.

– Mości poruczniku! Sam wiesz, że sprawa nieskończona. Pora na powrót w loch zejść...

– A sam schodź, jeśli wola! – przerwał gniewnie oficer.

– A zejdem... – odparł Saksończyk. – Żebyś wiedział, że zejdem.

– Idź! Mnie starczy na tę chwilę!

– To daj mi waszmość pistolet. – Stiller wyciągnął dłoń, – Ten, coś srebrnym guzem nabił, jak mówiłeś.

Wolski się zawahał. Już miał sięgnąć za pas, ale opuścił rękę. Popatrzył wprost w oczy cudzoziemca.

– Co?! Mniemasz, że strach mnie obleciał?!

Wysoki mężczyzna wzruszył ramionami. Nie cofnął wystawionej ręki. Oficer zaklął, splunął powtórnie, szablę dłonią otarł. A potem wycedził:

– Nie będzie tak, że Niemiec pójdzie, a Polak zostanie! Niedoczekanie!

Uśmiechnął się Saksończyk pod nosem. Choć chwila nie była właściwa, zatrzęsły mu się barki od tłumionej wesołości. Pokiwał tylko głową. Potem wrócił do swojego bezrękiego druha. Nie wyglądał najlepiej.

– No, Williamie. Teraz to chyba zostać musisz. Na nic ci bez ręki na potwora polować.

– Oby cię diabli wzięli! – syknął tylko Murray. – Chociaż bez ręki, to prędzej sobie od ciebie poradzę!

– Nie o to idzie! – Głos chudzielca spoważniał. – Musi kto z głową na

karku na górze zostać. Skoro pan Wolski chce ze mną... – przerwał i łypnął wymownie na młodego oficera – ...to bardziej tu się przydasz.

Wolski przytaknął skinieniem głowy. Dodał przy tym:

– Trzeba Krasickiego i Bardę znaleźć. I zamku pilnować, by reszta łajdaków nie wlaźła. Słyszysz, że za murem się nawołują?

Jakby na potwierdzenie tych słów padł strzał od strony bramy i rozległy się wołoskie przekleństwa. Murray niepewnie kiwnął głową. Z ociąganiem wyjął pistolet zza pasa.

– Masz! – burknął, podając broń.

– Srebrem nabiłeś? – upewnił się drugi z cudzoziemców.

W odpowiedzi Szkot spojrzał wymownie na oberwane miejsce skórzanej kurtki, gdzie jeszcze niedawno lśniło drogie zapięcie. Stiller skłonił się w podzięcie, biorąc w dłoń chłodną rękojeść. Potem zerknął na stojących nadal bez ruchu Semka i Bejdę.

– A wy?

– Ja pójdę. – Tatar niespodziewanie burknął pierwszy. A za nim i Semko krok w przód postąpił.

– Tedy naładujcie pistolety. – Spojrzał wymownie na Wolskiego, przy którego kolecie błyszcząły srebrne guziki.

Ten zrozumiał bez słowa. Szarpnięciem oderwał dwa z nich i podał pacholkom, mruczając pod nosem przekleństwa. W milczeniu gotowali ciężkie półhaki. Kiedy skończyli, Niemiec klepnął w plecy Murraya.

– No, stary druhu! Pora na nas! Sprawdź, kto tam się w wartowni skrył. Znajdź tych kurwich synów. I patrzaj, żeby to tam z lochu nie wylazło. – Zerknął na kikut towarzysza. – Zresztą, sam wiesz...

Już miał się odwracać, kiedy Szkot wyciągnął ku niemu swą jedyną rękę. Bez słowa ścisnęli sobie dłonie. Tak jakby zakładali, iż mogą się już więcej nie zobaczyć. Popatrzywszy w oczy, jednocześnie skinęli sobie nawzajem głowami. Potem Murray krok do tyłu zrobił. Skrzywił się w wymuszonym uśmiechu.

– A spróbuj mnie samego zostawić!

Stiller mrugnął tylko. Kąciki ust uniosły mu się niemrawo. Zadrżał sterczący wąs. Nic nie odrzekł. Otrząsnął się, obrócił i stanął przy boku porucznika.

Świecąc pochodniami, weszli w ciemny otwór. Panowała cisza. Im głębiej, tym mniej słyszalne były nawoływania z dziedzińca. Aż w końcu zupełnie ustały. Mroczny korytarz zdawał się martwy i opustoszały. Nie dali się jednak zwieść pozorom. Dobrze wiedzieli, co może kryć się krok dalej.

Przodem szedł Stiller z żagwią w jednej ręce i pistoletem w drugiej. Przy nim Wolski dzierzący swoją broń i światło. Blisko ścian, tuż za nimi, kryli się Tatar z pocztowym, czujnie wypatrujący jakiegokolwiek poruszenia. Ostrożnie wazyli każde stąpienie. Przyczajeni. Gotowi bądź rzucić się do walki, bądź do ucieczki. Nic jednak nie zakłócało niezmaconego spokoju. Tylko ślady na posadzce przypominały, iż jeszcze chwilę wcześniej loch był areną panicznej ucieczki.

Szli tak ze trzy pacierze. W mroku pojawiły się wreszcie kontury ciał leżących na ziemi. Byli to Wołosi zabici uprzednio w podziemnej potyczce. Przyświecając pochodniami, podeszli bliżej. Widok zdławił im krtanie, a Wolski odwrócił oczy do niejednego przecie okrucieństwa przyzwyczajone. Tylko Niemiec beznamiętnie przyklęknął, bliżej dał światło. Wyszeptał ni to do siebie, ni to do porucznika:

– Gardła przegryzione. Krew chciał spijać. Tylko że trupy już były. Niesporo mu szło. Znać, że zagniewał się trochę pan Poniatowski.

Wyprostował się, skinął dłonią, by dalej iść. Sam pierwszy krok w przód zrobił.

Minęli zabitego dragona, podobnie jak poprzednie ciała okaleczonego. Nie przystając, Saksończyk mruknął cicho do Wolskiego:

– Trzeba będzie głowy poobcinać. Dla bezpieczeństwa. A potem spalić najlepiej.

Oficer tylko w milczeniu przytaknął i przełknął ślinę napływającą mu natarczywie do ust.

Kolejno napotkali trupa tego, którego zostawili rannego pod ścianą. Znać

było jeszcze resztki opatrunków rozwleczone po podłodze. Tym razem tylko gardło było rozdarte. Musiał wapiersz jeszcze żywego zastać, tedy lepiej mu się posokę piło. Stiller trącił ciało nogą, na co Semko przeżegnał się z trwogą. Niemiec wypuścił powietrze przez nos.

– Nie bój się. Trup to zwyczajny, jak inne.

Pocztowy mimo to łukiem szerokim ominął zwłoki, spluwając po trzykroć przed siebie.

Przeszli dalej. Blisko było już do drzwi celi, gdzie Dereśniak z dziewczyną siedzieli w zamknięciu. Miejsca, w którym zaatakował ich potwór. Przyczaili się. Nie szli już, a raczej się skradali. Wiedzieli, że i tak światło zdradza ich obecność, lecz mimo to starali się, by żadnym dźwiękiem nie dać znaku swej bytności.

Kilka kroków przed lochem leżał na ziemi bezgłowy żołnierz. Plecy przeorane miał głębokimi bruzdami. Wokół poszarpanej szyi czerniła się ciemna kałuża krzepnącej krwi. Nawet śladu nie było po oderwanej głowie. Minęli go w milczeniu. Bejda bezwiednie mamrotał pod nosem jakieś tatarskie słowa. Może modlił się do swego boga, jak i inni w duchu czynili? Czarny tunel przed nimi tchnął złowrogo śmiercią. Gdzieś z tyłu, z dziedzińca, jakiś strzał dobiegł. Zadudnił, głucho odbijając się od murów. Drgnęli nerwowo wyrwani ze skupienia. Dłonie mimowolnie silniej ścisnęły rękojeści broni. Stanęli, wpatrując się czujnie we wszystkie strony. Ciemność otaczała ich z przodu i z tyłu. Z każdej strony nadejść mógł atak. Chwila dłuższa minęła, nim Stiller uznał, że pora dalej iść. Poruszył dłonią trzymającą pistolet i zrobił krok w przód. Dotarli w końcu do miejsca, gdzie osadzone były drzwi celi. Zamknięte. Poplamione krwią, poorane szponami. Z ćwieków na dole zwisały resztki trzewi dragona leżącego opodal, któremu bestia brzuch rozdarła. Ciągnęły się jelita po ziemi, aż do jego trupa. Niemiec przyłożył lufę broni do ust, dając znak, by żadne słowo nie padło. Podał pochodnię najbliższemu stojącemu Bejdzie, a sam złapał ostrożnie za żelazny pałąk przybity do wejścia. Szarpnął. Drzwi ani drgnęły. Ponowił próbę mocniejszym ruchem, lecz rezultat był ten sam. Puścił, zmarszczył czoło. Rzucił spojrzenie Wolskiemu. Ten tylko ramionami wzruszył. Niemiec lekko

zastukał w wejście ręką pistoletu.

– Mości Żegota! – wysyczał w szczelinę pomiędzy murem a furką.

Nikt nie odpowiedział. Sapnął nerwowo i na powrót stuknął. Głuche echo odbiło się w korytarzu.

– Mości Żegota! – powtórzył głośniej.

Znów cisza. Stiller pokręcił znacząco głową. Odebrał Tatarowi pochodnię. Zaklął pod nosem. Już odwracał się, kiedy szmer za drzwiami posłyszał. Zamarł. Wtedy dobiegło go ciche:

– Kto tu?

Przystanął, powrócił do wejścia. Usta prawie do szczeliny przyłożył.

– Stiller! Otwórz waść!

Znów coś zaszurało. Niemiec się zniecierpliwił.

– No otwórzże!

– Kiedy klucze mi na posadzkę poleciały! Ciemno!

– *Verfluchte Scheiße!*<sup>[74]</sup> – mruknął Saksończyk. Głośniej zaś dodał: – To szukaj!

Czas dłużył się niemiłosiernie. Stojąca w korytarzu czwórka rozglądała się z niepokojem, wypatrując potwora. Szmerzy za drzwiami raz cichły, raz głośniejsze były, jakby kto ręką tuż przy wejściu macał. W końcu coś zabrzęczało. Niemiec odsapnął. Ramieniem ręki, w której trzymał pistolet, otarł pot z czoła. Zazgrzytał zamek. Drzwi wolno uchyliły się ze skrzypnięciem, na które wykrzywiły się wszystkie twarze. Wolski aż oczy zmrużył, tak donośny wydał mu się ten hałas. W szczelinie pojawiła się twarz Żegoty. Czujnie i podejrzliwie zerknął w korytarz. Upewnił się, iż to naprawdę przyszli jego towarzysze. Potem otworzył drzwi na oścież.

– Chodźcie! – wycodził przez zęby.

– To ty wyłaż, mości Nadolski! – odparł Niemiec.

– Światła mi trzeba! Pannę muszę rozkuć!

– A żeby to... – Stiller nie dokończył i wsunął się za siwowłosym do celi.

Poświecił, dostrzegając skuloną w kącie dziewczynę. Nadolski spiesznym

krokiem przypadł do niej i przez chwilę mocował się z kłódką spinającą kajdany. W końcu odłożył je cicho na ziemię. Agnieszka była wolna. Wyprostował się, podał jej klucze i podszedł do chudego oficera.

– Co teraz?

– Panna niech się na powrót zawrze. A ty, jeśli wola, z nami chodź. Pana Poniatowskiego szukamy.

– Zgoda! – Żegota skinął głową. – Może i kurwiego syna czarownika znajdę.

Niemiec pokręcił głową.

– Tego to już William ustrzelił. Ze łba nie było co zbierać.

Szlachcic zaklął. Nie był kontent, że Szkot ubiegł go w zemście. Zmarszczył gniewnie nos. Nie było jednak czasu na zbędne pretensje. Zmilczał więc. Skierował się na powrót do Wierzbowskiej. Coś szeptał jej przez chwilę. Na koniec gestem drobnym pogładził ją po policzku. Ta, nie bacząc na stojącego Niemca, objęła mu szyję ramionami i go uścisnęła. Trudno, by uszło to uwagi Stillera. Przymrużył oczy, pobruździło mu się czoło. Jakaś myśl nagła przeszła mu przez głowę. Nic jednak nie rzekł. Z korytarza dobiegło ponaglące:

– Szybciej!

Nie zwlekając, opuścili celę. Żegota obejrzał się jeszcze raz w mrok. Dziewczyna trzymała krawędź ciężkich drzwi. Nic nie mówiła. Tylko głową leciutko skinęła. A potem odrzwia na powrót się zamknęły. Zachrobotał zamek. Nastąpiła cisza.

Wolski zerknął na trzymaną przez Nadolskiego broń.

– Nabita? – upewnił się.

Szlachcic skinął głową.

– Srebrem?

– Tak.

– Więc chodźmy!

Uwolniony rozejrzał się chwilę, potem podniósł z ziemi zagubioną

pochodnię martwego dragona i odpalił ją od żagwi Bejdy. Był gotów.

Posuwając się ostrożnie i bacznie rozglądając, dotarli w końcu w miejsce, gdzie było wąskie wyjście, którym Żegota tu dotarł. Wzdrygnął się na myśl o niskim i ciasnym korytarzu, ze schodami wiodącymi w dół. Stanęli, wpatrując się w otwór. Saksończyk podrapał się lufą pistoletu w czoło.

– Musiał tam skurwysyn wleźć – szepnął.

Wolski z Żegotą pokiwali głowami. Porucznik się zasepił.

– To teraz wszędzie być może. Mógł na powrót poleźć w drugi korytarz albo...

– Albo do młyna – dokończył Nadolski.

– Nie czas deliberować! – przerwał Niemiec. – Idę!

Ubiegł go siwowłosy szlachcic. Pierwszy stanął przy niskim otworze.

– Pozwól waść, że ja pierwszy pójdę.

Stiller tylko wzruszył ramionami.

– A proszę! Twoja wola.

Zrobił zapraszający gest ręką. Żegota uczynił znak krzyża, nie puszczając półhaka. Poświecił przed siebie i ostrożnie począł schodzić w dół.

Macając stopą każdy cal, szedł krętymi schodami. Było pusto. Gdzieniegdzie tylko na ścianach dostrzegał odłupane świeżo kawałki i ciemnoczerwone smugi. Znak, iż tędy wracał okrwawiony potwór. Milcząc posuwał się dalej. Jedynie szmery z tyłu świadczyły, iż ma innych za sobą. Niewielka była to osłoda, jako że całą przestrzeń wypełniał swoim ciałem, osłaniając resztę. Pocieszał się, że i potwora łatwiej byłoby trafić w ciasnocie, gdyby z mroku wychynął. Jeden strzał. A potem zostałyby tylko nieporęczna w wąskim lochu szabla.

Nic się nie działo. Tak doszedł do miejsca, gdzie otwierało się tajemne przejście, które odkrył Tatar. Stanął. Kawał muru nadal był odchylony. Wiedział, że przed nim jest pusta komnata. Przełknął ślinę. Idący za nim Stiller trącił go w plecy ręką pistoletu. Odwracając się, zobaczył jego pytające spojrzenie. Nic nie powiedział, tylko głową pokręcił. Pochyliwszy się mocno, wsunął się w otwór.



Płomień pochodni oświetlił izbę. Zdała się na początku taka, jak przedtem. Lecz kiedy krok postąpił i Niemiec swoją żagwią poświecił, ujrzeni w kącie kształt skulony, czarny, nieruchomy. Żegota odruchowo krok w tył zrobił i wycelował lufę wprost w niego. Jeden za drugim weszli do komnaty pozostali. Milcząc, wpatrywali się w leżącą postać. Potem powoli, bez szmeru żadnego, przysunęli się bliżej. Przed nimi spoczywał potwór.

Nogi miał podkulone pod siebie. Szponiaste ręce skrzyżowane na piersi, na której odznaczało się każde żebro. Porwane łachmany ledwo okrywały białe ciało. Na szyi czerniała metalowa obroża, od której ciągnął się gruby łańcuch. Łeb leżał na pokrytej pyłem posadzce. Oczy miał przymknięte. Tylko przez wąską szparę pomiędzy powiekami widać było czarną kreskę potwornych ślepi. Okrwawiony pysk świadczył, iż nasycił się zabitymi. Spomiędzy wąskich warg wyzierały bielejące kły i ostre zębiska. Bestia się nie ruszała. Semko już drgnął, by się przeżegnać, ale zatrzymał się w pół drogi, uświadomiwszy sobie, iż wtenczas odwróciłby półhak od potwora. Wolał nie podejmować takiego ryzyka.

W milczeniu otoczyli półkolem śpiącego martwca. Każdy z nich się bał. Przebiegały przez myśli słowa modlitw, pomieszane z niedowierzaniem. Nie tego się spodziewali. Zadawali sobie pytanie, czy nie jest to jakiś podstęp diabelski. Trwożyli się, iż zaraz rzuci się wąpierz i rozerwie ich na strzępy. Ale nic się nie działo. Bestia spoczywała ogarnięta letargiem.

Pierwszy odezwał się Stiller. Tak cicho, iż ledwie dało się jego szept usłyszeć.

– Śpi? – ni to zapytał, ni to stwierdził.

Nadolski pamiętał słowa Ionuca, że kiedy potwór krwi się opije, zapada w sen. Przełknął ślinę przez suche, skurczone gardło. Popatrzył na porucznika i Niemca. Przez zęby, nieco tylko głośniej od Saksończyka, wycedził:

– Łatwo poszło.

Chudy oficer mimowolnie uśmiechnął się pod sterczącymi wąsami. Oto nadchodził kres Poniatowskiego. Przyczyny zbrodni, które lata całe wstrząsały województwem. Wzrokiem wskazał na trzymane w rękach

pistolety. Wszyscy ten gest zrozumieli. Mocniej ścisnęli rękojeści, bliżej postąpili. Lufy skupiły, się celując w czerep bestii. Stężały twarze w wyczekiwaniu. Migotały pochodnie. Na moment zatrzymał się czas. A potem huknęły strzały z pięciu luf. Wszystkie celne. Każdy srebrną kulę niosąc. Zdało się, że zadrżały od ich dźwięku ściany. Zaświdrowały w uszach. Uniosły się dym i pył z podłogi. Odskoczyli w tył, rzucając pistolety i dla pewności wyszarpując z pochew szable i rapier, lecz nic się nie stało.

Milkło niesione korytarzami echo salwy. W trzaskających płomieniach pochodni rozwiewał się prochowy obłok. Przebijało światło, odsłaniając nieruchomy kształt w kącie. Jeszcze mieli w sercach niepewność. Jeszcze nie dowierzali, że taki może być koniec. Kiedy jednak na powrót się zbliżyli, pojęli, iż wapiersz już nigdy nie powstanie.

Zamiast łba pozostała mu krwawa miazga. Sterczały z niej połamane zęby, wisały resztki czarnego mózgu. Wystawały z mięsa zielonobiałe odłamki kości. Wszystko to spływało wolno gęstą ciemną krwią, sączącą się na kamienną podłogę. Wpatrywali się w ciszy w ten obraz z odrazą pomieszaną z fascynacją. Ubili potwora.

Niemiec niespiesznie schował rapier. Odchrząknął, by głos odzyskać. Splunął w bok gęstą śliną. Wolną ręką twarz przetarł.

– Kurwa mać! – zaklął. Głową pokręcił.

Powoli i inni poczęli chować broń. Bejda z Semkiem zebrali odrzucone pistolety i półhaki. Rozdali je na powrót właścicielom. Ci bardziej mechanicznie niż świadomie na powrót wetknęli je za pasy. Wciąż spoglądali na swoje dzieło. Wolski, zdobywszy się na odwagę, trącił nogą leżące cielsko. Ten gest ostatecznie rozwiązał napięcie. Oddechy stały się głębsze. Lżejsze. Powoli wracało życie w naprężone ciała.

– Łeb może odciąć? – praktycznie zauważył Żegota.

– I kołkiem poprawić w serce – dodał Semko, nie odwracając oczu od truchła.

Pokiwali głowami na znak zgody Wolski ze Stillierem. A sługom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Bejda pociągnął martwca za nogi, rozprostowując

go na posadzce. Brudną smugą odznaczyła się jego krew od miejsca, gdzie do tej pory spoczywał. Semko splunął w garście, przeżegnał się, wyjął szablę. Odsunęli się pozostali, by ich chlapiąca posoka nie obryzgała. A pocztowy nabrał powietrza, uniósł broń i ciął z całych sił. Jedno starczyło uderzenie, by oddzielić resztki głowy od ciała. Z obrzydzeniem Semko odsunął je końcem szabli, a potem wytarł ją w łachmany spowijające korpus. Bejda poszukał zdatnego kawałka, by wąpierzowi przebić serce. Obluzował jeden z haków na pochodnie tkwiących w ścianach. Przyjrzał mu się krytycznie, a uznawszy, że się nada, stanął okrakiem nad tułowiem. Z zamachem wbił żelazo w piersi potwora. Wyprostował się. Otrzeptał ręce. Uśmiechnął, co Żegota pierwszy chyba raz w życiu zobaczył. Pocztowy obrócił jeszcze zewłok plecami do góry. Tak dla pewności, jak to się wąpierzom w grobach czyni. Nie miał już prawa nigdy powstać.

Popatrzyli jeszcze chwil kilka. Pora była wracać na górę. Rzecz jeszcze nie była do końca zamknięta. Pozostali żywi Barda z Krasickim. I im należała się odpłata.

Wracając Żegota zastukał w drzwi celi, gdzie zamknęła się panna Wierzbowska. Z ulgą odetchnęła, zobaczywszy wracających wybawców. Nie bacząc na innych, wtuliła się w siwowłosego szlachcica, a ten objął ją twardym ramieniem. Szeptał słowa uspokojenia, gładził dłonią jej głowę. Pospuszczali oczy Wolski ze Stillere, bo też krępowały ich te objawy dziwnej czułości. Niemiec myślał intensywnie, mrużąc oczy. Coś układał sobie w głowie, lecz słowem się nie zdradził. Zaproponował, by Semko z Bejdą wyprowadzili pannę do młyna, tam gdzie czeka Sulatycki. Zżymał się Żegota, mówił, iż woda po pas stoi, ale uległ w końcu, gdy i Wolski oznajmił, że nie wiedzieć jak losy mogą się na zamku potoczyć. Przecież za murami nadal byli Wołosi. Poleciał więc sługom strzec dziewczyny jak oka w głowie i nie opuszczać, póki sam nie wróci. Zapowiedział przy tym, że jak jej włos z głowy spadnie, to ze skóry każe ich obdrzeć. Patrząc na jego minę, można by sądzić, iż nie były to czcze pogróżki. Z ociąganiem pożegnał pannę Wierzbowską. Westchnął, gdy zniknęła w ciemności. Ale w garść się zebrał i z pozostałą dwójką ruszył na dziedziniec zamkowy.

Czekał na nich Murray, siedząc na kamieniu, jedną ręką opierając się o muszkiet. Pokrótkie objaśnili mu zdarzenia. Zaklął, usłyszawszy, jak łatwo sprawa poszła. Widać sam chciał przyłożyć swoje do uśmiercenia potwora, przez którego stracił połowę ramienia. Żal był jednak daremny, bo rzecz była skończona. Zapytany o Krasickiego i Bardę machnął niechętnie kikutem.

– Tam są. W wartowni się zamknęli. Raz strzelili, kiedy się zbliżyłem. Kazałem dragonom patrzeć, czy ująć nie chcą, i na was czekałem. Przyczaili się. Nic nie gadają, chociażem do nich krzyczał.

– A pewnyś, że to oni? – Stiller łypnął spode łba.

– Między trupami ich nie ma. Za wami nie poszli. Nigdzie im się nie byłoby ukryć. Chyba że z zamku uszli. Ale wtenczas już nie kręciliby się Wołosi pod murami.

– Racja – przyznał Niemiec i pogładził się po brodzie.

Spojrzeli wszyscy ku kamiennej przybudówce stojącej u wylotu bramy. Żaden ruch nie zdradzał, by cokolwiek się w niej działo. Stare drzwi strzegły wejścia zatrzaśnięte szczelnie. Jedyne okno ziało ciemną pustką. Wąskie, zdatne, by strzelić z niego, ale nijak nienadające się do sforsowania.

– Może by dragonów posłać, by wejście wyrąbali... – zasugerował chudy oficer, spoglądając ku porucznikowi.

Wolski zamachał rękami i gwałtownie pokręcił głową.

– Już mi tylu ubili, że nie zezwolę! Jeszcze mi tego trzeba! I tak gęsto będę się musiał tłumaczyć panu Platerowi!

Niemiec westchnął i zasępił się. Potem mruknął:

– Jak w saku ich mamy. Tylko brać!

– To bierz waćpan! – odparował złośliwie porucznik.

– Nie ma co się spierać! – przerwał Żegota. – Rację ma pan Wolski, iż nie trzeba już życia żołnierzy na hazard wystawiać. Nasza to sprawa.

– I co waszmość radzisz? – Stiller skrzywił się ironicznie.

– A to... – odparł Nadolski – ...żebyśmy wzięli parę muszkietów i kilka razy palbę dali w te tam drzwi! Zobaczymy, czy dalej gadać nie zechcą!

Murray łypnął znacząco na Saksończyka. Ten wzruszył ramionami. Burknął:

– Ciasno w środku mają. Jak rykoszety pójdą, to ubić możemy kurwich synów. Tego waszmość chcesz? Nie wolałbyś żywych dostać?

– Nie to się ma, co się woli, ale to, co dostać można! – warknął Żegota i oczy gniewnie przymrużył. – Chcesz waszmość czekać, aż świt przyjdzie? Z Sanoka pewnie zaraz pan starosta ludzi przyśle. I co? Do lochu Krasicki ma iść? Wolę jego trupa oglądać, niż na Bóg wie co czekać! – Splunął ze złością.

– Racja! – przytaknął Wolski. – Wykpi się jak nic, jeśli żywy zostanie!

Niemiec przygryzł wargi. Zmarszczył brwi. Wahał się. W końcu, z ociąganiem, sam podniósł leżący opodal muszkiet. Bez słowa sprawdził, naładował. Zamek począł nakręcać. Nie patrząc ku innym, sapnął ciężko:

– Nooo... Skoro tak, to nie ma co czekać. Do roboty waszmościowie, bo jasno się robi.

Rzeczywiście. Na niebie pojawiły się pierwsze blaski oznajmiające nadchodzący wschód słońca. Ptaki żywiej zaświergotały między drzewami. I stojący za murami Wołosi zdawali się niecierpliwie. Co rusz odzywał się gdzieś pojedynczy strzał, nawoływanie. Próbowali odnaleźć jakiś słaby punkt, lecz za mało ich chyba było, by na otwarty szturm się mieli decydować. A i dowódcy pewnie im brakło, więc z ostrożnością macali obronę.

Gotowi stanęli naprzeciw drzwi. Murray musiał użyć forkietu, gdyż nie mógł bez ręki broni utrzymać. Klął na to siarczyście, co znakiem było, iż lepiej się poczuł. Stiller spróbował zawołać do towarzystwa Dereśnaka, skulonego w kącie dziedzińca, tam gdzie za murem San było widać, ale nawet nie odpowiedział pan Stanisław, siedząc na kamieniu i bujając się jednostajnie. Znakiem to było, że wrażenia pomieszały mu trochę we łbie. Bo też rzadko kto krewniaczkę za wąpierzę wydaje.

Nadolski już szykował się do strzału, gdy nagle dłonią powstrzymał go Niemiec. Nie patrząc na niego, krzyknął ku wartowni:

– Hej! Wy tam! Mości Krasicki! Wyłażcie prędko, bo jak nie, to zaraz

strzelać będziemy!

Odpowiedziała jedynie cisza. Żegota zacisnął powieki zdziwiony, tak że tylko wąska szpara została. Zły był na to, iż Saksończyk ostrzeżenie daje. Może i widzieli ukrywający się ich przygotowania, ale teraz na pewno wiedzieli, że zaraz coś się wydarzy. Mieli czas na jakie takie ukrycie. Nie rozumiał, czemu Stiller to czyni. Zmilczał jednak.

Kiedy chwila dłuższa minęła bez jakiegokolwiek znaku, Niemiec westchnął i podniósł swój muszkiet. Na ten ruch i inni na powrót wycelowali lufy. Bez znaku żadnego, nierównomiernie, huknęły strzały. Poleciały przy drzwiach do stróżówki oderwane drzazgi, zakołysały się wrota silnie uderzone. Dym na chwilę widok przesłonił. Gdy się rozwiął, dało się dojrzeć, iż stare musiało być zamknięcie. Kule przeszły gładko, łamiąc deski i odrywając okucia. Żegota w milczeniu na powrót zaczął broń ładować. Tymczasem Stiller znów oparł się na broni i krzyknął:

– Wyłaźcie! Bo do skutku strzelać będziemy, aż się brama rozleci! Nie macie szansy żadnej!

Znów cisza. Niemiec zaklął pod nosem, sięgnął do pasa, wziął prochu i jął sypać w lufę. Potem kulę we flejtuch owinął, wcisnął w otwór i przybił stemplem. Inni także byli już gotowi. Powtórzyła się palba. Tym razem drzwi zadrżały tak, iż oderwał się zamek. Pojawiła się szpara na kilka cali. Stiller pokręcił głową. Potem zawołał:

– Wrota już otwarte! Mamy tak strzelać?! Zaraz was dojdziemy! Wyłaźcie lepiej!

Nikt nie odpowiedział. Saksończyk zmrużył ślepią. Zawiercił się z niepokojem. Zerknął na Murraya. Ale ten zajęty był nieskładnym ładowaniem muszkietu. Już miał się do tego i Niemiec zabrać, kiedy nagle odezwał się głos ciężki, męski, idący z wartowni:

– A spróbuj mnie dojsć, psi synu! Kroku nie postawisz, a łeb ci rozłupię. Długo tak sobie strzelać możecie!

Chudzielec przygryzł wąsy i sapnął ciężko. Znać było, że coś nie po jego myśli idzie. Wtedy odezwał się niespodziewanie Żegota, wołając:

– Ciebie zwą Barda?!

Najpierw głucho było. A za tym odkrzyknął ktoś:

– Może! A ktoś ty?!

– Jestem Żegota Nadolski!

– Nie znam! – było za jedyną odpowiedź.

– Wyleź, kurwi synu, to poznasz!

Rozległ się śmiech nieszczerzy zza ściany. A potem słowa:

– A niby czemu miałbym ku tobie wychodzić, szlachetko?! Ktoś zacz i czego ode mnie chcesz?!

– Łeb ci chcę uciąć, Barda!

– Bacz, byś swojego nie stracił! Choć szkoda mała by była, bo pusty pewnie!

Szlachcic się skrzywił. Zmarszczył czoło, twarz mu zbladła, iż wyraźniej widoczna była blizna ciągnąca się przez policzek. Stanęli przy nim oficerowie z bronią nabitą. Nie wiedzieć, na co czekali. Nawet Wolski. Żegota odetchnął głęboko. Po tym zawołał:

– Tedy słuchaj mnie, Barda! Na szable cię wyzywam! Tu i teraz! A słowem szlacheckim ci zaręczę, że kompani moi... – Przerwał i popatrzył po twarzach wkoło. Niemiec nieznacznie głową skinął, jakby wiedząc, co dalej powie Nadolski. – Jeśli mnie położysz, kompani moi pozwolą ci odejść! Nie rzekłem, że ścigać cię nie będą, ale dzień folgi dostaniesz! Potem, jak Bóg da, oni ci czerep rozłupią! Decyduj się! Bo powtarzać nie będę!

Chwilę tylko czekali odpowiedzi. Rozległ się głos, jakby bliżej drzwi ktoś stanął:

– Wierzyć ci mam?!

– Na krzyż gotowiśmy przysięgę złożyć!

– Tedy złożcie!

Spojrzał po stężonych twarzach Żegota. Odłożył muszkiet. Wyjął swą czarną szablę i rękojeścią do góry uniósł. A potem głośno powiedział:

– Na Boga przysięgacie, iż jeśli mnie Giurgiu Barda położy w pojedynku,

wolnym go puścicie i jeden dzień dany mu będzie, zanim pościg podejmiecie?!

Popatrzył Wolski na Stillera z Murrayem. Ci ważyli coś w myślach. W końcu Niemiec wycedził:

– Przysięgam!

Za nim powtórzył jego towarzysz to samo słowo. Tylko porucznik się wahał. Zerknął na Żegotę. Szepnął przez zęby:

– Pewny jesteś waćpan?

Nadolski wolno skinął głową. Dragon westchnął, brwi zmarszczył i z ociąganiem krzyknął:

– I ja przysięgam! Za ludzi moich także!

Zaszurało coś za drzwiami. Ale nie wyszedł Wołoch na dziedziniec. Zawołał tylko:

– Nie sam jestem!

Niemiec położył siwowłosemu dłoń na ramieniu. Nadolski zbierał się już, by odpowiedzieć Bardzie, więc zdziwiony spojrzął na biskupiego oficera. On zaś przyglądziwszy czarną bródkę odkrzyknął:

– Jeśli to pan Krasicki z tobą, to jego nie puścimy! Wybieraj tedy, bo dla ciebie jedynie nasza oferta!

– A co z nim chcecie uczynić?!

Saksończyk podniósł jeden kącik ust w krzywym uśmiechu. Pogardliwie nosem powietrze wypuścił. A potem odrzekł:

– Nie twoja rzecz, Barda! O sobie myśl!

Cisza nastała. Ważył widać Wołoch w sercu możliwości. Wiedział, że szans wielkich nie ma, pozostając w wartowni. Nawet jeśli przyjdą pacholki starosty sanockiego, to głowę może jedynie Krasicki ocalić. Jemu przyjdzie niechybnie szyję pod topór położyć. Na niego pewnie też pan na Krasicy całą winę złoży. Świtało. Ostatnia była możliwość, by śmierci się wykpić. Wiedział, że w szabli nikt mu nie sprosta. Bardziej tedy zważał na lojalność wobec swego pana, niż myślał, iż mógłby ulec w pojedynku. W końcu wolno otwarły się postrzępione wrota. Z ciemności wyłonił się przeklęty Wołoch.



Był wysoki. Najmniej o pół głowy od Nadolskiego większy. W barkach szeroki, choć suchy, żylasty. Na czarno odziany w miękkie skóry zdobione gdzieniegdzie srebrem. Włosy hebanowe, poprzetykane siwizną, krótko przycięte. Twarz ściągnięta, wąska, z dwiema bruzdami biegnącymi od nosa ku ustom. Gładka i śniada. Powoli uczynił dwa kroki. Dłoń położył na rękojeści ciężkiej szabli husarskiej. Podniósł dumnie głowę.

– Zaufałem waszmościom! – warknął bardziej, niż powiedział. A potem się rozejrzył. – Który to Nadolski?

Żegota odłożył muszkiet i wystąpił do przodu. Patrzyli z murów dragoni na dziwowisko. Zamarli w bezruchu oficerowie. Barda zmierzył wzrokiem przeciwnika.

– Na fechmistrza waszmość nie wyglądasz. Radę ci tedy dam. Poniechaj mnie, jakbym już cię położył. Swoją drogą odjadę i więcej o mnie nie usłyszycie.

Skrzywił się szlachcic i począł ściągać wierzchnie odzienie. Łypnął złowrogo, nim odburknął:

– Nie gadaj! Szykuj się lepiej!

– Jak waszmość chcesz – mruknął Wołoch i wzruszył ramionami. Wolno począł rozpinać srebrne guzy.

W milczeniu szykowali się do walki. Stanęli bliżej towarzysze Nadolskiego. Wszyscy pomyśleli, iż szlachcic nie sprosta słudze Krasickiego. Stiller ważył w sercu, co wtedy. Kusła go myśl, by Bardę ustrzelić, łamiąc dane mu słowo. Mocniej palce na lufie muszkietu ścisnął. Wahał się pomiędzy honorem a racjonalnością. Mieszała się w nim krew niemiecka z polskim doświadczeniem. Żadne nie zyskiwało przewagi.

Barda podwijał rękawy białej koszuli. Nie spoglądając na przeciwnika, powiedział:

– Musi, jakiś rankor masz do mnie waćpan. Nie znam jaki, bo pierwszy raz o tobie słyszę.

Nic mu Żegota nie odrzekł. Spojrzał spode łba. Oczy przymrużył. A Wołoch ciągnął, świadom, iż ważne jest, by wroga przed walką

z równowagi wytrącić:

– Możem ci dziewczkę odbił? Córkę wychędożył? No, rzeknijże waćpan. Wiedzieć chciałbym, za co mam cię zabić!

– W piekle od Lucyfera się dowiesz! – syknął Żegota.

Wyciągnął z pochwy szablę, dłonią przejechał po żelaznym grzbiecie od rękojeści aż po pióro. Wołoch uniósł nieco wzrok. Uśmiechnął się, nie przyspieszając przygotowania. Celowo wolno zawijał materię na lewym ramieniu. Znał, że swój czas kupując, daje go i Krasickiemu. A złość w Nadolskim rośnie. Nie zmieniając kpiącego wyrazu twarzy, zapytał:

– A cóżeś waszmość taki na gębie posiekany? Jam to może kiedy uczynił? Bo widzisz, nie spamiętam, ile żem takich pamiątek ostawił.

Żegota splunął pogardliwie. Stał w rozkroku na wprost Bardy. Oparł ostrze na lewym ramieniu w zgięciu łokcia. Czekał. Pojął wtenczas Wołoch, iż więcej nie zyska. Westchnął głęboko, niby z żalem. Wyjął broń. Zabłysło kunsztowne ostrze damasceńskim wzorem. Odbiły się w nim na czerwono pierwsze promienie wchodzącego słońca. Wolno poruszył kilkakrotnie nadgarstkiem. Głowę na lewo i prawo przekrzywił. Zgiął nogi w kolanach, prawą w przód wysunął. Wyciągnął przed siebie szablę i wycedził przez zęby:

– Tedy zacznijmy, mocium panie!

Żegota błyskawicznym ruchem poderwał ostrze z zagięcia łokcia. Wypadł prawą nogą w przód i przyciął na płask ruchem zwanym ojcowskim. Cofnął się Barda, przestawiając nogi, a za tym, kiedy przez pustkę świsnęło żelazo przed nim, wyskoczył przed siebie, kierując ostrze w lewy bok Nadolskiego ukośnie w górę. Nie zdążyło jednak pióro dosięgnąć ciała, kiedy szabla Nadolskiego zawróciła i podbiła Bardzie głownię. Wołoch znał widać tę zastawę, albowiem nie stawiał oporu. Wręcz sam mocniej poderwał ostrze, nogę cofnął i zakręciwszy się wokół własnej osi, ciął mocno, z ramienia pionowo od góry przełamującą prymą, licząc, iż Żegota skusi się na sztych, widząc przez moment odsłonięte plecy. Lecz i Nadolski nie był w ciemieniu bity. Miast w przód, w tył odskoczył, tak że cios przeszedł przed nim. Zanim Wołoch zatrzymał ostrze, z góry, płazem uderzył w nie szlachcic, rzucając się

do przodu i ślizgiem szablę podrywając, machnął krótko, tnąc od lewej, tuż nad jelcem przeciwnika. Może by i ramię Bardzie przeciął, lecz ten natychmiast skręcił ciało tak, iż cofnął mu się prawy bark, a szabla o cal minęła jego koszulę. Nie zmienił Giurgiu postawy. Tylko ostrze odwrócił i pociągnął z dołu pionowo, celując w brodę pochylonego Żegoty. Ten jednak natychmiast krok przestawił. Szablą młyniec od dołu uczynił i skacząc na powrót w przód, przyciął ukośnie z dołu jednym ruchem nadgarstka. Wołoch jednak był i na to gotowy. Odchylił się i ciosem z góry zbił szablę Nadolskiego. Zadźwięczało żelazo. Żegota cofnął ostrze i stanął w postawie obronnej. Bardzie też nie było spieszo atakować. Krok w tył uczynił i wyciągnął głównię przed siebie. Uśmiechnął się, szczerząc białe zęby:

– Waszmość z tych stron jesteś? – wycedził pytanie. – Bo jak nietutejszy fechtujesz.

Przerzucił drobnym ruchem szablę do lewej dłoni. Liczył, iż zaskoczy Żegotę. Uderzył odwrotną niską kwartą. Twardo zastawił się siwowłosa, bo też nie miał wyjścia. Skręcił w dół nadgarstek. Koniec żelaza skośnie ku ziemi opuścił. Wołoch, miast cofnąć rękę, pojechał ostrzem całym po zastawie, ku sobie broń ciągnąc, a kiedy pióro minęło stal, pchnął sztychem wprost w środek piersi Nadolskiego. Ale ten tylko łokieć zgiął gwałtownie, nie zmieniając pozycji broni. Lekko odrzucił wyprostowaną głównię i zatoczywszy łuk, uderzył od góry ruchem, co zwał go goleniem starościńskim. Odbił to jednak Barda wysoką trzecią. Pociągnął szeroko, odchylając ramię przeciwnikowi. A potem prędko ostrze opuścił i chlasnął podlew. Ale zastawił się Żegota, wracając również od dołu, ruchem lustrzanym do Wołocha. Na powrót odskoczyli od siebie. Sługa Krasickiego cmoknął z niedowierzaniem. Znów przerzucił szablę do prawej ręki. Spoglądali sobie w oczy, niespiesznie wkoło się obchodząc. Prowokowali drobnymi ruchami ostrzy. Poznał Barda, iż godnego ma przeciwnika.

Stiller spoglądał na walczących, ale co rusz zerkał też na otwarte drzwi wartowni. Kusilo go, by już do Krasickiego ruszyć. Taki był bowiem jego cel, rozkaz biskupa Próchnickiego. Walka, choć dla oka miła, była tylko zbędnym wydłużeniem oczekiwania. Sapnął, spojrzawszy na muszkiet.

Wystarczyłby strzał jeden. Zaklął pod nosem po niemiecku. Przeszło mu przez głowę kilka myśli o głupich Polakach. Spostrzegł wówczas, iż Murray patrzy na niego, mrużąc oczy. Szkot lekko głową pokręcił. Stiller pojął, że druh zna dręczącą go pokusę. I jest jej przeciwny. Machnął zrezygnowany ręką. Trudna jest sztuka cierpliwości tuż przed finałem.

Barda zapozorował cięcie wtrok, skacząc w przód i uderzając poziomo. Potem jednak ostrze przekrzywił i pociągnął mocno nyżkiem, mierząc w pierś i prawe ramię. Odbił Żegota zastawą głównią w dół, machnął na odlew, ale ruch na wysokości szyi Wołocha zatrzymał. Pchnął, schylając się mocno do przodu i wyciągając rękę. Przeciwnik uchylił się, przysiadając na prawej nodze, lewą zostawiając prostą. Ruchem nadgarstka z prawa na lewo przyciął w pachwinę wysuniętego uda. Żegota błyskawicznie odstawił nogę w tył. Jednocześnie szablę przerzucił do lewej ręki i uderzył w dół, na skos. Chcąc nie chcąc, Wołoch przeturlał się na prawo i natychmiast na nogi poderwał. Nadolski zaś na powrót prędkim ruchem przełożył broń w sprawniejszą dłoń.

Dyszeli obydwoj, spoglądając na siebie spode łba. Nie szczerzył już Barda zębów w uśmiechu. Napięła mu się śniada twarz. Pogłębiły bruzdy.

– Dziw, żem o waszmości nie słyshał – wysapał.

Nie słuchał nawet Żegota. Skoczył i przyciął lekko, z wołoska, na wysokości twarzy. Równie lekko odtrącił Barda jego szablę. Skrócił ruch, znając, iż może przeciwnik zwód szykować. Ale na przekór temu szeroko pociągnął siwowłosa. Od dołu, podlew. Barda cofnął prawą nogę. Lecz kiedy tylko ostrze świsnęło, na powrót mocno nastąpił, przycinając wlic. Nadolski, miast odruchowo w tył się uchylić, w przód na wykroczonej nodze przypadł. Zaśpiewała szabla nad jego głową, krzywdy nie czyniąc. A on, zamiast długo nadgarstek do cięcia nastawiać, pchnął prosto, tak że ostrze tuż przy kolanie pojechało Wołochowi po nodze. Głównia, krawędzią od sztychu do mocy, przecięła skórę wysokiego buta i mięśnie łydki. Nie cofnął się szlachcic, tylko przetoczył przez prawe ramię i wtenczas, nie patrząc na skutek swego ruchu, odskoczył. Barda zaklął w swoim języku. Pocięła mu krew po cholewie. Popatrzył na rozdarcie. Zmrużył oczy ze złością. Rana była

niewielka. Nic prawie nie znaczyła. Ale od lat nikt mu żadnej blizny nie zostawił. Bardziej na dumie swojej poczuł uszczerbek niż fizyczną boleść.

Zaszmerali gapiący się dragoni. Bo też nigdy nie widzieli pojedynku podobnych mistrzów. Zwykle jak cepami się szlachcice okładali, na krzyż tnąc, a ten wygrywał najczęściej, który był mniej pijany. Podziwiali zgrabność ruchów i ledwie uchwytną prędkość. I ich dowódca z zachwytem głową pokręcił. Choć mówił mu świętej pamięci Kruszewski o Żegocie, to inną sprawą było własnymi oczami dojrzeć jego umiejętności.

Tymczasem przyczaili się obydwaj szermierze. Barda w miejscu stanął, a Nadolski obchodził go niespiesznie wkoło. Niespodziewanie, lekko przyskoczył do przeciwnika. Uderzył półcięciem z prymą i w tył uciekł. Nie zaskoczył jednak Wołocha. Ten odchylił się, unikając ciosu, a potem, nie czekając, rzucił za Żegotą, przycinając od lewego ucha po referendarsku, na skos przez pierś mierząc. Sądził, iż siwowłosa odruchowo lewą stronę przy cofaniu zasłoni. Tymczasem nietypowo poprowadził Żegota szablę po cięciu. Nie wrócił do pozycji, lecz gwałtownie przygiął kolana i zablokował ruch wroga zastawą świętego Jerzego. Najprostszą z możliwych, tym bardziej zaskakującą. Prostując kolana, odepchnął idące od góry ostrze, a że szablę przekrzywił, główia zsunęła się i uderzyła o jelec. Naparł Barda, ale i Nadolski nie odpuścił. Przez chwilę mocowali się, pchając skrzyżowaną stalą. Aż w jednym momencie w tył odskoczyli. Ten sam ruch chcieli w ataku wykonać, uderzając wzerk. Ale też natychmiast zorientowali się obydwaj, więc poderwali błyskawicznie szable, odchyłili gwałtownie, a ostrza minęły się ze świstem. Nie czekał Nadolski, tylko zaraz pionowo od dołu pociągnął, skacząc w przód pochylony, licząc, że jeśli nie cięciem trafi, to na sztych się Wołoch nadzieje. Ale ten zablokował poziomą zastawą w dole, a z niej z nadgarstka krótkim ruchem ni to podlew, ni to w łęg uderzył. Stuknęło pióro w jelec szabli Żegoty, bo też zdążył on unieść rękojeść, wyginając w dół dłoń. Kiedy odbił, tylko głównię podniósł, celując grzbietem pióra w łokieć. Ale już odskoczył Wołoch, zmieniając wykroczną nogę. Błyskawicznie poprawił pozycję, dla pewności sprawiwszy zastawę na lewej stronie. Dwakroć młyńca przed sobą na odlew i wręb zatoczył. Ale

Żegota stał w miejscu.

Pot wystąpił im na czoła. Usta zacisnęły się w wąskie kreski. Poznali, że równe są ich umiejętności. A o wygranej przypadek może decydować. Niezawiniony błąd lub to, kto pierwszy zmęczenie poczuje. Szczęśliwi więc siły. Przyczaili się w bezruchu niczym drapieżcy, mrużąc oczy.

Stiller spoglądał niecierpliwie. Zrozumiał, iż długo jeszcze mogą fechtować bez skutku. Mruknął gniewnie przekleństwo. Wtedy dostrzegł drganie jakiegoś w wejściu wartowni. Z początku pomyślał, iż wschodzące słońce światło rzuciło na otwarte drzwi. Instynktownie jednak poczuł, że ruch ten inną może mieć przyczynę. Bez słowa przesunął się cicho na prawo. Zerknął na trzymaną broń, upewniając się, iż gotowa. Wpatrzył się uważnie w ciemny otwór. Jednak nic się nie poruszyło.

Tymczasem natarł Barda gwałtownie, tnąc prosto wbrew. Żegota zastawił się skośnie, a za tym, kiedy zsuwać się zaczęła szabla wroga na lewo, półkolistym ruchem skierował ostrze wlic. Lecz podbił mu szablę Wołoch od spodu. Cofnął się szlachcic gwałtownie z zasłoną. Wtenczas dostrzegł coś kątem oka. Ruch jakiś od stróżówki. Ledwie sekunda to była. W mig zrozumiał, co się dzieje. Krzyknął głośno:

– Krasicki!

Niemiec poderwał muszkiet. Strzelił. Cofnęła się ludzka postać na powrót do budynku. Ale chwila ta to był ów błąd, na który czekał Barda. A może i jej się spodziewał. Runął przed siebie, tnąc z całych sił na odlew. Odchylił się Żegota, ledwie zdołał zastawę wyprowadzić. Stuknęło żelazo, lecz wtenczas Wołoch kopnął go w korpus lewą nogą tak silnie, iż stopy od ziemi mu się oderwały. Poleciał w tył. Zawirowało niebo. Zacisnął palce na rękojeści szabli. Na nic to było. Z łoskotem opadł na ziemię. Nim zdołał cokolwiek zrobić, przyskoczył Barda do niego. Butem pierś do ziemi przycisnął. Ostrze przyłożył do szyi. Znow uśmiech zły rozszerzył mu wargi.

Zaklął Wolski. Drgnął Murray, jakby miał krok w przód zrobić. Mimowolnie Stiller odrzucił muszkiet i złapał za rękojeść rapiera. Podniósł na nich wzrok Barda. Powiódł zwycięskim spojrzeniem. Pojęli, iż nic uczynić nie mogą. Stał opierała się na gardle Żegoty. Jeszcze wyżej uniosły się kąty

ust na śniadej twarzy. Pogłębiły bruzdy. Wolnym ruchem głowy wracał, by uchwycić ostatnie spojrzenie pokonanego. Lubował się w tym błysku strachu, który znaczył każdą zadawaną przez niego śmierć, lecz jednego nie mógł przewidzieć.

Nadolski lewą dłonią schwycił pióro szabli opierającej mu się na szyi. Zacisnął palce tak, iż krew spomiędzy nich pociekła. Rozszerzyły się zdziwione oczy Wołocha. Spróbował szarpnąć, ale uścisk był zbyt silny. Nie mógł pojąć, jak to możliwe. Nie wiedział, iż Żegota dawno stracił czucie w lewym ramieniu. Domykał się los. To, co zdało się dopustem bożym, teraz było obroną. Jakby nic z przeszłości nie stało się niepotrzebnie. Stwórca zesłał kalectwo w tym jednym celu. Dla pokonania zła.

A potem Stiller widział wszystko tak, jakby czas zwolnił. Bardę skamieniałego z zaskoczenia, dłoń Żegoty unoszącą znad ziemi ściskaną kurczowo szablę i jedno pchnięcie. Wprost w pachwinę, tam, gdzie tętnica idzie. Weszło głęboko stalowe ostrze. Wyszarpnął je zaraz siwowłosa szlachcic. Bluznęła jasnoczerwona krew. Wołoch się zachwiał. Puścił rękoność swej broni. Zakręcił się na sztywnych nogach. Krok jeden wykonał, patrząc przed siebie martwo. Na sekundę znieruchomiał. A w końcu runął na twarz, rozkrzyżowawszy ręce. Pod jego ciałem rosła pienista kałuża posoki.

Zawyli dragoni radośnie. Krzyk się podniósł. Nowe siły w każde serce wstąpiły. Przyskoczyli oficerowie do leżącego wciąż na ziemi szlachcica. Nawet Dereśniak powstał i ręce wznosił ku niebu.

Stiller wyciągnął prawicę, a widząc krew ciekącą po dłoni, schwycił Nadolskiego za nadgarstek lewego ramienia. Ten wyprostował się, siadając z wysiłkiem. Powiódł wkoło wzrokiem. Wbił okrwawioną szablę w ziemię i wspierając się na niej, spróbował powstać. Wolski przypadł do niego i podchwyciwszy pod ramię, pomógł. Stał w końcu siwowłosa szlachcic na chwiejnych jeszcze nogach. Jakby sam nie pojmował, że zdołał śmierci spod kosa się wywinąć. Bo też inaczej niż cudem nazwać tego nie było można. Spojrzał na leżące we krwi ciało, drogocenną szablę walającą się w pyle dziedzińca zamkowego. Przemknęły przez głowę słowa niegdyś przez Rytę wypowiedziane. Oto dopełniało się jej proroctwo.

Szkot kręcił głową z niedowierzaniem. Patrzył to na zabitego, to na Żegotę. W końcu rzucił półgłosem:

– Chybaś się waszmość w czepku urodził!

Tymczasem Wolski wyciągnął lada jaki kawał materiału z torby przy boku i nie pytając rannego, okręcił mu krwawiącą dłoń. Nie mógł pojąć, iż ten jakby uwagi na to nie zwrócił, zerkając obojętnie na ranę przerynącą dłoń aż do kości. Kiedy skończył, podniósł leżącą broń Wołocha. Przyjrzał się kunsztownej robocie. Westchnął, podając ją Nadolskiemu. Ten głową pokręcił. Wycharczał suchymi jeszcze ustami:

– Zatrzymaj waszmość, jeśli wola. Ja jej nie chcę. Może i moich tym ostrzem... – Nie skończył.

Zawahał się porucznik. Nie dłużej niż sekundę ważył coś w sercu. A potem wraził jednym ruchem głownię pomiędzy kamienie i szarpnął rękojeść ku sobie. Prysło pracochłonna wykute żelazo. Cisnął resztkę szabli na trupa. Mruknął przy tym:

– Racja! I mnie ona na nic! Niech ją kurwi syn ze sobą do piekła zabiera!

Stiller poważnie pokiwał głową. Spojrzał w oczy Żegocie, a potem znacząco wzrok na wartownię skierował. Nadolski pojął, o co mu idzie. Nabrał głęboko powietrza w płuca i ze świstem wypuścił. Przytaknął ruchem głowy, że gotów. Jeszcze tylko Murray wstrzymał go dłonią. Wycedził do Wolskiego:

– Nim pójdziemy, daj tu waszmość dragona jakiego, żeby Bardzie łeb urznął i za mur cisnął. Niech wiedzą jego ludzie, że już na darmo krążą. Precz mogą iść.

Tak też porucznik uczynił. Przywołany żołnierz wprawnie odciął głowę martwemu Wołochowi. Zaklął, że włosy krótkie i w dwóch rękach nieść będzie musiał. Idąc, by się krwią świeżą nie upaprać, daleko ją od siebie trzymał. Kiedy stanął na murze, krzyknął:

– Hej! Wy tam! Podarek mamy dla was!

Wtenczas rzucił odcięty ochłap pomiędzy zarośla. Podniosły się zrazu jakieś głosy, lecz wnet ucichły. I tak już zostało.



We czterech, trzymając obnażoną broń w rękach, ruszyli ku wartowni. Prawie zupełnie jasno już było. Szli odważnie, nie bacząc, że przecie Krasicki może mieć jakiś pistolet czy muszkiet. Choćby i strzelił, wiedzieli, że już im nie umknie. Nadchodziła godzina nieuchronnego sądu.

Pierwszy przekroczył kamienny próg Nadolski. A za nim i pozostali weszli do ciasnej izby. Leżały w niej resztki połupanego strzałami drewna, odłamki wyrwanych kamieni i pył. W kącie, z dala od wpadającego wąskim oknem światła, kulił się człowiek. Odziany bogato, choć teraz strój jego raczej żałosne sprawiał wrażenie.

Stanęli o kilka kroków od niego, nic nie mówiąc. Dłuższy czas wpatrywali w tego, który przez swoje szaleństwo stał się przyczyną śmierci i bólu tak wielu. Nieświadomie przemknęło przez myśl Żegoty pytanie, któż tak naprawdę był ową bestią siejącą postrach na okolicznych ziemiach. Czy ten nieszczęsny Poniatowski, który najwyższą cenę zapłacić musiał za młodzieńcze fantazje? Czy ten, który nie mógł pogodzić się z boskim wyrokiem i gotów był z diabłem się zbratać, byleby żał swój ukoić i naturalny bieg rzeczy odwrócić. Swój ból tysiącokrotnie pomnożyć, utopić we krwi i w zbrodni. A ów człowiek powoli wyprostował głowę i spojrzał im w twarz.

Nie wyglądał już tak dumnie, jak wtenczas w kościele w Sanoku. Rozwichrzyły się na wszystkie strony zaczesane włosy. Poczochrała broda. Obwisł gęsty wąs. Nic już nie było majestatu w szerokiej twarzy. Tylko blada rezygnacja.

Zrobił krok w jego stronę Żegota. Ścisnął mu gardło gniew. Zadrżała dłoń trzymająca szablę.

– Czas na cię, skurwysynu!

Starosta nieprzytomnie zamrugał oczami. Jakby dopiero otrzeźwiły go usłyszane słowa.

– Gdzie mój syn? – wyszeptał.

– W piekle! Tam gdzie dawno mu miejsce uszykowali! – Nadolski uniósł szablę i przytknął do piersi magnata. – Wiesz, kto jestem?

Krasicki pokręcił głową. Stężała twarz siwowłosemu szlachcicowi. Zawrzało mu w sercu. Pojął, iż dla wielkiego pana nic nie znaczył ni on, ni jego dzieci i żona zabici. Na nic byłoby cokolwiek mówić.

– A wiesz chociaż, za co zemrzesz?!

Wodniste oczy spojrzały wprost w źrenice Nadolskiemu. Z samego wnętrza Krasickiego cichy głos wyszedł:

– Za to, że syna miłowałem.

Szlachcic przełknął ślinę. Obwisła mu bardziej porażona część twarzy. Nie znalazł słów, by w jednej odpowiedzi wyrazić, co myśli. Tylko ruchem głowy zaprzeczył. A potem cofnął łokieć do ostatniego pchnięcia. Naprężył mięśnie. Wtedy nagle zza pleców posłyszał spokojny głos Stillera.

– Zaczekaj, mości Żegota!

Nadolski odwrócił głowę zdziwiony. Grymas gniewu przeszedł mu przez ściśnięte wargi. Zabłyśły oczy szare złym ogniem. Ale Niemiec wytrzymał spojrzenie.

– Zaczekaj! – powtórzył wolno. – Posłuchaj mnie, co rzeknę, a potem zdecyduj.

– Chcesz go żywego ostawić?! – Głos siwowłosego był niczym zdławione wilcze warknięcie.

Staął na wprost pozostałych z obnażoną szablą. Gotów i ich posiekać, jeśliby spróbowali mu na przeszkodzie stanąć. Patrzył spode łba przyczajony. Za jego plecami nadzieja zabłysła w pustych dotąd oczach magnata. Prędko się pojawiła, lecz tak samo zgasła, kiedy Stiller pokręcił głową. Rozprostował się Żegota. Rozluźnił zbielejące na rękojeści palce. Wycharczał:

– Mów tedy! Byle prędko!

Niemiec skinął głową. Potem zwrócił się do porucznika:

– Zawrzyj drzwi, mości Wolski. Bo co rzeknę, na wieki w tej izbie zostanie. Jak i to, co tu się później wydarzyć może.

Dragon spiesznie podszedł do potrzaskanego drewna i ku sobie pociągnął. Ciemniej i mroczniej się stało, bo światło tylko wąskim oknem i postrzelanymi otworami dochodziło do środka. Niemiec, oczu nie

opuszczając, zaczął:

– Jeśli tak go ubijesz, szablą, że rana zostanie, tedy nie będzie już dla ciebie miejsca w Rzeczypospolitej. Nie wrócisz do domu. Błąkać się będziesz, a krewni i powinowaci tego... – głową wskazał starostę – ...wszystko uczynią, by dopaść cię, gdziekolwiek byś był. Jego cnotliwym ogłoszą, ciebie zaś infamisem zrobią, spod praw wszelkich wyjmą. Lada cham zabić cię będzie mógł. A złotem opłaceni ludzie wszędzie cię będą szukać. Tego chcesz?

– Za jedno mi! – wydyszał siwowłosy w odpowiedzi.

– A panna? – Krótkie było pytanie zadane przez Stillera. Ale starczyło mu tego, co widział w lochu, by trafnie uderzyć.

Zawahał się Żegota. Tysiące myśli przez głowę mu przebiegło. Złożona obietnica odbiła się w duszy. Zadrżała ręka trzymająca broń. Przygryzł usta. Dostrzegł Stiller rozterkę miotającą szlachcicem. Nie pozwolił jej zgasnąć.

– Jeśli uczynisz, jak ci rzeknę, wrócisz do swojej Wygnanki. A ona z tobą, jeśli zechce.

– Jakim sposobem? – zapytał bezgłośnie Nadolski.

Prawie niezauważalnie uśmiechnął się Saksończyk. Poznał, iż zdolny jest przekonać szlachcica do swojego planu. Łypnął ku Wolskiemu z Murrayem. Do porucznika wolno wycedził, choć niby do wszystkich mówił:

– Jeśli to, co powiem, ktokolwiek powtórzy, to śmierć mu pisana. Słowem tedy wszyscy zaręczcie, iż jakbym w studnię słowa rzucił. Raz tylko zostaną wypowiedziane i na zawsze znikną. Przysięgacie?

– Przysięgam! – Porucznik skłonił głowę.

– I ja przysięgam! – powtórzył Murray.

Na koniec Nadolski rzucił gniewnie:

– Przysięgam!

Mimowolnie spojrzeli na siedzącego w kącie magnata. Ale Stiller uciął wątpliwość:

– On niedługo najwyżej Belzebubowi będzie mógł się zalić. Niech słyszy. Bo i tak już nic uczynić nie może.

Zaczerpnął powietrza, potarł palcami nasadę nosa. Wtedy zaczął:

– Jeśli dziewczyna zechce, to powie się, iż w zamku zginęła, przez zbójów Wołochów porwana. Taka wieść do jej krewnych pójdzie. Wiem, że wracać do ojca pewnie jej niespieszno. Na odchodne, loch prochem się wysadzi. Wcześniej waszmość przejściem do młyna pójdiesz i jeśli wola, precz odjedziesz z panną i sługami. Biskup Próchnicki potwierdzi jej nowe nazwisko. Sam ci pisma dowiozę. Niemało całych rodzin szlacheckich w Dzikich Polach zginęło. Znajdzie się tedy jedna ocalona cudownie panna. Nawet jaki majątek dziedziczny jej się przypisze. Dostaniesz waszmość od arcybiskupa wszystko to, co trzeba, by nowe życie zaczęła. Rozumiesz?

Łypnął na Żegotę. Ten potwierdził skinieniem głowy.

– Ale pojmiij, mości Żegota, że wtedy tylko, gdy ona zechce. Na mus nie zezwolę! Sulatycki mi sprawę złoży, jak we młynie było i czy z własnej woli z waszmością poszła. Z dragonem niech nam pan Wawrzyniec konie podprowadzi. Wypytam go, jak było. Tedy rozumiesz waszmość? Jeszcze raz rzeknę, że wolna jej wola iść czy zostać – upewnił się, czy szlachcic dobrze rzecz sobie uświadomił. Ten krótko odrzekł:

– Zechce!

– Dobrze! – odparł biskupi sługa. – Teraz rzecz druga. O niej też myślałem. Twoich... – nieco zadrżał mu głos – ...twoich bliskich, przez tych zbrodniarzy ubitych...

Szlachcic zacisnął zęby, lecz słuchał.

– ...każe biskup lwowski z wszelkimi honorami i nabożeństwem na cmentarz albo i do krypty kościelnej przenieść. Księża z Bukowska w pokorze ich odprowadzą w ostatnią drogę i modły wszelkie odprawią. Wybaczenia od waszmości prosić będą, a jak nie dasz, przegna ich biskup gdzieś, gdzie już nigdy nie będziesz ich musiał oglądać. Modlić się będą w bukowskim kościele co roku w dzień tragicznej śmierci za ich dusze. Choć tyle w tej sprawie można uczynić.

Siwowłosa przełknął ślinę. Schylił w podzięce głowę. Zamilkł Niemiec na chwilę. Słowa trudniejszej części w głowie układał. Potem gestem pokazał na Krasickiego.

– Ten tu z honorami będzie pochowany. Jak przystoi dolińskiemu staroście. Nikt nie wspomni o tym, co uczynił.

Zadrzał z gniewu Nadolski. Rozszerzyły się Wolskiemu źrenice. Już coś chciał rzec, ale Saksończyk powstrzymał go ruchem dłoni.

– Taka jest wola arcybiskupa! Ciało do rodziny powróci bez śladu gwałtu. Potem, za czas jakiś, oznajmią, iż naturalnie zszedł z tego świata. Ani słowa, że na Sobieniu się to stało i z ludzkiej ręki. Biskup rzecz z rodziną jego ułoży. Dla własnej korzyści gęby zawrą na zawsze, bo inaczej hańba wiekuista na ród spadnie, a i talarów im nie stanie na procesy. Rzekną, że niby gdzieś posłować pojechał albo co inne, ogłoszą, że zmarł tam, a na koniec pochówek mu sprawią, choćby i u karmelitów we Lwowie. Ich sprawa, byle cicho siedzieli<sup>[75]</sup>.

Skulił się blady Krasicki, rozumiejąc, iż o jego pogrzebie mówi chudy cudzoziemiec, kiedy przecie żywy jeszcze słucha. Zadrzały mu ręce. Spotniało szerokie czoło. Poczuł, że jakoby przy trupie już rzeczy układają.

– Dlaczego? – wycedził Nadolski pytanie.

– To nie jest byle szarak – odpowiedział spokojnie Stiller. – Gdyby inaczej postąpić, zbyt dużo waśni by zaszło, krew dalej by się lała. Nikomu tego nie trzeba. Martwi do życia nie wrócą. A ten tu, choćby i papież mu błogosławił w ostatniej drodze, i tak do piekła pójdzie. Tak się musi stać, by rzecz raz skończyć.

Zamyślił się szlachcic z Wygnanki. Ważył w duchu słowa oficera. Głupi nie był. Rozumiał, iż racja przez nie przemawia. Ale paliła go zemsta gorącym płomieniem. Ledwie ją hamować zdołał. Niemiec spojrział pytająco i mruknął:

– Zgoda, mości Nadolski?

Ten oczy przymknął. Szukał właściwej odpowiedzi. Kiedy uniósł powieki, znów chłód miał w źrenicach. Nie skinął jednak brodą na znak przyzwolenia. Wycedził:

– Jeszcze jedną rzecz w takim razie niech biskup Próchnicki uczyni.

Saksończyk zmarszczył czoło. Pogładził czernioną bródkę.

– Mów – rzucił.

– Przysięgnij mi, panie Stiller, iż wszelkim sposobem i kosztem odnajdzie córkę owej Ryty, która na Krym została sprzedana. Trafiała w okupie za Poniatowskiego do Murtazy. Jeśli żywa, niech ją wykupi i do mnie sprowadzi. Jeśli martwa, niech ciało wróci dla pochowania w rodzinnej ziemi. Miriam zwali ową dziewczeczkę. To mi jeszcze obiecaj, a co każesz, zrobię!

Niemiec się uśmiechnął. Widać jakiejś innej spodziewał się prośby. Mocnym głosem odrzekł:

– Przysięgam ci, mości Nadolski, w swoim i eminencji Próchnickiego imieniu! Odnajdziemy ją, jeśli taka twoja wola!

– Tedy zgoda! – wycedził szlachcic i szablę wolnym ruchem do pochwy włożył.

Odetchnęli z ulgą biskupi oficerowie. Również broń pochowali. I Wolski rozluźnił naprężone ciało. Wszystkie źrenice znów skierowały się na drżącego w kącie magnata. Ten chlipnął żałośnie, zabalgotało mu w ściśniętym gardle. Oto kres jego żywota nadchodził.

Porucznik dragonów podrapał się po głowie. Zerknął pytająco. Nieśmiało prawie zapytał:

– Tedy jak go sprawić?

Saksończyk uniósł tajemniczo kąciki ust. Celowo przedłużył chwilę oczekiwania. Potem zerknął na Murraya.

– Rozmawialiśmy raz o tym z moim druhem. Aż znalazł sposób. Powiedz tedy, Williamie.

Rubaszny grubas skłonił się dwornie. Wsłuchał się łapczywie przerażony Krasicki. O nim to bowiem miała być mowa. I włos zjeżył mu się na łbie, kiedy Szkot zaczął:

– Dawno temu był jeden król angielski, co go Edwardem zwano. Nieudolny i w tureckiej miłości się lubował. Aż dość tego było jego żonie Izabeli, zwanej Wilczycą z Francji. Wtedy też kazała swoim sługom takim sposobem rzecz zakończyć. Otóż...<sup>[76]</sup>

Popłynęły dalsze słowa. Rzetelne i opisowe. A im bardziej techniki samej dotykające, tym głośniejsze wycie wydzierało się z gardła przyszłej ofiary.

W taki też sposób, jak Murray nakazał, dopełnił się koniec. Zginął marnie, w mękach okrutnych, starosta doliński Serafin Krasicki, pan wielki, dumny, który boskim prawom chciał się sprzeciwić. A jego śmierć ulgę żywym przyniosła. Bestia umarła.

## EPILOG

Letnie słońce rozświetlało bujne pola Wygnanki. W dali chłopci cięli zboże miarowymi ruchami sierpów. Błękitne niebo ciągnęło się po falujący wzgórzami horyzont. Odznaczało granicą od ciemnej zieleni przepastnych lasów. Upał łagodziły co jakiś czas drobne podmuchy wiatru.

Siedział Żegota Nadolski przed pachnącym świeżością dworem i spoglądał leniwie przed siebie. Chłonał ożywcze ciepło rozpostarty na ławie. Ani też ruszyć mu się nie chciało. Czas płynął wolno jak rzadkie białe obłoczki rozplywające się w słońcu. Nareszcie naprawdę powrócił do domu.

W obejściu krzątała się lekko odziana niewiasta, przekomarzając się ze starym Sulatyckim, który już od rana piwem się raczył. Perliście brzmiał jej czysty śmiech, wywołany pewnie jakąś niezliczoną anegdotą, których pełno miał w zanadrzu pan Wawrzyniec. Na chwilę dziewczyna się odwróciła. Zetknęły się spojrzenia jej i Nadolskiego. Siwowłosy zmrużył oczy, ręką zamachał. Uniósł leciutko kąciki kalekich ust. Okręciła się Agnieszka wokół, aż jasny warkocz zafurkotał w powietrzu. A potem dygnęła dwornie, co nijak nie pasowało jej sielskiemu przyodziewkowi.

Semko konia czyścił przed stajnią. Przygadywał milczącemu Bejdzie, który, robieniem strzał zajęty, nawet ku niemu nie patrzył. Nic się pohaniec nie zmienił. Jak do kamienia można było gadać.

Stary Fiodor przy kojcu dla psów coś objaśniał przygłupiemu Fedkowi. Machał zniecierpliwiony rękami, a kaleki olbrzym kiwał tylko ogromną głową. Prawdę mówił ojciec Semkowy, że choć robotne są Głuchoniemce i uczciwe, to jednak pojętności i rozumu w nich mało.

Przeciągnął się Żegota niespiesznie. Zadarł głowę i w niebo popatrzył. Czy był szczęśliwy? Nie wiedział. Rozumiał jednak, iż nie jest już nieszczęśliwy. A to człowiekowi w życiu wystarczy.



DZIKIE  
POLA

MROCZNA TAJEMNICA  
BRUTALNOŚĆ EPOKI  
SZLACHECKA FANTAZJA  
MIŁOŚĆ

REALIZM

FANTAZJA

**TYTUŁ** *Czas pomsty*

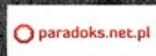
**AUTOR** Maciej Liziniewicz

**GATUNEK** powieść historyczna z elementami fantasy

**PODOBNE DO** cykli: „Kacper Ryx” Mariusza Wollnego, „Szubienicznik” Jacka Piekary, „Przypadki starościca Wolskiego” Józefa Hena; książek: *Crimen* Józefa Hena, *Bohun* oraz *Diabeł Łańcucki* Jacka Komudy; serialu: *Crimen*; filmów: *Ogniem i mieczem*, *Dracula*, *Czarownica: Bajka ludowa z Nowej Anglii*.

**JEDNYM ZDANIEM** Tragiczna prawda o okrutnej i tajemniczej śmierci najbliższych okazuje się jeszcze straszniejsza, niż mógłby przypuszczać podążający tropem morderców mściciel Żegota Nadolski.

Patronaty



NOWA  
Fantastyka





## PRZYPISY

- [1] Średniozbrojna formacja kawaleryjska, z której wykształciła się jazda pancerna.
- [2] Członek pocztu, żołnierz w wojsku autoramentu narodowego. Zwykle pochodzenia chłopskiego, służący w poczcie szlachcica – towarzysza, właściciela pocztu.
- [3] Ta lekka formacja najemnej jazdy polskiej wślawiła się grabieżami i łupieniem ludności na terenach Rzeczypospolitej, za co została potępiona w uchwałach sejmowych i rozwiązana w 1635 roku.
- [4] W szabli obosieczna część głowni, około  $\frac{1}{3}$ – $\frac{1}{4}$  długości, najdalej od rękojeści.
- [5] Skórzane buty sięgające kolan, charakteryzujące się ściętymi ukośnicami z tyłu cholewami, płaską podeszwą i lekko zadartym nosem.
- [6] W rzeczywistości Stanisław Dereśniak (Dereszniak) w roku 1627 sprzedał klucz Rokietnicki staroście przemyskiemu Marcinowi Krasickiemu.
- [7] W dawnej Polsce szlachcic w służbie u magnata, uzależniony od niego osobiście dobrowolną umową i przysięgą na wierność.
- [8] Prosta broń palna składająca się z lufy i łoża z kolbą. Początkowo odpalana lontowo, później z zamkiem kołowym. Charakterystycznym elementem był hak u wylotu lufy służący do zaczepiania o mur lub inny trwały element w celu wyeliminowania odrzutu.
- [9] Jeden z pierwszych rodzajów broni palnej stworzonej na potrzeby jazdy. Najczęściej wykonywana przez obcięcie do broni krótkiej hakownicy zaopatrzonej w zamek kołowy. Rzadziej wykorzystywany był zamek lontowy, mniej poręczny w walce konno.
- [10] Określenie odgródzonej części gospodarstwa chłopskiego przeznaczonej do przechowania lub młócenia zboża wraz z narzędziami i pomieszczeniami do tego służącymi.
- [11] Niemieckojęzyczni osadnicy w Karpatach przybyli w późnym średniowieczu.
- [12] Pachołek prowadzący zaprzęg z konia przedniej pary.
- [13] Prochem jesteś i w proch się obrócisz.
- [14] Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi.
- [15] Element szlacheckiego ubioru, rodzaj płaszcz okrywającego żupan. Najczęściej wełniany, z krótkimi rękawami i metalowymi guzikami oraz futrzanym kołnierzem.
- [16] Inaczej Seklerzy, grupa etniczna zamieszkująca wschodnią część Siedmiogrodu. Nazwa specyficznych wojsk zaciężnych węgierskiego autoramentu, używana w XVI i XVII wieku na terenie Rzeczypospolitej.

[17] Zbiorcza nazwa dla różnych grup etnicznych zamieszkujących Bałkany i posługujących się językami wschodnioromańskimi. Wywodzi się od germańskiego *walh/wealh* „obcy”, „nieznajomy” i była używana przez dawne ludy germańskie jako określenie człowieka posługującego się niezrozumiałym językiem.

[18] Staropolskie określenie monety złotej, florena, dukata, odróżniające monetę obiegową (ok. 3,5 g złota) od ówczesnej jednostki obrachunkowej, czyli złotego polskiego.

[19] Upiór pod postacią małego dziecka rzucający się na kark wędrowcom i przegryzający szyję dla wypicia krwi.

[20] Przeciw prawu boskiemu i ludzkiemu.

[21] Prymitywne kuźnie, gdzie przekuwano żelazo wytapiane w dymarkach.

[22] Osoby najmowane do radzenia sobie z upiorami nękającymi wsie. Najczęściej odbywało się to przez odkopanie podejrzanych zwłok i obcięcie głowy bądź przebicie głowy lub piersi kołkiem czy też zębem brony.

[23] Rodzaj upiora powstającego z grobu i dręczącego żyjących krewnych. Dziecko zmarłe przed osiągnięciem siedmiu lat wracało mułuchidem w momencie, kiedy by ten wiek osiągnęło. Najczęściej przesąd ten dotyczył zmarłych niemowląt.

[24] Dziś Bełwin.

[25] Dziś Duszatyn.

[26] Najemnicy przeznaczeni do tępienia band zbójcekich w Karpatach powoływani z lokalnych górali, a nierzadko z byłych opryszków.

[27] Nazwa zbójników węgierskich działających w Karpatach.

[28] Na gorącym uczynku.

[29] Bunt szlachecki przeciwko władzy monarszej w latach 1606–1607. Wśród haseł rokoszan pojawiły się postulaty o zabranie monarsze prawa rozdawnictwa zwolnionych urzędów i zmuszenia go do wygnania jezuitów i cudzoziemców z Rzeczypospolitej. Zdławiony przez Zygmunta III Wazę zwycięstwem w bitwie pod Guzowem w 1607 roku.

[30] Jeden z przywódców rokoszu Zebrzydowskiego, starosta dobromilski, mościcki, wiszeński, autor wielu pism politycznych o wymowie antymagnackiej i antykrólewskiej. Przez historiografów określony mianem uczonego warchoła. Zmarł w roku 1616 w Dobromilu.

[31] Lekka jazda litewska.

[32] Bitwa stoczona 5 lipca 1607 roku, w której rokoszanie ponieśli klęskę.

[33] Historia zaczerpnięta z opowiadania *Petyhorzec* Władysława Łozińskiego, wydane w tomie *Nowe opowiadania Jmć pana Wita Narwoya rotmistrza konnej gwardii koronnej (1764–1773)*

[34] Obecnie Perłuki.

[35] Chryszczata, szczyt w paśmie Wołosania w Bieszczadach. Nazwa od rośliny *chryszczate zillie* lub

skrzyżowania dróg *chrest*.

[36] Autentyczna tortura stosowana w Rosji w czasach Iwana Groźnego przez opryczników (gwardzistów tego cara) dla wymuszenia zeznań.

[37] Mowa o kościele Franciszkanów w Sanoku. Pozostaje wątpliwość, czy odbudowa finansowana przez Piotra Bala rzeczywiście dotyczyła wzniesienia budowli murowanej. Wizytacja klasztoru dokonana przez prowincjała Adama Goskiego w latach 1612–1615 mówi jedynie o części murowanej świątyni, jaką była zakrystia. Niektórzy sądzą, że prace wykonywane z funduszy Piotra Bala były jedynie rekonstrukcją wcześniejszej drewnianej świątyni. Z całą pewnością kościół murowany stawiano po 1632 roku. Na potrzeby powieści uznano jednak, że Piotr Bał ufundował kościół w pełni murowany.

[38] Ozdobny, rozbudowany katafalk.

[39] Od roku 1614 arcybiskup lwowski. Człowiek wszechstronnie wykształcony, mecenas sztuki, bibliofil. Poseł, przez osiem lat rezydent królewski na dworze w Madrycie, senator, protektor Kawalerów Maltańskich. Zmarł w roku 1633.

[40] Niemieckie przekleństwo.

[41] Pracownik sądowy w dawnej Polsce. Woźny sądowy pełnił funkcję pośrednika między sądem i stronami oraz między samymi stronami. Do jego obowiązków należało m.in. doręczanie pozwów, dokonywanie wizji w sprawach karnych i cywilnych, składanie sprawozdań sądowi z przeprowadzonych czynności, ściąganie zasądzonych kar, udział w przeprowadzaniu egzekucji przy „wwiązaniu w dobra”, zapewnianie bezpieczeństwa i porządku podczas rozpraw, dokonywanie aresztowań i odpowiedzialność za areszt, udział w obdukcjach w razie zranień i zabójstw. Ze względu na dokonywane przez siebie czynności nazywany był „posłem prawa”. Aż do 1766 roku mógł nie być szlachcicem.

[42] Szerokie, bufiaste spodnie.

[43] Poczwórne dzwonki używane podczas mszy.

[44] *W gniewu dzień, w tę pomsty chwilę,*

*Świat w popielnym legnie pyle:*

*Zważ Dawida i Sybillę.*

Pieśń z mszy świętej za zmarłych. Tekst *Dzień gniewu* napisany najprawdopodobniej w XII lub XIII wieku, włączony do mszału w wieku XIV. Śpiewana podczas mszy żałobnych w klasycznym rycie rzymskim.

[45] *Jakiż będzie płacz i łkanie,*

*Gdy dzieł naszych sędzia stanie,*

*Odpowiedzieć każąc za nie.*

[46] Uznanie szlachectwa dla obcokrajowca.

[47] Dawne określenie homoseksualizmu.

[48] Szlachcic schwytyany przez Turków po bitwie pod Cecorą. Zesłany na galery, w listopadzie 1627 roku doprowadził do buntu więźniów i porwał okręt. Udało mu się wraz z Janem Stołczynem

i Stefanem Satanowskim dotrzeć na Sycylię. Uroczyście przyjęci w Rzymie przez kardynałów Cosimę de Torresa i Francesca Barberiniego, w 1628 roku wrócili do Polski. Relacja z przygód Jakimowskiego ukazała się drukiem w książce *Opisanie krótkie zdobycia galery przedniejszey Alexandryjskiej w porcie u Miteleny za sprawą dzielną y odwagą wielką kapitana Marka Jakymowskiego, który był więźniem na teyże galerze. Z oswobodzeniem 220 więźniów chrześcijan.*

[49] Nieistniejący już kościół przy ulicy Katedralnej. Zburzony w połowie XVIII wieku.

[50] Forma praktyk magicznych, w której czarujący (nekromanta) przyzywa duchy zmarłych w celu poznania przeszłości lub przyszłości.

[51] Sąd Boży.

[52] Bóg lubi trójcę. Powiedzenie ukraińskie.

[53] Kraina historyczna stanowiąca wschodnią część Wołoszczyzny pomiędzy Dunajem, Alutą (lewym dopływem Dunaju) i Karpatami.

[54] Michał Waleczny, jeden z pierwszych władców wołoskich dążących do uniezależnienia się od Turcji w XVI i na początku XVII wieku. Uwikłany w konflikty polityczne został w 1601 roku zamordowany w obozie wojskowym pod Turdą, rzekomo za zdradę na rzecz Turcji.

[55] Dynastia panująca na Wołoszczyźnie od XIV do XVII wieku.

[56] Ewangelia św. Mateusza.

[57] Organ doradczy chana, w którym zasiadali przedstawiciele sześciu krymskich rodów arystokratycznych.

[58] łac. żywy trup.

[59] Elżbieta Batory, zwana krwawą hrabiną z Čachtic, do dziś stanowi obiekt zainteresowania historyków i pisarzy. Rzekomo chcąc zatrzymać znikającą urodę, oddała się praktykom kanibalistycznym i kąpielom w ludzkiej krwi. Hrabia Jerzy Thurzo, palatyn Węgier, najprawdopodobniej z powodów politycznych i majątkowych doprowadził do aresztowania i skazania krewniaczki. Zmarła zamurowana żywcem w celi w roku 1614. Samo oskarżenie budzi uzasadnione kontrowersje, czy przedstawione tam czarnoksiężstwo i wampiryzm, jakim oddawać się miała Elżbieta Batory, były prawdą.

[60] Na gruntach tej wsi w drugiej połowie XVII wieku powstał Fredropol.

[61] Około jednego litra (dokładniej 4 kwaterki, to jest 0,9422 litra).

[62] Przekleństwo niemieckie. Odpowiednik polskiego „Jasna cholera!”.

[63] Bieluń dziedzierzawa. Roślina z rodziny psiankowatych zawierająca w swoim składzie alkaloidy tropanowe, takie jak hioscyamina, atropina i skopolamina. Ten ostatni wykorzystywany był przez służby specjalne w XX wieku jako tak zwane serum prawdy. Alkaloidy te działają pobudzająco i porażająco na układ nerwowy człowieka. W większych dawkach prowadzą do śmierci.

[64] Dziś Huwniki.

[65] Niewielka odprzodowa armata umieszczana w ruchomym forkiecie umożliwiającym strzały

w różnych kierunkach i pod różnym kątem.

[66] Folgierz czasem mylono ze śmigownicą, która jednak była większa i miała inne łoże.

[67] Wulgarnie penis po rumuńsku.

[68] Odpowiednik polskiego „skurwysyn” w języku rumuńskim.

[69] Garniec to około 3,8 litra.

[70] Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą...

[71] Zabawkę.

[72] Ruchoma zastawka w budowlu na rzece, strumieniu, kanale służąca do regulacji przepływu wody.

[73] W imię Boga naszego.

[74] Niemiecki odpowiednik „kurwa mać!”.

[75] Ciekawostką jest, iż w roku 1631 posłem do cesarza Ferdynanda II Habsburga był starosta przemyski Marcin Krasicki, postać bardzo szanowana i zasłużona. Zmarł w tym samym roku i pochowany został w ufundowanym przez siebie kościele Karmelitów w Przemyślu.

[76] Edward II zamordowany został z rozkazu swojej żony Izabeli. By nie zostawiać śladów na zwłokach, włożono mu w odbył tuleję z rogu, a przez nią wetknięto rozpalone żelazo, wypalając wnętrzności. Zmarł w boleściach okrutną śmiercią.

DZIKIE  
POLA

MROCZNA TAJEMNICA  
BRUTALNOŚĆ EPOKI  
SZLACHECKA FANTAZJA  
MIŁOŚĆ



**TYTUŁ** *Czas pomsty*

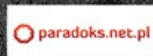
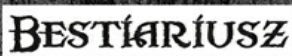
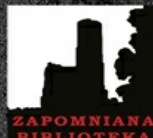
**AUTOR** Maciej Liziniewicz

**GATUNEK** powieść historyczna z elementami fantasy

**PODOBNE DO** cykli: „Kacper Ryx” Mariusza Wollnego, „Szubienicznik” Jacka Piekary, „Przypadki starościca Wolskiego” Józefa Hena; książek: *Crimen* Józefa Hena, *Bohun* oraz *Diabeł Łańcucki* Jacka Komudy; serialu: *Crimen*; filmów: *Ogniem i mieczem*, *Dracula*, *Czarownica: Bajka ludowa z Nowej Anglii*.

**JEDNYM ZDANIEM** Tragiczna prawda o okrutnej i tajemniczej śmierci najbliższych okazuje się jeszcze straszniejsza, niż mógłby przypuszczać podążający tropem morderców mściciel Żegota Nadolski.

Patronaty



NOWA  
Fantastyka

WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

ISBN 978-83-245-8377-5

EAN 9788324583775

U.WD.FAN041.1.01.01



